

ELIZABET ADLER

DZIEDZICTWO TAJEMNIC

ELIZABET ADLER

DZIEDZICTWO TAJEMNIC

1.

Maudie

Arnavama, Connemara

Ponieważ ta opowieść w równym stopniu dotyczy przeszłości, jak i czasów obecnych, muszę wreszcie przyznać, że jestem starą kobietą. Ale gdyby ktoś z was nazwał mnie starą Maudie Molyneux, pewnie po szczułabym go psami - tymi dalmatyńczykami, które leżą za mną rozparte w wielkim starym fotelu niczym dwie cętkowane, przerośnięte poduchy.

Skończmy z kwestią lat, byśmy nie musieli już do niej powracać. Nigdy nie myślę o sobie „stara”, ale od tak dawna kłamałam na temat własnego wieku, że doprawdy nie jestem już w stanie spamiętać, ile mam lat, nawet jeśli Niewierna Brygida w kuchni nie daje mi o nich zapomnieć.

- Jak mogła pani powiedzieć Georgiemu Putnamowi, że ma dopiero siedemdziesiątkę - zapytała właśnie kilka dni temu - skoro on wie, że jest od pani o dziesięć lat młodszy?

- To przywilej kobiety - odpowiedziałam jej wyniośle, choć poczułam - wyznaję - rumieniec wstydu.” Otóż Niewiem a Brygida jest poniekąd moją dobrą przyjaciółką. Urodziłyśmy się mniej więcej w tym samym czasie, a gdy była młoda, podjęła pracę w Wielkim Domu i od tej pory jest ze mną. Chcecie wiedzieć, dlaczego nazywa się Niewierną Brygidą? Takie przezwisko nadali jej za młodu wieśniacy. Była wtedy przystojną dziewczyną, postawną i hożą, i zmieniała mężczyzn jak rękawiczki, za żadnego nie wychodząc. Zawsze jej mówię o swym domniemaniu, że powodem było to, iż miała w sobie coś z kokotki. - Może by już pani przymknęła usta - wrzeszczy na mnie, gdy się z nią tak droczę. - Każe pani ludziom uwierzyć w tę potwarz! Ja nigdy nie byłam kokotą, jak to pani zwie. Raczej już na odwrót, z tego, co pamiętam. - tu ma chyba rację.

Gdy byłam dziewczyną, wcale nie można mnie było nazwać piękną; nawet ładna brzmiałoby zbyt optymistycznie. Podobnie jak moja matka, Ciel Molyneux, byłam drobna, chuda i rudowłosa, z twarzą psotnego kota, a mój śmiech, na co zawsze uskarżał się papcio, był zbyt głośny. Zmorę mojego życia stanowiły piegi. Z wyjątkiem czasów, gdy miałam dwadzieścia lat i poznałam Archiego, który zwykł je liczyć. Och, a to może stać się niebezpieczną zabawą... Choć może raczej nie wypada tego mówić? Mamusia zawsze powiadała, że powinnam opanować sztukę dyskrecji, a także wiedzieć, kiedy należy zamilknąć, aleja nigdy tego nie potrafiłam, więc teraz też nie będę zmieniać obyczajów.

A jak wyglądam dzisiaj, jeśli ktoś pragnie zapytać? W gruncie rzeczy niewiele się zmieniłam. Drobna, chuda, o przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu, z rudymi loczkami, które farbuję, i przez to są może nieco zbyt dziewczęce, ale takie właśnie lubię mieć. Noszę zawsze mój ulubiony, szerokoskrzydły kapelusz Jack Yeats z czarnego filcu, wgnieciony na czubku, a ponieważ, jak większość Irlandczyków, jestem zwariowana na punkcie koni, mam zazwyczaj na sobie płowe bryczesy, model z około 1930 roku, szerokie w udach niczym wory i czerwoną kurtkę myśliwską, co prawda wyblakłą i wystrzępioną na szwach, ale skoro już muszę być stara, to do licha niech się chociaż czuję swobodnie. No i te buty, które leżą jak ulał i nadal są wyśmienite. Zrobił je najśłynniejszy z londyńskich szewców. Och, dla Molyneuxów liczyło się wówczas tylko to, co

najlepsze. To, co najlepsze - przez całe lata i stulecia.

No i nigdy nie wyrzucaliśmy niczego; mam każdą z sukien, jakie kiedykolwiek nosiłam, z wyjątkiem tych najulubieńszych, które po prostu zdarły się od częstego noszenia. W mojej szafie, jeśli tylko ruszycie ryżą kotkę Klarę - tam właśnie powiła swoje kocięta - znajdziecie prawdziwe kreacje Chanel z 1930 roku i „New Look” Diora z 1947 roku. Szperajcie dalej, a napotkacie stroje od Schiaparelli oraz mamusine suknie z kolekcji i Poireta, i Douceta, i Yionneta. Są tam także kreacje Fortuny i Fam i Worth, a wszystko to uwielbiam nosić. Nadal mamy tu zwyczaj przebierać się do obiadu. Wiadomo, trzeba przestrzegać pewnych norm.

To samo dotyczy tego domu, Ardnavamy. Zalany morzem przedmiotów nagromadzonych w ciągu minionych stu pięćdziesięciu lat, i zaniedbany, jest nadal najbardziej uroczym domem, w jakim kiedykolwiek po stała moja noga.

„Jesteś stronnicza”, możecie powiedzieć i będziecie mieli rację, lecz on wciąż pozostaje piękny. To irlandzki dwór w stylu georgiańskim, nie za duży i nie za mały. Biała farba łuszczy się, słodko pachnące letnie róże pną się wokół jak szalone, kiedy piszę te słowa, a trawnik pod moim oknem pokrywa gruby dywan stokrotek, otoczony niesforną gęstwiną zmagających się ze sobą barwnych kwiatów i wybujałych chwastów, aczkolwiek skłonna jestem przyznać, że chwasty mają przewagę.

Wysokie okna o podnoszonych skrzydłach są szeroko otwarte, by chwytać słoneczny blask późnego popołudnia, a z naszych kominów unosi się gryzący dym torfowy. Drzwi wejściowe to doskonały przykład najlepszego georgiańskiego stylu: z dwóch stron obramowane parą wysokich, wąskich okien i zwieńczone wdzięcznym oknem półkolistym; jak zwykle stoją szeroko otworem na powitanie przyjaciół, co w jakiś sposób tłumaczy, dlaczego irlandzkie domy na wsi są notorycznie zimne.

Ja sama zawsze myślałam, że Ardnavama jest niczym klejnot spowity w zielony atłas. Trawniki, rabaty, krzewy - i porośnięte drzewami wzgórze, wspinające się z tyłu za domem i opiekuńczo otaczające go dokoła. A na prawo, w prześwicie pomiędzy wzniesieniami, widać przelotny błysk morza.

Wewnątrz wszystko jest pokryte wyblakłą tapetą w kolorze eau de Nile i wystrzępionym perkalem. Od dawna nie tknięto tu niczego - od kąd w latach czterdziestych mamusi skończyły się pieniądze. Nadal jednak pozostają nam resztki wielkości i nasze wspomnienia: srebrne trofea z wystaw koni, potrzebujące wyczyszczenia, walczą na kredensie o skrawek miejsca z chyba dwudziestką chromowych mieszalników do koktajli i srebrnych georgiańskich wiaderk do lodu. Dębowe podłogi pokryte są wysłużonymi perskimi dywanami, a ogromne chińskie wazy stoją przepelnione zasuszonymi hortensjami i różami, których barwy wyblakły, nabierając czarownegojasnopłowego koloru, tak dobrze współgrającego z patyną starego drewna.

Są tu szerokie, skrzypiące schody z desek dębowych, śmiertelnie zdradliwe w czasach mojej lekkomyślnej młodości. Wystarczył jeden niebaczny krok na drugim stopniu od góry, a wszelkie zwariowane po myśli mogły się zakończyć. Złote brokatowe zasłony są zaś tak stare, że nie wolno ich zaciągać, jeśli się nie chce, by rozpadły się w rękach na proch. Torfowe ogienki bez przerwy tlą się sennie na ozdobnych żelaznych paleniskach, pokrywając czernią marmurowe kominki i zlewając swą gryzącą woń z delikatnym aromatem mieszanki korzeni i ziół, z do chodzącym z kuchni rozkosznym zapachem świeżo upieczonych drożdżówek i placuszków, a także z wszechobecnym kurzem. I gdy tak patrzę, mam wrażenie, że na każdym krześle leży stos książek i około miliona starych egzemplarzy „Horse and Hound” oraz „Irish Field”, a może też jeden lub dwa koty.

Obdarzam to miejsce wielką miłością, mimo że nie tutaj się urodziłam. Zjawiłam się na tym świecie w pewien letni dzień, na poły słoneczny, a na poły deszczowy, w roku 1910, nie dalej niż o milę stąd. W Wielkim Domu.

Mój ojciec już zawczasu nastawił dobre porto, które pijam teraz wieczorami; widzicie, spodziewał się chłopca, a dla chłopców zawsze wstawiano młode porto do piwnicy, tak by dojrzało do wypicia, gdy syn skończy dwadzieścia jeden lat Oczywiście, kiedy się pojawiłam, ojciec spojrział tylko na mnie, wzruszył ramionami i powiedział do mojej matki:

- No cóż, jeśli to wszystko, co mogliśmy zdziałać, dopilnujmy przy najmniej, by jeździła konno jak mężczyzna.

I dopilnował. Inni pamiętają dziecinne wózeki, a ja pamiętam stajnie. Zapach koni jest moim pierwszym wspomnieniem. I, chwała Bogu, polubiłam je tak jak inne dziewczynki lubiły lalki. Nigdy nie czułam strachu. Miałam swojego małego, łagodnego kuczka z Connemara, ciemnobrązowej maści, a gdy już skończyłam trzy lata, papa wybaczył mi, że nie jestem chłopcem. Myślę, że - co więcej - był wręcz dumny ze swojej nieustraszonej córeczki-amazonki.

Papcio i mamusia byli zapalonymi podróżnikami i zawsze brali mnie ze sobą, poczynając od roku moich narodzin. Mamusia powiedziała, że nie zamierza pozostać w domu, a tatuś - że nawet mu się nie śniło zostawiać ją, tak więc wyruszyliśmy wszyscy razem. Oczywiście do Paryża i do Deauville na wyścigi. Potem kasyna w Monte Carlo i Biarritz, gdyż mamusia uwielbiała dreszczyk emocji. Powrót tutaj na polowanie i łowienie ryb, a potem do Londynu na sezon towarzyski, do Ascot i Goodwood, i na żagle w Cowes. Och, no i przyjęcia. Nigdy już nie będzie tak wspaniałych przyjęć! A może to młodość sprawia, że wszystkie przyjęcia są udane. Gdy ma się lat siedemnaście... A potem jeszcze Baden-Baden i Schwarzwald, i wreszcie narty w Saint Moritz.

Och, doprawdy byłam wędrującym dzieckiem, z guwernantką i z kufrem pełnym zabawek oraz z dwójkiem uwielbiających mnie rodziców. Kiedy miałam dziesięć lat, zdażyłam już przywyknąć do jeżdżenia pociągiem-promem z Victoria Station w Londynie do Paryża. W wieku lat czternastu zaś stałam się małą bywalczynią Blue Train na trasie do Riwiery. Podróżowałam tak często, że mogłabym z powodzeniem jeździć sama, choć oczywiście rodzice nigdy mi na to nie pozwolili. No i znali mnie wszyscy portierzy w najlepszych hotelach: Claridges, Lancaster, Hotel de Paris i Gritti Pałace.

Wam, młode stworzenia, wraz z waszymi džinsami i kowbojskimi butami, uczelniami i karierami, wydaje się to chyba równie odległe w czasie jak inna planeta, ale kiedy mamusia i papcio uznali, że wymykam im się spod kontroli i wyprawili mnie, bym skończyła szkołę w Paryżu, po myślałam, że to kres mojego świata. Byłam zesłańcem z Ardnawamy, niczym osławiona Lily. Ale o Lily opowiem wam później - „wszystko w swoim czasie”, jak mawiała mamusia, gdy się niecierpliwiłam. A jednak dziw bierze, że rozmowa wciąż wraca do „Nikczemnej” Lily Molyneux, choć z drugiej strony, była to kobieta, której się nie da zapomnieć.

Tak czy inaczej, zostałam zesłana na rok. Walczyłam przeciw tej decyzji, i to jak walczyłam! Wylałam całe wiadra łez, lecz bez skutku. A gdy się tam znalazłam, spodobało mi się, choć oczywiście nigdy im się do tego nie przyznałam. Użalałam się nieustannie, aż do końca. Niech sobie cierpią katusze.

Wysłano mnie tam w nadziei, że przeistoczę się w młodą damę, ale nikt nie wydawał się zaskoczony, gdy tak się nie stało. Mamusia powiedziała, że jestem indywidualistką i nigdy nie nakłaniała mnie do udawania kogoś innego. Miałam siedemnaście lat, płomiennorude loki, zabawną,

drobną twarzą i niebieskie oczy jak wiele z rodu Molyneux. Byłam rozgarnięta, żywa, skłonna do żartów i lubiła mnie niesłychanie cała gromada przyjaciół. Potem wróciłam do domu i musiałam odgrywać rolę wchodzącej w towarzystwo panienki. Czy możecie sobie wyobrazić mnie, tonącą w białych tiulach, z piórami we włosach niczym nastroszona papuga?

Mając dwadzieścia lat, myślałam tylko o koniach i mężczyznach. W tej właśnie kolejności. Z wyjątkiem Paryża, gdzie było inaczej: w pierwszym rzędzie mężczyźni, a później konie. Wy co prawda wiecie, że nigdy nie byłam piękną, ale mówiono, że jestem zabawna z owym nieustającym potokiem słów i wibrującym śmiechem który odziedziczyłam po mamusi - ludzie pragnęli go słuchać.

- Maudie Molyneux nie staje po niczyjej stronie - mawiano. - Ona jest miła dla każdego. - Muszę wyznać, że ciekawe plotki dawały mi prawie tyle samo przyjemności, co porządna, forsowna jazda przez pola w mglisty jesienny dzień. Uwielbiałam też Paryż i stroje, i jeszcze dzisiaj wstyd mi się przyznać, ile pieniędzy roztrwoniłam na kapelusze. Szczególnie na te małe koktajlowe kapelusiki, które nosiło się w latach trzydziestych. Na Faubourg St Honore była pewna kobieta; jakże się ona nazywała? Ach, prawda: Madame Simonetta, która robiła te małe pęczki nakrapianej siateczki i piór, przy czym każdy z nich kosztował fortunę. Ale były boskie, warte każdego wydanego pensa. Mam je ciągle na piętrecie, wraz z całą resztą rupieci.

Komu w owych beztróskich dniach śniło się to, co miało wkrótce nastąpić? Zawsze powiadam, że przeżyłam dziesięć wspaniałych lat, po czym wszyscy z nas, głupiutkie młode stworzenia, byliśmy zmuszeni dorosnąć. A gdy nadszedł rok 1939, zbyt wielu z nas musiało umrzeć.

Moi przyjaciele rozproszyli się tak po kontynencie europejskim, jak i po Anglii czy Irlandii. Niektórzy nawet walczyli po przeciwnej stronie. Wszyscy byliśmy jak oszołomieni: jednego dnia flirtowaliśmy ze sobą i urządzali zabawy, a już nazajutrz mieliśmy się nawzajem nienawidzić. Ale przypuszczam, że na tym polegają wszystkie wojny. Kilku nikczemnych złoczyńców kieruje do walki tych dobrych i odważnych, by posłużyć się nimi do własnych celów.

Mój wybrany znalazł się wśród pierwszych, którzy poszli na wojnę. Archie Herbert. Ten od liczenia piegów.

Och, Archie był taki przystojny. Wysoki brunet o arystokratycznym wyglądzie, z ciemnym wąsikiem i uduchowionymi brązowymi oczyma. Prezentował się tak oszalamiająco pięknie w mundurze koloru khaki z tymi wszystkimi wyglansowanymi szelkami i paskami z brązowej skóry, i z lśniącymi złotymi guzikami. Rzecz jasna, zakochałam się w nim do szaleństwa. W chwili wypowiedzenia wojny przebywał jako oficer zawodowy z misją Paryżu - i został tam, by zobaczyć, do czego mógł by się przydać. Wzięto go do niewoli i wysłano do Niemiec - no cóż, jego rodzina była bardzo wysoko postawiona, tak że pojmanie go stanowiło dla nazistów nie lada gratkę.

Dostałam od niego jeden list, jeśli można to nazwać listem.. kilka linijek, połowa z nich wykreślona przez cenzurę. A potem już nic więcej. Nadal pisywałam do niego w nadziei, że wciąż tam jest i może otrzymuje moje listy. A potem, już po wojnie, odnaleziono jego ślady. Zmarł w obozie dla jeńców wojennych w 1942 roku. Zamordowali głodem tego wspaniałego, przystojnego młodego człowieka. Nie sądzę, bym kiedykolwiek zdołała się z tym pogodzić.

Rzecz jasna, każdy z nas miał swój niewielki udział w tej wojnie. Ja wstąpiłam do marynarki, do Pomocniczej Morskiej Służby Kobiet (WRNS), przede wszystkim dlatego, że ich mundury były najbardziej eleganckie. Chętnie wstąpiłabym do kawalerii, ale tam nie przyjmowano kobiet, a poza tym nie korzystano już z koni. W Pomocniczej Służbie zrobiono mnie oficerem, bynajmniej nie

z powodu doskonałego wykształcenia, gdyż Bóg mi świadkiem, że nigdy go nie uzyskałam. Władalam za to trzema językami. Przez całą wojnę nie udało mi się zobaczyć okrętu, natomiast zabawiałam się znakomicie, obwożąc oficerów po Londynie. Następnie przeniesiono mnie do admiralicji, gdzie na wielkich plastycznych mapach oceanów świata przesuwano w różne strony miniaturki łodzi podwodnych i niszczycieli.

Och, moi drodzy, wojna stała się okresem wielu flirtów. W Londynie mieliśmy raczej mało doczesnych przyjemności: żadnych jedwabnych pończoch, perfum ani strojów - i cholernie mało jedzenia. Choć zawsze można było wypić porządnego drinka w Cafe de Paris, póki jej nie zbombardowano. A dobre hotele, Claridges i Savoy, robiły wszystko, co w ówczesnych warunkach się dało, by zaoferować przyzwoity lunch już za kilka szylingów. Czynne były też puby i kluby nocne z muzyką, a więc często tańczyliśmy i śmialiśmy się - i równie często płakali. A potem nadszedł koniec wojny i gdy opadła euforia, spostrzegłyśmy, jak niewielu naszych przyjaciół powróciło do domu. Młodzi mężczyźni, z którymi wspólnie śmiałyśmy się i żartowałyśmy, chłopcy z którymi grałyśmy w tenisa i tańczyłyśmy. I z którymi się kochałyśmy. Nasz świat już nigdy nie miał być taki sam jak przedtem.

Po wojnie wróciłam do domu, do Ardnawamy. Przez cały czas była tam mamusia, która hodowała swoje kurczęta, owce i krowy. Farmereczka na całego! Dopiero później pojęłam, co było tego przyczyną. Musiała stać się teraz bardziej samowystarczalna. Dawniej nikt z nas nie zaprzętałyby sobie głowy pieniędzmi. Gdy sieje miało, należało je wydawać, a gdy ich brakowało - trzeba było jakoś sobie radzić. Ale ród Molyneux zawsze miał pieniądze, a przy tym nie żyliśmy szczególnie rozrzutnie: żadnych jachtów ani przegrywania majątków w Monte Carlo, ani też szalonych ekstrawaganckich wydatków na słynne kurtyzany lub bajeczne klejnoty. Pieniądzy nie brakowało tu nigdy, przez całe stulecia. Skończyły się dopiero teraz. A w każdym razie zostało ich niewiele.

Wicie, że to najstarsi synowie zawsze dziedziczą domy i pieniądze; otóż mój ojciec był drugim z kolei synem, tak więc niewiele mógł odziedziczyć. Wszystko, czym dysponował, stanowiło niewielką sumę po jego babce, ale sądzę, że większość tego już wówczas wydaliśmy. Majątek mamusi został niegdyś zainwestowany za granicą, w stal niemiecką i w nie istniejące już linie okrętowe oraz plantacje kauczuku, które zbankrutowały - wszystko wybrane jak najgorzej.

Ten stan rzeczy sprawił, że wyszłam za mąż. Za Irlandczyka. Dość miłego faceta, którego znałam, odkąd sięgnę pamięcią. Ale po Archiem nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Mąż nudził mnie przeraźliwie, tak więc w ciągu jednego roku zebrałam się w sobie i rzuciłam go. A potem spotkałam innego mężczyznę. Ściśle mówiąc, spotkałam go ponownie: był to oficer marynarki znany mi już z admiralicji. Woziałam go kiedyś służbowym samochodem, na samym początku mojego pobytu w Służbie Pomocniczej. Polubiłam go wtedy i teraz podobał mi się nadal.

Oczywiście istniał pewien szkopuł, ponieważ wciąż jeszcze pozostawałam mężatką, mieszkaliśmy więc po prostu razem w Ardnawamie. Nikomu to nie przeszkadzało. Dopiero kiedy zamierzałam wystąpić o rozwód i ponownie wyjść za mąż, zaczęły się kłopoty. Wszystko było w porządku, póki mieszkano się z facetem; ludzie mogli udawać, że niczego nie widzą. Ale rozwód? W owych czasach? Broń Boże! I Bóg zabronił, za pośrednictwem samego biskupa.

Miałam więc do wyboru: albo uzyskać rozwód, poślubić tego mężczyznę i żyć na wygnaniu, albo pozostać u siebie, w Ardnawamie. Wybrałam Ardnawamę i nigdy nie żałowałam tej decyzji, chociaż i tak mój pierwszy mąż zmarł parę lat później i znowu byłam wolną kobietą. Stałam się Wesołą Wdówką Molyneux - ponieważ tak jak wszystkie kobiety z rodziny Molyneux nie przybrałam

nazwiska męża. A przy okazji:

wymawia sieje Molynoo; po prostu tak je upraszamy.

Życie płynęło dalej. Miałam mnóstwo przyjaciół rozrzuconych po wszystkich kontynentach, a że nareszcie weszłam w posiadanie pieniędzy mojego dziadka Molyneux, mogłam ich odwiedzać, ilekroć tego zapragnęłam. Miałam też swoje konie, a i Paryż powrócił, znów swingujący amerykańskim jazzem, pełen znanych ludzi... och, ja sama przeżywałam szalone dawne lata.

Potem pojechałam z papciem i mamusią na wycieczkę do Indii. Tacie zdarzył się fatalny upadek z kuca, podczas gry w polo, i w kilka dni później zachorował na tęzec. Umarł przed upływem tygodnia, ja zaś musiałam odwiedzić mamusię do domu. Czowała się bez niego zupełnie zdruzgotana, i ja oczywiście też.

Mamusia pozostała na stałe w ustroniu Ardnavamy, pielęgnując swoje ogrody - a zapewniam was, że w tamtych latach były one piękne jak malowanie, ja zaś po jakimś czasie znowu wróciłam na swoje dawne szlaki, polatując jak motyl między Londynem, Paryżem i Dublinem. Zawsze jednak wracałam do Ardnavamy na sezon łowiecki. Nasze staj nie należały do najlepszych w kraju, nasze dalmatyńczyki były najlepszego chowu, znakomite potomstwo psów należących niegdyś do Lily, a nasze ogrody - najpiękniejsze w Connemara.

A potem, gdy mamusia w końcu umarła, wróciłam do Ardnavamy już na dobre.

Ale oto znów mówię o sobie samej, tak jak wytyka mi to zawsze Niewierna Brygida, choć przez cały czas mam zamiar opowiedzieć wam o tym, co wydarzyło się zaledwie wczoraj, o moich nieoczekiwanych gościach.

2.

Tego ranka padał deszcz, a psy były zmęczone, gdyż mieliśmy już za sobą naszą zwykłą przejażdżkę wzdłuż plaży. Zazwyczaj one biegły, a ja jechałam na mojej Kessidy - smukłej gniadoszce do polowań z gończymi lub na szalonym Malachy, kasztanie, który potrafi pędzić jak wichher, a robi to często, czy chcesz tego, czy nie. Jest to sprytna stara bestia, więc ty musisz być sprytniejszy i uświadomić mu, kto tu rządzi, a wtedy zapewni ci wspaniałą jazdę. Nieustraszony, szybki, o budowie wołu - to jest właśnie Malachy.

Najczęściej jeździmy górkami ścieżkami leśnymi, po czym w dół na plażę, by cwałować wzdłuż wody, a ja wtedy krzyczę i śmieję się niczym jakaś szalona istota. Tak bardzo się cieszę. A psy biegną obok na łeb na szyję, szcękając jak nieprzytomne z samej radości. To właśnie są dla mnie najmiłsze chwile dnia. Wiatr świszczący w uszach, fale przy brzeżne, które tłuką się mocno jak moje serce - i rozpędzony koń pode mną. Mogę wam wyznać, że to najlepsza rzecz jaką znam, pomijając kochanie się oczywiście. Ach, i tu mnie niesie: znów ronię swoje tajemnice niczym wino z przepełnionego kieliszka. „Dość już twojego gadania”, jak powiadała moja mamusia. Panie świeć nad jej duszą, kiedy plotłam coś nieroztropnie. I widzicie, że miała rację.

Czy nigdy nie byliście w Connemara? A więc czeka was uczta duchowa, zobaczyć bowiem Connemara po raz pierwszy to tak, jak gdyby ujrzyć we śnie krainę samego Boga. Krajobraz zmienia się co parę kilometrów. Najpierw wszystko jest niegościnne i opuszczone: nagie niebiesko-zielone góry i od czasu do czasu rwący kryształowy potok, który drąży swe koryto z góry na dół, ku wartko płynącej brunatnej rzece. Potem zostawiacie skąpy, skalisty pejzaż za sobą i macie już całe mile torfowisk koloru gorzkiej czekolady - i tajemnicze, zarośnięte trzciniami srebrne jeziora w otoczeniu drzew. Tam, gdzie teren obniża się w stronę oceanu, ujrzyście małe, surowe domki z pobielonego

wapnem kamienia, o strzechach przymocowanych sznurami na wypadek srogich zimowych zawieruch.

Niebo nad Connemara ściąga artystów ze wszystkich zakątków świata. Ma barwę księżycowych kamieni i opali, a niekiedy jest perłowszare, do kładnie w odcieniu morza, co każe mi marzyć o tym, bym umiała malować. Jadąc dalej, ujrzenie może samotną karmelowo-brązową krowę, która leżąc na splechietku trawy pośród skał coś przeżuwa spokojnie i obserwuje was. A może mały kucyk z Connemara minie was, biegnąc luzem wzdłuż drogi z małym źrebięciem, które drepcze u jego boku - białe, o kędzierzawej, rozwianej na wietrze grzywie, z ogonem niczym pióropusz, przypominając konika z baśni. Niektórzy mówią, że to odludna kraina, ale dla mnie jest ona równie spokojna, jak każda inna na tym zmęczonym, starym padole.

Tak czy owak, tamto popołudnie było słoneczne i ciepłe. Dosiadałam Kessidy, ale tym razem psy mi nie towarzyszyły. Zostawiłam te leniwe bestie śpiące na frontowych stopniach i jechałam dla odmiany kłusa, opuszczając posiadłość i dalej zdążając liściastą aleją. Po chwili zobaczyłam małego fiata, który torował sobie drogę przecinką w stronę Wielkiego Domu, z młodą rudowłosą dziewczyną za kierownicą.

Otóż niełatwo jest trafić do Domu; stary drogowskaz rozpadł się już przed laty, zresztą nigdy nie był czymś godnym uwagi. Zwykły kawałek drewna z odręcznym napisem, nadwierzony działaniem pogody, teraz chyli się po pijacku ku ziemi, jakby już nikt nigdy nie musiał znać drogi do Ardnavamy. Jest to ostry, niewielki zjazd z drugorzędnej szosy, który - z tym ułamanym drogowskazem i tak dalej łatwo można przeoczyć. Od razu wiedziałam więc, że nie jest to zwykła turystka, zagubiona i dezorientowana w poszukiwaniu wjazdu do parku narodowego. Ta rudowłosa młoda kobieta była osobą, której przyświecał jakiś cel.

Ciekawość jest kolejną moją wadą, dlatego oczywiście podążyłam za nią, z tym że wybrałam łatwiejszą drogę wiodącą między drzewami, ponieważ z biegiem lat aleja stała się nie więcej niż zwykłą koleiną, prawie niemożliwą do pokonania, gdy pada deszcz i jest błoto. Dawno minęły dni, kiedy do Ardnavamy wiodła bita droga, utrzymywana przez rodzinę Molyneux w doskonałym stanie. Współczułam nieznajomej dziewczynie, która trzęsła się po wybojach przez ponad milę, nim stanęła przy rozpadających się kamiennych słupach bramy do Wielkiego Domu, zwieńczonych parą lwów, które łapami podtrzymują naszą tarczę herbową. Ozdobne żelazne skrzydła bramy są na stałe zaklinowane ciężkimi głazami, a ze słynnego niegdyś podjazdu zostały tylko zielska i dalsze koleiny, buki zaś wyrosły dziś tak wielkie, że nie dopuszczają światła. Wygląda to przygnębiająco i deprymująco, nawet w słoneczny dzień.

Skreśliła na podjazd i potelepała się w stronę domu, a ja z tyłu kierowałam Kessidy w ślad za nią, kryjąc się między drzewami tak, że nie mogła mnie widzieć. Ten podjazd liczy milę długości i prowadzi zakolami wśród drzew, drażniąc tu i tam przelotnym widokiem wieżyczek z szarego kamienia i doprowadza do szału zniecierpliwionego gościa, ciekawego, kiedy wreszcie zobaczy rezydencję. A gdy wynurzasz się spomiędzy listowia, oto już jest, rysuje się przed tobą, oświetlona od tyłu słońcem popołudnia, jawiąc się całemu światu tak, jakby wciąż jeszcze była zamieszkana.

Dziewczyna wy dostała się z samochodu i włożyła ręce do kieszeni džinsów, patrząc na dom; zauważyłam, że jej opuszczone ramiona wyrażają rozczarowanie. Jest to bowiem już tylko poczerniały szkielec. Dach zapadł się w kilkadziesiąt miejscach, bluszcz zarasta okna bez szyb. Naturalnie, wciąż jeszcze widać ślady dawnej świetności: imponujący portyk z czterema korynckimi kolumnami i potężne drzwi wejściowe, na tyle szerokie, że można przejechać przez nie konno, co

podobno mój pradziadek uwielbiał robić zawsze w wieczór sylwestrowy, kiedy siedząc na końskim grzbiecie w wielkiej brukowanej sieni, jednym haustem wypijał kieliszek szampana. „Za pomyślność rodu Molyneux” - mawiał. W tym wypadku nieborak zawiódł się bardzo.

Zsiadłam z konia i zrobiłam kilka kroków w stronę dziewczyny.

- Przyjechałaś obejrzeć starą ruinę, prawda? zapytałam. Obróciła się do mnie.

- Oczywiście, mam na myśli siebie, a nie dom - powiedziałam, śmiejąc się głośno ze swego żarciku. - A kim możesz być ty, która wkraczasz do mojej posiadłości?

- Do pani posiadłości?

- Oczywiście, że mojej - odparłam zniecierpliwiona. Każdy to wie. Spodziewam się, że jesteś jednakowoż obca. Nikt z okolicy nie zechciałby nawet spojrzeć na tę kupę gruzu.

Patrzyła na mnie oniemiała, a jej zdumione spojrzenie świadczyło, że dziwi ją mój wiek i dziewczęce rude loczki w połączeniu ze sfatygowanym kapeluszem z czarnego filcu, wgniecionym na czubku, moja spłowiała czerwona kurtka myśliwska, stare workowate bryczesy i elegancko wyglansowane buty.

- Jeśli szukałaś zamku Ardnava, to właśnie on - powiedziałam żywo. - A może raczej to, co z niego pozostało. Była to istna królikarnia, pięćdziesiąt dwa pokoje, po jednym na każdy tydzień roku. Piekielnie zimna - bardziej niż sama Moskwa zimą, jak zawsze mówiła moja matka. I to pomimo czterdziestu kominków pracujących pełną parą - nigdy nie pozwalano im wygasnąć, nawet gdy rodzina wyjeżdżała. Ogrzewanie tego domu przypominało zaopatrywanie statku w paliwo, a kosztowało dziesięć razy więcej.

- Pewnie chcesz się dowiedzieć, co się stało. Było to w 1922 roku, gdy my, Irlandczycy, przeżywaliśmy „trudności”, a chłopcy złożyli nam małą wizytę. Miejscowe zuchy, poznałam ich wszystkich, pomimo masek. Powiedzieli, że jest im bardzo, bardzo przykro, ale mają polecenie spalić dom. „No to do dzieła” - mówię na to ze złością. - „Pierwszy raz, odkąd go zbudowano, robi się w tym cholernym domu ciepło”.

- Miałam dopiero dwanaście lat i byłam sama, pomijając tę głupią guwernantkę, która uciekła, by schować się w oranżerii. Cała służba wiedziała oczywiście, co ma się wydarzyć, i poznikała jak senne marzenie. Chłopcy dali mi piętnaście minut na zabranie tego, co zechcę, a ja szybko się zastanawiałam. Ratować Rubensy, van Dycki, portrety rodzinne i srebra, czy perły mojej matki... wszystko bezcenne, nie do zastąpienia.

- W końcu oczywiście pobiegłam do stajni, wypuściłam konie i psy. Uwolniłam kurczaki i wypłoszyłam je daleko, za to cała reszta poszła z dymem, a ja nigdy nie żałowałam swojej decyzji ani przez chwilę. - Zaśmiałam się, przypomniawszy sobie wyraz twarzy mamusi, kiedy jej to opowiadałam. - Ale moja matka nigdy mi nie wybaczyła tych pereł.

Dziewczyna tylko patrzyła na mnie, nieśmiała i wielkooka, nie wiedząc, czy ma powiedzieć, że jej przykro ze względu na mnie, czy że jest jej miło, a ja niecierpliwie trzasnęłam szpicrutą o udo, czekając, by mi się przedstawiła.

- A więc? - zapytałam. - Kimże pani jest?

Wyprostowała się w taki sposób, jakby stała przed dyrektorką szkoły, bezwiednie wygładzając na sobie wymiętą spódniczkę z białej bawełny. Miała bujnie wijące się miedzianorude włosy i oczy w kolorze chłodnej szarości pod ciemnymi rzęsami oraz piegi - takie jak ja. Na tychmiast złagodniałam. Ona zaś rzekła:

- Jestem Shannon Keefe.

- Jesteś Keeffe, powiadasz? - Nie mogła rzec mi nic bardziej zdumiewającego i zaśmiałam się znowu, niezmiernie ubawiona tym razem. - No, no - powiedziałam. - Zawsze byłam ciekawa, kiedy się po każe któryś z bękartów Lily.

Zalała się ognistym rumieńcem zakłopotania.

- To właśnie jeden z powodów, dla których tu jestem - wykrzyknęła. - Aby dowiedzieć się czegoś o Lily. Kim ona była?

- Kim była Lily? No jakże, Lily była sławna. „Nikczemna Lily”, jak ją tu w okolicy nazywano, i może słusznie. Lily miała ten rodzaj urody, o którym długo krążą opowieści; okręcała mężczyzn wokół małego palca i siała spustoszenie, gdziekolwiek się znalazła. Rozbijała rodziny i różniła między sobą braci, siostry, kochanków, mężów i żony. A nawet dzieci. A jeśli jesteś ciekawa, Shannon Keeffe, skąd to wszystko wiem, to powiem ci, że moja matka. Ciel Molyneux, była młodszą siostrą Lily. Jej oczy rozszerzyły się z ciekawości.

- Och - szepnęła z drżeniem w głosie - a więc może mi pani wszystko o niej opowiedzieć?

- To zależy od tego, po co chcesz to wiedzieć - odparłam zrećcznie. Ostatecznie nie miałam zamiaru pokazywać szkieletów w rodzinnej szafie osobie zupełnie nieznannej. Włożyłam palce do ust i zagwizdałam, a Kessidy przykłusowała do mnie spomiędzy drzew. - Ale opowiem ci - dodałam, zwinnie wskazując na grzbiet klaczy. - Nie jesteś pierwszą osobą idącą po śladach Lily. - Ruszając w cwał podjazdem, krzyknęłam:

Jedź za mną, Shannon Keeffe, wzdłuż przecinki.

Manewrowała fiatem z tyłu za mną, alejką na lewo od podjazdu. Było to niewiele więcej niż ścieżka dla konia, tak wąska, że jeżyny groziły zdrapaniem farby z karoserii samochodu, a liście wielkich paproci prawie go zakrywały. A potem nagle drzewa się przerzedziły, paprocie rozstały się i miałyśmy przed sobą Ardnavameę.

Blask słoneczny rozświetlał strzeliste okna, ostra woń torfowego dymu unosiła się z kominów, a dalmatyńczyki w malowniczych pozach spoczywały na schodach. Drzwi, jak zwykle, były szeroko otwarte, a gdzieś dalej, na zielonych wzgórzach młody chłopiec stajenny wygrywał na swej trzcinowej fujarce płaczącą melodyjkę, co brzmiało dokładnie tak jak śpiew słowika.

Zwietrzywszy obcego, psy podniosły głowy, a potem zerwały się jak na komendę i rzuciły w naszym kierunku. Zeskoczyłam z Kessidy i klepinięciem w zad odesłałam ją do stajni, gdzie miał zająć się nią stajenny, a potem machnięciem ręki odgoniłam psy.

- Leżeć, przekłete kreatury - wrzasnęłam rozłoszczona, a one uspokoiły się, przysiadły na zadach i merdały swoimi durnymi ogonami wiedząc, że nic podobnego nie miałam na myśli.

- Skończone głupki - powiedziałam do Shannon Keeffe - ale strasz nie je lubię, mimo wszystko. Mówiąc prawdę, nie mogłabym bez nich żyć.

Dziewczyna wpatrywała się w dom z wyrazem oczarowania na twarzy, co znaczyło, że już była w nim zakochana, a ja uśmiechnęłam się, zadowolona.

- Napijmy się herbaty - zaproponowałam i gestem ręki zaprosiłam ją do środka. Jej śliczne oczy szeroko otwarły się z zachwytu, gdy rozglądała się po zagraconym holu i zakurzonych, starych pokojach, wdychając ich woń. A ja już wiedziałam, że ją lubię.

- Jest to najbardziej urzekający dom, jaki kiedykolwiek widziałam - wyraziła swój zachwyt cichym głosem, delikatnym i drżącym, tak jak by była całkowicie zawojowana. - Wydaje się żywą istotą. - Zaśmiała się. - Prawie słyhać, jak oddycha.

- To prawda - przyznałam skromnie, przepuszczając ją przed sobą do kuchni, nic bowiem

milszego nad drobne pochlebstwo, jeśli dotyczy tego, co bliskie twemu sercu.

Jestem delikatna i drobna niczym wróbelek. Niewierna Brygida zaś, zażywna i grubokoścista, wydaje się całkowitym moim przeciwieństwem. Ma okrągłą twarz o potrójnym podbródku, a jej siwe włosy rozdzielone są przedziałką - idealnie pośrodku głowy - i podpięte tuż nad uszami spinkami z białego plastiku. Jej różowy fartuch roboczy jest zwykle krótszy z tyłu o trzy cale i widać spod niego pulchne uda, gdy zaś Brygida pracuje w kuchni, zawsze nosi na niewiarygodnie małych stopach parę starych, zielonych wellingtonów. „To dla wygody”, powiada, by najmniej nie zastanawiając się, jak to wygląda.

- To jest Niewierna Brygida - powiedziałam, odsuwając na drugi koniec stołu stosy gazet, książek oraz dwa śpiące rude koty. - Brygido, przyprowadziłam Shannon Keffee, aby napiła się z nami herbaty - do dałam głośno. Stara pannica stała się ostatnimi czasy nieco głucha.

- To choć dobrze, że właśnie wyjęłam z pieca blachę placuszków - odburknęła opryskliwie. - Na drugi raz, moja pani, jeśli zaprosisz kogoś na herbatkę, zechciej mnie powiadomić nieco wcześniej, bym mogła się przygotować jak trzeba. - Mówiąc to, wzięła ogromny talerz świeżych placuszków, umieściła go z łoskotem na stole, po czym podreptała do kredensu i wyciągnęła wielki garnek dżemu.

- Świeże maliny, sama zbierałam - wyszeptałam konfidencjonalnie, gdy Brygida hałaśliwie stawiała garnek z dżemem na stole przed nami. Potem wzięła niebieską miseczkę ze śmietaną i równie hałaśliwie postawiła ją na stole obok dżemu.

- Porzeczeki jeszcze nie ostygły, będziecie musiały więc zjeść z tym - zamruczała, drepcząc z powrotem w stronę kuchni.

Wiedząc, czym można zirytować Brygidę, opowiedziałam Shannon historię przydomka „Niewierna”. Brygida rzuciła mi wściekłe spojrzenie, a ja uśmiechnęłam się szeroko.

Spychając dalmatyńczyki z krzeseł, na których siedziały nieruchomo jak posągi oczekując smakołyków, nalałam mocnej herbaty do delikatnych filiżanek z serwisu Spode.

- Proszę, to dla ciebie, Niewierna Brygido - powiedziałam kpiąco, dokładnie wiedząc, co na to odpowie.

- No, a przecież pani wie, że ja zawsze piję w dawnym kubku od golenia po pani ojcu - zaburczała, przysuwając się szybko do stołu. To istota z przyzwyczajeniami, ta moja Brygida.

Odkąd ją znam, a wy już wiecie, że znam ją od bardzo wielu lat, Brygida wydaje się w ciągłym ruchu - zupełnie tak jak ja wydaję się w ciągłym zawieszeniu: biega to tu, to tam, lekko jak bokser wagi koguciej, pomimo dużej masy ciała i starych wellingtonów.

Z ustami pełnymi ciasta, odezwałam się do Shannon:

- Oczywiście, Brygida jest starsza ode mnie. Opiekowała się mną, gdy jeszcze byłam małą dziewczynką. Teraz musi mieć już ponad sto lat.

- Nic podobnego - Brygida odparowała żywo, wymachując szerokim nożem w powietrzu ponad lepką marmoladą z czarnych porzeczek. - Jesteśmy w tym samym wieku, i pani to dobrze wiesz. Po prostu nigdy się do tego nie przyznajesz.

Nakarmiłam natrętne ryże koty i dalmatyńczyki kawałkami ciasta i zerknęłam na dziewczynę.

- Chyba wybaczysz Brygidzie - powiedziałam wielkodusznie. - Ta staruszka nigdy nie знаła swego miejsca.

Brygida naburmuszyła się, ale nic nie powiedziała, a ja uśmiechnęłam się promiennie do Shannon, myśląc, że nadeszła pora, by dowiedzieć się, co ją sprowadza. Przyglądałam się jej bacznie. Było dla mnie jasne, że jest to piękność, choć musi dopiero rozkwitnąć. Miała wspaniałe

włosy koloru miedzi, jak niegdyś ja, choć moje nigdy nie były nawet w połowie tak bujne. A co do tych cudownych szarych oczu, tak spokojnych i jasnych - wiedziałam, że pewnego dnia będą doprowadzać mężczyzn do szaleństwa. Jeśli, oczywiście, już się tak nie dzieje.

Pochyliłam się naprzód, oglądając jej piegi.

- Mam taką maść - powiedziałam półgłosem - przygotowywaną według przepisu mojej matki, we wsi po drugiej stronie Kylemore. Działa cuda z piegami. Zapewne dlatego, że robi się ją blisko opactwa świątobliwych zakonnic, jak zawsze mawiała moja matka.

- Hm! - skomentowała to głośno Brygida od strony kuchni.

- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedziałam, przysuwając się bliżej ze swym krzesłem - i opowiedz mi o sobie.

- Dobrze - rzekła z wahaniem. - Mój ojciec nazywał się Bob Keeffe. Słyszałam, jak za moimi plecami Brygida odwróciła się, by się przy słuchiwać, ale nie rzekła nic. Ja też nie. - Zastanawiałam się, czy pani go znała?

- Dlaczego miałabym go znać? - zapytałam nieufnie. Spojrzała na mnie skonfundowana.

- Bo przecież zna pani nazwisko, Keeffe. I mówiła pani, że jestem jednym z bękartów Lily!

Skinęłam głową, popijając małymi łyżkami herbatę i czekałam, by usłyszeć, co ona ma do powiedzenia, zanim zdradzę tajemnice rodziny.

- To długa historia - powiedziała z ciężkim westchnieniem - a więc przypuszczam, że najlepiej zacząć od początku.

- Miejsce równie dobre, jak każde inne - zgodziłam się, a Brygida przysunęła krzesło i już byliśmy gotowe do słuchania.

3.

Myślę, że wszystko zaczęło się trzy miesiące temu, w dzień moich dwudziestych czwartych urodzin - powiedziała Shannon. - Tego weekendu ojciec wydawał wielkie przyjęcie w naszej willi na Long Island, aby uczcić zarówno moje zaręczyny, jak i urodziny - Uśmiechnęła się wymuszonym, niewyraźnym uśmiechem, który jednak nie sięgnął jej pięknych szarych oczu. - Tak naprawdę, to były moje trzecie zaręczyny w przeciągu dwóch lat. Tatusz zapytał mnie: „Czy tym razem to się utrzyma?” - ja zaś odparłam z przekonaniem, że oczywiście, to już jest na stałe. Był taki odprężony, widząc mnie szczęśliwą, choć myślę, że Buffy, moja macocha, czuła się po prostu zadowolona, że wreszcie wypuszcza mnie spod swoich skrzydeł.

- Każdy znał „Wielkiego Boba” Keeffe - rzekła Shannon, lekko uśmiechając się z dumą. - Jego historię latami opisywano we wszystkich czasopismach, nawet jeśli on sam mówił o sobie niechętnie. Ale gdy się odniesie sukces taki, jak mój ojciec, człowiek staje się w pewnym sensie własnością publiczną i nie da się już zachować żadnych tajemnic. A przynajmniej tak właśnie myślałam.

- Nigdy nie mówił publicznie o swoim życiu osobistym, a jedynie o interesach. Był człowiekiem, który wykreował sam siebie, multimilionerem, tak że każdy chciał wiedzieć, w jaki sposób to osiągnął.

„Od łachmanów do bogactwa - to właśnie ja” - mówił im w takim wypadku, lecz to było wszystko, co miał do powiedzenia.

- Mówiono, że zajmuje się nieruchomościami, ale on się tylko z tego śmiał. Sam siebie nazywał „budowniczym” i zawsze pragnął budować coś większego niż inni. Jego wieżowce górują nad horyzontem tuzina amerykańskich miast, on zaś wznosił budynki swoich marzeń,

studwudziestopięciopiętrową Wieżę Keffe na Park Avenue, zaprojektowaną przez I. M. Pei.

- Ludziom wydawało się dziwne, że nigdy nie mówił o swojej przeszłości; drwili z niego i powiadali, że na pewno wstydzi się lat spędzonych w sierocińcu. Nie była to jednak prawda; nigdy nie bał się przyznać do tego, że kiedyś żył w ubóstwie.

- Czasami, gdy widziałam go w telewizji, rozprawiającego o swoich projektach, ogarniało mnie zdumienie, jak bardzo był przystojny. W mediach opisywano go jako „krzepkiego, srebrzystowłosego sześćdziesięciolatka, który umie sprawić, by drobne zniknęły z kieszeni żebraka, a odzienie - z pięknych kobiet”. - Shannon uśmiechnęła się boleśnie na jego wspomnienie. - myślę, że mogli mieć rację. Miał przenikliwe jasno niebieskie oczy i gęstą srebrną czuprynę, która kiedyś musiała być tak czarna, jak zdarza się to tylko u prawdziwych „czarnych Irlandczyków” - i zawsze nieskazitelnie się ubierał. Jednakże jego ręce zdradzały człowieka pracującego fizycznie: duże i silne. Powiadał, że to jego dziedzictwo, i że pochodzi od ludzi nawykłych do ciężkiej pracy, którzy przez całe wieki uprawiali kamieniste irlandzkie pola.

Westchnęła, pogrążona we wspomnieniach. Tyle opowieści krążyło na jego temat, również straszne pogłoski o jego zdradach małżeńskich; jestem jednak pewna, że nie zdarzyło się ich znów tak wiele, a przy tym wiem, że zawsze starał się być dyskretny, ze względu na mnie. Myślę, że ze względu na Buffy też. I wiem to na pewno, że nigdy nie zapomniał, co się czuje, gdy jest się biednym i samotnym; wydał mnóstwo pieniędzy na cele dobroczynne, robiąc to zawsze anonimowo, ponieważ nie znosił rozgłosu. Ale sława - i niesława - jakby same go szukały.

Wszystkie czasopisma ilustrowane i wszystkie gazety w Stanach zamieściły już kiedyś opowieść o tym, jak Robert Keffe rozpoczął życie jako ubogi chłopiec, sierota, który musiał pracować przez całe lata na placach budowy w Bostonie, by opłacić swoje studia w MIT - Instytucie Technologu Massachusetts. I jak, mając wreszcie w kieszeni dyplom inżyniera, poślubił Mellę, irlandzką dziewczynę z Limeryku. Mówiło się, że była to subtelna piękność, wiotka i rudowłosa - miłość jego życia, a przy tym równie samotna jak on.

Znalazł stałą posadę jako inżynier budowlany, po czym kupili mały domek na przedmieściach Bostonu. Rok później, gdy na świat przyszła Shannon, czuł, że życie nie mogłoby mu dać już nic więcej. Byli szczęśliwi.

Potem wszystko się rozpadło. Mella zachorowała na raka, który rozwijał się niepostrzeżenie do chwili, gdy okazało się, że już jest za późno. Zmarła, kiedy Shannon miała dwa latka. Bob siedział w domu, upijając się co noc na umór, sam na sam ze swoim nieszczęściem, podczas gdy strapieni sąsiedzi opiekowali się dzieckiem.

Po miesiącu, jak potem opowiadał, smutek zmienił się w gniew na cały świat, który istniał dalej bez jego ukochanej Melli, a jeszcze później gniew przeszedł we wściekłość na samego siebie za to, że nie był w stanie jej pomóc. Przestał pić, a swoje zawiedzione nadzieje i wściekłość utopił w pracy. Dziecko pozostawił w rękach życzliwej sąsiadki, a sam wypełniał pracą cały boży dzień - teraz pochłaniała go wyłącznie ślepa ambicja.

Powiadał, że miał szczęście: zawsze bowiem okazywał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i we właściwym momencie. Szybko udało mu się osiągnąć sukces, lecz to go bynajmniej nie zadowoliło. Pożyczył ogromne sumy od bankierów, na których zrobił wrażenie i których oczarował swoją wymową, oddaniem się pracy, wiedzą o tym, czym się zajmował, jak również przezornością. Tak to w ciągu czterech lat przekształcił swą małą Finnę w wielkie przedsięwzięcie. Mówiono, że był człowiekiem, który wie, co robi i czego chce. Banki bardzo

szybko odkryły zalety człowieka sukcesu. Dawano mu to, o co prosił, nigdy nie mając powodu, by tego żałować, ponieważ Wielki Bob Keffe nie zawiódł nikogo.

Gdy Shannon miała sześć lat, kupił apartament przy Park Avenue w Nowym Jorku i zatrudnił wziętego dekoratora do urządzenia wnętrza. Umieścił w domu gosposię i nianię, a Shannon zapisał do szkoły przy klasztorze urszulanek. Mówiło się, że z wdzięczności za swą pomyślność Bob ofiarował swe usługi i część pieniędzy na różne cele charytatywne, a potem zaczęto go widywać na najbardziej eleganckich przyjęciach w mieście.

Barbarę van Huyton - zwaną Buffy - spotkał już na pierwszym przyjęciu. Była wysoka i smukła w sukni z czarnego aksamitu, z doskonale ostrzyżonymi blond włosami do ramion, z nosem, który jakby wyszedł spod dłuta rzeźbiarza i śmiałymi hiacyntowymi oczami. Jej rodzina nosiła znane nazwisko, lecz nie miała pieniędzy. Buffy ucieleśniała wyobrażenia Boba o idealnej dziewczynie z wyższych sfer. W sześć miesięcy później poślubił ją.

Przyjaciele Buffy orzekli, że wychodząc za niego, wymienia swoją pozycję społeczną na pieniądze. I mieli rację. Bob ofiarował jej kontrakt ślubny na milion dolarów, a do tego milion za każdy rok ich małżeństwa, wpłacany na jej konto w kolejną rocznicę ślubu. Była równie opanowana, jak jej mąż impulsywny, równie oziębła, jak on namiętny, tak że - jak głosiła plotka - już w pierwszym roku małżeństwa wziął sobie kochankę. A potem mówiło się, że ta była tylko pierwszą z wielu.

- Wiedziałam o ostatniej kochance ojca, Joannie Belmont, choć przy puszczać, że bardzo niewiele osób słyszało o niej, pomijając Buffy, która ze zwykłej interesowności nie chciała o niczym słyszeć. Buffy po prostu chroniła swój kapitał - dodała Shannon z goryczą. - Najwidoczniej nie mogła uważać Joanny za poważne zagrożenie. Przypuszczalnie myślała, że jest to tylko jakaś aktoreczka. Przynajmniej przedtem była ona aktorką, ponieważ wiem na pewno, że od chwili poznania mojego ojca Joanna nie pracowała. Wiecie, ona jest piękna. Ma trzydzieści pięć lat, na obcasach chyba ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, jasne włosy. Przypuszczam, że powiedziałybyście, iż jest wspaniała. Teatralne notki na jej temat powiadały, że ma uśmiech Doris Day, figurę młodej Ginger Rogers, a nogi Shirley MacLaine. Myślę, że tato nie potrafił sobie odmówić przyjemności spotkania się z nią. A możliwe, że Joannie naprawdę zależało na nim, ponieważ przy jej żywym temperamencie musiało jej być niełatwo zachować tajemnicę. - Wzruszyła ze znużeniem ramionami. - W każdym razie tak miały się rzeczy w czasie tego wieczornego przyjęcia.

4.

Long Island, Nowy Jork

Noc była ciepła i parna. Suta kolacja - kawior z jajecznicą, homar z Maine, malmowoczekoladowe markizy, dobry rocznik szampana wszystko zostało już pochłonięte przez cztery setki gości, zgromadzonych pod drzewami w świetle lampionów i na długim tarasie, skąd widać było odległe jezioro. Teraz zaś tańczono pod okazałym i szykownym namiotem z zielono-białego jedwabiu. Jego falujące poły podwiązano, by można było schwytać każdy powiew wiatru, a elegancko ubrane kobiety przechadzały się po trawnikach, ochładzając się chińskimi papierowymi wachlarzami na długich rączkach, w które zaopatrzyła je Buffy, przewidując upał. Przygotowała również na wypadek deszczu parasole, a nad ścieżkami kazała rozwiesić osłony. Buffy była kobietą, która nie zostawiała miejsca na przypadek, i Shannon myślała, że jej macocha sprawdziłaby się jako prawnik od spraw korporacji. Buffy nie pochwałała jednak pomysłu kabaretu, który właśnie miał się rozpocząć. Ojciec natomiast upierał się przy tym, pomimo wszystkich jej protestów.

- To takie irlandzkie - narzekala.

- Przecież, na miłość boską, jestem Irlandczykiem - zagrzmał. - Shannon jest Mandką, mimo wszystkich twoich wysiłków, żeby ją stłamsić. - I nie namyślając się dłużej, zamówił tradycyjną kapelę irlandzką oraz zespół irlandzkich tancerzy i pieśniarzy, by nauczili gości tańczyć gigę.

Torując sobie drogę przez rozbawiony tłum tancerzy, Bob Keeffe chwycił córkę za rękę i powiódł ją na podium. Gdy uciszył ruchem ręki kapelę, jego potężny głos zagrzmał wokół trawników, mimo iż nie korzystał z mikrofonu.

- Panie i panowie, moi przyjaciele - zawołał i młodzi ludzie spojrzeli posłusznie w jego stronę, a ci, co krążyli na zewnątrz namiotu, od wrócili się, by posłuchać.

- Jak wiecie, jest to przyjęcie na cześć urodzin Shannon - powiedział. - Ale ci ludzie są tu na cześć jej irlandzkich rudych włosów i roześmianych irlandzkich oczu. - Pośród śmiechu chwycił mikrofon i zapowiedział; - Panie i panowie, będą dla was grały skrzypce, flety i akordeon, a ci uroczy młodzi ludzie - tu machnął ręką w stronę stojących za nim tancerzy - pokażą wam, jak naprawdę się tańczy.

Muzyka zabrzmiała, a Bob objął ramieniem Shannon i dziarsko obrócił ją dokoła. Wciągu paru minut mnóstwo par szalało na parkiecie w podskokach, a goście zebrani na zewnątrz, na trawnikach, podążyli z powrotem do namiotu, przyciągani magnesem tak odmiennej muzyki.

Potem, gdy Shannon tańczyła już ze swym narzeczonym, zauważyła, że ojciec sam jeden zmierza na skraj namiotu. Oparty o żerdki, z jedną ręką w kieszeni białej wieczorowej marynarki o nienagannym kroju, przyglądał się stamtąd tańczącym. Shannon pomyślała, jak dziwnie samotny wydaje się ten człowiek, który ma tylu przyjaciół.

Również Buffy patrzyła na niego. Rzuciła mu to swoje chłodne „spojrzenie Buffy”, a Shannon wiedziała już, o czym ona myśli. Umiała czytać w myślach swojej macochy jak w otwartej książce. Tylko dwie rzeczy stale zaprzętały jej głowę. Pieniądze i pozycja.

Buffy nienawidziła życia w ubóstwie. W wieku dwudziestu lat postanowiła, że poślubi pieniądze. Wiedziała, że potrzeba jej „impresaria”, człowieka New Age - Nowych Czasów, który doszedł do pieniędzy tak, jakby to on sam je wynalazł. Takiego kogoś znalazła w Bobie Keeffe.

Miała dwadzieścia sześć lat, a Bob skończył czterdzieści. Ślub odbył się z przepychem, w obecności całej rodziny i licznych przyjaciół panny młodej oraz z jego ośmioletnią córeczką Shannon w roli drużny. Z nazwiska oKeeffe dyskretnie usunięto literkę O, tak więc ona stała się Buffy Keeffe, a Shannon jej pasierbicą. Buffy okazała się doskonałą panią domu; znała każdego, z kim warto być po imieniu, a przy tym olśniewała urodą. A przecież wiedziała, że nim jeszcze upłynął rok od ślubu, jej mąż wziął sobie kochankę i że od tamtej pory pojawiły się też inne. Mimo to Buffy i Wielki Bob Keeffe pozostali legendą życia towarzyskiego, najbardziej wytworną parą w Nowym Jorku i w Palm Beach.

Shannon uwolniła się z ramion Wila Davenporta. Śmiejąc się rzekła:

- Daj mi odpocząć, Will. Brak mi już tchu. Potrzebuję wody i świeżego powietrza.

- Dam ci jedno i drugie - odpowiedział szarmancko, odprowadzając ją na zewnątrz, na trawnik, po czym odszedł w poszukiwaniu szklanki wody.

Shannon uśmiechnęła się, patrząc za nim. Mijały już trzy miesiące, odkąd go poznała - i nie mogła się doczekać, by resztę życia spędzić razem z nim. Był wysoki i smagły - i tak przystojny, jak każdy młody człowiek może sobie tego życzyć. Wydawał się przy tym romantyczny - przysyłał jej kwiaty przez cały czas. Zabiegał o nią słowami i drobnymi upominkami. Nie był zbyt zamożny, jak sam

powiedział pod wrażeniem bogactwa jej ojca, ale ona wiedziała, że jest to bez znaczenia; przecież ojciec też nie był bogaty, gdy zaczynał karierę.

Nie pamiętała swojej matki, pamiętała za to, jak ojciec brał ślub z Buffy i pamiętała siebie samą jako drużkę, odzianą w cytrynowożółtą jedwabną taftę, tak sztywną, że aż trzeszczało, gdy szła środkiem nawy kościoła. Stała więc potem nieruchomo jak posąg, bojąc się drgnąć, by szelest jej sukni nie zagłuszył świętych słów. A potem Buffy po prostu zawładnęła ich życiem.

Jedenastoletnia Shannon była za wysoka na swój wiek, chuda jak dziki królik, z burzą ognistorudych włosów. Miała piegi, których nie znosiła, i zęby tak wystające, iż stało się dla niej jasne, że jest skazana na noszenie aparatu przez całe lata. A jej guzowate kolana sterczały spod tych Ohydnie krótkich, słodkich sukieneczek, w które lubiła ubierać ją Buffy, tak że wyglądała wypisz wymaluj jak Pippi Pończoszanka. Miała ogromne oczy, ciepłoszare w ciemnej oprawie i bezceremonialny sposób bycia, którym pokrywała swą niepewność. Jej twarz o wystających kościach policzkowych i regularnych rysach szpecił tylko nos lekko załamany od czasu, gdy mając osiem lat spadła z kucyka; macocha po wtarzała, że ten defekt należałoby skorygować w przyszłości.

Buffy pilnowała, by Shannon uczęszczała do właściwych szkół i za wierała odpowiednie przyjaźnie, oraz by chodziła na przyjęcia z dziećmi „takimi jak ona”, ale tak naprawdę obydwie miały ze sobą niewiele wspólnego, z wyjątkiem Boba.

Dzieciństwo wydawało się jej całkiem szczęśliwe, gdyż była oczkiem w głowie ojca. Ale choć Bob Keefe ją uwielbiał, nie poświęcał zbyt wiele uwagi swej córce - zbyt zajęty robieniem pieniędzy. Mimo to zawsze pilnował, by się pojawić przy ważnych okazjach i był dumny ze swojej jedynaczki.

- Stać cię na wszystko, maleńka - mówił wówczas z zachwytem. - Możesz zostać kim tylko zechcesz, tak jak twój tatuś. Ale pamiętaj, moje małe kochanie: musisz dążyć do celu i musisz chcieć go osiągnąć na prawdę ze wszystkich sił. Na tym polega różnica między nami Irlandczykami a tymi zasiedzającymi bogaczami. Oni przybyli tu na „Mayflower”, a my na tych statkach-trumnach. A tylko popatrz na nas teraz. - I śmiał się gromko na myśl o swojej wysokiej pozycji, o tym jak wiele może, i jest bogatszy niż ci mężczyźni wokół niego, a żonę ma równie snobistyczną jak ich żony, córkę zaś hojnie obdarza swą miłością i pieniędzmi.

A jednak, rzecz osobliwa, ilekroć zapytała: „Ale kim są nasi irlandzcy przodkowie, tatusiu? Dlaczego nie mamy żadnych cioc ani wujków?” „nabierał wody w usta i mówił, by sobie tym nie zaprzętała głowy, i że może opowie jej, gdy będzie starsza. A potem pośpiesznie zabierał ją na herbatę do jakiegoś eleganckiego hotelu.

Shannon dorastała odizolowana od „rzeczywistego świata” dzięki pieniądзом i eleganckim szkołom prywatnym. Lato spędzała w towarzystwie dorosłych nudziarzy na jachtach na Morzu Śródziemnym, a ferie zimowe - nudząc się w jeszcze większym towarzystwie dorosłych na Barbados. Najmilszym okresem w roku był pobyt na obozie letnim z innymi dziewczynkami, kiedy to przez kilka tygodni wszystkie razem szalały i rozprawiały o chłopakach.

W miarę upływu lat zęby Shannon wyrównały się, kolana zaokrągliły, kończyny wydłużyły i nabrały kształtu, a ciało stało się gibkie, nadal nic sobie nie robiła z zaleceń Buffy, by zrobić coś z rozbitym na kucyku nosem. Zaokrągliła się tam, gdzie trzeba i wyszczuplała tam, gdzie należało. Jednak jej włosy wciąż pozostawały płomiennoczerwone, a piegi nadal stanowiły zmorenę jej życia, oczy zaś - i to wprawiało ją w zakłopotanie - były naprawdę zwierciadłem jej duszy: szare jak głębokie jezioro, odbijały wszystkie emocje. Wiedziała, że nie jest w stanie ukryć swoich uczuć:

natychmiast pojawiały się w jej oczach, czytelne dla każdego.

Miała czternaście lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyła ojca z kochanką. Wraz z dwiema dziewczynami wymknęły się wtedy na węgry ze swej szkoły w Bostonie; poszły na zakupy, a potem na herbatę do hotelu Ritz-Carlton. Był tam z piękną kobietą o dziewczęcym wyglądzie, ciemnych włosach i jasnej cerze. Pod stolikiem trzymał jej dłoń. Shannon poczuła na policzkach gorący rumieniec wstydu. Nie zauważyli dziewczynki, tak byli pochłonięci sobą. Gdy na nich patrzyła, ojciec delikatnie przesunął palcem po krzywiznie policzka i dotknął pełnych warg kobiety, a ona ucałowała jego dłoń, przytrzymując ją przez krótką chwilę. Shannon odwróciła się i wybiegła razem z przyjaciółkami. „To normalne” - mówiły, po ciesząc dziewczynkę. - „Wszyscy mężczyźni to robią!”.

Po jakimś czasie ojciec zauważył, że coś jest nie tak, skoro nie chciała patrzeć mu prosto w oczy - aż wreszcie opowiedziała mu, co zobaczyła. Gniewny, przechadzał się tam i z powrotem po dywanie Aubusson w bibliotece apartamentu przy Piątej Alei.

Wreszcie spojrzał na nią błagalnie.

- Miałem zamiar powiedzieć, że jesteś za młoda, żeby zrozumieć te rzeczy, ale najwyraźniej tak nie jest. Pojęłaś to, co widziałas. - Wzruszył ramionami. Nie proszę cię o wybaczenie, bo jesteś moją córką, a nie żoną. I nie mogę powiedzieć ci, że to jest w porządku, bo nie jest. Jedyne co mogę zrobić, to prosić cię, żebyś starała się o tym zapomnieć - i mieć nadzieję, że któregoś dnia, gdy będziesz starsza i rozumniejsza, wybaczysz mi. I zapamiętaj to sobie, córko: nigdy nie ufaj mężczyznom.

Potem, podczas przyjęcia urodzinowego, gdy znowu tańczyła z Wilem, zobaczyła, że ojciec opuszcza swoje samotne miejsce. Ich spojrzenia spotkały się, a rysujący się między brwiami Boba grymas znużenia zniknął w miarę, jak zbliżał się ku niej wśród grupki roześmianych gości.

- A może jeden taniec dla starego taty? - zapytał. Jego oczy były pełne miłości, gdy wziął ją w ramiona, lekką i delikatną jak powiew wiatru.

- Dziękuję ci, tatusiu, za cudowne przyjęcie - zamruczała Shannon z głową opartą na jego piersi. Westchnął melancholijnie.

- Zawsze pragnąłem dla ciebie wszystkiego, co najlepsze, już od dnia twego przyjścia na świat. - Zawahał się, po czym powiedział ze smutkiem:

- Wiem, że za mało byliśmy razem, kiedy rosłaś. - Poruszył bez radnie swoimi potężnymi ramionami. - Tyle straciłem. Zawsze zbyt wiele pracowałem, w pogoni za marzeniami. Ale potrzebowałem tego, Shannon. Najpierw po to, by nadać jakiś sens naszemu życiu po śmierci twojej matki, a potem dla samej roboty. Lubiłem moją pracę, emocjonowało mnie zarabianie pieniędzy, choć czasami robiłem to twoim kosztem. Uścisnęła go, pełna szczęścia.

- Nie, tatusiu, naprawdę nie. Zawsze byłeś przy mnie w ważnych chwilach. Czy pamiętasz, jak spadłam z kucyka i miałam wstrząs mózgu? Gdy otworzyłam oczy w szpitalu, trzymałeś mnie za rękę. Albo gdy tak okropnie śpiewałam i tańczyłam podczas szkolnego przedstawienia? Siedziałeś w pierwszym rzędzie i klaskałeś jak szalony. No i zawsze w poranki Bożego Narodzenia, i w czasie tych nudnych wakacji z dorosłymi...

Wykrzywił twarz w grymasie, a ona się zaśmiała.

- I będziesz przy mnie, by poprowadzić mnie przez kościół. - Wzruszona oparła głowę na jego szerokim ramieniu, wyczuwając policzkiem gładkość marynarki. Wtulona w ramiona ojca zawsze czuła się bezpieczna.

Ktoś dotknął dyskretnie jego ramienia. Przystojny młody człowiek uśmiechnął się szeroko do niego i powiedział:

- Nie może pan jej zagarniać dla siebie przez całą noc, panie Keeffe. Niech pan da trochę przyjemności innym facetom, dobrze?

Bob odstąpił, patrząc przez chwilę, jak młody człowiek zabiera Shannon ze sobą, a potem skierował się w stronę namiotu. Spojrzał na swą młodą córkę, tak szczęśliwą, tak beztroską, tak swobodną; jej krótka spódniczka wirowała, a długie włosy powiewały niczym jaskrawy, nieustraszony, miedzianoczerwony proporzec. Następnie odwrócił się i zostawiając za sobą beztroską atmosferę - samotny i nie zauważony podążył ku miejscu, gdzie skraj aksamitnego nocnego nieba stykał się ze srebrem jeziora.

5.

Nazajutrz rano, kiedy Shannon przechodziła ze snu do stanu świadomości, wyciągnęła ramiona nad głowę jak leniwy kot i przeczesła rękami potargane miedzianorude włosy, uśmiechając się na wspomnienie minionego wieczoru. Chciałaby móc przeżyć to przyjęcie jeszcze raz od nowa.

Zaśmiała się, przypominając sobie, jak wszyscy tańczyli irlandzkie reelsy w swych szykownych strojach, a mężczyźni zrzucali wieczorowe marynarki, w miarę jak muzyka stawała się coraz szybsza, a im było coraz goręcej. Gaszono pragnienie mrożonym szampanem i tańczono aż do świtu, choć „staruszkowie” - jak ich nazwali ze śmiechem jej przyjaciele - dawno już udali się do łóżek.

Opadła znów na poduszki, myśląc o swoim nowym narzeczonym, Wilu - o najmiłszym, najprzystojniejszym, najbardziej czarującym młodym mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek знаła. Oczywiście z wyjątkiem jej ojca, ponieważ Wielki Bob Keeffe był poza wszelką konkurencją, tam, gdzie chodziło o urok, aparycję i uprzejmość.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak kroczy środkiem kościelnej nawy wsparta na ramieniu ojca, w chmurce białego jedwabiu i koronek, a Will czeka na nią przy ołtarzu z oczyma pełnymi miłości - i westchnęła słodko ukojona.

Narzuciła szlafroczek i powoli zeszła na dół, z radosnym poczuciem błogostanu. Służba pracowała przez całą noc i ogromny dom był już nienagannie wysprzątnięty. Na stołach i kredensach stały świeże wiązanki kwiatów i nie został nawet ślad dymu papierosowego z ostatniej nocy. Nikt by się nie domyślił, że w ogóle wydawano tu jakieś przyjęcie, gdyby nie namiot w zielono-białe pasy, wciąż jeszcze stojący na trawniku.

Świeżo zaparzona kawa bulgotała w ekspresie ustawionym na marmurowej konsoli w jadalni, Shannon napełniła więc sobie filiżankę, do sypując z miną winowajcy łyżeczkę cukru i z błogością popijała małymi łydkami. Przez okno dostrzegła Wila na korcie tenisowym. Domyślając się, że gra z miejscowym instruktorem, mruknęła pełna podziwu dla jego formy.

Wypiwszy kawę, przeszła dużymi krokami przez hol do gabinetu ojca i zapukała do drzwi. Nie było odpowiedzi, zajrzała więc do środka. Gabinet różnił się od całej reszty domu: mały i zagracony. Shannon uśmiechnęła się, bo gabinet ojca odzwierciedlał jego osobowość.

Boba Keeffe w żaden sposób nie można by nazwać schludnym; jego rzeczy potrafiły się znaleźć w każdym dowolnym miejscu. Staroświeckie biurko z żaluzjowym zamknięciem było grubo pokryte papierami, regały pękały od planów architektonicznych, na stole piętrzyły się rysunki, a na dwóch sfatygowanych fotelach obitych czerwoną skórą leżały stosy kartotek. Na ścianach wisiały dwa spośród najbardziej cenionych przez Boba obrazów z jego kolekcji mistrzów irlandzkich. Portret kobiety o jasnej karnacji i rudych włosach, odzianej w różowy atlas, która - jak mówił -

przypominała mu jego pierwszą żonę, namalował go Orpen w pierwszym okresie swej twórczości. Drugi - to surowy pejzaż Yeatsa.

Na biurku stała tania ramka wypełniona wieloma fotografiami Shannon z różnych okresów jej życia, a na ścianie wisiało to, o czym mawiał, że stanowi największy jego skarb i osiągnięcie: oprawiony w ramy dyplom ukończenia Harvardu przez Shannon. „Już wiem, że nie umrzesz z głodu” - powiedział jej ze śmiechem, gdy hucznie świętowali w restauracji Lock Obers po ceremonii wręczenia dyplomów. - „Rozum równy urodzie - oto moja dziewczyna”.

Zadzwoił telefon, niwecząc błogą ciszę, a Shannon odebrała go już po pierwszym sygnale. Był to wspólnik ojca, Brad Jeffries, w którego głosie zabrzmiało zaskoczenie, że to ona odpowiada.

- Dzwonię tylko, żeby podziękować - powiedział szybko. - Wspaniałe przyjęcie, Shannon.

Shannon знаła Brada, odkąd sięgała pamięcią. I on, i jego żona byli na przyjęciu ubiegłej nocy, choć nie zauważyła, by tańczyli reela, a teraz przyszło jej do głowy, że żadne z nich nie bawiło się chyba dobrze.

Drugi wspólnik jej ojca, przystojny Jack Wexler, również był na przyjęciu, z najpopularniejszą nowojorską modelką u boku, ale pomyślała, że i on niezbyt dużo tańczył.

Nagryzmoła krótką notatkę dla ojca, prosząc go o telefon do Brada, dodała „Kocham cię, tato i dziękuję”, po czym podpisała zamasyście swoim imieniem. Następnie zaczęła szukać macochy.

Ale sypialnia Buffy o ścianach pokrytych nową tapetą z błękitno-białym ornamentem gałązek i o udrapowanych zasłonach z błękitnej tafty była pusta. Nie zastała też nikogo w gotowalni z rzędami gustownych szafek ani w łazience o jasnej boazerii. Gdy wreszcie spotkała po kojówkę, ta powiedziała jej, że macocha pojechała wcześniej do miasta.

Shannon wróciła do swojego pokoju, włożyła kostium kąpielowy i szorty, po czym wyszła na kort, by zobaczyć się z Wilem.

Spojrzała zdumiona, kto z nim gra. To nie był instruktor, lecz Jonas Brennan. Przepraszam, poprawiła się z szerokim uśmiechem; chciała powiedzieć: Jonas K. Brennan.

Jonas K. Brennan był protegowanym jej ojca. Bob Keefe wprowadził go do biznesu niemal wprost z jakiegoś prowincjonalnego college'u na południu kraju. Młody Jonas pojawił się w jego biurze, ściskając kurczowo swój dyplom i króciutkie curriculum vitae - i przychodził tak przez trzy dni, aż zirytowana sekretarka postraszyła chłopaka, że wezwie policję.

- Nie wyjdę, dopóki nie zobaczę się z panem Keefe - twierdził z uporem i było jasne, że mówi poważnie.

W końcu, podziwiając wytrwałość młodego człowieka, Bob przyjął go. Przejrzał papiery i dyplom, po czym z pogardą rzucił je na biurko.

- Masz naprawdę tupet, żeby przychodzić do mnie z czymś takim - powiedział.

- Psiakrew, nie miałem wyboru, sir - odparował gniewnie młody człowiek. - Tam się wychowałem. Wiem, że to dziura zabita deskami i taki też ma college. Dziadkowie byli drobnymi dzierżawcami, ojciec pijakiem, a matka sprzedawała piwo w tamtejszej knajpie - i siebie samą na boku, kiedy tylko zdarzała się sposobność. Jaki inny college mogłem skończyć? Ale to nie jest miernikiem moich zdolności.

Jonas był średniego wzrostu, krępy i silny, o przyglądzonych brązowych włosach i niespokojnych, gniewnych, piwnych oczach, patrzących zza okularów w złotych oprawkach. Bob przyglądał mu się badawczo, milcząc. Przypominał sobie, jaki on był w tym wieku: biedny, pełen pasji i przekory. Nie różnił się od tego chłopca.

To zdarzyło się dziesięć lat temu. Teraz Jonas Brennan miał trzydzieści dwa lata i wiedział wszystko o interesach Keeffea. Został prawą ręką Boba i Keeffe byłby skłonny powierzyć mu własne życie.

Ale nie Shannon; śmiała się, kiedy Brennan niezgrabnie począł się do niej zalecać. „Nie mogłabym nigdy umówić się na randkę z kimś, kto nazywa się Jonas” - docięła mu i, ku jej przerażeniu, Jonas oblał się rumieńcem, zanim czym prędzej się oddalił. Odtąd już zachowywał się z rezerwą, a ona wstydziła się swego małostkowego okrucieństwa i schodziła mu z drogi, by czuł się swobodnie, ilekroć krzyżowały się ich ścieżki. Istniał jednak między nimi dystans; zawsze tak było i zawsze pozostanie. On miał swoje miejsce, a ona swoje, przy czym różnili się od siebie jak dzień od nocy.

Na niebie wisały szare chmury, a wilgotne powietrze zastygło w bez ruchu; Will i Jonas zlni byli potem.

- Cześć, Jonas - zawołała, gdy Will przechylił się nad siatką i pocałował ją w policzek. - Wy, chłopcy, musicie się czuć całkiem nieźle dziś rano.

- Tak dobrze, jak należało oczekiwać - odparł poważnie Jonas, a ona roześmiała się. Brennan zawsze brał wszystko dosłownie.

- Chodźmy popływać w jeziorze - powiedziała do Willa. - Tam może być przewiew. Zobaczysz, ochłodzi cię. Odwróciła się z uśmiechem do Jonasa. - Oczywiście, ty też chodź.

Wzruszył ramionami, a na jego gładko wygolonej twarzy pojawił się rumieniec.

- Dziękuję, ale sądzę, że macie sobie dużo do powiedzenia. W końcu nie widzieliście się od co najmniej kilku godzin. - Obrócił się energicznie i ruszył w stronę domu. Shannon westchnęła.

- Dlaczego ten człowiek jest zawsze tak cholernie trudny? - powiedziała z irytacją. - Sprawia, że każdy czuje się nieswojo. Każdy z wyjątkiem mego taty.

- Ale to zdolny sukinsyn - odrzekł Will, ściągając koszulkę. - No chodź, zanurzymy się wreszcie w jeziorze. Na pewno mi się to przyda.

Nad jezioro schodziło się platanową aleją, która stanoWiła dumę i radość Boba Keeffea, jako że przypominała mu Prowansję i pejzaż van Gogha wiszący w jego biurze w Centrum Keeffea na Manhattanie.

„Świat rozjaśnia się w moich oczach, kiedy tylko spojrzę na ten obraz”, powiedział kiedyś do Shannon. „Jego reprodukcję przypiąłem na ścianie swego pokoju w collegeu. Nigdy nie marzyłem, że kiedykolwiek kupię to dzieło. Myślałem jedynie, że może któregoś dnia uda mi się je zobaczyć w muzeum. A teraz wisi na ścianie mojego biura. Tak właśnie rozumiem sukces, córko. To możliwość urzeczywistnienia swoich marzeń”.

Ale tego dnia wilgoć przyciągała chmury muszek i komarów, więc Will i Shannon, zanosząc się śmiechem, pobiegli wzdłuż cienistej alei, wymachując jak szaleni rękami nad głową.

- Spójrz - wykrzyknęła Shannon, patrząc badawczo na ozdobny drewniany taras widokowy nad wodą, ciągnący się na pięćdziesiąt metrów wzdłuż brzegu. - Ktoś tam jest. Przez cały czas w swej wieczorowej marynarce. - Zaśmiała się. - Zastanawiam się, czy w ogóle wstępował do domu.

Podążyli, trzymając się za ręce do tarasu, chichocząc jak dzieci na myśl o swym odkryciu. Podeszli bliżej - i ujrzeli siwe włosy oraz szerokie ramiona, a Shannon przez moment wpatrywała się zaintrygowana. Potem, zaniepokojona, podbiegła do tarasu, zatrzymując się zniemacka na jego stopniach i kurczowo chwytając drewnianej balustrady. Uniosła rękę do ust, by stłumić krzyk, który jednak nie wydobył się z gardła. Oczy zaokrągliły się z przerażenia, a wokół niej zawirowała

ciemność. Na podłodze leżał rewolwer. Biała wieczorowa marynarka ojca cała była we krwi, a jego mózg - przeszyty kulą. Bob Keffe nie żył.

6.

Niewielka sala miejscowego sądu, gdzie tydzień później przeprowadzano dochodzenie, była ciasno wypełniona dziennikarzami. Kamery TV zostały wprawdzie na zewnątrz, lecz Buffy, piękna i pobladła w swym czarnym kostiumie i czarnym kapeluszu z wielkim rondem, i tak odwracała twarz. A Shannon, w czarnej lnianej bluzce i spódnicy, w ciemnych okularach, które założyła, by osłonić zaczerwienione od łez oczy, dygotała, kiedy koroner omawiał okoliczności śmierci ojca i obrażenia, jakich doznał.

Koroner stwierdził, że gwiazdzista rana w miejscu wlotu kuli została spowodowana przez podmuch gazu z lufy, co świadczy o tym, że broń trzymano bezpośrednio przy głowie. Biorąc pod uwagę kłopoty zmarłego w interesach, koroner mógł tylko dojść do wniosku, że Robert Keffe zabił się sam. Stwierdził więc samobójstwo.

- To nieprawda! - krzyknęła Shannon rozpaczliwie. To po prostu nieprawda! Mój ojciec nigdy nie odebrałby sobie życia. Nigdy, przenigdy! Pan tego nie rozumie... pan nie zna go tak, jak ja. On przecież... on by mnie tak nie zostawił!

Buffy położyła dłoń na jej ramieniu. - Spokojnie, Shannon - szepnęła chłodno. - Ten człowiek tylko wykonuje swoją pracę. Ty natomiast do starczasz reporterom kolejnej pożywki dla ich plotkarskich szmatławców.

Jej hiacyntowy wzrok nakazał Shannon podążać za nią, gdy wyniośle opuszczała salę, nie rzuciwszy okiem w lewo ani w prawo. Buffy twarz miała chłodną i spokojną, lecz wewnątrz wrzała ze złości na Boba Keffea za to, że naraził jej dobre imię na szwank, rzucił na pastwę brukowców i zostawił ją samą z tym bagnem. Bo nie ulegało wątpliwości, że jest to bagno.

Prawda zaczęła wychodzić na jaw już nazajutrz po jego śmierci. Mowa była o trudnościach, z jakimi borykał się w interesach. Podobno banki chciały wycofać swoje ogromne pożyczki; mówiło się o zajęciu mienia Keffea; nastąpiło załamanie na rynku nieruchomości; stracono zaufanie do jego przedsięwzięć. ROZRÓSŁ SIĘ BARDZIEJ, NIŻ BYŁO TO DLA NIEGO DOBRE - głosiły gazety.

Bob Keffe został pochowany nazajutrz po śledztwie. Buffy w roli wdowy wypadła wspaniale: stała nad grobem piękna, w czarnej woalce. Dzień był ponury, ociekający wilgocią - i Shannon myślała z rozpaczą, że nawet Bóg opuścił jej ojca w tych ostatnich chwilach. Podobnie jak salę sądową, tak i cmentarz wypełniali reporterzy i kamery TV, lecz ceremonia miała charakter prywatny. Uczestniczyły w niej tylko Buffy i Shannon; nie dopuszczono nikogo więcej. A po wszystkim, obie w milczeniu odjechały limuzyną do domu.

Ich kroki brzmiały głucho w holu wykładanym czarnymi i białymi płytkami. Zupełnie tak, jak gdyby wraz z odejściem Wielkiego Boba dom stał się całkiem pusty. Ciskając swój kapelusz i rękawiczki na zgrabny szeszlonek w stylu prowansalskim, Buffy weszła z impetem do małego saloniku. Podążającej za nią Shannon przyszło na myśl, że choć Buffy była żoną jej ojca przez szesnaście lat ona nie ma pojęcia, co tamta naprawdę czuje wobec jego śmierci.

Ogień płonął w kominku; Buffy podeszła i stanęła naprzeciwko. Oparła ramię na marmurowym gzymsie, przyglądając się sobie w pięknym weneckim lustrze.

- O Boże, wyglądam strasznie - rzekła z niesmakiem, dotykając troskliwie palcem nieznaczących bruzd pod oczyma. - Nic dziwnego, po tym piwie, którego nawarzył mi twój ojciec. A to jeszcze nie koniec. O nie, bynajmniej, nie koniec!

Shannon przysiadła na brzegu pomarańczowej, kwiecistej sofy i mocno splótszy dłonie, wpatrywała się w Buffy z napięciem. - Powinnam była wiedzieć, kiedy go spotkałam - mówiła Buffy z nienawiścią w głosie. - Ludzie mnie ostrzegali, a ja nie słuchałam. „To irlandzki parweniusz” - mówili „pozostań w swoim środowisku, Buffy. Takich jak on zostaw swojemu losowi”. Niestety, byłam głupia. Podziwiałam jego „rach-ciach i już”. Podobało mi się to, że swój majątek osiągnął własną pracą, a nie odziedziczył. Trzeba mi było jednak wiedzieć, że to wszystko „łatwo przyszło, łatwo poszło”. Odwróciła się i spojrzała na Shannon, a w jej hiacyntowych oczach szalał gniew.

- Niech to szlag, to wszystko jego wina.

Shannon przeczesywała nerwowo dłońmi swe włosy.

- Buffy, przecież nie on jest winien, że zmarł. On się nie zabił. Jestem tego pewna. Tata by nigdy tego nie zrobił. Nigdy by się nie uchylił od odpowiedzialności. Jeśli miał kłopoty z interesami, znalazłby sposób na wydostanie się z tego!

- Och, nie bądź tak idiotycznie naiwna! On nie miał innego wyjścia. - Buffy odeszła od kominka i opadła na krzesło. Shannon patrzyła na nią strapiona. Nigdy przedtem nie widziała jej w takim stanie; zawsze przecież taka opanowana i na właściwym miejscu... Oczy Buffy były bezlitosne, a jej twarz stężała w złości. Z takim wyrazem twarzy wyglądała na swoje lata.

- Miałam wczoraj spotkanie z adwokatami - powiedziała, wyjmując papierosa ze srebrnej cygarnicy i stukając nim w zamyśleniu o krawędź stołu. Oparłszy jasnowłosą głowę na poduszkach, zapaliła i z przy jemnością wciągnęła dym w płuca, patrząc w sufit spostrzegła, że farba na gipsowych gzymsach wymaga odnowienia. Wzruszyła ramionami: to już nie było jej zmartwienie.

- Wszystko przypadnie - rzekła nagle. - Ten dom, apartamenty, antyki, obrazy. Adwokaci dzień i noc myśleli nad tym, co można by uratować dla nas samych; jednak wszystko musi zostać sprzedane, by spłacić banki i wierzycieli. - Odwróciła głowę i patrzyła na Shannon. Jasne włosy Buffy lśniły w świetle lampy, gdy strącała popiół z papierosa nieskazitelnie wypielęgnowanym paznokciem. Jej głos był równy i spokojny:

w ten sposób mogłaby omawiać z kucharzem menu na najbliższe przyjęcie.

Shannon trwała w odrętwieniu, gdy ta mówiła dalej.

- Dzięki Bogu, miałam dość rozsądku, by się zabezpieczyć swoim kontraktem małżeńskim. Przynajmniej tego nie mogą mi zabrać - po wiedziała z satysfakcją pobrzmiwającą w jej głosie. - No i oczywiście moja biżuteria. To zawsze należało tylko do mnie.

Shannon знаła szczegóły kontraktu małżeńskiego: jej ojciec uważał go zawsze za dobry żart. Licząc po milionie za każdy rok, plus pierwszy milion, z czego wszystko dobrze zainwestowane, Buffy miała teraz sumę znacznie wyższą niż pięćdziesiąt milionów dolarów. Z biżuterią wartą kolejnych kilka milionów Buffy była bardzo bogatą kobietą.

Weszła pokojówka z kawą i postawiła ją na stoliku obok swej pani. Buffy podniosła srebrny imbryk i napełniła dwie filiżanki, jedną z nich podając Shannon, która szybko umieściła ją na podłodze u swoich stóp. Ręce jej drżały przez cały czas i czuła się tak, jakby wewnątrz niej otwarła się głęboka studnia, ziejąca przepaść tam, gdzie niegdyś było serce, ciepło i miłość. Oto siedziała tutaj z kobietą, która przez szesnaście lat była jej macochą. I która teraz mówiła w taki sposób, jakby życie ich obu mogło się równać garści dolarów.

- Buffy, będziesz miała aż nadto pieniędzy na życie - powiedziała stropiona. - Mogłabyś nawet wykupić ten dom i apartamenty tak, że nic by się nie zmieniło.

Buffy zaśmiała się ciekim, dźwięcznym, niewesołym śmiechem.

- Shannon, kiedy wreszcie zrozumiesz, że wszystko się zmieniło? Twój ojciec nie żyje. Jego interesy legły w gruzach, a on zostawił nam zbieranie tych strzępów. Cóż, co do mnie, nie zamierzam tego robić. Jutro wyjeżdżam na Barbados. Będę mieszkała z Janet Rossmore, póki tu się wszystko nie uspokoi. A potem, kto wie, może uda mi się ułożyć sobie życie od nowa.

- Ale co będzie ze mną? - zapytała Shannon. I ledwie to rzekła, chętnie by wszystko cofnęła. Dziecinne słowa zawisły w ciszy pomiędzy nimi, a macocha odwróciła głowę, by nie napotkać jej strwożonych szarych oczu. Buffy wzruszyła ramionami; delikatny ruch nieznacznie uniósł jej wąskie barki.

- Nie sądzę, żeby to było teraz moim zmartwieniem, Shannon. Ostatecznie jesteś dużą, dorosłą dziewczyną. Powinnaś okazać mi wdzięczność za wszystko, co zrobiłam dla ciebie. Przeprowadziłam cię przez szkołę i college. Dopilnowałam, byś stykała się z odpowiednimi ludźmi. A teraz jesteś zaręczona z Wilem i uważam, że to na nim spoczywa odpowiedzialność.

Wstała, wyrównując spódnicę.

- Całkiem poważnie, Shannon - rzekła pozwalając, by gniew znowu wezbrał w jej głosie - twój ojciec okazał się nędznym złodziejem. Po tym, co zrobił ze mną - ja kończę z rodziną Keeffe. I to raz na zawsze.

Zdusiwszy ze złością papierosa w dużej kryształowej popielnicy, odwróciła się na pięcie i poszła szybko w stronę drzwi. Odprowadzał ją osłupiały wzrok Shannon, lecz Buffy nie spojrzała za siebie.

- Idę się spakować! - zawołała przez ramię, a jej głos słabł w miarę, jak ze stukiem wysokich obcasów przemierzała wykładany marmurami hol. - Proponuję, żebyś zrobiła to samo, Shannon. Ani się obejrzyj, jak zjawią się tu komornicy.

Shannon, nie rozumiejąc, patrzyła za Buffy, której śladem płynął zapach papierosów Gauloises Blonde zmieszany z perfumami Shalimar. I choć Buffy jeszcze nie wyjechała, Shannon wiedziała, że jest tak, jakby już odeszła. A ona musi zacząć życie na własną rękę.

7.

Sześćdziesięcioletni Brad Jeffries był współnikiem Boba i prezesem Keeffe Holdings od siedemnastu lat. Zaczynał od stanowiska kierownika budowy, a potem zrobił karierę.

Przemawiał teraz na spotkaniu przedstawicieli pięciu największych banków amerykańskich i czterech banków międzynarodowych. Pokasływał i nerwowo poprawiał krawat. Bawiąc się swymi okularami, od czytał przygotowane oświadczenie, które zawierało prośbę o wydłużenie czasu, w którym Keeffe Holdings mógłby uporządkować tę splątaną sieć udziałów i finansów, jaką pozostawił po sobie Bob Keeffe, zanim zażądają zwrotu swoich pożyczek i wezwą FBI.

- Pozwólcie nam, pozostałym partnerom, którzy otrzymaliśmy tę spuściznę oszustw, uczynić - jak nakazuje honor wszystko co w naszej mocy, byście panowie odzyskali swoje pieniądze - powiedział na zakończenie, wyczekująco patrząc na kamienne twarze słuchaczy.

Szyderczy uśmiech przemknął po twarzy Jonasa. Jeśli ktokolwiek wyglądał na winnego, to właśnie Brad. Choć Brennon wiedział, że nic nie dałoby się zarzucić temu staremu durniowi; zupełnie nic. Teraz przyszła kolej na Jacka Wexlera - architekta. Czterdziestopięcioletniego przy stojnego starego kawalera w typie Dicka Trącyego: gładka twarz i mocno zarysowana szczęka, do tego silne poczucie własnej pozycji, uzdolnień - a także atrakcyjności w oczach kobiet. Zaprojektował dla Boba kilka budowli, które zostały nagrodzone i w ciągu ostatnich dziesięciu lat był jego współnikiem. Teraz Jonas obserwował, jak żebrze o środki na ukończenie budowy Wieży

Keeffea.

- Powierzcie ten budynek moim ręką, panowie - powiedział Wexler - a ja obiecuję nie przekroczyć planowanego budżetu końcowego. Jak wiecie, dwadzieścia najwyższych pięter biurowych zostało już na wstępie wydzierżawionych Finnie Euro National Insurance na nową siedzibę główną udziałowców, a pozostała część budynku wydzierżawiona jest w siedemdziesięciu procentach, łącznie z atrium handlowym. Jeśli nie dotrzemy umówionego terminu zakończenia budowy, towarzystwa te mają prawo zerwać umowę i zażądać zwrotu pieniędzy. A jak wam wiadomo, chodzi tu o ogromne sumy, których w tej chwili nie posiadamy. - Nie dodał wprawdzie, że „dzięki temu kanciarskiemu sukin synowi Bobowi Keeffe”, ale wyraz gniewu na jego twarzy nie wymagał komentarzy.

- Jeżeli teraz wycofacie się z tego przedsięwzięcia, Keeffe Holdings straci każdy cent, jaki już włożyło w budowę Wieży Keeffea, a wy, panowie, stracie wszystkie swoje pieniądze. Oczywiście, możecie zająć nieruchomość i sprzedać ją, ale będzie to już właściwie tylko wyprzedaż na Park Avenue. W nerwowej atmosferze gospodarczej dnia dzisiejszego niełatwo sprzedać nie ukończony studwudziestopięciopiętrowy wieżowiec, o którym powszechnie wiadomo, że jego hipoteka jest zadłużona. Proszę tylko o czas, panowie, abyśmy wszyscy mieli szansę odzyskania pieniędzy. Jeśli nie zdecydujecie się udzielić nam prolongaty, stracimy absolutnie wszystko, ponieważ Keeffe Holdings nie ma już ani jednego centa, by wypłacić robotnikom ich pensje za następny tydzień.

Jonas śledził wzrokiem niewzruszone twarze bankierów, gdy pośpiesznie robili notatki w swych żółtych prawniczych notesach. Nadeszła jego kolej. Obciągnął marynarkę i pewnym spojrzeniem ogarnął zebranych wokół stołu, napawając się poczuciem władzy, podczas gdy oni zwrócili wzrok na niego, oczekując, że powie im, w jaki sposób mogą odzyskać pieniądze.

- Panowie - odezwał się tonem łagodnym i kojącym, tym samym, którego nauczył się od swego szefa. - Bob Keeffe był moim przyjacielem. Moim mistrzem. Przyszedłem do niego jako chłopak prosto z college i wszystko, co wiem o biznesie, wiem od niego. Nie mógł mnie jednak nauczyć niczego o finansach, ponieważ nie było to jego mocną stroną.

- Wszyscy wiedzą, że Bob lubił żyć jak zamożny człowiek. To zrozumiałe, gdyż, podobnie jak ja, wywodził się z kręgu ludzi ubogich. Zrobił karierę, a szedł po jej szczeblach szybko, bo był inteligentny i cholernie dobry w tym, co robił. Nie budował bezsensownych bloków mieszkalnych i biurowych, lecz dawał ludziom to, co chcieli, po godziwej cenie, a to zawsze stanowi mocny fundament pod każdy interes. Ale Bob miał także cudowny irlandzki dar wymowy, dzięki któremu potrafił wyjaśnić, czego chce i dlaczego mianowicie powinien to dostać - tak że w pół godziny umiał sprawić, że dawało się wiarę najbardziej nieprawdopodobnym projektom.

- Myślę, że wszyscy padliśmy ofiarą tego daru wymowy, panowie, a na końcu padł jej ofiarą również sam Bob. Jego marzenia były na wyrost, lecz kiedy wam o nich mówił, wierzyliście mu, jako że nigdy przedtem się nie mylił. Raz za razem okazywało się, że miał rację. Odnosił sukcesy, a przynajmniej wydawało się, że je odnosi, ponieważ nawet my, stojący najbliżej niego wspólnicy, wiedzieliśmy tylko to, co zechciał nam powiedzieć.

W rzeczywistości jego imponujące projekty osiągały coraz większą skalę, podobnie jak zaciągane pożyczki. W końcu zmuszony był uciec się do oszustwa, aby zatrzeć za sobą ślady i zatuszować swoje długi. Bob oferował wam jako dodatkowe gwarancje akcje i obligacje, a przy stylu prowadzenia interesów na podstawie umowy dżentelmeńskiej, nigdy nie żądano od niego okazania tych akcji i obligacji. Rzekomo spoczywały one w sejfie Keeffe Holdings, do waszego

wglądu w razie konieczności.

Teraz wiem, że rozdysonował połowę kapitału akcyjnego wartego dziewięćset milionów dolarów już dwa lata wcześniej, nim go zaoferował jako dodatkową gwarancję. Kapitał ten należał do Keffe Holdings i Bob miał prawo go sprzedać, lecz nie bez waszej wiedzy. No i oczywiście nie miał prawa oferować tego, czego już nie posiadał.

Spojrzał do swoich notatek.

- Pięćdziesiąt milionów do Szwajcarii, dwieście milionów bankom francuskim, sto milionów bankom angielskim i jeszcze o wiele więcej Amerykanom. Na pozór to stuprocentowo pewne pożyczki; nic złego nie mogło się zdarzyć. Ale Bob Keffe podjął wasze pieniądze i wpakował je w tuzin różnych projektów, a także do własnej kieszeni.

Comiesięczne spotkania towarzystwa, w których uczestniczyli Jeffries i Wexler, oraz ja jako sekretarz, i na których omawialiśmy prowadzone prace i planowane przedsięwzięcia, a także cele finansowania, wszystkie są udokumentowane w protokołach, podpisanych przez Boba i przeze mnie. Bob był człowiekiem starej daty, który mnóstwo informacji przechowywał w pamięci. Często nas to intrygowało, ale w ciągu ostatnich dwu lat, gdy zadawaliśmy mu pytania, nie uzyskiwaliśmy od powieści. Istniało zbyt wiele projektów, o których nikt z nas nie wiedział - i tylko jeden człowiek prowadził tę działkę.

Panowie, Bob Keffe był poszukiwaczem przygód, showmanem. Czuł się dobrze w roli osoby publicznej wielkiego formatu. Lubił uznanie, szacunek i splendor. Kompensowało mu to wszelkie braki, które cierpiał jako osierocony chłopak, gdy wszystko musiał zdobywać ciężką pracą. Kochał muzykę, sztukę i piękne kobiety, a każda z tych rzeczy wymagała pieniędzy. A więc pieniądze płynęły jak woda...

Gdyby nie jego miłość do sztuki, niewykluczone, że ta pogmatwana sieć nigdy nie zostałaby odkryta, a w każdym razie nie przez najbliższe lata, i naprawdę jestem przekonany, że sam Bob ufał, iż zdoła to wszystko doprowadzić do ładu. Łudził się, że któregoś dnia może przestać okradać Piotra po to, by spłacić Pawła; że ten nowy wieżowiec, a potem jeszcze jeden, uda mu się sprzedać za miliony, które jest winien i że potem już znów będzie mógł spać spokojnie. I nagle Bob zapragnął drugiego van Gogha, by go zawiesić na ścianie w nowej Wieży Keffe. Miał to być namacalny symbol urzeczywistnienia jego marzeń.

Słuchacze utkwili w nim wzrok. Wszyscy znali historię, jak to Bob Keffe zaproponował stawkę w wysokości szesnastu milionów dolarów za Ogród w zakładzie Saint-Paul van Gogha, namalowany w St Remy. Wieża Keffe stanowiła ukoronowanie jego kariery. Chciał, żeby świat ujrzał, co on stworzył, startując od zera. Chciał pokazać wszystkim, jak bogaty i potężny jest Bob Keffe i jego Finna. I jak wspaniały będzie budynek Wieży Keffe przy Park Avenue ze słynnym płótnem van Gogha zawieszonym w atrium.

- Każdy turysta - każdy człowiek - bawiący w Nowym Jorku przejdzie przez atrium Wieży Keffe właśnie po to, by popatrzeć na tego van Gogha - powiedział im. I każdy z nich zatrzyma się, by wypić filiżankę kawy w kawiarni albo drinka w barze, by kupić książkę czy szalik, albo coś z biżuterii w butik. To przyniesie dochód sto razy większy od poniesionych kosztów, a przy tym rozśławi nazwisko Keffe na całym świecie. Zobaczycie, nim się obejrzyjecie, już będziemy budować Wieżę Keffe w Sydney, Tokio, Honkongu. Ta jest tylko pierwszą z wielu.

Ten van Gogh, symbol młodzięcych marzeń Keffe, doprowadził go do upadku. Banki nagle stały się ostrożne, nie rwały się więcej do pożyczania mu pieniędzy. Jeden po drugim zaczęły mu

odmawiać. Jego kredyt się wyczerpał. Jakimś sposobem przeciekły wiadomości, że Keffe jest w tarapatkach, zaufanie do jego Finn stopniało niczym lód w promieniach słońca, a udziały Keffe Holdings upadły. W ślad za gwałtownym spadkiem cen akcji przerażeni bankierzy zażądali więcej dodatkowych gwarancji, by zrekompensować straty. Przez kilka tygodni Bo bowi udawało się utrzymać ich w spokoju dzięki zapewnieniom, że „to pomyłka”, a on oczywiście ma pieniądze i wszystko będzie w porządku, jeśli tylko dadzą mu czas na uporządkowanie spraw. Ale żadne dodatkowe gwarancje nie nadeszły. A wówczas Bob Keffe się zabił.

Moi koledzy proszą o więcej czasu - zwrócił się Jonas do bankierów - aleja, mówiąc z całą uczciwością, nie mogę tego zrobić. - Poczul na sobie ich zdumiony wzrok. - Bob Keffe zostawił nas z bigosem na sumę biliona dolarów. Nie wiem, co zrobił z tymi wszystkimi pieniędzmi, ale dla człowieka takiego jak on, z jego stylem życia globtrottera, pięknoducha, gracza i plutokraty, nic nie było nadto wielkie ani zbyt drogie. Wiem, że przepłacał setki milionów za tereny budów miejskich, które uparł się nabyć, a wszystko kupował za pieniądze, których nie po siadał; za pieniądze, które pożyczył.

Uniósł swe ramiona znużonym ruchem.

- Nie mam rozeznania w prywatnych interesach Boba. Cokolwiek robił, trzymał to dla siebie. Jeśli chodzi o codzienne kontakty, byłem równie blisko niego, jak jego żona. Wydawało mi się, że znam tego człowieka. Ale się myliłem. Bob Keffe zaś okazał się nie tym, za kogo mieliśmy go - ja lub wy. Zawiódł nasze zaufanie, panowie. I taka jest cała prawda.

Zbaraniały wzrok dwóch pozostałych współników spotkał się z jego wzrokiem, kiedy skończył i usiadł, bankierzy zaś wertowali swoje papiery i porozumiewali się między sobą. Doprawdy, niewiele już zostało do powiedzenia. Jonas potwierdził właśnie ich najgorsze obawy i jeszcze tylko jedno dało się zrobić. Keffe Holdings było skończone.

Nikt nigdy się nie dowiedział, w jaki sposób zdołały przeniknąć do mediów wieści o kreciej robocie, jakiej Jonas Brennan dokonał wobec swego zmarłego szefa na nadzwyczaj poufnym zebraniu bankierów Finny, lecz faktem jest, że trafiły one do prasy wraz z informacją, że banki wykluczyły swój udział, a potem nastąpiła finansowa wolna amerykanka, by sprawdzić, kto wyniósł z tego jakieś pieniądze. Włączyło się FBI, a także Komisja Papierów Wartościowych i wszystkie księgi rachunkowe Finny wyniesiono z biura zarządu do kontroli.

Tydzień później Jonas, jadąc taksówką do Centrum Keffea na Placu Narodów Zjednoczonych, by spotkać się ze swoimi partnerami, rozmyślał o nieprzytomnej, bladej i smutnej twarzy Shannon Keffe, tak jak ją widział podczas przesłuchania. Ponieważ sąd uznał śmierć Boba za samobójstwo, jego agenci ubezpieczeniowi nie przystali na wypłacenie dwudziestu pięciu milionów dolarów tytułem polisy ubezpieczeniowej na życie, z czego mogłaby korzystać jego córka. Tak więc Shannon nie dostanie nic. Szkoda, pomyślał z westchnieniem Jonas, że w tego typu przypadkach muszą cierpieć Bogu ducha winne osoby, lecz on nic na to nie może poradzić. Jest już za późno.

Wexler i Jeffries czekali na niego. Stojąc przy oknie, naradzali się z pochylonymi ku sobie głowami. Spojrzeli wzrokiem winowajców na Jonasa, gdy ten punktualnie o ósmej przekroczył próg, i szybko odsunęli się od siebie jak ludzie przyłapani na konszachtach. Jonas uśmiechnął się, cisnąwszy swą marynarkę na oparcie kanapy, podwinął rękawy, po czym podszedł i usiadł na miejscu Boba.

- A więc, panowie - powiedział, splatając dłonie i pochylając się wygodnie nad biurkiem Boba, tak jakby należało do niego. - Może mi powiecie, coście uradzili?

Wexler spojrział na Jeffiesa, a potem rzekł ze złością: - Nie możesz się już doczekać, by zająć jego stołek, co?

Brennan pozwolił sobie na nieznaczny chłodny uśmiech.

- W odróżnieniu od was, zczekałem przynajmniej, by go po bożemu pochowano.

Brad odezwał się roztrzęsionym głosem:

- Powiedz nam prawdę, Jonas. Czy to ty zabiłeś Boba? Brennan wyprostował się, wpatrując się w nich beznamiętnie. Splótł ręce za głowę, rozprostował je, a potem odrzekł, wzdychając ze znużeniem:

- Dlaczego ja? Jaki miałem motyw, by zabić człowieka, który po mógł mi wspiać się po szczeblach kariery?

- Stołek po nieboszczyku - powtórzył ponuro Wexler.

- Lepiej się miałem, kiedy Keffe żył, i wy o tym wiecie. - Przeszył ich spojrzeniem. - A może ja powinienem spytać, czy to ty, Jack, albo ty, Brad, zamordowaliście naszego ukochanego szefa. W końcu macie o wiele lepsze motywy niż ja. - Zaśmiał się ponuro. - Ile to w sumie nakradłeś się, Brad, przez te lata? Dziesięć milionów, dwadzieścia milionów? Może jeszcze więcej? Wiedziałaś, że Bob był marzycielem. Zatrudnił cię, abys doglądał spraw biurowych w czasie jego nieobecności, bo zdobywał za mówienia i środki finansowania. A ty naciągałeś go i mydliłeś mu oczy już od pierwszego dnia, aż wreszcie po siedemnastu latach już stale trzymałeś rękę w kasie. A w miarę rozrastania się biznesu rosło twoje złodziejstwo.

Dobrze się złożyło, że Bob nigdy nie dowiedział się o tej drogiej far mie końskiej i stadninie w Kentucky, no nie, Brad? Na wsi, wśród pięknej soczystej zieleni, z całym sznurem pięknych i drogich koni rasy thoroughbred, a także z piękną i drogą młodą ujeżdżaczką, która je dla ciebie hoduje. Nawet pani Jefies nic o niej nie wiedziała, czyż nie, Brad?

Poblady Brad opadł na kanapę. Nalał sobie szklankę whisky i sącył ją w milczeniu.

- No, a ty, Jack - rzekł Jonas z lodowatym uśmiechem. Czyż ty nie masz równie dobrego motywu, by zabić Boba? Gdy tylko zacząłem pracować u Boba, od razu zastanowiło mnie, jakim sposobem ktoś taki jak ty - architekt pracujący dla Keffe Holdings, który zarabia dobrze, rzecz jasna, lecz nie aż tak dobrze - jakim więc sposobem ktoś taki jak ty potrafi żyć na tak wysokiej stopie? Oczywiście, potem zostałeś wspólnikiem, ale już wcześniej miałeś dom w mieście na Sutton, aston martina, bentleya i kolekcję dzieł sztuki; różniła się ona wprawdzie stylem od kolekcji Boba, ale byliście ludźmi o bardzo odmiennym smaku. Nie mniej prace Warhola i Rothko osiągają na aukcjach niezłe ceny, tak samo jak dzieła van Gogha, tak że w zasadzie twoja kolekcja jest tyle samo warta w dolarach, co jego.

Odbijałeś sobie na wszystkim, poczynając od wysyłki marmuru z Włoch, a kończąc na kontraktach na stalowe dźwigary. Zarabiałeś na każdym etapie konstrukcji budynków Keffea, a kontrakty rozdawałeś nie tym, którzy oferowali najniższe koszty, ani nawet nie najlepszym fachowcom, lecz tym, którzy mogli ci najlepiej zapłacić. Ale nawet w takim wypadku zawsze istniało jakieś ryzyko, zważywszy twój rzucający się w oczy, wystawny styl życia. Brałeś co dzień po trochu. I może za pragnąłeś czegoś więcej?

Wyprostował się i znów posłał im jowialny uśmiech.

- Wiem, gdzie leży pies pogrzebany. I mógłbym przekazać któregoś z was, lub nawet was obu, w ręce policji, FBI, SEC, nawet IRS. Mógłbym zrobić, co tylko chcecie.

Twarz Wexlera była szara pod warstwą jego całorocznej opalenizny.

- Nie zrobiłbyś tego - warknął, przysuwając się do biurka. W jego głosie dało się słyszeć ton pogroźki.

- Może i nie. To wszystko zależy.

- Od czego zależy? - rzekł znużonym tonem Brad Jeffries. - Jestem już na to za stary, Jonas. Powiedz mi najgorsze. Jestem już skończony, czy tak?

- Oj, Brad, Brad. Jak możesz mówić coś takiego? Tylko jeden człowiek się skończył i pochowaliśmy go w zeszłym tygodniu. Jestem tu tylko po to, aby przypomnieć wam o waszej lojalności względem Keeffe Holdings.

- Przez cały czas nie rozumiem, dlaczego powiedziałeś tamto o Bobie, wtedy na spotkaniu z bankierami - odezwał się Wexler gniewnym tonem. - Mogliśmy ich nakłonić, by dali nam jeszcze czas, mogliśmy ukończyć Wieżę Keeffea i pozostać w biznesie. Mogliśmy to tak załatwić, żeby traktować tę sprawę jako niezależną od całego tego bigosu, wystarczyło tylko odpowiednio się przy nich pouwijać, dostatecznie długo prosić, dostatecznie zabiegać. Te sukinsyny chciały tylko odzyskać pieniądze, i wiem, że mógłbym przynajmniej skierować je na tę budowę. To był nasz jedyny trwały majątek.

Jonas zapiął swoją marynarkę i podszedł do drzwi.

- I tu się mylisz, Jack. Wieża Keeffea nie należała już do Keeffe Holdings. Bob sprzedał ją dokładnie na tydzień przed śmiercią jakiegoś towarzystwu w Liechtensteinie. Ze sporą stratą dla nas. - Wzruszył ramionami. - Możesz podziękować za to swojemu szefowi, Wexler. Bob nigdy nie miał dobrej głowy do interesów. A gdy ściany zaczęły się walić, chwycił po prostu to, co się dało.

- Ale ile? - zatchnął się oszołomiony Wexler. Jonas wzruszył ramionami.

- A jakie to ma znaczenie? Wszystko poszło na poręczenie dla tego z wierzycieli, który najbardziej naciskał. I już przepadło. Kiedy reszta majątku zostanie wyprzedana, banki prawdopodobnie otrzymają mniej więcej połowę tego, co im się należy. Inni wierzyciele nie dostaną niczego. Pracownicy nie wezmą nawet renty, panowie, łącznie z wami i ze mną, a także z jego córką, ponieważ te pieniądze, dobrze i bezpiecznie zainwestowane przeze mnie, podzieliły los wszystkich pieniędzy Keeffea. Zostały osobiście upłynnione przez Boba, cent po cencie.

Otworzył drzwi, by wyjść - i wtedy coś mu przyszło do głowy. Od wrócił się, mierząc ich pogardliwym wzrokiem. - A tak przy okazji; detektywi z Komisji Papierów Wartościowych i faceci od oszustw są teraz na dole w biurze maklerskim. Wszystko im przekazałem. Teraz możecie tylko żywić nadzieję, że nie zachowałem w swej nadgorliwości żadnych dokumentów waszej ubocznej działalności. Do widzenia, panowie. Życzę miłego dnia.

8.

W niewesołym nastroju Shannon szła przez osiemnastopokojowy apartament z widokiem na Central Park. Pokoje stały nagie, ogołoczone z pięknych antycznych mebli i ozdób. Małe mosiężne lampki zwisały nad pustymi miejscami, gdzie pyszniły się dawniej obrazy tak drogie ojcu: wszystkie te piękne płótna Sickerta i Constablea, Picassa i Moneta. Parkiet porysowany był butami ludzi z biura przeprowadzek, a drogie jedwabne zasłony, które już niedługo zostaną zdarte przez dekoratora wewnątrz, kiedy zabierze się do przerabiania apartamentu dla nowego właściciela, wisały jeszcze osamotnione w oknach.

Otworzywszy drzwi do swego dawnego pokoju, rozejrzała się po nim po raz ostatni. Spędziła tu w apartamencie większą część swego życia. W tym pokoju w miarę jak rosła, zmieniała się jego kolorystyka - najpierw z dziecięcego różu na czarno-srebrne barwy dla nastolatki - a potem na

zwykłą biel, z tradycyjnym amerykańskim kilimem z kawałków różnobarwnych tkanin.

Jedyne rzeczy, o których mogła powiedzieć, że stanowią jej własność, to były niedroge obrazy, które kupiła sobie sama, duży dom dla lalek, jej stare zabawki, książki, ubrania i kilka sztuk biżuterii.

Nigdy nie przepadała za biżuterią, przedkładając blask modnego stroju nad prawdziwe diamenty i perły. Posiadała jednak jeden cudowny naszyjnik. Dał go jej ojciec, kiedy miała osiem lat: tego dnia, w którym poślubił Buffy. Pamięta, jak wpatrywała się z osłupieniem w piękny sznur diamentów związanych w podwójną kokardkę.

- Tatusiu, popatrz, jak to się iskrzy - powiedziała wtedy wystraszona.

- Nawet w połowie nie tak, jak twoje oczy, moje małe kochanie - odparł. - Teraz ty miej go w swojej pieczy. Jest to w pewnym sensie rodzinna pamiątka. Po czym otoczył ją ramionami i poniosł, aby pomogła w krojeniu weselnego tortu.

No i oczywiście miała również pierścionek zaręczynowy od Wila. Kupili ten piękny, czworoboczny, trzykaratowy diament u Cartiera. Przy glądała mu się niespokojnie, zdając sobie sprawę, że kosztował więcej, niż Will mógł wydać; studiował jeszcze na wydziale prawa. Jego ojciec był adwokatem, tak że wiedziała, iż materialnie rodzina ma się dobrze, ujmując jednak rzecz w kategoriach stopy życiowej jej ojca, nie wydawali się ludźmi zamożnymi.

- Pieniądze twojej rodziny to coś, o czym można śnić - powiedział jej Will z nabożeństwem. - Ja nigdy nie będę tak bogaty jak twój ojciec, Shannon.

- I co z tego - odparła beztrasko. - Wystarczy wszystkiego dla nas obojga.

Szybko zamknęła za sobą drzwi wyjściowe, których pożegnalne trzaśnięcie odcięło ją od życia pełnego wspomnień. Gdy wykładana boazerią winda z szumem sunęła cicho w dół, Shannon musiała zagryźć usta, by wstrzymać się od płaczu.

Portiera znała od czasów dzieciństwa, a teraz czekał na nią, by się pożegnać.

- Nigdy go nie zapomnę, panno Shannon - powiedział, biorąc jej ręce w swoje dłonie. Jego zniszczona, czerwona twarz nagle się wykrzywiła, a w spłowiałych niebieskich oczach stanęły łzy. To był wspaniały człowiek. Dobry jak trzeba, i nigdy nie pozwolę, by ktoś przy mnie po wiedział coś innego. Życzę pani wiele szczęścia, panienko.

Shannon uściśnięła mu rękę i pośpiesznie się oddaliła. Wskoczyła do małej, używanej półciężarówki, którą kupiła, gdy przyszło jej sprzedać ukochanego czarnego mercedesa 500SL, i wyruszyła za miasto w strugach ulewnego deszczu.

Dom na Long Island nie był jeszcze ogołocony ze swego wyposażenia, aczkolwiek obrazy i najcenniejsze sprzęty dekoracyjne odesłano już do Sothebyego, by sprzedać je oddzielnie.

Podjeżdżając, Shannon spostrzegła, że na wielkim trawniku ustawiono namiot do prowadzenia wyprzedaży i serce przestało jej bić na wspomnienie markizy na przyjęciu urodzinowym, zaledwie kilka tygodni temu!

Urzednicy kręcili się po domu, umieszczając nalepki na stołach, krzesłach i popielniczkach; spodziewali się, że z pewnością sprzeda się po zawyżonych cenach z tej tylko przyczyny, że niegdyś należały do Wielkiego Boba Keeffe. Dom został wyceniony na piętnaście milionów dolarów, ale jak powiedzieli Shannon adwokaci, była to kropla w finansowym oceanie zadłużeń Boba Keeffe. - Jak to się wszystko stało? - spytała Brada Jeffriesa. - Tata był zawsze takim dobrym biznesmenem. Jakże inaczej mógłby osiągnąć swoją pozycję?

- Sam chciałbym to wiedzieć - odparł nerwowo Brad. - Zawsze byłem ostoją Boba. Ilekroć jego plany stawały się zbyt fantastyczne, sprowadzałem go na ziemię. Ale to trzymał przede mną

w tajemnicy, Shannon. - Wzruszył ramionami. - Nigdy nie zaglądałem do ksiąg rachunkowych. Niby dlaczego miałbym to robić? Od tego są księgowi.

To samo powtórzyło się z Jackiem Wexlerem. Gdy przyszedł ją od wiedzić, wyglądał na przygnębitego i zdenerwowanego.

- Nie, nie znam się na tym, Shannon - powiedział zwięźle. - Wiesz, jak się martwię. I Bóg mi świadkiem, że pragnąłbym móc coś z tym zrobić. Ale o niczym nie wiedziałem. Nikt z nas nie wiedział, w jaki sposób on żonglował finansami. Gdybym zaprojektował nowy wieżowiec, mógłbym sprawować nad nim kontrolę. Ale Bob nie chciał, bym ja go projektował - dodał z goryczą. - Pragnął znanego nazwiska. Boba nie obchodziło też, ile to będzie kosztować, chciał tylko czegoś „najlepszego” i wydaje się, że pożyczal wszędzie, gdzie tylko mógł, by sfinansować budowę. No i wieżowiec stoi teraz nie dokończony na Park Avenue, stercząc w niebo jak obolały palec. Taki monument, o Jezu! - jęknął, chwytając się za głowę. Przykro mi, Shannon. Jeśli mogę coś zrobić, wiesz, na przykład pieniądze... no, cokolwiek. Daj mi tylko znać.

- Dam ci znać, Jack - obiecała, chociaż rzecz jasna nigdy by tego nie zrobiła. Jej zdaniem pozostawili ojca własnemu losowi, a teraz obwiniali go o wszystko. Nigdy nie przyjęłyby pieniędzy od tych zdrajców.

Zaskakujące było jednak to, że akurat w Brennanie znalazła najbardziej pewny punkt oparcia.

- Twój ojciec dał mi wszystko, co posiadam - powiedział z prostotą. Teraz mam okazję spłacić swój dług. Jeśli mogę coś zrobić, jeśli czegoś ci trzeba - jest twoje. - Zawahał się, patrząc w ziemię, a jego szczupła, blada twarz nabrała rumieńców. Machinalnie bawił się okularami w złotych oprawkach, a potem rzekł:

- Wydaje się śmieszne mówić takie rzeczy córce Boba Keeffe, ale jeśli potrzebujesz pieniędzy, możesz na mnie liczyć. - Skwapliwie wyciągnął z kieszeni książeczkę czekową. - Powiedz, ile - wyrzucił z siebie szybko, jeszcze bardziej się rumieniąc. - Każdą sumę. Dziesięć tysięcy. Dwadzieścia. Pięćdziesiąt. Ile tylko chcesz, Shannon. I będzie twoje.

Oczywiście, Shannon odmówiła również Jonasowi, utrzymując dumnie, że ma dość pieniędzy, by dać sobie radę, że znajdzie sobie pracę, a zresztą i tak wkrótce wyjdzie za mąż.

A ponieważ Buffy wyjechała. Will zaś wrócił do Yale, właśnie Jonas pomagał jej pakować rzeczy. On też udzielił Sothebyemu wskazówek co do sprzedaży domów wraz z wyposażeniem. I wreszcie osobiście doglądał pakowania i przewożenia dzieł sztuki z kolekcji jej ojca.

Teraz oczekiwał w holu i twarz rozjaśniła mu się na jej widok.

- Martwiłem się o ciebie - powiedział, spoglądając na zegarek. - Jest już po drugiej, a powiedziałaś, że wrócisz w porze lunchu.

- Mówisz zupełnie tak samo jak niania, którą kiedyś miałam. - Zdobyła się na uśmiech. - Były korki na ulicach, deszcz... Zwyczajna śpiewka na Manhattanie.

- Myślałem sobie, czy mogłabyś znaleźć trochę czasu, aby przejrzeć ten spis? - wyciągnął ku niej odpychający swym widokiem plik papierów, a ona bezradnie spojrzała na nie i potem znów na niego.

- A czy muszę? Wszystko to wydaje mi się jakoś bezcelowe.

- Oczywiście, że nie musisz. Jeśli mi zlecisz, abym się tym zajął. Spojrzała na niego badawczo, a jej szare oczy zwięzły się z podejrzliwością, gdyż coś jej przyszło na myśl.

- Byłeś człowiekiem stojącym najbliżej mego ojca. On zawsze mówił, że wiesz wszystko o nim i jego interesach. Jeśli to prawda, to jakim cudem nie miałeś pojęcia o bagnie, w które się pakował?

- Były sprawy, w które nikogo nie wtajemniczał - odparł, odważnie wytrzymując jej wzrok. -

Finanse przedsiębiorstwa tworzyły skomplikowaną sieć, a twój ojciec siedział jak pajak w jej środku. Tylko on znał wszystkie fakty i wiedział, jak dalece wszystko wymyka się spod kontroli. Pewne rzeczy martwiły mnie, ale nigdy nie przypuszczałem, że jest aż tak źle. Nigdy mu się to przedtem nie zdarzyło, niczego więc nie podejrzewałem. Póki wszystko nie wyszło na jaw: te banki, domagające się spłat i tak dalej. A wtedy już było za późno. - Spojrzał na nią nieco rozpaczliwie. - Uwierz mi, Shannon, gdyby istniał jakiś sposób wyjścia z tej sytuacji, na pewno bym go znalazł.

- Oczywiście, że byś znalazł. - Oddaliła się smutna, zauważając przy tym, że jej mokre buty zostawiają ślady na płytkach posadzki. Buffy nie ścierpiałaby tego. Na srebrnej tacy, która stała na kredensie w holu, leżały dwa listy; podniosła je bez zainteresowania. Pomyślała ze smutkiem, że aż dziw bierze, jak rzadko od dnia śmierci ojca dzwoni telefon. I że, pomijając pierwszy oficjalny potok listów z kondolencjami, jest rzeczą zdumiewającą, jak niewiele osób odezwało się do niej. Przypuszczała, że wszyscy bali się, by nie padł na nich cień afery Keeffea.

Jeden z listów był zawiadomieniem z banku, zawierającym informację, że Shannon ma na swym koncie dokładnie trzy tysiące dwieście czterdzieści sześć dolarów i że w sejfie banku spoczywa opiewający na jej nazwisko akt własności małego kawałka ziemi w Nantucket.

Rozpoznawszy charakter pisma Wila na drugim liście, schowała go, uśmiechając się, do kieszeni zakietu. Will był dla niej jedynym jasnym punktem na horyzoncie.

Jutro zamierzała przymocować do półciężarówkę małą przyczepę ze swym doczesnym dobytkiem i pojechać do New Haven. Chciała wprowadzić się do Wila, a potem znaleźć sobie pracę gdzieś w mieście. A kiedy Will w przyszłym roku skończy studia, wezmą ślub.

Rozejrzała się na dźwięk ciężkiego tupotu nóg, który niósł się po domu. Robotnicy przestawiali meble, grupując je partiami po różnych pokojach - i dom wyglądał obco. Zawróciła i szybko przeszła z powrotem przez hol, po szerokich stopniach, na przełaj przez mokre trawniki i wzdłuż platanowej alei - nad jezioro.

Padał gęsty deszcz; dzień był szary i nieprzyjazny, ale w jej ulubionym miejscu, pod wielką wierzbą na skraju jeziora, było sucho i zacisznie. To tutaj zawsze przychodziła jako dziecko, by lizać swe rany; i teraz też usiadła, tak jak robiła to zawsze: z kolanami podkurczonymi pod brodą, oplatając je ramionami, w swym własnym przytulnym i zielonym świecie. Gdyby wyjrzała spomiędzy liści nurzających się w płytkiej wodzie jeziora, mogłaby zobaczyć taras widokowy, na którym zmarł jej ojciec, ale zamiast tego popatrzyła w górę na subtelny ornament utkany z gałęzi.

- Och tatusiu, tatusiu - wyszeptwała. - Och, kochany tatusiu. Czy naprawdę nikt z nas nie mógł nic zrobić, aby ci pomóc? Nic, żeby cię powstrzymać? Czy cała nasza miłość i przywiązanie znaczyły tak mało, że musiałeś się zabić? - Potrząsnęła głową. Nigdy w to nie uwierzy. Przenigdy.

Wyciągnąwszy list Wila z kieszeni, otworzyła go i szybko przeczytała parę krótkich zdań.

W obecnej sytuacji, myślę, że stanie się lepiej, jeśli odłożymy nasz ślub... Postanowiłem wziąć urlop dziekański pod koniec tego semestru i przejechać się do Australii, może popracować na farmie owczej. Tata mówi, że to będzie dobre dla kształtowania charakteru. Mam nadzieję, że gdy wrócę, znów się kiedyś spotkamy...

Shannon wpatrywała się w list, oniemiała. Diament na palcu zaczął jej ciążyć niczym ołów, kiedy uświadamiała sobie straszną rzeczywistość swojego położenia. Nie była już bogatą dziewczyną, rozpieszczoną księżniczką, o której względy zabiegano i którą chroniono, ani szaloną, upartą, samowolną Shannon Keeffe, którą wszyscy kochali i wszyscy chcieli znać. Nie miała już nic i dlatego była nikim.

9.

Jonas patrzył zatroskany w ślad za Shannon, gdy mijała go, biegnąc po schodach. Jej rude włosy pociemniały od deszczu, a piegi odbijały się od kredowobiałej twarzy. Łzy spływały po policzkach i wyglądało na to, że go nie widzi, choć usunął się na bok, by mogła przejść.

Potknęła się na podeście i upadła, a on wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie, by ją podnieść.

- O Boże - jęknął, otaczając ją ramionami. - Chyba nie byłaś znów na pomoście? Nie wolno ci; sprawisz sobie tylko więcej bólu!

Potrząsnęła głową, szlochając bezradnie na jego ramieniu; cała z takim trudem zdobyta samokontrola przepadła. Spoglądał na jej pozlepiane w kosmyki włosy i zalaną łzami twarz, myśląc, ile to razy marzył, by trzymać ją w objęciach. I dopiero teraz mu się udało. Los, pomyślał gniewnie, to zabawna rzecz. Jego ciemne oczy rozbłysły wzruszeniem i odruchowo wzmocnił uścisk.

- To Will - wykrztusiła Shannon wśród łkania. - On wyjeżdża. Do Australii, na rok. Uważa, że może będzie lepiej, jeśli odłożymy nasz ślub.

Uniosła głowę, spoglądając z rozżaleniem na Jonasa przez opuchnięte powieki.

- Jak on mógł? Właśnie Will. Ten jedyny na świecie. Powiedz, czy nikt mnie nie kochał? Ani mojego ojca? Czy zawsze chodziło tylko o pieniądze?

Usiadła oparta o ścianę; jej długie, nagie, pochlapane błotem nogi leżały bezwładne jak u szmacianej lalki.

- Jestem pewien, że to nieprawda - ujął jej rękę i poklepał pocieszającym gestem. - Sądzę, że Will jest po prostu za młody na to, żeby... - Desperacko próbował wymyślić jakiś powód. - Jest po prostu za młody na to, aby już teraz przyjąć na siebie odpowiedzialność. Po tym, co się stało.

Jej dłoń była zmarznięta i roztarł ją energicznie. Powiedział: - Posłuchaj, mam przecież tę małą farmę w Montauk. Czemu nie miałabyś tam pojechać na pewien czas? Nikt cię nie będzie niepokoił - żadnych reporterów, żadnych kamer telewizyjnych. Weź sobie do towarzystwa jedną z przyjaciółek, na pewno zechcesz z kimś pogadać. To mój azyl. Może i ty znalazłabyś w Montauk spokój.

Shannon popatrzyła na niego z powagą. Nigdy przedtem nie widziała Jonasa w roli opiekuna. Wydawał jej się zawsze taki energiczny i praktyczny, po prostu idealnie działająca maszyna. A teraz okazało się, że ta maszyna ma serce.

- Nie myślałam o tobie jako o kimś, kto potrzebuje schronienia - powiedziała wydmuchując nosem łzy. - Zawsze wyglądałeś na tak opanowanego. Na osobę, która potrafi kierować swoim losem.

- Każdy kiedyś potrzebuje uciec od czegoś, nawet jeśli to tylko co dzienna harówka. Ale ja mówię poważnie, Shannon. To miejsce należy do ciebie tak długo jak tylko chcesz. I obiecuję ci, że nawet się tam nie pokażę, chyba że sama mnie o to poprosisz.

Zdobywając się na półuśmiech, Shannon otarła oczy i obiecała, że się zastanowi. Pomógł dziewczynie wejść po schodach i odprowadził do drzwi jej sypialni.

- Nie pozwoliłem im tknąć twoich rzeczy - uspokoił ją. Wciąż jeszcze trzymał Shannon za rękę, więc ścisnęła jego dłoń z wdzięcznością. Zamknęła za sobą drzwi, a on odczekał jeszcze moment na zewnątrz. Usłyszał jej ciche kroki po dywanie, a potem znowu straszny szloch, kiedy rzuciła się na łóżko. Odwrócił się i westchnął. Pomyślał, że Shannon Keeffe ciężko będzie stać się zwykłym śmiertelnikiem.

Udał się prosto do pracowni Boba, podniósł słuchawkę telefonu i za dzwonił do dyrektora banku

Shannon. Wyjaśniwszy mu, kto mówi, polecił, by udostępniono Shannon każdą sumę pieniędzy, jakiej mogłaby potrzebować w ciągu najbliższych kilku miesięcy, aż do kwoty 50 000 dolarów. On osobiście poręczył za tę sumę. A potem, siadając na powrót w starym skórzanym fotelu Boba, na którym teraz widniała nalepka głosząca, że należy do działu 154, pomyślał ze znużeniem o swej własnej przyszłości.

Gdy Shannon się obudziła, na dworze było już ciemno. Deszcz przestał padać i nie słyszano się żadnego szmeru. Wciąż jeszcze miała na sobie wilgotną od deszczu spódniczkę i żakiet, wstała więc i rozebrała się, po czym znów wślizgnęła się do łóżka. Owinęła się kocami, przypominając sobie, że to jest jej ostatnia noc w tym łóżku. Ostatnia noc w tym domu. W tym życiu.

Wpatrując się w nieco jaśniejszy kwadrat czerni w miejscu, w którym znajduje się okno, zastanawiała się, czy nie przyjąć propozycji Jonasa i nie pojechać do Montauk, ale zdawała sobie sprawę, że byłoby to tylko doraźne wyjście z sytuacji. Pamiętała, jak ojciec mówił jej przez wszystkie te minione lata: „Musisz zabiegać o to, na czym ci zależy, cokolwiek by to było, kochana maleńka. I musisz chcieć tego naprawdę mocno”. W tej chwili nie wiedziała jednak, czego właściwie chce. Czuliła się pozbawiona celu, pozbawiona oparcia, niepotrzebna. „Dziedziczysz krew swoich walecznych irlandzkich przodków, Shannon” zawsze mówił jej ojciec, ale teraz bynajmniej tego nie czuła.

Usiadłszy, zapaliła lampkę i rozejrzała się wokół siebie. Wszystko wyglądało tak samo jak zawsze: prosto, nieskazitelnie i ładnie. Nawet świeże róże, w kolorze różowym, stały w wazonie na serwantce. Gotowa była się założyć, że zawdzięcza je Jonasowi. Ten dziwny człowiek - jak się okazuje - stał się dla niej przystanią na wzburzonym morzu i po raz pierwszy pojęła, co ojciec w nim widział. Pomimo to, nie mogła przyjąć jego propozycji. Musiała stanąć na własnych nogach. Tego oczekiwaliby od niej ojciec.

Oba listy leżały na dywanie, w miejscu, w którym upadły. Podniosła je i przeczytała najpierw list od Wila. Brzmiał tak samo nieodwołalnie, jak jej się zdawało, kiedy czytała go pierwszych dziesięć razy, z goryczą więc odrzuciła go na podłogę.

List z banku okazał się bardziej interesujący. Na koncie miała trzy tysiące dwieście czterdzieści sześć dolarów. Większość tych pieniędzy pochodziła ze sprzedaży jej samochodu, a resztę stanowiło to, co zostało z jej miesięcznego kieszonkowego. Westchnęła, mówiąc sobie, że ludzie zaczęli już życie z mniejszą sumą, chociażby jej ojciec. Była młoda, fizycznie sprawna i otrzymała staranne wykształcenie. Mogła cholernie łatwo znaleźć sobie zajęcie i wejść w prawdziwy świat.

Przeczytała resztę listu, który oznajmiał:

Przechowujemy w naszym sejfie akt własności dotyczący pani nieruchomości w Nantucket.

Przeczytała to raz jeszcze. Słyszała o istnieniu domku, ale nigdy go nawet nie widziała. Ojciec zawsze obiecywał, że kiedyś go odwiedzą, ale tak się składało, że zawsze był zbyt zapracowany, aby ją tam zabrać, a ona nigdy nie pomyślała, by pojechać sama. A przecież była to jedyna naprawdę „rodowa” posiadłość, jaką miał jej ojciec.

Opowiadał jej kiedyś tę historię. Kiedy miał czternaście lat, dyrektor sierocińca, w którym Bob wychowywał się od dziewięciu lat, wezwał go do swego gabinetu. Był to człowiek skory do gniewu i popędliwy. Nie nadawał się do pracy z dziećmi, chociaż poświęcił jej swoje życie, dzieciaki zaś śmiertelnie się go bały. To z jego rąk otrzymywały wszystko:

czy to kary i lanie, czy nagrody i gwiazdkowe prezenty. W ich małym, zamkniętym światku zajmował miejsce Boga, więc Bob trząsał się cały, gdy został wezwany „przed oblicze”. Shannon

dokładnie słyszała jego słowa tak, jakby je mówił teraz - a było to w ogóle wszystko, co jej powiedział o swoim dzieciństwie.

- oKeeffe - rzekł dyrektor, spoglądając z namaszczeniem znad okularów o grubych szklach, które sprawiały, że jego oczy wyglądały, jak ślepia ropuchy. - Uchodzisz już za „młodego człowieka”, przeto moim obowiązkiem jest powiadomić cię, że jesteś także właścicielem majątku. Nie zostawiono cię bez środków do życia, tak jak większość tych nieszczęsnych dzieci tutaj. Posiadasz pięćset dolarów i małą działkę wraz z domkiem w Nantucket. Nieruchomość ta jest prawie bez wartości, nie mniej jednak należy ona do ciebie i któregoś dnia możesz chcieć ją sprzedać, choć za tyle, za ile się da.

- Tymczasem proponuję, byś tę niezłą sumę pięciuset dolarów przeznaczył na naukę. Jesteś rozgarniętym chłopakiem i gdyby tylko udało ci się panować nad swym porywczym irlandzkim temperamentem, mógł byś zajść daleko.

Ojciec był oczywiście podekscytowany, ale miało jeszcze upłynąć wiele lat, nim mógł pozwolić sobie na to, by pojechać i obejrzeć swoją „posiadłość”. Gdy w końcu przeniósł się do Bostonu, gdzie studiował i pracował jako robotnik na różnych budowach, uszczknął trochę swoich ciężko zarobionych pieniędzy i wsiadł na prom do Nantucket.

- Ach, Shannon, to jest szczególne, magiczne miejsce - powiedział jej, uśmiechając się na samo wspomnienie. - Tylko niebo, morze i krzyk mew. Czasami jest tam szaro, zupełnie bezbarwnie, a potem nagle wszystko - morze i piasek - staje się błękitne i złote. Na pewno pokochasz to miejsce, córeczko, tak jak twoja matka i ja. Ma w sobie coś czarodziejskiego. Od kiedy ona zmarła, nie mogłem się zdobyć na to, by tam wrócić, ale któregoś dnia pojedziemy oboje. Któregoś dnia, moje małe kochanie.

Ale oczywiście nie pojechali - i teraz ten dzień nigdy już nie miał nastąpić. A może jednak?

Shannon podskoczyła na łóżku jak oparzona. Domek w Nantucket był miejscem, które jej ojciec i matka odwiedzali razem - „tak często, jak tylko się dało”, powiedział przecież ojciec. I wydawał się im „czarodziejski”. No więc na pewno ona może już teraz spróbować trochę tych czarów! Ma swój własny kąt, swój dach nad głową; miejsce, w którym może się ukryć i być sama, dopóki nie ustali, co dalej ma robić w życiu. Tak, wyjedzie do Nantucket jeszcze przed aukcją. Zanim zabiorą wszystkimi jej wspomnienia. Będzie patrzyła w przyszłość, właśnie tak, jak chciał by tego jej ojciec. Ogarnęło ją wspaniałe uczucie ulgi; wyczerpana, opadła znów na poduszki i po paru minutach już spała.

Gdy obudziła się następnego ranka, znalazła bilecik od Jonasa wsunięty pod drzwiami. Zjedźmy może lunch - napisał po prostu. Shannon poczuła się lepiej; powie mu o swoim postanowieniu i zobaczy, co on na to.

Zabrał ją do małej wiejskiej restauracji oddalonej o pół godziny jazdy. Leżały tam obrusy w niebieską kratę, a na ich stole w żółtym dzbanuszkach stał bukiet białych stokrotek. Było tam tłoczno i wokół panowała miła krzątanina.

- Ma się tu uczucie normalności - rzekła zaskoczona Shannon.

- I tak właśnie powinno być - odparł. - Wiem, Shannon, że to trudne, ale musisz się na to zdobyć. Starać się, by wszystko „wróciło do normy”. Poprosiłem cię, byśmy pojechali na lunch, bo martwię się o ciebie. Spada na ciebie cios za ciosem: twój ojciec, macocha. Will. Wygląda na to, że wszyscy cię opuszczają, ale chcę, żebyś wiedziała, że ja nie. Cokolwiek byś chciała zrobić, ja ci pomogę.

Spojrzała na niego z powagą. Miał na sobie niebieską koszulkę polo i marynarkę z lnu,

i wiedziała, że chciał wyglądać jak ktoś na luzie, ale jakoś nadal miało się wrażenie, że nosi urzędowy garnitur i krawat. Jego brązowe oczy spoglądały na nią z troską zza okularów w złotej oprawce. Shannon sięgnęła przez stół, wzięła go za rękę i z wdzięcznością ją ścisnęła.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki miły - powiedziała. - Teraz wiem, dlaczego mój ojciec nie odprawił cię, gdy przyszedłeś prosić o pracę.

- Wtedy, kiedy przyszedłem prosić o tę pracę, byłby całkowicie usprawiedliwiony, gdyby odprawił kogoś tak zuchwałego, nieokrzesanego i nieuprzejmego jak ja - zaśmiał się Jonas. - Chwała Bogu, nie zrobił tego, bo miałem już ostatnią dziesiątkę dolców i żadnych perspektyw. Postawiłem wszystko na zdobycie pracy u Boba Keeffe. Był moim ideałem przez te wszystkie lata, kiedy dorastałem: człowiek nie posiadający niczego, który dorobił się fortuny. Twój ojciec osiągnął to, o czym marzy Ameryka - i czego również ja pragnąłem. Pomyślałem sobie, że najlepiej nauczę się wszystkiego właśnie tutaj. No i tyle. Znasz teraz prawdę o mnie.

- Właściwie, to nic o tobie nie wiem - powiedziała zaskoczona.

- Pewnie dlatego, że nigdy niemyślałaś o mnie ani przez chwilę - odparował i obydwójce się zaśmiali. - No dobrze, teraz mnie masz, więc opowiedz mi o sobie - powiedziała przymilnie. - O tym, gdzie się urodziłeś, o swej rodzinie, o dziewczynach, o wszystkim. Ostatecznie, ty o mnie wiesz dużo.

Myślał przez chwilę, a potem powiedział:

- Mój ojciec był sukinsynem.

Spojrzała na niego zszokowana, a on ciągnął dalej:

- Był to zapijaczony tyran, który zostawiał swoją rodzinę częściej, niż z nią przebywał. Dzięki Bogu, ja prawie go nie znałem. Myślę zresztą, że matki też nie znałem za dobrze. Wychowywała mnie przede wszystkim moja babka. Była uroczą kobietą, córką lekarza. Uwielbiałem ją i zrobiłbym dla niej wszystko. Jestem jednak pewien, że nie chcesz słuchać tej smutnej opowieści - powiedział z przepaszającym uśmiechem, a ona skwapliwie zapewniła, że owszem, chce, pomyślał więc chwilę, po czym rzekł:

- Moja babka wyszła za czarującego ladaco. Była dziewczyną z małego miasteczka, która nigdy w życiu nie oddaliła się od swego domu w Karolinie dalej niż na sześćdziesiąt kilometrów, on zaś człowiekiem już po czterdziestce, w jakiś odmienny, szorstki sposób ujmującym. Babka mówiła, że był jak do rany przyłóż, gdy czegoś chciał - i niebawem przekonał ją, że się w niej zakochał. Wyznał, że dawniej rozrabiał i lubił sobie popijać. „Ale to wszystko przeszłość” - zapewniał ją, I biedna dziewczyna uwierzyła.

Miała dwadzieścia trzy lata, była prostolinijna i zakochana po raz pierwszy w życiu. Jej ojciec, lekarz, wyrzucił ją z domu, gdy powiedziała, że wychodzi za męża, z jego zgodą lub bez niej. Uciekli razem i od tej chwili zaczęły się wszystkie jej kłopoty. Wędrowali od miasta do miasta, od stanu do stanu, ciągle bez grosza. Czasami udawało mu się złapać dorywczą pracę, a ona wtedy miała nadzieję, że może zdołają osiąść w jednym miejscu, ale to nigdy nie trwało długo. Babka mówiła mi, że kiedy urodziła syna, mąż popatrzył na nich długo i surowo, tak jakby widział ich po raz pierwszy. Podniesionym głosem wyliczył, ile będzie kosztować go sprawowanie opieki nad nimi dwojgiem, po tem wyjął wszystkie co do centa pieniądze, jakie tylko miał w kieszeni, i położył je na stole. Powiedział, że wyjeżdża na zachód, sam. Słyszał, że można tam dorobić się w przemyśle naftowym. Będzie z nimi w kontakcie.

Przez pięć lat wychowywała chłopca samotnie, pracując w miejscowej drogerii i zarabiając

akurat tyle, żeby starczyło im na życie, choć jak mi powiedziała, przez cały ten czas ani razu nie kupiła sobie nowej sukni czy pary butów.

Wcale się nie spodziewała, że jeszcze go zobaczy, zdziwiła się więc, gdy po pięciu latach powrócił. Miał w kieszeni forszę i zabrał ich oboje na rancho, które - jak powiedział - kupił w Karolinie Południowej. Okazało się, że rancho to uboga mała farma, i nie miał nawet tytułu własności. Był dzierżawcą, najemnym farmerem, który uiszczal rentę dzierżawną, przekazując część swoich zbiorów. Zaprzęgał babkę do pracy w polu i nawet dziecko zmuszał, by - okryte swą małą kapotką - pomagało zbierać nędzne plony.

Jonas westchnął.

- Oczywiście, stało się to, co było nie do uniknięcia: znów ją zostawił i tym razem już nie wrócił. Nie miała pieniędzy i nie miała innego wyboru, jak tylko dalej tam siedzieć i prowadzić gospodarstwo z pomocą Noaha, młodego czarnego chłopaka, któremu kiedyś okazała przyjaźń i wsparcie.

- Pani sama nie być czym lepszym od niewolnika, psze pani - mówił Noah, widząc, jak pracuje wraz z nim na polu. I miał rację. Jonas uśmiechnął się ponuro do Shannon.

- To był skandal: biała córka lekarza i młody czarnuch mieszkający razem w czteroizbowym domu na farmie, nawet jeśli on sypiał w drewnianej przybudówce. Babka powiedziała mi, że bojkotowali ich wszyscy bogobojni, prawomyślni wieśniacy w okolicy i że ona przez dziesięć lat nie rozmawiała prawie z nikim, oprócz własnego syna i młodego Noaha. Jej syn, a mój ojciec, wyrósł na bosonogiego, biednego chłopaka, który zwiewał ze szkoły tak często, jak tylko mógł. Przepisową edukację zakończył w wieku piętnastu lat, a mając siedemnaście rozrabiał już w trzech hrabstwach. Gdy skończył osiemnastkę - myślę, że to było około 1949 roku - powołano go do wojska, czego ten chłopak nie znośił. Pił już wtedy bardzo dużo i uciekał z wojska tak samo, jak kiedyś uciekał ze szkoły. Po kilku miesiącach został wypuszczony na swobodę. Babcia nigdy nie dowiedziała się, z jakiego właściwie powodu, ale gdy zjawił się w domu, powiedział, że nie będzie pracować na farmie. Włóczył się po kraju, jak niegdyś jego ojciec, zostawiając ją tylko w towarzystwie Noaha. Od czasu do czasu zdarzało mu się wracać i wręczać jej zwitek banknotów, ale po paru nocach znowu zniknął, rwąc się do kompanów i do kieliszka. Babkę obezwładniał artretyzm i choć starała się ze wszystkich sił, niebawem wszystko musiał robić Noah.

Podeszła kelnerka, niosąc ich posiłek, a Jonas zwrócił się do Shannon:

- Czy jesteś pewna, że chcesz słuchać tego wszystkiego? Nie jest to chyba odpowiedni temat na rozmowę przy lunchu. Shannon twierdząco skinęła głową.

- Dobrze ci zrobi, jeśli się przed kimś wygadasz. A poza tym dopiero teraz czuję, że zaczynam cię poznawać. Pokiwał głową.

- W porządku. Gdy ojciec miał chyba około trzydziestki, spotkał Almę Brennan. Babcia powiedziała mi, że był to wtedy typ kobiety zwracającej uwagę, kołyszącej biodrami. Nosiła mocno wydekoltowane sukienki i dotrzymywała mu kroku w picciu. Przez cały czas sprzecjali się ostro ze sobą, aż w końcu on zniknął, zostawiając ją na kilka kolejnych miesięcy samą, bez grosza przy duszy. Alma nie znosiła tej farmy na pustkowiu, ale była w ciąży i nie miała wyboru. Ledwie się urodziłem, znalazła sobie pracę w sklepie w miasteczku, zamierzając oszczędzać, aby wyrwać się z tego piekła, ale za każdym razem, gdy dostawała wypłatę, napotykała na swej drodze atrakcje - jeśli miejscową knajpę można nazwać miejscem pełnym atrakcji i wszystko diabli brali.

Mój ojciec był już poważnie uzależniony, a potem któregoś dnia wyjechał i nigdy nie wrócił, tak

jak kiedyś mój dziadek. Matka większość czasu spędzała w knajpie, w końcu więc dali jej tam pracę. Bywalczy knajpy lubili ją, po kilku drinkach była wesolutka, wielka i rubaszna, i potrafiła równie dobrze dawać, jak i brać. Była dumna ze swego ciętego dowcipu, jak mówiła mi babcia, i korzystała z przyjemności, gdy tylko miała okazję.

Oczy Jonasa i Shannon spotkały się i wtedy rzekł z goryczą:

- Wychowałem się w małym miasteczku na Południu jako wnuk kobiety, o której mówiono, że żyła z czarnym, i jako syn miejscowej dziwki. Czy można się dziwić, że byłem odludkiem? Jacy rodzice po zwoliliby swemu dziecku przyjaźnić się z kimś takim jak ja?

- Biedny Jonas - powiedziała ze współczuciem Shannon, potrząsając głową. - Nie miałam pojęcia, że było aż tak źle.

- Nawet jeśli myślisz, że wiesz jak bardzo źle, mogę cię zapewnić, że było jeszcze gorzej - odrzekł ponuro. - Jedyne wybawienie okazała się moja babcia - kobieta wykształcona, która wychowała mnie i nauczyła czytać i pisać, wiele mi opowiadała i obdarzyła marzeniami. I kazała mi się trzymać z dala od picia. Postukał palcem wskazującym w szklankę z wodą, i rzekł:

- Nigdy w życiu nie piłem alkoholu, nawet kieliszka wina. Boję się, że jeśli to zrobię, skończę tak samo jak mój dziadek i ojciec. Zaśmiał się i nieco rozchmurzył.

- Myślę, że żadne z moich dawnych marzeń się nie spełniło. Nie zostałem bożyszczem piłki nożnej i nie zdobyłem stypendium do Notre Dame. Nigdy nie dostałem wymarzonego mustanga kabrioleta ani nie spotykałem się z piękną jasnowłosą hostessą. Jednakże otrzymałem specyficzne wykształcenie. Ciężko pracowałem i dostałem się do miejscowego college'u. Przez cały czas towarzyszyły mi zdjęcia twojego ojca przypięte do ściany, podobnie jak jemu reprodukcje van Gogha, jako symbol tego, co może dać ci marzenie. I zaraz po ukończeniu szkoły wyruszyłem prosto do Nowego Jorku. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej rozbrajająco. - A resztę już znasz.

- A co z twoją babką?

- Umarła na miesiąc przedtem, nim skończyłem szkołę. A matka zmarła jeszcze cztery lata wcześniej, na marskość wątroby. Pisano o tym w miejscowej gazecie, więc wszyscy wiedzieli, że ją zgarnięto którejs nocy z chodnika, gdy miała już krwotok z ust. Jej wątroba była w kawałkach. No więc dałem tylko klucze od farmy staremu przyjacielowi babki, Noahowi, i powiedziałem, że farma należy do niego, boja tam już nie wrócę. - Spojrzał na Shannon i dodał:

- I już nie wróciłem.

- Biedny Jonas - rzekła stłumionym głosem. - Biedny, samotny mały chłopiec. Mam wrażenie, że są sprawy, o których mi nie powiedziałeś. Wszystkie te sprawy, które miały tak duże znaczenie.

- Może masz rację - powiedział chłodno. - Ale przyjechaliśmy tu, żeby rozmawiać o tobie, a tymczasem ja nie dałem ci dojść do słowa.

W jego głosie nagle zabrzmiała rezerwa i Shannon pomyślała, że może już żałuje swego niespodziewanego wyznania, więc szybko po wiedziała mu o domku i o tym, że wyjedzie do Nantucket.

- Czy jesteś pewna, że będzie ci dobrze samej? - zapytał.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle jeszcze kiedykolwiek będzie mi dobrze - odparła z goryczą. - Jestem przekonana, że mój ojciec sam się nie zabił. Nigdy by tego nie zrobił akurat w dniu moich zaręczyn. Nie skrzywdziłby mnie w ten sposób. I nigdy by mnie nie zostawił bez środków do życia. Tatuś kochał życie; już raz dorobił się pieniędzy i dorobił by się ich znowu. Ty wiesz, że nie był pretensjonalny, nie był człowiekiem o „ego wybujałym jak drapacz chmur”, tak jak przedstawiają go

media.

- Posłuchaj, twój ojciec miał masę kłopotów - powiedział. - Był dumnym człowiekiem. Czasami upadek z piedestału może okazać się dla takiej osoby zbyt ciężki do zniesienia. A poza tym, kto wie co dzieje się w myślach innego człowieka? Sądysz, że kogoś znasz, aż nagle robi coś, co „nie pasuje” do niego. Chyba że - być może - nigdy przedtem nie dał ci poznać tej drugiej, ciemnej strony jego duszy. To się zdarzało wielkim ludziom w całej naszej historii, Shannon. Nie chcę cię denerwować, ale nie sądzę, że powinnaś rozmyślać, jak to się stało i dlaczego. Powinnaś myśleć o sobie, o wzięciu się w garść - i żyć dalej. A wiesz, że jeśli jest coś, w czym mogę ci pomóc - zrobię to.

Panowało między nimi życzliwe milczenie, gdy Jonas odwoził Shannon po raz ostatni do domu. Wiedziała, że ma rację. Jutro zostawi przeszłość za sobą i rozpocznie nowe życie jako nowy człowiek.

10

Maudie

Arnavarna

Znajdowałam się właśnie na promie, w drodze do Nantucket - po wiedziała Shannon. - Oparta o balustradę, wpatrywałam się w zielone fale, rozmyślając o ojcu. I wtedy uświadomiłam sobie, że byłam tak pochłonięta, próbując przekonać siebie samą i wszystkich wokół, że ojciec nie popełnił samobójstwa, iż ani razu nie pomyślałam o tym, kto go zabił. Ktoś z bliska strzelił do niego z zimną krwią, a potem umieścił rewolwer w miejscu, w którym wyglądał tak, jakby wypadł ojcu z ręki. Ktoś zamordował mojego ojca. A ja postanowiłam dowiedzieć się, kto.

Głos jej drżał, gdy wypowiadała te straszne słowa, a twarz miała tak bladą, że piegi widać było tak dobrze jak konfetti przed progiem kościoła po uroczystości ślubnej. Ujęłam jej rękę w swoją dłoń gestem pocieszenia.

- Jesteś dzielną dziewczyną - powiedziałam spokojnie. Uczucia Brygidy malowały się w jej oczach, gdy spoglądała na nią z namaszczeniem.

- Zaraz podam świeżej herbaty - wymamrotała. - Aj, i może z ociupiną whisky w środku, żeby twoje policzki znów nabrały koloru, biedna dziewczynko.

Psy zmieniły pozycję, opierając się pod stołem o kolana Shannon, a ona pochyliła się, by je pogłaskać. Po czym powiedziała cicho:

- Nie wiem, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej. Chyba po prostu nie dopuszczałam tej myśli do siebie. Wszystko wydawało mi się zbyt okropne, zbyt przerażające. Byłam tak wstrząśnięta, że naprawdę nie pamiętam nawet podróży do Domku Morskich Mgieł, ale gdy już tam dotarłam, poczułam się podniesiona na duchu. W jakiś dziwny sposób miałam wrażenie, że wróciłam do domu.

Był to maleńki domek o szarych gontach, kwadratowy i schludny jak dom dla lalek. Nad rozklekotanym gankiem znajdowała się malowana tabliczka z wypisanym nazwiskiem i datą 1790, a wybujały, zarośnięty ogródek zagłuszały róże i nasturcje. Tuż obok na prawo, na wpół ukryty w zaroślach, stał duży biały dom z werandą obiegającą go wokół na wysokości piętra, co sprawiało wrażenie pomieszania z poplątaniem.

Shannon nie w głowie było zwiedzanie. Rozpakowała swego laptopa i tłustym drukiem wypisała słowo: PODEJRZANI. Następnie przy pomniała sobie, jak gdzieś czytała, że większość zabójstw to zbrodnie na tle namiętności i że gliny poszukują podejrzanych zawsze w najbliższym otoczeniu, poniżej więc napisała: Joanna Belmont i Buffy Keeffe. A obok nazwisk dopisała: motyw - zazdrość.

Zastanowiła się, kogo jeszcze mogłaby dodać, a potem dorzuciła do listy: Jonas Brennan, Jack Wexler i Brad Jeffries, ponieważ byli to trzej ludzie znajdujący się najbliżej jej ojca i powinni wiedzieć, jak stały jego interesy. Następnie przypomniała sobie, jak ktoś jej mówił, że ludzie po kroju jej ojca nie osiągnęli swojej pozycji bez tego, by narobić sobie tysiąc wrogów przypadających na jednego przyjaciela i serce w niej zmarło. Budowa Wieży Keefea była opóźniona z powodu strajków i sporów - i praktycznie każdy spośród kilku setek robotników, kontrahentów czy też dostawców, którzy w nich uczestniczyli, mógł żywić do niego urazę.

A mógł to być po prostu ktoś obcy; ktoś z zaproszonych na przyjęcie, barman lub może jakiś intruz, złodziej, psychopata. Mógł to być prawie każdy, pomyślała z rozpaczą, i na tym polegał problem. Nie mogła pójść na policję i powiedzieć, że ona po prostu wie, że jej ojciec został zamordowany. Policjanci chcieliby znać powody, motyw, materiał dowodowy, a ona nie miała żadnej z tych rzeczy. I nie wiedziała, od czego zacząć, by je znaleźć.

Załatwiła sobie pracę kelnerki w Fish Cafe u Harriet w Nantucket.

- Dwadzieścia dolców za wieczór plus napiwki - powiedziała jej Harriet - a praca jest ciężka.

Owszem, była ciężka, ale przynajmniej oderwała myśli Shannon od jej zmartwień. Urządzenie Domku Morskich Mgieł wypełniało jej dni, a praca u Harriet zajmowała wieczory, najbardziej jednak bała się nocy, gdy była sama na sam ze swoimi myślami. Nawet kiedy zasnęła, okropne wspomnienia kłębiły się w jej podświadomości - i budziła się z krzykiem na mokrej od łez poduszce. Nienawidziła wolnych dni, gdy zostawała sama, nie mając czym wypełnić długich godzin. Spacerowała po pustej plaży, ciskając drobnymi kamykami w fale i rozmyślając o swym zmartwieniu. W powietrzu czuło się sól i zapach łososi, a jedyny dźwięk przynosił lekki wiatr poruszający trawę i cichy pomruk fal wzdłuż wybrzeża, a ona czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem i marzyła tylko, by móc cofnąć wskazówki zegara i wrócić do przeszłości, gdzie wszystko znowu byłoby w porządku.

Deszczowe chmury zbierały się nad głową, gdy wracała do domku. Przez długi czas wpatrywała się w komputer ze swą listą podejrzanych, a potem wyłączyła go z westchnieniem rezygnacji i krążyła niespokojnie po domku, spoglądając na deszcz za oknem i na pusty sąsiedni dom.

Samotność mieszała się z nudą, podstawiła więc krzesło pod drzwi zapadowe prowadzące na strych i pchnęła je. Nie otwierano ich przez całe lata; nie ustępowały, popchnęła więc mocniej. Otworzyły się ze zgrzytem, a wtedy wdrapała się przez otwór i rozejrzała wokół rozczarowana.

Miała nadzieję, że zastanie poddasze wypełnione rupieciami, w których będzie mogła poszperać. Nie wiedziała, czego szuka. Przypuszczała, że po prostu jakiegoś dowodu na to, że jej rodzice kiedyś tutaj byli. Ale stał tu tylko kredens kuchenny pod ścianą oraz kilka pudełek ze starymi kuchennymi bambetlami, jak wyszczerbione filiżanki i spodki, wysłużone garnki i rondle.

W szczytowej ścianie dostrzegła małe okrągłe okienko, popatrzyła więc, poprzez deszcz, na biały dom. Nie wiedziała dlaczego, ale ten dom ją intrygował. Różnił się od „klocków” typowych dla budownictwa Nantucket. Zewsząd szczelnie zamknięty i milczący, wydawał się czymś egzotycznym, prawie tajemniczym.

Nagle poczuła, że wokół niej zalega cisza. Było to dziwne i straszne, jakby czas stanął w miejscu i wszystkie dźwięki ustały wraz z nim. Coś zaszeleściło. Włosy zjeżyły się jej na głowie, a gęsia skórka pojawiła się na rękach - i niewiele brakowało, by zemdląca ze strachu, gdy coś wypadło z wnętrza w miejscu, gdzie krzyżowały się dwie belki.

Podniosła to coś szybkim ruchem. Była to stara koperta z manilskiego papieru, a w środku

znajdował się plik listów przewiązany różową wstążką. Papier był kruchy ze starości, sypiący się na brzegach; atrament wyblakł, a dziecięce bazgroły ledwie dawały się odczytać.

Adres w nagłówku każdego listu brzmiał:

Zamek Ardnarnach, Connemara; zaczynały się od: Najdroższa Lily, a podpisane były: twoja kochająca siostra Ciel.

Papa tak bardzo się zmienił... - pisała Ciel. - Zawsze kiedy mnie widzi, robi się czerwony na twarzy z gniewu, prawdopodobnie dlatego, że mu ciebie przypominam, choć nie jesteśmy do siebie ani trochę podobne... Kochana Mama tak po tobie rozpaczała, że sama wpędziła się do grobu... Czuję się bez ciebie tak samotna, i tak samo twój ulubiony pies, Fergal, który spłodził nowy miot szczeniąt, a jest ich siedem i wszystkie jak najbardziej w czarne centki, z najśłodszymi, różowymi noskami. Och, jak bym chciała, żebyś je mogła zobaczyć...

Shannon włożyła smutne liściki z powrotem do koperty, zastanawiając się, co robią tu, na poddaszu Domku Morskich Mgieł.

W szufladach kredensu nie było nic ciekawego, tylko stare płócienne obrusy, przy zasuwaniu szuflad spostrzegła duży prostokątny przedmiot wciśnięty za nie tak, jakby ktoś chciał go tam ukryć. Odsunęła kredens i ostrożnie wyciągnęła to coś. Znalazła tam obraz w ozdobnej, pozłacanej ramie: portret młodej dziewczyny. Była prawdziwą pięknoscią. Skórę miała śmietankową, wargi czerwone, a jej lśniące czarne loki opadały wdzięcznie na obnażone ramiona. Coś aroganckiego kryło się w uniesionym podbródku - i władcze spojrzenie w ciemnoniebieskich oczach. A jej szyję otaczał wdzięczny naszyjnik z diamentową podwójną kokardką, który właśnie w tej chwili spoczywał w szkatułce Shannon.

Shannon wpatrywała się weń osłupiała, odczytując na głos nazwisko z zaśnieżonej mosiężnej płytki umieszczonej na ramie: „Lily Molyneux, 1883”.

- To przecież Lily z listów - wykrzyknęła w podnieceniu. - Z Ardnarnach! - Zniosła ostrożnie portret na dół, odkurzyła i oparła o ścianę kuchni. Kim właściwie była Lily Molyneux? - myślała zaintrygowana. I co jej portret robił na strychu u Shannon? I dlaczego Lily Molyneux miała na sobie jej naszyjnik?

Następnego ranka w pierwszym rzędzie popędziła na pocztę we wsi.

- Czy jest do mnie jakiś list? - zapytała z nadzieją w głosie, opierając łokcie o kontuar i uśmiechając się do siwowłosej urzędniczki pocztowej. Ale listy nie były jedynym powodem, dla którego tu przyszła; wiedziała, że rodzina pani Conrad mieszka na wyspie od kilku pokoleń, poczynając od dawnych czasów polowań na wieloryby i że ona sama jest spowinowacana niemalże ze wszystkimi mieszkańcami Nantucket. Jeśli ktoś wiedział coś na temat Lily, tym kimś była pani Conrad.

- Ma pani dziś dwa listy - odpowiedziała, rozpromieniając się pani Conrad. - to z Nowego Jorku.

- Z Nowego Jorku? - Zaskoczona Shannon wepchnęła je do kieszeni, by przeczytać później. - Pani Conrad - rzekła. - Jestem ciekawa, czy wie pani coś na temat Lily Molyneux?

Pani Conrad zawsze mówiła ludziom, że nie ma zwyczaju węszyć; ona po prostu z natury jest ciekawa. Była taka od dziecka i w ten sposób przypadkiem zna sprawy i dzieje wszystkich.

- Lily? - powiedziała z namysłem. - No jakże, to ukochana Neda Sheridana, a w każdym razie tak się mówiło. Opowiada się, że zbudował swój dom obok Domku Morskich Mgieł, żeby być blisko niej. A ta za tracona doprowadziła go prawie do ruiny.

- Ale kim ona była?

- Cudzoziemką. Przybyła na wyspę jako młoda dziewczyna, a Sheridanowie darzyli ją przyjaźnią. Mieszkała tu przez krótki czas, sama w swym domku, a potem po prostu zniknęła. Nie sędzę, żeby ktoś wiele pamiętał na jej temat poza tym, jak bardzo była piękna. Jej uroda stała się legendą i nikt z tych, którzy ją ujrzeli, nie mógł jej zapomnieć. Swoje wspomnienia przekazali dzieciom, a potem dzieciom ich dzieci, aż wszystko to stało się tworzywem, z którego powstają sny. Albo duchy.

Zaśmiała się, kiedy Shannon spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Nantucket zawsze było wyspą nawiedzaną przez duchy - dodała figlarnie. - Przypuszczam, że niektórzy tutejsi mieszkańcy polubili to miejsce tak bardzo, że wcale nie chcieli stąd odejść.

Shannon zadrżała na myśl o niesamowitej ciszy na poddaszu. Oparła się skwapliwie o kontuar, z podbródkiem w dłoniach i słuchała.

- Sheridanowie mieszkali na tej wyspie przez prawie sto lat - po wiedziała pani Conrad. - Ojciec Neda był kiedyś wielorybnikiem, lecz z chwilą wprowadzenia oczyszczonej nafty wszystko to się skończyło, tak więc założył sobie na Steamboat Wharf (Nabrzeżu Parostatków) przedsiębiorstwo dostaw zaopatrzenia dla statków. Była to zawsze rodzina żeglarzy i dobrych praktykujących metodystów, musieli więc przeżyć szok, gdy ich jedyny syn Ned oświadczył im, że chce zostać aktorem.

Możesz sobie wyobrazić, jaką wywołało to konsternację; no i jakim było zmartwieniem! Ned ukończył studia jak trzeba, ale nie zgodził się podjąć jakiegoś godnego szacunku zajęcia tak, jak tego chcieli - i uciekł, by zostać aktorem. Tak czy inaczej stał się sławny. Gwiazdor, można by rzec.

W tamtych czasach teatry nie miały klimatyzacji, tak że gorące miesiące lata wszyscy aktorzy spędzali, wypoczywając na wybrzeżu. Na po czątku wieku istniała tu w Sconset dosyć znana kolonia aktorska, więc Ned Sheridan powrócił i zbudował swój dziwaczny dom, dokładnie taki sam, jaki kiedyś zobaczył podczas podróży na Hawaje, z salonem i we randą na piętrze, by oglądać stamtąd widoki.

Mówiono, że dom był zawsze pełen przyjaciół - innych aktorów razem z ich dziećmi, i że często urządzali przedstawienia dla tutejszych mieszkańców. Najwidoczniej ci weseli, mili ludzie czuli się tu dobrze i wszyscy ich bardzo lubili. Ale później, wraz z wprowadzeniem klimatyzacji, kiedy teatry zaczęły działać również latem, wynieśli się stąd. Wydaje mi się, że Ned przywoził tu niekiedy swoje dzieci, ale po jakimś czasie to też się urwało.

Tak czy siak, moja droga, to jest wszystko, co ci potrafię powiedzieć. Córki Sheridana wyjechały z wyspy i żadna z nich już nigdy nie wróciła do Nantucket, a więc nie wiem, co się z nim stało. Wiem tylko to, że Lily Molyneux stała się wielką miłością jego życia. - Roześmiała się. - może takie powinno być jego epitafium.

Shannon wracała do domku wolnym krokiem, rozmyślając o Nedzie Sheridanie. Wpatrywała się w biały dom, wyobrażając sobie, jak wypełniała go hałaśliwa, wesola gromada aktorów i dzieci, które biegały w tę i z powrotem, Ned zaś z tęsknotą spoglądał w stronę sąsiedniego domu, żałując, że nie może być ze swoją ukochaną, Lily Molyneux.

Pod wpływem impulsu, podeszła do drzwi i wzięła za klamkę. Ku jej zdziwieniu, nie były zamknięte na klucz.

Rzuciła lękliwe spojrzenia przez ramię, gdy wchodziła po krętych drewnianych schodach, mając w pamięci aluzje pani Conrad do duchów, ale kiedy otworzyła okiennice, wielki salon wypełnił się jasnym blaskiem słonecznym wczesnego poranka i upiorny nastrój zniknął. Rozejrzała się ciekawie dokoła. Były tam stare krzesła, stół ze złamaną nogą i sfatygowany wschodni dywan. Kilka plakatów

teatralnych w zaśniedziałych mosiężnych ramach wciąż wisiało na ścianach, zapowiadając Neda Sheridana w roli Hamleta, w roli hrabiego Monte Christo, oraz „Małżeństwo Sheridanów” jako Romea i Julię. W rogu, za uszkodzonym stołem, na wpół zakryty starym kilimem znajdował się kufer, wypchany starymi kostiumami teatralnymi - i Shannon natrafiła na schowany pomiędzy nimi album zdjęć.

Odkurzyła poplamioną aksamitną okładkę w kolorze burgunda i przewracała puste kartki, aż natrafiła na jedyną fotografię. Wiedziała, że to musi być Ned. Wysoki, szczupły, z gęstymi jasnymi włosami zsuwającymi się jedwabście na oczy, w których Shannon dostrzegła wyraz jakiejś zuchowatości. Pomyślała, że Ned Sheridan był bardzo przystojnym mężczyzną; typem, który nazwać by można urodziwym, i że on i Lily musieli stanowić olśniewającą parę.

Kochankowie - pomyślała. Czyż nie to właśnie powiedziała pani Conrad? Wsunąwszy album fotograficzny pod pachę, zeszła znów ze schodów i wróciła do swojego domku. Zdążyła już prawie zapomnieć o dwóch listach, które miała w kieszeni; wyjęła je teraz. Pierwszy list był z jej banku i zawiadamiał, że ma jeszcze na koncie trzy tysiące dwadzieścia pięć dolarów, oraz otwartą linię kredytowania do wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, za które poręcza pan J. K. Brennan. Drugi napisał Jonas.

Wiem, że się porządnie zdenerwujesz, gdy otrzymasz wiadomość z banku, ale chcę tylko ci zapewnić komfort psychiczny, że w razie potrzeby pieniądze są. Oczywiście nie pogniewam się, jeśli ich nie weźmiesz. Ale przeżywasz w tej chwili zbyt wiele zmian, by jeszcze martwić się o płaconie czynszu i o jedzenie. Uwierz mi, ja to znam. Korzystaj z tych pieniędzy, jeśli tylko - i kiedy tylko - będą ci potrzebne. Choć tyle mogę dla ciebie zrobić, aby odwdzińczyć się za wszystko, co twój ojciec zrobił dla mnie.

Zatelefonowała do niego od razu.

- Nie wiem, jak ci dziękować za pieniądze - powiedziała z prostotą. - Jednak nie skorzystam z nich. Mam pracę; zarabiam tyle, że starcza mi na życie.

Chciała mu udowodnić, że nie jest tylko rozpieszczoną bogatą dziewczyną. Chciała, by wiedział, że jest nieodrodną córką swego ojca.

- Niech to będzie rezerwa - powiedział. Zapanowało niezręczne milczenie, po czym rzekł:

- No więc? Co porabiasz tam w Nantucket?

- Jestem kelnerką. - Zaśmiała się, myśląc o Harriet. - I idzie mi to całkiem dobrze.

- Wspaniale - powiedział, a w jego głosie zabrzmiało zdziwienie. - Daj mi znać, kiedy będziesz miała ochotę na towarzystwo.

- Dam znać - obiecała. - dziękuję. Jesteś jedyną osobą, która rozmawiała ze mną na serio. Jedyną, która naprawdę pomogła.

- Nawet Buffy nie? - zapytał.

- Nawet Buffy nie.

- No, patrzcie - powiedział ponuro. - Dobra, nie ma za co dziękować. Gdybyś mnie potrzebowała, pamiętaj, że jestem, Shannon. Zajmij się teraz sobą.

W Fish Cafe u Harriet panował tego wieczora ruch, lecz Shannon ledwie to zauważała, pochłonięta myślami o Nedzie i Lily oraz zagadką, dlaczego ona, Shannon, jest właścicielką diamentowego naszyjnika Lily Molyneux. W jaki sposób Bob Keeffe wszedł w jego posiadanie? I dlaczego twierdził, że jest to w pewnym sensie rodowa spuścizna?

Odpowiedź przysłała do niej tej nocy, gdy leżała już w łóżku. Jedną z niewielu rzeczy, które

ojciec opowiedział jej o sobie, było to, że O'Keeffeowie pochodzą z Connemara. A Lily Molyneux również pochodziła z Connemara.

Usiadła w łóżku i zapaliła lampkę, wpatrując się w oparte o nią zdjęcie Neda Sheridana, pakietek listów od Ciel i w portret z diamentowym naszyjnikiem. Istniała jakaś więź między O'Keeffeami i rodziną Molyneux; wiedziała o tym i już.

Nie namyślała się długo. Następnego ranka zamknęła Domek Morskich Mgieł, zostawiła Harriet swoje wypowiedzenie, wsiadła na prom wracający na stały ląd - i złapała pierwszy samolot do Irlandii.

- No i właśnie dlatego teraz tu jestem - Shannon zakończyła swoją opowieść jednym tchem. - Aby dowiedzieć się czegoś o Lily, o rodzinie O'Keeffe i o swojej własnej. Pomyślałam sobie, że to pomoże mi poznać prawdę o ojcu.

- Kto wie - zastanowiłam się - ale na pewno mogę opowiedzieć ci historię Lily.

- Moim zdaniem, kłopoty zawsze zaczynają się przez kobietę - odezwała się ze znanstwem Brygida. - Cherchez la femme, ot co! Spojrzałam na nią zaskoczona.

- Nie wiedziałam, że mówisz po francusku, Brygido.

- Och, liznęłam co nieco przez te lata - odparła szorstko. - Powiedz nam może coś więcej o Joannie - zwróciła się do Shannon.

- Wiem, że ojcu naprawdę na niej zależało i myślę, że Joannie też. Czy inaczej siedziałyby tak cicho przez te wszystkie lata? Ostatecznie, gdyby chodziło jej tylko o pieniądze, żyłyby w przepychu, obwieszona klejnotami, starając się, by wszyscy to widzieli. - Potem dodała cichym głosem:

- Wiecie, gdy byłam w Nantucket, wiele myślałam o Joannie. Zastanawiałam się, że została sama jedna, zupełnie tak jak ja - i nie potrafiłam jej nie współczuć. Nie było jej dane przyjść nawet na pogrzeb i stanowiła uosobienie dyskrecji; jej nazwisko ani razu nie pojawiło się w prasie. Nie miała nikogo, z kim mogłaby o moim ojcu porozmawiać, nikogo, kto podniósłby ją na duchu i doskonale wiedziałam, jak ona się czuje. Napisałam nawet do niej krótki liścik, coś co jedno zranione serce może powiedzieć drugiemu. - Wzruszyła ramionami. - Pomyślałam, że przynajmniej to mogę zrobić. Dla mojego ojca.

- A co z okrutną macochą? - zapytała pośpiesznie Brygida. Shannon uśmiechnęła się.

- Buffy nie była okrutna, tylko samolubna i... nieżyczliwa.

- Mhm - odezwałam się w zadumie, - Wydaje mi się, że pamiętam, jak dokładnie te same słowa mówiono o Lily.

- Tak czy owak, morderstwo po prostu nie jest w stylu Buffy. Gdyby chciała się uwolnić od ojca, wybrałaby raczej gładki, kulturalny rozwód z medalami za dzielną postawę wobec brzemienia ciężkich powinności społecznych. Otrzymałaby wynagrodzenie za wysługę lat, no i wreszcie ogromny „złoty spadochron alimentacji”, - Opowiedz nam o współnikach - zaproponowałam, kiedy Brygida dolewała herbaty.

Shannon myślała przez chwilę.

- Wiem, że Jack Wexler odczuwał zawiść, ponieważ ojciec zaprojektowanie swego wymarzonego budynku powierzył sławnemu architektowi, a nie jemu. Tata powiedział mi kiedyś, że jego zdaniem Jack wyobraża sobie, że siedzi na jego stołku. Ale to jeszcze nie czyni z człowieka zbrodniarza, prawda?

A znowu Brada Jeffriesa Znam, odkąd byłam mała. Nie potrafię myśleć o nim jako o mordercy. Ale może po cichu był zazdrosny o popularność mojego ojca lub miał już dość odgrywania roli

niewidzialnej ręki w Keeffe Holdings? A może powodem stała się zachłanność?

- A Jonas Brennan? - zapytałam z ciekawością. Wydała głębokie westchnienie.

- Kto wie, co dałoby się powiedzieć o nim jako „o prawej ręce szefa”. Ale tata wiedział, że Jonas jest ambitny i za to go lubił. A ja uwierzyłam mu, gdy powiedział, że gdyby w jakikolwiek sposób mógł zapobiec tragedii, z całą pewnością by to zrobił. Poza tym - dodała - myślę, że okazał się dla mnie dobrym przyjacielem. Był tym jedynym, który w ogóle coś zrobił, żeby mi pomóc. Bufty po prostu odeszła, a co do Bra da i Jacka, wiedziałam, że ich deklaracje pomocy to tylko puste gadanie. - Wzruszyła ramionami ze zrozumieniem. - Ostatecznie, skoro interes upadł, oni stracili pracę, a zapewne również swoje własne majątki.

- I krótko mówiąc - zakończyła cichym głosem, spoglądając smutno na nas tymi wielkimi szarymi oczyma - oto jestem.

Mamusia zawsze mówiła, że jest rzeczą niemożliwą, bym zamknęła usta, ale opowieść Shannon zmusiła mnie do milczenia i ten jeden raz wysłuchałam jej prawie bez słowa. Była to naprawdę niesamowita opowieść o morderstwie, o milionach i o snach pełnych duchów. A potem pomyślałam o moim drugim gościu, który w tej chwili bawił w Galway, i się uśmiechnęłam. Może ze snami wiązało się więcej, niż sądziłam. I - tyleż ze współczucia, co z zainteresowania zaproponowałam jej, by została.

- Ardnava ma zawsze jest miejscem dobrym dla ludzi, którzy mają kłopoty - powiedziałam jej - a ty, jak widzę, do nich należysz. Tutaj nic nie zakłóci twojego spokoju. Z wyjątkiem może... Spojrzała na mnie wyczekująco, ale ja tylko się uśmiechnęłam. Chciałam zachować na później swój „zbieg okoliczności”, swój sekret, swoją niespodziankę. - No to teraz będziemy musiały sprawdzić, jaki pokój mógłby ci się podobać - rzekłam żywo. - O mój Boże, to już pół do siódmej? Kolacja o ósmej, kochanie. I naturalnie, zawsze się przebieramy.

Pokazałam Shannon jej pokój, ten, który niegdyś był pokojem mamusi, położony nad frontowym gankiem; wyglądało na to, że jest nim zachwycona, szczególnie zaś wielką łazienką z ogromną wanną na nóżkach w kształcie zwierzęcych szponów, która stała na samym środku - i z wiktoriańską mosiężną armaturą. Wiem, że ręczniki zrobiły się cienkie ze starości, a może nawet jest w nich kilka dziur, ale bez względu na to rozkosznie pachną świeżym słonym wiatrem i lawendą, trzymaną w bieliźniarce. Upредиłam Shannon, że woda może być nieco brązowa, ale zawsze tak bywa po deszczu, i że jest taka tylko od torfu - po czym zostawiłam ją, by wymoczyła się w wannie.

Wróciłam korytarzem na piętrze do mojego pokoju, który zajmuje południowo-wschodni narożnik domu. Odkąd skończyłam dwanaście lat, ten pokój zawsze był mój, a gdy mamusia odeszła, jakoś nie miałam już serca przeprowadzić się do jej większego pokoju.

Otóż, mój pokój nie jest oczywiście ciasny, choć trochę za bardzo kwadratowy w swym zarysie. Jest tam wiktoriańskie łóżko z baldachimem i ozdobami z mosiądzu, a w nim materac ręcznie robiony u Healsa czterdzieści lat temu i wciąż tak mocny, jak w dniu, w którym go kupiono. Pościel - z irlandzkiego lnianego płótna, oczywiście zużyta, jak wszystko w tym domu, lecz gdy leżysz w łóżku, nie ma dla skóry nic miłszego nad dotyk lnu. Dywan jest ten sam, co zawsze: chiński, z wyblakłymi niebieskawo-zielonkawymi zawijasami i szlakiem dookoła, przedstawiającym kwiaty lotosu. Nie brak też cudownej, wielkiej, kwadratowej toaletki ze zwyczajnym u mnie natłokiem srebrnych i kryształowych drobiazgów: podstawki na pierścionki, pojemniczki na szpilki, miniaturowe naczynka i lichterze, fotografie i stare listy, szczotki i lusterka. A na rzeźbionym sosnowym gzymsie nad kominkiem jest cała kolekcja nakrapianych porcelanowych pieszków, którymi przez wszystkie

lata obdarowywała mnie rodzina i przyjaciele, znający moje przywiązanie do rasy dalmatyńczyków. Przed kominkiem stoi wygodny fotel klubowy pokryty kwiecistym kretonem, z małym podnóżkiem, którego tkane obicie wykonała moja babcia, lady Nora; najwidoczniej poświęcała nie kończące się godziny tego rodzaju rzeczom, wypełniając nasze pokoje poduszkami, obiciami na krzesła i taśmami do dzwonek. Mój Boże, jej ręce z pewnością nigdy nie pozostały bezczynne! Wielkie okno wychodzi na tyły domu, dając widok na wzgórza z tym zachwycającym mignięciem morza w prześwicie, co jest pierwszą rzeczą, na którą spoglądam każdego ranka, gdy otworzę oczy. A zasłony są z niebieskawo-różowego kwiecistego perkalu, by pasowały do fotela - i równie stare, jak materac, choć nie tak stare, jak ja.

Przy jednej ze ścian stoi para znakomitych szaf na ubrania, a w przy ległej gotowalni znajdują się jeszcze inne, wszystkie wypchane po brzegi skarbami mojego życia. Och, uwielbiam stroje, nawet dziś, gdy jestem na etapie starczego dzieciństwa.

Kocham także ten pokój. Pamiętam, jak w dzieciństwie wyczekiwałam, kiedy będę chora - nie poważnego: ot, lekkie niedomaganie, lecz wystarczające, bym mogła leżeć w łóżku i by mi przynoszono tace pełne wszystkich smakołyków, za którymi przepadałam, „aby pobudzić mój apetyt”. Lubiłam leżeć oparta o górę poduszek, spoglądając przez okno na morze, czując się rozkosznie objedzona i ospała, dopóki ktoś - mamusia, papcio lub jacyś przyjaciele - nie wsunął tu głowy przez drzwi i nie rzekł: „Witaj, młoda damo, no to co się z tobą dzieje?” A wtedy moja zaciszna norka ożywała od śmiechu i pogaduszek, od uścisków i po całunków, gdyż nie wyglądało na to, by ktokolwiek w najmniejszym stopniu przejmował się perspektywą złapania ode mnie zarazków.

Wicie, to doprawdy pech - i nie wyobrażajcie sobie, iż nie ubolewałam nad tym przez wszystkie te lata - że nigdy nie miałam dzieci. Bóg wyrządził mi w tym wypadku krzywdę, ponieważ niewątpliwie ich pragnęłam: chciałam mieć dziecko z Archiem, moją pierwszą miłością, ale nigdy nie nadarzyła się taka sposobność; także z moim mężem, lecz widocznie zabrakło szczęścia; a później z mężczyzną, którego kochałam i którego omal nie poślubiłam, lecz los zrządził inaczej. Wiele razy myślałam o tym, jak inaczej wyglądałoby moje życie w Ardnawie pełnej dzieci, a potem wnuków tak jak to jest w większości irlandzkich domów. Nie zrozumcie mnie źle, nie jestem samotna. O nie, nigdy tak nie było. Po prostu czasami ogarnia mnie zaduma nad tym, szczególnie pod czas długich i ciemnych, zimowych wieczorów. I dlatego byłam taka zadowolona tego dnia.

Powód był taki, że - widzicie - miałam w domu jeszcze jednego gościa. Mój „zbieg okoliczności” pojechał do Galway, ale umówiliśmy się, że wróci, by zdążyć na kolację i tego wieczoru chciałam się poczuć prawie tak, jakbym zgromadziła przy stole wnuki. Wiedziałam, że muszę szybko wziąć kąpiel, a potem dopilnować Brygidy w kuchni. Wprawdzie dwie dziewczyny ze wsi przyszły jej pomóc, lecz przecież i tak jest to staruszka, choć nie przyznałaby się do tego; chciałam się więc upewnić, czy dobrze sobie radzi.

Postanowiłam włożyć sukienkę z różowego szyfonu z małą pelerynką na ramionach. Kiedyś mówiono na nią „krzykliwie” różowa - jest to jedna z moich ulubionych sukien. We włosy wpięłam diamentową strzałę, którą dał mi kiedyś Archie, założyłam też diamentowe klipsy; zestaw ten jest staroświecki i może nieco tracący myszką, ale za to dobry. Po nieważ moja klatka piersiowa zrobiła się teraz tak koścista, że nie ma sensu noszenie dekoltu, spięłam pod szyją pelerynkę swą ulubioną emaliową broszką w kształcie lisa, kupioną przed laty na jarmarku. Oczywiście, jedwabne pończochy - moja największa ekstrawagancja - następnie srebrne sandały na wysokim obcasie - i pryśnicie perfum „L'Heure Bleue” Guerlaina. Pomyślałam, że powinno wystarczyć.

Znalazłszy się znowu na dole, zajrzałam do Brygidy w kuchni, potem rzuciłam się zapalać świece i lampy, i strzepywać poduszki niczym zdenerwowana pani domu na swoim pierwszym przyjęciu, ponieważ czułam się jak na rozżarzonych węglach w oczekiwaniu na swą małą niespodziankę. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, zanosilo się na dobrą zabawę. A może należałoby powiedzieć: „atmosfera tajemniczości się zagęszcza?”.

Wysokie okna otwarto na oścież, by wpuścić nocne powietrze, usłyszałam więc odgłos nadjeżdżającego samochodu, a potem pośpieszne kroki, przeskakiwanie po dwa stopnie naraz. Uśmiechnęłam się do wspomnień, słysząc to fatalne trzaśnięcie na drugim stopniu od góry. Zajęłam się stojącymi na kredensie butelkami, dolewając trochę tego i trochę tamtego do naczynia z 1920 roku, przeznaczonego do mieszania koktajli. Zegar w holu wybił akurat ósmą, po czym zadźwięczała krótka melodyjka. Po kilku chwilach usłyszałam, jak Shannon schodzi. Wkroczyła, otoczona chmurką zapachu Chanel No.

Zlustrowałam ją baczny wzrokiem, tak jakbym to robiła z własną wnuczką, przechylając na bok głowę i mrużąc oczy. Była ubrana w długą suknię-tubę z czarnego dżerseju z głębokim wycięciem w kształcie litery V i długimi obcisłymi rękawami, a jej smukłą talię opinał pas z ozdobnymi kitkami. Rude włosy dziewczyny w świetle padającym od tyłu wyglądały jak aureola; nie miała prawie wcale makijażu i ani kawałka biżuterii. - No, proszę - rzekłam z aprobatą - czyż nie wyglądasz wspaniale? Trochę zbyt skromnie jak na mój gust, miłe dziewczę, ale jesteś na tyle młoda i na tyle piękna, że sobie z tym dajesz radę. Co do mnie, to tak jak moja matka, zawsze musiałam polegać na błyskotkach, by zostać za uważoną.

Ujrzałam, jak szeroko otwartymi oczyma gapi się na moją sukienkę i srebrne obcasy, dzięki którym moje nogi w kostkach wyglądają tak delikatnie, jak u podlotka; na moje usta pociągnięte różową pomadką w dobrze dobranym kolorze - i na diamenty w świeżo podkreconych loczkach, obróciłam się więc dokoła jak dziewczyna i powiedziałam, promieniejąc:

- Schiaparelli, rok 1932. Niezłe, prawda?

- Cudowne! - W jej głosie brzmiał nabożny zachwyt.

- Musiałam być wtedy mniej więcej w twoim wieku. Och, a ile odwiedzałam wspaniałych miejsc w Londynie i w Paryżu! Uwielbiałam Paryż. No i stroje, szczególnie kapelusze. Moja ty kochana, nawet dziś bardzo bym nie chciała powiedzieć ci, ile pieniędzy roztrwoniłam na te cacuszka z siateczki i piór, jakie nosiłyśmy w latach trzydziestych. Inna sprawa, że czyniły one cuda, jeśli chodzi o wygląd dziewczyny. Nadal mam je na górze. Przypomnij mi, żebym ci je później pokazała.

Brygida wymamrotała coś pod nosem, gdy przechodziła majestatycznie koło mnie, niosąc tacę z przekąskami.

- Co takiego, Brygido? - zapytałam.

- Na wiele się one pani zdały, te kapelusze - wrzasnęła z szyderstwem w głosie. - Trzeba było zaoszczędzić pieniądze.

Otóż oszczędzanie pieniędzy nigdy nie było moją mocną stroną i ona o tym wiedziała. Pośpiesznie odezwałam się więc do Shannon:

- Chodź tutaj, dziewczę; możesz się do czegoś przydać, czemuż by nie. Moje stare ręce jeszcze utrzymują w ryzach ognistego konia do polowań, ale artretyzm jest zabawną przypadłością, bo okazuje się, że są już zbyt zeszywniałe, by wymieszać udany koktajl.

Posłusznie zamieszała koktajle i zobaczyłam, że zauważyła trzy szklanki, z których każda była inna, gdyż nie ma już niczego do kompletu - naszykowane na zmatowiałej srebrnej tacy.

- Spodziewam się jeszcze jednego gościa - powiedziałam akurat w chwili, gdy schody zaskrzypiały. Usłyszałyśmy jego kroki w holu, drzwi do salonu zostały gwałtownie otwarte - i gość wszedł do środka.

Shannon spojrzała na niego. Naczynie koktajlowe, które miała w rękach, z trzaskiem upadło na srebrną tacę, rozbijając szklanki.

Młody człowiek stojący w drzwiach też gapił się na nią. Wysoki, przystojny młody mężczyzna o jedwabistych blond włosach.

- Moja droga Shannon - odezwałam się, z arystokratyczną ostentacją, nie zwracając uwagi na potłuczone szklanki. - Chciałabym, abyś poznała prawnuka Neda Sheridana, Edwarda Sheridana. Eddie, to jest Shannon Keeffe.

Zmrużyłam oczy, przyglądając się, jak wymieniają uścisk dłoni, z rezerwą mierząc się nawzajem wzrokiem. Było jasne, że on ją już zna przez cały ten okropny rozgłos wokół sprawy Boba. A ponieważ Eddie wyglądem tak bardzo przypomina swego przodka, Shannon myślała, iż wita się ze zjawą.

- On jest z krwi i kości - rzekłam, szczerząc w uśmiechu zęby, jako że uwielbiam płatać figle.

Spojrzał na mnie zaintrygowany, ale nie wyjaśniłam, o co chodzi. Shannon popatrzyła na mnie z wyrzutem. Staralam się wyglądać na osobę powściągliwą, lecz nigdy mi to nie wychodzi. Roześmiałam się we soło.

- Czyż to nie ciekawe, że było wam pisane spotkać się tutaj? I to z tego samego powodu? Obydwoje chcecie usłyszeć o Lily. - Nalałam bursztynowego koktajlu do jednej z wymienionych naprędce szklanek.

- Slainte - wzniosłam z uśmiechem toast.

- Slainte - powtórzyli, upijając ostrożnie po łyczku.

Shannon zakaszlała.

Jest w tym maleńka odrobina samogonu, kochana dziewczynko. Aby przygotować się do kolacji - wyjaśniłam pośpiesznie.

Eddie Sheridan roześmiał się, a ja zauważyłam, że z minuty na minutę staje się w oczach Shannon coraz bardziej człowiekiem, a coraz mniej zjawą.

- Kolejny toast - zawołałam, bawiąc się wyśmieniem. - Za Lily Molyneux, która nas tu wszystkich zgromadziła.

Następnie zamaszystym ruchem ręki powiodłam ich ku drzwiom. - Niewierna Brygida przez cały dzień uwijała się w kuchni jak w ukropie, a więc najlepiej, jeśli udamy się na kolację, zanim zaczną się dąsać. A będzie to także doskonałe jedzenie, mogę wam za to ręczyć, gdyż jest ona cudowną kucharką.

Zajęłam swoje miejsce u szczytu wspaniałego stołu z okresu regencji - mebel ten należał do mojej prababki, kiedy była jeszcze panną, na długo przed spaleniem Wielkiego Domu, i pomyślałam sobie, że doprawdy jestem starą szczęściarą, mając dwoje tak czarujących młodych gości. Za dzwoniwszy srebrnym dzwonkiem na Brygidę, rzekłam figlarnie: - Kto wie, może nigdy nie pozwolę wam dwojgu odejść. Snując opowieści o Lily, niczym Szeherezada, kawałek po kawałku, skażę was na pozostanie w Ardnawamie na zawsze.

- Nie mogę sobie wyobrazić przyjemniejszej kary! - powiedziała impulsywnie Shannon.

I oczywiście miała słuszość, ponieważ miejsca takiego jak Ardnawama nie ma nigdzie na świecie. Ogarnęłam jadalnię wzrokiem. Światło świec łagodziło jej opłakany wygląd, a w palenisku

migotał płonący torf, mimo że wysokie okna przez cały czas były otwarte na łagodne powietrze nocy. I podliczyłam dobrodziejstwa losu.

Brygida pokonała ostrożnie drzwi z przepelnioną tacą. Ubrała się w swój paradny komplet „do gości”: ciemną suknię i mały fartuszek z białej organdy, przeznaczony dla kogoś o połowę drobniejszego. Na czarne pończochy naciągnęła krótkie białe skarpetki, a drobne stopy za kuła w sznurowane buciki na wysokim obcasie. Rzuciła pogardliwe spojrzenie Eddiemu, gdy ten poderwał się, aby jej pomóc.

- Nigdy jeszcze nie musiałam prosić nikogo, by niósł mi tacę, a co dopiero takiego młodego nicponia, jak ty - powiedziała, stawiając z trzaskiem tacę na kredensie, po czym podreptała z powrotem do kuchni.

- Jak możecie już zauważyli, Brygida ma osiągnięcia w trzaskaniu - westchnęłam.

Usłyszałam, jak Eddie pyta Shannon, dlaczego chce się czegoś do wiedzieć o Lily, a ona odrzekła, że jej zdaniem może być z nią spokrewniona przez rodzinę ojca: oKeeffeów.

- Eddie także myśli, że jest spokrewniony z Lily - powiedziałam. - Przez rodzinę jego ojca. - Spojrzałam na nich promiennie. Płatanie figli sprawia mi zawsze radość, właśnie miałam rzucić drugą już bombę tego wieczoru. - No więc, czy to nie będzie zajmujące? Przekonać się, które z was jest tą osobą, to znaczy spadkobiercą Lily?

Ich zdziwione oczy spotkały się z moim wzrokiem.

- Spadkobiercą Lily? - zapytali chórem.

- No, jakże. Czyżbym nie powiedziała wam, że Lily zostawiła po sobie kupę pieniędzy, gdy w końcu zmarła? Nie przekazała ich mojej matce ani mnie. No wiecie, mieliśmy ich wtedy dostatecznie dużo. Pozostawiła je więc swojemu jedynemu i prawowitemu spadkobiercy”.

- A kto nim był? - zapytał Edward.

- No cóż, oczywiście na tym polegała zagadka. Nikt nigdy nie do wiedział się, kto był „jedynym i prawowitym spadkobiercą” Lily. Ani nawet czy w ogóle takiego miała. Usuwała ludzi ze swego życia tak, jak inni wyrzucają stare ubrania. Ale oto znowu wybiegam do przodu. Jeśli mam być waszą Szeherazada, lepiej jeśli zacznę od początku. Ale dopiero po kolacji, rzecz jasna. - Uśmiechnęłam się przebiegle na widok dwóch młodych twarzy czujnie zwróconych ku mnie. - No to do dzieła, moi kochani, zjadajcie smacznie - rzekłam do nich wiedząc, że mam ich w ręku.

Później zasiedliśmy przed płonącym kominkiem w salonie. Ja na kanapie, mając psy z obydwu stron, i spojrzałam na dwójkę młodych ludzi, wpatrujących się we mnie z oczekiwaniem. Już od dawna nie przy kuwałam w ten sposób niczyjej uwagi, czułam się więc nadzwyczaj przy jemnie. Wiedziałam, że z mojej strony podłością jest trzymać ich w nie pewności, lecz prawda była taka, że polubiłam ich towarzystwo. Przywodzili mi na myśl czasy mojej młodości - i moją matkę, jak siedząc na tej samej kanapie, opowiadała mi tę samą historię, którą ja miałam teraz im opowiedzieć.

Mamusia i ja byłyśmy tak bardzo zżyte ze sobą; przypominałyśmy raczej siostry niż matkę i córkę. Ach, jak ja ją kochałam, i jak płakałam, gdy umarła. Natychmiast po pogrzebie uciekłam do Paryża i przez ponad rok nie potrafiłam tu wrócić. Wizja Ardnawamy bez niej była nie do zniesienia. Kiedy wreszcie znów przyjechałam do domu, poczułam się tak, jakby mamusia nadal tu mieszkała. Za każdym razem, gdy spacerowałam po ogrodach, oglądałam piękno, które ona stworzyła. Nadal mnie karmiły warzywa i owoce przez nią posadzone, a jej ukochany koń do polowań z gończymi niecierpliwie oczekiwał w stajni, kiedy znów ktoś go dosiądzie.

Jednak życie bez niej nigdy już nie było takie samo. I nawet dzisiaj, po upływie tylu lat, jest mi

jej brak.

Westchnęłam, zrzucając moje srebrne sandaalki, podwinęłam nogi pod siebie - i rozpoczęłam opowieść.

11.

Przeszłość

Zanim opowiem wam o Lily, musicie usłyszeć o rodzinie Molyneux. O tym, jak wysoko staliśmy, tak, byście mogli zrozumieć, jak bardzo teraz podupadliśmy.

- Ardnávama znaczy „wysoko położone miejsce z olchami”. Moi przodkowie zasadzili całe ich setki na wzgórzach wokół domu, wszyst kie te drzewa, które dziś tu widzicie. - W dawnych czasach ludzie zawsze potrafili rozpoznać rangę dworu po długości alei, jaka do niego wiodła, a ten zamek był tak wielki i tak wspaniały, że pół tuzina ludzi bez przerwy pracowało przy zagrabianiu całych kilometrów żwirowanych dróg dojazdowych tak, żeby nie został ani jeden ślad koła. Ruchome siedzisko stale zwisało z blanków, by robotnicy mogli myć setki okien. Było czterdzieści osób służby domowej, jeden służący specjalnie do zapalania lamp, inny do objaśniania świec, dalej - dziewczęta, które nie robiły nic innego prócz utrzymywania ognia w dziesiątkach, a może i setkach kominków, oraz cała czereda małych chłopców, którzy bez przerwy dostarczali z piwnic węgiel i torf.

- W czasach mojego pradziadka byli francuscy szefowie kuchni i angielskie nianie, irlandzkie piastunki i niemieckie guwernantki, pokojówki ogólne i pokojówki dam, lokaje, praczki i kucharze dla służby. Odźwierni nosili fraki w kolorze butelkowej zieleni lub pasiaste, a do tego czarne spodnie, ale szef służby domowej miał specjalny kostium zaprojektowany przez mojego prapradziadka i uszyty w Paryżu, w żywym odcieniu zielonej koniczyny, wykończony złotym galonem. Powiadam wam; nas - rodzinę Molyneux zawsze radowało trochę poloni.

- Stajnie oczywiście stanowiły rzecz godną uwagi. W irlandzkich gospodarstwach było to zresztą regułą. Mogły z łatwością pomieścić pięć rodzin, a zbudowano je z najlepszych materiałów. Znajdowały się tam dziesiątki koni, każdy z boksów stanowił wzór czystości, a każdy koń miał swe imię wypisane na miedzianej plakietce, wypolerowanej do po łysku słońca i umieszczonej na drzwiach. Były tam konie do polowania z gończymi i konie pod wierzch, konie do powozów i kucyki dla dzieci, cztery jednakowe siwki do powozu jego lordowskiej mości, tudzież para stępaków do ulubionego kabrioletu jej lordowskiej mości. Lord Molyneux miał tytuł łowczego, a ogary trzymane w psiarni prawie tak samo wspaniałej, jak stajnie.

Oprócz Ardnávamy, był również dom miejski na Fitzwilliam Square w Dublinie i dom na Belgravia w Londynie, a członkowie rodziny spędzali w nich czas zależnie od pory roku. Uczęszczali na wszystkie wielkie przyjęcia i bankiety w Londynie, a także na poranne przyjęcia, obiady, i bale wydawane przez namiestnika królewskiego na zamku w Dublinie. No i prowadzili bujne życie towarzyskie w Ardnávamie. Bywali tu wszyscy i tutejszą księgę gości czytało się jak „kto-jest-kim” tamtej epoki: znaleźć w niej można członków rodzin królewskich z pół tuzina krajów, cała arystokracja, artyści, pisarze, znakomite osobistości. Słynne były złoty wędkarskie w Ardnávamie, a zaproszenie na nie bardzo sobie ceniono.

- Życie wydawało się wówczas wspaniałe. I nawet w czasach mojego dziadka wciąż jeszcze pozostawaliśmy bogaci. Był on najmłodszym z synów, a tytuł odziedziczył tylko dzięki całej serii wypadków. Jego ojciec zmarł wraz z dwiema córkami na dur brzuszny podczas pobytu we Włoszech. Następnie zaś starszy syn, który został dziedzicem tytułu, utonął w katastrofie statku dwa miesiące później. I tak oto mój dziadek, August Molyneux, odziedziczył wszystko: tytuł, majątek rodzinny

i Ardnavamę.

Przerwałam, żeby odsapnąć i popatrzyłam na swych młodych gości.

- Powiedzcie mi, jeśli was zanudzam, moi mili - zapytałam na w pół usprawiedliwiająco. - Stare opowieści tak mnie porywają, że czasami czuję się tak, jakbym sama to przeżywała. - Zapaliłam papierosa i odpędziłam dym, pobrzękując bransoletkami. - No więc, o czym mówiłam?

- Że pani dziadek został spadkobiercą - podpowiedziała mi skwapliwie Shannon. Kot, który leżał na jej podołku, syjąc dokoła sierścią na jej najlepszą czarną suknię, przeciągnął się i zaczął mruczeć. Shannon uśmiechnęła się, a ja pomyślałam, że po raz pierwszy od przyjazdu tutaj nie wygląda na spiętą.

Odezwałam się:

- Chcę powiedzieć jasno, że nie będę mówić o dziejach „irlandzkich kłopotów”; o niczym, co by dotyczyło polityki czy też tragicznej, brutalnej historii. Jest to opowieść o rodzinach Molyneux i oKeeffe, oraz o tym, co im się przytrafiło.

Otóż August Molyneux przeniósł swą owdowiałą matkę do domu, który dostała w spadku - tego samego, w którym siedzimy teraz - a ona poświęciła resztę życia na zakładanie i pielęgnację ogrodów. Wcześniej już poznał Norę Westmacott, jedynaczkę pochodzącą z rodziny o mało znaczącym tytule, dziewczynę z ubogiego dworku gdzieś tam w Devonie. Ale Nora Westmacott była ładna i dobrze prezentowała się u jego boku, tak że pomimo pokusy w postaci tytułów i majątków innych dziewcząt, August Molyneux wybrał właśnie ją i w trzy miesiące później się pobrali.

Nora miała czarne włosy, jasną cerę i była delikatna. Urodziła dwoje martwych dzieci, zanim w 1866 roku przyszedł na świat William. A potem, rok później, bo w 1867, narodziła się dziewczynka.

Fama głosi, że ledwie Nora spojrzała na swe dziecko, tak zauroczyła ją niewinność i uroda niemowlęcia, że nadała mu imię najczystsze spośród kwiatów, lilii.

Następnie zaś, w siedem lat po tym doniosłym wydarzeniu, w roku 1874, kiedy stracili już wszelką nadzieję, urodziła się jeszcze jedna dziewczynka. Tym razem powiadano, że dziecko zostało nazwane od pięknego, błękitnego wiosennego nieba, jakie Nora ujrzała za oknem, gdy ochłonęła po dwóch dniach pełnego udręki porodu: leciel.

I, oczywiście, to właśnie wspomnienia Ciel - mojej rodzonej matki - opowiadam wam teraz. Dokładnie tak, jak mi je przekazała, choć może z drobnym dodatkiem własnej imaginacji, gdy mowa o tym, co kto komu powiedział. - Zaśmiałam się, wiedząc, że moja płodna wyobraźnia jest aż nadto zdolna wypełnić każdą lukę.

No więc, William był spokojnym, rozmiłowanym w nauce chłopcem. Nie znosił polowania i gonitw pod gołym niebem, tak że ulubienicą ojca została trzpiotowata Lily. Przez siedem lat, póki nie pojawiła się przy niej Ciel, cieszyła się wyłączną miłością ojca. Och, a przy tym była to piękność: rozkoszna dziewczyneczka, cała w lśniących, ciemnych lokach porozrzucanych przez wiatr, z niebieskimi oczyma, które błyszczały i żarzyły się, do czego dochodził jeszcze temperament i napady dąsów. Ciel mówiła, że nikt nie potrafił dąsać się tak znakomicie, jak jej siostra Lily. Ojciec zaś zachwycony był tą wydętą dolną wargą, tupnięciem małej nóżki w ładnych irchowych bucikach, zapiętych na guziczki, buntowniczym potrząsaniem główką. I tą prześliczną łzą, która we właściwym momencie zaczynała toczyć się po policzku, i oznakami szlochu, jaki wstrząsał jej pięknymi ramionkami. Lily umiała biegle okręcać papę dokoła własnego palca.

Natomiast Ciel była małą, rudowłosą psotką o twarzyczce uroczej małpki. Miała szeroki

uśmiech, który sprawiał, że wszyscy inni też się uśmiechali. Śmiała się tak głośno jak handlarka rybami i radośnie jak skowronek. Oczy miała szare jak u ojca, była drobna, piegowata i zawsze wpadała w tarapaty. No i uwielbiała swoją siostrę Lily.

Williamowi wysłano do szkoły w Anglii, tak że rodzina dzieliła swój czas pomiędzy pobyt w Londynie, Dublinie i Ardnarnamie. Papcio nauczył dziewczęta jeździć konno równie dobrze, jak gdyby były chłopcami. Lily wzięła udział w swym pierwszym polowaniu, kiedy miała pięć lat - siedząc na koniu oczywiście po damsku i wyglądając przepysznie w kostiumie uszytym na specjalne zamówienie u Busvinea i w wybornych małych bucikach zrobionych przez Finnę Peal Butley, z lokami ściągniętymi do tyłu w siateczkę i w najlepszym meloniku z londyńskiego sklepu pana Locke'a.

Lord Molyneux był dobrze zbudowanym, przystojnym i hardym mężczyzną. Jego polecenia brzmiały jak rozkazy i biada tym, którzy wykonywali je zbyt opieszale lub - Boże broń - nie wykonywali ich wcale.

Ciel mówiła, że zawsze wydawał się darzyć uczuciem ich matkę, lady Norę, ale irytowała go jej wrażliwość, podobnie jak irytował go syn William - drobny młodzieniec, szczupły i blady, stale przesiadujący z nosem w książce. Zupełnie nie miał zrozumienia dla namiętności swego ojca: koni, psów, polowań, strzelania i łowienia ryb, więc - jak możecie sobie wyobrazić - stanowił dla niego powód wielkiego rozczarowania.

Za to lady Nora była kobietą łagodną i miłosierną; kiedy w ich posiadłości ktoś zachorował lub miał kłopoty, ona wiedziała o tym pierwsza i zawsze zjawiała się z koszykiem jedzenia i lekarstw. Lord Molyneux szczycił się tym, że każdego ze swych dzierżawców zna z imienia, ale to lady Nora znała imiona ich żon i dzieci.

Ciel o wiele młodsza od pozostałych dwojga była zabawnym, żywym dzieckiem, zawsze pełnym werwy. Stale potykała się o wszystko. Wiedziała, że ojciec ją kocha, lecz nie ulegało wątpliwości, że to Lily jest jego pupilką.

Uwielbiał Lily, od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w ramionach matki. Miała burzę czarnych włosów, szafirowe oczy i piękne wydęte usteczka, które - jak mówił z dumą, nawet gdy była jeszcze nie mowłeciem, wydawały się uśmiechać do niego. Rosnąc, Lily stawała się wcielonym czortem, dokuczliwym i pełnym kokieterii. Mogła uzyskać od ojca co tylko chciała; wystarczyło, by wspięła mu się na kolano, obejmując małymi ramionkami jego szyję i mówiąc: „Och, proszę, papciu, proszę, proszę, proszę”. I potrafiła uniknąć każdej kary, pochylając się tylko niby kwiat, którego imię nosiła i pozwalając łzom płynąć smutno po małej twarzyczce. Ojca zawsze nazywała papciem, a nie papą jak inne dzieci. Natomiast dla niego była zawsze „kochaną dziewczynką”.

Ciel mówiła, że przez całe życie Lily nigdy nie myślała o konsekwencjach swoich czynów, choć potem miewała naprawdę straszliwe wyrzuty sumienia. Całe wiadra łez i wycie jak gdyby sfory psów, no i obiecywanie, że już nigdy nie zrobi tego - nieważne jakiego kalibru był to występki - po raz drugi. I w owym momencie naprawdę tak myślała.

Jednakże Lily uwielbiała swego kochanego papcia. Kochała również brata, choć potrafiła obrzydzić mu życie. No i szczerze kochała swoją matkę, a także niewinną współniczkę swych grzeszków, małą siostrzyczkę Ciel.

Robiła rzeczy godne pożałowania - na przykład porywała oprawne w srebro okulary Williama, gdy ten zagłębiał się w lekturze, a wiedziała, że bez nich prawie nie widział. Przechylała się na wszystkie strony, prowokująco trzymając okulary w ręce i dyndając nimi za oknem tak, by nie mógł

ich dosięgnąć. Nie obeszło się wtedy bez upuszczenia ich na ziemię i leżały tam w dole na żwirze, stłuczone na miazgę, a ona desperacko próbowała pozbierać wszystkie kawałki, wołając z płaczem, że tego nie chciała i że zrobi wszystko, ale to wszystko, żeby się już poprawić. Później zdarzało się, że William znajdował jakąś ulubioną książkę Lily, lub jedną z jej figurek przedstawiającą konia, lub czekoladę przylepioną do poduszki wraz z karteczką, gdzie było napisane: Przepraszam.

Miała zwyczaj nakłaniać Ciel do szaleńczych wyczynów, które uważała za takie łatwe, jak przeskakiwanie konno przez ogrodzenia. Ale nie pomyślała ani przez chwilę, że te mogą okazać się zbyt wysokie dla małego kucyka Ciel, tak że Ciel spadła i doznała wstrząsu. Leżała tam nieruchoma jak kamień, a Lily klęczała u jej boku, lamentując i modląc się, targując się z Bogiem w taki sposób, w jaki - według słów Ciel - zawsze to robiła. Mówiąc Mu, że jeśli tylko On pozwoli żyć jej ukochanej siostrze, to ona, Lily, już nigdy więcej nie zachowa się w taki głupi sposób. Że wszystko to jest jej winą, a więc to ją Bóg powinien zabrać. Oczywiście, jeśli naprawdę tak wtedy uważała, to wiedziała, że Bóg już tego i tak nie robi.

Przez Ardnavamę przewinęła się cała masa guwernantek ze wszystkich stron Europy, jednak żadna z tych kobiet długo nie wytrzymała. Lady Nora połowę czasu spędzała w Londynie, prowadząc rozmowy z co raz to nowymi kandydatkami i powiadała, że wyczyny jej okropnych dzieci stanowiły temat konwersacji we wszystkich salonach oraz stały się zmorą jej życia. Oczywiście, nie wierzyła wszystkim plotkom, po nieważ była łagodną, kochającą kobietą, która uwielbiała swoje niezależne potomstwo.

Ciel mówiła, że wszystkie te straszne rzeczy robiły swoim guwer nantkom tylko dlatego, iż wiedziały, że jeśli okażą się dostatecznie nie znośne, nieszczęsne kobiety będą zmuszone odejść i wtedy one znów uwolnią się od obowiązku lekcji i dyscypliny aż do chwili, gdy zrozpaczona matka znajdzie kogoś innego na miejsce guwernantki. Wkładały więc nauczycielkom jeże do łóżek, myszy do mleka, rzucały im pająki na poduszki. Wiązały sznurek w poprzek korytarza, by tamte potknęły się na wyfroterowanych podłogach. A Lily zawsze potrafiła w brudną robotę wpakować Ciel, tak że ona sama mogła powiedzieć niewinnie:

„Ależ mam, ja w ogóle nic o tym nie wiedziałam. Nie mam pojęcia, jak to się stało”.

W promieniu wielu kilometrów każdy znał Lily. Służba zanosila do domów opowieści o jej najnowszych wyczynach i mężczyźni śmiali się z nich po oberżach, a kobiety zbierały się przy swych paleniskach, by plotkować na jej temat. Dla nich Lily była tym, kim obecnie jest gwiazda filmowa. Piękna, utytułowana i bogata, ale nigdy ich nie onieśmiała. Miała w sobie wdzięk, żywotność i porywcza, lekkomyślną naturę. Zawsze gotowa podjąć każde wyzwanie i nawet jeśli była trochę zbyt dumna ze swego nazwiska i okazywała pewną wyniosłość, wynikającą z jej pozycji jako córki lorda Molyneux, nigdy nie wydawała się małostkowa.

Ciel mówiła, że wiejskim dzieciom Lily nigdy nie dokuczała i nie onieśmiała ich, pozwalała na przejażdżki na swoim kucyku i dawała im stare lepkie toffi, pokryte drobinami meszku z jej kieszeni. Dzieci uwielbiały ją i przez całe tygodnie chełpiły się doznanyimi od panienki grzecznościami. A ona zawsze chętnie szła ze swą matką, by rozdawać lekarstwa lub odzież i jedzenie najbardziej potrzebującym. Kiedyś przybiegła do papcia i powiedziała mu w desperacji, że chce sprzedać swego ulubionego konia, by dać pieniądze biednej, bez domnej rodzinie, na którą natknęła się podczas przejażdżki: byli to młody mężczyzna, jego żona z niemowlęciem i jeszcze dwoje małych dzieci. Mężczyzna stracił pracę i wędrowali tak z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zajęcia, nocując byle jak w chaszczach bez względu na pogodę. Lily pogalopowała do domu i urządziła istny

najazd na kuchnię, by zdobyć dla nich jedzenie. I jeszcze tego wieczoru, nie umiejąc zapomnieć o smutnych buziach dzieci, stanęła przed ojcem. Ten popatrzył na nią z dumą i powiedział, że nie trzeba jej wielkodusznej ofiary, a następnego dnia uboga rodzina miała już nową chatę, mężczyzna dostał pracę jako ogrodnik, a kobieta jako praczka.

Naturalnie, odmienność swego położenia Lily przyjmowała jako rzecz oczywistą; działo się tak, jak powinno. I pomimo iż była rozbisurmaniona i nieokiełznana, a także potwornie dokuczliwa, potrafiła się też stać nieodrodną córką swojej matki, ciepłą, czułą i podatną na wzruszenie.

Jednak dla każdej guwernantki, która wytrzymywała tę kolej rzeczy, Lily okazywała się równie nieuchwytna, jak powiew wiatru. Już o świcie była na nogach i wybiegała z domu, nim jeszcze inni otworzyli oczy. Już wpadała do stajni, a potem galopowała hen, na plażę wraz z Finnem oKeeffe.

Przerwałam i spojrzałam na moich słuchaczy. Oczy jaśniały im zainteresowaniem, ale mieliśmy za sobą długi dzień i mój wiek zaczynał przypominać mi o sobie. Stwierdziłam więc, że muszę iść do łóżka i kontynuować dopiero nazajutrz wieczór. - No więc, tło już teraz znacie - powiedziałam rozczarowanym nowym przyjaciółom. - A jutro, po kolacji, obiecuję wam, że poznacie Lily. No i Finna.

I zostawiając ich zawieszonych w pełnym napięcia oczekiwaniu, pocałowałam ich na dobranoc i taszcząc swe trzeszczące niczym schody kości, podążyłam na górę do łóżka.

Eddie

Eddie Sheridan dorzucił kolejne polano do ognia i odwrócił się, by spojrzeć na Shannon zwiniętą w kłębek na wytartym fotelu. Jeden z dalmatyńczyków opuścił Maudie i chyłkiem pobiegł zawstydzony z powrotem na dół, aby usiąść u stóp Shannon.

- Zdrajca - powiedział Eddie z szerokim uśmiechem. Shannon uśmiechnęła się.

- Myślę, że jest po prostu towarzyski.

Twarz miała bladą, a pod jej pięknymi jasnoszarymi oczyma o ciemnych rzęsach leżały cienie. Blask lampy padający zza jej głowy stworzył z jej rudych włosów aureolę, a w długiej czarnej sukni wyglądała na smukłą i kruchą. „Pogrążona w smutku córka, nosząca żałobę po ojcu”, pomyślał Eddie, przypominając sobie tytuły i reportaże w gazetach. Odezwał się:

- Tych kilka ostatnich miesięcy musiało być naprawdę trudnych. Skinęła głową.

- Ale tatuś zawsze powiadał, że Keeffeowie dadzą sobie radę, no więc teraz nie mogę mu sprawić zawodu. Czy nie mam racji?

Zamilkli, spoglądając na żarzące się w kominku polano. Po czym Eddie powiedział:

- Dlaczego pomyślałaś, że już się kiedyś spotkaliśmy?

- Dlaczego tu jesteś? - zapytała niemal równocześnie. Zaśmiali się i Shannon wyjaśniła:

- Jestem właścicielką domku, znajdującego się obok białego domu na Nantucket.

Wzruszył ramionami.

- Już od lat nikt tam nie mieszka. Tylko z rzadka jeździliśmy na wyspę, gdy byliśmy dziećmi. Wychowałem się w Kalifornii i nie wyruszaliśmy na wschód tak często. A później byłem zbyt zajęty nauką w collegeu:

najpierw w Berkeley, a potem w Szkole Teatralnej w Yale. Sądzę, że idę w ślady mego pradziadka, Neda Sheridana.

- Jesteś jego wiernym obrazem. - Zaczerwieniła się, zmieszana. - Muszę ci coś wyznać. Rozejrzałam się po domu. Drzwi były otwarte, no i wiesz, po prostu nie mogłam się oprzeć. Ukradłam jego fotografię. Mam ją ze sobą. Może powinnam ci ją zwrócić? Przecież to ty jesteś jej prawowitym właścicielem. W każdym razie stąd właśnie cię znałam - i po myślałam, że jesteś duchem!

Zaśmiał się.

- A więc jesteśmy tu z tego samego powodu: by poznać prawdę o Lily i Nedzie?

- I dowiedzieć się, kto zamordował mojego ojca. Spojrzał na nią wielkimi oczami, oszołomiony.

- Wiem, że mówisz poważnie, ale czy to możliwe, że został zamordowany?

- Myślę, że tak, ale nikt mi nie wierzy. Może z wyjątkiem Maudie i Brygidy - stwierdziła Shannon, a po chwili zapytała: - Dlaczego ciebie tak interesuje Lily?

- Przypuszczam, że to dlatego, iż ciągle była obecna, czając się gdzieś w głębi rodzinnych rozmów, niczym szkielet w szafie. Jednym słowem, przyjechałem tutaj, by ostatecznie rozprawić się z dawnymi pogłoskami.

- Masz na myśli pogłoskę, że Lily doprowadziła go do upadku?

- Między innymi. - Oparł się o poduszki kanapy i w zamyśleniu założył ręce za głowę. - Powód tego, że zawsze pragnąłem zostać aktorem, stanowiły opowieści o Nedzie Sheridanie, jakie mi przekazywał mój dziadek. O tym, jakim był wspaniałym aktorem. Dziadzio powiadał, że Ned potrafił przykuwać uwagę widzów jednym ruchem albo spojrzeniem, że umiał momentalnie przywieść ich do płaczu, a zaraz potem do wybuchów śmiechu. Był prawdziwą gwiazdą, a jego nazwisko jaśniało światłami na Broadwayu. Ale dostanie się tam kosztowało go całe lata grania w spektaklach objazdowych, w zakurzonych teatrzykach wszystkich miasteczek zabitych deskami, od krańca do krańca Ameryki. W jednym z nich poznał swoją żonę. Moją prababkę, Juliet.

Niezbyt ładna - oglądałem jej zdjęcia - ale dziadzio powiedział mi, że była dumna, a z jej ogromnych ciemnych oczu bił blask, na scenie zaś siłą swej woli przeistaczała się w wybitną piękność. Czerpała ze wspaniałej tradycji Sary Bemhardt i Ellen Terry, podczas gdy Ned był Olivierem teatrów objazdowych, przy czym obydwójce mieli głosy, którymi hipnotyzowali publiczność. „W ich głosach brzmiała muzyka” - zwykł mawiać dziadzio.

- Widziałam plakaty - powiedziała tonem winowajczynie Shannon - które wiszą na ścianach w białym domu. Eddie zaśmiał się.

- Nie ma o czym mówić. Jestem pewien, że staruszek Ned nie miał by nic przeciwko temu. W każdym razie, Sheridanowie byli sławni przez prawie dwadzieścia lat w początkach tego wieku. Mam wszystkie skarby Neda: kostiumy i rekwizyty, obcisłe buty, zawadiacki kapelusz z piórami i szpadę z „Hrabiego Monte Christo”, kubrak i nogawice z „Romea”, mundur z „Major Barbary”. I godzinami ślęczałem nad tymi starymi afiszami, gdzie ich nazwiska umieszczone są nad tytułem sztuki i to dwa razy większymi literami. Grali wszystko, co tylko się dało. Mój dziadek powiadał, że Ned nie potrafił skoncentrować się na długo na jednej rzeczy, a gdy wyjeżdżał na tournée, dla jego aktorów była to istna droga przez mękę: co trzeci wieczór inna sztuka, co tydzień w innym teatrze. Podróż w niedzielę, występ w poniedziałek wieczorem.

Eddie westchnął z zalem, posyłając uśmiech Shannon.

- To był wspaniały okres, przynajmniej dla teatru. Niekiedy myślę sobie, że urodziłem się w niewłaściwej epoce, wolałbym żyć na świecie w czasach mojego pradziadka Neda.

W każdym razie dziadzio - ich jedyny syn - nie znosił takiego życia. Absolutnie nie chciał być do nich podobny. Powiedział, że na scenie wszystko wydawało się czarowne, lecz poza nią istniało tylko podróżowanie i zamieszanie, użeranie się z agentami, menedżerami i innymi aktorami. Nie chciał żadnej z tych rzeczy. Pragnął własnego, normalnego domu, jednego takiego miejsca, w którym wszyscy przebywaliby razem. No i oczywiście, kiedyś później dorobili się tego. Nawet dwóch domów. Okazałej siedziby na Long Island, która stała się jakby przedłużeniem teatru: ci sami ludzie, to samo zamieszanie, te same utarczki. I białego domu w Sconset, gdzie Ned i jego przyjaciele wypoczywali i mile spędzali czas.

Dziadzio pragnął, by Ned miał normalną pracę, tak jak ojcowie innych dzieciaków. Byłby zadowolony, gdyby ten został bankierem lub maklerem, choć myślę, że zgodziłby się i na hydraulikę, byleby tylko prowadzić uporządkowane życie. Przypuszczam, że męczył takich artystów, ale to już kwestia losu. Poczul się ogromnie szczęśliwy, kiedy poślali go do szkoły przygotowawczej. Powiedział, że wtedy miał wrażenie, że wreszcie jest taki, jak inni chłopcy. Oczywiście, pomijając fakt, że jego rodzice byli „gwiazdami”. Zabawne; nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego inne dzieciaki okazują im tyle nabożnego podziwu. Uważał, że ich życie było nudne: te ciągłe jazdy pociągami i wyczekiwanie gdzieś w zimnych teatrach.

I powiedział mi, że za Nedom zawsze w tle kryła się owa tajemnicza kobieta, Lily Molyneux. Juliet ulegała zmiennym nastrojom, a kiedy tylko ona i Ned kłócili się, co zdarzało się często, dziadzio słyszał, jak matka wrzeszczy, że wszystko to wina Lily Molyneux, że Ned nadal jest w niej zakochany i że wystarczy, by go zawołała, a pędem pobiegnie do niej. I pobiegłby. Wiedział o tym z całą pewnością. Dziadek twierdził, iż to właśnie przyczyniło się do upadku Neda.

„Ale w jaki sposób, dziadziu; w jaki sposób?” - zwykłem go pytać, lecz on potrząsał wtedy głową i mówił: „To zbyt straszne, żeby taki nie dorostek jak ty zdołał pojąć”. Nigdy nie powiedział niczego więcej. Doprowadzało mnie to do szału - wzburzył się Eddie. - Nie wiedziałem nawet, jak wyglądała Lily. I wcale nie miałem pojęcia, kim była, ponieważ nikt nigdy nie mówił na jej temat. Obiecałem sobie, że pewnego dnia, kiedy znajdę na to czas, poznam prawdę po to, aby wreszcie zaspokoić swoją ciekawość. Ponieważ skoro już się ma w swym domu szkielet w szafie, chciałoby się wiedzieć, co to takiego.

Przeprowadziłem nieco poszukiwań w rodzinnych archiwach i tam właśnie natrafiłem na nazwisko Lily i na jakiś adres w Bostonie, na Beacon Hill. Udałem się tam, ale upłynęło już zbyt wiele lat, tak że nikt w ogóle o niej nie słyszał. Jeszcze inny adres, jaki znalazłem, znajdował się na liście pisanym do Neda przez Ciel. To była Ardnavama. No i tyle. Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. - Oto jestem.

- Mogę ci powiedzieć, jak wyglądała Lily - zaproponowała Shannon. - Była prawdziwą pięknoscią. Może dlatego twoja prababcia Juliet wściekała się z zazdrości. Lily miała długie i wijące się czarne włosy, olśniewająco niebieskie oczy i namiętne usta. Wyglądała na rozpieszczoną, namiętą i bogatą. I na przyzwyczajoną do tego, by robić wszystko po swojemu. Przynajmniej wówczas, kiedy miała siedemnaście lat i gdy powstał ten portret.

- A czy panna Maudie opowie nam, co się wydarzyło? Czy też może zamierza machać nam przed nosem strzępami tej historii, trzymając nas uwięzionych na zawsze tu, w Ardnavamie?

Shannon roześmiała się.

- Ja z całą pewnością czuję się szczęśliwa jako więzień Ardnawarny. To istny raj w odwróconym czasie. - Podniosła się i przeciągnęła ze znużeniem. - To zdumiewające, że wszyscy rozmawialiśmy dziś wieczór o Lily. Jest tu, wśród nas, w centrum naszych rozmów, ale w ogóle nikt nie dociera do jej serca. - Serca Lily - powiedział Eddie, kontrolując ogień na kominku i ustawiając przed nim mosiężną osłonę. - Czy możemy być pewni, że w ogóle je miała?

Weszli razem po schodach na górę, a drugi stopień u szczytu za skrzypiał głośno, tak że zachichotali.

Edward ujął dłoń Shannon, przycisnął ją do ust i powiedział afektowanym aktorskim szeptem:

„Dobranoc! Smutkiem słodkim jest rozstanie. Dobranoc, moja miła, póki świt nie wstanie”.

Uśmiechnęli się do siebie z sympatią.

- Dobranoc, Romeo - wyszeptała Shannon, oddalając się zmęczonym krokiem wzdłuż korytarza w stronę swojego pokoju.

- Shannon! - zawołał szeptem. Odwróciła się, by spojrzeć na niego, a ich oczy się spotkały. - Co do twojego ojca. Możesz liczyć na moją pomoc.

Skinęła z wdzięcznością głową. Skłonna była skorzystać z każdej pomocy, jaką zdoła uzyskać, lecz teraz, gdy miała po swojej stronie Maudie, Brygidę i Eddiego, nie czuła się już tak bardzo samotna. Zasnęła niemal w tej samej chwili, gdy dotknęła głową pachnącej lawendą lnianej poduszki, nie poświęcając ani jednej myśli kwestii, kto może być spadkobiercą Lily, ponieważ jej

sny za bardzo były pełne Neda Sheridan. A może raczej Eddiego Sheridan?

Maudie

Pomimo iż zarwałam część nocy, słońce lejące się przez otwarte okno i niesiona wietrzykiem woń róż zbudziły mnie nazajutrz już wczesnym rankiem. Czuło się delikatny zapach szynki i świeżo upieczonego chleba, a ja jeszcze przez jakiś czas leżałam całkowicie zrelaksowana z nadal zamkniętymi oczami. Na skórze miałam chłodny dotyk wysłużonej płóciennej pościeli i wyciągnęłam się rozkosznie, czując się dokładnie tak, jak wtedy, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Dopiero gdy wstajesz i trzeszczy ci w stawach, przypominasz sobie o swym wieku.

Spojrzałam na staroświecki cynowy budzik o dwóch dużych dzwoneczkach, który stoi bezsensownie przy moim łóżku na znakomitym sekretarzyku z różanego drewna i spostrzegłam ze zgrozą, że już prawie jedenasta. Na dworze dał się słyszeć stukot kopyt o żwir, wyskoczyłam więc z łóżka, pospieszyłam do okna i wychyliłam się na zewnątrz.

Chłopak stajenny, Colum, wyprowadził moją gniadą, która uszczęśliwiona skubała stokrotki na brzegu trawnika, a dalmatyńczyki węszyły tuż za nią. Ubrałam się szybko i czym prędzej zeszłam na dół, rwąc się do przejażdżki w tak cudowny poranek. - Dzień dobry, Maudie! - zawołała Shannon w chwili, gdy przechodziłam przez żwirową ścieżkę. Wychylała się z okna, a jej ładna buzia cała jaśniała uśmiechem. Wyglądała tak, jakby się cieszyła, że nie jestem tylko jej zjawą senną, a moje serce na jej widok znów ogarnęła fala ciepła.

- Czuję, że powinnam powiedzieć „Wszystkiego, co najlepsze”, ale nie zrobię tego - rzekłam, szczerząc zęby. - Za to życzę ci miłego poranka i zapytuję, czy nie chciałabyś towarzyszyć mi w przejażdżce? - Po czym dodałam z powątpiewaniem, ponieważ nigdy nie wiadomo, jak to jest z Amerykanami, zwłaszcza tymi z miasta. - Oczywiście, ty jeździsz konno, prawda?

- Jeżdżę. Ale pani jest już całkiem gotowa, a ja nawet jeszcze się nie ubrałam.

- No to się ubierz, dziewczyno - powiedziała - i zjeżdż na dół. Najpierw w kuchni napiję się z tobą kawy, a potem ruszamy, póki utrzymuje się dobra pogoda.

Po pięciu minutach Shannon zbiegła pędem po schodach, ubrana w drelichową koszulę, dżinsy i kowbojskie buty. Włosy miała upięte z tyłu w koński ogon i wyglądała na jakieś piętnaście lat.

Brygida drzemała przed szarym torfowym płomieniem, z podbródkiem opuszczonym na piersi. Z jej otwartych ust wydobywało się ciche chrapanie, a pomarańczowy kot przeszedł po podłodze, wskoczył jej na kolana, po czym ułożył się zgrabnie na jej podołku.

- Nie zwracaj uwagi na Brygidę - powiedziała do Shannon. - Stara pannica zażywa po prostu swej porannej drzemki. - Nalałam kawy do dwóch potężnych niebiesko cętkowanych kubków i posunęłam ku niej duży żółty dzbanek z mlekiem. Na przykrytym srebrnym półmisku chrupiąca, smażona szynka, świeży chleb na sodzie, masło i malinowy dżem mojej własnej roboty.

- Boskie jedzenie - powiedziała Shannon, z zadowoleniem pałaszując grubą pajdę chleba z dżemem. - Tutejsze powietrze ma w sobie coś, Maudie, co sprawia, że dziewczyna ma ochotę jeść.

- Mogłabyś trochę przytyć - powiedziała krytycznym tonem. - Czy twoja macocha nigdy nie mówiła ci, że mężczyźni nie lubią chudych kobiet? Nie mają czego złapać pod kołdrą. - Shannon zaśmiała się; powiedziała, że nawet nie umiałaby sobie wyobrazić, jak elegancka i wiotka jak opłatek Buffy mówi jej coś w tym rodzaju.

- A skoro mowa o mężczyznach - rzekła niedbale - to gdzie jest Eddie?

Zerknęłam na nią spod oka; już ja potrafię rozpoznać tę „niedbałość”, kiedy ją usłyszę, szczególnie jeśli odnosi się do mężczyzny.

- Przypuszczam, że na pewno cię to zdziwi - powiedziałam. - Wyjechał rankiem do Galway. - Musiałam uśmiechnąć się na widok jej zgnębionego spojrzenia. Uczucia tej dziewczyny były wręcz wypisane w jej oczach. - Oczywiście powiedział, że wieczorem wróci. - Dodałam chytrze: - Chociaż nie potrafię powiedzieć, czy to ty, czy Lily ciągnie go tu z powrotem.

- Żadna z nas - odparła, jednym łykiem dopijając kawę. - To pani, Maudie. Powiedział mi, że jest pani jego zdaniem porywająca.

- Idźże dziewczyno - powiedziałam zadowolona. Komplementy zawsze sprawiają mi przyjemność. Wcisnęłam kapelusz na swe loki i po wiedziałam żywo: - A więc w drogę.

Stajnie są zbudowane wokół brukowanego dziedzińca, na lewo od domu, a Colum już szcztokował ciemnobrązowej maści kuca z Connemara. Colum jest niedużym, czarnowłosym chłopakiem wiejskim, zwariowanym na punkcie koni, który myśli o karierze dżokeja, a w przyszłości trenera.

Powiedziałam Shannon, że kuc z Connemara był czempionem. Ciemny brąz to właściwa maść tej rasy - rzekłam. A młoda Królowa Maeve ma już trzy zwycięskie rozety przybite w swej stajni, choć liczy sobie dopiero dwa lata. Spodziewam się, że na tegorocznym Pokazie w Galway zostanie czempionem wśród czempionów i jest już na drodze do wygrania w na stępnej kolejności podczas Królewskiego Pokazu Koni w Dublinie.

Colum wyprowadził Malachy, a Shannon spojrzała na konia z respektem.

- Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i silniejszy od wołu - powiedział jej z dumą Colum.

- Myślisz, że dasz sobie z nim radę? - zapytałam prowokująco, na wpół oczekując, że zaprzeczy.

- No pewnie. - Z rozmachem wskoczyła na konia, a ten nerwowo przesunął się na bok, wypuszczając parę z nozdrzy.

- Musisz pokazać mu, kto tu rządzi - pouczyłam ją. - Jeśli będzie wierzgać, po prostu powiedz mu, aby nie był takim durnym staruchem, a wtedy zacznie zachowywać się jak trzeba.

Zielone aleje otaczające Ardnaveamę zamykały się nad naszymi głowami, gdy jechałyśmy na swych koniach ze wzgórze w dół ku morzu, a za nami ochoczo podążały dalmatyńczyki. Posiadłość zajmuje półwysep graniczący z Atlantykiem w Porcie Ballynakil. Połączenie srebrzystej wody usiana jest małymi wysepkami, a niebo w mgnieniu oka potrafi zmieniać kolor z błękitu w barwę macicy perłowej, pogoda zaś od łagodnego blasku słońca przechodzi nagle w wietrzny szkwał. Poprowadziłam drogą po skalistej ścieżce, do pasa złotego piasku, a potem, uderzając konia piętami, puściłam się szaleńczym galopem, tak jak zawsze to robię. Psy skoczyły za mną do przodu niczym wypuszczone z procy i usłyszałam, że Malachy wydaje wysokie, przeciągłe rzenie, a potem z łomotem pędzi za mną.

Rzuciłam spojrzenie w tył, by się upewnić, że Shannon ma się dobrze, a koń nie poniósł jej gdzieś. Nisko pochyliła się nad jego grzbietem i widziałam, że się śmieje, ale wiatr porywał jej śmiech i rzucał go ponad fale. Otóż Malachy poruszał się jak gładki, potężny walec parowy; przemierza ziemię w przerażającym tempie, a jednak nie mogli mnie dopaść, aż do chwili, kiedy wreszcie przerwałam swój szalony galop po przejechaniu mniej więcej dwóch kilometrów plażą.

Shannon ściągnęła wodze drżącemu koniowi. Policzki miała zaróżowione, oczy jej błyszczały i uśmiechała się od ucha do ucha.

- Nadajesz się - oceniłam, spoglądając na nią z aprobatą. - Pomyślałam sobie, że najlepiej będzie, jeśli rzucę cię na głęboką wodę z Malachy, ale ty naprawdę potrafisz jeździć, dziewczyno. Może zatrzymam cię tu aż do polowania. Spodobałoby ci się na pewno.

W dobrej komitywie wjechałyśmy truchtem znów na ścieżkę i po cwałowałyśmy po szlakach wiodących wśród liści paproci do ruin Wielkiego Domu. Chciałam, aby ujrzała miejsce, w którym żyła Lily, więc otworzywszy kłódkę na ciężkich drzwiach frontowych, pchnęłam je. Promienie słoneczne sączyły się przez potłuczone okna, oświetlając rozpadające się kamienne ściany i połamaną podłogę wielkiej gotyckiej sieni. W miejscu, gdzie niegdyś były cudowne, zamaszyste schody ziała dziura, a tam, gdzie wyszukane gipsowe sufity runęły w proch w ową noc pożogi, piętrzył się stos gruzu i pyłu. Już od samego patrzenia na to wróciły do mnie fale nostalgii za własnym dzieciństwem.

- Mieszkałam tu aż do dwunastego roku życia - poinformowałam Shannon. - Och, a jakie miałam przyjemne dzieciństwo. I nie jestem pewna, czy nie było ono jeszcze lepsze po pożarze, gdy przenieśliśmy się do drugiego domu.

Opuściłyśmy dom i przeszłyśmy przez otoczony murem ogród z gruszą rozpiętą na kracie i drzewami brzoskwiniowymi, teraz już uschniętymi, bo nikt ich nie pielęgnował. - O tej porze roku - powiedziałam sięgając do wspomnień - rzucały by złote płomienie na ten stary ceglany mur w kolorze koralowym. Słońce migotałoby, odbijając się od szklarni, dokąd chodziliśmy kraść figi i ciemne winogrona z cieplarni. Były one tak duże, że ich sok spływał mi aż po łokcie i plamił sukienkę, a potem zdarzało się, że dostawałam burę.

Wspominając, niemal czułam smak tych winogron i znów tak samo działało się później wieczorem, gdy po kolacji ponownie usiedliśmy przed ogniem w salonie; niemalże czułam smak tej historii, którą im miałam właśnie opowiadać, tak bardzo była żywa w moim umyśle.

Ale przedtem muszę wam opisać moją szyfonową sukienkę w kolorze zieleni jadeitu z ogonkami model Chanel z 1934 roku i staroświeckie diamentowe kolczyki i bransoletki. Ten młody pochlebca Edward oświadczył, że wyglądam cudownie i wręczył mi duży bukiet czerwonych róż oraz wielkie pudełko czekoladek zakupionych w Galway.

- Nie musisz uciekać się do przekupstwa - żartowałam ucieszona. - Obiecuję, że dzisiejszego wieczoru opowiem wam dalszą część tej historii.

Po kolacji obserwowałam Eddiego jak podchodzi, by usiąść na sofie obok Shannon, i jej łagodny zachęcający uśmiech, gdy robiła dla niego miejsce. No więc, czy nie byłoby interesująco, pomyślałam, gdyby się w sobie zakochali? Ale śmiem twierdzić, że znowu wybiegam naprzód, tak jak zawsze to czynię.

Odezwałam się:

- Przypomnijcie mi tylko, moi drodzy, na czym skończyliśmy.

- Lily jeździła konno o świcie z Finnem oKeeffe - odpowiedziała ochoczo Shannon.

- Ach, prawda, Finn. No więc może by zacząć od początku? - Oparłszy wygodnie stopy na jednym z małych, haftowanych przez lady Norę podnóżków, roztoczyłam przed nimi dzieje minionych lat, dokładnie tak, jak sama je kiedyś słyszałam.

13.

Connemara, 1879

adraig oKeeffe miał nędzne włosy koloru marchewki i ziemistą cerę usianą piegami i brodawkami. Opadała mu dolna szczęka, tak że jego wiecznie otwarte usta ukazywały tych kilka pieńków - żółtych zębów - jakie mu jeszcze zostały. Pierś miał zapadłą od wieloletniego palenia, nogi - kabłkowate, a ręce długie jak u goryla. Wszyscy powiadali, że Paddy OKeefe był najbrzydszym człowiekiem wśród żyjących.

Jak to więc się dzieje, zapytywali się zawsze, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że tak brzydki mężczyzna ma dwóch tak urodziwych synów?

- No, przecież to moje plemię - zwykł się przechwalać po kilku dzbankach. - Moi przodkowie wywodzą się od Briana Boru i wielkich królów Irlandii. - Nie zauważając tego, że jego żona pochodzi z rodu wyjątkowo przystojnych ludzi, a on jest typowym pokurczem O'Keffe. - Brian Boru był urodziwym gościem, nawet jak na króla - dodawał, jakby to cokolwiek tłumaczyło.

Oczywiście, nie wywodził się od Briana Boru w większym stopniu niż ktokolwiek inny we wsi i ludzie śmiali się z niego i jego zwiariowanych pomysłów. Nie śmiali się jednak z Daniela, który był wysoki jak dąb i silny jak wół, ze wspaniałą czupryną kędzierzawych rudych włosów; nie śmiali się też z małego Finna, młodszego o dwa lata, prostego i smukłego jak młode drzewko, o włosach czarnych jak noc i szarych oczach barwy nieba nad zatoką Galway, kiedy znad morza podnosi się mgła. Dan był rozumny i dokładny, a także skłonny do bitki, za to Finn sprytny i rozgarnięty; lekko przychodziły mu i nauka, i śmiech. O Danie wszyscy mówią, że jest przystojny, o Finnie zaś, że piękny. Umiał przy tym czarować. Jedyne problemy polegały na tym, że urodził się w biednej rodzinie.

Przez całe życie Paddy pracował w stajniach Ardnabally. Jego żona dostała zajęcie w Wielkim Domu jako pracznica, więc młodsze dzieci często szły wraz z nią do pracy, bawiąc się wtedy na kuchennym podwórzu lub pomagając przy stajniach. Już jako szkraby umiały zawsze w porę prysnąć z drogi ich lordowskim gościom.

Ich ubogie dzieciństwo pełne było wyrzeczeń. Przed czterdziestu laty obszar ten stracił prawie połowę populacji wskutek Wielkiego Głodu i następującej po nim masowej emigracji do Ameryki w przerażających „pływających trumnach”. Potem, gdy Daniel miał dwanaście lat, a Finn dziesięć, matka wraz z szóstką ich braci i siostr zmarła podczas jednej z epidemii grypy, które w regularnych odstępach ogarniały całą okolicę, z dnia na dzień dziesiątkując jej ubogą ludność. Wychowanie Finna i Daniela zostało więc w rękach ich ojca, Paddiego, który kieliszkowski poświęcał więcej uwagi niż kiedykolwiek przedtem swojej żonie.

Ich kryta strzechą chata z pobielanego kamienia składała się z jednej izby z polepą z ubitej ziemi. Nad jednym końcem znajdowała się górnica do spania i był tam też „kredens” koło olbrzymiego paleniska, gdzie spała cała ósemka dzieci ciasno stłoczonych niczym miot hałaśliwych szceniąt. Kawalki torfu tliły się nieustannie pod rusztem, a nad tym nikłym żarem bulgotał poczerniały żelazny kocioł wodnistej zupy.

Sznur ryb złowionych przez Daniela w zatoce wędził się zawieszony nad ogniem, łącząc swój nieopisany odór z odorem torfu i kurcząt rozgrzebujących słomę w kącie izby.

Ten smród przywarł do włosów obu chłopców. Przesięknął ich ubrania, a nawet skórę; do tego stopnia, że stał się częścią ich samych, a oni nawet nie byli go już świadomi. Tak działo się aż do dnia, gdy dwunastoletni Finn pomagał w Wielkim Domu, nosząc wiadra pełne węgla po stromych schodach kuchennych i przez całe mile korytarzy, obficie wysłanych dywanami, a potem dorzucał do wielkich pieców w kuchni.

- O miłosierny Boże, chłopcze - wykrzyknęła gospodyni w obecności chichoczących pokojówek, narzucając sobie fartuch na głowę i czym prędzej mijając Finna. - Czuć od ciebie, jak od dzikiego zwierza. Wynoś się stąd razem z twoim smrodem. I nie wracaj, dopóki się nie wykąpiesz!

Boleśnie upokorzony Finn rzucił puste wiadra i pobiegł do stajni, gdzie Daniel pomagał ojcu wygarniać gnój z boksów dla koni. Wokół nich uwijały się muchy, gdy wybierali grabiami posklejaną od nawozu słomę, a Finn stanął i patrzył szeroko otwartymi oczami, po raz pierwszy

pojmując, jaką zajmują pozycję w świecie Wielkiego Domu. On, jego ojciec i brat znajdowali się na najniższym szczeblu: ludzie od wybierania gnoju, od noszenia węgla i popiołu.

- Co ci jest? - spytał Daniel, opierając się o grabie i patrząc na brata. W oczach Finna było szaleństwo i gniew, policzki płonęły rumieńcem.

- Czyżeś chory, chłopak? - wypytywał Dan, rzucając się ku bratu. Do głowy cisnęło mu się wspomnienie matki oraz sześciorga braci i sióstr rozpalonych gorączką, która ich zabrała, i szybko przyłożył do czoła Finna swą dużą dłoń, niespokojnie sprawdzając temperaturę. Czoło było chłodne, odetchnął więc z ulgą. Odkąd matka nie żyła, a ojciec pił częściej, niż pozostawał trzeźwy, Daniel przejął funkcję głowy tej zdekompletowanej rodziny i bardzo poważnie pojmował swoje obowiązki wobec młodszego brata.

„To doświadczony młodzian, jakiego by tylko szukać”, mówili o nim sąsiedzi. „A ty masz dopiero czternaście lat”. Z dumą myśleli, że wygląda już bardziej na osiemnaście z tym swoim wzrostem i szerokimi barkami. Wszyscy wiedzieli, że Daniel O'Keeffe wyrośnie na pięknego młodego mężczyznę i stanie się dobrym mężem dla jednej z dziewcząt ze wsi, ale z małym Finnem rzecz się miała inaczej. Przy jego urodzie i skłonności do pochlebstw można się było spodziewać kłopotów z kobietami, jak sąsiad sąsiadowi posepnie mówił między jednym a drugim palącym łykiem samogonu, myśląc, że trzeba będzie pamiętać o zamykaniu swych dziewcząt pod kluczem, gdy Finn O'Keeffe osiągnie wiek męski.

Ale akurat w tej chwili Finn nie myślał, że jest potencjalnym zagrożeniem dla jakiegokolwiek kobiety. Odczuwał tylko głęboki, palący wstyd i wściekłość na siebie za to, że nawet nie wiedział, iż cuchnie.

- Dlaczegoście mi nie powiedzieli? - zapytał, rozkopując ze złością stertę nawozu. - Czemuście nie mówili, że cuchnę jak końskie gówno? Jeszcze gorzej! Jak dziki zwierzak, tak powiedziała. A wszyscy się śmiali. - Jego szare oczy od gniewu stały się czarne, a zdumiony Paddy gapił się na syna.

- Jezusie, chłopak, no przecież cuchniesz tak samo, jak my wszyscy! O co ci się rozchodzi?

Daniel czuł, jak rumieniec wstydu parzy z kolei jego policzki, gdy tak wpatrywał się w brata. To wszystko była jego wina. Na nim spoczywa odpowiedzialność. Powinien utrzymywać dom w czystości, dopilnować, by myli się dokładnie każdego dnia, a ich ubrania, żeby były prane.

- Nigdy nie cuchnęliśmy, gdy żyła mamusia! - wykrzyknął z gniewem. Rzucając na ziemię grabie, chwycił Finna za rękę i poprowadził go do pompy studziennej. - Ściągaj ubranie, chłopak! - wrzasnął.

Finn się zawahał. Wiał silny wiatr, a woda ze studni jest lodowata.

- Ale już! - rozkazał Daniel, a jego głos rozległ się po całym brukowanym dziedzińcu tak donośnie, że parobkowie i chłopcy stajenni się obejrżeli. Wyszczrzyli zęby, gdy Finn szybko zrzucił ubranie i przykucnął jak męczennik obok pompy, z rękami na intymnych częściach ciała, skurczonych na zimnie do rozmiarów fistaszka.

Daniel napełnił wiadro z cynowej blachy i chlusał nań lodowatą wodą. Finn zawył, a dziedziniec stajenny rozbrzmiał szyderyczym śmiechem, podczas gdy Daniel raz za razem napełniał wiadro piekąco zimną wodą i chlusał nią na dygoczącego, nagiego brata.

- W siodłarni znajdziesz czystą tkaninę na worki - powiedział w końcu. - Zawiń się w to i wynoś się do domu. Wieczorem wypierzemy twoje ubrania, a jutro już żadna służąca nie będzie mogła narzekać, że mój brat cuchnie.

Finn pobiegł przez las ku dróżce, która prowadziła do ich chaty. Drżał na wietrze, kryjąc się przy żywopłocie z obawy, że ktoś mógłby zobaczyć go półnagiego i sinego z zimna, zawiniętego jedynie w szorstki stary worek. Serce w nim zamarło, gdy usłyszał klip-klap - odgłos kopyt końskich na koleinach dróżki i wyrżał zza rogu wystraszony, kto to może być.

Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia i głośno jęknął, rzucając się do rowu pod żywopłotem. Koń człapał w jego stronę, wcisnął więc głowę głębiej w plataninę jeżyn i palących pokrzyw, modląc się, by go nie zauważono. Potem usłyszał, że zwalniają.

- Patrzcie no! Jak myślisz, Ciel, co my tu mamy? - odezwał się donośnie srebrzysty i władczy głos.

Finn w rowie skurczył się jeszcze bardziej, aż nos znalazł mu się prawie w cuchnącej zielonej wodzie na dnie rowu. Usłyszał, jak pięcioletnia Ciel chichocze.

- Ja myślę, że to dzikie zwierzę - powiedziała. - Może to niedźwiedź, Lily. Czy mamy w Irlandii niedźwiedzie? - dodała niepewnie.

- Oczywiście, że tak. Tańczące niedźwiedzie - odparła szybko Lily. A potem, w nagłym natchnieniu: - Wiesz co, Ciel? Może temu każemy zatańczyć?

Och, Lily! - pisnęła podekscytowana Ciel, równie skłonna do figłów, jak jej siostra.

Fin usłyszał stukot kopyt konia popychanego to tu, to tam. Poczł lekkie szturchnięcie szpicrutą, gdy Lily nachyliła się znad swego konia i postukała go po żebrach.

- Wyjdź, wyjdź, kimkolwiek jesteś - zaśpiewała. Usłyszał w jej głosie śmiech, a gdy powoli podnosił głowę, by spojrzeć na nią, poczuł od jej dłoni świeży zapach mydła.

- No dalej, niedźwiadku - zaszczebiotała Ciel, kołysząc się nie cierpliwie w swym siodle. - Zatańczy dla mnie, prawda, Lily?

Finn wygramolił się powoli z rowu, widząc, że błękitne oczy Lily, gapiące się nań, rozszerzają się ze zdumienia, a potem z uciechy. Ze wstydu zwiesił głowę, zaciskając ściślej swój worek i pragnąc zapaść się pod ziemię. Ze wszystkich ludzi na świecie, których nie chciał oglądać akurat teraz, ona była tą jedyną.

- Patrzcie - powiedziała tryumfalnie Lily - to Finn O'Keeffe. I ja myślę, Ciel, że pod tym workiem jest tak nagi, jak go Pan Bóg stworzył.

- Nagi. Oooh! - W głosie Ciel brzmiało zgorszenie. Choć takie maleństwo, nawet ona wiedziała, że nie spaceruje się po Ardnavamie bez ubrania.

Podbródek Finna opadł jeszcze niżej na piersi.

- Ja... to znaczy, moje ubranie ubrudziło się - wymamrotał. - Mój brat postawił mnie pod pompą na podwórku stajni... Właśnie szedłem do domu, gdyście na mnie wpadły.

Dwunastoletnia Lily gapiła się na niego z ciekawością. Znała Finna O'Keeffe przez całe swe życie. Urodzili się w tym samym miesiącu tego samego roku; on i jego brat zawsze się tu kręcili, pracując w stajni albo w ogrodzie, coś ciągnąc, podnosząc, przynosząc, niosąc. Kiedy umarła mu matka i ci wszyscy bracia i siostry, ona udała się z lady Norą do ich chaty, niosąc wielki kosz jedzenia na trzydniowe czuwanie przy zwłokach, które się miało odbyć. Znała jego brzydkiego ojca, Paddyego O'Keeffe; „to pijany gbur” - jak zawsze mówił o nim jej ojciec - „lecz wspaniały człowiek, gdy ma do czynienia z koniem”. Paddy O'Keeffe nie potrafił zauważyć, że jego własny syn cuchnie, lecz wiedział, co trzeba robić, gdy koń okulał lub stracił apetyt. A był też starszy brat, Daniel, chłopak naprawdę jak niedźwiedź. Nie taki chudzielec jak ten, choć trzeba przyznać, że twarz ma ładną. Słyszała też o nim, że umie prawić pochlebstwa, i że tak potrafi dokuczyć, jak ona sama.

Spojrzała w bok na siostrę i rzekła:

- Ciel, czy naprawdę chcesz, żeby on zatańczył?

- Och tak, tak. Proszę, tak! - Ciel odgarniała znad oczu swe rude loki, cała przejęta. - Czy może zrobić to teraz, Lily?

Lily siedziała w siodle wysoka i wyprostowana. Uniosła podbródek władcym gestem. Znowu łaskocząc go po żebrach swą szpicrutą, po wiedziała:

- Zatańcz, Finnie OKeeffe. Zatańcz jak dziki niedźwiedź, którym jesteś dla mojej siostrzyczki.

W jego oczach zapłonął gniew.

- Nie będę tańczył jak niedźwiedź dla panienki Ciel ani dla nikogo! - zawołał.

- Ależ tak, będziesz - drocząc się, Lily pochyliła się do przodu. - Rozkazuję ci tańczyć.

- Tańcz, tańcz, tańcz - powtarzała jak katarynka Ciel, nie posiadając się z podniecenia. - Tańcz, mój niedźwiadku!

Finn patrzył się na nią, mięknąc. To było przecież maleńkie dziecko. No tak, a przy tym to córka ich lordowskich mości, co mu szkodziło sprawić jej przyjemność? Zaciskając mocno tkaninę worka wokół bioder, zaczął powoli kręcić się w kółko na środku drogi.

Ciel klasnęła w rączki, a Lily zaśmiała się:

- Szybciej! - zawołała. - Szybciej, tańczący niedźwiadku! - Nie będę już tańczył więcej - powiedział Finn, nienawidząc jej za ten śmiech. - Tańczyłem tylko, żeby zrobić przyjemność małej dziewczynce.

Mierzyli się nawzajem wzrokiem: ona - wyglądająca tak nieskazitelnie w swoim londyńskim stroju do konnej jazdy, w białych jedwabnych pończochach i w małym meloniku na czarnych lokach. Tak świeża i czysta, różowa i biała, z pełnymi drwiny niebieskimi oczami. On zaś - bosy, w kawałku worka wziętym z dziedzińca stajni, dopiero co obmyty ze smrodu.

Odwrócił się z gniewem, by nie patrzeć na kpinę w jej oczach, i ruszył drogą w kierunku domu.

- Nie pozwoliłam ci odejść. Finnie OKeeffe! - krzyknęła za nim Lily.

- Powiedziałem wam, że już nie będę tańcował - odkrzyknął ze złością ponad ramieniem.

Posłyszał odgłos galopujących kopyt konia i spojrzał w górę do kładnie w chwili, gdy się z nim zrównała. Pochylając się na bok w siodle i wyciągnawszy jedną rękę, chwyciła za worek i pociągnęła, zostawiając Finna golusieńkiego na środku drogi.

- O, Jezusie! - wrzasnął, znów przyciskając ręce do intymnych części ciała, podczas gdy Lily tryumfalnie wywijała kawałkiem tkaniny nad głową. - O, Jezusie, milady! - wrzasnął znowu, składając się w scyzoryk i uciekając przed nią wzdłuż drogi najszybciej, jak tylko mógł.

- Och, Lily, popatrz na pupę tańczącego niedźwiedzia! - dobiegł go okrzyk Ciel. A potem salwy szyderczego śmiechu Lily, każda z nich niczym gwóźdź upokorzenia wchodzący mu w serce, gdy tak pędził, by ukryć się w domu.

- Nigdy nie wolno ci mówić, co się zdarzyło - ostrzegła Lily siostrzyczkę, gdy wjeżdżały truchtem na dziedziniec stajni.

- Dlaczego nie wolno? - zapytała prostodusznie Ciel.

- Bo papcio nie byłby zadowolony - wytłumaczyła nieco zakłopotana Lily.

Stajenny w liberii rodu Molyneux złożonej z koszuli w zielono-białe pasy, z zielonej kamizelki i beżowych bryczesów podbiegł, by pomóc jej przy zsiadaniu, lecz Lily nawet na niego nie spojrzała. Z rozmachem, lekko zeskoczyła z siodła i też śpieszyła przez dziedziniec, a Ciel biegła za jej plecami. Mijając stertę gnoju, zrobiła niezadowoloną minę.

- Co za smród - rzekła ze złością. Rzuciła piorunujące spojrzenie Danielowi, brudnemu i niechlujnemu, który wpatrywał się w nią, oparty na swych grabiach. - Dopilnuj, żeby usunąć to natychmiast - poleciała - inaczej powiem memu ojcu, kiedy wróci, że stajnie przynoszą nam wstyd.

Oddaliła się, a Ciel spoglądała niepewnie na nich i na stos nawozu, a potem pośpieszyła za siostrą.

- To już dziś drugi raz ktoś narzeka na smród koło nas - rzekł Paddy z bezzębnym szerokim uśmiechem.

- Tak, i to będzie ostatni raz - przyrzekł solennie Daniel, patrząc gniewnie w ślad za nimi i myśląc o tym, jaka to z niej wyniosła i można mała księżniczka, i że gdyby on był jej papciem, dałby jej kopniaka w dupę.

Gdy przechodziły pod kamiennym łukiem dzielącym stajnie od reszty zabudowań. Ciel odwróciła się, by mu pomachać, a on jej odmachał, szczerząc zęby zawstydzony.

- No tak, ta mała to jeszcze dzieciątko, które ma w sobie pełno wdzięku. A panna Lily to jeszcze nieduża dziewczuszka - powiedział z pobłażaniem, zapominając na chwilę, że jest ona tylko dwa lata młodsza od niego, który już przecież ma się zachowywać jak mężczyzna - i w tym samym wieku, co jego brat Finn, który również pracował tyle, co dorosły i nie miał matki, by się nim opiekowała. Przymierzył się do szufli i zaczął przerzucać gnój do taczek, by go wywieźć.

Lily zamasyżście przeszła przez brukowaną sień, wraz z Ciel deptającą jej po piętach, tak jak to miała w zwyczaju, jak gdyby była przywiązana jakąś niewidzialną nicią. Potem po wielkich kręconych schodach na piętro, a później w lewo, poprzez długą galerię z rzędem mahoniowych drzwi umieszczonych po dwoje i tak wysokich, że nie omal sięgały strzelistego sufitu. W przerwach między każdą parą drzwi ustawiono marmurowe cokoły z rzeźbionymi popiersiami rzymskich cesarzy i greckich wojowników, a ściany obite ciemnozielonym morowanym jedwabiem, pokryte były ogromnymi obrazami olejnymi. Długi czerwony dywan ciągnął się na całą długość wyfroterowanej na wysoki połysk dębowej podłogi, aż do pary dwuskrzydłowych drzwi u samego końca, które prowadziły do części domu zajmowanej przez dzieci.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wyjrzała z nich kobieta o szczupłej i znękanej twarzy.

- A, jesteście! - zawołała z gniewem. - Szukałam was wszędzie!

- Wybrałyśmy się tylko na przejażdżkę, panno Nightingale - rzekła Lily, uśmiechając się do guwernantki przymilnie. - Czy pani nas potrzebowała?

Panna Nightingale parsknęła gniewnie, a oczy jej zamglily się łzami zawodu.

- Doskonale wiecie, że miałyście być tutaj i się uczyć. A popatrzcie, która godzina. Cały ranek zmarnowany. - Nie dla mnie, panno Nightingale - głośno zawołała Lily, przemykając koło niej i chyżo biegnąc innym, węższym korytarzem do swego pokoju. Rzuciła się na łóżko, wierzgając piętami w powietrzu i wyjąc ze śmiechu na myśl o Finnie OKeefe, który tańczył na jej rozkaz niczym niedźwiedź, a potem zmykał drogą nagi, jak go Pan Bóg stworzył.

- Czy widziałas go, Ciel? - dopytywała się, kiedy Ciel bęcnęła ze śmiechem na łóżko obok niej. - No, czy ty go widziałas? Och, on mi nigdy nie wybaczy. Przenigdy. Jestem tego pewna!

- O, na pewno wybaczy - rzekła siostrzyczka, wpatrując się w nią z uwielbieniem. - Wszyscy ci zawsze wybaczą, Lily.

I naturalnie wybaczył. Spostrzegła go następnego dnia, gdy pomagał swemu bratu polerować lśniącą karoserię powozów.

Ona i Ciel buszowały właśnie w oranżerii, podkradając ciemne winogrona, które miały być

podane do kolacji. Wokół ust pojawiły się zdradzieckie purpurowe plamy i Lily usiłowała wytrzeć je ręką swej różowej bawełnianej spódniczki. Spojrzała z ukosa na Finna. Obserwował ją kątem oka, choć udawał, że tak nie jest, zrobiła więc do Ciel porozumiewawczą minę.

Pomyślała, że jego twarz jest interesująca, kiedy może ją sobie teraz porządnie obejrzeć zamiast zadka. A także urodziwa.

- Czyja naprawdę byłam dla niego paskudna, Ciel? - wyszeptała, a malutka Ciel przytaknęła, potrząsając swymi rudymi lokami z emfazą.

- O tak, Lily - szepnęła donośnie. - Byłaś bardzo paskudna.

- Czy byłam podła? - zapytała, przygryzając usta.

- Byłaś podła - powtórzyła stanowczo Ciel.

- W takim razie sędzę, że pozostaje mi zrobić tylko jedno. Wyglądając spódniczkę, Lily zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę Finna. Wyciągając rękę, rzekła słodkim głosem:

- Moja siostra powiada, że byłam wczoraj dla ciebie podła, przy chodzę więc cię przeprosić. - Wpatrywała się w Finna z ręką wysuniętą do przodu i z niewinnym wyrazem w swych świetlistobłękitnych oczach, on zaś patrzył osłupiały na nią, myśląc o tym, że dziś jego dręczycielka wygląda na niebiańskiego anioła.

- Więc jak? - dopytywała się niecierpliwie Lily. - Przyjmiesz moje przeprosiny, czy nie?

- Przyjmę, milady - odparł, wycierając dłoń o nogawkę spodni i ujmując z werwą jej rękę. Poczul, że jest miękka jak opadły kwiatek mlecza i uśmiechnął się do niej, a jego twarz rozjaśniła się cała.

- Wolę cię, kiedy się uśmiechasz - oznajmiła mu Lily. Bardziej, niż gdy zawodzisz jak potępiona dusza. - Uśmiechnęła się doń szeroko i po chylając się w przód, wyszeptała:

- Nikomu nie powiem, co się wydarzyło. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Tak długo, dopóki będziesz robił to, co ci każę.

Cofnął się ostrożnie, a jego szare oczy pełne były podejrzliwości.

- A co niby panienka zamyśla? Lily wydała przesadne westchnienie.

- Nie ma się czego obawiać...

- Ja panienki się nie boję - wykrzyknął, a jego twarz znów zaczerwieniła się z gniewu.

- Och, jesteś nieznośny, Finnie O'Keeffe - Lily tupnęła nogą, od dając mu wyzywające spojrzenie.

- A chciałam prosić cię tylko o to, żebyś jutro przejechał się ze mną konno.

- Przejechać się z panienką konno? - gapił się na nią, a jego oczy ze zdumienia były wielkie jak spodki.

- Donoszą mi, że jesteś świetnym jeźdźcem. Prawie tak dobrym, jak ja. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy to sprawdzić, urządzając przejażdżkę wzdłuż wybrzeża. Jutro o świcie. Wzruszyła szczupłymi ramionami. - Oczywiście, jeżeli się boisz...

- Mogę cię prześcignąć w każdy dzień tygodnia.

Miała go znów po swojej stronie i wiedziała o tym. Finn poznał po jej oczach, że sprawia jej to przyjemność i przeklinał sam siebie za to, że połknął haczyk.

Spojrzał na nią, wysoką i smukłą, wciąż jeszcze dziecko w różowej bawełnianej sukience, z plamami od winogron wokół ust; jej czarne lśniące loki były rozczochrane, błękitne oczy tkwiły w ślicznej twarzy jak klejnoty, a maleńka siostrzyczka trzymała się jej spódnicy. Serce się w nim zatłukło, a potem zapadło gdzieś w głąb.

- Jesteś tylko dziewczyną - rzekł, szczerząc zęby w zuchwałym uśmiechu. - I jutro przekonasz się,

że żaden z ciebie przeciwnik dla mężczyzny takiego jak ja.

- Mężczyzny? - Jej podbródek uniósł się w górę, a wzrok zmierzył Finna z góry na dół i z dołu do góry. - Zobaczymy, czy jesteś mężczyzną, czy chłopcem, Finnie O'Keeffe, Jutro o świcie.

Oddaliła się niecierpliwym krokiem, trzymając Ciel za rękę, on zaś obserwował ją z radosnym uśmiechem na twarzy, już widząc, jak łeb w łeb pędzi wraz z nią wzdłuż plaży.

- No i o co szło to wszystko? - zapytał Daniel, polerując wiecznie lśniąca ciemnozieloną karoserię kolaski. - A co robi ta dumna mina na twojej twarzy?

- Jasne, że nie szło o nic - odrzekł niedbale Finn. - Taka tam pogaduszka między mną i lady Lily. A tobie nic do tego. Nazajutrz rano Lily wstała i ubrała się, nim zaświtało. Spojrzała czule na swą śpiącą jeszcze siostrzyczkę. Ciel miała otwarte usta i mocno za mknięte oczy, a jej ciemnorude rzęsy wyglądały na krzywiźnie jej pulchnych policzków jak firaneczki.

Lily uśmiechnęła się, wyslizgując się cicho przez drzwi, ze swymi dwoma najukochańszymi dalmatyńczykami, Fergalem i Mercurym, idącymi przy nodze. Cztery jej pozostałe psy sypiały w stajniach i gdy weszła pod bramą na dziedziniec, zaszczekały z radością i rzuciły się, by ją przywitać.

Finn nonszalancko opierał się o drzwi końskiego boksu, wyglądając tak, jakby był tam już od wielu godzin.

Spojrzała zdumiona na czekające konie, po czym znów na niego. Osiodłany był już jej ulubiony koń, szybki pięciolatek, oraz stary koń do polowań, który swojego czasu był dobry, ale teraz szczyt możliwości miał dawno za sobą.

- Nie możesz ścigać się ze mną na tym koniu - powiedziała władcym tonem, podchodząc do podpórki do wsiadania i z rozmachem wskakując okrakiem na swą klacz, przytrzymywaną przez parobka.

- Jasne, i pewnie chcesz, żebym jechał na kucyku twojej siostrzyczki tak, byś bez trudu wygrała z Finnem O'Keeffe? - zapytał wojowniczo.

- To stara szkapa. Powiedz parobkowi, że moim zdaniem powinieneś dostać Merchant Prince. Merchant Prince był ulubionym koniem jej ojca i Finn wiedział o tym. Powiedział dobitnie:

- Nie będę dosiadał najlepszego konia jego lordowskiej mości. Za nic na świecie. Gdyby coś stało się temu zwierzęciu, kosztowałoby mnie to więcej niż życie.

Lily naburmuszyła się; myślała, że Finn znów złapie haczyk, ale okazało się, że ma więcej rozumu. Merchant Prince był ogierem i tylko jej ojciec potrafił nad nim panować. Koń ten miał wielką wartość, więc Finn nie chciał narażać się ani na gniew jej ojca, ani nadwierać zwierzęcia. Jeśli jednak nie pojedzie na dobrym wierzchowcu, nie będzie żadnej zabawy.

- No więc w porządku. Jedź na Punchu - powiedziała, kierując swą klacz pod kamiennym łukiem na zwirowany podjazd, prowadzący w stronę traktu, który za domem biegł w dół ku morzu.

Finn znalazł się na Punchu w mgnieniu oka, cwałując obok niej między szpalerem drzew.

- Wiesz, mój ojciec jest w Paryżu - zawołała ku niemu. - Nie wiedziałby nic o Merchant Prince.

- Nie, lady Lily, może by i nie wiedział. - Przytrzymał swego wierzchowca, by jechać z nią noga w nogę. - Ale to ja bym wiedział. Rzuciła mu kąpiące spojrzenie:

- A więc to była kwestia uczciwości? Nie strachu? Spojrzał na nią ze złością.

- A niech cię licho, myśl sobie, co ci się podoba - wrzasnął i popędził aleją, a potem skalistą ścieżką w dół na plażę.

- Stąd właśnie zaczynamy - rzekła Lily, ustawiając swego konia obok jego. - Tu, od tego kawałka

drzewa wyrzuconego przez morze. ścigamy się aż tam, do końca, a potem zawracamy i dojeżdżamy znów tutaj.

Finn ocenił odległość:

- To ponad półtora kilometra!

- Owszem. - Uśmiechnęła się i szybko wykrzyknęła:

- Do biegu gotowi - start!

Wyrwała się do przodu niczym kula z pistoletu startowego, Finn zaś zaśmiał się szeroko, ściskając piętami boki konia i galopując w ślad za nią.

Lily pędziła siedząc po męsku i czując pod sobą płynne ruchy konia. Poranek był chłodny i mglisty. Piasek stawiał opór końskim kopytom, a na skórze czuła wilgoć zawartą w powietrzu i wrzeszczała ze szczęścia na cały głos. Miała poczucie harmonii ze swym otoczeniem i z naturą - i tak wielkiej bliskości Boga, jak tylko to możliwe. Obejrzała się szybko za Finnem akurat w chwili, gdy ten przemknął obok niej.

Skulony był nisko nad końską szyją niby dżokej, oszczędzając zwierzęciu swego ciężaru tak, by wydobyć zeń większą szybkość. Lily pędziła za nim jak szalona, śmiejąc się i piszcząc, gdy obydwójce zakręcili i rozpoczęli powrót wzdłuż wybrzeża, jadąc łeb w łeb. Dopiero na ostatnich dziesięciu metrach Finn oderwał się od niej i wygrał.

Tryumfując, uśmiechnął się do niej szeroko i oczekiwał, że zacznie mu wymyślać, albo w dąsach oskarżać go o szachrowanie. Tymczasem go zaskoczyła.

- Okazuje się, że ludzie mieli rację, Finnie OKeeffe - rzekła zadyszana, z błyskiem podziwu w oczach. - Ty naprawdę jeździsz jak wiatr i jeszcze o wiele lepiej.

Gdy skierowali swe konie w drogę powrotną, zapytała:

- Czy pojedziesz znowu ze mną jutro? O świcie? W jej głosie nie było już tonu drwiny, jak dawniej, tym razem uśmiechnęła się do chłopca z niekłamaną życzliwością. Miała różowe policzki, a wilgotne od mgły czarne włosy przywarły jej do głowy. Pomyślał, że w żeglarskim swetrze i męskich bryczesach Lily wygląda jak mały chłopiec. A gdy patrzyła na niego tymi wielkimi, niewinnymi ciemnobłękitnymi oczyma, czuł, że mógłby tak jeździć każdego ranka przez całe swoje życie.

- Jutro - zgodził się, czując się tak, jakby nie mógł już od życia oczekiwać niczego więcej.

14.

Rodzice Lily gościli właśnie na kontynencie, nie było więc nikogo, kto by powstrzymał ją od zaprzyjaźnienia się z najmizerniejszym spośród sług jej ojca. Jednym słowem, zawsze bawiła się gdzieś w okolicy stajni i czuła się przy nim zupełnie swobodnie. Ku przerażeniu matki, nauczyła się języka ze stajennego podwórza, a nawet mówiła na matkę „mamusia”, tak jak słyszała to u dzieci ze wsi. Był to jej własny, szczególny sposób wyrażania miłości do matki, aczkolwiek mówiła tak tylko w wąskim kręgu rodziny. Będąc w towarzystwie, i ona, i Ciel używały konwencjonalnego zwrotu „mama”, i nawet papcio stawał się wtedy „papą”.

Każdego ranka, czy to deszcz, czy słońce, nim jeszcze niebo się za różowiło, Lily była już na nogach, w swym swetrze i bryczesach.

- Dokąd tak ciągle chodzisz? - spytała się zazdrośnie Ciel, która obudziła się, gdy ta się właśnie ubierała.

- Na przejażdżkę z Finnem - szepnęła z palcem na ustach, wymykając się z pokoju, który ze sobą dzieliły, jako że Ciel nie chciała już mieszkać w pokoju dzieciennym. Zawsze pragnęła być tam, gdzie

Lily.

Ale Lily cieszyła się nie tylko przejażdżką. Lubiła także gdy, uwiązawszy konie, siedzieli pospołu na skałach, wpatrując się ponad zatoką w ocean, tłukący o zachodnie wybrzeża Irlandii, i gwarząc o tym i owym.

- Pamiętam cię z czasów, gdy byłam bardzo mała - mówiła do Finna, leżąc na plecach, wpatrując się w szare niebo i okręcając dokoła palca swój warkocz. - Przebywałeś zawsze na podwórzu stajni i przy glądałeś się, przyczajony za drzwiami siodłami, albo schowany na stryszku z sianem.

- A ja pamiętam cię na twym kucyku, gdy miałaś może ze trzy latka. Twój ojciec związał ci ręce z tyłu na plecach, miało cię to nauczyć utrzymywania równowagi, a stajenny prowadził konika po błotnistym kawałku wybiegu, gdzie mogłaś miękko lądować, a ty jeździłaś roześmiana jakby to wszystko było wspaniałym żartem. W ogóle nie bałaś się nigdy - dodał z podziwem.

Wpatrywała się przez chwilę w niebo milcząc, a potem powiedziała:

- A ja pamiętam, jak twoja matka i wszystkie siostrzyczki i braciszki umarli. Przyszłam do twego domku. Moja matka przyniosła na czuwanie przy zmarłych wielki koszyk jedzenia i pamiętam łzy na jej twarzy, gdy patrzyła na was dwóch. Usiadła i spojrzała Finnowi w oczy. - Pamiętam, jak wyglądałeś; twoja twarz w świetle świec ustawionych na wierzchu każdej trumienki była tak blada i napięta jak maska. Próbowałam wyobrazić sobie, jak musiałeś się czuć, tracąc tylu ukochanych, lecz nie umiałam, skoro niczego podobnego nie znałam. Chciałam ci powiedzieć, że jest mi przykro - i po prostu nie umiałam. Ale teraz umiem.

Pochyliwszy się do przodu, Lily złożyła pocałunek na jego policzku.

- No i co? - zapytała wyzywająco.

Finn przyłożył dłoń do twarzy w miejscu, gdzie go pocałowała, czując się tak wniebowzięty, jakby latał w górze wraz z mewami. Jego serce znów tak zabawnie załomotało, po czym opadło gdzieś w głąb.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, lady Lily - wyszeptał spłoszony.

- Nigdy nie mów tak do mnie - odrzekła niezadowolona. - Jesteś moim przyjacielem i będziesz nazywać mnie Lily.

Pomyślał, że nie ośmieli się zwracać do niej po imieniu bardzo długo, może nawet przez całe lata; wydawało mu się to po prostu zbyt bezczelne. W miarę jednak, jak mijały tygodnie lata, bez trudu stali się dla siebie Finnem i Lily, i mówili sobie nawzajem takie rzeczy, których nigdy nie powiedzieliby nikomu innemu.

Wyznał jej całą prawdę o tym, jak serce rozdarło mu się na pół po śmierci mamusi i młodszych braci i sióstr, a Lily opowiedziała, jak płakała całymi tygodniami, gdy pies, którego miała, odkąd skończyła pięć lat, dostał się w sidła, a ona go znalazła połamanego i broczącego krwią. Trzeba było biedaka zastrzelić - i ona nigdy tego nie zapomni. Finn jej pokazywał, gdzie leżą w lasach zaczarowane polany i snuł stare ludowe baśnie o krasnoludkach i wróżkach, podania o zjawach zwiastujących śmierć i chochlikach - goblinach. A ona pokazała mu jego portret, który sama narysowała, ukazujący Finna, jak siedzi okrakiem na Punchu, a wiatr na wiewa mu na oczy jego czarne włosy - i dodała nieśmiało:

- Masz ładne oczy. Długie dni swobody szybko dobiegły kresu. Ojciec i matka powrócili z podróży, a Lily i Ciel kręciły się po brukowanej sieni piszcząc z podniecenia, gdy usłyszały turkot ich powozu na żwirze. Trzynastoletni William, poważny jak sowa, ze swymi okularami w drucianych oprawkach, spoglądał na nie z lekceważeniem.

- Jesteście tylko dwójką łapserdaków - rzekł pogardliwie. Majordomus ustawił uśmiechniętą służbę szeregiem w holu i poszedł zająć miejsce na schodach, by powitać swego pana i panią. Ciel i Lily zaś rzuciły się ojcu pod nogi, jeszcze bardziej rozbrykane od za aferowanych psów, które już pędziły w kierunku powozu.

- Kochana dziewczynko - zahuczał lord Molyneux, kołysząc Lily w ramionach i czule ją całując. - Brakowało mi ciebie. I ciebie też - dodał, składając pocałunek na czubku kędzierzawej głowy Ciel. - No więc, chodźcie i opowiedzcie mi o wszystkim, czegoście się nauczyły od mego wyjazdu. I o wszystkim, coście robiły.

- O tak, a robiła więcej, niż się uczyła - wymamrotał pod nosem majordomus, gdy lord Molyneux mijał go, wchodząc zamasyżuje w głąb holu. Cała służba wiedziała o jej przejażdżkach z Finnem. To pewne, bo czyż sam Paddy O'Keefe nie pysznił się tym każdego wieczora w gospodzie, chociaż nie była to rzecz, którą ktokolwiek z nich by pochwalał. Życzliwość swoją drogą, ale nawet jeśli Lily jest jeszcze tylko dzieckiem, wiadano, że powinna zachowywać dystans.

Lady Molyneux witała swoją służbę serdecznie. Wymieniała uścisk dłoni z każdym, gdy tak szła wzdłuż szeregu i wypytywała o ich rodziny, oni zaś odwzajemniali się jej pełnym uczucia uśmiechem. Z jego lordowską mością było jednak inaczej. Przeszedł obok nich sprężystym krokiem, ledwo skinąwszy głową. W stosunkach z nim wszyscy musieli wyrażać szacunek i respekt. Oczywiście, że mu się to słusznie należało - przyznawali później. Wiedzieli jednak, że nie będzie już przeciągających się, swobodnych kolacyjek w sali dla służby dopóty, dopóki rodzina znów nie spakuje manatków i nie wróci na okres Bożego Narodzenia do Dublina.

W związku z pobytem lorda Molyneux na miejscu, w Wielkim Domu zapanowała atmosfera napięcia i krzątanina. Pierwszą rzeczą, jaką lord zrobił, była inspekcja stajni.

- Twoja mama odpowiada za dom - rzekł do Lily - ale to jest moja domena, kochane dziewczę. I twoja też, oczywiście, ponieważ wiem, że jesteś taka, jak ja.

Jego niebieskie oczy, takie same jak jej, uśmiechnęły się do córki, a ona odwzajemniła się uśmiechem pełnym uwielbienia, myśląc, jak bardzo jest szczęśliwa, mając tak cudownego ojca. Szczególnie zaś, gdy dostrzegła Paddiego O'Keefe, kulącego się jak pająk w rogu podwórza, zeschniętego i brzydkiego, z czerwonym pijackim nosem i bladymi, wodnistymi oczami. Pomyślała o Finnie i Danielu i ogarnęło ją zdumienie, że ma on tak urodziwych synów.

Jej ojciec zwracał się do Paddiego uprzejmie, tak jak do wszystkich swoich dzierżawców - oczywiście, jeśli się pominie surową nutę władczości brzmiącą w jego głosie, która przyprawiała ich o drżenie.

- Padraig O'Keefe - zawołał. - Chodź no tutaj i pokaż mi się szybko.

Lily roześmiała się, kiedy Paddy nadchodził niespiesznym krokiem na swych krótkich, krzywych nogach, z dyndającymi, długimi ramionami, wyglądając kropka w kropkę jak stary szympan. Ojciec odwrócił się ku niej z dezaprobatą.

- Nigdy tego nie rób, Lily - upomniał ją z nutką gniewu. - Ci ludzie są naszymi dzierżawcami, a my za nich odpowiadamy. Nie mają tyle szczęścia, co ty, ale to nie znaczy, że mogą być przedmiotem twojej uciechy.

- Przepraszam, papciu - Lily potulnie zwiesiła głowę, spoglądając nań kątem oka. Poklepał ją pocieszająco po ramieniu.

- Nie szkodzi - powiedział z uśmiechem. - Nie ma potrzeby się niepokoić. Wiem, że nie miałaś na myśli nic złego. Po prostu nigdy się nie zastanawiasz.

Stojąc w drzwiach siodłami. Finn przyglądał się tej scenie w milczeniu. Wpatrywał się w Lily, tym razem siedzącą po damsku na Jamestownie. Przy swoim dostojnym ojcu wyglądała w każdym calu jak dama. Ich poranne przejażdżki wzdłuż wybrzeża wydały mu się snem, a Lily nie spojrzała w jego stronę ani razu, choć jej ojciec skinął mu głową, słuchając chaotycznych opowieści Paddiego, co działo się z końmi i co robią kłusownicy na przestrzeni tych tygodni, kiedy go nie było.

- To zapewne twój syn? - zapytał lord Molyneux, wskazując biczem na Finna.

- Tak, wasza lordowska mość, to Finn. A mój drugi chłopak, Daniel, to ten dryblas tam na podwórku. Dopiero czternaście lat, wasza lordowska mość, a pan tylko spojrzysz na jego wzrost.

- Przypuszczam, że ma go po Brianie Bom - z poważną twarzą powiedziała Lily, a jej ojciec spojrzał na nią zirytowany, z uśmiechem kryjącym się w kącikach ust.

- Może być, lady Lily - skwapliwie zgodził się Paddy. - Przyrowadź swoje zuchy tutaj - nakazał Lord Molyneux. - Chciałbym zamienić z nimi słowo.

Paddy gestem przywołał synów, a oni podeszli i stanęli czapki z szacunkiem trzymając w ręce - przed swoim lordem i panem. Finn czuł na sobie wzrok Lily, ale nie ośmielił się spojrzeć na nią. Natomiast wpatrywał się śmiało w lorda Molyneux. Nawet odziany w tweedową marynarkę i czapkę, jego pan miał w każdym calu wygląd wszechpotężnego ziemianina arystokraty, a przy tym Finn wiedział, że władza tego człowieka nad jego życiem była całkowita.

- Bez niego nie mamy dachu nad głową - tłumaczył mu brat, kiedy w zimowe chłody Finn narzekał na ich ubogie jedzenie i obszarpaną odzież. - Bez niego nie jemy. Nie mamy torfu do paleniska. Nie mamy ubrania na grzbiecie. Bez lorda Molyneux i Ardnawamy nie istniejemy.

- Tu w oczach Daniela błysnął gniew. - Tak właśnie zawsze było z Irlandczykami - zamruczał boleśnie, wpatrując się wytrzeszczonymi oczyma w dymiący płomień torfu, tak jakby widział jakiś zły sen.

- Masz tutaj dwóch przystojnych chłopców, Paddy - powiedział ojciec Lily, oglądając ich ze wszystkich stron, odnotowując potężną jak u wołu budowę Daniela i szczupłą postać Finna. - Jak słyszę, młodszy jest świetnym jeźdźcem.

Finn odgarnął kosmyk ciemnych włosów z oczu. Rzucił krótkie spojrzenie na Lily, ciekaw, czy to właśnie ona powiedziała o tym ojcu, lecz ta odwzajemniła mu się chłodnym spojrzeniem, bez jednej iskierki rozpoznania. Znowu opuścił wzrok na swoje buty, a twarz go paliła. Niekiedy żałował, że w ogóle spotkał Lily Molyneux.

- Jak by ci się widziało zostać osobistym stajennym moich dzieci?

- zapytał Finna lord Molyneux. Nie uśmiechał się, ale mówił dobrotliwym głosem, a propozycja była niewątpliwie wspaniałomyślna. Finn podniósł dumnie głowę.

- Och, wspaniale, milordzie. - Daniel dźgnął go szybko łokciem w żebra, dodał więc pośpiesznie, - jestem bardzo panu wdzięczny, sir, za tę pracę. Będę się starał dla tych małych jak tylko się da, sir - dorzucił, choć w gruncie rzeczy tylko Ciel miała mniej lat niż on.

- Chciałbym, abyś pomógł lordowi Williamowi - ciągnął lord Molyneux. - Mój syn potrzebuje kogoś bliższego mu wiekiem, kto by weń wpoił pewność siebie. Liczę na ciebie, Finnie O'Keeffe, że zrobisz z niego jeźdźca, gdyż mnie się to nie udało.

- Obiecuję, że to zrobię, sir - odrzekł skwapliwie Finn. Lubił Williama i pomyślał, że wie, jak mu pomóc pokonać strach i niechęć do koni.

Lord Molyneux uważnie patrzył na Daniela. Choć z uszanowaniem trzymał czapkę w rękach, spoglądał mu w oczy śmiało i nie było wątpliwości, że jak na chłopca zaledwie czternastoletniego,

ma nadzwyczajną budowę ciała. Powiedział:

- Danielu, ty będziesz pracować z Dweyerem, głównym naganiaczem i gdy zjadą goście, możesz mu pomagać. Możesz uczyć się także przy leśnikach. Opanuj to zajęcie jak najlepiej, abyś był pomocny w czasie polowania.

- Tak jest, sir. Dziękuję panu, wasza lordowska mość. - Twarz Daniela się rozjaśniła. Zabierano go od harówki posługacza przy wygrabianiu gnoju i czyszczeniu powozów, by posiadał jakąś umiejętność. Dla chłopaka takiego jak on, był to wielki krok naprzód - i zdawał sobie z tego sprawę.

- Porozmawiajcie z rządcą na temat liberii - polecił lord Molyneux, odjeżdżając kłusa ze swą córką u boku.

Finn patrzył tęsknie, jak zakręcają pod łukiem. Lily była jego przy jaciółką, a nawet nie spojrzała na niego. Wydawała się tak odległa, tak inna. Odwracał się już przygnębiony, gdy obejrzała się nań i puściła doń oko. Szeroki, od ucha do ucha uśmiech rozlał się na jego twarzy. Jednak o nim nie zapomniła. I wiedział, co znaczyło to mrugnięcie. Teraz, gdy zostanie jej osobistym stajennym, będzie mógł z nią przebywać, ilekroć ona tego zapragnie. Nadal będą mogli odbywać wspólne poranne przejażdżki. Nie zmieniło się nic - chyba, że na lepsze.

Jego serce poszybowało w górę i spojrzał z entuzjazmem na brata. Daniel w odpowiedzi wyszczerzył do niego zęby.

- Przebiliśmy się, Finnie! - wykrzyknął z podnieceniem Daniel. - Jesteśmy na drodze do sukcesu.
15.

Ciel Molyneux uważała, że pozycja siostry Lily to najlepsza rzecz na świecie, a przecież różniły się od siebie tak bardzo, jak tylko można, zarówno aparycją, jak i usposobieniem.

Ciel była drobniejsza, wyglądała na bardziej krzepką niż jej wysoka, wysmukła siostra. Pełna humoru i energii, ale zawsze posłuszna, podczas gdy Lily miała porywcze usposobienie i naturę buntownika. Dziecięce wybryki Ciel zawsze powściągała przezorność i strach przed tym, co mogłoby ją spotkać, gdyby ją przyłapano, podczas gdy impulsywna Lily po prostu ani przez chwilę nie myślała o konsekwencjach.

Ciel zazwyczaj stawiała się współniczką Lily w występku, choć czasami wydawało się jej, że to Lily podsuwała pomysły, natomiast ona - zawsze dokonywała straszliwego czynu. Lily łowiła myszy i pająki, ale to Ciel wkładała je do łóżka guwernantek; wymyśliła to wprawdzie Lily, ale w rzeczywistości Ciel podpięła guwernantce spódnicę na plecach, podczas gdy Lily odwracała jej uwagę, w rezultacie czego biedna kobieta chodziła po domu, prezentując desusy.

To Lily wymyśliła, by zamiast francuskich soli kąpielowych, włożyć do wody przeznaczonej na kąpiel dla gości przeciwmolowe kulki z naftaliny i to Lily przebrała je obie za pokojówki, po czym zastąpiwszy na schodach drogę prawdziwym pokojówkom, zносиły dzbany z wodą do kąpeli ważnym gościom rodziców. Lily także wymarzyła sobie, by wymknąć się z łóżek, przebrać się za rozbójników w kapeluszach z piórami, ze szkarłatnymi chustkami z jedwabiu zakrywającymi twarze, i galopować na złamanie karku przez uśpioną wieś, strzelając z pistoletu i zrywając zatrwożonych ludzi z łóżek. Postanowiła również, że wykradną się nocą na poszukiwanie miejscowej gorzelni, by zaopatrzyć się w dzbanek samogonu.

Ciel wspominała z dreszczem zgrozy, jak pociągnęła jeden tylko łyk tego czegoś mocnego; paliło ją w gardle niczym ogień, łzy stanęły jej w oczach i kaszlała, dopóki nie z wymiotowała. Ale nie Lily: kilka ukradkowych łyków - i zrobiła się wesolutka niczym clown, naśmiewając się z niedyspozycji Ciel.

Któregoś razu Lily sprowokowała ją do skakania po kamieniach umożliwiającym przejście na drugi brzeg w Travelers Leap, ponad rwącą kipiela głębokiej i lodowatej wody. Ciel pośliznęła się i byłaby się wówczas utopiła, gdyby Lily nie wskoczyła do wody i sama w śmiertelnym niebezpieczeństwie - nie uratowała jej.

Lily była przerażona i pełna skruchy, gdy na wpół wlokła, na wpół niosła siostrę przez las do domu.

- Przrzekam, że już nigdy cię nie namówię do niczego więcej, ukochana Ciel - ślubowała, a łzy spływały po jej twarzy. - To wszystko moja wina. Zapomniałam, że jesteś tylko małą dziewczynką, a ja jestem o tyle starsza.

A kiedy wreszcie wróciły do domu, przrzekała szalejącej matce, że będzie już bardziej odpowiedzialna na przyszłość, choć naturalnie Ciel nic nie powiedziała o wyzwaniu jej przez Lily. Nigdy nie doniosła na Lily. W ogóle nikt tego nie robił, nawet służba.

Lojalna Ciel nie powiedziała ani słowa nawet wtedy, gdy Lily grzmotnęła jej kucyka po zadzie, puszczając go w dzikim pędzie przez pola i ogrodzenia, z nią przyczepioną kurczowo, podczas gdy Finn O'Keefe galopował za nią jak szaleniec, krzycząc i przeklinając, aż wreszcie kucyk zrzucił ją i leżała nieruchomo, jak nieżywa. Lily przy padła z przeraźliwym krzykiem do Ciel, podczas gdy Finn pognął po pomoc.

- Och, Ciel, Ciel, nie umieraj - łkała jak szalona. - Kocham cię. Wróc do mnie. Ciel. Już nigdy nie zrobię niczego tak głupiego. Och moja droga, moja droga. Po prostu nie pomyślałam. - Był to ten sam, co zwykle, lament Lily.

Lady Molyneux wybuchnęła płaczem, gdy ujrzała Dana O'Keefe z jej małą córeczką leżącą mu bezwładnie na rękach. Po tym, jak przybył lekarz i oświadczył, że ośmioletnia Ciel doznała tylko lekkiego wstrząsu, lord Molyneux wezwał Finna do swego gabinetu. Patrzył na niego pogardliwie, purpurowy z gniewu.

- Powierzyłem moje dzieci twojej opiece - krzyczał, a jego głos od bijał się od krokwi dachu. - I spójrz, co się im stało. Jak masz czelność uważać się za odpowiedzialnego stajennego, gdy moje najmłodsze dziecko - akurat to, które najbardziej zasługuje na twoje starania - spada z wyrwijającego się kucyka i odnosi obrażenia? Mogła się zabić. I była by to twoja wina.

Twarz Lily, ze śladami łez, pobladła jeszcze bardziej. Siedziała na krawędzi krzesła, wpatrując się w swe kurczowo zaciśnięte ręce, unikając wzroku Finna, jako że pozwoliła, by on wziął winę na siebie, i modląc się, by nie powiedział prawdy. Po prostu nie zniosłaby tego, gdyby papcio i mamusia gniewali się na nią, a poza tym było jej naprawdę przykro. Zresztą Ciel przecież wydobrzeje, tak powiedział im doktor, a ona zadośćuczyni Finnowi później.

Zamurowało ją jednak, gdy usłyszała, jak ojciec oznajmia Finnowi, że degraduje go do pozycji chłopca stajennego i że tylko swoim osiągnięciom w pracy z Williamem zawdzięcza to, że nie został w ogóle zwolniony.

- William robi postępy - powiedział Finnowi zimno - będziesz więc pracował z nim dalej. Ale na litość boską, chłopcze, tym razem miej olej w głowie.

Lily czuła na sobie zagniewane spojrzenie Finna, gdy mijał ją, idąc do drzwi. Ostatecznie, stracił tylko pracę. Przestał być jej osobistym stajennym, stwierdziła z poczuciem winy i przrzekła sobie solennie, że mu to wynagrodzi. Kiedy tylko Ciel poczuje się lepiej i dramatyczne wydarzenie zatrze się w pamięci ojca, zaraz go przekona, by Finn wrócił do poprzednich obowiązków.

Westchnęła z ulgą na myśl, że papcio nie gniewa się na nią. Wyciągnął do niej ramiona.

- Podejdz tu, Lily - powiedział, a ona podbiegła. Przytulając ją, rzekł w przypiływie uczucia:

- Wiem, że to straszne, gdy ojciec przedkłada jedną córkę nad drugą, ale przez cały ten czas myślałem, że to mogłaś być ty, Lily. To ciebie widziałem prawie nieżywą w ramionach OKeeffea. Dlatego właśnie byłem gotów zabić tego nicponia. Za to, co mogłoby się stać.

Lily złożyła swą śliczną główkę na eleganckiej samodziałowej marynarce papcia. Poczowała woń wody kolońskiej z jego włosów, świeży zapach lnianej koszuli i lekki posmak wytwornego cygara, które wcześniej wypalił.

- Nie wolno ci się martwić, papciu - rzekła słodkim głosem. - Jeżdżę tak samo dobrze, jak Finn OKeeffe. I od tej pory będę miała Ciel na oku. Przysięgam, że jej kucyk nigdy już nie poniesie.

Lady Nora czekała na nią w sieni. Znała swą córkę aż za dobrze - i na jej miłej, subtelnej twarzy pojawił się surowy wyraz, gdy spostrzegła, że Lily wynurza się z gabinetu uśmiechnięta.

- Chcę z tobą porozmawiać, Lily - rzekła szorstko.

- Tak, mamu. - Widząc oziębłość matki, Lily użyła sztywnego „mamu” zamiast normalnego dla niej, czulego irlandzkiego „mamusiu”. Wiedziała, że coś się szykuje, z obawą więc podążała za matką do jej małego saloniku.

- Zamknij drzwi, Lily - rozkazała lady Nora. Ze znużeniem zasiadła przy biurku na pozłacanym krześle obitym brokatem. Zmarszczeniem brwi dała znak Lily, żeby stanęła przed nią. - Nie wiem, jak rzeczy miały się naprawdę - powiedziała surowo - ale mogę się tego domyślać. Jestem zupełnie pewna, że to ty spowodowałaś upadek Ciel, tak jak zwykle. Choć nie ma potrzeby mówić o tym ojcu, bo i tak nigdy by nie uwierzył, że potrafisz być tak nikczemna.

Lily spojrziała na nią wstrząśnięta. Oczy rozwarły się jej szeroko z przerażenia.

- Och, mamusiu, ja nie jestem nikczemna. Jak możesz tak mówić? - Zalewając się łzami, rzuciła się matce do stóp. - To nieprawda, mamusiu, to nieprawda, że jestem nikczemna. - Szlochała ściskając kurczowo kolana matki i wznosząc ku niej żałośnie oczy. Nie mogła pogodzić się z tym, że matka gniewa się na nią; uwielbiała ją prawie tak bardzo, jak papcia. Ścisnęła kolana matki jeszcze mocniej. - Proszę, nie mów tak. To tylko przez to, że ja nie pomyślałam.

- Ty nigdy nie myślisz, aż do chwili, gdy jest już za późno - odrzekła zimnym tonem matka. - Jest to poważna wada twojego charakteru, i to taka, którą musisz usiłować zmienić.

- Ale jak mogę się zmienić? - pytała ze łzami Lily. - Jestem taka, jaka jestem. Niemądra, głupia dziewczyna, która nigdy nie myśli.

- Nikt nie jest tylko taki, jaki jest - pouczała ją lady Nora, trochę łagodniejąc. - Jesteśmy również tym, kogo z siebie robimy. W przeciwnym razie wszyscy bylibyśmy dzikusami, nie lepszymi od niewychowanych dzieci.

- Tak, mamusiu.

Lily zwiesiła głowę, a lady Nora westchnęła, spoglądając na swoją sprawiającą kłopoty córkę.

- Masz już prawie trzynaście lat - powiedziała w końcu. - Zastanawiam się, czy już nie pora wysłać cię na rok do szkoły w Anglii. Może obcy nauczą cię bojaźni bożej, bo ja z całą pewnością nie potrafię.

- O Jezusie, mamusiu! - Lily zerwała się na równe nogi. - Nie możesz mnie wysłać do szkoły.

- Bądź tak dobra i nie mów do mnie językiem ze stajennego po dwórza - rzekła lodowatym tonem lady Nora. Jeszcze dzisiaj pomówię na ten temat z twoim ojcem. Tymczasem przeprosisz siostrę i będziesz spędzać każdą wolną chwilę przy jej łóżku w izolatce, starając się dopilnować, by nie umarła z nudów, jeśli nie nastąpiło to po upadku z kuczka. Wszystkie posiłki dostaniesz w pokoju

dziecinny i nie wyjdiesz z domu przez cały tydzień. Czy to jest jasne?

- Tak, mamusiu. Oczywiście. - Lily przyjęła swoją karę z pokorą; ostatecznie zasłużyła na nią. - Ale co do szkoły, mamusiu...

- Możesz teraz odejść, Lily - powiedziała matka, odwracając się do czasopism leżących na jej biurku. - pamiętaj, przez tydzień nie chcę cię widzieć tutaj na dole.

Lily przybita powlokła się za drzwi pokoju. Nie chodziło o to, że była przeciwna dotrzymywaniu towarzystwa Ciel i na pewno nie miała ochoty pójść do stajni i spotkać się z doprowadzonym do białej gorączki Finnem, ale ta cała historia ze szkołą w Anglii przeraziła ją. Postanowiła porozmawiać z ojcem tak szybko, jak tylko się da, choć będzie to oznaczało złamanie obietnicy, którą właśnie złożyła matce, że przez cały tydzień nie pokaże się na dole.

Lily odczekała do pory poobiedniej. Akurat nie było gości w domu i wiedziała, że jej matka uda się do buduaru, gdzie zajmie się wyszywaniem kolejnej poduszki na krzesła - jednej z czterdziestu, które chciała wydziergać do jadalni „Sheraton”. Mówiła o tym „dzieło całego życia”, wybierając inny kwiat na każdą poduszkę oraz motto biegnące jak wstęga wzdłuż brzegów.

Piegi Ciel odbijały się jak groszek od jej mlecznobiałej twarzy, a szeroki bandaż otaczał jej głowę. Westchnęła widząc, jak jej siostra otwiera drzwi i wygląda przez nie.

- Och, Lily - szepnęła z niepokojem - tym razem z pewnością cię zleją, jeśli cię przyłapią.

- Nie przyłapią mnie - obiecała Lily, zamykając za sobą po cichu drzwi.

Lampy świeciły wzdłuż korytarzy, tak jak zawsze płonąć w całym domu bez żadnego względu na oszczędność, ponieważ po prostu nie istniała taka potrzeba. Lord Molyneux lubił mieć dom oświetlony jak choinkę na Boże Narodzenie. „Jest wtedy jak latarnia morska, tak że każdy, kto ma do mnie jakąś sprawę wie, że tu jestem - mawiał dumnie. - Tak samo, jak wiedzą, że jestem w swej rezydencji, kiedy widzą mój proporzec powiewający nad dachem”.

Lily przekradła się ostrożnie wzdłuż jasno oświetlonego korytarza, mijając szeregi drzwi i schodząc w dół na podest parteru. Ponieważ służbę uprzedzono, że nie wolno Lily przebywać na dole, spojrzała z lękiem w głąb korytarza w kierunku buduaru matki. Ale porę wybrała odpowiednią; służba jadła kolację, a drzwi od pokoju matki były zamknięte.

Bezszelestnie przebiegła ostatni odcinek schodów, a potem przez hol i korytarz do zachodniego skrzydła domu i do biblioteki, dokąd jak wiedziała jej ojciec szedł co wieczór po kolacji, by wypalić cygaro, wypić kieliszek porto i przeczytać „Irish Times”.

Pchnęła drzwi, lekko je uchylając i zajrzała do środka, ogarniając wzrokiem oprawne w skórę książki na półkach, zestaw globusów przedstawiających świat starożytny, ciężkie stoły o nogach w kształcie zwierzęcych łap i głębokie klubowe fotele z zielonej skóry. Ogień jarzył się w palenisku, a kłębek siniego dymu unosił się w powietrzu nad głową jej ojca. Siedział w swoim ulubionym fotelu naprzeciwko ognia, ubrany w ciemną aksamitną bonżurkę i czytał gazetę, zupełnie tak jak przypuszczała. Zwrócony był do niej plecami i nie usłyszał, jak weszła.

Podkradła się doń od tyłu i położyła ręce na jego oczach.

- Zgadnij, kto to? - wyszeptwała.

Odwrócił się, zaskoczony. - Droga dziewczynko, nie powinno cię tu być. Matka ci tego zakazała.

- Wiem, papciu, wiem. Ale byłam tak załamana. Nie tym, że zostałam ukarana, ponieważ to jest słuszne. Wiem o tym. Ale szkołą w Anglii. Och, papciu, najdroższy papciu, proszę, nie wysyłaj mnie. Nie mogłabym tego znieść. Co ja bym robiła przez cały dzień w szkole? Sama? W Anglii? Byłabym taka nieszczęśliwa. Nie mogłabym cię wcale widzieć i tak bardzo by mi Ciebie brakowało.

Instynktownie wiedziała jakich słów użyć, aby go przekonać. Mówienie: „Nie chcę iść do szkoły, nie chcę tych srogich nauczycieli mówiących mi, co mam robić” nic by nie dało. Natomiast ona powiedziała mu dokładnie to, co chciał usłyszeć, że nie mogłaby znieść rozstania z Ardnavamą i z nim. A myślała tak naprawdę.

Lord Molyneux patrzył na córkę z czułością, ona zaś trwożnie spoglądała na niego.

- Poza tym - dodała Lily, zerkając w górę ku niemu spod rzęs - tak bym się tam nudziła, że prawdopodobnie byłabym jeszcze bardziej nie grzeczna.

Zaśmiał się, bez trudu pokonany.

- Pomówię jutro z twoją matką - obiecał. - Teraz zmykaj z powrotem do łóżka, zanim cię złapie.

- Dobranoc, drogi papciu. I jest mi naprawdę tak przykro z powodu Ciel. - Zarzuciła mu na szyję ramiona i czule ucałowała, a później z teatralną przesadą przeszła stąpając na czubkach palców przez pokój. Przy drzwiach odwróciła się, z palcem na ustach i figlarnym błyskiem w oczach, a on się zaśmiał.

- Mała małpeczka - rzekł z pobłażaniem, wracając do swej gazety, gdy delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

16.

William jechał statecznym kłusem obok Finna. Patrzył w przestrzeń, myśląc o swym nowym teleskopie i układzie gwiazd na Firmamencie. William nie był atletą, i choć twarz miał jak wszyscy z rodu Molyneux bladą i przyjemną, nie można by go wcale nazwać przystojnym. Wysoki i szczupły jak Finn, ale na tym podobieństwo się kończyło: ramiona Finna były szerokie, brzuch płaski, a biodra wąskie; Finn miał witalną, niezmożoną siłę, a głowę nosił dumnie. „Bardziej dumnie, niż wieśniak powinien” szemrali niektórzy, zazdroszcząc mu wspinania się po szczeblach kariery w Ardnavamie. A Finn był bardziej niż przystojny, o szczupłej twarzy i wystających kościach policzkowych, o wyrazistych rysach i szerokich, zmysłowych ustach. I te oczy w kolorze szarości chmur, i ciemne rzęsy, które zawracały w głowie każdej dziewczynie w promieniu wielu kilometrów, i to mimo że miał nie pełna trzynaście lat.

To William wyglądał jak wieśniak, z rozczochranymi blond włosami, okularami zasnutymi mgłą na deszczu, i twarzą gładką jak u nie mowłęcia. Tak jak zazwyczaj się spóźnił, więc strój jezdziecki narzucił na siebie w szalonym pośpiechu. Niektóre guziki były źle pozapinane, a inne nie zapięte wcale i chociaż buty włożył na te nogi, co trzeba - przy drugiej co prawda próbie - zapomniał swego kapelusza.

Siedział zapadnięty w siodle, jak gdyby nie miał kręgosłupa, z ramionami przygarbionymi i głową podaną do przodu. Spoglądając na niego, Finn głęboko wzdychał. Nie znał sposobu na to, żeby kiedykolwiek mógł z lorda Williama Molyneuxa zrobić jeźdźca, choćby dokonywał cudów. Wszystko, na co mógł liczyć, to utrzymanie chłopca w siodle i dopilnowanie, by nie skręcił karku.

Jego myśli zatoczyły krąg, by przywieść go znów do Lily, a wtedy wydał głośny jęk. Któregoś dnia zabije ją; przysiągł na Boga, że tak zrobi.

William nawet nie zwrócił uwagi; obecny cieleśnie, duchem bawił z powrotem w szkole. Nie dlatego, że stał się najbardziej lubianym chłopcem w Eton: na to był zbyt zamknięty w sobie i zbyt kostyczny, ale dla tego, że kochał angielską literaturę i poezję - i namiętnie interesował się astronomią. William bardzo lubił przebywać w pobliżu rzeki, nawet pod czas surowych zimowych chłódów, gdyż był nienasyconym obserwatorem ptaków.

Mógł - tracąc poczucie czasu - leżeć na brzuchu z lornetką przyciśniętą do oczu i wypatrywać

ptaków; podobnie szczęśliwy czuł się, kiedy siedział zagłębiany w fotelu, z nosem w książce. Tworzył traktaty o ptakach, które widział, o gwiazdach i planetach, pisał także wiersze, choć nigdy ich nikomu nie pokazywał. Szczególnie Lily, o której wiedział, że zamęczyłaby go swymi kpinami na śmierć.

William był marzycielem. Nienawidził wszystkich sportów tak zwanych „męskich” - polowań, strzelania i wędkowania - i potwornie bał się koni. Jego niecierpliwy, zwariowany na punkcie koni ojciec siłą sadzał go na grzbietach kucyków, gdy tylko wyszedł z wieku niemowlęcego, kiedy zaś okazało się, że jego córki nie znają lęku, zrobił się przez to jeszcze bardziej niecierpliwy w stosunku do syna.

- Ten chłopak przez cały czas siedzi w swoim pokoju - skarżył się żonie. - Wciąż z nosem w książce. Powinien przebywać na powietrzu, jak prawdziwy dżentelmen, jeździć na polowanie, jak by mu nakazywała jego pozycja, a nie oglądać te z piekła rodem, przeklęte ptaki!

William gapił się w dół, na tył końskiej szyi, widząc tylko dwa jednakowe, nieprzezroczyste krawki, którymi były jego zamglone okulary. To, że nie może przez nie widzieć, bynajmniej go nie obchodziło; on nawet nie myślał o tym, dokąd jedzie, ani co robi. Była to jedynie pańszczyzna, do której odrabiania go zmuszano.

- Trzeba wam usiąść lepiej, sir - upomniął go Finn. - Wyprostujcie plecy, lordzie Williamie i kierujcie zwierzęciem. Bo wasz ojciec znów na mnie naskoczy za to, że nie uczę was jak należy.

- Przepraszam, Finn. - William wyprostował się posłusznie. - Nie pomyślałem o tym.

- Ano tak. Mówią mi, że to jest właśnie wasz problem. Ale mógłbym z was zrobić dobrego jeźdźca, gdybyście się tylko skupili. No, po patrzcie tylko na siebie samego, sir, wlokącego się przed siebie, jak bez wolna dziewczucha. Mówię wam, sir, wasz ojciec jest zdecydowany trzymać was w siodle, a więc lepiej będzie dla was, jeśli postanowicie robić to dobrze. Macie głowę nie od parady, sir, tak słyszałem. Nie może być dla was trudne nauczyć się czegoś, jeśli naprawdę tego chcecie.

- Otóż to - powiedział ze smutkiem William. - Ja tego nie chcę. I nie rozumiem, dlaczego powinienem chcieć.

- Spójrzcie na to tak, sir. Macie tu sobie w Ardnawiamie świetny dom i macie świetne życie. Któregoś dnia przyjdzie wam przejąć to miejsce, i wszyscy wokoło, od innych lordów i dam aż do waszych własnych dzierżawców, będą oczekiwać, że postacie we wszystkim we właściwy sposób, tak jak wasz ojciec. To jak najbardziej słuszne, sir, byście przyjęli swoje powinności tak jak wszyscy musimy to robić - i uszczęśliwili waszego ojca. I to bez wielkiego wysiłku z waszej strony.

- Co masz na myśli? - William przetarł swe okulary rękawem, by lepiej widzieć Finna.

- No co, sir, czy nie macie w mej osobie najlepszego nauczyciela, jakiego można znaleźć w Connemara? Powierzcie się moim rękóm, sir, a jeszcze nim skończy się ten miesiąc, zobaczymy, jak ojciec klepie was po plecach i powiada, jacyście świetny zuch.

William spoglądał nań z zainteresowaniem.

- Jeden miesiąc, Finn? Naprawdę tylko tyle to by zajęło?

- Jeden miesiąc - ale skupienia, sir. I zrobione.

William rozważył to skrupulatnie; jeśli poświęci tylko jeden miesiąc swego życia, może uszczęśliwić ojca i kupić sobie wolność robienia poza tym wszystkiego, co zechce. - A więc załatwione, Finnie O'Keefe - powiedział, podając mu rękę. - Przez najbliższe cztery tygodnie mój czas należy do ciebie. A potem nie chcę już więcej widzieć żadnego konia.

Tego wieczoru zwierzył się Ciel i Lily, przestrzegając je, by trzymały to w tajemnicy przed ojcem.

- Chcę mu zrobić niespodziankę po tych czterech tygodniach - rzekł wesoło.

Lily patrzyła na niego z zazdrością. Finn nadal się do niej nie odzywał, choć widywała go przez cały czas w stajniach. Teraz już nie był jej osobistym stajennym, nie miał już prawa nosić wytwornej zielonej liberii, więc znów ubierał się w swoją starą flanelową koszulę i parciane portki. Wokół opalonej szyi zawiązaną miał niebiesko-białą chustkę w grochy i wyglądał przystojniej niż zwykle i dwa razy bardziej gniewnie niż kiedykolwiek przedtem, gdy go Lily widziała. Na jego twarzy niezmiennie po jawiała się chmura, ilekroć spojrzał na nią i schodził jej z drogi, by uniknąć z nią jakichkolwiek kontaktów.

Zapytała Williama, o której godzinie ma lekcję - i następnego ranka stawiała się tam przed nim. Finn znajdował się w przegrodzie Puncha, przygotowując go do jazdy.

- Jak za dawnych czasów, prawda, Finn? - powiedziała, przechylając się ponad drzwiczkami boksu i uśmiechając się do niego czarująco.

- Nie wiem, co macie na myśli, milady - odrzekł.

Jego głos był tak zimny, że mogłaby ślizgać się po nim jak po lodowisku.

- Jasne, że wiesz - powiedziała z niecierpliwością. - Nas dwoje, jadących o świcie wzdłuż wybrzeża. Nic więcej, tylko ty, ja, i mewy.

Nie spojrzał na nią, mocując popręg i sprawdzając wędzidło. Wszystko inne, byle tylko nie spotkać jej zdradzieckiego wzroku.

- Przepraszam Finn, jeśli cię zraniłam. Szczerze cię przepraszam. Ale widzisz, to było tak, że albo ty - albo ja. Papcio wysłałby mnie daleko do szkoły w Anglii, gdyby wiedział, że miałam coś wspólnego z wypadkiem Ciel. Już nigdy byśmy się nie zobaczyli.

- Obchodzi mnie tylko to, że moja praca przepadła - rzekł dobitnie, potrącając ją, gdy wychodził na podwórze. - Igraliście z moim bytowaniem. Z moją pracą, moimi zarobkami, jedzeniem w moim brzuchu. Nie w waszym, wielmożna lady Lily.

Wstrząśnięta Lily patrzyła nań szeroko otwartymi oczami. Nie pojmowała wówczas, co mogłoby to oznaczać dla niego... że może nawet musiałby obywać się bez jedzenia. Myślała, że to tylko kwestia czasu i że gdy ojciec się uspokoi, ona z łatwością doprowadzi do powrotu Finna na poprzednie stanowisko.

- Och, Finn - powiedziała drżącym głosem. - Naprawdę nie zdawałam sobie sprawy z tego, co zrobiłam. Myślałam, że to tak tylko na parę tygodni, a potem wytarguję od papcia, żebyś znowu był moim osobistym stajennym. Nawet nie zastanowiłam się, co to znaczy dla ciebie. - Zwiesiła głowę, splatając dłonie w udreće wyrzutów sumienia.

- Pójdę zaraz do papcia. Powiem mu, jak straszną rzecz zrobiłam. Wyznam, że ja jestem wszystkiemu winna i powiem, że musi ci natychmiast przywrócić twoje stanowisko. Och Boże, już wiem, że nigdy mi nie wybacysz. Przenigdy. I będziesz miał rację.

Odwróciwszy się szybko, puściła się biegiem przez brukowane po dwórze. Finn pobiegł za nią i chwycił ją za ramię. Spojrzał jej w twarz, w ciemne, wezbrane łzami oczy, których cały blask przygasiła rozpacz.

- Zrobiłabyś to, rzecz pewna - powiedział zdumiony. - Poszłabyś do swojego ojca i przyznała się do winy tylko po to, aby zwrócił mi pracę.

- Oczywiście, że zrobiłabym to. I zrobię. Już od razu. Wykręciła się z jego uścisku i wbiegła pod

kamienny łuk. Dogonił ją i ponownie chwycił za rękę.

- Nie musisz tego dla mnie robić, Lily. Wystarczy mi wiedzieć, że chciałaś. Wezmę na siebie winę za wypadek małej Ciel, zresztą to również moja wina. Ona była pod moją opieką i powinienem cię powstrzymać od pogonienia jej kucyka.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie, a on odwzajemnił się jej spojrzeniem pełnym uwielbienia, całkiem zapominając, że to ona zawiniła.

- A więc jesteśmy znowu przyjaciółmi? - zapytała.

- Tak, przyjaciółmi - skinął głową.

- I mogę pojechać razem z tobą i Williamem na przejażdżkę? Zawahał się.

- On będzie musiał skupić się, Lily. Wiesz chyba dobrze, że nikt nie da rady się skupić, gdy ty jesteś obok i wymyślasz swe psoty.

- Żadnych psot - obiecała, spoglądając na niego spod rzęs. - Chcę po prostu być z tobą. - I dodała miękko: Brakowało mi ciebie, Finn. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Czyż nie mówiliśmy sobie zawsze wszystkiego? Takich rzeczy, których byśmy nie powiedzieli nigdy nikomu innemu, nawet Ciel albo Danielowi. O tym, co odczuwamy i czego pragniemy i... och, wszystkich naszych tajemnic?

Ognie znowu rzuciły się do przygaszonych oczu Finna, gdy jego serce uniosło się pod niebiosa.

- Pewnie, że znów jesteśmy przyjaciółmi. Ale Lily, uważaj, żebyś się dobrze zachowywała, bo nie chcę odpowiadać za nowy wypadek. - Oni naprawdę chcieli mnie wysłać do szkoły w Anglii - powiedziała Lily, kokietując go wzrokiem - ale ja się nie zgodziłam. Tupnęłam nogą i powiedziałam, że nie wyjadę z Ardnavamy. Nigdy, żeby nie wiem co zrobili. Mogliby wywlec mnie stąd wrzeszczącą, a ja bym uciekła i jakoś dotarła znów do domu, tak jak to robią zgubione zwierzęta. Och, Finn, jak mogłabym kiedykolwiek opuścić Ardnavamę? Jak mogłabym porzucić moje konie i psy, i morze, i lasy, i och... wszystkie te piękne rzeczy, które tutaj kocham? I jak mogłabym porzucić swojego przyjaciela? - dodała, patrząc mu poważnie w oczy.

Spoglądał na nią, nic nie mówiąc. Doskonale wiedział, co ona czuje, a Lily wiedziała, że on wie. Zdarzały się chwile, w których byli ze sobą tak zgrani jak bliźnięta, każde z nich odgadujące myśli drugiego, niemalże zanim jeszcze zostały pomyślane.

- Ścigaj się na koniec plaży - zawołała, biegnąc na podwórze i wskakując na swą gniadą kobyłę, którą trzymał oczekujący stajenny.

- Nie mogę tak robić, Lily - powiedział z powagą Finn. - Cały czas będę spędzał z lordem Williamem. Wedle nakazu waszego ojca.

- Ach prawda, William. - Spojrzała na niego rozczarowana. - A więc dobrze. Po prostu pojedę za wami. I naprawdę obiecuję, że w ogóle wam nie przeszkodzę.

Pomyślał zirytowany, że naturalnie przeszkodzi, ale to ona była panią, on zaś sługą i nie mógł jej niczego zabronić. Nie wierzył, że dotrzyma słowa.

William przeszedł pod bramą, z niechęcią widoczną w każdym po wolnym kroku, jaki stawiał przez podwórze ku miejscu, w którym stał Finn trzymając Puncha.

- Dzień dobry, lordzie Williamie - powiedział Finn, tłumiąc westchnienie, gdy spoglądał na niego. - Mamy zrobić z was doskonałego jeźdźca. Miejcie to tylko na względzie, sir, a pójdzie wam świetnie.

William spojrzał nieufnie na Lily.

- A co ty tu robisz? - zapytał, wdrapując się mozolnie na konia.

- Jadę z wami, żeby pomagać. - Klacz Lily nagle szarpnęła się w bok ponad kocimi łbami bruku, a ona zaśmiała się, gdy wierzchowiec Williama nerwowo stanął dęba, on zaś przywarł doń rozpaczliwie.

- Będzie już dosyć tego, lady Lily - zakrzyknął rozkazująco Finn. - W porządku, sir - zwrócił się do Williama. Pojadę koło was. Gdybyście tylko mogli wyprostować plecy i ścisnąć konia kolanami i udami. Przy jeździe konnej cała robota należy do nóg i tam właśnie trzeba wam siły. A więc jedziemy, sir: proste plecy, luźne cugle, i pewne, mocne nogi. To wszystko, czego trzeba, by opanować konia.

- No i dać mu do zrozumienia, kto tu rządzi - zawołała kpiąco Lily, prowadząc z podwórza na konną ścieżkę. William zacisnął zęby.

- Jeden miesiąc - rzekł ponuro. - To tylko cztery tygodnie, Finn?

- Cztery tygodnie, sir. Macie to obiecane.

Lily galopowała na przedzie, odwracając się co pewien czas, by spojrzeć na brata jadącego nierównym klusem, zupełnie nie do rytmu z ruchem swego konia. Zawróciła i podjechała klusem w ich stronę.

- O, właśnie tak - zawołała, demonstrując mu, jakie to łatwe. - Nie bądź taką ciamajdą, Williamie. To przecież tylko koń. - Finn rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. - Och, bo on jest taki powolny - powiedziała niecierpliwie.

Miała przed sobą godzinę nudną jak samo ziewnięcie, a więc smagnawszy szpicrutą swą klacz, puściła się w szalonym galopie zielonym szpalerem drzew w kierunku skalistej ścieżki wiodącej na plażę. Fale łomotały o brzeg, promienie słońca zmieniały wodny pył w lśniącą tęczę, a wiatr szarpał włosy Lily. Był to fantastyczny dzień.

- Och, psiakrew, psiakrew! - wrzasnęła rozgniewana, zawracając swą klacz i galopując z powrotem, by zabrać ze sobą Finna. Dzień był taki cudowny; powinni pędzić razem wzdłuż wybrzeża, zamiast zawracać sobie głowę głupim dziadygą Williamem, z którego nigdy nie zrobi się jeźdźca, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

Galopowała w ich kierunku, z nisko pochyloną głową, by uniknąć smagnięcia zwisającymi gałęziami, ogarnięta pragnieniem ponaglenia Finna do wspólnej przejażdżki. Widział, że Lily nadjeżdża, lecz koń Williama, Punch, zobaczył to również. Zatrzymał się w miejscu jak wryty, a potem rżąc ze strachu stanął dęba i zatańczył na zadnich nogach jak kucyk w cyrku. Po czym nieoczekiwanie grzmotnął ciężko o ziemię przed nimi nogami i zrzucił Williama z siodła, raz po raz stając co chwila dęba i znów opadając, rżąc z przerażenia, z kopytami niebezpiecznie blisko jego głowy.

Finn błyskawicznie zeskoczył z wierzchowca. Miotając przekleństwa, chwycił konia za cugle i kilkoma słowami uspokoił zwierzę. Przy wiązał je do drzewa i popatrzył na Williama, w zamroczeniu leżącego na trawie, a potem podniósł wzrok na Lily, nadal siedzącą na koniu i z za kłopotaniem krążącą wokół nich.

- Ty cholerny głuptasie - wrzasnął gniewnie. - Czy nigdy nie myślisz o tym, co robisz?

- On nie jest ranny, prawda? - zapytała lękliwie, z twarzą równie białą, jak twarz jej brata. - Nie, ale to nie twoja zasługa - powiedział William, siadając na ziemi i rozcierając głowę.

- Koń mógł go stratować na śmierć i ty o tym wiesz - powiedział groźnym tonem Finn. - Zechcesz teraz odjechać? I podziękuj tylko swej szczęśliwej gwiazdce, że nic nie będę mówić tym razem twojemu ojcu. Trzymaj się tylko z dala ode mnie i od lorda Williama - i kropka.

Patrzyła przez moment na niego pustym wzrokiem, po czym bez słowa odwróciła się i oddaliła galopem. Finn spojrzał niespokojnie na Williama, który wciąż jeszcze siedział na trawie, rozcierając sobie tył głowy.

- Ta wasza siostra to chyba istna zgroza, sir - powiedział, pomagając mu stanąć na nogach.

- Jeszcze gorzej - odparł William. - To prawdziwe niebezpieczeństwo. Jak jej uchodzi płazem to, co wyrabia, przekracza moje wyobrażenie. Tyle że, jak myślę, ona rzeczywiście nigdy nie chce zrobić niczego złego. - Popatrzył ponuro na Finna. - Tak czy inaczej, Finnie, to już koniec mojej przygody z końmi. Mam tego dosyć.

Finn pomyślał o lordzie Molyneux i o wydanym przezeń poleceniu, że on ma zmienić mu syna w należytego jeźdźcę. „Jedynym powodem, dla którego cię nie zwalniam” - powiedział wtedy - „jest twa praca nad moim synem”. Wiedział, że jeśli teraz nie wywiąże się ze swego zadania, lord Molyneux z pewnością go odprawi.

- Muszę was nauczyć, sir - powiedział gniewnie. - Wasz ojciec obedrze mnie żywcem ze skóry, jeśli nie będę tego robić, lub, co gorsza, wyleje mnie z pracy.

Patrzyli na siebie, a William w oczach Finna widział strach przed nędzą. Strach przed brakiem pracy, brakiem zarobków, pustym żołądkiem. William wdał się w swego ojca; poczucie obowiązku miał we krwi i wiedział, co jest jego powinnością w tej chwili.

- No więc dobrze, Finn - westchnął. - Będzie ze mnie jeździec. Finn odetchnął z ulgą. Wiedział, ile kosztowało Williama wypowiedzenie tych słów po tak niebezpiecznym upadku.

- Zajmę się wami, sir - obiecał. - Dopnę tego, żebyście nigdy więcej w życiu nie musieli się bać żadnego konia.

Lily pilnie unikała pojawiania się blisko stajni, gdy jej brat był z Finnem. Czaiła się gdzieś przy domu i kiedy tylko ujrzała Williama, jak znużonym krokiem idzie przez hol, utyłany błotem po kolejnym długim, zimnym i deszczowym poranku spędzonym w siodle - błyskawicznie pojawiała się na podwórzu stajni.

- Teraz moja kolej - mówiła ze śmiechem do Finna i wyjeżdżali poza teren zamku, przez las, niepomni na deszcz i wiatr, szczęśliwi, że po prostu są razem.

Pod koniec czwartego tygodnia lord Molyneux przyszedł sprawdzić postępy Williama. Sokolim wzrokiem obserwował syna, wypatrując błędów, ale William siedział tak jak trzeba, wyprostowany w siodle, w starannie zapiętej marynarce, z mocno osadzonym na głowie kapeluszem - i z wyrazem ponurej rezygnacji na twarzy.

- Chłopak dobrze się sprawił - rzekł z aprobatą lord Molyneux do Finna, patrząc jak syn nisko pochyła się w siodle, by pokonać ogrodzenie, po czym galopuje przez pola. - Nigdy bym nie pomyślał, że to możliwe. - Popatrzył z uznaniem na Finna, siedzącego u jego boku na czarnym koniu myśliwskim. - Muszę ci za to podziękować - powiedział, a w jego głosie zabrzmiała ciepła nutka. - Bo pomimo twych innych uchybień, Finnie O'Keefe, jesteś rzeczywiście świetnym jeźdźcą. Możesz od dzisiaj znów podjąć swoje dawne obowiązki jako osobisty stajenny moich dzieci. Dostaniesz też stosowną podwyżkę płacy tytułem uznania za dobrą pracę. Powiedz o tym później zarządcy.

Popatrzył poważnie na Finna. - I niech to będzie dla ciebie nauką, mój chłopcze. Zawsze koncentruj się na tym, co robisz. Powierzam ci moje dzieci. Jesteś za nie odpowiedzialny. Nigdy - powtarzam, nigdy - nie spuszczaaj ich z oczu. A jeśli coś stanie się któremuś z nich, każę cię powiesić na najbliższym drzewie.

Dwa dni później spakowano tuziny kufrów i pudeł; pokojówkę pani, guwernantkę i lokaja jego

lordowskiej mości wysłano przodem, a rodzina szykowała się do wyjazdu na swój tradycyjny pobyt w Dublinie.

Służba tak jak zwykle ustawiła się rzędem, by asystować przy odjeździe, a serce stanęło Finnowi w gardle, gdy przyglądał się, jak lśniąca ciemnozielone powozy oddalają się zwawo kilometrowym zwirowanym podjazdem. Wpatrywał się w nie za nimi, mrużąc oczy przed światłem słonecznym. Wydało mu się, iż zobaczył, jak Lily obraca głowę, by spojrzeć na niego w chwili, w której przejeżdżali - i podniósł rękę w smutnym geście pożegnania.

Ale Lily obejrzała się, by spojrzeć nie tylko na Finna. Chodziło jej o Ardnavamę. Niebiesko-złota chorągiew, która powiewała nad Wielkim Domem, została już opuszczona w dół, co oznaczało, że rodziny nie ma w rezydencji; blask słońca odbijał się od mnóstwa okien, a masywne kamienne mury wyglądały tak, jakby miały stać przez całe wieki. Z westchnieniem szczęścia odwróciła na powrót głowę, rozmyślając podekscytowana o Dublinie, przyjęciach, o nowych strojach i o wszelkich oczekujących ją rozkoszach, zapominając już po chwili o swym najlepszym przyjacielu, Finnie OKeeffe.

17.

Ardnavama, 1883

W przypadku Lily za każdym razem - działało się tak, że „co z oczu, to i z serca”. Finn stanowił część Ardnavamy, tak więc gdy była z dala od domu, rzadko poświęcała mu przelotną myśl. Całkiem inaczej jednak miała się rzecz z Finnem. Uważał on, że Lily Molyneux jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Stale obecna w jego snach i sercu, stanowiła część jego samego. Całkiem zniecka, gdy miał szesnaście lat, namiętnie się w niej zakochał. A wtedy między nimi wszystko się zmieniło.

Kiedy Lily była szesnastolatką, mała Ciel skończyła lat dziewięć. William większość czasu spędzał w szkole w Anglii, a dwie siostry radziły sobie jakoś w domu, ze zmieniającymi się jedna po drugiej znękanymi guwernantkami. Nauczyły się mówić po francusku i kilkakrotnie wyjeżdżały do Paryża, by mieć okazję doskonalić swój akcent. Liznęły nieco historii i geografii, i przeczytały wszelkie książki, jakie znalazły w bibliotece. Umiały całkiem dobrze grać na pianinie, Lily lepiej niż Ciel, a także potrafiły zaśpiewać miłą piosenkę, by w wielkim salonie zabawić po obiedzie swych gości. Grały w tenisa i krykieta, a na polowaniu stawały się istnymi demonami. Przyjaźniły się z członkami rodziny królewskiej i arystokracji - i uczestniczyły w bujnym życiu towarzyskim swych rodziców w Dublinie i Londynie, a także w zjazdach z okazji polowania i połowów, często organizowanych przez rodziców.

Była to szczęśliwa rodzina. William zbyt często stawał się obiektem kpin Lily, ale wiedział, że ona go kocha i można liczyć na to, że ochroni go od niecierpliwości i gniewu ojca, odwracając jego uwagę.

Córki lorda Molyneux wyrosły na prawdziwe damy. Ciel pozostała taka, jak zawsze: hałaśliwa, pełna entuzjizmu i radosna. Cieszyła się życiem z ogromną werwą, a jej zaraźliwy śmiech po prostu udzielał się każdemu. Była otwarta - bez żadnego z tych właściwych Lily subtelnych, powłóczystych spojrzeń i kokietyjnych gier - co w myślach, to i na języku.

Lily zaś to po prostu była Lily. Wyrosła na piękność. Wszyscy ją adorowali, bez względu na to, co robiła. W Londynie, Paryżu i w Dublinie przyciągała wzrok, gdziekolwiek się udała. Była niczym jaskrawo lśniąca gwiazda, roztaczająca wokół siebie czar. A mała Ciel płała się w ciepłe jej promieni.

Finn stał się świadkiem przemiany Lily z impulsywnego, samowolnego dziecka w piękną, młodą

kobietę. Miało się wrażenie, że nastąpiło to - tak jak rozkwit jego miłości do niej z dnia na dzień. Jednego dnia była dziewczynką, jadącą konno wzdłuż wybrzeża, w bryczesach i rybackim swetrze koloru morskiej wody, a już nazajutrz młodą kobietą, odzianą w blad różowy jedwab, z perłami na szyi.

Stała u boku rodziców, witając gości przybyłych na bal, który wydawano dla uczczenia dwudziestej czwartej rocznicy ślubu lorda i lady Molyneux, a nadzieje Finna zmalały do zera, kiedy ją ujrzał. Był to jego pierwszy wieczór, gdy występował w roli lokaja; miał na sobie zieloną liberię i odbierał od gości ich futra, cylindry i szale.

Finn często służył pomocą, gdy rodzina wydawała swe wspaniałe przyjęcia. Ilekroć zjeżdżała tu arystokracja, członkowie zagranicznych rodzin królewskich i sławne osobistości, on i Daniel występowali jako pomocnicy myśliwych lub gajowi albo też podążali za polowaniem. Często pracował też jako tragarz, zdejmujący bagaże z powozów i wnoszący je na górę. Ze strachem uzmysłowił sobie wówczas różnicę między wystrojem pokoi w pałacu i swej własnej chaty o gołym klepisku i pełnej dymu. Zauważył, jak inna wtedy stawała się Lily; to już nie roześmiana, pełna humoru towarzysza porannych galopad wzdłuż brzegu morza, lecz młoda pani domu. Ale nigdy jeszcze nie widział jej taką, jak w ten wieczór rocznicowego przyjęcia.

Była to elegancka młoda kobieta, strojna w połyskujące klejnoty - i tak samo wyniosła i dumna, jak jej dostojny ojciec. A on pozostawał tylko chłopakiem od Padraiga O'Keefe, pierwszorzędnym jeźdźcem, który znał najlepsze w rzece rewiry łososia, i wiedział, w którym miejscu zatoczki o każdej porze dnia i nocy można znaleźć pstrągi. Był tym, który dźwigał bagaże i lokajem w zbyt ciasnych bryczesach i białych rękawiczkach, włożonych po to, by jego dłonie wieśniaka nie zbrukały talerzy, z których jadło to wielkopańskie grono.

Tego wieczoru Finn ostatecznie pojął dystans, jaki dzielił go od Lily i od jej życia w Wielkim Domu. Była to przepaść. I nie mógł żywić nadziei, że kiedykolwiek ją przeskoczy. Lily czuła na sobie jego płonący wzrok. Piła małymi łydkami swój pierwszy kieliszek wina i lekko krzywiła się na jego wytrawny smak. Uśmiechnęła się do Finna, ale on nie odwzajemnił jej uśmiechu, zdziwiła się więc, o co chodzi. Ogarnęła wzrokiem siedzących przy długim stole sześćdziesięciu gości jej rodziców i usługujących im dwudziestu lokajów w liberiach. Używano serwisu z połączanego srebra, który trzymany był na szczególne okazje, a stół jarzył się od wspaniałych sreber i kryształów. Stały tam wysokie kandelabry i bukiety kwiatów, i paradne srebrne ozdoby, a także z tuzin pięciopoziomowych pater z istną kaskadą egzotycznych cieplarnianych owoców, nie wyłączając ciemnych winogron i pękatek purpurowych fig, które miała zwyczaj podkraść z oranżerii, kiedy była dzieckiem.

Lily uśmiechnęła się do siebie, pojmując sens tego, co właśnie po myślała. Kiedy była dzieckiem. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że tego wieczoru czuła się inaczej. A z pełnych zachwyty spojrzeń, jakie rzucali jej mężczyźni, ze sposobu, w jaki ich oczy napotykały jej wzrok i w jaki przetrzymywali jej dłoń, pochylając się, by złożyć na niej pocałunek, poznawała, że inaczej też wygląda. Czuła, że uderza jej do głowy wino i nowe poczucie przewagi. Mężczyźni będą robić to, co im rozkaże, tańczyć tak, jak im zagra, a wszystko to za uśmiech przeznaczony tylko dla nich, za kokieterijne spojrzenie czy dotyk jej ręki. Czuła już w dołku tę słodką falę podniecenia. Co jej to zwiastowało? Westchnęła niecierpliwie; nie mogła się już doczekać, by się tego dowiedzieć i pocieszała się myślą, że wkrótce ukończy siedemnaście lat. Odbędzie swój debiut, spotka swego księcia z bajki i poślubi go. A wtedy już pozna wszystkie kobiece sekrety.

Z plotek szeptanych podczas herbatek oraz imprez towarzyskich, w których uczestniczyła,

wiedziała, że podobnie jak ona, żadna z dziewcząt w jej wieku nie wiedziała, o co w „tym” chodzi. I ona też nie miała się tego dowiedzieć aż do wieczoru poprzedzającego jej zamążpójście, a i nawet wówczas może poucza ją tylko, że ma być miła dla swego nowo poślubionego męża i przypomną jej, że mężczyźni mają odmienne potrzeby i że jako dobra żona powinna się troszczyć o ich zaspokojenie, a także naturalnie rodzić jego dzieci.

Oczywiście, zawsze kręciła się w okolicy stajennego dziedzińca, wygonu dla koni czy pól, tak że często widywała psy i zwierzęta domowe w trakcie kopulacji. Wyglądały wtedy tak głupio, że widząc je - śmiała się razem ze stajennymi parobkami. Aż pewnego dnia przyłapał ją na tym Finn i ze złością odciągnął stamtąd.

- Zapominasz się, lady Lily - wysyczał z twarzą czerwoną z gniewu. - To nie dla twych oczu, a więc nie ma co chodzić na chichry ze stajennymi parobkami.

- A ty myślisz, że kim niby jesteś, jeśli nie parobkiem stajennym - odparła ze złością. - Czy z tobą się nie śmieję i nie rozmawiam?

- To co innego. I wiesz o tym - krzyknął za nią, gdy odchodziła dumnym krokiem.

Pociągnęła znowu łyk wina, rzucając zakłopotane spojrzenie na Finna. Finn się zmienił. Stał się poważny, spokojniejszy i unikał spotkań z nią, jak gdyby była rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem. Czowała na plecach jego płonący wzrok, odwróciła się więc i mrugnęła do niego figlarnie, lecz on udął, że tego nie widzi. Spojrzała rozdrażniona na nudnego starego generała, który siedział po jej lewej stronie, a potem na mężczyznę po prawej.

Dermot Hathaway był dwa razy od niej starszy i najprzystojniejszy z mężczyzn zgromadzonych na tej sali, oczywiście pominawszy Finna. Miał szeroką, zmysłową twarz, wypukłe czarne oczy, podkreślone wąsy, gładkie ciemne włosy zaczesane do tyłu z wysokiego czoła. Najwyższy wzrostem ze wszystkich obecnych, miał masywne barki i muskularne ciało. Wydawał się pociągający i odmienny - i cieszył się złą sławą, jeśli chodzi o kobiety.

Dermot pochodził z rodziny równie starej i równie szlacheckiej krwi, jak jej rodzina; ich pradziadowie byli ze sobą zaprzyjaźnieni, podobnie jak ich dziadkowie i rodzice. Mimo to Lily nigdy przedtem go nie spotkała. Wiedziała, że należały do niego wielkie połacie ziemskie w Wicklow i w hrabstwie Clare i że prowadził za granicą interesy, co powodowało, że odbywał ciągle podróże do tak egzotycznych miejsc, jak Chiny, Indie i Ameryka.

Nie odezwał się jeszcze do niej wcale, z wyjątkiem powiedzenia „dobry wieczór”. Spoglądając na niego ukradkiem, zdała sobie sprawę, że choć całkiem stary - miał co najmniej trzydzieści pięć lat - był uderzająco atrakcyjny. Zatrzepotała kokieteryjnie ku niemu rękami i po wiedziała:

- Mogę sobie tylko wyobrazić, jak pan musi czuć się zawiedziony, sir Dermot, że posadzono go obok córki pana domu, która ma dopiero szesnaście lat.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Przez kilka długich sekund nie mówił nic; jedynie pożerał ją wzrokiem, chłonąc tak, jakby rejestrował w pamięci każdy centymetr ciała dziewczyny.

- Przeszło mi to przez myśl - powiedział wreszcie sucho. Poczwała, że się rumieni. Nigdy przedtem nikt nie patrzył na nią w ten sposób. A przy tym wiedziała, że pod różowym jedwabiem, perłami i upiętymi w górę włosami widział w niej niemądre, kokietujące dziecko, którym jeszcze była. Dobrze, czort z nim, pomyślała Lily, zadzierając arogancko podbródek ku górze.

- W takim razie mogę tylko prosić o wybaczenie błędu, jaki popełniła moja matka, sadzając mnie obok pana - powiedziała sztywno. - Żywię jedynie nadzieję, że nie poczuje się pan zbyt znudzony.

- Doprawdy, nie sądzę - przytaknął, odwracając się, by rozmawiać z siedzącą po jego prawej

stronie Margaret Donoghue, która, jak Lily wiedziała, była mężatką i miała dwadzieścia sześć lat. Miała też skórę jak aksamit, była ubrana w czerwień i pachniała perfumami. Krążyły o niej również pogłoski, że jest śmielsza niżby wypadało. Do diabła - jęknęła w głębi duszy - ta kobieta jest wspaniała.

Urażona, znów wpatrzyła się w swoje nakrycie, nie zwracając uwagi na wszystkie serwowane dania, aż do deseru, który spałaszowała z dziecięcą zachłannością.

Dermot obserwował ją z nieznacznym uśmiechem na ustach. Będzie z niej mała dziwka - pomyślał, lecz zamiast tego powiedział:

- Widzę, że lubisz czekoladę, Lily.

Spojrzała na niego z ukosa. Sądziła, że zajęty Margaret Donoghue, nawet jej nie zauważał, a teraz żałowała, że nie pamiętała o tym, by dziobać deser od niechcienia niczym młoda dama, jaką powinna się okazać.

- Zjadłam tylko dlatego, że się nudziłam - odparła, patrząc mu w oczy. I znowu wydawało się, że chłona ją żarłocznie, tak jak ona pochłoneła słodycze.

- Cóż, jeśli się nudziłaś, to moja wina. Proszę o wybaczenie. - potem znów odwrócił się do swojej towarzyszki, pozostawiając Lily rozmowę ze starym generałem po lewej, który był, jak pomyślała zrozpaczona, jeszcze bardziej nudny niż ona sama.

Urażona, znowu wpatrzyła się w swój talerz, płonąc wściekłością na Dermota Hathawaya.

Przypomniała sobie, jak matka mówiła, że jest on bogatym kawalerem i że wszystkie kobiety uganiały się za nim, ale to go tylko czyniło jeszcze bardziej intrygującym.

Dziobała jak przystało na damę ser przyprawiony cząbrem, od czasu do czasu zerkając ukradkiem w jego stronę, oceniając rozwój jego rozmowy z Margaret Donoghue i zastanawiając się, jak to jest, że chociaż w ogóle sienie dotknęli, w niewytłumaczalny sposób wyglądają tak, jak gdyby się nieustannie dotykali.

Z drugiej strony - stwierdziła z gwałtownym dreszczykiem emocji - mogłoby być zabawne, gdyby dotknął cię przystojny Dermot Hathaway. Mogłoby nawet być zabawne poślubić mężczyznę takiego jak on. Stać się tą, która w końcu go usidli. Wpatrzyła się w talerz, oczyma duszy widząc siebie, jak kroczy przez nawę kościoła, cała jaśniejąca w białym księżącym atłasie, zupełnie tak jak jej kuzynka Kate, która wyszła za mąż w ubiegłym roku. Tyle że na nią czeka zuchwały Dermot Hathaway.

Wyobraziła sobie, jak ludzie by gadali, nie mogąc się nadziwić, że młoda Lily Molyneux robi tak dobrą partię, skoro inne kobiety próbowały go usidlić od z górą dziesięciu lat. Znowu złowiła spojrzenie Finna z drugiego krańca pokoju i zarumieniła się, mając nadzieję, że chłopak nie potrafi czytać w jej myślach.

Gdy kolacja dobiegła końca, matka podniosła się i poprowadziła panie do salonu, zostawiając mężczyzn z ich porto, cygarami i męskimi opowieściami.

Dermot wstał grzecznie, żeby ją przepuścić, ale Lily ledwo obdarzyła go spojrzeniem. Jednakże później, gdy w żółtym salonie serwowano francuskiego szampana, kawę z Brazylii i herbatę z Chin, wraz z cukierkami i owocami w cukrze pudrze, znalazła sposób, by usiąść blisko niego. A gdy potem ojciec zażądał od niej, by zagrała na pianinie i zaśpiewała dla gości, to właśnie dla Dermota zachowała swe uwodzicielskie spojrzenia spod długich rzęs, śpiewając słodką francuską pioseneczkę miłosną.

Stojąc na baczność u drzwi salonu, Finn zamknął oczy, wyobrażając sobie, że Lily śpiewa właśnie dla niego.

Potem przyszła kolej na Ciel. Pozwolono jej zostać do późna, z tej szczególnej okazji, choć nie pozwolono uczestniczyć w kolacji, gdyż matka uznała, że nie byłoby ładnie posadzić kogokolwiek z gości przy dziewięcioletnim dziecku. - Lily też jest dzieckiem i to już wystarczy na jeden wieczór - powiedziała stanowczo.

Ciel wdrapała się na taboret przy fortepianie, zaprezentowała zbyt dziarskie wykonanie uproszczonej etiudy Chopina - i czym prędzej zlązła z niego, wracając na miejsce przy radosnym aplauzie.

- Lily - powiedziała głośnym szeptem, tak że Dermot usłyszał - kim jest ten mężczyzna, do którego robiłaś oko?

Dermot odwrócił się, by na nią spojrzeć, a Ciel wpatrywała się w niego z zachęcającym uśmiechem.

- Myślę, że jest to przystojny młody lokaj - rzekł. A potem roześmiał się, gdy gorący rumieniec upokorzenia oblał twarz Lily, która odwróciła się i pierzchnęła, z Ciel depczącą jej - jak zawsze - po piętach. Finn pośpieszył za nimi, ale Ciel odwróciła się ku niemu, kładąc palec na ustach.

- Nie, Finnie - wyszeptała. - Nie tutaj. Tu nie możesz. Cofnął się. Nawet mała Ciel to rozumiała. Oczywiście, nie mógł przebywać z Lily. Był chłopakiem Paddiego O'Keeffe i znał swoje miejsce.

18.

W miarę, jak zbliżały się jej siedemnaste urodziny, Lily spędzała więcej czasu w Dublinie, kupując wraz z matką i Ciel na ulicy Grafion koronkowe pończochy, atlasowe pantofelki i długie, białe, skórzane rękawiczki, potrzebne na jej podwójny debiut: w Dublinie i w Londynie.

Pani Simms, która w Dublinie była tym, kim są projektanci mody w Paryżu, szyla suknię na prezentację Lily i z pół tuzina innych strojów balowych, w odcieniach kremowym, cytrynowym, różowym, chłodnego błękitu i szmaragdowej zieleni. Jedynie na prezentację zamówiono białą suknię z obcisłym stanikiem z książęcego atlasu i szeroką spódnicą, tak nieskalaną! dziewiczą, jak suknia ślubna. Tyle że - jak rzekła Ciel, tracąc dech z zazdrości - dwa razy fajniejsza.

Matka wysłała Lily czym prędzej do Londynu, by pozowała tam do portretu, i na całą serię proszonych herbatek, a potem był powrót do Ardnavamy. Wielki Dom znów wypełniali przyjaciele, ogień huczał w kominkach i wydawano kolacje dla mnóstwa osób. Jak zwykle odbywała długie przejażdżki z Finnem przez las lub wzdłuż plaży.

- Czy nigdy ci mnie nie brak, gdyś jest tam, w wielkim mieście? - zapytał Finn markotnie któregoś ranka.

Przywiązali konie i szli właśnie przez zaciszną leśną polanę. Lily kopnęła rozmokłe zmierzwione liście otaczające pień drzewa, zastanawiając się nad tym. To prawda, nie odczuwała jego braku: była na to po prostu zbyt zajęta; a poza tym Finn należał do jej życia w Ardnavamie. Jednakże nie mogłaby znieść tego, by go zranić.

- Oczywiście, że myślę o tobie czasami - odparła. - Ale tam jest tyle rzeczy do robienia: zakupy, przymiarki strojów, obiady i herbatki. Nie możesz w żaden sposób zrozumieć, jak tam jest.

- To prawda - powiedział gorzko - skoro nigdy nie byłem w mieście. Utknąłem w Ardnavamie.

- Czasami też bym tego chciała - przyznała - gdy zbyt często muszę siedzieć do późna w noc, do zbyt wielu osób się uśmiechać i ciągle z kimś prowadzić rozmowę. Jest tam mnóstwo majątnych wdów, które zadają pytania i pełno matek z gotowymi do żeniaczki synami, które naradzają się z moją mamą. Och, to są całe rejestry, Finnie, rejestry ludzi, których można zaprosić i tych, których zapraszać nie należy.

- Jak mnie.

Patrzyła na niego poirytowana.

- Nic na to nie mogę poradzić. Ale to nie przeszkadza nam być przyjaciółmi.

- Tak jest. To znaczy, gdy sobie o mnie przypominasz. - Finn jednym susem znalazł się znów na koniu.

- Och, ty nigdy nie zrozumiesz - wrzasnęła.

- Ty też nie - odparował i oddalając się galopem, zostawił ją, patrzącą w oszołomieniu w ślad za nim.

Siedemnaste urodziny Lily wypadły w przeddzień porannego przy jęcia u namiestnika królewskiego, które oznaczało początek sezonu, jej rodzice więc wydali wspaniały urodzinowy bal w swym domu na Fitzwilliam Square. Zmontowano markizę w zielono-białe pasy, by chronić gości od słotnej pogody, a na frontowych stopniach i w poprzek chodnika rozłożono czerwony dywan. Lokaje mieli na sobie zieloną liberię i upudrowane peruki, szampan był różowy, a ogromny dom rozkwitał jak ogród w powodzi kremowych ciepłarnianych lilii.

Pokojówka matki zasznurowała Lily w ciasny gorset, a potem po mogła jej założyć kremową suknię tak, by nie zburzyć starannie upiętych włosów. Strzepując delikatną, złotą koronkę, która okrywała suto marszczoną atłasową spódnicę, wydała okrzyk podziwu - tak cudownie wyglądała panienska.

Lily obracała się to w jedną, to w drugą stronę, stojąc przed wysokim lustrem, a lady Molyneux, która ją obserwowała, uśmiechnęła się z odrobiną żalu, uświadamiając sobie, że jej trzpiotowata, mała dziewczynka nagle stała się młodą kobietą.

- Czasami zapominam, jaka jesteś śliczna - powiedziała i pochyliła się, by ją ucałować. - To dla ciebie cudowne chwile, moje kochanie. Debiut to coś, o czym dziewczyna nigdy nie zapomni: suknie, i przyjęcia, i wrażenia. To początek całkowicie nowego życia, gdy tak wiele jeszcze jest przed tobą, a dzieciństwo już minęło. Ciesz się tym wszystkim, Lily. Następnym wielkim wydarzeniem będzie twój ślub. Ciel w sukience ze sztywnej błękitnej tafty - także uszytej przez panią Simms - siedziała na łóżku, przyglądając się z zazdrością Lily. Aksamitna szarfa i atłasowe baletki, wszystko w kolorze błękitnym jak oczy Ciel, dopełniały stroju. Matka wpięła jej we włosy kwiat i zapytała radośnie:

- Czyż nie jestem szczęśliwą kobietą, mając dwie tak wspaniałe córki? Dziś wieczorem cały Dublin będzie o nas mówić.

- Tylko dlatego, że jesteś taka piękna, mamusiu - wyszeptała Lily, obejmując ją.

Lord Molyneux stał tyłem do kominka w salonie, podtrzymując poły fraka i grzejąc sobie plecy w oczekiwaniu na panie. William, niespokojny, tkwił przy oknie. Wolałby, żeby go tu nie było, ale - tak jak jego siostra - musiał uczestniczyć w spotkaniach towarzyskich tego sezonu.

Lord Molyneux uśmiechnął się, gdy weszły, dumny ze swych kobiet. Kiedy Lily z wysoko uniesioną głową, majestatycznie sunęła w jego stronę, przypomniał sobie scenki z dzieciństwa swej córki. Wpatrywał się w nią w milczeniu, pamiętając ją jako czarnowłose niemowlę o niebieskich oczach; jako berbecia z rozczochranymi włosami; jako małego zucha na swym pierwszym kucyku i jako trzpiotowatego podlotka. A teraz jego najdroższa dziewczynka miała siedemnaście lat i była skończoną pięknoscią.

Z sali balowej dobiegły dźwięki muzyki, wyciągnął więc ku niej rękę.

- Czy mogę mieć zaszczyt poprosić o ten taniec, lady Lily? - zapytał oficjalnie, jak należy.

Unosząc swój tren ze złotej koronki, Lily uśmiechnęła się i spojrzała ojcu w oczy.

- Będzie mi niezmiernie miło, sir - odrzekła. Wtedy porwał ją ze śmiechem w ramiona, i zaczęli krążyć w walcu dookoła salonu.

- Proszę do tańca teraz, bo z pewnością nie będę miał szans do pchać się do ciebie, gdy zjawią się twoi goście - powiedział, kiedy muzyka zamilkła. - A chciałem ci powiedzieć, że jesteś piękna i że będziesz królową swego balu.

- A ty jesteś najprzystojniejszym i najdroższym ojcem dziewczyny, która świętuje urodziny - wyszeptała, opasując go ramionami.

- Chodźcie tu wszyscy. Noro, dzieci - Lord Molyneux skinieniem ręki kazał rodzinie podejść. Wziął z pobliskiego stołu kwadratowe pudełko z niebieskiego zamszu i wręczył je Lily. - Pora dać Lily prezent.

Lily wzięła pudełko w obie ręce. Spojrzała na nie, a potem podniosła wzrok na nich.

- Prawie nie śmiem tego otworzyć - powiedziała z oczami błyszczącymi z podniecenia.

- Och, na miłość boską, otwórz, Lily - krzyknęła niecierpliwie Ciel.

- Umrę, jeśli nie zobaczę, co to takiego.

Lily zaśmiała się i żwawo otworzyła pudełko, a potem spojrzała na naszyjnik z diamentową podwójną kokardką, zwaną „węzłem miłości”.

- Och, papciu - tylko tyle zdołała wyszeptać.

Diamenty zaiskrzyły się wstęgą światła, gdy lord Molyneux zapinał naszyjnik wokół szyi Lily. Podwójne wygięcie „węzła miłości” dopasowało się idealnie do zagłębienia w jej młodej, śmietankowej szyi, on zaś rzekł:

- Sam go wybierałem. Chciałem starannie wyszukać podarunek od powiedni dla mojej drogiej córki na jej siedemnaste urodziny.

- Och! i udało ci się - wykrzyknęła impulsywnie Ciel. - Jest cudowny.

- Czuję się dzisiejszego wieczoru jak królowa - westchnęła Lily. - Dziękuję ci, papciu i tobie też, kochana mamusiu. To naprawdę najcudowniejszy wieczór w moim życiu.

- Oczywiście, dopóki nie wyjdiesz za mąż - odparł ojciec. Jego wzrok spochmurniał na myśl o utracie córki, a widząc to, lady Molyneux szybko przypomniała mu, że goście powinni zjawić się lada moment.

Na ulicy zebrał się tłum, by oglądać nadjeżdżające damy w atłasach, satynach, futrach i klejnotach, a niektórzy tańczyli przy muzyce, która jak powiew wiatru wymykała się na zamglony plac. Godzinę później wielki dom tętnił śmiechem i wrzawą. Kryształowe żyrandole jaśniały jak tęcze tysiącem świateł, płynął różowy szampan, a wszystkowiedzące siwowłose wdowy, w swoich ciemnych koronkowych sukniach z mnóstwem sznurów pereł i diamentów, kiwały z aprobatą głowami, gdy Lily w tańcu mijała je w ramionach jednego po drugim oczarowanych młodych mężczyzn. - Jest na najlepszej drodze do świetnego zamążpójścia - mówiły ze znanstwem. - Taka piękność, i to z jej rodowodem.

- Czyż nie jest cudowna? - rzekła Ciel, tańcząc z bratem. - Dziś wieczorem jestem tak bardzo z niej dumna; a ty, czy nie jesteś, Williamie? - Nadepnęła mu na nogę, aż się skrzywił. - To twoja wina - powiedziała. - Umiem tańczyć lepiej od ciebie, choć mam dopiero dziesięć lat.

- Masz słuszość - przyznał ponuro. - I nadal będziesz tańczyła lepiej niż ja, gdy będziesz miała dwadzieścia lat. Nie cierpię tańczyć.

- Bardziej niż jeździć na koniu? Jej buzia małpeczki rozjaśniła się szelmowsko, a on zaśmiał się wesoło.

- Wiesz co. Ciel? - powiedział. - Kiedy przyjdzie pora na twój debiut, będziesz tak samo wspaniała jak Lily. Potrząsnęła głową.

- Nikt na całym świecie nigdy nie będzie tak piękny, jak ona. Lily posłała w ich kierunku uśmiech, wirując obok w ramionach swego partnera. Policzki miała zaróżowione, jej wysoko upięte czarne włosy lśniły, a diamentowy naszyjnik rzucał drogocenne błyski: namacalny dowód miłości i poważania, jakimi jej ukochany papcio obdarzał swą starszą córkę.

- Nie wiedziałam, że on jest zaproszony - szepnęła do Ciel, gdy wśród innych młodych mężczyzn dostrzegła Dermota Hathawaya.

- Masz na myśli tego, z którym próbowałaś flirtować na przyjęciu? - spytała niewinnie Ciel.

Lily rzuciła jej miażdżące spojrzenie.

- Ale masz pamięć. Ciel. Nigdy nie zapominasz. A jeśli już, to nie te rzeczy, o których powinnaś zapomnieć.

Dermot zastąpił jej drogę przy następnym tańcu.

- Wiem, że to nie jest przyjęte - powiedział bez uśmiechu - ale to był jedyny sposób, by poprosić do tańca dziewczynę wieczoru.

- Doprawdy? - powiedziała, odrzucając w tył głowę i śmiało patrząc mu w oczy. - Ale jestem pewna, że ma pan jakąś tam „dziewczynę wieczoru” w każdy kolejny dzień tygodnia.

- Być może - zgodził się, trzymając ją bliżej siebie, niż ktokolwiek trzymał ją kiedykolwiek przedtem.

Serce Lily waliło tak mocno, że pomyślała, iż on na pewno to słyszy. Przez tkaninę sukni czuła na swej kibici ciepło jego ręki odzianej w białą rękawiczkę, jej piersi uciskała jego pierś, a gdy w ostatniej figurze tańca zamasyście wyprowadził ją na skraj parkietu, z trudem chwyciła oddech.

Siwowłose damy siedzące na złoconych krzesłach wzdłuż ściany spoglądały na nich z dezaprobatą, ale Lily nie dbała o to. Była w siódmym niebie z ekscytacji i z poczucia swej kobiecej potęgi. Popatrzyła na niego kokieteryjnie spod długich czarnych rzęs.

- Pozwalam ci raz jeszcze zastąpić mi drogę - rzekła, obracając w palcach swój pozłacany ołówek, gdy udawała, że sprawdza karnecik z tańcami. Skreśliła jakieś nazwisko i wpisała na to miejsce jego.

- A więc nasz taniec sprawił ci tyleż przyjemności, co deser czekoladowy, Lily? - Jego kpiący głos pieszczotliwie wypowiedział jej imię, a ona w środku zadrżała.

- Och, do diabła z czekoladą. - Wydęła wargi. - Czy nigdy tego nie zapomnisz?

- Mógłbym - powiedział tonem zastanowienia. - Ale myślę, że lepiej, jeśli znowu wpiszesz do swego karneciku nazwisko tego młodego człowieka. Chyba sobie przypominam, że jestem już umówiony do tego walca.

Gończy rumieniec palił policzki Lily, gdy przyglądała się, jak on tańczy. Kobieta, z którą przyszedł, musiała mieć co najmniej dwadzieścia sześć lat, pomyślała wzgardliwie. „Do diabła z nim. Och, do diabła z nim” - wymamrotała pod nosem, piorunując wzrokiem młodego mężczyznę, który z nadzieją stanął przed nią.

- To mój taniec, jak sądzę, Lily? - zapytał, zaskoczony.

- Co? Och, tak. Do licha, tak jest.

Dermot nie poprosił jej po raz drugi do tańca ani nie usiadł blisko przy kolacji. Lily bawiła się tak dobrze, że prawie o nim zapomniała, ale od czasu do czasu rzucała w jego stronę tęskne spojrzenie, a Dermot nie omieszkał zauważyć jej zachowania.

Bal zakończył się o drugiej w nocy, a Lily wstała już o siódmej, by przygotować się na przyjęcie u namiestnika królewskiego, następnego zaś dnia została przedstawiona w salonie dam. Ubrana w biały atlas, wyglądała po królewsku, choć nieco blado. Wspaniale sobie radziła z długim trenem, składając zamaszyste, dworskie ukłony. Miała czaple pióra we włosach i diamentowy naszyjnik - wszyscy obecni byli zgodni, że Lily Molyneux jest porywająca, że zostanie jedną z największych piękności w Irlandii i że zrobienie cudownej partii ma zapewnione, już teraz bowiem byli w niej zakochani wszyscy młodzi mężczyźni stanu wolnego.

Później pojechała do Londynu na prezentację na królewskim dworze tudzież na kolejną rundę przyjęć - i znowu wesola, pełna kokieterii Lily odniosła olbrzymi sukces. Lord Molyneux promieniał z dumy z powodu swej ślicznej córki, a wdowy w obydwu już teraz krajach przepowiadały jego córce wspaniały mariaż.

Ciel tęsknie śledziła to wszystko w oczekiwaniu na swoją kolej, choć wiedziała, że nigdy nie będzie tak triumfować jak Lily. A William sumiennie uczestniczył w każdej kolacji i każdym balu z swoją popularną siostrą, sztywny i skrupowany, tęskniący do chwili, gdy znów znajdzie się w Ardnawie wraz ze swoimi książkami i jak najwięcej czasu po święci obserwowaniu ptactwa.

Aż gdy w końcu wrócili do Ardnawy, by spędzić tam spokojne tygodnie lata, jedynym wspomnieniem, które wryło się w umysł Lily, był gorący wzrok Dermota Hathawaya, jego ręka w jej tali, ciała przy ciśnięte do siebie. I gryząca drwina, gdy zostawiał ją, żeby zatańczyć z inną.

- Któregoś dnia każę mu za to zapłacić - przysięgła, gdy znów się poczuła bezpieczna w Ardnawie. I wtedy właśnie postanowiła, że poślubi Dermota Hathawaya.

19.

Dermot był stuprocentowym mężczyzną. Tak jak ojciec Lily, uprawiał sporty, a jako zdolny przedsiębiorca zainteresował się rozwijaniem w Ameryce przemysłu, kolei żelaznych i linii parostatków. Interesy często rzucały go daleko od Irlandii, ale jesienią zawsze wracał tu na polowania. Wysoki, mocno zbudowany, przystojny w ten zmysłowy, cielesny sposób, jaki wydaje się, że odpowiada kobietom, był również bardzo lubiany wśród mężczyzn.

- Fajny gość - zwykli go określać jego rówieśnicy - mimo że trochę ogląda się za kobietami.

W rzeczywistości Dermot oglądał się za nimi znacznie bardziej niż „trochę”, a wieść głosiła, że w promieniu pięćdziesięciu metrów od niego żadna kobieta nie czuła się bezpieczna, łącznie z niektórymi żonami jego przyjaciół.

A ponieważ był w ogóle jedynym mężczyzną, który robił wrażenie, że pozostaje obojętny na dziewczęcą piękność i zalotne gierki Lily - a przy tym w ogóle jedynym, który osadził ją na miejscu - więc, naturalnie, okazał się właśnie tym, którego zapragnęła. Wszyscy inni, przystojni i młodzi synowie przyjaciół jej rodziców, wspaniale utytułowani, lordowie, diukowie a nawet, jak mówiono, pewien książę, zniknęli z jej świadomości, jak gdyby w ogóle nie istnieli. Ona chciała Dermota Hathawaya i powzięła kroki, aby go zdobyć.

Lily zwariowała na jego punkcie. Nie mogła myśleć o nikim innym. Poprzez swoich przyjaciół zdobywała dokładne informacje, na które przyjęcia i tańce będzie zaproszony, po czym za wszelką cenę starała się w nich uczestniczyć, zawsze prezentując się w swój najbardziej olśniewający sposób, zawsze istna młoda dama, zawsze w towarzystwie albo matki, albo pani domu, w którym gościła. Podczas oficjalnych kolacji rzadko sadzano ją obok Dermota, jako człowieka o wiele od niej starszego. Był wytrawnym rozmówcą i gawędziarzem, daleko bardziej elokwentnym niż biedny chłopak, który przez cały tydzień układał sobie, co po wie ślicznej Lily Molyneux, gdy już zdołał

przekonać panią domu, by go przy Lily posadziła. Niepotrzebnie jednak łamał sobie głowę; ona swe zalotne spojrzenia przesyłała ponad stołem tylko Dermotowi. Gdy zaś mieli za sobą już trzecie przyjęcie, w którym brali udział obydwój, a on jeszcze nie prosił jej do tańca, Lily poprosiła jego.

Zdawała sobie sprawę z tego, że tak nie wypada, ale już o to wcale nie dbała. Wiedziała, że wygląda pięknie w sukni z cytrynowego jedwabiu o powiewnej, tiulowej spódnicy. Poprawiła czarne, połyskliwe loki i zwilżyła językiem czerwone wargi, po czym skierowała się poprzez tłum ku niemu i położyła dłoń na jego ramieniu. Nawet się nie zarumieniła, mówiąc:

- Sir Dermot, na moim przyjęciu zastąpiłeś mi drogę, uważam więc za całkiem właściwe odwzajemnić się tym samym i prosić cię o taniec.

Dermot spojrział na nią, kontemplując jej urodę, młodość i zwodniczo niewinne szafirowe oczy. Znał setki kobiet i wiedział, co w trawie piszczy, gdy miał z nimi do czynienia; uśmiechnął się więc uprzejmie.

- Czemuż by nie? - zapytał.

Dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa Lily, gdy Dermot popatrzył na nią. W jego oczach dostrzegła taką znajomość rzeczy, jakiej nigdy dotąd nie spotkała we wzroku innego mężczyzny. Było to palące, badawcze spojrzenie, które wprawiało ją w oszołomienie, a zarazem w stan podniecenia. Nawet Finn, z tym jego błagalnym, pełnym uwielbienia wzrokiem, nigdy na nią w ten sposób nie patrzył.

- Taniec przed kolacją, lady Lily - powiedział z lekkim, konwencjonalnym ukłonem. A potem odwrócił się i odszedł, by odtańczyć swój następny taniec z panią domu.

Lily spojrzała w swój karnecik. Zobaczyła, że wykreślił nazwisko chłopca, który miał ją poprowadzić na kolację, i wpisał na to miejsce własne. Jej nastrój podniósł się niczym świeży suflet. Nie czuła żadnej litości dla sprostowanego młodego człowieka. Dermot Hathaway poprowadzi ją na kolację.

Dermot nie był w gruncie rzeczy zainteresowany jedzeniem kolacji z dziewczyną tak młodą jak Lily, nawet tak piękną. Robił to tylko po to, by dotknąć kobietę, o którą naprawdę zabiegał. Chodziło mu o pewną atrakcyjną, doświadczoną, seksowną mężatkę, takie kobiety właśnie lubił. Do tej pory opierała się jego awansom, ale wiedział, że jest nim zainteresowana i wiedział też, że najlepszym sposobem zwrócenia na siebie uwagi kobiety jest udawać obojętność. Był szczególnie biegły w wykorzystywaniu jednej kobiety jako broni do zdobycia drugiej, a dzisiejszego wieczoru bronią tą okazała się wspaniała, młoda Lily Molyneux.

Poczuł, jak Lily zadrżała, gdy objął ją ramionami, prosząc do tańca. Spojrział na nią drwiąco i powiedział:

- Czy ci jest zimno, moja droga? - A Lily pomyślała, że umrze z wrażenia, gdy po mistrzowsku porwał ją do walca. Była cudowną tancerką, pełną wdzięku, pewną siebie; odsunęła się od niego, próbując skoncentrować się na muzyce, a nie na jego bliskości.

- Obawiam się, że sprawiłeś mi nieco kłopotu - powiedziała, gdy muzyka przestała grać, a on ujął jej ramię, by zaprowadzić ją do bufetu. Trzeba było długo tłumaczyć, żeby przekonać mężczyznę, który sądził, że poprowadzi mnie do kolacji, iż całkowicie zapomniałam, że już wcześniej obiecałam to tobie. Obawiam się teraz, że straciłam przyjaciela.

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Nic nie szkodzi. Masz tysiące innych. Mówi się, że jesteś najpopularniejszą dziewczyną sezonu. Spuściła skromnie wzrok.

- Och, to wszystko bezsensowne plotki. A poza tym, to takie dziecinne. Teraz mam już to wszystko za sobą.

- Ach, doprawdy - odparł oziębło.

Znowu zagryzła usta, spoglądając niespokojnie na niego. Ale Dermot nie śmiał się z niej. W gruncie rzeczy nawet na nią nie patrzył. Jego wzrok zwarł się ze wzrokiem mężatki stojącej samotnie przy drzwiach do jadalni. Lily patrzyła to na nią, to na niego, z ustami otwartymi w konsternacji, lecz w tym momencie, tak szybko, jakby nic się nie stało, Dermot poprowadził ją do stołu.

- Możemy więc przyjąć, że skoro wszystkie dziecinne sprawy masz już poza sobą, nie będziesz więcej łapczywie zajadać deseru? - zapytał, spoglądając na salę z niezliczonymi stołami bufetu, przeładowanymi złotymi tacami z różowym łososem i koralowymi homarami, z pomarańczowymi krewetkami i lśniącymi ostrygami; oraz srebrnymi tacami z bażantami, bekasami, i baraniną w przyprawach, a także kryształowymi rogami obfitości pełnymi owoców, drżących, kolorowych galaretek i misternie skomponowanych słodczy z waty cukrowej, czekolady i kremu.

Lily pociekła ślinka na ten widok. Umierała z głodu i czuła, że mogłaby spałaszować mnóstwo potraw. Mimo to odezwała się bardzo znudzonym głosem, niczym dorosła osoba:

- Chciałabym kieliszek szampana.

Dermot przywołał lokaja, roznoszącego napoje, a potem oparł się łokciami o stół, patrząc, jak szybko Lily wychyla szampana. Powiedziała, że chciałaby jeszcze, więc lokaj postawił przed nią na stole drugi kieliszek.

- Czy to w zastępstwie czekolady? - zapytał Dermot, znużony na myśl, że ma się zajmować młodą dziewczyną, która uparła się, by się upić.

Lily ze złością hałaśliwie postawiła kieliszek na stole, aż wino rozlało się na boki.

- O Jezu, Dermocie Hathaway - wykrzyknęła gniewnie - dlaczegoż to poprosiłeś mnie do kolacji, skoro mnie nienawidzisz?

Uniósł brwi, zaskoczony. A więc jednak ta piękna, słodka księżniczka z bajki miała jeszcze inną stronę charakteru.

- Moja droga Lily - rzekł - poprosiłem cię do kolacji, ponieważ jesteś zdecydowanie najpiękniejszą kobietą na tej sali.

Powiedziało jej to już ze stu mężczyzn, ale tym razem zdołała wypowiedzieć tylko nerwowe „Och”.

- Jestem pewien, że twój ojciec może spodziewać się dla ciebie bardzo udanego małżeństwa - rzekł miękko głosem. - Każdy mężczyzna byłby dumny z posiadania takiej kobiety, jak ty.

- Och - wyrzekła ponownie Lily. Jej usta rozchyliły się, a oczy rozszerzyły ze zdumienia. A już myślała, że przegrywa batalię o pozyskanie jego uwagi, zwłaszcza gdy zobaczyła, jak tamta kobieta i Dermot ścierają się spojrzeniami niczym gladiatorzy w czasie walki. Pomyślała, że może dzięki temu, iż zachowuje się w sposób bardziej dorosły, pijąc szampana i tak dalej, a może przez to, że udaje rezerwę - zwróciła wreszcie na siebie jego uwagę. Teraz on już wie, że i ona jest kobietą.

- Wezmę ci coś do jedzenia - powiedział. - Wiem z doświadczenia, że dwa kieliszki szampana, młoda dziewczyna i pusty żołądek nie stanowią właściwej kompozycji.

Patrzyła przerażona za nim, myśląc, jak - mimo wszystko - jest on uprzejmy i troskliwy. Aczkolwiek życzyłaby sobie, by przestał ją nazywać „młodą dziewczyną” w chwili, gdy czuła się równie dorosłą, jak ta kobieta, z którą akurat rozmawiał. To ta sama, uświadomiła sobie za zdrośnie,

która uprzednio patrzyła na niego tak zaborczo. Nie działało się między nimi nic takiego, po prostu kilka krótkich słów z czystej grzeczności - była tego pewna - i zaraz Dermot powrócił z lokajem, niosącym tacę z jedzeniem.

- O Jezu - powiedziała popędliwie. - Jestem tak głodna, że mogła bym zjeść konia z kopytami. Jego wyraziste ciemne oczy wędrowały nieustannie po sali, i sam ledwo tknął swoje jedzenie, ale Lily nawet tego nie zauważyła. Język i psychiczne hamulce dziewczyny rozluźniły się przy trzecim kieliszku szampana, który uparła się wypić, i paplała wesoło o Ardnavamie i koniach do polowania.

Jego oczy spoczęły na niej przez chwilę i powiedział z iskierką zainteresowania:

- Słyszałem, że jesteś znakomitą amazonką, Lily. Prawie tak dobrą, jak twój ojciec.

- Czy to papcio ci o tym mówił? - zapytała z ożywieniem.

- Myślę, że twój brat.

- Och, William - wzruszyła śmietankowymi ramionami, podciągając ku górze atlasowy stanik, ponieważ ześliznął się niebezpiecznie z piersi. - Nie ma z niego pożytku na koniu. I nigdy nie będzie.

- Wydaję u siebie przyjęcie z okazji polowania podczas weekendu w następnym tygodniu - powiedział niespodziewanie. - Twoi rodzice zostali zaproszeni. Czemu nie miałabyś przyjechać wraz z nimi? Może ci się spodoba.

Jej ogromne niebieskie oczy rozbliły podnieceniem i triumfem.

- Och. Jestem pewna, że tak.

W sali balowej znowu zabrzmiała muzyka i Lily ujrzała, że chłopiec, któremu obiecała następny taniec, stoi przy drzwiach i rozgląda się za nią.

- Och, do licha, do licha - wymamrotała, gdy podszedł, aby ją po prosić.

- Dziękuję za twe miłe towarzystwo, Lily - Dermot ujął ją za rękę, ale zamiast ukłonić się, jak wypadało, podniósł ją do swych ust, a Lily poczuła, że cały świat eksploduje tysiącem gwiazd, gdy drżenie podniecenia przebiegło od jego ust ku jej piersiom i lędzwiom. Spojrzenie jego gorących ciemnych oczu przez kilka chwil parzyło jej oczy, po czym - złożony ukłon - oddalił się.

Po paru minutach dostrzegła go, pogrążonego w rozmowie z piękną blondynką. A później nie widziała go już przez resztę wieczoru.

O północy, oszołomiona szampanem i z pulsującym bólem głowy, powiedziała dobranoc pani domu i mozolnie, powoli weszła po krętych georgiańskich schodach do swego pokoju na piętrze. LAMPY były zapalone i pokojówka czekała, by pomóc jej zdjąć suknię i rozwiesić ubranie. Lily obmyła twarz lodowato zimną wodą z dzbanka i położyła sobie kompres na głowę, by zmniejszyć rwący ból. Zrzuciła resztę swych fatalaszków i przyodziała flanelową koszulę nocną. Mamusia obstawała przy tym, by nosiła ciepłą nocną bieliznę, gdyż, mimo ognia huczącego w każdym palenisku, irlandzkie dwory zawsze pozostawały zimne.

Gwałtownym ruchem otworzyła okno i wystawiła głowę na zewnątrz, głęboko wdychając zimne powietrze. Potem, poczuwszy się lepiej, odwróciła się do przytulnego ognia i wyjęła mały, oprawny w skórę tomik wierszy Lorda Byrona. Przerzuciła w nim strony, lecz w rzeczywistości myślała o Dermocie. Po prostu nie mogła o nim zapomnieć i odrzuciła książkę z jękiem rozpacz. Ten mężczyzna miał ją prześladować przez resztę jej dni; wiedziała o tym i już. Przypomniła sobie, że nie widziała go od kolacji. Może zachorował? Może był sam w swoim pokoju, oddzielonym tylko korytarzem od jej pokoju? Może czuł się chory i osamotniony, nie mając nikogo, kto by się o niego zatroszczył? Spojrzała na tomik wierszy. Czy może być lepszy pretekst niż zanieść mu książkę, na wypadek, jeśli nie może zasnąć?

Niewiele myśląc, narzuciła na siebie długi, niebieski wełniany szlafrok, schwyciła tomik wierszy i otworzyła drzwi. Korytarz miał przynajmniej dwadzieścia metrów długości, a świece w wiszących na ścianach kinkietach rzucały tajemnicze cienie. Spoglądała bojaźliwie na boki. Dźwięki muzyki i śmiechu słabo docierały w górę schodów, ale służba nadal była zajęta na dole, tak że na górze panował zupełny spokój.

Cicho zamknęła drzwi za sobą. Wiedziała, że pokój Dermota leżał po drugiej stronie korytarza, o czworo drzwi dalej, ponieważ już wcześniej zatroszczyła się, by to sprawdzić i teraz zerknęła bojaźliwie do tyłu, pukając do drzwi i zastanawiając się, co by zrobiła, gdyby ją przy łapano pukającą do drzwi pokoju mężczyzny w środku nocy. Nie było odpowiedzi, więc zapukała ponownie. Nagle usłyszała kroki na schodach. Rzuciła spłoszone spojrzenie wzdłuż korytarza w kierunku swego pokoju, lecz nie miała już czasu, by go dopaść. Otworzyła drzwi pokoju Dermota, weszła do środka i szybko je zamknęła. Oparła się o nie, z za mkniętymi oczami i wciąż tłukącym się sercem. A potem otworzyła oczy i ujrzała Dermota.

Stał koło łóżka i spoglądał na nią. Nie miał na sobie koszuli, tak że dostrzegła ciemne, skręcone włosy na jego szerokiej piersi, a następnie - na jego skotłowanym łóżku - blondynkę, wyciągniętą i nagą niczym skandaliczna „Olimpia” Maneta.

Tomik wierszy, który trzymała, upadł z głuchym łoskotem na podłogę.

- Och - wydyszała. - Och, och... - A potem odwróciła się i uciekła za drzwi, nie dbając o to, czy ktoś ją zobaczy.

Odgłos ich drwiącego śmiechu biegł za nią korytarzem, a ona zatkała rękami uszy, by nie słyszeć, podczas gdy w pamięci miała rozbawiony wzrok leżącej tam nagiej kobiety, która nie dbała o to, kto ją widzi w łóżku Dermota Hathaway. I ten dziwny błysk zrozumienia w oczach Dermota, gdy obserwował ją, patrzącą na nich.

Wpadła do swego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Z jej oczu popłynęły łzy, gdy rzuciła się na łóżko.

- Jezus. Do diabła, do diabła, do diabła - ryczała, waląc zaciśniętymi pięściami w poduszkę. Wiedziała już, że nigdy nie zapomni tej sceny. A także ich okrutnego śmiechu i wyrazu oczu Dermota. Nigdy, nigdy, nigdy.

20.

W przeddzień planowanego wyjazdu do zamku Hathaway na polowanie, lord Molyneux dostał ataku podagry. Lady Nora powiedziała, że musi zostać z nim w domu, ponieważ gdy był chory, zachowywał się jak rozjuszony niedźwiedź, tak że tylko ona mogła stawić mu czoło, no i że wizyta w zamku Hathaway musi zostać odwołana. Lily czuła się przybita. Pomimo tego, co się wydarzyło, rozpaczliwie pragnęła znów zobaczyć Dermota, ale matka stanowczo powiedziała nie. Jednakże gdy nadąsała się i tupnęła nogą, mówiąc papciowi, jak gorąco chciała ujrzeć sławny zamek i jak się czuje teraz zawiedziona, zgodził się wreszcie, aby pojechała. Miała wziąć jako przyzwoitkę swoją starą nianię, a Finn pojechał przodem z końmi.

Zamek Hathaway przyczał się złowrogo na szczycie wzgórza u wybrzeży oceanu w hrabstwie Clare. Od wschodu zwrócony był ku równinom i dolinom, gdzie, przez całe stulecia, wojowniczy Hathawayowie wypatrywali zbliżających się wrogów.

Zachodnią fasadą zamek zwracał się w stronę oceanu, tak że sztormowe fale Atlantyku przewalały się ponad, i wokoło, i jak mówili nie którzy goście - przez ściany zamku, wyjąc jak duch potępiony, gdy szalały zimowe wichury.

Ledwie Lily wysiadła z powozu, już żałowała swojego przyjazdu, ale po prostu nie potrafiła się powstrzymać. Ciągnęło ją do Dermota Hathawaya tak, jak łososia ciągnie wiosną do skoku. Oszalała na jego punkcie. Wypełniał jej myśli, czy to na jawie, czy we śnie. Różnił się od młodych mężczyzn, których знаła, miał w sobie powab czegoś nieznanego. A także zakazanego.

Szła za lokajem poprzez kamienne korytarze i sklepione przejścia, zwracając uwagę na przepiękne perskie dywany i zbroje stojące w sieniach oraz na dawną broń bitewną - topory, miecze i maczugi - wystawione w kufrach przykrytych szkłem. Jej pokój, do którego wchodziło się przez skrzypiące gotyckie drzwi, był ogromny i miał widok na ocean.

Podczas kiedy niania rozpakowywała jej bagaże, Lily otworzyła na oścież okno i wsłuchiwała się w szum fal, rozbijających się o skały, i obserwowała czarne chmury, gromadzące się na wietrznym niebie. Pogoda na jutrzejsze polowanie nie zapowiadała się zbyt obiecująco, splotła więc palce, modląc się, by sztorm się oddalił, ponieważ tak strasznie pragnęła popisać się przed Dermotem Hathawayem swymi umiejętnościami jeździeckimi.

Sztorm rozpętał się o ósmej, akurat gdy dwadzieścioro gości zbierało się na drinka przed kolacją. Ogień huczał w ogromnych kamiennych paleniskach na obu krańcach wielkiej sali o podwójnej wysokości, wzdłuż której rozmieszczono piecyki na węgiel drzewny, by dostarczyć więcej ciepła, gdy atlantyckie wiatry odbijały się echem w kominach, miotając w okna całe niebiosy deszczu.

Goście, siedzący grupkami na sofach lub stojący w pobliżu ognia, gwarzyli o tym jak „pełen żywiołów” jest zamek Hathaway, i rozważali szansę jutrzejszego polowania.

- Obawiam się, że nie są dobre - powiedział im Dermot. - Jednak jestem pewien, że jeśli nawet będziemy skazani na pobyt w domu, potrafimy się jakoś zabawić. To znaczy do czasu, gdy sztorm ustanie.

Dygocząc w chłodzie zamku, Lily miała na sobie suknię z ciemnorubinowego aksamitu pod samą szyję i opiętą w talii, z długimi rękawami i fałdzistą spódnicą. Była najmłodszą z obecnych tam osób i czuła się beznadziejnie nie na miejscu bez swych rodziców. Oczywiście do chwili, w której okazało się, że przy kolacji siedzi po prawicy Dermota i gdy rzekł:

- Wyglądasz tak ślicznie, jak Dama z Shalott.

Humor jej się poprawił, ale znów szybko przygasł, kiedy Dermot odwrócił się i podczas gdy serwowano kolejne dwa dania on rozmawiał jedynie z kobietą po swej lewej stronie, na nią zupełnie nie zwracając uwagi. Miała ochotę się rozplakać, tak była zwariowana na jego punkcie, ale wiedziała, że płacz niewiele jej pomoże. Musiała wybrać grę bardziej inteligentną, by pokonać swoje rywalki. Ostatecznie, rzekła do siebie z determinacją, jest tutaj w określonym celu: chce złowić Dermota Hathawaya. Sprzątnąć go sprzed nosów tych drapieżnych starszych kobiet i zrobić z niego uczciwego mężczyznę. Uczynić go „mężem Lily Molyneux”.

Po kolacji Dermot przyszedł i usiadł przy niej na sofie. Czowała ciepło jego ciała i chwytając w nozdrza lekki, unoszący się zapach wody kolońskiej. Spod ciężkich powiek znów patrzył na nią ten osobliwy sposób, tak jakby na całym świecie ona była tą jedyną, z którą pragnął zostać. A przecież wiedziała, że tak nie jest. Jeszcze nie.

- A więc, Lily Molyneux - powiedział łagodnie. - O czym myślisz?

- Myślałam o tym, jak niegrzeczny się okazałeś, nie rozmawiając ze mną przy kolacji - odparła cierpko.

- Masz rację. - Przysunął się bliżej i szepnął: - I wyznam, że nie było łatwo nie zwracać uwagi na taką młodą piękność. Ale jesteś nie bezpieczną dziewczyną, Lily. O wiele za piękną, ponętą,

i młodą na to, by ją zostawić samą z takim mężczyzną jak ja. - A potem, z drwiącym uśmiechem oddalił się, by zorganizować grę w brydża.

Lily nie znosiła gry w karty i nie chciała być czwartą do brydża. Wiedziała, że gra potrwa całe godziny, więc, zostawiona sama sobie, powiedziała dobranoc i nadąsana odpłynęła do swego pokoju. Pomagając jej się rozebrać, stara niania trajkotała o tym, jak zimny jest zamek, i jak ona nie znosi pełnego grozy wycia wiatru, i jak ciemny i ponury korytarz wiedzie do jej pokoju, i jak daleko leży ten pokój od pokoju Lily - ale Lily prawie jej nie słyszała. Była zbyt pochłonięta zastanawianiem się, co właściwie Dermot rozumiał przez „niebezpieczna”.

Niania pocałowała Lily na dobranoc i odeszła do własnej kwatery, a Lily skuliła się, dygocząc, pod pierzyną. Skostniałe stopy miała przyciśnięte do kamiennego termoforu owiniętego w kawałek czerwonej flaneli i wpatrywała się w żarzący się torf rozważając, co mogłaby zrobić, by utrzymać uwagę Dermota przez czas dłuższy niż dwie minuty. Zapadając w sen przy dźwiękach nieustannie wyjącego wiatru, przypomniała sobie, że Dermot uważa, iż jest piękna - i ponętna. Jedyną rzecz, jaka mu się w niej nie podoba, stanowi to, że jest za młoda. Postanowiła zatem, że wręcz zmusi się do tego, aby szybko wydorosnąć. W rzeczy samej, robi to natychmiast.

Następnego ranka Dermot wstał, ubrał się i zszedł na dół do stajni jeszcze przed świtem, by zajrzeć do niespokojnych koni. Przyglądał się badawczo szarym niebiosom, wypatrując przełomu w pogodzie. „Będzie mokro, panie, i ślisko, nawet jeśli powróci pogoda” - ostrzegali go. Dermot jako niecierpliwy, aktywny człowiek, zapalony do swego ulubionego sportu, szybko więc zdecydował, że mężczyźni pojedą na po lowanie, ale kobiety pozostaną na miejscu.

Rozłoszczona Lily przyglądała się, jak odjeżdżają. Pozbawiona sposobności pokazania, jak nieustraszona potrafi być na koniu, siedziała w salonie, przysłuchując się plotkom innych zaproszonych pań i z markotnym brakiem zainteresowania odpowiadając na uprzejme pytania do tyczące jej debiutu i wspólnych przyjaciół. Popołudnie spędziła w bibliotece, przeglądając książki, których chyba nie otwierano przez stulecia. Często zerkała przez okno, by zobaczyć, czy mężczyźni powracają z polowania. Ale popołudnie minęło i wciąż ich nie było. W złym nastroju powróciła do swego pokoju. Oparłszy się łokciami o kamienną krawędź okna, wpatrywała się w dal, w odległe, ołowianoszare morze, rozmyślając o Dermocie.

Usłyszała kogoś na korytarzu, więc - mając nadzieję, że to on - podbiegła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Maleńka pokojówka, mająca nie więcej niż trzynaście lat, w sukience w niebieskie paski i białym, lnianym fartuszk, także patrzyła na nią. Niosła ogromny, emaliowany dzban z gorącą wodą. Lily zapytała, dokąd go niesie.

- Jakżeż to, dla sir Dermota... śnie pani - odrzekła niespokojnie.

- Dla sir Dermota? Który to jego pokój?

- Pokój pana jest w wieży... śnie pani - wskazała na koniec korytarza.

Nie zastanawiając się, Lily wyrwała jej dzban. Powiedziała szybko:

- To dla ciebie za ciężkie. Sama go wezmę.

- Och, ale... śnie pani, tego nie możecie - wykrzyknęła dziewczynka - to moja praca. - Ale

zdecydowana Lily ruszyła już zamasyście przez korytarz, rozchlapując wokół wodę z dzbanka na bezcenne dywany. Opanowało ją uczucie ciekawości, jak też wygląda pokój Dermota i jaki klucz do osobowości swego lokatora może zawierać - nic nie mogło jej powstrzymać - musi się tego dowiedzieć.

Drzwi były dwukrotnie wyższe od niej i tak ciężkie jak z ołowiu. Nie zapukała, po prostu pchnęła

je ostrożnie i zajrzała do środka. Jej błękitne oczy zaokrągliły się ze zdumienia, gdy ujrzała stosy jedwabnych kobierców, które pokrywały podłogę, tuziny kobierców, rzuconych jeden na drugi niczym gruba i miękka kołdra z szalonego patchworku; a także wysokie okna, pyszniące się ciemnośliwkowym aksamitem oraz obszerne, rzeźbione łóżce z brokatowym baldachimem w kolorze soczystego rubinu, zakończonym złotymi frędzlami. Na łóżce ciśnięto narzutę z wilczego futra, a na potężnym stole przy jednej ze ścian stała otwarta butelka whisky.

Pokój był pusty i wydała westchnienie ulgi, że jej szpiegowski wypad ujdzie nie zauważony. Miękkie kobierce tłumiły jej kroki, gdy na czubkach palców przeszła przez pokój. Drzwi do ubieralni nagle szeroko się rozwarły. Stał w nich Dermot półnagi, ze szklanką whisky uniesioną do ust. Wpatrywała się, jak królik zahipnotyzowany przez węży, w jego nagą pierś, w lędźwie, do których mokre bryczesy jeździeckie, jakie wciąż jeszcze miał na sobie, przylegały ściśle niczym druga skóra, w masywne ramiona i potężne uda. Pomyślała, że chyba zemdleje od jego męskiego zapachu, na który składała się woń potu, wody kolońskiej i whisky.

Dermot także wpatrywał się w nią bez uśmiechu. Miał za sobą dłużej i ciężkie całodzienne polowanie, droga była zdradliwa, a przekłety wiatr smagał ich po twarzach i porywał zapach, tak że psy gończe traciły orientację. Lodowate zimno i wiatr kazały im często przystawać, aby pociągnąć po łyku z piersiówki; poza wczesnym śniadaniem, nie jadł nic, a przez cały dzień pił w równym tempie. Upił się więc, a whisky trafiając do pustego żołądka, rozpełzła się po jego żyłach jak płynny ogień.

Nic nie mówił, obserwując Lily, która mierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Zauważył, że jej błękitne oczy pociemniały i wiedział już, co dziewczyna czuje. Uśmiech czaił się w kącikach ust Dermota. Ta mała suka paliła się do niego, widział to. Wyjął dzbanek z jej niespokojnych palców i odstawił go na umywalkę. A potem wziął ją w ramiona i pocałował.

Jego usta paliły jej wargi, a pocałunek był zbyt gwałtowny, ale Lily chciała jeszcze. Mimo wszystko nie jest mu obojętna. Kocha ją. Tonęła w ramionach Dermota, zatracając się w nowo poznanej przyjemności.

Przesunął dłonie w dół jej pleców, a potem wzdłuż pośladków, przy ciskając przywrócił jej jasność myślenia. Oparła mu ręce na piersiach, odpychając go, lecz Dermot tylko ją podniósł i cisnął na łóżko.

- Nie - krzyknęła przerażona. - Och, nie... Nie miałam zamiaru tu przyjść, przyniosłam ci tylko wodę... - Ześliznęła się z łóżka na podłogę, a on siłą pchnął ją znów na kobierzec.

- Chcesz być jak ta kobieta, z którą mnie widziałas - wyszeptał. - Pewnie, że chcesz; zauważyłem, w jaki sposób patrzyłaś na nią, zazdroszcząc jej nagości, zazdroszcząc, że była ze mną... ty mała suko, napraszałaś się o to już od dawna. Teraz będziesz to miała. Och, i będziesz to uwielbiać; takie jak ty zawsze to uwielbiają. Umiem je rozpoznać na milę, zwęszyć nawet, wyczuć ich żądze...

Przytłoczona jego ciężarem, gdy zmagął się z jej suknią, wydała przeraźliwy krzyk. Zaśmiał się.

- Nie ma tu nikogo, kto by cię usłyszał - rzekł. - To moja wieża z kości słoniowej. Nikt tu nie przychodzi, nawet służba, jeśli nie zostanie wezwana. Jesteśmy tylko ty i ja, Lily, ty i ja...

Pochylił się i ugryzł ją w pierś, a ona krzyknęła ponownie, tym razem z bólu. O Boże, o Boże, co ja tu robię - pomyślała w szalonym popłochu, kiedy kolanem rozsunął jej nogi. Odrzucił fałdy spódnicy, a gdy ściągał z niej bieliznę, zaczęła płakać.

- Nie... och nie, proszę, zostaw. Jeśli mnie kochasz, zostaw - wyszeptała.

- Kochać? - Zaśmiał się znowu, zwalając się na nią. O Boże, pomyślała Lily, przypominając sobie, jak chichotała obserwując konie i psy na stajennym podwórku... O Boże, to jest o wiele, wiele

gorsze i to nie powinno się stać. To była najgorsza rzecz, jaką mogła kiedykolwiek zrobić.

Krzyczała z bólu i strachu, wciąż walcząc z nim, gdy siłą w nią wchodził. Dermot uśmiechnął się. Ta mała uprzykrzona cnotka w końcu do stała to, co miało nastąpić. Odrzucił głowę w tył, jęcząc i twarz mu wykrzywił paroksyzm spełnienia. A Lily leżała pod nim nieruchoma, jak nieżywa.

Podniósł się i poszedł znów do ubieralni. Gdy wrócił, miał na sobie jedwabny szlafrok, a jego włosy były gładko przyczesane. Nalał sobie kolejną szklanekę whisky i usiadł na krawędzi łóżka. Popatrzył z namysłem na Lily. Leżała twarzą w dół, głęboko spazmatycznie szlochając, jakby się miała udławić. Westchnął, czując wyrzuty sumienia. Gdyby nie był tak pijany, a ona tak prowokująca, nawet by jej nie dotknął. Ale i przysłała do jego pokoju akurat w niewłaściwym momencie i ofiarowała się niewłaściwemu mężczyźnie. Teraz musi pozbyć się jej stąd i upewnić się, że nikt się nigdy nie dowie. A szczególnie jej ojciec.

- Wstawaj, Lily - rzekł po chwili. Ale ona tylko odwróciła się twarzą do miękkiego, jedwabnego wschodniego kobierca i załkała.

- Wstawaj, powiedziałem.

Głos miał cichy, ale była w nim nuta pogroźki i Lily spojrzała nań z obawą. Podeszedł do niej i ująwszy ją za rękę, postawił na nogi. Zawisła na nim, więc posadził ją na krawędzi łóżka i przytknął jej szklanekę do ust, siłą wlewając dziewczynie do gardła whisky.

Zacisnęła usta, gdy tylko trunek spłynął żarem w jej wnętrzości, a on rzekł z rozdrażnieniem:

- Na miłość boską, nie choruj mi tu. Posłuchaj. Nie zejdziesz dzisiaj wieczorem na kolację. Pozostaniesz w swoim pokoju, a ja każę ci zanieść tacę z jedzeniem. Lily tylko wpatrywała się w niego. Oczy miała szeroko rozwarte w szoku. Zachowywał się tak, jakby nic złego się nie działo, jakby to wszystko było rzeczą normalną...

Zaczęła histerycznie krzyczeć, a on wymierzył jej mocny policzek. Głowa odskoczyła Lily do tyłu i na policzku zapłonęła czerwona pręga. Gapiła się na niego, milcząc w osłupieniu.

- Podejdźmy do tego uczciwie - powiedział. - Jesteś bardzo mądrą młodą kobietą. Te niewinne, błękitne oczy kryją tysiące nikomu nieznanym grzeszków, a ten będzie po prostu jeszcze jednym z nich. Wiedziałaś, po co tu przysłałaś. Polowałaś na mnie tygodniami, dopraszając się, żebym cię tknął. Nie możesz temu zaprzeczyć.

- To nieprawda - wykrzyknęła zszokowana. - Ja tylko chciałam...

- Poflirtować ze mną, Lily? Och, daj spokój, wiesz, że to nieprawda. Masz, czego chciałaś, i ja chwilowo też. Na tym wszystko się kończy. Jutro pojedziesz do domu i już nigdy więcej się nie spotkamy.

Lily tak naprawdę nie wiedziała nic o sprawach seksu, ale rozumiała dostatecznie dużo, by zdawać sobie sprawę z tego, że to co się stało, ludzie robią po ślubie - i obecnie małżeństwo było dla niej jedynym rozwiązaniem i jedynym ratunkiem.

- Ale musisz mnie poślubić - wykrzyknęła. Jego ręka wyrwała się znowu i tym razem chwycił ją za gardło. Twarz miał siną z gniewu.

- Jeśli taka była twoja gierka, moja droga Lily, to bardzo się mylisz. I jeśli myślisz, że uda ci się pojechać do domu krzycząc „gwałt”, to pozwól się powiadomić, że jeśli kiedykolwiek o tym komuś powiesz - komukolwiek - to wówczas cię zabiję, Lily Molyneux.

Wziął ją pod rękę i ciągnął, potykającą się, przez pokój. Otworzył drzwi i rozejrzał się w jedną i drugą stronę po korytarzu. Korytarz był pusty. Lily upadła nagle jak kłoda u jego stóp. Podniósł ją i powlókł do jej pokoju, i niecierpliwie rzucił na łóżko.

- Poczynię przygotowania, żebyś mogła wyjechać jutro - powiedział, patrząc na nią z brutalną obojętnością. - Możesz przekazać rodzicom moje przeprosiny i powiedzieć im, że pogoda jest nazbyt zła, żeby polować, i że dostałaś gorączki.

Wyszedł za drzwi nie rzuciwszy na nią wzrokiem, a Lily leżała na łóżku, patrząc w ślad za nim, zbyt oszołomiona, by zdobyć się choćby na płacz.

Po jakimś czasie wstała i zwlokła z siebie ubranie. Spojrzała przerażona na poplamioną krwią garderobę. Niania nie może tego zobaczyć, nie może się dowiedzieć. Nikt i nigdy nie może wiedzieć. Ona ukryje wszelkie ślady. Będzie kłamać i udawać, nawet przed samą sobą, że nic się nie stało - i wtedy, w cudowny sposób, wszystko znów wróci do normy. Na pewno. Musi. Musi.

Jej ciało pulsowało bólem i drżała z szoku. Włożyła ciepły, wełniany szlafrok i zadzwoniła po gorącą wodę. Czekala, dygocząc, zbyt odrętwiała by płakać, aż pokojówka napełni wannę stojącą naprzeciwko ognia, po czym zanurzyła się w wodzie, modląc się, by gorąca woda zmyła z niej doznanie i zapach, i wszystkie bezlitosne świadectwa obecności ciała Dermota Hathawaya, tak żeby stała się znowu czysta. Ale nawet ona, przy całej swej naiwności, wiedziała że to nie jest możliwe. Nigdy już nie będzie taka sama.

Choć dotąd nie słyszała nawet słowa gwałt, domyślała się, że spotkała ją najgorsza rzecz, jaka może spotkać kobietę. Było to coś nie do pomyślenia. Coś takiego, o czym nigdy się nie wspomina w kulturalnym towarzystwie, a nawet w kręgu rodziny.

Pomyślała z rozpaczą, że nigdy nie będzie mogła powiedzieć o tym swej matce ani ojcu. A Dermot Hathaway nie uczyni z niej uczciwej kobiety. Teraz nienawidziła go równie żarliwie, jak przedtem uwielbiała. A przy tym obawiała się Dermota. Zadrżała, przypomniawszy sobie jego groźbę, że ją zabije. Chciała się tylko stąd wydostać, pojechać do domu, do Ardnawamy, gdzie poczuje się bezpieczna.

Nie oczekiwana, przybyła do domu następnego dnia, przedzierając się przez jedną z najsroźszych burz na przestrzeni dziesięciu lat, a matka natychmiast wykrzyknęła, jak blado Lily wygląda. Przyłożyła rękę do czoła córki, i posłała ją prosto do łóżka. Zastanawiała się, czy nie posłać po lekarza, ale przerażona Lily powiedziała, że nie chce widzieć doktora i szlochając pobiegła do swego pokoju.

Matka patrzyła za nią z niepokojem, po czym posłała na górę starą nianię, by się nią zajęła. Udała się do domowej apteczki, gdzie trzymała butelki swych własnych lekarstw i pigułek, które dawała swoim dzierzawcom, gdy chorowali, przyrządziła miksturkę i sama zaniósła ją córce.

Lily siedziała w łóżku w koszuli nocnej z białej bawełny ze stójką. Oczy miała pociemniałe od cierpienia, a twarz tak białą jak jej nocna koszulka - i lady Nora westchnęła zmartwiona.

- Jeśli jutro nie poczujesz się lepiej, poślę po doktora OMalleya - rzekła stanowczo, wlewając łyżeczką lekarstwo do ust Lily jak samiczka ptaka karmiąca swe pisklęta. - Pamiętam zamek Hathaway z dawnych czasów; gdy dmie atlantycki wichur, nic nie jest w stanie zapobiec przewiewaniu tych starych murów na wylot. Absolutnie nie powinnam ci była pozwolić jechać. - Och, gdybyś tylko nie pozwoliła, mamusiu! - jęknęła Lily, a łzy znów popłynęły z jej już spuchniętych oczu.

- Kochana Lily, co z tobą jest? Powiedz mamusi, jak się czujesz. - Otoczyła ją ramionami, a Lily wtuliła się w kojące objęcia. Nie chciała już nigdy rozstawać się ze swą mamusią.

Strapiona Ciel patrzyła na to z ławeczki w wykuszu okna. Po wyjściu matki podbiegła i siadła na brzegu łóżka. Lily spojrzała na nią i nagle z oczu popłynęły jej strumienie łez. Rzuciła się po łóżku,

waląc pięściami w poduszki i wpychając w usta prześcieradło, by stłumić krzyki. Ciel patrzyła na nią wytrzeszczonymi oczami, przerażona. Łzy współczucia napłynęły jej do oczu, a usta znieruchomiały w wyrazie strapienia.

- Lily. Och, Lily. Co ci jest? Co się stało?

Lily zaprzestała tłuczenia i krzyku. Usiadła i popatrzyła na swoją ukochaną siostrzyczkę. Ciel była jedyną osobą, której zawsze wszystko mówiła. Pomijając Finna, ale to co innego. I w każdym razie na pewno nie mogłaby mu o tym powiedzieć. Ale Ciel była tak młoda i tak niewinna - zupełnie jak ona sama nie dalej niż wczoraj. Z drugiej strony jednak, jeśli komuś tego nie powie, pęknie chyba z przepelniającej ją odrazy.

Ścisnęła kurczowo ręce swej siostry i kilkoma krótkimi, szeptanymi słowami opowiedziała jej, co się wydarzyło. Niewinność Ciel zabarwiona była wiedzą życiową. Widziała kopulujące zwierzęta, choć nigdy nie odniosła tego faktu do ludzi, a ogiera pokrywającego klacz na podwórku stajennym trudno porównać z tym, co zdarzyło się Lily.

- Och, nigdy o tym nie powiem, Lily, nigdy - obiecała przerażona. - Ale ty wyzdrowiejesz, prawda? Już jest po wszystkim i jeśli żadna z nas nigdy nic nie powie, to nikt się nigdy nie dowie. A ty po prostu wrócisz do tego, co było przedtem. Wszyscy cię kochają, Lily. Absolutnie wszyscy. Ja na pewno cię kocham.

Pocałowała ją - a poczucie winy i grozy nieco ustąpiły, gdy Lily pomyślała sobie, czy Ciel nie ma racji. Może za parę tygodni to się po prostu wytrze z jej pamięci, tak jak powiadają, że wszystko zaciera się z biegiem czasu. I potem może znów będzie lubianą, młodą debutantką. Jednak tym razem już bardziej serio potraktuje tych młodych mężczyzn, którzy się za nią uganiali. Szybko wybierze jednego z nich i zrobi świetną partię, jaką wszyscy jej przepowiadają. Jej ślub stanie się wydarzeniem roku, a potem już zawsze będzie szczęśliwa. Porzuci przyjęcia, tańce i flirty, i zacznie pędzić spokojne życie u boku swego miłego, młodego męża w którymś z ich wspaniałych domów. Będą mieć dzieci, a ona stanie się przykładną matką, taką jak jej rodzona kochana mamusia.

Nawet gdy układała sobie tak przekonująco plany na przyszłość, w głębi serca wiedziała, że już nigdy nie będzie tą prostoduszną, niewinną dziewczyną co dawniej.

Miesiąc minął spokojnie. Lily wiele czasu spędzała w łóżku i z rzadka decydowała się zejść na dół. Zatroskany papcio zjawiał się, by ją zobaczyć. Udało jej się uśmiechnąć blado i powiedziała mu, iż myśli, że to szaleńcze życie towarzyskie dało się jej we znaki i że jest chora z wyczerpania.

- Musisz więc wypoczywać, kochana dziewczynko - rzekł czule, głaszcząc jej wątłą rękę i całując blady policzek. No i posłał do Londynu po książki i gry, by ją rozweselić; kazał do jej pokoju zanieść kwiaty i polecił żonie zwracać uwagę na to, żeby podsuwać Lily wszelkie przy smaki, jakie mogłyby zaostrzyć jej apetyt.

Gdy Lily wreszcie znów znalazła się na dole, snuła się niemrawo tu i tam, polegając na wielkiej kanapie przed kominkiem w bibliotece, udając że czyta, gdy tymczasem wpatrywała się strapiona w żarzące się węgle. W końcu zaniósł ją znów do stajni, a oczy Finna O'Keeffe rozblęły na jej widok. Radosny uśmiech rozlał się na jego twarzy.

- Martwiłem się o ciebie - rzekł. - Powiedziano mi, że jesteś chora, ale nikt nie wiedział na co. Czy już czujesz się lepiej?

Był jej przyjacielem. Wydawał się tak prostoduszny, tak normalny, tak dobrze znany i nie wymagający, i Lily wiedziała, że nigdy by jej nie zrobił przykrości. Pomyślała, jak bardzo skomplikowało się jej życie i po raz pierwszy w życiu zapragnęła stać się zwykłą wiejską

dziewczyną, tak żeby mogła już zawsze zostać z Finnem.

- Zróbmy sobie przejażdżkę - powiedziała, myśląc, że zdoła cofnąć wskazówki zegara i zapomnieć o tym, co się stało.

Koń pod nią wydawał się jej jak lejący aksamit, gdy siedząc na oklep galopowała wzdłuż wybrzeża. Wiatr szarpał jej włosy, słońce migotało ponad falami, a złoty piasek wyttyskiwał z cichym odgłosem spod końskich kopyt. Ostatecznie życie było przyjemne. Finn dotrzymywał jej kroku i rzucała na bok ku niemu spojrzenia, śmiejąc się wesoło. Byli młodzi i piękni, i beztroscy niczym wiatr, i szaleńczo szczęśliwi w swoim towarzystwie.

Przy krańcu długiego pasma plaży popuścili koniom cugle i spoglądali bez tchu na siebie, śmiejąc się z samej radości, jaką dawał im ostry galop i cudowny dzień, a także przebywanie ze sobą.

- Och, Lily, tak bardzo cię kocham - wykrztusił gwałtownie Finn. - Kocham cię, i zawsze będę kochał. - Spojrzał na nią zuchwale. - No. A więc powiedziałem to - rzekł z westchnieniem ulgi. Uśmiech zniknął z oczu Lily równie szybko jak słońce za chmurą. Wiedziała, że ją kocha, ale nie w ten sposób, nie tak jak mężczyźni „kochają” kobiety.

- Miałeś być moim przyjacielem - krzyknęła z gniewem. - Och, och, do diabła. Do piekielnego diabła, teraz to wszystko popsujesz! - wyruszyła w drogę powrotną wzdłuż brzegu, zostawiając go patrzącego smutno w ślad za nią.

Znalazłszy się znów na dziedzińcu stajennym, zeskoczyła szybko z konia i pobiegła, szlochając, do Wielkiego Domu. Daniel O'Keeffe spojrzał gniewnie na młodszego brata, gdy ten wjeżdżał truchtem na dziedziniec.

- Czy toś ty zeźlił lady Lily? - zapytał, zatroskany, że Finn może znowu wystawił na niebezpieczeństwo swoją pracę. - Czy ty nigdy nie nauczysz się, chłopaku, gdzie jest twoje miejsce?

- No, gdzie niby jest? Moje miejsce? - szare oczy Finna ciskały gromy gniewu na brata, ale w rzeczywistości to na siebie był zły.

- Wiesz, gdzie ono jest, to pewna. I ja też wiem. - Daniel rzekł tylko tyle. A Finn pomyślał z goryczą, że brat ma rację.

Stara niania była przy niej, odkąd Lily się urodziła. Teraz pełniła funkcję pokojówki młodej damy i nic nie uchodziło jej uwagi. Minał kolejny miesiąc, a oznaki zwykłej słabości, których wypatrywała, wciąż się nie pokazywały. Przyglądała się stropiona Lily, gdy ta wychodziła z kąpieli, po czym ogarnęła przenikliwym spojrzeniem jej szczupłe ciało, zawijając ją w ogromny, puszysty biały ręcznik.

- Myślę, że trzeba się w końcu spotkać z doktorem, lady Lily - powiedziała, nacierając żwawo jej plecy. - Coś z tobą chyba jest nie tak i lepiej będzie dowiedzieć się, co to takiego.

- Nie! - Lily wyrwała jej ręcznik. Pobiegła do swej ubieralni i za trzasnęła drzwi, a starszka patrzyła smutno za nią, potrząsając głową. Przerażona twarz Lily tylko potwierdziła jej najgorsze obawy. Nie pozostawało nic innego, jak powiadomić jej matkę.

Lady Nora była w swoim buduarze, pracując nad gobelinem. Czasami myślała, że raduje się tymi spokojnymi tygodniami, spędzanymi tylko z rodziną, bardziej niż wielkim kołowrotem towarzyskim, jaki zabierał jej resztę roku. Ardnava leżała na uboczu i życie w tym miejscu wydawało się tak łatwe do przewidzenia i niezmacone, że niewiele mogło zakłócić jej spokój.

Zdziwiła się, gdy niania zapukała do drzwi i powiedziała jej, żeby lepiej porozmawiała ze swą córką, „gdyż coś jest nie tak jak powinno być, jaśnie pani” - rzekła. Lady Nora spytała, co ma przez to rozumieć, a kiedy niania odrzekła jej, pobladła wstrząśnięta.

- Musi być chora - wykrztusiła, z trudem łapiąc powietrze, ponieważ wszystko inne nie mieściło się w głowie. I, przybita zmartwieniem, sprowadziła doktora OMalleya.

Lily leżała na łóżku jak przerażone jagnię przeznaczone na rzeź, podczas gdy doktor OMalley dokonał krótkich oględzin. Zadał kilka pytań, ale ona odwróciła głowę, nie chcąc odpowiadać, i to niania udzielała mu wyjaśnień. Podejrzewał, co mogło się stać, ale pacjentka nie zamierzała nic mu powiedzieć, tak że dopiero wykonanie różnych testów pozwoliło mu potwierdzić ich najgorsze obawy.

Lady Nora siedziała sama w buduarze, rozmyślając w chaotycznym oszołomieniu o swej córce i zastanawiając się, jak ta przerażająca rzecz mogła się w ogóle wydarzyć. Czyż nie była dobrą matką? Czy nie kochała swej córki? Nie martwiła się o nią? Czy niedostatecznie ją chroniła? Była pewna, że córka znajdowała się pod opieką przyzwoitki w każdym z miejsc, w których przebywała - i pilnowała, by stykała się tylko z odpowiednimi ludźmi. Nie przychodził jej do głowy nikt, absolutnie nikt, kto by mógł wykorzystać jej piękną, młodą córkę w tak bestialski sposób.

Dreszcz zgrozy poraził jej serce na myśl, co powie jej mąż, kiedy się o tym dowie. Przycisnęła rękę do piersi w miejscu, gdzie czuła ból, krzywiąc się, kiedy się nasilił. Z pobielającą twarzą przywołała dzwonkiem pokojówkę, by przyniosła jej szklankę wody, a potem złożyła głowę na ślicznym stoliku do robótek kobiecych i zapłakała.

Młoda pokojówka, trzymając na tacy dzbanek wody, stanęła w drzwiach z ustami otwartymi w szoku. Trzęsła się na progu, niepewna czy ma wejść, czy też wyjść.

- Wasza lordowska mość - odezwała się grzecznie - pani się pewno nie czuje dobrze, psze pani? Czy mam znów wołać doktora?

Lady Nora podniosła się szybko. Osuszyła oczy maleńką lnianą chusteczką oblamowaną koronką i wyprostowała plecy. Damom nie wypadało okazywać swych uczuć wobec służby i pomyślała ze znużeniem, że za kilka minut usłyszy o tym już cała kuchnia. Ręka jej drżała, gdy nalewała szklankę wody, a potem piła.

- To był silny ból w piersiach - powiedziała zatroskanej dziewczynie. - Już zaraz poczuję się dobrze; dziękuję ci, Mollie.

Po kilku minutach ruszyła korytarzem do pokoju Lily. Jej córka siedziała przy oknie, wpatrując się w zlewane deszczem ogrody na zewnątrz. Nie odwróciła głowy, by spojrzeć, choć wiedziała, że jest tu jej matka. - Lily, kochanie - rzekła łagodnie lady Nora. - Wiesz, co powiedział doktor? - Lily zwiesiła głowę i nic nie odrzekła. - Czy czujesz się lepiej? - zapytała, ale Lily nadal nie odpowiadała. Lady Nora westchnęła. Smutek ogarnął jej serce, gdy patrzyła na swoją ukochaną dziewczynkę.

- Musisz mi powiedzieć, co się stało, Lily - rzekła. - Obiecuję, że nie będę gniewać się na ciebie. Ale muszę wiedzieć, kim jest ten chłopiec, po to, żeby twój ojciec mógł rozwiązać sytuację.

- Papcio? - zszokowane oczy Lily napotkały jej wzrok. - Chodzi ci o to, że powiesz papciowi? - Dwie jaskrawe plamy czerwieni wystąpiły na jej blade policzki, gdy zdała sobie sprawę, że ojciec się dowie. - Jak możesz tak mówić, mamusiu? - wykrzyknęła zrozpaczona. - Jak możesz mu to powiedzieć?

Jej matka potrząsnęła głową.

- Prawda jest w Bogu, Lily - odrzekła powoli. - Nie wiem, jak zdołam mu to powiedzieć. Wiem tylko, że muszę i po to, by ci pomóc, muszę znać prawdę.

- I co wtedy stanie się ze mną?

- No, jak to; wtedy będziesz musiała poślubić tego chłopca, Lily. Cichy ślub, długa podróż za granicę... przedwcześnie narodzone dziecko. Jakoś spróbujemy zachować wszystko w tajemnicy.

Twarz Lily zbladła by jeszcze bardziej, gdyby to było możliwe. Po czuła się niedobrze na myśl o Dermocie Hathawayu. Ojciec doprowadzi do tego, by go poślubiła, ale Dermot powiedział, że wcześniej ją zabije. I zresztą wolałaby raczej umrzeć, niż poślubić tę bestię.

Patrzyła w milczeniu przez okno, a lady Lily westchnęła.

- Błagam cię, dziecko - powiedziała miękko. - Powiedz swej mamusi, a obiecuję zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby ci pomóc. Wiesz, jak bardzo cię kocham.

Lily potrząsnęła głową, patrząc na nieustępliwy niczym jej nocne łzy deszcz.

- Nie mogę, mamusiu - rzekła zrezygnowana. I nic więcej nie chciała powiedzieć.

Lord Molyneux siedział w bibliotece, paląc cygaro i czytając swoją gazetę. Lady Nora zagłębiła się ze znużeniem w fotelu naprzeciwko niego, a on spojrzał na żonę zdziwiony.

- Wyglądasz na zmęczoną, moja droga - powiedział z błyskiem za niepokojenia. - Myślałem, że przebywanie w Ardnawie będzie dla ciebie prawdziwym wypoczynkiem, ale przypuszczam, że w związku z chorobą Lily jest to tylko zmartwienie.

Ból znowu szarpnął jej sercem, ale nie zwróciła na to uwagi. Nie mogła uniknąć tego, co musiała powiedzieć mężowi - i nie uchyliła się od tej powinności. Była spokojna, opanowana i mówiła zwięźle.

Nic nie powiedział. Jego oczy, błękitne jak oczy Lily, wpatrywały się w żonę, jak gdyby postradała rozum. Augusts Molyneux był potężnym mężczyzną, ale gdy zerwał się na równe nogi w ogromnej furii, wydawało się, że jest olbrzymem. Lady Nora przyłożyła rękę do piersi, pragnąc umrzeć, zanim jej ukochany mąż powali ją na ziemię za to, że złamała mu serce i powiedziała o zbłąkanej córce.

Jego twarz zrobiła się fioletowa, potem szara, po czym zdawało się, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa i znów zapadł się w swój fotel.

- Droga Noro - powiedział. - To musi być jakaś pomyłka. To nie jest prawdą, to niemożliwe. - Jego oczy napotkały z błaganiem wzrok żony i pomyślała, że się rozplacze. - Nie Lily - szepnął.

- To prawda, Auguście - powiedziała - choć pragnęłabym z całego serca, aby tak nie było.

Podniósł się znowu i poszedł do okna, za którym zmierzchało, spoglądając przez nie, tak jak Lily, na rozmokły pejzaż, podczas gdy żona po śpiesznie powiedziała mu o rozwiązaniu, o jakim mówiła już córce: szybki ślub, długa podróż za granicę, przedwczesne narodziny...

- Będziesz musiał porozmawiać z rodzicami. Wszystko można urządzić, Auguście. Niechby tylko Lily powiedziała mi, kto to jest. Nie odwracając głowy, rzekł:

- Przyślij mi tu Lily.

Lady Nora podniosła się i podeszła do drzwi. Spojrzała nań stropiona.

- Musisz być dla niej łagodny, Auguście - powiedziała. - Pamiętaj o stanie dziewczyny.

- Wielki Boże, Noro - ryknął w śmiertelnej udręce. - Jak mogę w ogóle o tym zapomnieć?

Gdy matka powiedziała jej, że ma zejść na dół, by porozmawiać z ojcem w bibliotece, Lily pobiegła na poszukiwanie Ciel. Znalazła siostrę w dzieciennym pokoju wyciągniętą przed płonącym kominkiem. Ciel czy tała, a wokół niej leżały psy.

- Jak możesz tak tu sobie wygodnie leżeć? - zapytała, bliska łez - podczas gdy mnie wzywają, bym zobaczyła się z papciem, a ja wiem, że on mnie zabije.

Wielkie szare oczy Ciel wypełniło współczucie, gdy podbiegła do swej siostry.

- Och, Lily, Lily. Co mu powiesz? - Nic! - Oczy Lily błysnęły pogardą, gdy pomyślała o Dermocie. - Wcale nie powiem i nikt mnie nigdy nie zmusi. Wpierw się sama zabiję.

- Nie. Nie. Och, Lily, proszę, nie. Ja cię kocham. Ja ci pomogę. I może papa porzuci gniew, gdy już przywyknie do tej myśli.

- Och, Ciel - powiedziała Lily z desperackim półuśmiechem, widząc naiwność swojej siostrzyczki. - Ty zawsze byłaś niemądrą optymistką.

Umyła twarz, rozczesała czarne pukle i związała je z tyłu różową wstążką. Włożyła starą różową sukienkę i przetarła czubki zabloconych bucików ocierając je o swe wełniane pończochy. Potem, nie mogąc już dłużej odwlekać tej chwili, zeszła powoli na dół stawić czoło ojcu i przeznaczeniu.

Ciel zbiegła na dół po schodach, jak zawsze deptając jej po piętach, ale nawet ona nie ośmieliła się tym razem wejść do biblioteki, gdy Lily zapukała, a papcio zawołał „Proszę”. Podkradłszy się bliżej, przyłożyła ucho do drzwi, żeby słuchać.

Lord Molyneux stał przy oknie, patrząc na zewnątrz i nie odwrócił się, by spojrzeć na Lily. Nie mógł dopuścić do tego, aby ujrziała jego cierpienie. Odezwał się:

- Co masz mi do powiedzenia, Lily?

Jego głos był pełen rezerwy, bezosobowy, jak gdyby zwalniał z pracy służącą i jeśli Lily miała jakąś iskierkę nadziei, teraz przepadła jak kamień na dnie stawu.

- Bardzo mi przykro, najdroższy papciu - wyszeptała, zwieszając głowę. Zablocone brązowe butki wystawały jej spod przykrótkiej bawełnianej sukienki i z przygnębieniem pomyślała, że trzeba było je zmienić.

- Przykro? I to ma wystarczyć? Czy to, że ci przykro, zwalnia cię od twych obowiązków względem rodziny? Twego nazwiska? Twej po zycji w życiu? Czy to, że ci przykro usunie naszą hańbę?

Odwrócił się gwałtownie i stanął z rękami zaciśniętymi za plecami, wpatrując się w nią, jakby z trudem mógł uwierzyć, że to ona jest właśnie jego ukochaną córką.

- Dałem ci wszystko, Lily - powiedział, a ona widziała, jak gniew wzbiera w nim niczym para w gotującym czajniku. - Wszystko, czego kiedykolwiek zapagnęłaś. A ty tak mnie zawiodłaś.

- Och nie, papciu, nie zawiodłam cię... to było... to było... - Nie mogła w ogóle myśleć - i zwiesiła głowę, znowu milcząc.

- To było co? - zapytał. - Kim ty jesteś, Lily? Wieśniaczką, która nie ma rozumu w głowie? Baa! Nawet wiejskie kobiety mają zasady moralne. - Przemierzał podłogę, hamując furię, która wciąż w nim wrzała. Splótł mocno ręce, a ona zastanawiała się, przerażona, czy chce ją uderzyć.

- Twoja droga matka pomyślała o wyjściu z tej sytuacji - powiedział w końcu. - Powiesz mi nazwisko tego łajdaka i, choć dla mnie przyznać się, że moja córka nielepszą jest od flądry ulicznej oznacza upokorzenie, porozmawiam z ojcem chłopca. Zamierzam dopilnować, by poślubił cię niezwłocznie. Czy to jest jasne, Lily?

Wpatrywała się w milczeniu w swoje buty, on zaś rzekł gniewnie:

- Wydaje się, że jest tylko jedno „ale” w tym planie. Twoja matka powiada mi, że nie chciałaś wyznać jej nazwiska chłopaka. Ale wyznasz je mnie, Lily, i wyjdiesz za mąż w przeciągu tygodnia. Czy to jasne?

Lily w dalszym ciągu wpatrywała się w swe buty, nic nie mówiąc. Powiedziała sobie, że nigdy nie zmuszą jej do poślubienia Dermota, przenigdy. Była zupełnie poważna mówiąc, że prędzej się zabije. Nienawidziła Dermota. On był bestią. Z dreszczem strachu wspomniła, jak bardzo się go

bała.

Ojciec powiedział ostrzegawczo:

- Lily, daję ci dokładnie minutę, byś powiedziała mi jego nazwisko. Jeśli tego nie zrobisz, spakujesz swoje rzeczy i natychmiast opuścisz ten dom.

Poderwała do góry głowę i gapiała się nań przerażona. Odpowiedział jej nieugiętym wzrokiem, a potem wyjął złoty kopertowy zegarek z kieszeni kamizelki. Otworzył go z trzaskiem i zaczął odliczać sekundy.

Lily desperacko szukała dla siebie jakiegoś sposobu ratunku. Może powinna po prostu skłamać, może powinna podać mu nazwisko któregoś z setki chłopców, którzy tak bardzo pragnęli ją poślubić zaledwie kilka tygodni temu? Ale to nie załatwi sprawy - i wiedziała o tym. Papcio porozmawia z rodziną chłopca, a oni będą nią gardzić jako kłamczuchą i flądą, tak jak gardzi nią własna rodzina. Nie. Musi istnieć inny sposób, musi znaleźć się ktoś stojący na tyle niżej od nich w hierarchii społecznej, że jej ojcu nawet nie przyśni się zmusić ją do małżeństwa. Nazwisko przyszło jej do głowy niczym promyk nadziei z niebios.

- To był Finn O'Keeffe - powiedziała.

Za drzwiami biblioteki Ciel przycisnęła rękę do ust, by powstrzymać krzyk, którego omal nie wydała. Nadal z uchem przy drzwiach, usłyszała, jak ojciec mówi powoli, ze strasznym, głuchym gniewem w głosie.

- Powiedziałaś, że kto to był, Lily?

- Finn. Finn O'Keeffe, stajenny. - Wielki Boże. - Ryk gniewu ojca dał się chyba słyszeć aż w stajniach, a Ciel odskoczyła przerażona od drzwi. - Ja go zabiję - wykrzyknął ojciec. - Zabiję podłego sukinsyna...

Ciel nie czekała, aż usłyszy więcej. Tak szybko, jak tylko mogła, przebiegła przez korytarz, przez zielone, rypsowe drzwi, przez pomieszczenie kredensowe, wydostała się tylnymi drzwiami i na skrót pobięła do stajni. Deszcz bił w nią, a psy rozbryzgiwały koło niej błoto, ale ona tego nawet nie zauważyła. Musiała dotrzeć do Finna, zanim zrobi to jej ojciec.

Z powodu deszczu w stajni panował spokój i tylko jeden młody chłopak był na służbie. Ciel wskoczyła na swego konika i popędziła, na oklep, przez brukowany dziedziniec, pod łukiem bramy i dalej dróżką, która wiodła do chaty O'Keeffeów.

Drzwi otworzył Daniel. Zdziwiony spojrzał na nią. Rude loki miała przyklepione do czaszki, oczy ze zgrozy wyszły jej z orbit, a twarz była popielata.

- Ciel? - wykrzyknął. - Czy w Wielkim Domu stało się nieszczęście?

Ciel potrząsnęła głową; zaczęła płakać.

- Och, nie. Nie. To Lily. Będzie miała dziecko i powiedziała papciowi, że to Finn, a teraz on tu jedzie, żeby go zabić. Musisz uciekać, Finn - zawołała. - Papcio mówi serio. Szedł właśnie po pistolet. Musisz uciekać natychmiast.

Daniel rzucił się na młodszego brata, siny z gniewu.

- Czy to prawda? - zawył, chwytając brata za gardło. - Że niby masz być ojcem dziecka panny Lily?

Finnowi wydało się, że sztylet bólu przeszywa jego serce, pozostawiając ranę, która nigdy się nie zagoi. Jego kochana, piękna, doskonała Lily, zdradziła go. Skłamała i narobiła sobie kłopotu z jednym ze swoich gachów, a teraz on ma za to zginąć.

- To wcale nieprawda! - wykrzyknął, odpychając brata i łapiąc Ciel, gotów ją zabić za to, co

powiedziała. W rzeczywistości jednak chciał zabić Lily. Chciał zadusić ją gołymi rękoma.

- Gdyby to była prawda - powiedział, puszczać Ciel - z ochotą poniósłbym karę. Ale to nieprawda, bracie. To dziecko nic a nic nie jest moje!

- Och, Finn, Finn, proszę, jedź szybko - nagliła Ciel. - Papcio na pewno będzie tu lada chwila.

- Jak Lily mogła mi to zrobić? - wykrzyknął.

- Nie wiem - powiedziała bezradnie. - Wiem tylko, że musisz pędzić.

- Boże, ratuj nas - zawył Daniel w szaleństwie. - Dziecko ma rację. Musimy przez to uciekać. Musimy rzucić ocean między nas a gniew jego lordowskiej mości, bo na pewno nigdy nie przestanie cię szukać. - Złapawszy go za kurtkę, wypchnął brata na zewnątrz. - Powiedz naszemu ojcu, żeśmy odeszli - tylko tyle rzekł Ciel, gdy obydwaj rzucili się do ucieczki. Przeskoczyli nad żywopłotem i pobiegli na przełaj przez pola do lasu.

Ciel patrzyła, dopóki nie zniknęli jej z oczu, a potem wskoczyła z powrotem na konika. Obierając drogę przez pola, tak by nie spotkać ojca jadącego tu, żeby zabić Finna, popędziła z powrotem do Wielkiego Domu.

21.

Lord Molyneux nie znalazł Finna, ale wszyscy na kilka kilometrów wokół wiedzieli, że jeździł i szukał go ze swoją dubeltówką. Wiedzieli, że robi to, aby go zabić i wiedzieli dlaczego. Wieść rozniosła się dokoła jak nieokiełznany pożar i każdy, poczynając od służby poprzez chłopaków stajennych, do rolników i rybaków oraz ich żon wiedział, że Lily Molyneux twierdzi, iż Finn OKeefe jest ojcem dziecka, które ona nosi. I nikt z nich w to nie uwierzył.

- Finn OKeefe uwielbiał tę dziewczynę - mówiono. - Zabiłby każdego, kto by ją tknął. Ale Finn, przy całym samochwalstwie, znał swe miejsce. Nigdy, przenigdy nie byłby aż tak szalony, by wykorzystać córkę jego lordowskiej mości, żeby nie wiem jak wariował za nią.

Szemrali gniewnie na jej temat w knajpie, gdy Paddy OKeefe, który został wyrzucony z chaty, gdzie się urodził i spędził cały swój żywot, topił smutek w whisky. Na tę whisky nie było go stać, ponieważ nie miał już pracy ani dwóch wspaniałych synów, by się nim opiekowali na stare lata.

Nikt się nie zdziwił, gdy w kilka dni później Paddy OKeefe wstał i powędrował, by zaszyć się w miejscu, gdzie nikt go nie zna i nikt nie słyszał, że miał on syna imieniem Finn. Dopiero po paru miesiącach okazało się, że jego ciało znaleziono przy skraju gościńca w Westport, wiele kilometrów stąd.

Lily nie wierzyła własnym uszom, gdy ojciec obwieścił jej obcym i zimnym jak lód głosem, że ma opuścić dom i nigdy nie wracać. - Pojedziesz do swej ciotki Mallow w Cork City - powiedział jej, zwrócony do niej plecami, patrząc przez okno, tak że nie musiał spoglądać na piękną twarz córki.

- Zostaniesz umieszczona na pierwszym statku płynącym do Bo stonu, a z Bostonu pojedziesz do dalekiej krewnej, pewnej naszej kuzynki zamieszkałej w Nowej Anglii. Właśnie w tej chwili pakuje się twoje bagaże. Weźmiesz tyle, ile da się zmieścić w dwóch kufrach, oraz pięćdziesiąt funtów. Twoja kuzynka będzie się tobą opiekować aż do rozwiązania. - Zająknął się przy tym słowie, po czym zamilkł do chwili, póki nie odzyskał panowania nad sobą. - A potem pójdziesz przez życie własną drogą. Ale jedno jest pewne, Lily. Jedno jest całkiem pewne - powtórzył bezlitośnie. - Nigdy nie powrócisz do Ardnavamy.

Lily wciąż jeszcze nie wierzyła, gdy ujrzała swoje dwa pośpiesznie spakowane kufry, czekające w holu; nie wierzyła, gdy jej matka i siostra rzuciły się z płaczem do stóp ojca, błagając go, by ustąpił, a on nie chciał. Nie wierzyła, gdy wszystkie zasłony zostały zaciągnięte, a lustra pokryte

czarną krepą, jak w domu żałoby. Nie wierzyła w smutek i przerażenie na twarzy matki, ani w błagalne krzyki Ciel, gdy ojciec siłą odciągał matkę i gdy zamykał jąna klucz, by nie widziała, jak wyjeżdża jej córka.

Lord Molyneux zamknął się w bibliotece, trzęsącą się ręką nalewając sobie whisky, podczas gdy koła toczyły się po żwirze, unosząc jego ukochaną córkę, dziecko z marzeń, daleko od niego na zawsze. Potem złożył głowę w rękach i załkał.

Służbie zabroniono przyglądać się wyjazdowi Lily, zgromadzili się więc wszyscy w kuchni. Lamentujące kobiety narzuciły sobie fartuchy na głowę, a mężczyźni stali z ponurymi minami i milczeli.

William był poza domem, w szkole i tylko Ciel widziała odjazd Lily. Wymknęła się przez okno swej sypialni i spuściła się po drzewie na dół. Biegła jak oszalała podjazdem w ślad za powozem, wykrzykując imię siostry, błagając woźnicę, by się zatrzymał. Rzucił spojrzenie do tyłu, zauważył ją, po czym zaciął batem konie, żałobnie przystrojone czarnymi piórami, ponagłając je do szybszego biegu.

- Lily - wrzasnęła Ciel ze złamanym sercem. - Och, Lily. Wróć. Proszę, wróć. - Ale Lily jej nie słyszała.

Wszyscy na kilka kilometrów wokół wiedzieli, co się dzieje i ustawili się wzdłuż drogi, patrząc na wiarołomną Lily. Znali ją i kochali przez całe swe życie, lecz teraz w ich zawziętych, pozbawionych wyrazu twarzach i w kamiennym wzroku była pogarda dla niej.

- Wszystko skończy się dobrze - mówiła do siebie z drżeniem Lily. - Papcio lada chwila przyjedzie tu za mną. Róże na jej ekstrawaganckim słomkowym kapelusiku podskoczyły, gdy hardym gestem uniosła wysoko podbródek, spoglądając na wszystkich, żeby sobie nie myśleli, że się boi. - Papcio nigdy by mnie nie odesłał... nigdy... on mnie tylko straszy, póki się nie opamiętam, albo on się nie opamięta...

Ale powóz dotarł już do zakrętu drogi, a jej ojciec wciąż nie nadjeżdżał. Nawet z tej odległości mogła słyszeć wyjące psy i desperacko spojrzała do tyłu, wypatrując ojca. Ale Ardnavama stała milcząca i po zamykana. A jej ukochany papcio nie przybył konno na ratunek swojej „kochanej dziewczynce”.

Odrzucając w tył głowę, Lily zawyła także wielkim lamentem bólu jak przerażone psy. Teraz wiedziała już bowiem, że to prawda. Została wyrzucona z raj. Już nigdy nie wróci do domu, do Ardnavamy.

Maudie

Popatrzyłam na moich dwoje młodych słuchaczy i ujrzałam łzy w oczach Shannon. Wiedziałam, o czym myśli.

- Masz rację, czując dla niej litość - powiedziałam. - Została zgwałcona przez mężczyznę bez skrupułów, seksualnego awanturnika, który powinien wiedzieć, że ona jest inna od dobrze mu znanych, doświadczonych kobiet. Była po prostu niemądrym dzieciakiem, który nie wiedział co robi. Przez to całe jej życie uległo zmianie i nie zostało ani śladu po radosnej, młodej dziewczynie.

Westchnęłam z żalu nad nią, odepchnęłam psy i wstałam, wygladzając pognieciony szyfon swej spódnicy.

- Pora spać, moi drodzy - zawołałam. - A jutro po kolacji opowiem wam, co wydarzyło się potem.

22.

Maudie

Arđnavama Następnego wieczora włożyłam szafirową suknię od Diora o kokieteryjnej długości do kolan, ze śmiałym dekoltem i z trzepoczącymi piórami marabuta, które, przerzucone nad ramionami, maskowały moją chudą pierś. Włożyłam ogromne szafiry mamusi, chybotzące się u mych uszu i byłam zaskoczona, gdy Eddie zapewnił mnie, że gdybym miała je sprzedać, mogłabym przeżyć resztę życia w wielkim stylu, korzystając z tego, co bym za nie dostała. Shannon zaś powiedziała mi, ile prawdziwego szyku mam w sobie i jak wciąż ładne są moje nogi i że moje perfumy wydają się jej przedziwnie znajome.

- To „LHeure Bleu” Guerlaina, najdroższe dziecko - powiedziałam, gdy mnie zapytała. Ostatni krzyk mody, kiedy byłam smarkulą. No i „Jicky” i „Shalimar”. Ale „LHeure Bleu” - co za nieprzyzwoita nazwa - zawsze pozostawały moimi ulubionymi perfumami. Może dlatego, że korzystałam z tego, co ta nazwa znaczyła, o wiele częściej, niżby należało.

Eddie się roześmiał.

- Proszę powiedzieć nam, co ona znaczyła, Maudie - zachęcił mnie.

- No cóż, oczywiście nazwę tę wymyślili grzeszni Francuzi. Miała ona oznaczać błękitny zmrok, porę, gdy mężczyźni zabawiali się u swych kochanek po wyjściu z pracy, a przed powrotem do czekających w domu żon. Nie sądzę, by Francuzi byli jedynymi, którzy o tym myśleli, lecz na pewno tylko oni nadali taką nazwę perfumom.

- Czuję się przy pani tak niepozorna, Maudie - poskarżyła się Shannon - w mojej czarnej sukieneczynie.

- I w diamentowym naszyjniku Lily - rzekłam.

- Tata powiedział, że jest to „w pewnym sensie pamiątka rodzinna” - przytoczyła wiernie jego słowa. - I że powinnam ją zachować.

- Oczywiście, że powinnaś, droga dziewczynko - powiedziałam. - To trop o podstawowym znaczeniu. - Staralam się wyglądać tajemniczo i Edward uśmiechnął się do mnie, nalewając do kieliszków szampana.

- Wiem, wiem - zaśmiał się. - Ale będziemy musieli poczekać, by dowiedzieć się, dlaczego tak jest.

- Och, mój drogi, obawiam się, że znacie już moje numery, jak po wiadacie wy, mili Amerykanie. - Pociągnęłam łyżeczek szampana z lekkim westchnieniem zadowolenia. - Drogi chłopcze, czy zechciałbyś nalać kieliszek dla Brygidy? Ona uwielbia ten trunek i potrafi odróżnić dobre gatunki od byle jakich. Mnóstwo razy piłyśmy razem kieliszek szampana po przyjęciu. Nie wiem doprawdy, jak ci dziękować, drogi Edwardzie, za taką frajdę. A przy tym musiałeś jechać po niego szmat drogi aż do Galway.

- To dla mnie przyjemność, proszę pani. Zwróciłam się ku Shannon.

- Nie o to chodzi, żebym trzymała was na rozżarzonych węglach - powiedziałam jej. - Musicie po prostu poznać całą historię, wszystkie jej ukryte warstwy, aby nabrała sensu. Choć sama nie jestem pewna, droga dziewczynko, w jaki sposób pomoże ci to odkryć, kto zabił twojego ojca, lecz jestem przekonana, że prawda zawsze ukrywa się pod wieloma różnymi zasłonami. Musisz podnosić jedną zasłonę za drugą, za nim poznasz sedno sprawy. Tak więc po kolacji dalej będziemy mówić o Lily i o przeszłości.

Brygida, okrągła i schludna jak spod igły, w swej najlepszej czarnej sukience, z białymi skarpetkami do kostek i w bucikach na obcasach dobrych do dreptania, spłonęła rumieńcem, gdy Edward wzniósł toast na jej cześć.

- Zdrowie Brygidy, najlepszej kucharki po tej stronie Atlantyku. Brygidy, która króluje w kuchni i bez której Ardnava nie byłaby tym, czym jest.

- O to, to - zgodziłam się. - Zdrowie mej kochanej Brygidy, bez której nigdy nie byłabym tą głupią starą kobietą, jaką jestem.

- Za to mogę wypić - rzekła figlarnie, wychylając swego szampana jednym długim haustem.

- Naucz się lepszych manier, kobieto, dobrze? - zbeształam ją. - Masz sączyć złocisty nektar i nie śpieszyć się przy tym.

- Nie wtedy, gdy mam włożyć homary do rondla - parsknęła, kierując się w stronę kuchni.

- Uważaj, żebyś nie przewróciła się teraz na tych głupich wysokich obcasach. Jesteś na nie za stara - wrzasnęłam za nią, nie zważając na fakt, że ja sama mam na nogach swoje srebrne szpilki. - Biedna droga staruszka nigdy nie miała mocnej głowy - dodałam - lecz śmiem twierdzić, że homary nie będą przez to gorsze - dodałam. - Dorzuć jeszcze jedno polano do ognia, Edwardzie, mój chłopcze; a ty, Shannon, nastaw płytę na gramofon. Ja tylko przygotuję pieskom ich kolację i już będziemy gotowi, by zasiąść do naszego łososa, wędzonego domowym sposobem, a potem do homarów...

- Lily zaś na deser - dokończył za mnie Edward, a ja się roześmiałam. Shannon przeglądała całą stertę zakurzonych płyt dawnego typu, na 78 obrotów. Jedną z nich położyła na staroświeckim gramofonie i przez oświetlony lampą pokój popłynęły nuty koncertu skrzypcowego Brahmsa. Nagle wydała mi się smutna i opuszczona, a Eddie podszedł i stanął przy niej. Ujął jej dłoń i uściśnął współczująco.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O tym, jak bardzo mój ojciec cieszyłby się, gdyby spotkał was oboje - rzekła. - jak bardzo byłabym szczęśliwa, gdyby mógł widzieć Ardnawamę. - Och, ale twój ojciec naprawdę poznał Ardnawamę - wyrzuciłam z siebie. - Miałam ci opowiedzieć wszystko w swoim czasie, ale pomyślałam sobie, że może cię pocieszy świadomość, że on tu był i że poznał to stare gniazdo. Na

całą historię musisz jednak jeszcze poczekać, aż przyjdzie właściwy moment.

Oszołomiona Shannon opadła na fotel obok dalmatyńczyka, który z pomrukiem niezadowolenia przesunął się, robiąc dla niej miejsce.

Popatrzyłam z niepokojem na jej bladą, ładną twarz. Może zachowałam się jak stara wariatka, mówiąc to, ale biedna dziewczyna była tak smutna, że po prostu chciałam, by wiedziała, że jej ojciec przyjechał kiedyś tutaj. Powiedziałam jej szybko, że spotkałam go osobiście, tylko ten jeden raz, i że wydał mi się wspaniałym człowiekiem. Miał w sobie prawość i siłę. I dlatego właśnie uwierzyłam jej bez zastrzeżeń, gdy opowiedziała mi tę historię.

- Człowiek tego pokroju radzi sobie w życiu niezależnie od tego, co ono przynosi - powiedziałam z przekonaniem. - Myślę, że wszyscy z nas, jak tu siedzimy, jesteśmy zgodni co do tego, że twój ojciec nie zabił się sam. I myślę, że wszyscy - tu objęłam spojrzeniem Edwarda - jesteśmy zgodni w tym, że trzeba dowiedzieć się, kto to zrobił.

Po kolacji udaliśmy się, jak zwykle, do salonu. Edward pogrzebał w ogniu, który buchnął wesołym płomieniem, a ja usadowiłam się na mojej ulubionej kanapie. Jeden z psów ułożył się wygodnie obok mnie, ja zaś oparłam nogi na obitym tkaniną stołeczku i rozpoczęłam następny epizod swego opowiadania.

- Ciotka Mallow z Cork City była energiczną, nie mającą złudzeń kobietą - powiedziałam. - Ubogą krewną, zapraszaną od czasu do czasu do Wielkiego Domu, przy okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy; osobą sadzaną na szarym końcu, zajęta robieniem na drutach i dyskretnie trzymającą się nieco na zewnątrz rodzinnego kręgu. Znała swoje miejsce i wiedziała, czego się od niej oczekuje. Jeśli domyślała się, dlaczego przyślano do niej Lily z poleceniem umieszczenia jej na S/S „Hibernia”, statku wyruszającym w rejs do Bostonu jeszcze tego wieczoru, była za mądra, żeby głośno o to zapytać. Albo żeby pozwolić sobie na scenę litości, kiedy zegnała się, składając pośpiesznie całusa na policzku, a potem patrzyła, jak to dziecko wchodzi wolno po trapie na pokład parostatku.

Lily miała bladą twarz, gdy podchodziła ku relingowi, wypatrując ciotki w tłoczącym się dumie na dole. Kobieta zniknęła jej już z oczu, wracając czym prędzej do swoich drobnych przyjemności i do pokoiów, które zajmowała w szacownym pensjonacie, opłacanym za nią z dobroci serca przez jej drogiego kuzyna, lorda Molyneux.

Stary sześciomasztowy, okuty żelazem parowiec wiózł z Cork ładunek najlepszego tutejszego masła, bekonu oraz irlandzkiej whisky, a po nadto ładownię pełną obdartych imigrantów. Gdy sfatygowany statek wydostał się z Cobh i ospale przesunął się po niespokojnych zielonych falach osławionego Kanału św. Jerzego, Lily leżała na wąskiej koi, przy ciśnięta do pokostowanych belek, w dusznej, małej kabinie z jedynym iluminatorem w mosiężnym obramowaniu. Następnego dnia uderzył w nich z całą swą siłą atlantycki sztorm. Lily czuła się zbyt chora, by pomyśleć nawet, co się z nią dzieje, lecz po paru dniach przywykła już do tego rytmicznego podrzucania, tak że usiadła na swej małej koi i obrzuciła spojrzeniem otoczenie.

Ogromne szarozielone fale przesunęły się za iluminatorem, lecz ona nie czuła lęku. Włożyła swój stary rybacki sweter i bryczesy, długie włosy wepchnęła pod aksamitną czapkę i odważnie wyszła na pokład. W pobliżu dziobu statku było trochę miejsca, gdzie mogła się schować przed ludzkimi oczyma i wśród najsroźszych porywów sztormu spędzała tam samotnie całe godziny, obserwując prześlizgujące się obok zielone fale, słuchając krzyku mew, a także stukania i pobrzękiwania takielunku na wietrze - i starając się nie myśleć o swej przyszłości, ani o przeszłości. A tylko

o terażniejszości, o chwili, którą właśnie przeżywa. Ponieważ tylko tyle była w stanie wytrzymać.

Wysoko w swym orlim gnieździe nie słyszała pełnych strachu krzyków, jakie wydawali nieszczęśni irlandzcy imigranci, stłoczeni w ładowni niczym bydło, zdążający ku nowemu światu, ku bogactwom i powodzeniu, które - jak każdy z nich marzył - czekały po drugiej stronie oceanu. Nie mogła usłyszeć, jak mężczyźni w ładowni wołają o pomoc dla chorych, o pożywienie i wodę, ani jak płaczą kobiety i kwilą dzieci. Nie mogła też wiedzieć, że pod nimi wszystkimi, w gorących wnętrznościach statku Finn i Daniel O'Keefeowie rzucają szuflami całe stosy węgla w zionące żarem szczęki kotłów, odpracowując swą podróż do Ameryki. Półnaczy i czarni niczym górnicy, to przeklinali, to modlili się, gdy nieustanne sztormy groziły przewróceniem statku do góry dnem.

Było jeszcze kilku innych pasażerów, lecz ponieważ Lily pozostawała w swej kabinie i nie odzywała się do nikogo, natychmiast stała się tematem rozmów całego statku. Przez pokłady krążyła szeptem plotka o tajemniczej, wyniosłej młodej arystokratce, która nigdy nie przyłączała się do innych pasażerów, nawet przy posiłku. Mowa o tym przeniknęła w dół, aż do klasy dla najuboższych, gdzie wśród brudu i chorób życzo jej mąk piekielnych z powodu jej utytułowania, rzekomo wyniosłego sposobu bycia i jej bogatej rodziny. Wieść ta dotarła jeszcze niżej, aż do parzącej żarem maszynowni, gdzie Daniel z osłupieniem usłyszał o pięknej i tajemniczej lady Lily Molyneux.

Gdy mu to powiedziano, zdołał utrzymać język za zębami, lecz znalazłszy się potem sam w maszynowni, wykrzyknął z gniewem:

- Słowo daję, ona nas ściga! Będzie nas prześladować do końca życia! - W głębi pamięci Dan skrywał swe własne wspomnienia o Lily, które były mu drogie: wspomnienie jej czarujących uśmiechów, szafirowych oczu, subtelnej krzywizny smukłej, młodej szyi i gorących, po włóczystych spojrzeń, do których skrycie tęsknił.

Oczywiście, jej w ogóle na nim nie zależało. Finn i Lily znali się jak łyse konie od małego i było rzeczą jak najbardziej naturalną, że gdy do rośli - Finn musiał się w niej zakochać. Szczera miłość bowiem, taka jak jego, nie uznaje wysokich murów ani granic, które ich rozdzielały. Tylko ludzie pokroju Lily znali reguły gry i potrafili je omijać, gdy tego chcieli.

Jednakże Dan wiedział, że dziecko, które ona nosi w sobie, nie jest dzieckiem jego brata - i pochylił swe potężne ramiona nad górą węgla, ładując go, szufla po szuflę, do rozpalonego pieca, ocierając pot z czoła usmoloną ręką i dziwiąc się zbiegowi okoliczności, który sprowadził Lily dokładnie na ten właśnie statek, tak jakby była w tym ręka Opatrzności. Pomyślał o Finnie śpiącym w ciemnym kącie, i nieświadomym tego, że sprawczyni wszystkich jego kłopotów znajduje się w zasięgu kilku metrów od niego. Domyślał się, że rodzina wysłała Lily do Ameryki, by tam urodziła dziecko - i szybko uznał, że najlepiej się stanie, jeśli brat o niczym się nie dowie. Bo gdyby się dowiedział, z pewnością by ją zabił.

Pilnował więc, by Finn pracował ciężko i trzymał go z dala od innych palaczy i od marynarzy. Nie sprawiło mu to trudności, bo Finn nie był już tak towarzyski i rozmowny, jak kiedyś. Pracował w milczeniu, z twarzą zastygłą w wyrazie goryczy, a jego zaczerwienione oczy spoglądały obojętnie z usmolonej węglem twarzy.

Na pokład nie wpuszczano ich nigdy, a ponieważ Finn rzadko rozmawiał z kimkolwiek, mógł nie usłyszeć plotek na temat Lily. Podróż postępowała wolno, każdy z dni nieubłagane następujący za innym w kieracie brudnej harówki wśród przekłętogo żaru i męczącego snu wypełnionego zmorami.

Znajdowali się w odległości sześćdziesięciu kilometrów od Nantucket, gdy wiatry sztormowe zaczęły wiać nie na żarty. Kapitan z niepokojem odczytywał barometr. Był to człowiek

z pięćdziesięcioletnim doświadczeniem, jeśli chodzi o podróże morskie i dobrze wiedział, co się szykuje.

Poleciwszy pierwszemu oficerowi powiedzieć pasażerom, że mają pozostać na swoich miejscach i że mogą się spodziewać burzliwej pogody, uszczelnił luki statku, pasażerów najtańszej klasy zaryglował w ich ładowni i posłał na dół ludzi, by zabezpieczyli paki z zabranym z Cork masłem, bekonem i whisky, żeby ładunek nie przemieszczał się niebezpiecznie pod wpływem kolejnych uderzeń, na jakie miał być wkrótce narażony.

Lily gapiła się przez iluminator na całe góry szarych fal. Pod ich wpływem mała „Hibernia” drżała i płasała, belki trzeszczały, gotowe rozpaść się, a kufry Lily przesuwwały się z jednej strony na drugą tak, jakby żyły własnym życiem. Statek z wolna zanurkował w zagłębieniu, po czym silny podmuch wiatru cisnął go o kolejną ścianę wody. „Hibernia” pięła się do góry coraz bardziej, aż wydawało się, że staje dęba. Lily przywarła rozpaczliwie do krawędzi swojej koi, patrząc przerażona, jak jej kufry walą z trzaskiem o ścianę kajuty. Ogromna fala przewaliła się nad statkiem, spychając „Hibernię” w dół i nagły strumień lodowatej wody zagrzmiał po schodach wiodących pod pokład, zalewając statek.

Zafascynowana Lily wpatrywała się w wodę, przepływającą pod jej drzwiami. Zaczęła się modlić. Nie wiedziała, czy modli się o przeżycie, czy o śmierć, lecz jeśli już miała umrzeć, nie chciała umierać samotnie w swej kajucie.

Dobrzeła przez zalane wodą korytarze do schodków prowadzących w górę na pokład, spoglądając ze zgrozą na ogromne fale: wściekłe, po tężne potwory utworzone z wody, gotowe wciągnąć ją w otchłań. Wyobraziła sobie, że opada w dół przez zielonkawe miazmaty, że jej długie czarne włosy unoszą się za nią, a znieruchomiałe oczy wpatrują się w wieczną nicość, gdy płuca napęlniają się wodą. Czując w sercu pustkę, pojęła, że nic ją nie obchodzi. Nie obchodzi ją już nic więcej.

Potem wiatr raptownie ustał, a fale lśniące niczym szkło przesuwwały się obok, w tej nagłej ciszy wyglądając jeszcze bardziej groźnie. Pełne strachu krzyki ubogich imigrantów przeniknęły z ładowni na górę i Lily uświadomiła sobie ze zgrozą, że ktoś ich tam zaryglował. Gdyby „Hibernia” tonęła, nie mogliby dostać się do szalup, ani choćby przeskoczyć nad burtą i starać się ratować. Uwięzieni, tam na dole, wszyscy byli skazani na zagładę.

Wbiegła po schodach na mostek kapitański, a kapitan odwrócił się i spojrzał na nią.

- W waszej ładowni zamknięte są kobiety i dzieci - wyrzuciła z siebie. - Jeśli mamy iść na dno, musi ich pan uwolnić, by tak, jak cała reszta, stawili czoło najgorszemu.

Siwobrody kapitan popatrzył na nią gniewnie. - Dobry Boże - zagrzmiał. - Czy nie mam dość na głowie i bez nieużytecznej, dobroczynnej damulki, która w czasie sztormu paraduje mi po pokładach? - Rzucił jej piorunujące spojrzenie, po czym zmiękł nieco, widząc, że jest taka młoda. - Jeśli teraz ich wypuszczę, wpadną w panikę i wielu znajdzie się za burtą, zginie bez potrzeby. Kiedy pocuję, że niebezpieczeństwo jest bliskie, zostaną wypuszczeni, by stanąć twarzą w twarz ze swym Stwórcą. Jestem kapitanem na statkach już od pięćdziesięciu lat - dodał z zawziętością, a jeszcze nigdy żadnego nie straciłem i tak szybko nie zrezygnuję z walki.

Lily pojęła, że kapitan ma rację, i poprosiła o wybaczenie. Roześmiał się.

- Ma pani charakter - rzekł - i to mi się podoba. Powiem pani, jak się sprawy mają: jeśli ten sztorm utrzyma się jeszcze przez godzinę, znajdziemy się na skałach w rejonie Nantucket i wtedy wszyscy umrzemy. Jeśli sztorm ustanie, może będziemy mieć szczęście i zdrymjemy między skałami

do cieśniny Nantucket. Tak czy inaczej, „Hibernia” straciła ster, kiedy przed chwilą uderzyliśmy o mieliznę, nie mam więc na nic wpływu. Proszę tu zostać - dodał uprzejmie, świadom, że jest sama - jeśli zależy pani na towarzystwie.

Lily skuliła się w kącie, objął ramionami kolana i przyglądała się, lecz już się nie modliła. Niebo na zewnątrz zrobiło się znów czarne niczym nocą. Wiatr zaczął wyć i lunął deszcz. Gigantyczne fale przepływały przez statek, który szarpany wiatrem - zsunął się z mielizny i podryfował bezradnie w czerń nocy.

Na dole, w maszynowni, mechanicy i palacze czekali beczynnie, podczas gdy wielkie płomienie w kotłach opadły.

- Sądzę, żeśmy teraz zdani na łaskę burzy - rzekł główny mechanik, zapalając papierosa. - No, posłuchajcie tylko, jak te irlandzkie sukinsyny wyją tam w ładowni. Zarzygani jak świny i tak przerażeni, jak by jechali do rzeźni.

- To żadne sukinsyny - odszczeknął mu Finn. - Mają matki i ojców akurat tak samo, jak ty. Aczy ty byś się nie zarzygał i nie przestraszył, wsadzony do cuchnącej ładowni, ze swymi dziećmi, którymi musisz się zajmować?

- No tak, tak, myślę, że mogłoby się tak stać - powiedział mechanik pojednawczym tonem. - Zapomniałem, że i tyś jest Irlandczykiem. Coś ci powiem; przyda nam się chyba flaszka tej dobrej irlandzkiej whisky, co ją mamy w ładowni, by uspokoić nerwy.

Moi koledzy z pokładu powiedzieli, że jedna z pak pękła i jest otwarta, może byśmy zaserwowali sobie jeden lub dwa dobre drinki, zanim cały ten przeklęty towar pójdzie na dno. I najpewniej my razem z nim.

Wyruszył zuchowato na poszukiwanie butelki, a Daniel posepnie popatrzył na Finna.

- Finn, czy statek znów nie nabiera takiego przechyłu, jak przedtem? - zapytał, próbując ocenić ich szansę. Finn wzruszył ramionami.

- Co mnie to obchodzi? Czy tak, czy siak - jaka przyszłość nas czeka? Jesteśmy tak samo bezradni, jak te biedne stworzenia uwięzione w ładowni. - Jego gniewny wzrok spotkał się ze wzrokiem brata. - Czy choć raz pomyślałeś. Dan, co moglibyśmy robić, gdy dostaniemy się do Bostonu? - Wpatrywał się bezradnie w czubki swych starych, pękniętych butów. - Jesteśmy dwójką ciemnych wiejskich chłopaków z Irlandii, bez pieniędzy w kieszeni i bez żadnych widoków. Musimy wyskoczyć ze statku i wkraść się nielegalnie do Ameryki, bez dokumentów i bez przyjaciół, którzy by na nas czekali. Trzeba nam było zostać na miejscu, w Irlandii, i tam umrzeć, zamiast przejechać całą tę drogę na przeklętym przez Boga statku, który jest nie lepszy od starej rybackiej krypy w czasie sztormu.

Dan z desperacją potrząsnął głową. Wiedział, że jego brat ma rację. Mechanik powrócił, trzymając cztery butelki irlandzkiej whisky.

- Wlejcie to w siebie - zarechotał, wręczając im po butelce. - Za pewniem, że poczujecie się jak nowo narodzeni, jeszcze nim dojdziecie do połowy.

Przykucnęli na ziemi przy gasnącym żarze kotłów, z rozkoszą pociągając whisky. Wkrótce dołączyli do nich inni. Patrząc na mężczyzn, umazanych pyłem węglowym i potem, z oczyma i ustami w czerwonych obwódkach, Dan myślał, że przypominają krąg diabelskich stworów. Whisky skończyła się, więc wysłano kogoś po nową porcję. Rozmawiali na temat kapitana i uznali, że to porządny chłop i że jeśli ktoś jest w stanie ich ocalić, to tylko on, choć przy złamanym sterze na dobrą sprawę „Hibernię” można spisać na straty.

- Pomijając jakiś cud - rzekł Finn, a język mu się plątał.

- To pasażerowie zejną najpierw, jeśli ma być tak, że zdarzą się cuda - zamruczał niewyraźnie mechanik. - A pierwszą będzie nowa ulubienica kapitana. Paraduje w swoich bryczesach, taka bezczelna. Powiadają, że to dama, lecz w życiu nie widziałem damy, która by tak wyglądała.

- Ach, damy - rzekł Finn w zadumie. - Posłuchaj mnie, chłopak:

damy nie całkiem są tym, za co sieje uważa. Nie myślą tak jak ty, czyja.

- Ani, chwała Bogu, nie wyglądają tak jak ty, czy ja - dodał ktoś wśród śmiechu. - O, nie. To jest dama jak prawdziwa dama - ciągnął dalej mechanik z pijackim uporem.

Poprzez opary whisky słowa te dotarły do świadomości Daniela. Włos zjeżył mu się na głowie, ponieważ zwęszył niebezpieczeństwo. Przykładając dłoń do ust mechanika, gwałtownie rzekł:

- Zamknij się, ty durny sukinsynu! Mechanik odepchnął go.

- Kogo nazywasz sukinsynem? - wrzasnął ze złością. - Trzymaj pięści przy sobie, ty przeklęty irlandzki gnojku, bo przekonamy się, kto jest sukinsynem, a kto nie.

Finn czym prędzej skoczył pomiędzy nich.

- No, popatrzcie na siebie, wy hysiorowate czorty. Czy za mało nam martwić się o statek, co lada chwila zatonie, że jeszcze się obaj musicie bić? Poza tym, jeśli usłyszysz to kapitan, każe was obu zakuć w kajdany i wsadzić do aresztu, gdy tylko się dostaniemy do Ameryki.

- Jeśli się tam dostaniemy, rzecz jasna - rzekł kwaśno mechanik, odrzucając do tyłu głowę i znowu ostro ciągnąc z butelki.

- Idę na górę zobaczyć, co się dzieje - powiedział Finn. - Jeśli mam umrzeć, to przynajmniej nie będę umierał tu, uwięziony w tej norze z węglem i z kupą bijących się pijaków.

Potykając się pod wpływem alkoholu, podciągnął swe brudne portki, wypadł z kotłowni, po czym przedostał się kręconymi metalowymi schodkami i poprzez galerie do żelaznych drzwi wiodących na pokład bagażowy. Zaniepokojony Daniel poszedł za nim.

- Nie możesz iść tam na górę, Finn - rzekł. - To nie jest dozwolone. Zobacz tylko, w jakim jesteś stanie. Co powiedzą pasażerowie, gdy zobaczą takiego dzikusa?

- Mam tyle samo prawa, by umierać na pokładzie, co każdy inny pasażer - odparował Finn.

Daniel zastanowił się nad tym, co mówi brat.

- Masz rację - uznał zdecydowanie. - Czy nie mówi się, że w naszych ostatnich chwilach Bóg wszystkich ludzi zrównuje ze sobą? - Ruszył za bratem schodami ku wejściu na pokład akurat w chwili, gdy statek doznał kolejnego potężnego wstrząsu. Rozległ się straszliwy zgrzyt, wściekły hałas, a potem, wraz z ostatnim wstrząsem wszystko ucichło.

- Statek już nie żyje - rzekł Daniel pełnym grozy szeptem. Finn wpatrywał się w niego, po czym ze szczytu schodów spojrzął w panującą na zewnątrz ciemność. Fale załamywały się o powalony statek, a wiatr zniecka znów zaczął jęczeć, zacinając weń deszczem.

- Na dole w tej ładowni są kobiety i dzieci - powiedział, nagle trzeźwiejąc. - Mój Boże, Dan, co z nimi będzie? Musimy im pomóc.

- Jak? - Po raz drugi w swym życiu Daniel czuł się absolutnie bezsilny. - Co możemy zrobić? Wsadzić ich za burtę do szalup? Na takie morze? No jakże, przecież nie wytrzymają nawet dwóch minut. Nie, lepiej zostawmy to kapitanowi. I Bogu.

Patrzyli bezradnie na szalejący sztorm. Statek stękał niczym zbolące zwierzę. Oni zaś potrząsając głowami, udali się znów do maszynowni szukać pociechy w butelce whisky.

Godziny wlokły się, a „Hibernia” nadal unosiła się na wodzie. Wreszcie długa noc, o której

każdy myślał, że będzie jego ostatnią, dobiegła końca, a wraz z nią i sztorm. Statek dryfował w cieśninę Nantucket, lecz kapitan wiedział, że to nie koniec ich kłopotów. Znajdowali się na niebezpiecznych wodach, pełnych skał, tak że spodziewając się najgorszego, polecił wypuścić imigrantów na swobodę.

Dwie godziny później dryfowali w martwej ciszy. W milczeniu pęłży ku nim zwały mgły i kapitan rzucił wzrokiem na znużoną Lily, wciąż skuloną w kącie.

- Gdy mgła się podniesie - rzekł krzepiącym tonem - wypuścimy w powietrze race. Powinni nas zauważyć w Nantucket, a wtedy wyślą łodzie. Może być pani pewna, że znajdzie się już na pierwszej z nich.

Lily w tej chwili nie pamiętała o własnych problemach. Myślała o imigrantach z dolnych pokładów, zziębniętych, przemoczonych i wystraszonych, nie mających pojęcia, co się dzieje. Wiedziała, że były wśród nich kobiety i dzieci, poprosiła więc kapitana, aby zechciał posłać im na dół jedzenie i mleko. Kiwnął głową.

- Dopilnuję, żeby to zrobiono - obiecał.

Czując się zniecka wyczerpana, pokonała z trudem korytarz, wracając do swej kajuty i położyła się na wilgotnej koi, przypatrując się, jak jej słomkowy kapelusz z różami unosi się obok na wodzie i rozmyślając, co się z nią stanie.

W maszynowni na dole puste butelki po whisky, które wraz z kołysaniem statku turlały się tam i z powrotem, teraz się zgromadziły w jednym kącie. Finn śledził je czujnym okiem. Zastanawiał się mgliście, czy to dzieło jego wyobraźni, czy też ruch statku ustał. Tak, był gotów przysiąc, że ustał. Jego oczy spotkały wzrok Daniela i rzekł:

- Chodźmy na górę, Dan i zobaczymy, co się dzieje.

- Szkoda twego oddechu i zachodu - rzekł kwaśno mechanik. - tak wypuszczą cię ostatniego, nawet po tych z najuboższej klasy. Najpierw idą kobiety i dzieci. Takie jest prawo na morzu. - Pociągnął kolejny haust whisky i czknął głośno. - Jasne, ulubiona młoda dama naszego kapitana będzie sprowadzona na brzeg z paradą i przy rozwiniętych wszystkich flagach. Na pewno to się jej spodoba, tej lady Lily Finn podniósł głowę.

- Lady Lily? - powtórzył.

- On gada bzdury - rzekł z desperacją Daniel, chwytając Finna za rękę i odciągając go. - To tylko stary pijaczyna, Finnie; czy nie wiesz o tym?

- To lady Lily Molyneux - powtórzył mechanik uroczystym tonem. - Córka hrabiego, nie byle kto. Choć dla mnie wygląda jak chłopak... Finn rzucił się na Daniela, a jego oczy płonęły.

- Czy wiedziałeś? Wiedziałeś, że Lily jest na tym statku?

- Dopiero teraz. Kiedy on o tym powiedział - skłamał Daniel. - To tylko pech, nic więcej, Finnie. Lily nie ma już nic wspólnego z nami. Daj temu spokój.

Finn pchnął go daleko od siebie i pobiegł ku schodkom.

- Gdzie idziesz? - krzyknął Dan, przytrzymując go.

- Gdzie idę? - Wzrok Finna buchnął nań ogniem. - Idę ją zabić, rzecz jasna. - Odepchnął brata i pokonał kręcone żelazne schody, galerie i drzwi, jeszcze nim Daniel zdołał się podnieść z podłogi.

Lily stała przy swym otwartym kufrze. Pięćdziesiąt funtów, które dostała, leżało na wierzchu, ona zaś zapinała na szyi swój naszyjnik. Nagle o ścianę trzasnęły otwarte drzwi, a ona wytrzeszczyła oczy na widok czarnego od węgla, oszalałego mężczyzny, który stanął przed nią. Poznałaby te oczy zawsze.

- Finn? - wyszeptała, na poły radośnie, a na poły ze zdumieniem. Nie pomyślała, jak ani dlaczego znalazł się tutaj; wiedziała tylko, że teraz wszystko już będzie dobrze. - Och, Finn - rzekła bez tchu. - Dzięki Bogu! Przyszedłeś, żeby mnie uratować.

- Uratować cię? Ty kłamliwa mała suko. Nie przyszedłem, żeby cię uratować. - Jego silne dłonie znalazły się na jej gardle. Uniósł ją i po trząsał tak długo, aż oczy jej wyszły z orbit, a twarz zrobiła się sina. - Ty mnie zniszczyłaś, Lily Molyneux - wycedził przez zaciśnięte zęby, cały czas nią potrząsając. - Okpiłaś mnie, upadłaś nisko jak ulicznica. Och, Boże - i przede wszystkim za to chcę cię zabić. Jak mogłaś, ty suko? Jak mogłaś.

Daniel skoczył na niego od strony drzwi.

- Durny sukinsynu - zaryczał. - Chcesz, żeby ona zrobiła z ciebie także mordercę? - Oderwał rękę Finna od jej szyi i Lily padła na skraj koi, dławiąc się i dostając mdłości.

- Lepiej się stąd wynieśmy szybko, nim cię przez nią zakują w kajdany - wrzasnął Dan, odciągając go. - Szlag by to trafił, rusz swe dupsko.

Finn strząsnął go z siebie. Stał w groźnej postawie nad Lily.

- Żałuję, że cię nie zabiłem - rzekł z zawziętością. - Ale będziesz żyła, po to, by żałować tego, coś mi zrobiła, Lily. Klnę się na Boga, że pożałujesz. - Gwałtownym ruchem wyciągnął rękę i zerwał jej z szyi diamenty.

- Biorę je, żeby sobie wynagrodzić to, co zrobiłaś. - Chwycił złote monety leżące na wierzchu w kufrze. - pieniądze też. Aleja wróce, Lily. Obiecuję ci to. Któregoś dnia znów się zjawię, by odebrać resztę tego, co jesteś mi winna. - warknął cicho, tak że tylko ona słyszała: - To, co mówiłaś, że już dostałem. - Po czym wybiegł za bratem z kajuty.

Lily znów padła na koję. Wiedziała, że Finn naprawdę chciał ją zabić: ujrzała to w jego oczach, usłyszała w pełnym goryczy głosie, wyczuła w gniewnym ucisku dłoni na swoim gardle. Potrząsnęła głową, nie mogąc uwierzyć.

- Och, Finn, nie miałam pojęcia, że papcio tak się na ciebie rozgniewa - wyszeptała chrapliwie. - W ogóle nie pomyślałam, że będzie chciał zrobić ci krzywdę. Myślałam, że tylko na mnie się pogniewa. A teraz patrz, co narobiłam. - I położyła się na swej wilgotnej koi twarzą w dół, oplakując swe przewinienia.

W godzinę później zaniepokojony kapitan robił przegląd statku. Byli przyczepieni do rafy mocno niczym morski mięczak, przy nieruchomym morzu i z połamanymi masztami, bez steru i z ziejącym otworem w śród okręciu. Mieli dwudziestostopniowy przechył na lewą burzę, nabierali mocno wody i choć wyczerpywali ją tak szybko, jak tylko się dało, wyraźnie przegrywali bitwę.

Mgła nie podniosła się i kapitan wiedział, że jeśli teraz wystrzeli swe cenne race, szansę na to, że zostaną zauważeni, będą bliskie zeru. Pomyślał o dwustu dwudziestu imigrantach w najuboższej klasie, a także o innych pasażerach i o załodze. On sam odpowiadał za ich bezpieczeństwo i wiedział, że nie może już zwlekać. Musi wystrzelić race i podjąć ryzyko. Jeśli jego sygnały SOS pozostaną bez odpowiedzi, stłoczy tylu pasażerów, ilu zdoła zmieścić, do czterech łodzi ratunkowych i wyśle ich w tę mgłę, ku skalistym wybrzeżom, modląc się, by dotarli w bezpieczne miejsce.

Pierwsza rasa zabarwiła mgłę na różowo i kapitan przebiegł wzrokiem niebo w poszukiwaniu światła wysłanego mu w odpowiedzi. Wystrzelił następną racę, i jeszcze jedną, lecz wciąż nie było odzewu, więc z ciężkim sercem wydał rozkaz spuszczenia szalup.

Lily udała się w ślad za resztą pasażerów na pokład. Straciła już wszystkich, na kim jej zależało, łącznie z Finnem. Teraz nie obchodziło jej, czy straci życie. Zawahała się, przepuszczając innych

przodem. Zrezygnowała z walki. Teraz niech Bóg decyduje, czy ona ma żyć, czy umierać.

Pośpieszyła za marynarzami, którzy pędzili po schodkach na pokłady najniższej klasy. Popychali brutalnie ku relingom ubogich irlandzkich imigrantów.

- Przygotujcie się do skoku! - wrzeszczeli, przepychając ich nad burtą do łodzi ratunkowych, huśtających się w dole.

Pierwsza łódź szybko wypełniła się kobietami i dziećmi, i z czwórką silnych mężczyzn przy wiosłach odpłynęła, kołyszając się, w mgłę.

- Módlcie się za nich - rzekł z goryczą młody Irlandczyk, który przedtem pomagał załadować szalupę - bo na pewno będzie im to po trzebne. - Stojąca obok jego żona przeżegnała siebie i swoje przerażone dzieci, skulone i uczipione jej obszarpanej spódnicy.

Statek raptownie osiadł głębiej w wodzie, ciskając ich wszystkich na deski przechylonych pokładów. Przerażona Lily złapała reling, spoglądając w dół ku ostatniej łodzi. Była już prawie pełna. Rzuciła wzrokiem na młodego mężczyznę, który pomagał ładować. Stał obok niej, patrząc desperacko w dół na swoją żonę i dzieci siedzące w szalupie, oni zaś, zdjęci paniką, spoglądali w górę ku niemu. Zostało już tylko jedno miejsce, przeznaczone dla Lily. Ta popatrzyła na młodą żonę, wyobrażając ją sobie jako wdowę z sześcioma gębami do wykarmienia, samotną w nowym dla niej miejscu, nie znającą nikogo, nie mającą niczego, gdy jej mąż utonie, a ona straci wszelką nadzieję.

- Jaki z nich pożytek bez niego? - krzyknęła z goryczą do kapitana. - Jak sobie dadzą radę bez męża i ojca? To wszystko jedno, czy utoną teraz, czy umrą z głodu, gdy dotrą do Bostonu. Jego miejsce jest przy nich, tam w łodzi.

Młody człowiek popatrzył tęsknie na żonę, a potem znów na Lily.

- Słowo daję, nie mogę wam na to pozwolić, panienko - rzekł cicho.

- Nie masz wyboru - odrzekła Lily. - Ja nie płynę. Kapitan wiedział, że naprawdę tak myśli. Wpatrywał się znudzony we mgłę, mówiąc do siebie, że z nią jest tylko kłopot. I wtedy, niczym gwiazdę z niebios, ujrzał odpowiedź - zieloną racę. Nareszcie pomoc była blisko. Kazał mężczyźnie skakać.

- Niech was Bóg błogosławi, panienko. Nigdy was nie zapomnimy - wykrzyknął młody człowiek. Przez ułamek sekundy jego oszalałe błękitne oczy patrzyły na Lily, po czym wyskoczył w ciemność w ślad za innymi.

Nagle „Hibernia” jęła trząść się niczym zwierzę w agonii. Drgała i podskakiwała, a belki piszczały, rozłupując się - i statek jął powoli zsuwać się do przechyłu. Lily usłyszała, jak kapitan wydaje ostrzegawczy okrzyk, lecz wówczas już zważyło ją z nóg i sunęła bezradnie ku krawędzi. Sięgnęła ręką ku relingowi, lecz było za późno. Wypadła za burtę w mroczną otchłań.

Lodowate wody zamknęły się nad jej głową. Fale wciągały ją coraz niżej i niżej, i rozsadzało jej płuca. Pojęła, że wreszcie umiera. Los podstępem pozbawił Finna tej przyjemności. W taki właśnie sposób miało się dokonać. To była przeznaczona jej okrutna kara.

23.

Nantucket, 1883

Ned Sheridan był w pierwszej łodzi ratunkowej, płynąc po wzburzonym morzu i wypatrując we mgle sygnałów świetlnych, które do prowadziłyby ich do tonącego statku. W tyle płąsały na falach inne łodzie, poszukując rozbitków w świetle lamp wielorybicznych umieszczonych wysoko na dziobach, a płynący w nich ratownicy wrzasnęli przerażeni, gdy ujrzeli, jak „Hibernia” nagle

przechyla się ostro, ciskając ludzi w morze.

Ned zawiązał sobie linę wokół pasa i skoczył za nimi w lodowatą wodę. Lily wynurzyła się na powierzchnię nie opodal niego, po czym natychmiast znów się zanurzyła, zalana kolejną falą. Schwycił ją, gdy tylko pojawiła się po raz drugi, a pozostali mężczyźni wyciągnęli ich na burtę. Złożyli Lily w okrężnicy i wpatrywali się w nią pełni niepokoju.

- To młoda dziewczyna - rzekli, potrząsając głowami, ponieważ sądzili, że już nie żyje, lecz Ned obrócił ją na brzuch i począł uderzeniami wytłaczać wodę z jej płuc. Po kilku minutach Lily zaczęła kaszleć i prychać śliną, wrócili więc pośpiesznie na morze, by ratować pozostałych. Ludzie na szkunerach wiosłowali już wzdłuż statku, czekając chwili, w której opuści go kapitan, tak by mogli potraktować wrak jako swój łup. Kapitan stał przy relingu, podczas gdy oni rozwijali linę z manilskich konopi, i przyglądał się, jak członkowie jego załogi rzucają się tłumnie ku tej gwarancji bezpieczeństwa, niczym małpy kurczowo czepiając się rozkołysanej liny, klnąc i wrzeszcząc, gdy nurzali się w lodowatym oceanie. On jednak nie miał zamiaru oddawać swego statku w czyjeś ręce; zamierzał siedzieć tam, dopóki mgła się nie podniesie, a potem dopilnować odnotowania go do portu.

Kobiety i dzieci, chorzy i starcy zostali zabrani do domów ludzi w mieście, mężczyźni zaś - zakwaterowani w Gmachu Pantheonu bądź też w Gmachu Synów Trzeźwości i zaopatrzeni w suche ubrania, koce i gorące pożywienie.

Ned zabrał opatuloną w koc Lily do własnego domu przy ulicy Głównej. Za nim podążała młoda Irlandka z niemowlęciem w ramionach, podczas gdy szóstka jej drobnych dzieci jechała w wózku, popychanym przez silnego wyrostka. Głośno lamentowała, że rozdzielono ją z mężem, a jej dzieci hałaśliwie zawodziły wraz z nią.

Alice Sheridan czekała u drzwi. Była to kobieta niska, szczupła, o bladej twarzy, ubrana skromnie w stylu swych kwakerskich przodków. Prostota kościoła metodystów już dawno temu wywarła łagodzący wpływ na surowość kwaków z Nantucket, lecz Alice Sheridan wciąż wyznawała te same zasady dzielenia się i dawania, i tak jak inne kobiety w mieście, ochoczo otwarła przed rozbitkami swój dom i serce.

Gdy zobaczyła, że nadchodzą, pośpiesznie przywołała córki, siedemnastoletnią Abigail i dziesięcioletnią Betsy, aby przyniosły więcej koców z kufrów i przejrzały szafy z bielizną w poszukiwaniu wszelkich dziecięcych ubrań, jakie da się znaleźć. „Bo dzisiejszego wieczoru będziemy mieć pełny dom”, powiedziała, licząc obszarpane, płaczące dzieci. Wyjęła niemowlę z ramion zmęczonej matki, popędzając ją do środka, a w ślad za nią weszły inne dzieci. Dopiero gdy Ned położył swój owinięty w koc tobolek na pleciony dywan przed trzaskającym ogniem kuchennym, zauważyła Lily.

Zapanowała cisza, gdy wszyscy się w nią wpatrywali. Długie czarne włosy Lily ciągnęły się przemoczoną masą wzdłuż jej pleców. Jej twarz i ręce były posiniałe z zimna, a na białej szyi widniały okropne siniaki. Ned spoglądał na jej delikatną budowę, ciemne, równe brwi, i długie, wywinięte rzęsy ocieniające policzki jak idealne półksiężyce. Dostrzegł jej piękność, bladość, i całkowity bezruch, i pomyślał, że się spóźnił. Już nie żyła.

- Patrzcie, to ledwo młoda dziewczyna - wykrzyknęła jego matka, a łzy współczucia napłynęły jej do oczu.

- To ta pani, która dała swe miejsce w łodzi memu mężowi. Uratowała życie mego męża - wykrzyknęła młoda matka, rozpoznając ją. - A teraz biedactwo straciła własne. - znów zaczęła

plakać, a za nią głośnym chórem jej dzieci.

- Uciszcie te lamenty - powiedziała stanowczo Alice Sheridan. - Dziewczyna jeszcze nie umarła, a nie byłoby niczyjej winy, gdyby dokonała żywota. Zkatastrofą okrętu jest tak, jak z miłością i wojną: „wszystko może się zdarzyć” i po prostu robisz to, co trzeba.

Podczas gdy starsza córka, Abigail, zanurzała drące się dzieciaki w cynowej wannie z gorącą wodą, Ned pobiegł po lekarza. Oddech Lily był płytki; czasami wydawało się, że całkiem ustał, a wtedy oni sami wstrzymywali oddech z niepokojem, póki nie dało się słyszeć nikłe, spazmatyczne westchnienie i wiedzieli, że ciągle jeszcze jest z nimi.

Lekarz przybył szybko. Zmierzył Lily puls, osłuchał jej serce i klatkę piersiową, i pokręcił głową na widok sinych śladów na szyi. Powiedział, że cierpi na skutek szoku i długiego przebywania w wodzie i że można się spodziewać tej nocy ataku gorączki. Trudno przewidzieć, jak długo może się ona utrzymywać: jedną noc, dwie... nawet tydzień. Jeśli gorączka opadnie wystarczająco szybko, powinna przeżyć. - Jeśli nie powiedział, podnosząc ramiona w geście beznadziei - no cóż, wiemy już, że jest dziewiętnastu zmarłych i tuzin zaginionych. To cud, że nie więcej.

Ned został na noc wysłany na poddasze, a Lily w jego łóżku otoczono zewsząd mosiężnymi ogrzewaczami i termoforami. Ogień huczał w palenisku, ponieważ niezależnie od gorączki doktor ostrzegł, że w pokoju musi panować stała temperatura. Alice czuwała przy chorej.

We wczesnych godzinach rannych, nie mogąc zapomnieć o Lily, Ned opuścił swoje łóżko na poddaszu i zszedł na dół. Jego matka drzemała lekko na krześle przy ogniu, a on przemknął ukradkiem przez cały pokój i spojrzął na śpiącą piękność w swym łóżku. Gdy się tak przyglądał, jej ociężałe powieki drgnęły i oczy się otworzyły.

Była tak młoda, i tak śliczna, i tak śmiertelnie chora, że serce Neda podskoczyło w piersiach z bólu i miłości. Chciał otoczyć ją opiekuńczo ramionami i powiedzieć, że nigdy nie pozwoli, by ją spotkało coś złego, że już zawsze będzie się o nią troszczyć i pielęgnować. Ale wówczas jej oczy się zamknęły i znalazła się na powrót w swym mrocznym świecie.

Następnego ranka mgła ustąpiła i można było z wybrzeża wyraźnie widzieć „Hibernię”, osadzoną na mieliźnie. Jej kapitan ciągle był na pokładzie, a oba statki gotowe ograbić wrak czekały obok. Ned i jego ojciec zobaczyli, że przechył „Hibernii” jest jeszcze bardziej ostry niż uprzednio i wiedzieli już, że okręt jest stracony i nie da się go odnotować.

Kapitan polecił zabrać ładunek, tak że nim zapadła noc, połowa obciążenia statku była usunięta i „Hibernia” swobodnie uniosła się na wodzie. Łowcy wraków ruszyli szybko przed siebie, by zabrać co jeszcze się da, nim statek przekręci się kilem do góry i pójdzie na dno.

Tego wieczoru Ned wrócił do domu z dwoma poplamionymi wodą kuframi Lily ze skóry w kolorze burgunda i z intrygującą wiadomością, że jest to lady Molyneux, licząca sobie lat siedemnaście i jadąca z wizytą do krewnej w Nowej Anglii.

Jego dwie siostry spojrzały na siebie nawzajem, wydając ciche okrzyki zdumienia. „Lady Lily!” - wykrzyknęły przejęte. Wydawało im się rzeczą wątpliwą, by w ogóle kiedykolwiek przedtem widziano jakąś „lady” na wyspie Nantucket.

Podobnie jak ich brat, jasnowłose i niebieskookie, były ładne spokojną urodą oraz skromne, wychowane w domu, gdzie uczono, że tym, co liczy się w życiu, są proste wartości: miłość do Boga i miłość do bliźnich. „Dzielić się, troszczyć się i dawać” - to dewiza ich rodziców i naturalnie stała się tym samym również dla nich, choć nie przeszkadzało im to spoglądać zazdrosnym wzrokiem na kufry Lily i zastanawiać się, co też mogą zawierać.

- Lady z pewnością musi mieć jakieś ładne rzeczy - powiedziała nieco zazdrośnie mała Betsy, wyglądając swoją brązową wełnianą spódniczkę i wyobrażając sobie, że jest ona z atlasu lub jedwabiu i tak lekka, jak promień księżycy, nie zaś gruba i na tyle ciężka, by nie przepuszczać zimowych wiatrów Nantucket.

Gorączka Lily szalała nadal, skacząc w górę, to znów spadając i raz zostawiając ją w dreszczach, a raz oblewając potem. Betsy i Abigail wymieniały się ze swą matką, siedząc cicho przy łóżku ze wzrokiem niespokojnie wbitym w Lily. Kiedy sztorm dobiegł końca, Ned z bólem serca musiał wrócić do Bostonu.

Ned miał dwadzieścia trzy lata; był szczupły, młody, bardzo muskularny i przystojny ze swymi gęstymi słomkowymi włosami, które zsuwały się niczym jedwab na jasnoniebieskie oczy. Miał silnie zarysowane szczęki i gładko się golił.

Kiedy ukończył szkołę, uciekł, by szukać szczęścia w teatrze. Pracował jako barman w pewnym barze w Bostonie, chcąc zarobić tyle pieniędzy, ile trzeba, by dostać się do Nowego Jorku, gdy któregoś wieczoru wkroczył tam mężczyzna, wyglądający jak postać z dramatu. Owinięty był w obszerny czarny płaszcz i miał na sobie fałdzistą jedwabną koszulę, szaroperłowy jedwabny krawat i szerokoskrzydły czarny kapelusz. Stuknął o ladę srebrnym końcem trzcinowej laski i melodyjnym głosem zażądał brandy.

Twarz Neda się rozjaśniła. Wiedział, że to musi być aktor, skoro tak wygląda i ma taki głos. Podał mu brandy i pełen szacunku zapytał go, kim jest.

Było to pytanie, którego de Lowry nie znosił. Rzucił na Neda piorunujące spojrzenie, ściągając groźnie krzaczaste czarne brwi.

- Młody człowieku - odparł zimno - powinieneś wiedzieć, kim ja jestem.

Ned przeprosił go pokornie, wyjaśniając, że dopiero co opuścił col lege i że jego celem jest zostać aktorem. - Tak sławnym, jak pan - dodał, przebiegle ryzykując domysł.

De Lowry z zainteresowaniem badał wzrokiem młodego barmana. Wrażenie było korzystne: z taką twarzą i budową, Ned nie musiał udawać. Widać było, że jest młody, ufny, i nieroztropny w sensie zaradności życiowej - i to właśnie znakomicie odpowiadało starszemu mężczyźnie. Od razu zaoferował mu pracę.

- Oczywiście, płaca jest prawie żadna, drogi chłopcze - zagrzmiął - ale dam ci nieocenioną sposobność nauki kunsztu aktorskiego wprost od mistrza.

Ned uznał to za odpowiedź na wszystkie swoje modły. Jeszcze tego wieczoru zrezygnował z pracy i stał się członkiem „Słynnych Wędrownych Aktorów de Lowryego”. Nareszcie był aktorem. Dostawał do za grania wszystko, od roli chłopca okrętowego do francuskiego arystokraty, a także występował jako totumfacki de Lowrych, przynosząc im dzbany mocnego portera i butelki whisky. Był także użyteczny w załatwianiu kredytu w barach i kawiarniach, gdzie jego wygląd niewiniątka działał skuteczniej niż cwana zuchowatość de Lowryego.

Grupa „Słynnych Wędrownych Aktorów de Lowryego” występowała w lodowato zimnych i zapchlonych salach byle jakich miasteczek, a Jakub de Lowry, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Jakub Leech, większość sztuk napisał sam, przy niezgrabnej pomocy swej żony, ja snowłosej i przekwitłej Saszy Orłów. Były to głównie kostiumowe melodramaty, w których chodziło o to, by w korzystny sposób pokazać starzejącą się, ciasno skrępowaną gorsetem postać de Lowryego. Ze swoimi skrzącymi się ciemnymi oczami, wypomadowanymi czarnymi włosami, podkreconym wąsem, ubrany w obcisłe bryczesy, wysokie buty i fałdziste jedwabne koszule,

wyglądał całkiem nieźle. W łzawych romansach Sasza prezentowała swe piersiaste wdzięki w całej okazałości. Występując w powiewnych szyfonach pozwalała sobie pokazywać trochę więcej ciała, niżby należało, toteż widzowie siedzieli na skraju krzeseł w oczekiwaniu na jeszcze śmielsze gesty.

Mażonkowie de Lowry niejednym razem byli zatrzymywani pod zarzutem obrazy moralności, ale zawsze udawało im się opuścić miasto.

Życie członków grupy „Słynnych Wędrownych Aktorów de Lowryego” upływało albo na scenie, albo w pociągach, albo w trakcie ucieczki. Przed wierzycielami, rozczarowanymi właścicielami teatrów, rozdrażnionymi widzami, szefami barów, sklepów i restauracji. Mówili między sobą, że któregoś dnia Jakubowi zabraknie miast, w których jeszcze nie słyszano o nim i o jego „słynnej” reputacji, i że wszyscy pozostaną bez pracy. Na razie jednak pracowali i w ostatecznym rozrachunku zawsze dostawali zapłatę, choć niezbyt dużą.

Ned był w siódmym niebie tylko dlatego, że przebywał w pobliżu sceny i w zakłopotanie wprawiał go zawodowy cynizm jego kolegów-aktorów. Szczególnie zaś niewinna Jeanette Foyle. Dni jej niewinności już dawno minęły, a więdnąca uroda była świadectwem przebytych rozczarowań. Zagarnęła go do swego łóżka. Tylko dzięki młodości i joie de vivre Ned był w stanie występować na scenie, usługiwać de Lowryemu i dogadzać Jeanette, która po kilku tygodniach znalazła sobie nowego kochanka. Ned poświęcił więc znowu cały swój czas na naukę kunsztu aktorskiego. Od tej pory postępował zgodnie z radą swego kolegi Harrisona Robbinsa, by życie seksualne realizować poza kręgiem aktorów i w ten sposób zaoszczędzić sobie wielu zmartwień. „Ponieważ, stary przyjacielu, wzgardzona kobieta jest istnym demonem” - ostrzegał go Harrison, który według Neda powinien się na tym znać. Harrison miał trzydzieści dwa lata, smagłą cerę i wąsy. Kobiety na widowni szalały za nim. Był także zapamiętałym karciarzem, umiarkowanym pijącym, kiepskim aktorem i dobrym kompanem. Przy tym on i Ned zostali przy jaciółmi. Albo „towarzyszami broni”, jak to nazywał Harrison, ponieważ praca z de Lowryami była nieustającą walką: walczyli o dostanie przyzwoitej roli, ponieważ de Lowry upierał się, by grać wszystkie najważniejsze postacie, nie zważając na swój wiek; walczyli o dostanie nowych kostiumów i o to, by mieć dość czasu na naukę tekstu każdej nowej „sztuki”, którą de Lowry wymyślił sobie w ciągu nocy; walczyli też o zapłatę.

Którejś nocy w sali barowej w Worcester Ned opowiedział swemu przyjacielowi o Lily.

- Jest to najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem. Czy potrafisz wyobrazić sobie jakiś powód, dla którego tak cudowna, młoda dziewczyna jak ona - mająca jeszcze wszystko do przeżycia - miałyby umrzeć, Harry?

Harry potrząsnął głową.

- Zapomnij o niej, Ned, ja ci to radzę. - Wygląda na to, że ona narobi ci kłopotu.

- Nie potrafię o niej zapomnieć. - Ned przypomniał sobie jej szafirowe oczy, pełne usta i to, jak czuł ją w swych ramionach. - Muszę do niej wrócić - powiedział, podnosząc się ze stołka barowego.

Harrison chwycił go za ramię.

- O nie, mylisz się, masz dziś wieczorem występ, i obowiązek wobec nas wszystkich. Nie możesz uciekać po prostu dlatego, że jakaś tam dziewczyna - najzupełniej obca, którą tylko przypadkiem wyratowałeś z morza - mogłaby umrzeć. Poza tym ona nie potrzebuje usychającego z miłości romantycznego młodzieńca, który traci czas u jej łoża. Uwierz mi, kobiety nie lubią, by je oglądać, kiedy są chore. Odłóż to do czasu, gdy będzie w swej najlepszej formie.

Ned Sheridan miał dopiero dwadzieścia trzy lata, lecz w jego życiu było już kilka kobiet.

A niektóre z nich nawet kochał. Nadal pamiętał swoją pierwszą prawdziwą miłość oraz pierwszą w życiu dziewczynę, z którą się kochał. Przypomniawszy sobie pełne drżenia wyczerpanie, jakie odczuwał namiętnie romansując z Jeanette i czyste uczucie miłości do córki profesora w Brown. Nigdy jeszcze nie doznawał tej ogarniającej serce i trawiącej go żarliwej miłości - i wiedział, że nigdy nie dozna jej po raz drugi.

Westchnął. Harrison miał słuszość, nie mógł zawieść zespołu. Zdawał sobie sprawę, że nie zna Lily, ale to nie powstrzymało go od nieustannego myślenia o niej i powiedział sobie, że pewnego dnia, gdy będzie sławnym aktorem, osiągnie bogactwo i powodzenie, a wtedy poda jej na złotej tacy cały świat.

W domu przy ulicy Głównej panował spokój. Promień styczniowego słońca kładł świetliste plamki na zielono-białej kołdrze zrobionej przed ponad stu laty przez babcię Alice Sheridan, dotykając swym ciepłem twarz Lily. Otworzyła oczy i wpatrując się w przejrzyste, błękitne zimowe niebo, które rysowało się w lśniących wielotaflowych oknach, zastanawiała się, gdzie jest.

Zaintrygowana, rozejrzała się po pokoju. Ściany były jednolicie białe; widziała grube belki stropowe i drewniane podłogi, wielobarwny gałgankowy dywan i fotel bujany. Na serwantce stał model statku wielorybniczego w butelce, a nad nim wisiał haftowany napis w ramie z ciemnego drewna.

Przypominało to pokój, który kiedyś widziała we śnie; pamiętała go, a jednak nie znała. Popatrzyła na swoją prostą bawełnianą koszulę nocną i na ręce bezsilnie leżące na kołdrze i zadała sobie pytanie, czyżby kochany papcio wysłał ją mimo wszystko do szkoły. A wtedy ujrzała swoje dwa kufry, trochę zdeformowane po morskiej kąpieli, stojące w kącie i koszmarne wypadki z przeszłości rozbłyły w jej świadomości.

Wpatrywała się w przepastne cedrowe kufry, przypominając sobie, jak przerażone pokojówki napychały je wszystkim, co im wpadło w ręce. Co nie zmieściło się do środka, ojciec polecił spalić. Jej konie do polowania z gończymi zostały sprzedane, a kuce z Connemara zesłano do innego hrabstwa - ojciec bowiem nigdy by nie skrzywdził konia - i jedynie ukochanym psom Lily pozwolono zostać, ponieważ Ciel rzuciła się z łkaniem papciowi do nóg, argumentując, że należały również do niej.

W tych kufrach było wszystko, co pozostało z jej przeszłości. Z wyjątkiem jednej rzeczy. Dziecka. Przesunęła dłońmi po niezaprzeczalnej krągłości swego brzucha, wiedząc, że przez cały czas ono tam jest, czerpiąc z niej życie niczym pasożyt i wiedziała, że nigdy nie będzie zdolna spojrzeć w jego twarz.

Zepchnęła okrycia, spuściła nogi i próbowała niepewnie stanąć. Kolana pod nią zadrżały i opadła z powrotem, wydając jęk na wspomnienie katastrofy, Finna, który próbował wydrzeć z niej życie, lodowatej wody zamykającej się nad jej głową, i tego, jak pogrążała się coraz głębiej, wiedząc, że umiera.

- I powinnam była! - wykrzyknęła żałośnie. - Powinnam była umrzeć za moje grzechy. - Rzuciwszy się na chłodną płócienną poduszkę, zapłakała za utraconą przeszłością i z obawy przed przyszłością.

Alice Sheridan weszła szybko po schodach na górę. Usiadła na krawędzi łóżka i otoczyła ramionami Lily.

- Już dobrze - powiedziała, poklepując ją uspokajająco po plecach, tak jak klepała swoje dzieci, kiedy te okazywały się nieposłuszne. - Jesteś teraz bezpieczna, a ja ci obiecuję, że wszystko skończy

się dobrze. Zajmiemy się tobą. Możesz zostać z nami tak długo, jak zechcesz. Będziesz dla mnie jedną z moich córek.

Nie mogła powiedzieć nic bardziej pocieszającego. Lily przestała szlochać i spod rzęs spojrzała na nią z nadzieją. Nie wiedziała, kim jest Alice, lecz były to pierwsze ciepłe słowa, jakie usłyszała od chwili, gdy została wygnana.

Potem potrząsnęła żałośnie głową.

- Nie - zaszlochała. - Gdy się dowiecie o mojej niktzemności, też nie będziecie mnie chcieli. Wyrzucicie mnie tak samo, jak moja własna rodzina.

- Drogie dziecko! - wykrzyknęła wstrząśnięta pani Sheridan. - Oczywiście, że cię nie wyrzucę. I jesteś o wiele za młoda na to, żeby być niktzemną.

Lily patrzyła na nią. Zobaczyła szczupłą kobietę o pełnej słodyczy twarzy, ubraną z prostotą i o dłoniach zaczerwienionych od pracy. Brązowe oczy pani Sheridan przepelniało współczucie, ale Lily wiedziała, że gdy powie jej prawdę, ta odeśle ją precz z bezpiecznego schronienia.

Pani Sheridan strzepnęła poduszki i ułożyła ją znów w łóżku.

- Chorowałeś tak bardzo, że obawialiśmy się, iż możemy cię stracić - powiedziała. - Ale Bóg odesłał cię nam i nie pozwolimy ci odejść tak szybko. Musisz wypić trochę rosołu i w mgnieniu oka zaczniesz zdrowieć.

Rosół przyniosła mała, jasnowłosa dziewczynka, która przyglądała się Lily ciekawie i powiedziała, że nazywa się Betsy Sheridan, ma dziesięć lat, i że zabroniono jej mówić już więcej.

Jako następna odwiedziła ją siedemnastoletnia Abigail, blondynka o delikatnej cerze, jasnooka jak jej siostra; przyszła z nieśmiałym uśmiechem, aby zabrać z powrotem tacę.

- Tak się cieszymy, że czujesz się już lepiej, droga Lily - zapewniła gorąco, oczy Lily zaś zamglily się łzami, gdy pomyślała ze zdumieniem, dlaczego tych najzupełniej obcych ludzi miałyby obchodzić, czy ona żyje, czy umarła, skoro jej rodzzonego ojca to nie obchodzi.

Leżała nie śpiąc przez całą noc i myślała, co ma im powiedzieć. Sheridanowie znali tylko jej nazwisko i wiedzieli, że jechała do swej kuzynki w Nowej Anglii, u której miała zamieszkać. Mogła więc zmyślić dowolną historię, a oni jej uwierzą. Spędziła noc budując opowiadanie o swej przeszłości po to, by Sheridanowie nie wyrzucili jej ze swego spokojnego, małego raju.

Gdy następnego ranka pani Sheridan przyszła ze śniadaniem na tacy, Lily rzekła pokornym tonem:

- Nie mam jak odwdziaczyć się wam za całą waszą dobroć i muszę wytłumaczyć, dlaczego. - Pani Sheridan usiadła na skraju łóżka, by jej wysłuchać, a ona rzekła:

- Widzi pani, ja wyszłam młodo za męża. Miałam dopiero siedemnaście lat, a on był żołnierzem w armii królowej, niewiele starszy ode mnie, i tak przystojny, dobry, i łagodny... Tu zawahała się, jak gdyby nawet mówienie o nim sprawiało jej ból, a potem ciągnęła dalej smutnym głosem.

- Byliśmy w sobie zakochani, ale mój ojciec - bardzo utytułowany i bogaty, miał ogromne posiadłości ziemskie i wspaniałe domy, mój młody kapitan zaś nie miał niczego. Ojciec powiedział mi, że wyszłabym za męża poniżej mego stanu i nie wyraził zgody na ślub. Ale, pani Sheridan, miłość nie zważa na podobne sprawy. Teraz wiem, że to było niewłaściwe, ale wtedy uciekliśmy i wzięliśmy ślub, i czuliśmy się tacy szczęśliwi. A gdy stwierdziłam, że... gdy stwierdziłam, że spodziewam się dziecka, poczułam pewność, że moja rodzina będzie się cieszyć razem z nami i znów nas powita u domowego ogniska. Ale tak się nie stało. Oni za mknęli przede mną swe serca. A kiedy miesiąc później mój ukochany, młody mąż zginął w wypadku, nie chcieli nawet przyjść na jego pogrzeb.

Wpatrzyła się żałośnie w Alice Sheridan.

- Nie chcieli mieć więcej nic wspólnego ze mną ani z jego dzieckiem. Nic mi nie zostało, tylko odrobina pieniędzy i te dwa kufry z moimi rzeczami. Sama więc pani widzi, pani Sheridan, że nie istnieje żadna „krewna” w Nowej Anglii. To była po prostu bajeczka. I dlatego podróżowałam samotnie, bez przyzwoitki na tym sfatygowanym, starym statku handlowym. Zmierzałam do Ameryki, jak cała reszta biednych irlandzkich imigrantów, mając nadzieję, że w Nowym Kraju znajdę dla siebie lepsze życie.

Zwiesiła głowę.

- Gdyby nie wzgląd na dziecko, mąż mój nie podjąłby nowego za dania wojskowego. Miało ono przynieść więcej pieniędzy, ale musiał wyjechać za granicę. I właśnie podczas tej podróży został zabity. Widzi więc pani, że to wszystko z winy dziecka. Przez nie mój mąż zginął. Nie chcę dziecka, które noszę - powiedziała gwałtownie. - Raczej umrę, niż spojrzę na nie. - chociaż kłamała mówiąc o tym, co się wydarzyło, na temat dziecka mówiła prawdę. Nie mogłaby znieść spoglądania na dziecko człowieka, który zrujnował jej idealne życie.

Alice zdruzgotana, potrząsnęła głową. Potem rzekła pocieszającym tonem:

- Zapamiętaj tylko jedno, moja droga. Za każdym razem, gdy rodzi się dziecko, ma miejsce cud; i w jakiś sposób miłość się rodzi wraz z dzieckiem.

Otoczyła ją ramionami, a Lily złożyła głowę na jej ramieniu. Po raz pierwszy odkąd została wypędzona, miała okazję zaznać ciepła płynącego z kontaktu z człowiekiem i uczucia, zaszlochała więc z ulgą. Skoro ona nie mogła umrzeć, to choć dziecko znajdzie szczęśliwy dom u Sheridanów. Nareszcie się uwolni od Dermota Hathawaya.

Serce w niej zamarło, gdy pomyślała o Finnie i Danielu i kiedy Obediah Sheridan przyszedł jej powiedzieć, że utonęło wiele kobiet i dzieci.

- Ludzie z naszego miasta zorganizowali zbiórkę pieniędzy dla tych, co przeżyli - powiedział - i w kilka dni później uratowani odpłynęli do Bostonu, by rozpocząć nowe życie. Westchnął, ze smutkiem rozważając ich trudną sytuację. Przynajmniej mieli jedzenie w żołądku i przyzwoite ciepłe ubrania zamiast swych nędznych łachmanów. I trochę pieniędzy w kieszeni, żeby od czegoś zacząć.

Ale Lily nie słyszała go. Wyobrażała sobie, jak lodowato zimne, zielone fale zamykają się nad głową Finna, widząc go pogrążającego się głębiej, coraz głębiej, z martwymi szarymi oczyma, które szeroko otwarte patrzą w nicość. Wiedziała jednak, że Finn potrafi pływać jak foka. A także, że jest silny. On i Daniel wypływali w głąb zatoki niezależnie od pogody, by złowić ryby na kolację, a on wywracał się z łódką więcej razy, niż warto było pamiętać. Po prostu nie mógł umrzeć. Nie jej przyjaciel. Nie jej przystojny, pełen brawury Finn.

24.

Maudie

Ardnawama

Byłam zmęczona, a skoro bohaterowie mojej opowieści mieli właśnie rozpocząć nowe życie w Nowym Kraju, wydało mi się rzeczą stosowną zostawić tego wieczoru historię Lily w tym miejscu. Wiele lat minęło od czasu, gdy przebywałam w towarzystwie młodych ludzi, ich energia budziła moje zdumienie. Całą noc spędzali na rozmowie, chwytali jedną lub dwie godziny snu - i już byli na dworze, na porannej przejażdżce galopem, zupełnie tak, jak Finn i Lily. Pomijając fakt, że Eddie nie umie jeździć konno. Shannon zabrała się do uczenia go, no i jest bardzo zadowolona z faktu, że ma nad nim jakąś przewagę.

No, ale proszę: mówię tak, jakby Shannon i Eddie zakochali się w sobie. Zastanawiam się, co mogło sprawić, że taki pomysł przyszedł mi do głowy? Przypuszczam, że po prostu sobie marzę. Choć byłoby to miłe. Położyłam się do łóżka i opadłam z ulgą na poduszki, przysłuchując się odgłosom nocy na wsi. Mieszczuchy zazwyczaj narzekają, że wiejskie noce są zbyt ciche, lecz zawsze są tu jakieś pohukujące sowy i szczekające lisy, rżące konie i wiatr wzdychający wśród gałęzi. Czasami robi się z tego kakofonia.

Nie mogłam spać, a gdy się obudziłam, padał deszcz. Poranne powietrze wpadające przez okno było zimne, a morze ginęło we mgle. Z niepokojem pomyślałam o swych różach i wstałam z łóżka, by rzucić na nie okiem, lecz stwierdziłam, że nogi mi się trzęsą jak galareta. Znienacka zrobiłam się słaba niczym źrebiątko, więc znów opadłam na poduszki. Po kilku minutach byłam zmuszona przyznać, że czuję się dziwnie: serce mi waliło, w głowie wirowało, a ręce się trzęsły.

Nerwowo nacisnęłam guzik dzwonka umieszczony obok łóżka i po kilku chwilach usłyszałam Brygidę pośpiesznie wchodzącą po schodach, a potem szybki trucht na korytarzu. Jej wellingtony na gołych deskach wydają odgłosy zabawnego klepania, zawsze więc wiem, kiedy to ona nadchodzi, lecz z drugiej strony kto inny mógłby to być w obecnych czasach?

- Przesadziłaś pani z tym - rzekła piorunując mnie wzrokiem, a ja opadłam potulnie na poduszki, czując się znowu dzieckiem. - Za dużo balowania i za dużo siedzenia po nocach. Czy nigdy pani nie pojmie, że jest starą kobietą i nie zacznie postępować tak, jak trzeba w tym wieku?

Nigdy nie zachowywałam się stosownie do wieku, o czym ona wie, i nie zamierzam zaczynać tego teraz, lecz widziałam wyraz zmartwienia w jej brązowych oczach i wiedziałam, że ta stara pannica kocha mnie tak, jak ja ją kocham. Co my byśmy zrobiły bez siebie nawzajem? Serce we mnie drży na samą myśl o tym. Jedna dla drugiej jest liną ratowniczą, jedna dla drugiej - ogniwem łączącym z przeszłością i naszymi wspomnieniami. A gdy się jest w moim wieku, ma się więcej przeszłości niż przyszłości. Przesiadujemy w zimowy wieczór przed kuchennym kominkiem, wśród psów i kotów, pijąc za swoje zdrowie szklaneczkę whisky, by uchronić się przed zimnem i by podsycać wspomnienia, gdy rozmawiamy na temat „pamiętasz, kiedy...” Brygida zna wszystkie moje wspomnienia tak gruntownie, jak ja znam jej. Choć muszę wyznać, że moje są bardziej pasjonujące.

Oczywiście to ona była ostoją, kiedy przed kilku laty odkryłam ten guzek w swej piersi, a lekarz powiedział, że trzeba go usunąć. Pojechałam do domu, rozebrałam się i zaczęłam się wpatrywać w swoje odbicie w lustrze, w te dwie okrągłe rzeczy, przez cały czas małe, lecz nadal jędrne i ładne. Piersi zawsze stanowią przedmiot kobiecej dumy, są symbolem kobiecości, potencjalnej karmicielki niemowląt i źródłem przyjemności większej, niżbym kiedykolwiek mogła się do niej przyznać przy ludziach. Wyznaję, że ogarnęła mnie litość dla samej siebie.

Zbiegłam wtedy po schodach do kuchni, do Brygidy, a ona wyczytała z mej twarzy, że potwierdziły się najgorsze przypuszczenia i przyłgnęłyśmy do siebie, płacząc.

- Musisz być silna, Maudie - rzekła do mnie, a ja wiedziałam, jak bardzo jest poruszona, skoro zwraca się do mnie po imieniu, a nie bez osobowo lub przez „pani”, którego używa, kiedy jest na mnie wściekła. I skoro okazuje mi też otwarcie przywiązanie, czego nie robimy nigdy. Powiedziałam jej, że zamierzają to wyciąć.

- Masz serce lwa, Maudie. Będziesz zdrowa - rzekła z żarem. A potem dodała: - Czy nie ma innego sposobu?

- Naświetlanie i chemioterapia - odpowiedziałam. - Pięćdziesiąt procent szansy. Wypadną mi włosy, przez cały czas będę jak obity pies i zbyt słaba, by dosiąść konia.

- Możesz sama wybierać? - Skinęłam głową. Zastanawiała się chwilę. - Nigdy nie miałam zaufania do noża - to wszystko, co wreszcie powiedziała.

Tak więc wybrałam chemię. Nawet wówczas nie wyleczyli mnie z mojej próżności. Pojechałam do Londynu, do jednej z tych osób, które zważają „najlepszymi stylistami” i zamówiłam sobie najbardziej wyzywającą rudą perukę, długą i kędzierzawą - wyglądałam w niej jak Ann-Margaret. No i kupiłam tuzin jedwabnych nocnych koszul i puszystych peniuarów oraz kilka setek książek, tak żebym przez cały czas mogła uważać, że jest tak, jak kiedy byłam małą dziewczynką, która zachorowała. Wszyscy moi przyjaciele przyjeżdżali do mnie, i to codziennie. Nawet w te dni, gdy nie czułam się na siłach spotkać się z nimi, gromadzili się w pobliżu, tak jak zawsze to robiliśmy jeden dla drugiego. Po prawie dwóch latach miałam tego powyżej uszu, czując się jak na mękach piekielnych. Mogę was jednak zapewnić, że absolutnie nie chciałam umierać. Do diabła, nie! Chciałam znowu osiąść szalonego Malachy, a poza tym nic nie było w stanie zabrać mnie z Ardnavy tak łatwo.

Gdy powiedziano mi, że nastąpiła remisja, udałam się wprost do Dublina i kupiłam sobie całą górę jedwabnej bielizny, co wprawiło w zdumienie sprzedawczynię u Browna Thomasa.

- Otóż to - rzekłam im, patrząc z satysfakcją, jak podsumowują mój ogromny rachunek. - Teraz czuję się lepiej. A wracając do mojego deszczowego poranka. Brygida zatrzymała mnie w łóżku i przespałam cały dzień, lecz nie zgodziłam się zrezygnować ze spotkania wieczorem z moją publicznością.

Włożyłam swą najlepszą nocną koszulę-z atłasem, który jest moim ulubionym materiałem na strój nocny, różową, gdyż ten kolor schlebia bladej skórze, a w każdym razie podoba mi się to, że tak pięknie kłóci się on z moimi szkarłatnymi włosami. Dodałam do tego muśnięcie różowej szminki i odrobinę perfum, i spięłam na ramionach swoją starą gronostajową pelerynkę. Gdy potem oba młode stworzenia przestąpiły razem progi mojej sypialni, wyglądałam, jakbym miała wyjść do nocnego klubu.

Byli już po kolacji zjedzonej wspólnie - zgodnie z moim poleceniem - przy świetle świec, ponieważ ostatecznie nieco blasku świec nigdy nie zaszkodzi urodzie dziewczyny, no i przyznaję, że staram się rozwinąć każdy najlżejszy cień romansu między moimi „dziećmi”. Wydali się onieśmieleni tym, że leżą w łóżku, a zauważyłam, że podchodząc ku mnie, trzymali się za ręce. „Oho” - pomyślałam, lecz nie rzekłam nic. Dogadywanie nigdy nie robi dobrze początkom romansu; wszystko wtedy jest takie na serio...

Przepędziłam dalmatyńczyki, aby zrobić dla nich miejsce w krańcu mojego dużego łóżka z baldachimem. Shannon usiadła po turecku, patrząc na mnie wyraźnie z niepokojem i poczułam się wzruszona widząc, że ją obchodzi. W miarę, jak mijał dzień za dniem, lubiłam ją coraz bardziej i teraz żałowałam, że nie poznałam jej ojca lepiej. Jeden krótki, przelotny kontakt z tak dynamicznym człowiekiem, to za mało.

Eddie przyciągnął bliżej stary fotel. Ułożył na nim w poprzek swą długą postać i przerzucił nogi nad poręczą. Porusza się tak, jak przystało na aktora: każdy ruch jest naturalny, niewymuszony i pełen swoistego męskiego wdzięku. Lubię także jego poczucie humoru.

- Uwielbiam pani strój, Maudie - rzekł z szerokim uśmiechem, a ja dumnie pogłodziłam gronostaje. Czuję się w nich zawsze jak w futerku z królika, pomimo że swego czasu kosztowały fortunę. Rzecz jasna wtedy, kiedy jeszcze nosiło się futra.

- Dziękuję - powiedziałam, ponieważ mamusia nauczyła mnie, żeby zawsze grzecznie przyjąć komplement, zamiast zbywać go czymś w rodzaju „Och, ten stary ciuch?”, jak robi to wiele

dziewcząt.

- Dziś, moi drodzy - rzekłam - nasi bohaterowie rozpoczynają nowe życie, tak że pójdziemy za każdym z nich, by zobaczyć, jak sobie dają radę. Zaczniemy od Daniela i Finna, którzy są w Bostonie.

Boston, 1883

Styczeń w Bostonie był przejmująco zimny, ale w nędznych slumsach Północnej Dzielnicy wydawał się jeszcze zimniejszy. Wąskie kocie łby były śliskie od warstwy lodowatego śniegu z deszczem, kiedy Daniel O'Keeffe przygnębiony przemierzał drogę powrotną ku maleńkiej piwnicy bez okien, w której mieszkali.

Drewniane chaty opierały się o rozsypujące się ceglane domy, które kiedyś należały do lepiej sytuowanych kupców Bostonu. Rzecz jasna, zanim jeszcze przyszli Irlandczycy, tłocząc się blisko nabrzeży, gdzie wysiedli ze swych łódek, w każdym zaułku i szparze, która dawała im schronienie. Imigranci przybyli w takiej liczbie, że zaci ni obywatele Bostonu zmuszeni byli wynieść się ze swych domów do Beacon Hill lub Back Bay, by znaleźć tam czystsze i zdrowe powietrze, z dala od irlandzkich woni ubóstwa, i chorób, i rozpaczy.

Nikt jednak nie czuł się bardziej zrozpaczony niż Daniel, gdy tak schodził wolno po połamanych stopniach, które prowadziły do jego nowego „domu” - ciemnej i wilgotnej piwnicy. Było tam pusto, pomijając sterty słomy i kawałki workowej tkaniny rozpostartej na podłodze w charakterze łóżek oraz drewnianą pakę, która służyła jako stół, przy czym w środku panował prawie taki sam chłód, jak na zewnątrz.

Pchnięciem zamknął za sobą wątle drzwi, mając nadzieję odciąć tym ostry północny wiatr, który zapowiadał w niedługim czasie śnieg głęboki na stopę. Finna nie było w domu, zapalił więc jedną świecę i podziękował Bogu za chwilę zwłoki. Oznaczało to choć tyle, że jeszcze nie zaraz musi mu powiedzieć o tym, że zgłosiło się ponad stu innych mężczyzn chętnych do tej samej pracy, jaką on miał nadzieję dostać w brygadzie robót drogowych. Skwapliwie przepychał się do przodu w nadziei, że jego muskularna budowa przyciągnie uwagę brygadzysty, ale znalazło się tam mnóstwo innych muskularnych Irlandczyków i dziesięciu z nich wybrano szybko, nim zdołał zwrócić na siebie uwagę.

Niskie sklepienie piwnicy zmuszało go do stałego schylania głowy. Daniel otoczył dłońmi płomień świecy, aby je ogrzać. W brzuchu zaburczało mu gniewnie z głodu. Minęły już dwadzieścia cztery godziny, odkąd jadł po raz ostatni, jeśli jedzeniem dałoby się nazwać postny, mazisty gulasz za parę centów w knajpie na rogu. Kilka kolejnych centów przyniosło pocieszenie w postaci łyka whisky, która pobudziła krew do szybszego krążenia i na chwilę odegnała zimno.

Wątle przepierzenie oddzielało ich komórkę od sąsiedniej, gdzie w jednej izbie, nie większej niż ich własna, mieszkała cała rodzina złożona z męża, jego żony i szóstki dzieci, którym płacili swe komorne w wysokości dolara tygodniowo. Dan mógł słyszeć dzieciarnię wrzeszczącą i tłukącą się, i porywczą matkę drącą się na nich, ale tak już do tego przywykł, że prawie niczego nie słyszał. Cały budynek - jak wszystkie na tej ulicy - wypełniony był takimi małutkimi norami, w których duże rodziny walczyły o zachowanie swej godności i normalności na powierzchni ośmiu metrów kwadratowych. Zastanawiał się, jak wiele z nich gorzko żałuje, że nie może cofnąć wskazówek zegara i zamienić tej strasznej nowego rodzaju nędzy na starą, znajomą biedę w Irlandii.

Popatrzył na stertę słomy w rogu, wiedząc, że pod spodem leży fortuna, która mogłaby całkowicie zmienić ich życie. Przez ileż to nocy obserwował Finna, jak szpera w swej kryjówce i wyciąga diamentowy naszyjnik Lily Molyneux, i przesuwa go przez palce. Daniel zauważył jak

klejnoty, niczym ludzie, wydawały się tracić swój blask pod warstwą brudu. Słuchał Finna, który powtarzał z jadem jak to, gdyby ją kiedykolwiek zobaczył raz jeszcze, owinie tenże sam sznur bezużytecznych diamentów do koła pięknej, białej szyi Lily i udusi ją. Ponieważ diamentowy naszyjnik okazał się dla nich równie bezwartościowy jak tania imitacja z masy.

Zaraz gdy przyjechali, Finn z zapalem przemierzył całą drogę do wytwornej części miasta, by znaleźć eleganckiego jubilera. Ubrany w swoje sztruksowe portki, szorstką tweedową marynarkę i czystą koszulę, z wełnianym szalikiem obwiązany wokół szyi - wszystko to darowane biednym irlandzkim uchodźcom z litościwego serca przez mieszkańców Nantucket - czuł się na tyle wspaniały, że mógłby sprostać wszystkiemu, aż do chwili gdy przekroczył próg wyścielonego pluszem sklepu jubilerskiego.

Kiedy wytworni sprzedawcy w swych porannych ubraniach utkwili w nim wzrok, zapadła cisza. Przyglądali mu się z takim przerażeniem, że aż spojrzał na siebie, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy przypadkiem nie zostawił przez nieuwagę rozpiętego rozporka. Wszystko jednak wyglądało tak jak trzeba, zdejmując więc z uszanowaniem czapkę, podszedł ostrożnie do lśniącej oszklonej witryny.

Wesołym tonem powiedział „dzień dobry” i z uśmiechem rozejrzał się, oczekując odpowiedzi, lecz nic nie usłyszał. Uśmiech znikł z jego twarzy, gdy dwóch spośród sprzedawców otoczyło go szybko, każdy po jednej stronie.

- Nie chcemy tu takich jak ty, którzy żebrzą. Wynoś się natychmiast, zanim wezwiemy policję.

Pełnym nienawiści pchnięciem wyrzucili go na zewnątrz na chodnik i dla pewności zamknęli za nim na klucz przeszklone drzwi.

Groźba zawołania glin dźwięczała mu w uszach jak dzwony na trwogę, gdy wracał, zbiegając ze wzgórz. Zbyt późno zdał sobie sprawę z tego, że, oczywiście, takich ludzi jak on nie wpuszcza się do wytwornych sklepów i dziękował Bogu, że nie pokazał im naszyjnika, ponieważ z pewnością pomyśleliby, że go ukradł, a wtedy niewątpliwie kazaliby go aresztować.

- Ale ty go ukradłeś - rzekł nieustępliwie Daniel, gdy tamtego popołudnia Finn opowiadał mu całą historię. - I Bóg widzi, że to prawda.

- Nie, to nie jest prawda - odparował gwałtownie Finn. - Ona jest nam to winna. O tak, i jeszcze więcej. - I natychmiast wyszedł znowu do miejscowego lombardu, wiedząc, że tu otrzyma mniej pieniędzy, ale w końcu coś dostanie. Powiedział sobie, że później, gdy znajdzie pracę i sam osiągnie wspaniały sukces, będzie mógł odzyskać naszyjnik. Wówczas, zważywszy jego nowo nabyte powszechne poważanie, nikt nawet nie pomyśli, by zapytać go, skąd ma tak cenną sztukę biżuterii. Ale właściciel lombardu popatrzył nań podejrzliwie, a potem rzekł, że nie przyjmuje rzeczy tak drogich jak ta. Gdyby gliny przyszły tu myszkować, kosztowałyby go to więcej, niż warte jest jego życie.

- Niech no znajdą u mnie coś takiego - przestrzegł Finna - a skończę w więzieniu, razem z tobą.

I tak naszyjnik został wrzucony pod słomę, równie bezużyteczny jak pusta butelka po whisky: można go wywlec i płakać nad nim po kilku drinkach. A teraz, po sześciu tygodniach od przyjazdu, wszystkie pieniądze, jakie otrzymali w datku, zostały już wydane.

Daniel popatrzył w górę, słysząc dźwięk podkutych ćwiekami butów na lodowatych stopniach: to wszedł brat. Jego przystojna, młoda twarz była ściągnięta z zimna i pokryta kilkudniowym czarnym zarostem, lecz w jego szarych oczach widniał promienny uśmiech, do piersi zaś przyciskał kilka owiniętych w papier pakunków.

- Spójrz na to, Dan - wykrzyknął, rzucając pakunki na drewniane pudło. Zatarł ręce i tak jak Daniel, potrzymał je przy świecy, by je ogrzać. - Znajdziesz tam świeży bochenek - nic z tych wczorajszych odpadów, cośmy mieli. I najlepsze irlandzkie masło, oraz ćwierć kilo niemieckiej kielbasy z delikatesów na ulicy Północnej. - Sięgnął do wnętrza swej marynarki i wyciągnął butelkę irlandzkiej whisky, po czym umieścił ją na pudle. - To cię rozgrzeje, stary brachu - powiedział szczerząc zęby, gdy Daniel gapił się w osłupieniu to na niego, to na whisky, i znów na niego. - A zanim zapytasz, już ci opowiadam. Wymieniłem dziś na dolary dwa z angielskich suwerenów Lily. Przykucnął obok drewnianej paki, opowiadając Danowi, co się wydarzyło.

- Wszedłem do kościoła świętego Stefana, by schronić się przed zimnem i sprawdzić, czy ten stary święty Jegomość na górze pokaże mi jakieś rozwiązanie dla nas, skoro widzi więcej niż my sami. Ale nic się nie działo, a zakrystian spoglądał na mnie krzywo, bo byłem już tam tak długo. No to wyszedłem i jakiś czas chodziłem po ulicach, a potem po wędrowałem na wzgórze. - Podekscytowany, patrzył na Daniela, promieniejąc na twarzy. - I znalazłem się przed bankiem. Nagle pomyślałem: „Mam te pięćdziesiąt suwerenów zawiązane wokół pasa, po co je trzymać, żaden z nich dla mnie pożytek, no to czemu by nie poprosić w banku, śmiało jak trzeba, żeby je zamienili na dolary”.

Otworzywszy whisky, pociągnął łyk i podał butelkę Danielowi.

- Zrobili to w ogóle bez pytania. I czy wiesz, ile dostałem za te dwa małe złote suwereny?

Daniel pokręcił głową, a Finn wyszczerzył doń zęby w triumfalnym uśmiechu.

- Dziesięć calutkich jankeskich dolarów stary, oto ile za nie dostałem. - Wpatrywał się w podnieceni w oczy brata. Czy wiesz, ile mam zawiązane wokół pasa, chłopaku? Znaczy się, ile to warte? Tyle co dwieście czterdzieści dolarów. Fortunę, Dan. Całą cholerną fortunę.

Daniel gapił się na niego oniemiały. Pracujący mężczyzna miał szczęście, jeśli zarobił dziesięć dolarów tygodniowo, żeby móc mieszkać, wyżywić i ubrać siebie samego, swoją żonę i liczne dzieci. A oni posiadali suwereny warte dwieście czterdzieści dolarów. - Moglibyśmy za to żyć dwa lata i cztery miesiące - obliczył szybko Dan, nagle podniecony tak samo, jak jego brat. Podniósł butelkę do ust i pociągnął duży łyk. Ulga i whisky sprawiły, że poczuł słabość w nogach, pociągnął więc kolejny łyk, by dojść do siebie.

- Uratowałeś nas, bracie - wykrzyknął z zachwytem. - Uratowałeś nas od nędzy, bo ja znów nie dostałem dziś roboty i przysięgam ci, że byłem u kresu sił, wysyłając do piekieł Lily Molyneux razem z tobą. - Oczy zaszły mu mgłą, gdy pomyślał o rodzinnym kraju. - No tak, i chciałem wracać do domu, Finn - dodał ponuro. - Chciałem być na powrót w Connemara, w lasach, polując na bażanty, bekasy i kuropatwy. W Bo stonie chodziłem po ulicach, ale ich nie widziałem. Widziałem tylko siebie, jak ciągnę łososa z rzeki w tym spokojnym rewirze pod wierzbami; ty wiesz, o którym miejscu mówię?

Finn wzruszył ramionami. Miał w kieszeniach pieniądze i czuł się innym człowiekiem. Gotów był wziąć się za bary z całą Północną Dzielnicą, i z miastem Boston - i z całą Ameryką też, jeśli zajdzie potrzeba. Zamknął uszy na pełne żalu wspomnienia brata o Ardnavamie i powiedział niecierpliwie.

- Ty zapominasz, że byliśmy biedni jak pierwszy lepszy Irlandczyk. I że za jedno niewłaściwe spojrzenie czy słowo jego lordowska mość mógł cię dać na powrót do sprzątanía końskiego gówna. - Poklepał się po kieszeni i rzekł pewny siebie: Mamy teraz w kieszeniach więcej pieniędzy, bracie, niż mielibyśmy kiedykolwiek w Connemara. To jest to, o czym mówią „złota okazja”. Te suwereny są złote i to jest nasza okazja.

- Coś ci powiem - wykrzyknął, ogarnięty podnieceniem płynącym z nowo zdobytego bogactwa. -

Uczymy to, Dan. Pójdziemy do kafejki Włocha i najemy się tyle, ile nasze brzuchy zdołają wytrzymać. A potem pójdziemy do knajpy.

Dan kiwnął głową na zgodę. Dźwignął się na nogi i, już gotów iść, zawiązał swój cienki szalik na szyi w pogotowiu, lecz Finn rzekł:

- Poczekaj chwilę, ściągnę z góry Roryego, by poszedł z nami. Ruszył pędem po schodach prowadzących w głąb kamienicy i nie zatrzymując się, przebiegł przez trzy kondygnacje, po czym ciężko załomotał w drewniane drzwi. Zapadła cisza, gdyż rodzina wewnątrz zastygła w bezruchu. Takie pukanie mogło oznaczać tylko kłopot z policją.

- W porządku, to tylko ja, Finn - zawołał, a drzwi natychmiast stanęły otworem i młody zuch wyszczerzył doń zęby w powitalnym uśmiechu.

Rory ODonovan był młodszy od Finna o rok: miał szesnaście lat i mieszkał tu z owdowiałą matką, braćmi i siostrami, całą siódmką w dwóch mikroskopijnych pokoikach. Okna zabito deskami dla ochrony przed zimnem, więc w izbach - tak jak piwnicy Finna - zawsze panowała ciemność, nadając cerze Roryego woskową bladość, znamionującą imigranta. Rory był chudy, o słabowitym wyglądzie, z ramionami i nogami jak patyki, błyszczącymi ciemnymi oczami, męczył go suchy kaszel, który niekiedy wstrząsał jego wątłą postacią tak straszliwie, że mógłby go rozerwać, jak myślał Finn.

Zszedłszy dopiero co ze statku, który przywiózł jego i Dana z Nantucket, z mizerną liczbą ofiarowanych mu przez wyspiarzy monet po brzękujących jedna o drugą w kieszeni, Finn zatrzymał się, żeby spytać chłopca, czy wie, gdzie można znaleźć tanią kwaterę. Rory skierował ich do piwnicy, a tam klepiący biedę dzierżawcy zgodzili się za sumę jednego dolara tygodniowo podzielić swą piwnicę na dwie części i jedną połowę podnająć chłopcom OKeeffe.

Finn i Rory od razu zostali przyjaciółmi, teraz więc Finn otoczył ręką ramiona Roryego i zaprosił go, by towarzyszył im do Włocha. - Miałem łut szczęścia, chłopaku - dodał, szczerząc zęby. - Ja ci to opowiem potem nad gorącym posiłkiem.

Rory poszedł po czapkę i szalik, a Finn szybko skorzystał z okazji, by wsunąć w rękę pani ODonovan dwa dolary, przykazując jej nie myśleć o zwrocie, bo tam, skąd pochodzą owe pieniądze, jest ich o wiele więcej. Patrzyła za nim z wdzięcznością, kiedy wraz z Rorem zbiegał głośno po rozłupujących się schodach, które cuchnęły kapustą, uryną i niewysłowionym brudem i nędzą. Za te dwa dolary zapłaci to, co winna jest „w księdze” sklepu spożywczego, tak że dostanie nowy kredyt i jeśli będzie rozważna - wyżywi rodzinę przez kolejny tydzień.

- To dopiero zuch, ten młody Finn OKeeffe - rzekła do gromadzących się przy niej dzieci. - Daleko zajdzie, to pewne.

Włoska kafejka była oddalona dobry kawałek drogi, na Ward Eight, ale tego wieczoru nawet nie zwrócili uwagi na odległość ani na zimno, śmiejąc się i rozmawiając w podnieceniu, z czapkami nisko nasuniętymi na oczy i policzkami wciśniętymi w szaliki przed zimnym wiatrem. Wokół wirowało nieco płatków śniegu, ale jakoś nie wydawało się to teraz mieć znaczenie jak przedtem, a Finn po raz pierwszy w życiu czuł tę uderzającą do głowy wolność człowieka zamożnego.

- To mi się podoba, chłopie - zarechotał, poklepując Dana w plecy i szeroko uśmiechając się do Roryego. - Podoba mi się, że mam forszę. Dzięki temu facet czuje się wspaniale. O tak, i jeszcze coś więcej. Tak jakby nic nie mogło cię dotknąć; jesteś bezpieczny od wszystkich nie szczęść i cierpień tego świata. Poklepał złote suwereny przywiązane pod marynarką w skórzanej sakiewce do pasa i westchnął z zadowoleniem. Może i nie będę musiał zabić Lily Molyneux powiedział, mrugając do Dana - i obydwaj zaśmiali się, jakby to był najlepszy dowcip świata, podczas gdy Rory patrzył na

nich ogłupiałym wzrokiem.

- Opowiem ci o tym, gdy będziesz już na to dość dorosły - obiecał mu Finn z kolejnym mrugnięciem, gdy wtoczyli się do zaparowanej małej kafejki z wejściem od ulicy. Uderzający do głowy zapach ziół, korzeni i pieczonych dań sprawił, że ślinka napłynęła im do ust, zamówili więc karafkę ostrego czerwonego wina i wypili je, jedząc plastry salami i marynowane zielone oliwki w oczekiwaniu na posiłek. A kiedy przyniesiono półmiski pieczonego kurczaka i przyprawionej cząbrem polenty, zamilkli, skupiając się najedzeniu tak, jakby to była jedyna rzecz na świecie, jaka się liczyła. Skończyli w rekordowym tempie i Finn z zadowoleniem wyciągnął się w krzesło. Zamówił więcej wina i więcej jedzenia dla swych przyjaciół i pomyślał, że życie nigdy jeszcze nie wydawało mu się tak dobre.

Jego myśli powróciły, jak zwykle, do Lily i znów zaczął się zastanawiać, co się z nią stało. Nie było jej nazwiska na liście uratowanych, wywieszanej w Gmachu Synów Trzeźwości w Nantucket, ale przecież nazwiska lady Lily nie umieszczono by przy zwykłych śmiertelnikach. Tak czy inaczej skończyłaby raczej wraz z ludźmi z jej własnego światka. Zadumał się nad tym, co opowiedział mu jeden z żeglarzy, że widział ją, jak wpadała do morza. Powiedział sobie, że to nie mogła być Lily, że tego rodzaju rzeczy nie zdarzają się dziewczynom takim jak ona; zawsze u jej boku znajdzie się jakiś biedny głupiec, gotowy ją chronić. Był przekonany, że Lily ocalała. Po prostu wiedział o tym. Czuł to w swym sercu.

Po parnym gorącu małej kafejki, ziąb panujący na zewnątrz rąbnął w nich ostrym ciosem. Ich oddechy zawisły na powietrzu, a podbite ćwiekami buty załomotały po czarnym lodzie. Ślizgając się na kocich łbach, klęli na czym świat stoi.

- Za zimno na śnieg - powiedział Rory, gdy mrozący krew w żyłach wiatr świstał na wylot przez jego cienką marynarkę. To była jego druga zima w Bostonie, i wiedział, jak to jest. Później, gdy temperatura wzrośnie o kreskę lub dwie, może sypnąć porządny śnieg, całe tony tego diabelstwa. Z przygnębieniem pomyślał o swych pięciu braciach i siostrach, z których wszyscy potrzebowali nowych butów, i wiedział, że po prostu gdzieś musi dostać pracę. Wszystko jedno gdzie. Robiłby wszystko, co trzeba.

Będziesz pracował z nami, chłopie - powiedział Daniel, w odpowiedzi na jego nieme modły, idąc w szybkim tempie przez obludzone ulice jakby w ogóle nie czuł zimna. Śpiesząc obok niego, Rory zapytał z ożywieniem, co ma na myśli.

- Otworzymy biznes z tymi pieniędzmi - zahuczał Dan z powagą. - Prawda, Finn? - Przystanął i wpatrywał się w pytający wyraz ich twarzy, po czym się zaśmiał. - No, zastanówcie się tylko, chłopaki, czego ludzie najbardziej potrzebują? No jak to, jedzenia i picia, oczywiście. A zaraz po tym ubrania. Portek, spódnic, płaszczy, butów. Z naszymi pieniędzmi otworzymy sklep, chłopcy, a potem jedno jest pewne. Nigdy nie będziemy głodować. Nie z naszym własnym sklepem.

- Myślisz, że starczy nam na to pieniędzy, Dan? - zapytał Finn z ożywieniem.

- Na pewno, ale pomówię z brygadzystą. On mi jasno wyłoży, co robić. - Czule poklepał Finna po plecach. - To wszystko dzięki twojemu szybko myślącemu bratu - powiedział, zapominając, że zawsze oskarżał Finna o to, że ograbił Lily, a jego okazała, przystojna twarz rozbłysła szerokim uśmiechem, gdy pomyślał podekscytowany o pieniądzach, które umożliwią im nowy start w życiu.

Stojąc przy szynkwasio Baru Bradyego Finn rzekł:

- To wspaniały kraj, znaczy się Ameryka. Dają ci pięć razy więcej dolarów niż masz suwerenów, forsa jakby rośnie na drzewach. - Pełen szczęścia, obrzucił spojrzeniem zadymioną salę. Jak zwykle,

była ciasno wypełniona obszarpanymi mężczyznami i zawiniętymi w czarne szale kobietami, siedzącymi nad jedną jedyną szklanką, na jaką z trudem ci ludzie mogli sobie pozwolić, gdyż przynajmniej tu w barze było ciepło, a towarzystwo innych odwracało ich myśli od własnej niedoli. I było tu tysiąc razy lepiej niż w ciemnych, lodowatych norach, które nazywali domem.

- Może zamiast tego trzeba nam otworzyć bar - powiedział Finn do Daniela. - To pewne, że nigdy nie brakłoby nam klientów.

- W Północnej Dzielnicy są aż trzy bary na każdy kwartał zabudowy - zareplikował Dan - i to wszystkie pełne ludzi, którym zostało tylko tyle, by kupić sobie jednego drinka. Jedyne pieniądze, jakie tu się wydaje, to resztki, które pozostały ludziom po nakarmieniu i odzianiu ich rodzin. Nie, chłopaku - powtórzył. - To sklep przynosi forszę; jestem o tym przekonany.

Rory wykrztusił swoją whisky i zaczął kaszleć. Kaszel zmienił się w charczenie, a twarz mu poczerwieniała.

- Najlepiej weź brandy, Rory - podsunął Finn, gdy chłopiec powoli odzyskiwał swój oddech. Rory przygnębiony zwiesił głowę.

- Mój tata umarł z picia. A matka zawsze mówiła, że gdybym miał wdać się w niego, przybije mi gwoździami stopy do podłogi prędzej, niż mnie puści do baru.

- I tu też miała kobieta słuszność - odezwał się tonem akceptacji Finn. - Nie będę zatrudniał żadnych pijaków. Mrugnął do swego przyjaciela, objawszy go krzepiąco ramieniem. - Tylko pomyśl, Rory - powiedział, a twarz mu jaśniała zachwytem siedemnastolatka, gdy tak rozważał ich nagły awans życiowy - pewnego dnia ty, ja i Dan będziemy bogatymi ludźmi.

- Znaczą się, jesteście przy forsie? - zapytał Jack Brady, właściciel baru, opierając się z zainteresowaniem o pokiereszowany drewniany szynkwias, razem z klientami tłoczącymi się wokół, by usłyszeć, komu się udało w tej Ameryce.

- Tak jest - odrzekł Dan ze skromną miną. - Ja i mój brat. Weszliśmy w posiadanie niezłej sumki i będziemy zakładać biznes. Przyjemny mały sklepik, którego, mamy nadzieję, wszyscy będziecie klientami, po nieważ chcemy wam zaoferować najlepsze ceny w Północnej Dzielnicy.

- Dwieście czterdzieści dolarów - wykrzyknął z dumą Finn. W sali zapadła cisza, gdy poklepywał wybrzuszenie widoczne spod marynarki. - Ja i mój brat chcielibyśmy zafundować każdemu z was, rodacy, kieliszek najlepszej irlandzkiej whisky, jaką Brad ma na półce. Aby to uczcić. No i żebyście nie zapomnieli braci O'Keeffe z Connemara, gdy na drugi raz będziecie robić zakupy.

Czterdzieści par oczu spoczęło na nich z niedowierzaniem, gdy Brad rozdawał dokoła szklanki i wzniesiono toast za godny pozazdroszczenia szczęśliwy traf O'Keeffeów. Dwieście czterdzieści dolarów było to więcej, niż ktokolwiek z nich zarobił przez całe swe życie i więcej, niż ktokolwiek z nich w ogóle umiał sobie wyobrazić w postaci jednej wielkiej kupy pieniędzy. Z owacją wychylono whisky, a potem ktoś zaczął grać „Irlandzkiego Wędrowca” na akordeonie, a znów ktoś inny na skrzypcach, a potem na kobzach i fujarkach i zanim można było się spostrzec, już Bar Bradyego huczał pieśnią. Dzięki Danielowi i Finnowi whisky nadal się lała, a Brad uśmiechał się uszczęśliwiony z powodu swej nie spodziewanej dobrej passy, choć powiedział tonem ostrzeżenia do Dana:

- Lepiej nie przepuszczajcie tego wszystkiego w ciągu jednej nocy na trunek, stary druhu, bo nigdy nie będziecie mieć swego wymarzonego sklepu.

Rory skończył whisky i powiedział:

- Muszę wracać, Dan. Moja matka będzie się zastanawiać, co się ze mną stało.

Dan rozmyślał jeszcze nad słowami Bradyego. Wiedział, że właściciel baru ma rację i wiedział, że - gdy on się upije - pieniądze przepłyną im przez palce, zmieniając się w jedną wielką, cudowną bibę, jeśli czegoś z tym nie zrobi. Trącił łokciem Finna i szeptem powiedział, aby dać Roryemu suwereny.

- Weźmiesz ze sobą nasze pieniądze do domu, chłopie, tak, żebyśmy ich wszystkich nie przepuścili - rzekł. - Daj to do schowania swej matce i zobaczmy się jutro rano.

Finn poszperał pod marynarką i podał Roryemu skórzaną sakiewkę z suwerenami. Klepnął go w plecy i zamówił butelkę przyzwoitej brandy.

- Weź to dla matki, Rory - powiedział. - Będzie na podorędziu, gdy zimowy chłód przyniesie choroby i gorączkę. I niech cię Bóg błogosławi, mój stary. Jesteś moim najlepszym na świecie przyjacielem, rzecz jasna, poza moim bratem Danem. I nie zapomnij powiedzieć matce o swej nowej robocie z OKeeffeami. Odwrócił się znów w stronę baru, pobrzękując w dłoni pozostałymi monetami. Rzucając je na szynkwias, powiedział wspaniałomyślnie:

- To twoje, Brady, na wszystko, co da się jeszcze za to kupić, by moi przyjaciele bawili się dalej.

Rozległ się kolejny toast, a muzyka stała się jeszcze głośniejsza i śpiewy jeszcze bardziej wrzaskliwe, gdy podnosili szklanki i wlewali do gardeł whisky niosącą im ciepło i zapomnienie, zatracając się w zachwycie i uroku nowo odkrytego bogactwa OKeeffeów. - O tak, Ameryka jest mimo wszystko cudownym miejscem - mówili sobie, a w sercach rosła im nadzieja, bo skoro jednemu z ich rodaków powiodło się, to z pewnością oni też mieli na to szansę.

Rory nie był pijany. Wepchnął skórzaną sakiewkę zawierającą cenne suwereny braci OKeeffe do kieszeni swej marynarki i przez podchmieloną ciżbę utorował sobie drogę na dwór. Drzwi kołyszącym ruchem zamknęły się za nim i znów przytłoczyła go rzeczywistość nędznych, cuchnących ulic Północnej Dzielnicy. Z tym, że teraz okrywał je biały koc.

Śnieg wirował mu wokół głowy, on zaś uniósł twarz wprost na za dymkę, wystawiając język, by chwytać zimne kryształki śniegu, gdy ślizgając się po kocich łbach wracał do ponurej izby. Tam będzie się gniótł „na waleta” wraz z siostrami i braćmi w barłogu ze słomy, który służył im za łóżka, niczym miot zmarzniętych, wygłodniałych szczeniaków na wiejskim podwórku.

Śnieg stłumił kroki mężczyzny, który podążał za nim, tak że Rory odwrócił się zaskoczony, gdy poczuł ciężką dłoń na swym ramieniu. Płaska tweedowa czapka mężczyzny nasunięta była nisko na oczy, a kędzierzawa czarna broda skrywała dolną część twarzy.

- Co chcecie? - zapytał Rory, lecz w jego głosie zabrzmiał strach, gdyż widząc błysk w oczach faceta i pałkę w jego ręku dokładnie zrozumiał, czego ten mężczyzna chce. Cios trafił go w bok głowy i Rory upadł, nie wydawszy z siebie głosu.

Rzuciwszy szybkie spojrzenie ponad ramieniem, mężczyzna ukląkł nad Rorem i zmarzniętymi palcami gmerał mu pod marynarką, dopóki nie znalazł cennej sakiewki, wciąż jeszcze cieplej od ciała. Podniósł się i przez sekundę popatrzył na chłopca u swych stóp, którego krew broczyła już śnieg. Wyraz rozpacz i udręki przebiegł mu po twarzy.

- Przykro mi, chłopaku - powiedział cicho - ale potrzebuję tego dla mej przymierającej z głodu rodziny. - A potem umknął, poślizgnąwszy się przy rogu na lodzie, biegnąc i biegnąc jak mógł najdalej od Północnej Dzielnicy i od swego nieszczęsnego czynu.

25.

Rory Donovan nigdy już po tym ciosie w głowę nie powrócił do pełnej formy. Mówił zacinając

się, powłóczył nogami po schodach i potykał się o kocie łby. Lodowaty wiatr pogorszył jego kaszel i Rory stał się jeszcze węższy. Matka z rozpaczą kręciła głową nad swym najstarszym synem. On był tym jedynym, który mógł pracować, by zdobyć pożywienie dla jej dzieci i nie wiedziała, co robić.

- Ach, gdyby Finn O'Keeffe zatrzymał wtedy przy sobie swe pieniądze! - westchnęła. - Nikt by się nie ośmielił napaść na niego i na tego wielkiego faceta, Daniela, tak jak to zrobili z moim synem. - A Finn i Daniel również żalowali tego po tysiące razy, na powrót siedząc w swej ciemnej piwnicy.

W snach Finn ciągle przeżywał to uderzające do głowy uczucie podniecenia, jakie wywołuje posiadanie pieniędzy. Znowu dotykał złotych monet i widział, jak magicznie zmieniają się w dolary, w tak wiele dolarów, że ledwo mógł je policzyć. Ale w surowym, zimnym świetle dnia stawał w obliczu rzeczywistego faktu, iż przy życiu utrzymywała ich wymuszona dobroczynność mieszkańców Bostonu, którzy nienawidzili Irlandczyków za to, że sprowadzili do ich czystego, kwitnącego miasta nędzę i choroby. Jednakże niemowlęta i dzieci musiały być karmione, więc bogaci bostończycy zatrudniali w swych domach irlandzkie kobiety jako służące, a mężczyzn jako robotników przy nowo wznoszonych budowlach. A z kolei ci bez żadnej pracy dostawali trochę jedzenia tak, że nie umierali.

Ilekroć Finn lub Daniel znajdowali jednodniowe zatrudnienie, czy to rozładowując przy nabrzeżu worki węgla lub mąki, czy machając kilofem na skalistych wzgórzach, czy też wrzucając szuflami wypełnionymi w muliste mielizny Back Bay, dzielili swój lichy zarobek na dwie części, jedną połowę oddając matce Roryego.

- Nie będziecie cierpieć, pani Donovan - powiedział jej Dan burkliwie. - Mój brat i ja zajmiemy się wami, bez strachu. - I westchnął głęboko, ponieważ nie wiedział, jak do licha dotrzyma tej obietnicy.

W pewien deszczowy poranek w kwietniu Finn przechodził właśnie koło gmachu gminy, gdy spłoszył się koń ciągnący wytworny mały dwu kołowy kabriolet. Finn rozejrzał się na znajomy dźwięk galopu końskich kopyt i gdy koń się z nim zrównał, chłopak instynktownie uchwycił z całej siły wodze, a jego nogi znalazły się zatrważająco blisko kół, gdy zwierzę wciąż tłukło kopytami, ciągnąc go za sobą przez błoto. Potem koń za trzymał się; stanął dęba, przebierając nogami w powietrzu, a on wiedział już, że go pokonał.

Za chwilę było już po wszystkim i Finn uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie, przytrzymując za wodze nerwowego konia. Ten wywrócił oczami, zarżał i zatupotał, lecz Finn szybko go uspokoił.

Kabrioletem powoziła Beatrice James, żona Comeliusa Jamesa, jednego z najbogatszych ludzi w Bostonie. Zmierzyła swego zbawcę wzrokiem od stóp do głów, krzywiąc się na widok jego postrzępionej marynarki, którą nosił nie korzystając z komfortu koszuli, gdyż ta dawno się rozpadła - i na szalik zawiązany na gołej szyi. Spojrzała na jego zabłocone spodnie, stare popękane buty wypchane gazetą dla ochrony od zimna, dziko poskręcaną, czarną brodę i w jego szare wyglądnięte oczy, po czym wzruszyła z dyzgustem ramionami.

Zarazem jednak spostrzegła jego śmiałe obycie z koniem i powiedziała sobie, że ostatecznie ten młody chuligan właśnie zapobiegł bardzo przykreemu wypadkowi. Odezwała się z wdzięcznością: - Muszę wam podziękować za uratowanie mnie, młody człowieku.

Finn wzruszył ramionami.

- To nic takiego, psze pani - odparł, spoglądając na nią. Była wysoka, o wyglądzie arystokratki,

a choć jej ubranie odznaczało się prostotą, wiedział, że musiało dużo kosztować. Mały powozik to drogie cacko, Finn pomyślał więc z nadzieją, że powinna dać jednego lub dwa dolary nagrody.

Przesunął ze znużeniem rękę po ciele nerwowej klaczki, patrząc, czy nie odniosła żadnych obrażeń, przypominając sobie stajnie w Ardnavamie. Westchnął tęsknie; niemal jeszcze czuł słodki zapach siana i odczuwał siłę dobrego konia ściskanego udami.

Koń zadrżał nerwowo pod jego dłonią, rzekł więc ostrzegawczo:

- Teraz to mogę pani powiedzieć, psze pani, że ta młoda klaczka jest za bardzo spięta, aby chodzić przy dyszlu.

- Ale mój woźnica sam ją wybrał - odparła Beatrice, zirytowana jego zarozumiałością. - Powiedział, że będzie to dla mnie świetny koń do powoziku.

- No to właśnie okazało się, że się omylił, psze pani. Ona jest dla pani za szybka i za nerwowa. Nawet z klapkami przy oczach będzie nie bezpieczna. Bardziej nadaje się na tor wyścigowy niż na ulicę.

Beatrice wiedziała, że Finn ma rację i wzdrygnęła się na myśl o swym losie, gdyby powóz się przewrócił. Wyjęła z portmonetki dolara i podała mu go, a on schował go szybko do kieszeni. Ona zaś rzekła:

- Dostaniesz kolejnego dolara, mój zuchu, jeśli odwieziesz mnie do domu. - Wyjąwszy biały bilecik wizytowy z wytłoczonym nazwiskiem i adresem, wręczyła mu go. Finn gapił się na bilecik, a ona wstrząśnięta zdała sobie sprawę z tego, że oczywiście on nie umie czytać i szybko powiedziała mu, by ją zabrał na Louisburgh Square.

Finn zwinnym susem znalazł się na miejscu woźnicy i żwawym kłusem ruszyli w drogę. Pod jego ręką koń sprawował się idealnie i Beatrice pomyślała, jak dobre są wyroki Opatrzności, która postawiła na jej drodze tego młodego irlandzkiego chuligana.

Finn cicho gwizdnął ze zdumienia, kiedy wjechał na podwórze po łożone na tyłach rezydencji przy Louisburgh Square. Cztery konie wychyliły dociekliwie łby znad drzwiczek stajennych, w wozowni zaś znajdowały się dwa wspaniałe powozy, a także eleganckie kryte sanie, używane w czasie, gdy lód i śnieg czynił ulice nieprzejezdnymi dla ruchu kołowego. Zeskoczył lekko z kabrioletu, po czym podsunął swoją otępioną brudem rękę, by pomóc wysiąść pani James. Marszcząc swój nos z odrazą, zignorowała ten fakt i zeszła na ziemię sama.

Jego twarz oblała się czerwiecią, gdy przypomniał sobie tamten dzień, dawno temu, na podwórzu stajennym w Ardnavamie, gdy brat zmył z niego brud i smród.

- Przepraszam, pani James - powiedział gniewnym tonem - ale trudno jest być tak czystym, jak by się chciało, gdy się jest tak biednym jak ja.

Odwróciła się, by znów spojrzeć na niego. Zwrócił się do niej jej nazwiskiem, zdała więc sobie sprawę, że musiał je przeczytać na bileciku, który mu dała.

- A więc jednak potrafisz czytać - powiedziała zaskoczona.

- O tak, umiem czytać. A także pisać. Pracowałem przy koniach przez całe moje życie. Lord Molyneux zawsze mówił, że jestem najlepszym jeźdźcem, jakiego w ogóle widział, i to ja nauczyłem młodego lorda Williama jeździć konno, choć wszyscy mówili, że to się nikomu nie uda. Pracowałem dla lorda jako stajenny, psze pani, a mój brat pracował w majątku jako naganiacz i gajowy, dopóki nie przybyliśmy tutaj, aby rozpocząć nowe życie.

- Miasto takie jak Boston, to raczej mało odpowiednie miejsce, by stajenny i naganiacz znaleźli sobie właściwe zajęcie - powiedziała uszczypliwie.

- Nie, psze pani, nie jest odpowiednie - przytaknął uprzejmie Finn. - Ale nasz statek się rozbił. Zatonął koło Nantucket i zabrano nas do Bostonu. Wegetujemy tu, bo nie mamy pieniędzy, by pojechać gdzie indziej. Beatrice James wygładziła na swych wiotkich przegubach szare rękawiczki z kozłej skóry, rzucając jeszcze raz długie, krytyczne spojrzenie na swego wybawcę. Ten chłopak na pewno wiedział, jak obchodzić się z końmi. Lord William, o którym wspomniał, oraz ta wielka posiadłość w Irlandii. Oczywiście, każdy to wie, że Irlandczycy są zbzikowani na punkcie koni, a ona dopiero co miała pierwszorzędnny dowód na to, że ten rzeczywiście jest dobry przy koniach, tak jak to utrzymuje. A poza tym okazał wyjątkową odwagę.

- Poczekaj tu - rzekła, podając mu jeszcze jednego dolara, którego obiecała wcześniej. - Pomówię z moim mężem i zobaczymy, co da się zrobić.

Finn schował dolara do kieszeni. Zabrzęczał obiema monetami, a jego nastrój poprawił się nagle.

- O Jezusie - powiedział sobie. - Alem tu dobrze trafił. - Podbiegł do pompy pośrodku podwórza i umył ręce i twarz lodowato zimną wodą. Przetarł czubki butów o tyły nogawek swoich spodni, ściągnął czapkę i przygładził włosy. Na nowo zawiązał swój szalik i zakrył marynarką nagą pierś, po czym w napięciu przemierzał tam i z powrotem stajenny dziedziniec, lustrując konie, które przewiesiły swe łby ponad drzwiami stajni.

Comelius James w milczeniu obserwował go ze stopni domu. Był niższy od swej żony i starszy, o siwych włosach i bystrych brązowych oczach. Jego rodzina pochodziła z Anglii i nie zawsze wiodło im się dobrze. Oczywiście, nigdy nie zaznali takiej biedy jak Irlandczycy, zawsze byli kulturalni i mieszkali w starych domach pełnych książek i obrazów, no i naturalnie wszyscy się wykształcili. James wzbogacił się dzięki bystremu wynalezieniu opatentowanego przezeń urządzenia, które stosowano w przedsiębiorstwach Massachusetts. A gdy stał się już w miarę bogaty, poślubił Beatrice, której rodzice należeli do elity Bostonu, po czym zebrał te wszystkie bogactwa i wykorzystał je, by samemu zarobić miliony na nowojorskim rynku papierów wartościowych.

Comelius i Beatrice James byli bogobojnymi prezbiterianami, którzy w niedzielę regularnie uczęszczali do kościoła, i modlili się co rano i wieczór w swym domu za rodzinę i służbę. Pan James szczylił się tym, że jest miłosiernym człowiekiem, i przez wzgląd na swą żonę chciał nawet zaangażować tego chłopaka, który zaryzykował życiem, aby ją uratować.

Oczywiście to Irlandczyk, James nie uwierzył więc w to, co tamten opowiedział o swej pracy stajennego w jakiejś posiadłości ziemskiej w Irlandii, gdyż każdy wiedział, że Irlandczyk zależnie od okoliczności potrafi owinać prawdę w barwną tkaninę kłamstwa. Kiedy jednak przyjrzał się temu chłopakowi przy koniach, zmienił zdanie. Było dla niego oczywiste, że chłopak wie, co robi, i co więcej, że go to obchodzi. Mógł przy okazji stwierdzić, że on przemawia do zwierząt.

- Młody człowieku - zawołał, a Finn cały zamienił się w słuch, zrywając czapkę z głowy i skwapliwie wpatrując się weń szeroko otwartymi oczami.

- Młody człowieku, jestem Cornelius James - mówił ten, podchodząc do Finna. - Moja żona opowiedziała mi, co się wydarzyło i jestem wdzięczny za to, co zrobiłeś, aby jej pomóc. - Założywszy ręce za plecy, kołysał się w przód i tył na piętach, lustrując Finna przenikliwymi brązowymi oczami. - Jesteś jeszcze młodszy, niż myślałem - powiedział, próbując zgadnąć - szesnaście, siedemnaście?

- Mam prawie osiemnaście, proszę pana - odparł niespokojnie Finn. Pan James kiwnął głową.

- Całkiem wystarczająco. A więc proponuję ci stanowisko chłopca stajennego. Będziesz odpowiadał za dogładanie powozów, aby były czyste, i dopilnujesz, by konie miały opiekę

i codzienne ćwiczenia. Czy to jasne?

Twarz Finna promieniała radością.

- Och tak, proszę pana. Tak, oczywiście, że jasne, proszę pana. - Wyciągnął swą zmarzniętą rękę.
- I niech Bóg pana błogosławi, sir, za danie mi tej szansy. Nie zawiodę pana, tego może pan być pewien.

Comelius zmuszony był uśmiechnąć się, gdy potrząsnął ręką chłopaka. Podobał mu się jego entuzjazm tak samo, jak jego obchodzenie się z końmi.

- A co z zapłatą, proszę pana? - zapytał Finn, wracając do sedna sprawy.

- Twoja zapłata? Ach, tak. Na początek dwanaście tygodniowo, a po trzech miesiącach podwyżka, jeśli będziesz się dobrze spisywać.

- Dwanaście dolarów, proszę pana? - powiedział Finn, mając ochotę odtańczyć gigę z radości.

- I twoje posiłki, oczywiście - dodał pan James, zмирzając z po wrotem ku domowi. - Możesz zacząć już jutro.

- Tak, proszę pana. Tak, proszę pana, szanowny panie! - odkrzyknął Finn. - Będę tutaj, proszę pana, o świcie będę. Może pan na mnie liczyć. - A potem pobiegł do domu opowiedzieć Danowi i Roryemu dobrą nowinę.

Dan wierzył, że teraz, gdy w ich losie nastąpił zwrot, on też dostanie jakąś pracę. - Tak to jest z losem, Finnie - powiedział z przekonaniem. - Kiedy ci sprzyja, to sprzyja ci naprawdę.

Głód przywiódł Dana w miejsce jak najbardziej logiczne: do sklepu spożywczego Corrigan na Hanover Street. Kręcił się na zewnątrz, z rękami w kieszeniach spodni i ramionami zgarbionymi dla ochrony przed wiatrem, zerkając tęsknie przez okno na pełne po brzegi beczułki mąki i worki kartofli, na skrzynki z herbatą i pudełka z kapustą i cebulą. Za każdym otwarciem drzwi woń gotowanej szynki doprowadzała go prawie do szaleństwa i zajął się zbieraniem rozrzuconych głąbów i liści kapusty spod drewnianych kozłów przed frontem sklepu. Wyciągnął z kieszeni szmatę i wypolerował okno, uśmiechając się przez szybę do zachmurzonej twarzy Corrigan. Przez cały tydzień, dzień w dzień, był przed sklepem Micka Corrigan, gwizdząc wesoło, zbierając śmieci, otwierając drzwi przed klientami, zdejmując przed nimi czapkę z uśmiechem i z miłym „dzień dobry”. Choć nigdy przedtem okno Micka nie było bardziej czyste, ten niejedyn raz zirytowany kazał Danowi „zabierać się stąd”, a Dan za każdym razem po prostu odwzajemniał jego złe spojrzenie uśmiechem.

- Spokojnie, ja tylko pomagam, panie Corrigan - odpowiadał uprzejmie.

Po paru tygodniach widok chudej młodej twarzy Dana i jego wygłodniałych oczu tęsknie wlepionych w plasterek szynki zmusił Micka do zaproszenia go do środka. A znalazłszy się już wewnątrz. Dan przemówił. Opowiedział Mickowi historię swego życia, pomijając przyczynę opuszczenia Irlandii i nie wspominając nazwiska Molyneux - i już wkrótce Corrigan był zawojowany.

Corrigan robił się coraz starszy i pomyślał sobie, że zasłużył już na to, by sobie nieco pofolgować. Jeśli zatrudni Dana, nie będzie musiał zamykać sklepu, kiedy w południe wychodzi do baru spotkać się z przy jaciółmi, no i sklep mógłby być dłużej otwarty wieczorem. Dan zapłaci sam sobie dzięki tym dodatkowo uzyskanym pieniądzom.

- Dam ci robotę pomocnika - zwrócił się wspaniałomyślnie do Dana - za sześć dolarów tygodniowo. I zniżkę na wszelkie artykuły spożywcze, jakie kupujesz.

- Siedem - powiedział twardo Dan.

- Załatwione!

Uścisnęli sobie ręce i Dan został pomocnikiem Corriganana w „Corner Store” na Hanover Street, gdzie sprzedawał wszystko, od grochu do guzików i od bekonu do butów, pracując przez sześć i pół dnia na tydzień za siedem dolarów i tanie artykuły spożywcze. Ale nie był już jednym z bezrobotnych i czuł się tak, jakby właśnie podbił cały świat.

Kupił sobie na kredyt u Micka nową koszulę i spodnie, za co miano mu potrącać z cotygodniowej wypłaty dolara i pięćdziesiąt centów. Kazał się ostrzyć w zakładzie fryzjerskim Flynna i wziął kąpiel w łaźni publicznej; elegancki, czysty, i młodzieńczy, stanął za sfatygowanym kontuarem Corriganana. Jak na ironię pracował w cudzym sklepie, pod czas gdy tak łatwo można było mieć własny, toteż kipiał ze złości. Dan cały płonął ambicją, wyobrażając sobie, jak stoi jako właściciel za swymi własnymi lśnjącymi ladami i obserwuje przyływ pieniędzy.

Przez cały czas nie przestawała go zdumiewać prostota tej zasady, sprzedajesz taniej od swych konkurentów i proponujesz ludziom towary, jakie chcą, po godziwej cenie, a oni płacą ci swoimi pieniędzmi. To nie mogło zawieść, patrzył więc sfrustrowany, jak dolary i centy płynęły do kieszeni starego Corriganana nie zaś do jego, wiedząc, że nic nie może na to poradzić.

W nowej pracy Finna jedynym problemem okazał się dlań naczelny stangret, Skellem. Był on potężny i miał donośny głos, a gdy się upił, stawał się skłonny do zaczepki i kłótni. Chodził wtedy tu i tam, wykrzykując polecenia i okładając Finna pięściami, kiedy uważał, że ten nie wykonuje ich w odpowiednim tempie, a przy tym ciągle sarkał na chłopaka. Sam nie pracował, z wyjątkiem wożenia pana Jamesa do jego biura i z powrotem, oraz wożenia pani popołudniami na jej różne towarzyskie spotkania tam i z powrotem, a czasami wieczorem do domów ich przyjaciół. Zawsze przedtem mył sobie usta środkiem czyszczącym o silnym zapachu i żuł miętę, by usunąć ze swego oddechu wszelki ślad trunku. Finn zdawał sobie sprawę, że Skellem jest dla niego zagrożeniem i nie wiedział, co ma z tym robić.

Finn dumny był ze swej pracy. Lubił, jak powozy błyszczały, gdy je wypolerował, szczególnym staraniem zaś otaczał zawsze mały kabriolet pani James, na którego kołach nigdy nie było śladu błota, gdy opuszczała dom. Znowu pracować przy koniach to taka radość, że wykonywałby tę robotę prawie za darmo. Ale gdy po miesiącu Skellem zorientował się, że to właśnie za radą Finna sprzedano małą, rozbrykaną Thoroughbred („Rasową”), któraomalże nie spowodowała wypadku, jego pijacki gniew doszedł do wrzenia.

Był on potężnym, krępy męczyzną, zbudowanym - jakby powiedział Padraig O’Keeffe - „jak ceglany wychodek”. Złapał Finna za kołnierz i obrócił go. Zbliżywszy swą twarz do twarzy Finna, zapytał:

- A cóż to za irlandzki sukinynek, co skarży za moimi plecami do szefa, no?

Finn spojrzał na niego z niepokojem. Wiedział, że pan James ma do Skellema zaufanie i że da mu posłuch, jeśli Skellem powie, że Finn nie wykonuje swej roboty należycie. Skellem miał nad nim całkowitą władzę i Finn zwinął się pod jego uchwyt, marząc o tym, by rąbnąć pijanego sukinsyna pięścią w nos, ale wiedząc też, że nie może tego zrobić.

- Nie wiem, o czym pan mówi, panie Skellem - odparł wykrętnie. Skellem pchnął go znowu o mur stajni, przygważdżając ciężką łapą.

Przysunął swą twarz tak blisko, że Finnowi zakręciło się w głowie od kwaśnego odoru alkoholu w jego oddechu.

- Ożeż ty, cholerny mały gnojku - szepnął, zadając wściekły cios pięścią w brzuch Finna. - Ja cię nauczę wsadzać nos w moją robotę. Wyniesiesz się z moich stajni, jak tylko pomówię z szefem; nie

myśl, że tak nie będzie. - I władował Finnowi kolejny cios zdolny zgruchotać żebra.

Jak człowiekowi, który tonie, Finnowi przemknęło przed oczyma jego życie: ujrzał się znowu bez grosza i bez pracy; zebrał więc wszystkie siły i wymierzył w mściwą twarz Skellema taki cios, który wydawało się, wychodził aż spod ziemi. Skellem padł na ziemię jak ogłuszony, a Finn spoglądał na niego. Potem zaś odwrócił głowę i gwałtownie zwymiotował w kącie.

Kucharką u państwa Jamesów była Irlandka, która miała słabość do młodego Finna O'Keeffea. Obserwowała wszystko ze schodów, przy ciągnięta podobnie jak inni służący, dźwiękiem podniesionych głosów. Niezwłocznie udała się do swej pani i opowiedziała jej, co zobaczyła.

- I myślę, że już pora, aby ktoś o tym pani powiedział, psze pani, zanim Skellem zabije was oboje, że jest to stary pijak i nie powinno mu się powierzać powozów. Nikt z nas nie chciał nic mówić, ale nie będę patrzeć, jak on się pastwi nad tym dobrym chłopakiem, i to nawet za cenę mojej własnej posady.

Beatrice James ze zdumieniem wpatrywała się w swoją kucharkę. Pani Dwyer pracowała u niej przez trzy lata. Zwykle знаła swoje miejsce i tego właśnie od niej oczekiwano, tak że teraz pani James pojęła od razu, że to, co mówi ta kobieta, jest z pewnością poważne. Wysłała szefa służby i kilku służących, by zajęli się Skellemem i poprosiła panią Dwyer, by kazała Finnowi poczekać w kuchni, dopóki pan nie wróci do domu.

Skellema zaniesiono do jego kwatery nad stajnią i posłano po lekarza. Finn przycupnął na taborecie, wpatrując się w ogień pod kuchnią, podczas gdy kucharka częstowała go filiżankami gorącej herbaty i zbywającymi kawałkami ciasta. Brzuch bolał go tak bardzo, że pomyślał, iż ma porozrywane wnętrzości, a w głowie mu się kręciło i czuł, że omdlewa, choć nie był pewien, czy jest to spowodowane ciosami Skellema, czy też strachem przed tym, co ma nastąpić.

Przyszedł lekarz, żeby go zbadać i powiedział, że skoro wymiotował krwią, powinien natychmiast udać się do szpitala.

- A jeśli nie, to wątpię, czy przeżyjesz - powiedział zniecierpliwiony, że musi się zajmować bijatyką irlandzkich robotników. Jego zdaniem, jeśli nic nie warci imigranci chcieli się pozabijać w bójce, trzeba było im na to pozwolić.

Finn siedział ponuro zgarbiony nad kubkiem herbaty, czekając na powrót pana Jamesa jak na ścięcie. Kiedy wreszcie wezwano go do gabinetu, był już pogodzony z tym, że zostanie wylany i że będzie miał szczęście, jeśli nie poślą go do więzienia za poturbowanie stangreta.

Pan James siedział za wielkim biurkiem i wpatrywał się w Finna surowym wzrokiem sponad czubków swych półokularów w rogowej oprawie.

- Lepiej powiedz mi prawdę o całej tej sprawie - zaczął rozważnym tonem.

- To nie Finn zawinił - rzekła pani Dwyer, składając wojowniczo ręce na swych pulchnych, przyodzianych w fartuch piersiach. - Dobry z niego chłopak i dobry pracownik, a stary Skellem to nic tylko pijak. Powiedziałam już przedtem pani, a teraz powiadam to panu, sir. I tylko żałuję, że nie odezwałam się wcześniej, bo nie musiałabym już za każdym razem, gdy państwo wyjeżdżali, martwić się, czy nie wróćcie do domu na noszach.

- Dziękuję za waszą troskę, pani Dwyer - odparł sucho. - A teraz chciałbym usłyszeć, co Finn ma do powiedzenia.

- Wiedziałem, że mogę stracić pracę za zrobienie tego, proszę pana, ale po prostu nie mogłem się powstrzymać - powiedział z przygnębieniem Finn. - Skellem przeklinał mnie i złorzeczył. Zamierzał panu na kłamać na mój temat, że nie robię wszystkiego jak należy. Był zły, że ostrzegłem państwa, że

ta klaczka, którą on kupił, jest zbyt niebezpieczna dla pani. Chciał, żeby mnie za to zwolnić, no i teraz ma to, czego chciał. - Finn przestępował nerwowo z nogi na nogę, ściskając kurczowo czapkę w rękach, z rumieńcem wstydu na policzkach i wyrazem po nurego rozczarowania w oczach. - Po prostu chciałem najpierw powiedzieć swoje i tylko dlatego zaczekałem.

Pan James odezwał się surowo:

- Nie będę w swym domu tolerował alkoholu, a z pewnością nie wśród służby. Zwolniłem już Skellema i daję ci jego pracę, O'Keeffe, za tę samą pensję. Dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo - musisz nająć nowego człowieka, by wykonywał obowiązki chłopca stajennego. - Dał ręką znak, by odeszli. - Możecie teraz iść i tylko zapamiętajcie: nigdy więcej bijatyk.

Pani Dwyer rozpromieniła się, a na jej różanej buzi rozlało się zadowolenie.

- Prawy jest z pana człek, proszę pana - rzekła swojemu pracodawcy. A Finn był uszczęśliwiony, kiedy dziękował panu Jamesowi.

- Akurat znam jednego chłopaka, proszę pana, co może przejąć pracę stajennego - dodał, myśląc o Rorym.

Wlokąc się obolały w drodze powrotnej przez eleganckie, oświetlone gazowymi latarniami ulice dzielnicy Beacon Hill do Dzielnicy Północnej, wyobrażał sobie, w jakie podniecenie wpadnie Rory, gdy on powie mu, że ma dla niego posadę za dwanaście dolarów tygodniowo plus posiłki.

- Jasne, że to jest warte jednego ciosu, albo i dwóch - rzekł do siebie z tryumfalnym uśmiechem od ucha do ucha, gdy udawał się na poszukiwanie Daniela, by oznajmić mu dobre nowiny.

26.

Lily czuła się tak, jakby żyła we śnie. Nantucket niewzruszenie trwał w objęciach lodowatej zimy, a ona miesiącami trzęsła się z zimna przy ogniu w saloniku Sheridanów. Nie wiedziała, co zrobi po urodzeniu dziecka, nie miała bowiem pieniędzy. Nigdy nie musiała myśleć o sobie, nigdy też nie zastanawiała się, czy podjąć pracę.

Abigail Sheridan opowiedziała jej o irlandzkich pokojówkach w Bostonie.

- Bogate kobiety bostońskie lubią je - rzekła do Lily. - Mówią, że są z nich bardzo dobre służące i biedactwa pracują przez cały boży dzień bez jednego słowa skargi.

Ale Lily nie zamierzała zostać niczyją służącą. Sam pomysł był śmiechu wart. Powiedziała sobie, że musi wymyślić jeszcze coś innego, co by mogła robić, lecz odkryła ze zdumieniem, że nic nie potrafi robić ani jednej użytecznej rzeczy. Nie umiała gotować, szyć ani sprzątać. mówiła po francusku i wiele czytała, umiała też trochę grać na pianinie, ale przez swe głupie wybryki przy wielu kolejnych guwernantkach, miała w edukacji wielkie braki. Była obyta towarzysko i dosyć dobrze ubrana, ale żaden z tych powierzchownych walorów nie miał żadnego znaczenia, gdyby przyszło się starać o posadę guwernantki lub opiekunki do dzieci, albo nawet - tu wzdrygnęła się na samą myśl - o posadę kucharki.

Na razie dobroć Alice Sheridan owinęła ją w tymczasowy kokon poczucia bezpieczeństwa, tak że odrzucała od siebie wszystkie myśli dotyczące przyszłości. Żyła tylko dniem dzisiejszym, w miarę jak jeden posępny szary miesiąc przechodził w drugi posępny szary miesiąc. Jedyнным jasnym punktem na horyzoncie był dla niej Ned. Ku zdumieniu rodziny zaczął nagle przyjeżdżać do domu tak często, jak tylko mógł.

- Oczywiście, on przyjeżdża, żeby zobaczyć Lily - szepnęła do matki Abigail i uśmiechnęły się jak spiskowcy, rzucając spojrzenie na Lily, która z szeroko otwartymi oczyma przysłuchiwała się opowieściom Neda o wędrownym życiu. Alice Sheridan pomyślała, jakie to byłoby szczęśliwe

rozwiązanie, gdyby jej syn zapomniał o swych szalonych pomysłach, żeby zostać aktorem, a zamiast tego wrócił do domu i poślubił Lily. Wówczas dziecko miałoby ojca, a Lily pokochałaby je tak jak dobra matka, zamiast życzyć mu śmierci. Ned przejąłby zaś od ojca sklep z artykułami gospodarczymi, tak jak tego zawsze chciał Obediah. Wydała z siebie ciche westchnienie ukontentowania. To było takie znakomite wyjście z sytuacji.

Nadszedł marzec, a wraz z nim pyszniące się błękitem niebo i nie pewny blask słoneczny wczesnej wiosny - i po raz pierwszy Lily poczuła się wystarczająco silna, aby zaryzykować wyjście na dwór. Szła przez miasto wsparta na ramieniu Neda, a on przedstawiał ją dumnie każdemu, poczynając od właściciela „Sklepów Związkowych”, gdzie przystanęli, by kupić cukier i mąkę, aż po starego Billa Clarka, samozwańczego woźnego sądowego w mieście i sprzedawcy gazet, no i wszystkim sąsiadom i przyjaciołom Sheridanów. Słyszeli o niej wszyscy i wszyscy jej dobrze życzyli, a Lily pomyślała, że może Nantucket nie jest w końcu takim złym miejscem.

Pojechali kolejką do Surfside i spacerowali ramię w ramię wzdłuż plaży, a Lily opowiedziała mu o Ardnawamie. mówiła mu w rozpaczy o swym ojcu, o tym jak bardzo mocno go kochała, i jak była zdruzgotana, gdy ją wyrzucił, choć naturalnie Ned sądził, że stało się to z powodu jej ucieczki z młodym kapitanem.

Ścisnął jej dłoń ze współczuciem i powiedział:

- Teraz masz mnie, żeby znaleźć oparcie, Lily. Ja ci zawsze pomogę. - Spojrzał na nią z tęsknotą, a ona uśmiechnęła się, odczytując wyraz jego oczu. - Powinnaś pomyśleć o tym, by zostać aktorką - powiedział. - Ludzie będą ustawiać się w kolejce, aby tylko zobaczyć cię na scenie. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Słyszała o aktorkach wszystko i wiedziała, że nie jest to szanowana profesja. Szczególnie zaś wystawanie na scenie, by gapili się na ciebie okropni jak dzikie zwierzęta mężczyźni, mając w głowie tylko jedno. Ale ilekroć Ned wracał do domu, wspominał o tym od nowa, upiększając swój pomysł aż do stwierdzenia, że byliby na scenie partnerami: on jako Romeo, a Lily jako Julia. - Staniemy się „legendą teatru” - obwieścił tryumfalnie, widząc już ich na scenie, jak ze wspaniałymi ukłonami przyjmują huczne oklaski. A gdy zwróciła uwagę, że ona nie potrafi grać, uśmiechnął się tylko i powiedział, że jest to bez znaczenia.

- Z twoją urodą publiczność będzie zadowolona choćby tylko patrząc na ciebie - rzekł. Lily uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Teraz przynajmniej ma prawdziwego przyjaciela i wielbiciela.

Z każdym mijającym miesiącem Lily czuła, jak rośnie w niej dziecko. Często budziło ją po nocach kopaniem, a ona wtedy głośno jęczała z rozpaczy. Gdy Ned odwiedził ją w maju, narzekała, że czuje się zmęczona. Nie chciała wyjść na dwór mimo ciepłego i słonecznego dnia i chociaż byłoby to dla jej zdrowe.

- Czy nie rozumiesz? - wykrzyknęła, gdy usiłował ją łagodnie na klonić. - Nie chcę rzeczy, które są dla mnie zdrowe. Nie chcę niczego poza tym, aby nie mieć tego dziecka.

Ukląkł i ujął jej rękę w swoje dłonie.

- Lily - rzekł - nic nie mówiłem przedtem, ponieważ myślałem, że mnie po prostu wyśmiejesz i powiesz, że jestem głupcem, i że się w ogóle nawzajem nie znamy. Ale gdy leżałaś w moim łóżku, rozpalona gorączką i bliska śmierci, ślubowałem, że ci na to nie pozwolę. Przynależem opiekować się tobą. Zakochałem się w tobie już owej pierwszej nocy i od tamtej pory nie jestem w stanie wyrzucić cię ze swych myśli.

Próbowała uwolnić swe dłonie, ale on ścisnął je mocniej.

- Posłuchaj - powiedział. - Na Wschodzie, gdzie ludzie znają się na takich sprawach, wierzą, że gdy uratujesz komuś życie, stajesz się odpowiedzialny za jego duszę. To oznacza, że ja odpowiadam za ciebie, Lily, i że zawsze tak będzie. Wiem, że jestem jeszcze młody i nie mam ci nic do zaoferowania poza moją miłością. Ale pewnego dnia zostanę słynnym aktorem i proszę cię, abys dzielila ze mną życie. Przy rzekam być dobrym ojcem dla twego dziecka i przyrzekam opiekować się tobą.

To było proste wyjście z sytuacji i Lily odczuła pokusę. Ale jeśli poślubi Neda, nie uwolni się od dziecka. A wiedziała, że nigdy nie zmusi się, by spojrzeć w twarz dziecka, które zrujnowało jej życie.

- Powiedz chociaż „być może” - błagał Ned - a wrócę do Lowryego jako człowiek szczęśliwy.

- Może później; przemyślę to - odparła. Otoczył ją ramionami i pocałował mocno.

- Ach, jakże ja cię kocham, Lily Molyneux - powiedział z uśmiechem pełnym triumfu. - nigdy o tym nie zapominaj - dodał.

Puścił się w tan po podłodze, trzymając w ramionach niewidzialną partnerkę, a Lily się zaśmiała.

- Widzisz - zawołał od drzwi, pełen szczęścia - jestem jedynym, który potrafi nakłonić cię do śmiechu! - A kiedy zniknął w sieni, jeszcze słyszała go, jak śpiewa, a potem wykrzykuje wesoło słowa pożegnania rodzinie, zanim oddalił się pędem, by złapać prom parowy w drodze powrotnej do New Bedford.

Dwa tygodnie później Lily zbudziła się w środku nocy i wiedziała już, że ta straszna rzecz właśnie się dzieje. Wezwała czym prędzej panią Sheridan, która owinęła się pośpiesznie w wełniany szlafrok i zjawiała się natychmiast.

- Nie będzie tak źle - rzekła na początku mężnie do siebie Lily. - Naprawdę nie jest aż tak źle. Potrafię to wytrzymać. - Ale godziny wlokły się, a bóle stawały się coraz gorsze i coraz częstsze, ona zaś wrzeszczała ze złości, życząc sobie, by dziecko umarło, a ona wraz z nim. Wreszcie po czternastu długich godzinach dziecko się narodziło. Lily leżała bezwładnie, a gdy usłyszała, że ono płacze, zasłoniła rękami uszy pełna przerażenia. A więc dziecko naprawdę tu było.

Pani Sheridan owinęła noworodka w miękkie koc i wyciągnęła go ku Lily, by go mogła zobaczyć.

- To chłopiec, Lily - powiedziała, a jej głos przepełniony był zdumieniem nad cudem narodzin - i taki przystojny mały mężczyzna, o włosach tak czarnych jak twoje.

Lily zamknęła oczy mocno, aby go nie widzieć, i jeszcze silniej przy cisnęła dłonie do uszu, aby go nie słyszeć, a gdy pani Sheridan chciała położyć przy niej dziecko, odepchnęła je.

Lekarz powiedział, że zdenerwowanie źle wpłynie na pokarm Lily, ale okazało się, że w ogóle nie miała dla dziecka pokarmu. - To tak, jakby tego sama chciała - powiedziała z przygnębieniem pani Sheridan, podając dziecku butelkę.

- Lepiej jej więcej nie niepokoić - przestrzegł lekarz. - Po prostu trzymajcie dziecko z dala od niej, dopóki się nie opamięta.

Lily leżała w łóżku z twarzą odwróconą do ściany, nie rozmawiając z nikim. Teraz, gdy dziecko opuściło jej ciało, wiedziała, że musi wyjechać tak szybko, jak tylko się da. I z tego powodu musi jeść i nabierać sił tak, aby mogła uciec.

Wciąż nie chcąc oglądać swego dziecka, pozostawała w łóżku przez dwa tygodnie, wmuszając w siebie pożywne posiłki przygotowywane dla niej przez zatroskanych Sheridanów. Znała rozkład kursów statku na ląd stały, lecz nie miała pieniędzy, by się tam dostać, ani - gdy już to zrobi - nie miała gdzie się udać.

Głośny płacz dziecka niósł się po całym domu i pani Sheridan, choć nic jej nie mówiła, jednak spoglądała na nią z nadzieją. Lily wiedziała, iż tamta myśli, że ona wkrótce dojdzie do siebie i zaopiekuje się swoim dzieckiem.

Lily postanowiła pojechać do Bostonu. Było to najbliższe z dużych miast i Sheridanowie nigdy jej tam nie znajdą, a teraz wiedziała też, skąd wziąć pieniądze. Odczekała, aż wszyscy znaleźli się w łóżkach, po czym ukradkiem otworzyła swe kufry. Wpatrywała się w sterty bezużytecznych jedwabnych i aksamitnych sukni, które jak gdyby należały do innej dziewczyny sprzed stu lat, po czym zapakowała do wiklinowego koszyka kilka sztuk najbardziej praktycznych rzeczy. Znalazła swój cenny zestaw srebrnych szczotek do włosów, wepchnięty na dno kufra - a wraz ze szczotkami, oprawione w srebrną ramę z monogramem - zdjęcie rodziny, skupionej na stopniach Wielkiego Domu. Zbliżyła je do lampy, spoglądając na wszystkich oczyma pełnymi łez. Pamiętała dzień, w którym zrobiono to zdjęcie, tak jakby to było wczoraj.

Ona i Ciel miały wtedy udać się właśnie na przejażdżkę małą dwukółką. Papcio i mamusia przyszli, by im pomachać, gdy nagle wypadł na dwór William ze swym nowym sprzętem fotograficznym, potykając się o statyw i tajemnicze czarne pudełko. Rozstawienie wszystkiego zabrało mu całe wieki, a i nawet wtedy trzymał głowę pod prostokątem czarnej tkaniny i marudził tak długo, aż rozeźlony papcio krzyknął ze zniecierpliwieniem, żeby już wreszcie skończył! I - o Boże, ależ tak - czyż to nie Finn trzyma łeb kucyka, taki elegancki w swej pasiastej kamizelce stajennego i w brązowych bryczesach. Czują niemal ciepło porannego słońca na plecach i rękę papcia ściskającego jej dłoń i prawie słyszała, jak kucyk chrupie jabłko, które dał mu Finn, by powstrzymać go przed niecierpliwym płasaniem tam i tu, podczas gdy William robił zdjęcie.

Umieściła ostrożnie fotografię w swym wiklinowym koszyku wraz ze srebrnymi szczotkami, które - była tego pewna - sprzeda za znaczną sumę. Po dostaniu się do Bostonu rozważy, co ma robić. Z pewnością jednak nie zamierza zostać pokojówką. Nie ona, Lily Molyneux.

Wiedziała, że Alice Sheridan pieniądze, zaoszczędzone na cotygodniowym gospodarowaniu, trzyma w starym brązowym imbryku na półce w kredensie, „do wykorzystania w nagłej potrzebie”. Mówiąc sobie, że to właśnie jest nagła potrzeba, Lily wyjęła z imbryka pięć dolarów i napisała kilka słów, zawiadamiając, że bardzo jej przykro, ale to był jedyny sposób. Obiecała odesłać pieniądze najszybciej jak zdoła i napisała, że przyśle też pieniądze na alimenty dla „tego dziecka”, i że ma nadzieję, iż zaopiekują się nim i obdarzą miłością, czego ona w ogóle nie potrafiła. Podziękowała za życzliwość i napisała, że nigdy ich nie zapomni.

Tego ranka przed świtem, gdy dom, a nawet wrzaskliwe niemowlę pogrążone było jeszcze we śnie, wzięła swój wiklinowy kosz i wymknęła się cicho po schodach w dół i na zewnątrz przez frontowe drzwi, których nigdy nie zamykano na klucz, po czym na drżących nogach pośpieszyła poprzez śpiące miasto na nabrzeże.

Był tam statek wyruszający do Bostonu wraz z odpływem o świcie, rozstała się więc z trzema spośród swych pięciu dolarów, żeby zapłacić za przejazd, a resztę dobrze schowała znów do kieszeni. Gdy przyglądała się, jak wyspa znika w wirującej porannej mgiełce, miała świadomość, że oto wreszcie zamknął się pewien rozdział w jej życiu i teraz może się zacząć nowy. I z pewnością, pomyślała, ten żadną miarą nie może być gorszy.

27.

Maudie

Ardnarn

Widziałam, że Eddie słucha moich rewelacji na temat przeszłości zafascynowany. Obrzucił spojrzeniem Shannon, siedzącą przy nim na kanapie. Ryży kot zamruczał na jej podołku, a ona machinalnie po głaskała jego miękką sierść. Wyglądała słodko, bezbrinnie i bardzo młodo, a ja wiedziałam, o czym Eddie myśli: że Lily musiała wyglądać tak samo.

Eddie wiedział, że Shannon szuka prawdy o swoim ojcu i że ma na dzieję, iż opowieść o przeszłości jej rodziny pozwoli znaleźć tę prawdę - widziałam też, jak bardzo żałuje, że nie może Shannon w tym pomóc.

- Może powinienem opowiedzieć ci coś więcej o przeszłości Neda - zapytał - jeśli myślisz, że to pomoże dowiedzieć się prawdy o Lily. Nadstawiliśmy uszu.

- Och, proszę - powiedziała Shanon - Umieram z chęci dowiedzenia się o nim czegoś więcej; on wydaje się taki... taki w niej zakochany, i taki czuły.

- Może i tak, tego nie wiem. Ale był młody, naiwny i szalał za nią. Ręka Eddiego przesunęła się wzdłuż oparcia kanapy za ramiona Shannon i dostrzegłam, że ich oczy spotykają się ze sobą w długim, intymnym spojrzeniu. Było to jedno z tych spojrzeń, których nie powinien widzieć nikt inny, odwróciłam się więc i dołożyłam kolejne polano do kominka.

- Lepiej idź z tym dalej - powiedziałam żywo. Eddie zaśmiał się; wiedział, co mam na myśli.
- Opowiem wam tę historię, tak jak opowiedział mi ją mój dziadek - rzekł swoim pięknym, głębokim głosem aktora, który musiał być tak bardzo podobny do głosu Neda. Ten głos w jakiś sposób znowu przywołał przeszłość do życia.

Aktorzy de Lowryego grali właśnie w New Jersey, kiedy Jakub de Lowry rzekł Nedowi ze złością:

- Zostajesz albo odchodzisz! - Jego krzaczaste czarne brwi tworzyły linię prostą, gdy tak rzucał Nedowi piorunujące spojrzenia. - Jak mogę wystawić udane przedstawienie, kiedy jeden z moich aktorów jest tak obłąkany z miłości, że nie może skoncentrować się na tym, co robi? Na miłość boską, chłopaku, mało masz kobiet w każdym mieście, w którym gramy?

Wyrzuciłby go z miejsca, gdyby nie wiedział, że publiczność go lubi. Ned dostawał najwięcej braw ze wszystkich, więcej niż on i Sasza, i to nie tylko za sam wygląd. Ned Sheridan miał talent.

Jakub wyglądał na mężczyznę sześćdziesięcioletniego. Był zmęczony podróżowaniem, ale nie widział innego wyjścia w sytuacji, gdy jego trupa brnęła od katastrofy finansowej w jednym tygodniu - do katastrofy w drugim. Często rozmyślał, jak przyjemnie byłoby wycofać się i osiąść w ładnym małym domku na urwiskach nad rzeką Hudson, gdzie - jak wiedział - wiele gwiazd ma swoje domy. Ale jak to zrobić? Na tym polegał problem. Nie było forsy w kasie i nie zanosilo się, by wkrótce coś się zmieniło.

Siedząc przed upstrzonym plamami lustrem w zimnym pokoju taniego pensjonatu w New Jersey, Jakub w zamyśleniu oglądał swój profil, obracając się to w lewo, to w prawo i przechylając w tył głowę, by nie widzieć obwisłego podbródka ponad wysokim kołnierzem.

- Starzejesz się, Jakubie - odezwała się Sasza z łóżka, gdzie leżała wtulona w gniazdko pulchnych satynowych poduszek, które zawsze podróżowały razem z nią. Tak jak Jakub, nie była piękna, miała jednak prezencję i tak jak on - wiedziała, jak się korzystnie pokazać. Tyle że z każdym rokiem stawało się to coraz trudniejsze. Była młodsza od męża, zbliżała się dopiero do pięćdziesiątki, ale i ona tęsknie rozmyślała o wygodnym domku z różami u drzwi i może z kotem zwiniętym w kłębek przy kominku. Często rozmawiali o tym, by się wycofać, bez końca obmyślając sposoby zdobycia dostatecznej sumy, lecz zawsze za leżało to od angaży w następnym miesiącu, a potem w jeszcze

następnym, a każdy miesiąc był zawsze tak samo skromny jak ten miniony. Dopiero w ostatnich czasach, gdy w ich trupie pojawił się młody Ned Sheridan, ludzie zaczęli nadstawiać uszu.

- Powinieneś dać Nedowi coś większego - powiedziała niespodziewanie Sasza. - Pozwól mu zagrać główną rolę.

Jakub wykonał gwałtowny obrót i zdumiony patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Powiedział gniewnie:

- Ja zawsze gram główne role. Moja publiczność oczekuje tego.

- Nie, wcale już tego nie oczekuje. - Sasza zapaliła papierosa i w zimne powietrze wypuściła idealnie zgrabne kółko dymu. Moszcząc się głębiej w poduszkach, powiedziała z okrucieństwem:

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Jakubie: to na Neda w jego trykotach patrzy publiczność, nie na ciebie. Jeżeliś jeszcze tego nie zauważył: ma on w sobie coś, co przyciąga ich oczy jak magnes. - Przyglądała swe nastroszone jasnoblonde włosy i ziewnęła. To nie tylko ciebie dotyczy, Jakubie, ale także mnie. Mężczyźni patrzą na Neda zamiast na moje cycki. A wiesz, co to oznacza, Jakubie? Oznacza, że osiągnął on poziom gwiazdora.

Jakub postanowił nie zważać na jej kpiny na temat starzenia się, a za to skoncentrował się na nowych myślach, jakie wpadły mu do głowy. Widział już każdą z żyjących gwiazd sceny i potrafił rozpoznać talent. Wiedział, że są szczęściarzami, mając Neda. Groźba, że go wyrzuci, była z jego strony fanfaronadą, zdawał sobie bowiem sprawę, że tego chłopca wzięłby każdy kierownik artystyczny, który ma oczy na swym miejscu i choćby połowę mózgu.

Bez wątpienia Ned miał talent i urodę, ale był także naiwny. „Wieśniak”, jak go przezwala Sasza, gdy po raz pierwszy zobaczyła jego pełną entuzjazmu twarz i grzeczny sposób bycia. Oczywiście, był wykształconym wieśniakiem, ale pozostał naiwny w sprawach życiowych. Neda wciąż jeszcze zaślepił urok teatru, zbyt krótko obracał się w tych kręgach, by w jego duszy zagościło poczucie realizmu i rozczarowanie.

- Potrzebuje właściwego pokierowania, jeśli ma się stać gwiazdą powiedziała Sasza, ziewając - a pracując z nami, nie osiągnie tego nigdy, Jakubie, nie musisz się więc obawiać, że odejdzie i pozostawi nas własnemu losowi.

Jakub zamyślił się nad tym, co powiedziała i nagle spostrzegł, że otwiera się przed nim nowy, łatwiejszy świat, w którym zrezygnuje z roli starzejącego się kierownika artystycznego, wlokącego za sobą tabun źle opłaconych artystów. Jeśli chodzi o swoją pracę, Ned Sheridan polegał na nim. Wierzył w każde słowo, jakie ten wypowiedział, a Jakub wypowiedział ich wiele, darząc Neda wspaniałymi opowieściami o teatrach, w których nigdy nie grał i rzucając nazwiskami gwiazd i dyrektorów słynnych teatrów, co do znajomości z którymi pretendował. Ned Sheridan w świecie teatru nie znał nikogo innego. I Ned Sheridan wierzył mu.

Jakub odwołał swój występ planowany na następny wieczór i zaproponował Nedowi, by go zastąpił.

- Zrobi ci to dobrze, mój drogi chłopcze - powiedział, przyjacielskim gestem obejmując Neda. - Mam pewną sprawę do załatwienia w Nowym Jorku. Składano mi oferty na moje usługi... - Machnął nie dbale cygarem, sprawiając takie wrażenie, jakby tuzin dyrektorów nowojorskich teatrów ustawiało się do niego w kolejce. Po czym westchnął i powiedział: - Jakże żałuję, że nie mogę być znowu w twoim wieku, Ned. Jest tam tyle wspaniałych ról, idealnych dla młodego, przystojnego amanta, jak ty. - Ned wyczekująco spojrział na niego, a Jakub w zadumie strzepnął popiół ze swego cygara marki „Double Corona”. - Oczywiście, do tego potrzebne są koneksje. I naturalnie, po tych

wszystkich latach, ja mam takie koneksje.

Wpatrywał się w Neda spokojnym wzrokiem. Jego ciemne oczy były nieprzeniknione, a Ned nawet przez chwilę nie pomyślał, dlaczego mając swoje „koneksje”, Jakub wciąż gra w kiepskich teatrzykach po różnych dziurach. To wielka okazja i musi z niej skorzystać.

- Czy naprawdę myśli pan, że mam jakąś szansę w Nowym Jorku, panie de Lowry? - zapytał z ożywieniem.

- To by oznaczało opuszczenie naszego zespołu, mój chłopcze - nachmurzył się Jakub. - Czy nie byłem dobrym pracodawcą? I twoim dobrym przyjacielem? Czyż Jakub de Lowry nie nauczył cię tego wszystkiego, co umiesz? - Wyrzucił ręce ku górze i wykrzyknął dramatycznym głosem: - A teraz chcesz mnie opuścić.

- Och, nie. Nie, sir, nie chcę! - Ned błagałby de Lowryego na kolanach o najmniejszą choćby szansę skorzystania z jednej z jego „koneksji”. - Ale sam pan powiedział, że jest tak dużo dobrych ról dla mężczyzn w moim wieku. A ja po prostu wiem, że mam talent i chciałbym go sprawdzić. Wszystko, czego mi potrzeba, to kolejny krok.

- Gdybym miał ci umożliwić ten krok, to wówczas naturalnie spodziewałbym się jakiejś rekompensaty za moją stratę - powiedział Jakub, kręcąc cygaro między palcami i patrząc w zamyśleniu w przestrzeń. - Oczywiście, musi być jakiś odpowiedni sposób. Zawsze jest...

- Co pan zechce, sir - zaofiarował się Ned i zdawało mu się, że jaskrawe światła przysunęły się doń bliżej.

- A więc mam idealne rozwiązanie - powiedział szybko Jakub. - Zostanę twoim impresariem. Pokieruję twoją karierą, drogi chłopcze, a z moimi koneksjami i ze swoim talentem zajdziesz daleko. Na sam szczyt, nie wątpię w to. I wierz mi, jest to najlepsze miejsce, w jakim można się znaleźć - dodał z ważną miną, tak jakby doskonale wiedział, co się czuje będąc u szczytu sławy.

- Pozostaje tylko sprawa mojego wynagrodzenia, oczywiście. No więc, niech pomyślę... - Ponownie obrócił cygaro; wiedział dokładnie, ile to będzie kosztować Neda Sheridana i widział już większą posiadłość z różami i z kotem, Lambs Club, inauguracyjne wieczory... Ned Sheridan stanie się dla niego źródłem sukcesu, po raz pierwszy w życiu. - Oczywiście, jako twój menedżer mógłbym żądać więcej, ale sądzę, że zważywszy na naszą przyjaźń, pięćdziesiąt procent będzie na miejscu.

- Zgoda! - Ned chwycił dłoń Jakuba i potrząsnął nią z entuzjazmem. - Kiedy jedziemy do Nowego Jorku?

- Ty nie jedziesz, drogi chłopcze. Ty wyjdiesz na deski zagrać moją rolę - główną rolę - podczas gdy ja pojedę do Nowego Jorku i porozmawiam z moimi przyjaciółmi w twoim imieniu.

Jakub wyjechał następnego ranka, ubrany w swój olśniewający najlepszy strój - szare spodnie w drobnutki prążki i czarną popelinową marynarkę, zazielenioną ze starości na szwach. Włożył falistą jedwabną chustę zawiązaną na szyi, obszerną czarną pelerynę i czarny kapelusz z szerokim rondem, a w ręku trzymał zakończoną srebrem trzciniową laskę.

Kazał Nedowi przysiąc, że zachowa sekret i nie powiedział Saszy, po co jedzie do Nowego Jorku. Patrzyła jak odjeżdża, zastanawiając się, co on właściwie zamierza, ponieważ chytry stary sukinsyn coś zamierzał, już to wiedziała. Zauważyła również, że młody Ned Sheridan kipiał z podniecenia, a była pewna, że nie jest to spowodowane tylko tym, że ma dziś zamiast Jakuba grać główną rolę. Westchnęła, wydobywając się ze swego gniazda poduszek i zaczęła przygotowywać się do przedstawienia. Cokolwiek Jakub planował, miała niezłomną nadzieję, że mu się powiedzie, ponieważ ona robiła się już za stara na to wszystko.

Tego wieczoru Ned dał z siebie wszystko w roli francuskiego hrabiego zakochanego w umierającej kurtyzanie. Była to jakubowa wersja Damy Kameliowej, a szczupła widowia przyjęła ją za dobrą monetę, wołając o bis.

Sasza patrzyła na nich oszołomiona. Latami nie słyszała wołania o bis, a ostatnio była zadowolona mogąc zejść ze sceny bez słuchania tych okropnych wyzwisk rzuconych pod ich adresem przez wychodzących widzów. Ponad błyszczącymi światłami rampy Ned wpatrywał się w tych kilka tuzinów oklaskujących go ludzi i odczuwał ów uderzający do głowy przyływ mocy i radości, jaki tylko sukces dać może. Powiedział sobie w podnieceniu, że dzięki pomocy Jakuba niedługo wystąpi przed widownią złożoną z kilkuset ludzi i wprost nie mógł się doczekać po wrotu Jakuba z pomyślnymi wiadomościami.

„Znajomości” Jakuba w nowojorskim świecie teatru wyglądały tak:

on znał ludzi, i owszem, ale oni nie chcieli znać jego. Pomimo to udało mu się - posługując się podobiznami Neda, jakie ścisnął w dłoniach i własnym tupetem - utorować sobie drogę do biura słynnego dyrektora teatru, Charliego Dillinghama, który akurat przypadkiem rozdzielał role do nowej sztuki, a w niej akurat przypadkiem była rola dla przystojnego młodego amanta. Dillingham polecił Jakubowi przysłać Neda na przesłuchanie.

- Ale lepiej, żeby naprawdę okazał się tak przystojny, jak jego po dobizna - rzekł, postukując palcem w portret Neda gestem przestrogi.

- On jest więcej niż tylko przystojny - odparł z przekonaniem Jakub. - Mój podopieczny ma talent, panie Dillingham. Ten rodzaj talentu, który przyciąga widzów. Ned Sheridan przyciągnie do pańskiego teatru tłumy, panie Dillingham, nie ma tu mowy o jakiejś pomyłce.

Następnego dnia Ned i Jakub razem pojechali do Nowego Jorku. I Ned - z odkrytą głową, przystojny, śmiały - wkroczył do biura Dillinghama tak, jakby wchodził do siebie. Opowiedział Dillinghamowi, ja kim jest dobrym aktorem - a udowodnił to podczas przesłuchań, jakie odbyły się później w Teatrze przy Piątej Alei. Nie zwracając uwagi na Jakuba, który usilnie go namawiał do powtórzenia roli z poprzedniego wieczoru, z Damy kameliowej w blasku świec napisanej przez Jakuba, przeczytał na chybił trafił tekst z rękopisu, jaki wręczył mu Dillingham.

Był to lekki utwór; nie zawierał żadnych podtekstów ani głębokich myśli. Miał dostarczyć czystej rozrywki i Dillingham wiedział, że Ned Sheridan jest tu właściwą osobą do roli młodego amanta. Kobiety będą go uwielbiać za jego urodę, krytycy zaś nie powiedzą na jego temat złego słowa. Jednakże Dillingham jako twardy człowiek nie dał się ze sobą targować. Sto dolarów tygodniowo to suma bardzo odległa od pięciuset dolarów, na które liczył Jakub, zrozumiał więc, że musi jeszcze poczekać na swój domek otoczony różami. Poprosił od razu o wypłacenie tygodniowej pensji z góry i z szerokim gestem wręczył Nedowi pięćdziesiąt dolarów.

- Nie wydaj ich nierozważnie, drogi chłopcze - ostrzegł. - Tę sztukę wystawi się nie wcześniej niż za miesiąc i nie ma żadnej gwarancji co do tego, jak długo będzie grana. Wypłata za jeden tydzień może się okazać całą sumą, jaką dostaniesz.

Ned miał wszystko w nosie. Szedł Broadwayem, ulicą marzeń i jego własne marzenia też miały się urzeczywistnić. Udał się wprost do sklepu jubilera i wszystko wydał na piękny ametystowy pierścionek dla Lily. Może to za szybko, ale gdy tylko będzie mógł wrócić do Nantucket, znów ją poprosi, by została jego żoną i tym razem przypieczętuje to zaręczynowym pierścionkiem.

Przepracował swe ostatnie dwa tygodnie z aktorami Lowryego, grając główne role, Jakub bowiem stwierdził, że będzie to dla niego dobrym ćwiczeniem. Rzeczywistym powodem okazało się

to, że wiadomość o Nedzie rozniosła się wokół i nareszcie występowali przy pełnej widowni, Jakub zaś zastanawiał się z szarpnięciem żalu, czy jednak nie popełnił błędu, wysyłając swego protegowanego do Nowego Jorku.

- On i tak by odszedł - rzekła Sasza ze wzruszeniem ramion. - Nigdy nie potrzeba wiele czasu, by aktor zorientował się, że zdobywa przewagę. Czy nie mówiłam ci, że ten chłopiec ma talent?

- To tylko początek - rzekł Jakub, paląc pełen szczęścia swe cygare „Double Corona”. Ned Sheridan kupi nam nasz domek na wsi oraz wstęp dla nas do kręgu nowojorskich aktorów. - Pięćdziesiąt procent! - zaśmiał się. - I ten chłopiec ani przez chwilę w ogóle tego nie zakwestionował.

Sasza rzuciła mężowi lekceważące spojrzenie.

- Zakwestionuje, Jakubie - obiecała. - Dostyc szybko zakwestionuje.

Dwa tygodnie później Jakub i Sasza odprowadzili Neda na dworzec kolejowy, uprzedzając go, że w mieście jest pełno złodziei i naciągaczy oraz przykazując, by znalazł sobie szanowany pensjonat i by pilnował pieniędzy. W chwili, gdy pociąg ruszał, na peron wpadł pędem Harrison Robbins, ściskając w dłoni walizkę. Pociąg już jechał, więc podbiegł do niego, cisnął walizkę do środka, po czym sam dał susa w ślad za nią. Przejeżdżając obok de Lowrych, obrócił się, by im pomachać.

- Po prostu odchodzę, Jakubie - wrzasnął, śmiejąc się ze zdumienia na ich twarzach. - Nie mógłbym przecież pozwolić, by mój przyjaciel żółtodziób wyjechał na Broadway samotnie - wyjaśnił Nedowi. - Byłoby to tak, jak gdyby niewinnego baranka posłać na rzeź. - Oparł się i założył ręce, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Mam powyżej uszu de Lowryego - rzekł. - I mam powyżej uszu drugorzędnych sztuk i trzeciorzędnych teatrów. Jestem aktorem. Potrafię tańczyć i potrafię śpiewać. Mogę się zmierzyć z nimi wszystkimi, grając rolę głupca bądź słodkiego uwodziciela - i poprobuję szczęścia w Nowym Jorku wraz z tobą, Ned. Poza tym znam kapitalną właścicielkę pensjonatu. Najlepszą pieczeń niedzielną poda tobie, a ja się będę długo zajadać, ona zaś macierzyńskim okiem spojrzy na nas obu. Uwierz mi, Ned, to okaże się o wiele lepsze niż kiepskie kwatery, do których przywykliśmy. Zostało mi przy duszy trzysta pięćdziesiąt dolców i jeśli nie znajdę posady zanim mi się skończą, przysięgam, że zostanę komiwojażerem. Tym razem to wóz albo przewóz, mój mały. Oto do czego dochodzi, gdy jesteś aktorem przez ćwierć wieku, gdy masz dopiero trzydzieści trzy lata - i jeszcze nie zdołałeś się wybić.

Ned przechylił się ku niemu i uściśnął mu dłoń. Powiedział: - Dziękuję ci, Harry, że jedziesz ze mną. I jest to wóz albo przewóz dla nas obu. Jeśli zrobię plajtę, wracam do Nantucket, żeby przejąć interes mojego taty i ożenić się z Lily.

- A jeśli ci się uda? Ned zaśmiał się szeroko.

Wtedy również ożeni się z Lily.

Wiedziałem o tym. Posłuchaj głosu doświadczonej osoby, synu. Zapomnij o niej. Jest setka pięknych dziewcząt z rewii, które tylko marzą o tym, by je widziano u boku młodego i przystojnego amanta z ostatniego przeboju na Broadwayu, „Człowiek dnia jutrzejszego”. To ty jesteś człowiekiem dnia jutrzejszego, Ned. Lily natomiast jest przeszłością. Mówię ci, zapomnij o niej.

- Gdybyś ją znał, nie powiedziałabyś tego - rzekł z uporem Ned. - Nikt, kto ją spotyka, nie potrafi już o niej zapomnieć nigdy.

Harry zapalił krótkie cygare i przypatrywał się zmieniającej się za oknem scenerii.

- Mam tylko nadzieję, że nie będziesz marnował się, żyjąc wspomnieniami - rzekł z troską.

Pensjonat mieścił się na Zachodniej Czterdziestej, a jego właścicielka, Eileen Malone, uważnie

przyjrzała się dwóm młodym mężczyznom, dzwoniącym do jej domu.

- To znowu pan, panie Robbins - wykrzyknęła. - Nie widziałam pana ze sto lat! A kim jest pana przyjaciel?

- Mój przyjaciel to w najbliższym czasie wielka gwiazda Broadwayu - rzekł Harry, przedstawiając Neda. - Rozpoczyna właśnie próby do jednej z głównych ról, pani Malone. Przyznaję, że nie do głównej roli, bo na ten zaszczyt jest jeszcze trochę za młody. Lecz rola „pierwszego naiwnego” to całkiem dobry początek, zwłaszcza gdy się pracuje ze słynnym Charliem Dillmghamem i nie wątpię, że z tego miejsca dojdzie do jeszcze większych i lepszych ról.

Pani Malone popatrzyła na przystojnego i pełnego zapału jasnowłosego młodzieńca o wyrazistych jasnoblękitnych oczach i pomyślała, że Harry zapewne ma rację. Jeśli tak, to ona musi zostać karmicielką dla tego przystojniaka. Pokazała im pokoje, oni zaś z góry opłacili komorne i Harry oznajmił Nedowi, że zabiera go gdzieś na śniadanie.

- Może jeszcze nie stać nas na zjedzenie obiadu w tym lokalu - rzekł, wkraczając majestatycznie do kawiarni dla mężczyzn w położonej od strony Broadwayu części U Delmonico - lecz za ogólną kwotę czterdziestu centów możesz się tu posilić jajkami na miękko, grzankami i kawą. Dodaj jeszcze dziesiątkę na napiwek - i oto w sumie za pięćdziesiąt centów możesz siedzieć wraz ze znakomitościami świata teatru, czytając recenzje w porannych gazetach zupełnie tak samo, jak oni. I gdy się rozglądają, możesz podchwycić ich wzrok i z uśmiechem skinąć głową - i już wkrótce zaczną myśleć, że muszą cię znać. - Uniósł ramiona, wzruszając nimi z egzaltacją i wywrócił oczy ku niebu. - A wtedy, drogi chłopcze, możesz ich poprosić o pracę.

- Czy to naprawdę skutkuje? - zapytał Ned, rozglądając się dokoła z ożywieniem, by sprawdzić, co to za sławne twarze kryją się za rozłożonymi w górze egzemplarzami „New York Herald” i „Tribune”.

- Mam doprawdy nadzieję, że tak - odrzekł Harry, zamawiając dla obu jajka na miękko i grzanki. - Nawet jeśli nie poskutkuje, będziesz przynajmniej mógł wymieniać od niechcenia ich nazwiska w rozmowie z innymi. Wiesz, coś w tym rodzaju: „Kiedy dziś rano jadłem z Erlangerem śniadanie U Delmonico, wspomniałem mówiąc z Lillie Langtry i Davidem Belasco, że moim zdaniem Ned Sheridan nada się doskonale do głównej roli”...

Ned odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał. W całej sali nagle opuszczono gazety w dół i spoczął na nim dociekliwy wzrok tuzina par oczu.

- Widzisz? - rzekł tryumfująco Harry. - Już działa! Ned roześmiał się znowu, lecz Harry zdążył zauważyć, że jedna lub dwie z tych gazet pozostały w dole i że twarze dwóch spośród czytających mężczyzn przybrały wyraz zastanowienia. Pomysł okazał się nie zły. Ned Sheridan został już zauważony. - Będziesz się miał znacznie lepiej ze mną w charakterze twego impresaria, zamiast z tym starym kiepskim aktorem, Jakubem - stwierdził, odkrawając czubek jajka.

- Ale on zdobył dla mnie rolę - zaprotestował Ned. Stowa tygodniowo to pięć razy więcej, niż kiedykolwiek zarobiłem.

- Tylko dlatego, że de Lowry nie płacił ci tyle, ile trzeba. W ogóle żadnemu ze swych aktorów nie płacił ile trzeba. A więc ile żąda od ciebie za przysługę? Dziesięć, piętnaście procent?

- Pięćdziesiąt. - Gdy zbaraniały wzrok Harryego napotkał jego wzrok, Ned szybko dodał: - Zasługuje na to; bez niego nie byłoby angażu.

- Zafajdany, podły kanciarzyna - rzekł z wolna Harry, zostawiając jajko w spokoju. - Ned, ty jesteś na Broadwayu jak niemowlę. Dziesięć procent to byłoby aż nadto przy tak niskiej gaży.

Agenci, impresariowie - wzruszył ramionami - dostają od dziesięciu do góra dwudziestu pięciu i to wtedy, gdy rzeczywiście stworzą gwiazdę. - Rzucił Nedowi podejrzliwe spojrzenie. - Czy podpisywałeś z nim kontrakt? - Ned pokręcił przecząco głową. - Dobrze. To znaczy, że nic cię nie zobowiązuje do płacenia mu choćby centa. Do diabła z komedią! - rzekł nagle, trzasnąwszy pięścią w stół i znów opuszczono gazety, by się im przyjrzeć. - Ja będę twoim impresario, Nedzie Sheridan, bo w przeciwnym wypadku przez wszystkie wieczory w swym życiu będziesz pracował na złodzieja, jakim jest Jakub de Lowry.

- To sprawa honoru „powiedział z uporem Ned. - Tak się umówiliśmy.

- No dobrze, więc płac Jakubowi jego pięćdziesiątkę przez okres wystawiania sztuki. Ale potem to ja się tobą zaopiekuję. Zgoda?

- Zgoda - odrzekł Ned uspokojony i pomyślał, że nie zdążył jeszcze postawić nogi na scenie Teatru przy Piątej Alei, a już ma problemy.

Próby zaczynały się następnego ranka i po niespiesznym śniadaniu U Delmonico on i Harry około jedenastej poszli spacerkiem do teatru. Pan Dillingham i reszta obsady zgromadzili się już na scenie, więc Ned popędził przez przyciemnioną widownię, by do nich dołączyć.

- Dziękuję, panie Sheridan, że był pan tak dobry uraczyć nas łaskawie swym towarzystwem - odezwał się zjadliwie pan Dillingham. - Tyle że kazał pan moim aktorom czekać piętnaście minut. Na przyszłość przyjdzie pan punktualnie albo rozejrzę się za kimś nowym do drugoplanowej roli.

Mamrocząc pełne zażenowania słowa przeprosin, Ned zajął swe miejsce na scenie. Nauczył się już na pamięć własnej kwestii, a także innych osób, nie potrzebował więc tekstu, otworzył go jednak jak inni, gdy dyrektor ich przepytywał. Był to długi, trudny dzień prób, podobnie jak wszystkie następne dni przygotowujące do premiery.

- Niesamowite, jak rezerwują miejsca - oznajmił Nedowi Harry, wertując w dzień gazety przy śniadaniu, jak zwykle, U Delmonico. - Piszę się, że to nie jest zła sztuka; nic nadzwyczajnego, ale niezła. I po patrz tutaj, Ned, gdzie napisano:

Uważajcie na sekretną broń Dillinghama: na przystojnego młodego aktora w roli Marcusa Jareda, tytułowego Człowieka dnia jutrzejszego.

Wąsik Harryego wyraźnie aż zjeżył się z przejęcia.

- To pierwsza wzmianka o tobie na szpaltach poświęconych Broadwayowi, synu, a bynajmniej nie ostatnia.

Ned był zdenerwowany. Ucharakteryzował się i przywdział kostium o kilka godzin za wcześnie, kręcił się więc za kulisami, mamrocząc swoją kwestię, a palce miał zaciśnięte na pudełeczku z ametystowym pierścionkiem, który kupił dla Lily.

Nic nie powiedział ani jej, ani rodzinie o swojej wielkiej szansie na wypadek, gdyby miała się zakończyć fiaskiem i postanowił sobie, że wówczas by to rzucił; wróciłby do Nantucket i poślubił Lily - a może powinien właśnie to zrobić, ponieważ było jasne jak słońce, że nie pamięta już ani jednego wiersza.

Widzowie premierowego przedstawienia wchodzili już szeregiem na swe miejsca i Ned słyszał, jak śmieją się i paplają jak gdyby nic złego się nie działo. Przybliżył się ku niemu rozpromieniony Harry.

- Dillingham zaprosił na parter sławne osobistości - rzekł rozradowany. - Każdy, kto się liczy, dzisiejszego wieczoru jest tutaj. Masz to gotowe, Ned. Po prostu wyjdź tam i pokaż, co potrafisz. Och, a przy okazji:

tam z przodu na widowni jest Jakub i Sasza. Wydałem polecenie, żeby nie wpuszczono go za kulisy wcześniej niż po przedstawieniu, czy dobrze?

Ned przygnębiony skinął głową. Wrócił do swej garderoby i usiadł zgarbiony przed lustrem, myśląc o tym, że zaraz wyjdzie na głupca wobec najznakomitszych sław Nowego Jorku i najsurowszych krytyków Broadwayu. Wiedział już, że jest skończony.

Goniec teatralny wrzasnął: „Pięć minut!”, więc poszedł stanąć za kulisami. Już pierwsza kwestia należała do niego, a on nawet za cenę życia nie umiał przypomnieć sobie tekstu. Wygładził swe wypomadowane jasne włosy i obciągnął marynarkę. Kurtyna poszła w górę przy grzecznym szmerze aprobaty - i jakimś cudem udało mu się wkroczyć na scenę. Usłyszał, jak skądś dochodzi jego własny głos, mówiący słowa: „No więc, gdzie podziewają się wszyscy? Myślałem, że mieliśmy spotkać się o trzeciej...” Oto niespodziewanie nie musiał sobie niczego przypominać, gdyż gra była jego drugą naturą.

Wybuchły entuzjastyczne oklaski, gdy na scenie pojawiła się gwiazda, Marion Javits, potem znów oklaski dla Maxwella Dunlapa - i nagle wszystko już toczyło się takim rytmem, który oznaczał, że dobry zespół aktorski pracuje w zgrany sposób.

Przy kwestiach Neda publiczność śmiała się tam, gdzie należało, a on z wdzięcznością patrzył na widownię, czekając aż śmiech wygaśnie, by móc mówić dalej. I oto pierwszy akt dobiegł już końca i znów rozległy się oklaski. Porządne, krzepiące oklaski.

Aktorzy zniknęli w swych garderobach i on zrobił to samo. Harry już czekał na niego.

- Dobrze ci idzie, synu - rzekł z entuzjazmem. - Śmieją się, jakby mieli tę rolę przeciwioną. No i zwracają na ciebie uwagę, Ned.

Drugi akt minął mu jak we śnie, a gdy już opadła kurtyna, cały teatr rozbrzmiewał oklaskami. Marion Javits wytwornie poruszyła ramionami.

- To słyhać tych z darmowymi biletami. Naprawdę liczy się opinia górnego balkonu. A także wieczór jutrzejszy, gdy przyjdzie publiczność, która zapłaciła za bilety.

Kłaniała się widowni w pojedynkę i to samo robił Maxwell. Potem kilkakrotnie wychodzili razem. A później dali znak Nedowi, by wyszedł na scenę - i Harry lekko pchnął go ośmielającym gestem. Ned kłaniał się, wsłuchując się w falę silniejszych oklasków, które były specjalnie dla niego. Podniósłszy wzrok, posłał z wdzięcznością promienny uśmiech ludziom, którym się podobał.

Po przedstawieniu odbyło się U Delmonico przyjęcie z okazji premiery i tym razem, gdy wkroczył do środka, kelnerzy uśmiechali się z poważaniem i mówili:

- Gratulacje szanownemu panu, panie Sheridan. Już się rozniosło, że sztuka ma powodzenie.

Jakub wymachiwał swym cygarem z ważną miną, tak jak tylko on potrafił to robić, Sasza zaś, w czarnej kreacji, która odsłaniała mnóstwo ciała, wycisnęła Nedowi na policzku długi i wilgotny pocałunek, i jednym tchem wyszeptała mu do ucha:

- Byłeś świetny. Ale przecież ja zawsze wiedziałam, że potrafisz. Niezliczony tłum pięknych kobiet składał na jego policzkach pocałunki, znaczący ludzie teatru, których nazwiska aż do dzisiaj tylko słyszał, gdy wymieniano je z respektem, teraz patrzyli na niego z aprobatą i gratulowali mu jego aktorstwa.

- To nie było aktorstwo - rzekł Harryemu oszołomiony Ned. - Dziś na scenie ja naprawdę stałem się Marcusem Jaredem.

Harry dobrze wiedział, co ten chce powiedzieć, lecz pomyślał z żalem, że w ciągu tylu lat swej pracy aktora on sam ani razu nie doznał tego na scenie. Wiedział, że Ned ma wyjątkowy talent

i wiedział też, że zasługuje na wszystko, co najlepsze, nie zamierzał zatem pozwolić, by de Lowry doprowadził go do ruiny.

Osaczył Jakuba przy barze i dał znak kelnerowi, by podał mu jeszcze jeden kieliszek.

- Jeszcze trochę szampana, Jakubie? - zapytał ze skrywanym uśmiechem. De Lowry obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

- A co ty tu robisz? - zapytał. - Nie sądziłem, że będziesz miał czelność... po opuszczeniu mnie w taki sposób.

- Gadam o kontraktach - rzekł Harry, napierając jeszcze bardziej. Oparł jedną rękę o ścianę, zamykając Jakuba w potrzasku między barem a sobą. - Ned powiada mi, że nie podpisał z tobą żadnego kontraktu.

- Och, ale podpisze. Mam to nawet tutaj, do podpisania przez niego jeszcze dzisiaj. To proste pisemko, zwykła formalność.

Poklepał się po kieszeni zawierającej dokument, a Harry przytrzymał mu rękę.

- Nie fatyguj się, żeby mi to pokazać - rzekł oziębło. - Ned orientuje się, w jaki sposób próbowałeś go oskubać. Ma w sobie więcej z dżentelmena niż ja, przeto zgodził się dotrzymać transakcji i wypłacać ci pięćdziesiąt procent swej gaży przez okres wystawiania tej sztuki. A potem masz to z głowy.

- Wygadujesz bzdury - zachnął się Jakub. - Pewnie, że on podpisze. Ja zdobyłem angaż dla tego chłopca, może nie?

Nachylając się jeszcze bardziej ku Jakubowi, Harry chwycił go za klapę marynarki.

- No pewnie, zdobyłeś. A potem powiedziałaś mu, że będzie go to kosztować połowę jego zarobku. Nie dziesięć ani piętnaście, ani nawet nie dwadzieścia pięć procent. Okazałeś się zachłanny, Jakubie.

Przytknąwszy twarz jeszcze bliżej, wyszeptał z pogroźką:

- Jesteś tylko tanim starym złodziejem i wiesz o tym. Założę się, że „prosty kontrakcik” w twojej kieszeni, gotowy do podpisu przez Neda skutecznie go uziemia po resztę jego dni płaceniem pięćdziesięciu lub nawet sześćdziesięciu procent panu J. de Lowryemu. - Wyszczrzył zęby; po oblanej purpurą twarzy Jakuba poznał, że ma rację.

- Zapomnij o tym, Jakubie - rzekł, wypuszczając go. - Odzierałeś ze skóry zbyt wielu aktorów przez zbyt długie lata. Trzymaj się z dala od Neda albo dopilnuję, żebyś się znalazł w więzieniu za tysiąc i jeden drobnych oszustw popełnianych jak kraj długi i szeroki. Będę ci w każdy poniedziałek przesyłał telegraficznie twoje pięćdziesiąt procent przez cały czas wystawiania sztuki. Nie zwracaj sobie głowy potwierdzaniem odbioru i „nie szukaj nas, my sami cię znajdziemy”. - Z pogroźką w pożegnalnym spojrzeniu Harry oddalił się powolnym krokiem, by ratować Neda przed gęganiem młodych kobiet, które go otaczały.

Pierwsze wydania porannych gazet przyniósł uskrzydłony radością Dillingham.

- Spodobało się! - wrzasnął wśród nerwowej ciszy, która nagle za padła i natychmiast rozległy się wiwaty.

Zabawna, czarująca, aczkolwiek powierzchowna. Aktorstwo przemawia głośniej niżli słowa - pisali krytycy. - Szczególnie zaś nowa twarz na Broadwayu, Ned Sheridan, równie przystojny i umiejący poruszać struny waszych serc, co szybko zauważyła większość kobiet na widowni. Nie znaczy to, że pan Sheridan nie jest świetnym aktorem. Przeciwnie. Sposób opanowania przezeń niewielkiej roli każe mu się wyróżniać na scenie pośród świetnych aktorów. Warto uważnie

obserwować jego karierę.

Harry wyściskał go, a w ślad za nim - pan Dillingham. Marion Javits pocałowała go nadąsana - opinie na jego temat były dłuższe i pochlebniejsze niż o niej - lecz jej partner na scenie, Maxwell, okazał się bardziej wspaniałomyślny.

- To była diabelnie dobra gra - rzekł. - Wykorzystaj ją jak najlepiej, bo daję ci na to moje słowo, że ta sztuka nie utrzyma się dłużej niż przez miesiąc.

Miał rację. Sztuka istotnie zeszła ze sceny po miesiącu, lecz Dillingham wyprawił ją wówczas w trasę teatralną - i tym razem nazwisko Neda na plakatach umieszczono wraz z nazwiskami dwójki gwiazd. Ned pisał do Lily z każdego miasta, do jakiego trafiał w ciągu owego tygodnia, lecz wiedział, że na trasie nie może spodziewać się żadnej odpowiedzi, pierścionek zaś spoczywał w jego kieszeni tak długo, aż pod koniec czerwca zar lata nakazał zamknąć teatry i Ned mógł znowu pojechać do domu.

Wykupił lilie ze wszystkich kwiaciarni na Broadwayu i popędził do śródmieścia, żeby zdążyć na statek „Żegluga Fali River”. Przez pół nocy wałęsał się po pokładach, nie będąc w stanie spać, tak bardzo myślał o Lily. Zszedł na ląd w Fali River - i snuł się po gorącym i wietrznym peronie stacji kolejowej, póki pociąg nie zawiózł go do Myrick, a tam znowu snuł się po stacji, póki kolejny pociąg nie zawiózł go do New Bedford. Gdy wreszcie wszedł na pokład parostatku z kołem łopatkowym płynącego do Nantucket, był już odrętwiały ze zmęczenia, a lilie smutno opadały, jednak kiedy minęli latarniowiec Cross Rip, Ned wiedział, że prawie jest w domu.

Oddychał chłodnym, słonym morskim powietrzem, a świat teatru, zmęczenie i napięcie minionych miesięcy stopniowo jakby słabły i zostawały za nim. Śpiesząc z nabrzeża w górę ulicy Głównej, by wreszcie odnaleźć Lily, czuł się nie tym samym człowiekiem.

Matka i siostry podbiegły do drzwi, żeby go przywitać, przystając na widok wymownych lilii kurczowo trzymany w objęciach. Gdzieś w głębi domu zapłakało niemowlę, a on z niepokojem wpatrywał się w ich przygnębione twarze. W obawie przed najgorszym, serce przestało mu bić.

- Lily umarła - powiedział, wodząc wzrokiem od jednej do drugiej.

- Nie, synu. O nie, ona nie umarła - rzekła mu matka. - Ale odeszła, Ned. Uciekła po przyjściu na świat chłopca. Poprosiła nas, by się nim opiekować. I już jej nigdy nie zobaczymy, możesz być tego pewien.

Ned rzucił swój bukiet na ziemię. Wpadł do kuchni i wpatrywał się w niemowlę o czerwonej twarzączce, wrzeszczące w koszu wyplatany z wikliny. Po chwili odezwał się kojącym tonem:

- No nie martw się, synu. Odnajdziemy ją. Obiecuję ci to. A kiedy to zrobimy, już nigdy nie pozwolimy jej odejść.

28.

Maudie

Arnavama

Brygida nie spuszczała ze mnie jastrzębiego wzroku, jednak dzisiaj czuję się lepiej, pomimo siedzenia do późnej nocy. Kiedy byłam mała, mamusia mawiała, że całą swą tygodniową energię zużywam na raz, po czym słaniem się jak więdący kwiatek, a ona musi wtedy na cały dzień położyć mnie do łóżka, żebym doszła do siebie. Powinniście czasem tego spróbować. Długi, leniwy dzień, z dala od telefonu, telewizji i gazet, drzemka, czytanie i pogryzanie małego co nieco: czekolady, kurczaka na zimno, albo chleba prosto z pieca, posmarowanego masłem śmietankowym. Nawet dobra gorąca owsianka też działa, choć może tu będziecie potrzebowali Brygidy, by ją wam przyrzadziła.

Mogę oświadczyć wam, moi drodzy, że jeden leniwy dzień w łóżku, z cackaniem się ze sobą, daje tyle samo, co tydzień spędzony w jednym z tych drogich nowych ośrodków kuracyjnych.

Kiedyś wybrałam się tam z moją przyjaciółką, Molly Arundel. Było koszmarne. Przed wszystkim - same kobiety. Poza tym morzyli nas głodem i kazali jeść listki sałaty oraz coś, co nazywali rosołem, a co było - jak powiedziała Molly - kurzym gnatem wymoczonym w wodzie. Chwyтали nas w potrzask kąpeli błotnych i urządzeń do wypocenia się, tak byśmy nie mogły robić im kłopotu i wykradać się do wiejskiego pubu na łyk „G T”, na kanapki z szynką i by rzucić okiem na mężczyzn. A ci krzepcy Szwedzi bezlitośnie okładali nas pięściami na stołach do masażu.

„Maudie i Molly, Straszne Bliźniaczki” - tak nas nazywano, gdyż stałyśmy się przyczyną wielu kłopotów, wciąż narzekając i wciąż wymykając się poza teren w płaszczach kąpielowych. Czy wiecie, że zabierają tam ubrania, zupełnie tak, jak robi się w więzieniu? A mogę wam powiedzieć, że jest to kompletna wsypa, gdy człowiek pokazuje się w miejscowym pubie, odziany w swój frotowy szlafrok koloru ultramaryny.

Brak mi starej Molly. To była, wiecie, moja szczególnie bliska przyjaciółka. Przyjaźniłyśmy się jako dziewczynki i razem jeździłyśmy do tuzina różnych szkół, ponieważ żadna z nas nie była - według słów mamusi - „przyklejanką”, co miało znaczyć, że nigdy nie trzymałyśmy się niczego dłużej niż przez kilka tygodni. Oczywiście, dotyczyło to również mężczyzn, szczególnie w przypadku Molly. I wiecie, to mężczyzna doprowadził ją do śmierci.

Otóż Molly, w odróżnieniu ode mnie, była swojego czasu piękną: ciemnowłosą, zielonooką! czarującą wężowymi ruchami. Jeździła konno jak mężczyzna, paliła jak lokomotywa i przeklinała jak szewc - a przy tym najbardziej kobieca wśród kobiet, jakie w ogóle poznałam. Oczywiście, pomijając mamusię, bo mamusia ze swą zabawną twarzą łobuziaka w spódnicy była nieskończenie kobieca.

W każdym razie Molly wychodziła za męża trzy razy i trzy razy owdowiała, a przy tym lubiła to, co nazywała „zabawą na dworze”, tak więc chociaż osiągnęła już podeszły wiek, kiedy poznała tego faceta, i mimo swego upodobania do dżinu z tonikiem i do czarnych oliwek, była w dobrej formie i wciąż jeszcze ładna. Na obu skroniach miała w swych ciemnych włosach srebrne pasemko. „To po prostu, żeby mężczyźni wiedzieli, że nie jestem taka młoda, na jaką wyglądam” - powiedziała mi. Dała sobie też zrobić dobry lifting twarzy tudzież biustu, ponieważ mieszkała wówczas w Palm Beach, a wiecie, jak tam jest.

I to tam właśnie go spotkała. W Palm Beach. Na jednym z tych balów dobroczynnych, które oni urządzają chyba co wieczór, aby mieć dokąd włożyć te cudowne modne kreacje, na jakie widocznie wszyscy sobie mogą pozwolić. Naturalnie, Molly miała tyle pieniędzy, co każdy z nich, być może nawet więcej. Jej ojciec czerpał dochody ze stali, a mogę wam powiedzieć, że powiodło mu się w tym lepiej niżli mojej mamusi. Jeśli pamiętacie, mamusia straciła w czasie wojny cały swój kapitał, ulokowany w niemieckiej stali, natomiast ojciec Molly zarabiał grubą forszę na uzbrojeniu. Dokładniej mówiąc, na opancerzeniu czołgów, choć po tem przeszedł do rzeczy większych, lepszych i bardziej nowoczesnych, tak więc stara Molly miała dosyć pieniędzy, by robić, na co miała ochotę. A miała ochotę się zabawiać.

Ale znowu odbiegam od tematu. Ona miała sześćdziesiąt pięć lat, a on trzydzieści i był przystojnym blondynem, mężczyzną prosto z reklam Ralphi Laurena. Włosy gładko zaczesane do tyłu, silnie zarysowana szczeka, szczupła figura i para okularów w rogowej oprawie, które miały mu nadawać „myślący” wygląd. Prawdą jest, że bez nich prezentował się nieco mdło i często się

zastanawiałam, czy miał je na nosie również podczas... no, wiecie. Jednak nigdy nie zapytałam o to Molly, ponieważ mogłaby pomyśleć, że sobie z niego żartuję, a ona szalała za nim. Widziałam to. Widziałby to nawet ślepy na jedno oko. Wprowadził się do niej, a ona kupowała mu wszelkie eleganckie ubrania, jakich zapragnął, aż wreszcie wyglądał tak, jakby wyszedł spośród lśniących kart żurnala mód. Chodził z nią wszędzie: na wszystkie obiady czy kolacje - i na tańce.

Zadzwoiła tu do mnie, do Ardnawamy, i rzekła:

- Maudie, ty po prostu musisz go poznać. On jest taki cudowny! Poleciałam więc tam i zamieszkałam wraz z nimi w willi Molly nad brzegiem morza. Był to jeden z tych okazałych amerykańskich domów:

nowoczesny, odrobinę w stylu śródziemnomorskim, z posmakiem tropików, z basenami o wykładzinie z kolorowych kamieni, położonymi wśród zdumiewająco zielonych trawników z tropikalnymi lianami i z tą okropną klimatyzacją.

- Na miłość boską, Molly, wyłącz to! - mówiłam zawsze, nawet jeśli temperatura na zewnątrz osiągała 85 stopni w skali Fahrenheita. - Nie ma nic złego w odrobinie uczciwego potu. To robi dobrze na pory!

W każdym razie, ona i ten facet większość czasu spędzali w łóżku. Oczywiście, w przerwach między przyjęciami i kolacjami. W zaciszu domowym spotykałam ich bardzo rzadko. Zapytałam Molly, jak mam go ocenić, skoro prawie go nie widuję. - Kochana Maudie, nie jesteś tu po to, by oceniać - odrzekła zdziwiona. - Jesteś tu, by podziwiać.

Była rozanielona faktem, że ona - wesola sześćdziesięcioletka - potrafi sprawić, że ten przystojny młodzik dokonuje w łóżku cudów ambicji. Ale cóż, oczywiście to właśnie ją zabiło. Byli ze sobą w łóżku, a ona dostała ataku serca i tak się skończyło.

- Czy można odejść w lepszy sposób, kochana Molly? - wypowiedziałam nadziej trumną podczas pogrzebu. Ach, ona kochała życie, ta moja przyjaciółka Molly! I czyż nie cieszyła się nim do samiotkiego końca?

A wracając do rzeczy. Nazajutrz po moim dniu leniuchowania w łóżku, wstałam rano znowu promienna jak słońce; zabrałam Shannon, konie i psy - i udałyśmy się na długą przejażdżkę po górach. O Jezuu, jak ja dobrze się czułam. Jak nie ta sama kobieta! Deszcz się już rozszedł i powietrze pachniało tak, jakby było wyprane i teraz schło; tak jak pach nie pranie rozwieszzone na sznurku.

- Jak ci się układa z Eddiem? - zapytałam Shannon, kiedy przystanęłyśmy, by konie mogły się napić z lodowato zimnego górskiego strumienia.

- Świetnie - odrzekła ostrożnie. Sprowokowałam ją do spojrzenia na mnie i uśmiechnęła się szeroko. - On jest naprawdę miły teraz, gdy mam okazję bliżej go poznać - powiedziała, rumieniąc się spłoszona. - No więc, ja zawsze pochwalam rumienienie się - więcej kobiet powinno to robić; to takie wdzięczne!

Tego wieczoru po kolacji znów zebraliśmy się wokół kominka. Miałam na sobie taftową suknię w kolorze szmaragdowej zieleni, długą i uroczystą, kupioną w 1974 roku na wielki bal w Palm Beach, na który poszłam z drogą starą Molly. Zaraz, co to był za projektant? Ach, tak:

Bili Blass. Amerykańscy projektanci mody mają takie wyczucie stylu, jeśli chodzi o uroczystą okazję!

Shannon była w czarnych jedwabnych spodniach i w białej jedwabnej bluzce, ubrana bardzo prosto i skromnie aż do przesady, lecz z jej młodością i smukłą figurą nawet morderstwo uszłoby jej na sucho. O mój Boże, nie są to chyba słowa, których można by użyć, prawda? Eddie natomiast

włożył dzinsy i marynarkę, zawiązał także krawat - jak zwykle wyglądał na niewiarygodnie przystojnego. Trudno mi uwierzyć, jak bardzo jestem wyróżniona przez los, skoro moje oczy - wieczór po wieczorze - mogą się delektować widokiem dwojga tak cudownych młodych stworzeń.

Łamałam sobie głowę nad decyzją, od którego miejsca rozpocząć opowiadanie. Wreszcie postanowiłam ciągnąć dalej historię Lily.

Boston

Dzielnica Północna piekła się w gorących promieniach lipcowego słońca. Na zaśmieconych ulicach obszarpane dzieci grały w berka, ich matki zaś, obserwując je, siedziały wyzute z sił na schodkach przed drzwiami. W środku, w ich norach było jeszcze goręcej niż na zewnątrz, a poza tym wiedziały, że ta pogoda sprzyja rozwijaniu się zarazków chorób, trzymały więc swoje potomstwo na dworze, mając nadzieję, że „bardziej świeże” powietrze uchroni je przed epidemią, jaka rokrocznie grasowała latem w domach czynszowych.

Lily czuła na sobie ich nieprzyjazny wzrok, kontemplujący każdy szczegół jej jedwabnej spódnicy i białej batystowej bluzki, która na po czątku tego rana była taka świeża i szeleszcząca, a teraz przykleiła się już do niej niczym druga skóra. Zacisnąwszy zęby, mozolnie posuwała się dalej, kurczowo trzymając swój wiklinowy kosz podróżny i nerwowo rozglądając się dookoła w obawie, że lada chwila może zostać na padnięta. W powietrzu wisiał przyprawiający o mdłości smród ścieków, przyspieszyła więc kroku, obierając kierunek z dala od nabrzeży i wszech ogarniającej nędzy.

Posępny uśmiech przemknął po jej twarzy, gdy ta myśl przyszła jej do głowy. Przecież ona jest tak samo uboga jak tamci, nawet jeszcze uboższa. W kieszeni zostało jej dokładnie dwadzieścia pięć centów i nie miała wprawdzie pojęcia, co można za to kupić, lecz domyślała się, że nie byłoby tego dużo. Szybko potrzebowała pieniędzy, szukała więc lombardu, gdzie mogłaby zastawić swoje srebrne szczotki do włosów. W gardle jej zaschło, a słońce paliło ją prosto w głowę i zaczynała już z każdym kolejnym krokiem czuć się coraz słabsza.

Przystanęła i oparła się ze znużeniem o ścianę domu, a młoda kobieta, która przyglądała się jej siedząc na schodkach, rzekła:

- Pewno jest wam niedobrze, panienko?

Lily popatrzyła na nią. Kobieta była młoda, wymizierowana i wyglądała na równie zmęczoną, jak czuła się Lily. Nadbiegły jej dzieci, gromadząc się u jej kolan i wybałuszając oczy na zamożnie wyglądającą obcą panią.

Lily opadła na schodek obok kobiety.

- Jestem po prostu osłabiona - rzekła z westchnieniem. - Czy nie szkodzi, jeśli posiedzę tu przez chwilę?

- A siedźcie sobie - odpowiedziała kobieta - lecz jeśliście chora, to idźcie tu niedaleko, do kościoła świętego Stefana; oni wam pomogą. Lily pokręciła głową. - To nie kościół mi jest potrzebny, tylko lombard. Zostało mi przy duszy jedynie dwadzieścia pięć centów. Kobieta wzruszyła ramionami.

- No to macie więcej niżli my wszyscy. Lily patrzyła szeroko rozwartymi oczami na nią, potem zaś na jej liczne dzieci.

- Ale gdzie jest wasz mąż?

- Poszedł. Szuka pracy. On i tysiąc innych chętnych na jedną robotę. Głos kobiety był rzeczowy. Nie czuło się w nim jakiegokolwiek emocji, nawet rozgoryczenia.

- Jest jeden, co ma lombard na Hudson Street - podsunęła. - Może on wam pomoże.

Lily podziękowała jej i powiedziała, że musi iść swoją drogą. Zrobiła kilka kroków, myśląc o swych kosztownych srebrnych szczotkach i o tym, ile przyniosą pieniędzy - dwadzieścia, a może nawet trzydzieści dolarów - po czym szybko zawróciła i wcisnęła swoich dwadzieścia pięć centów w dłoń kobiety.

- Potrzebujecie ich bardziej niż ja - rzekła, czym prędzej uciekając przed podziękowaniami.

Właściciel lombardu przyglądał się jej przez mosiężną kratkę swojego okienka. Piękne szczotki do włosów z pełnowartościowego srebra, ozdobne lustro od kompletu i grzebień były zachwycające. Raz jeszcze popatrzył na dziewczynę. Jej twarz była równie biała, jak jej bluzka i miała w sobie ten sam wyraz rozpaczony, jaki już widział tyle razy przed tem, ponieważ w ogóle do jego sklepu nie przychodził nikt, kto by nie był zrozpaczony. „Ostatnia deska ratunku” - tak mówiono o nim z goryczą. Ale ta dziewczyna wydawała się inna. Szczotki zaś były warte nie złej sumki.

Lily opadła na drewniane krzesło stojące przy kontuarze i ścisnęła bolącą głowę dłońmi, czekając na decyzję właściciela lombardu. Jeśli nie da jej pieniędzy, nie będzie wiedziała, co robić.

Właściciel lombardu popatrzył na nią niepewnie, mając nadzieję, że nie jest chora. Jeszcze mu tylko brakowało w sklepie chorej kobiety! Czym prędzej przyniósł jej szklanek wody i przyglądał się jej, gdy piła. Musiał się pozbyć tej dziewczyny, zanim się przewróci.

- Wie pani co? - rzekł szybko. - Dam pani za to wszystko pięć dolarów. I proszę pamiętać, musi mi pani zwrócić pieniądze w przeciągu sześciu tygodni - choć wiedział, że ona nigdy już nie wróci. Znał pasera, który natychmiast zabierze to wszystko za trzydzieści lub czterdzieści centów.

- Biorę je i dziękuję panu - wykrzyknęła z wdzięcznością Lily. Gdy odliczał pieniądze do jej wyciągniętej ręki, spojrzała na niego, pełna lepszej nadziei.

- Potrzebuję pracy - powiedziała skwapliwie. - Czy może mi pan powiedzieć, dokąd powinnam pójść?

Schowwał srebrne szczotki pod ladę i rzucił jej obojętne spojrzenie.

- Tam, gdzie zawsze idą takie jak pani - rzekł lekceważąco. - Do Agencji Zatrudnienia Irlandzkich Służących, tam na Tremont. - Lily zrobiło się słabo na myśl o tym, ale pięć dolarów to znacznie mniej, niż spodziewała się dostać za szczotki do włosów i wiedziała, że nie wystarczy ich na długo.

Pani Richardson z Agencji Zatrudnienia Irlandzkich Służących sama też była kiedyś guwernantką - aż do chwili, gdy odkryła, że bardziej dochodowym zajęciem jest sprzedawanie ubogich Irlandek bogatym mieszkańcom Bostonu. Irlandzkie kobiety dobrze nadawały się na służące: były porządne, czyste, uczciwe i dobrze się prowadziły. Pracowały ciężko i szczyliły się tym, co robią, a robiły to dobrze, jako że ich matki nauczyły je gotować, prać i sprzątać. I każda z nich miała z tuzin braci i sióstr, zdobyły więc doświadczenie w zajmowaniu się dziećmi. Nieogrzewane pokoiki na poddaszu, w których mieszkały, były i tak lepsze niż jakiekolwiek mieszkanie w Północnej Dzielnicy, tak więc za pokój z wyżywieniem plus pięć dolarów miesięcznie pracowały przez siedem dni w tygodniu, prosząc o wychodne jedynie na mszę w niedzielę.

Z własnych przeżyć w przeszłości pani Richardson знаła utrapienia płynące z przebywania w charakterze służącej w zamożnym domu - i umiała też rozpoznać klasę, gdy miała z nią doczynienia. Obejrzała Lily z góry na dół, a dziewczyna bez mrugnięcia powieką śmiało odwzajemniła jej wzrok. Pani Robertson rzekła więc sucho:

- Pierwszą rzeczą, jakiej musisz się nauczyć, jest to, że służąca nie spogląda pracodawczyni

prosto w twarz tak, jakby były sobie równe. Służąca spuszcza głowę i mówi: „Tak, proszę pani; dobrze, proszę pani” - i zawsze o tym pamięta.

- Tak, proszę pani - powiedziała szybko Lily, spuszczać wzrok. Irlandzkie dziewczęta pani Richardson zawsze miały szorstkie, czerwone ręce i mówiły wyraźnym dialektem, ale młoda kobieta stojąca po przeciwnej stronie jej biurka nie miała żadnej z tych oznak przynależności.

- Nie wyglądasz na zbyt silną - rzekła krytycznym tonem.

- Och, ale jestem silna! - zawołała niespokojnie Lily, wyprostowując się i zdobywając na dziarski uśmiech. - To tylko dlatego, że musiałam przejść taki kawał drogi w upale. Jestem jednak równie silna, jak każda inna dziewczyna.

Pani Richardson oparła się o biurko, z dłońmi splecionymi przed sobą.

- Czy mogę zapytać, jaka właściwie jest twoja przeszłość, moja droga? - rzekła z nieco większą sympatią. Ale Lily potrząsnęła tylko głową i cicho powiedziała:

- Jak wszyscy inni, opuściłam swój dom w Irlandii, by rozpocząć nowe życie. Mój mąż zmarł w czasie podróży przez ocean. Jestem zupełnie sama.

- Czy są jakieś dzieci?

- Nie. O, nie. Nie ma żadnych dzieci - odrzekła kategorycznie Lily.

- Mam posadę w bardzo eleganckim domu na Beacon Hill. Przy Chestnut Street. - Zajrzała do swego spisu. - Potrzebują od zaraz służącej do wszystkiego. Miałam zamiar wysłać im kogoś innego, ale to wspaniały dom i będzie odpowiedni dla takiej dziewczyny, jak ty. Uposażenie wynosi pięć dolarów miesięcznie, a do tego ubranie służbowe, pokój i wyżywienie. I naturalnie pensja za pierwszy miesiąc płacona jest mnie, jako prowizja za pośrednictwo.

Wręczyła Lily kartkę z zapisanym adresem i kazała jej pomówić z intendentką, panią Janssen.

- I jeszcze jedna sprawa - dodała, znów oglądając Lily z góry na dół - lepiej, żebyś tam nie szła, mając na sobie to ubranie. Służące nie noszą jedwabnych rzeczy, tak że pani Janssen będzie myślała, że jesteś jakąś zadzierającą nosa dziewczuchą, która zasłużyła na swój los.

Twarz Lily spłonęła rumieńcem poczucia winy, a pani Richardson dodała łagodnie:

- Nie mówię, że jest tak naprawdę, moja droga. To oczywiste, że po prostu popadłaś w ubóstwo, lecz jeśli chcesz pracować jako panna służąca, to musisz też wyglądać jak panna służąca. Na końcu Court Street jest sklep z używanymi rzeczami. Kupują tam i sprzedają. Proponuję ci, żebyś się tam pofatygowała, zanim poprosisz o posadę.

Trzymając kurczowo kartę, która miała poprowadzić ją w przyszłość, Lily zeszła znużonym krokiem z powrotem po schodach i wyszła na Tremont. Do sklepu z używaną odzieżą był szmat drogi. Bolały ją plecy, nogi i głowa, lecz kobieta siedząca w zakurzonej ławce okazała się miłą.

Ledwie rzuciwszy okiem na pobladałą twarz Lily, w pośpiechu przyniosła krzesło.

- Siądź sobie, moja droga - rzekła uprzejmie - i odzypnij. Nigdy nie wiadomo, co w Bostonie jest gorsze: upał latem, czy przejmujący chłód zimą. - Podała Lily szklanekę lemoniady i rzekła: - A więc, czym mogę ci służyć?

Gdy Lily wyjaśniła jej swą kłopotliwą sytuację, skinęła głową.

- A co jeszcze masz do sprzedania? - zapytała. - Oprócz tego, co na twoim grzbiecie.

Lily zaczęła z zapalem grzebać w swym koszu podróżnym, aż wyciągnęła płaszcz z futrzanym przybraniem, swój futrzany żakiet, dwa inne żakiety z aksamitu, płową wełnianą spódnicę i futrzaną mufkę. Żarliwie rzekła:

- To wszystko jest najlepszego gatunku. Kobieta twierdząco skinęła głową.

- To widać, moja droga. Wezmę to i jeszcze tamto - wybrała aksamitne żakiety oraz futerko i mufkę. - Ale ten płaszcz i tą porządną wełnianą spódnicę lepiej sobie zatrzymaj. Kiedy nadejdzie styczeń, uwierz mi, że będziesz z nich zadowolona. - Popatrzyła z rozumą na stosik ładnych ubrań, uświadamiając sobie, że może dostać bardzo korzystną cenę za ich odsprzedanie, szczególnie za futerko. - Mogę ci zaproponować dwadzieścia dolarów, moja droga, za całość. A ponadto dam ci za przyzwoitą cenę suknię odpowiednią na spotkanie z pracodawcą.

Lily prawie zemdląca ze szczęścia. Całe dwadzieścia dolarów plus pięć dolarów za szczotki do włosów. A przecież tego ranka zostało jej ostatnich dwadzieścia pięć centów. Kupcowa wyniosła suknię z szarej bawełny, z długimi rękawami i z zapięciem wysoko pod szyję - po czym zaprowadziła Lily na zaplecze, by ją przymierzyła. Lily była zbyt szczupła i suknia zwisała z niej luźno, lecz kobieta rzekła wesoło:

- W niektórych z tych domów na Beacon Hill dobrze się jada i bądź pewna, że przybierzesz na wadze. A poza tym ta suknia to dobry nabytek. Kobieta, do której należała, umarła, tak więc jest prawie nie noszona.

Lily ścierpła skóra na myśl o noszeniu sukni po jakiejś zmarłej kobiecie. Miała ochotę zedrzeć ją z siebie, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Poczowała ukłucie bólu na wspomnienie zakupów robionych z mamusią u pani Simms w Dublinie i tego wrażenia, jakie dawał dotyk chłodnego, miękkiego atlasu i jedwabiu na jej skórze. Teraz nosiła ubranie po zmarłej - i ze wstydu zwiesiła głowę, zastanawiając się, co powiedziałyby matka, gdyby mogła ją zobaczyć.

- Będziesz też potrzebować pary butów mocniejszych od tych, które teraz masz na nogach - rzekła jej kupcowa i wyniosła obuwie z twardej czarnej skóry. - No i szala na chłodne dni.

Lily zasznurowała buty, czując się w nich okropnie. Owinęła szalem ramiona i ze smutkiem spojrzęła na swe odbicie w lustrze. Wyglądała dokładnie tak samo, jak młoda kobieta o pustych oczach, napotkana na ulicy tego ranka. Pozbawiona swych wdzięcznych fatałaszków, stała się ubogą irlandzką wieśniaczką, taką samą, jak inne.

- To wszystko będzie kosztować trzy dolary - rzekła dziarsko kupcowa. Lily wręczyła jej pieniądze, po czym kupcowa życzyła jej powodzenia, ona zaś wolnym krokiem wyszła na zewnątrz, na Court Street, już jako inna kobieta.

Zmęczona, wspinała się z trudem stromymi, uroczymi uliczkami Beacon Hill. Domy były tu duże i dobrze utrzymane; wokół rosły drzewa i latarnie gazowe oświetlały ulice. Panowała atmosfera dostatku i pewności siebie, która świadczyła o rzetelnych dochodach i wykształconych ludziach żyjących na drugim końcu świata daleko od slumsów Dzielnicy Północnej. Wchodząc po schodach domu przy Chesnut Street i dzwoniąc do drzwi frontowych, Lily powiedziała sobie ze znużeniem, że przynajmniej jest tu ładnie.

Drzwi otworzył główny lokaj w białym lnianym żakiecie. Wyraz przerażenia przemknął przez jego twarz, gdy mierzył Lily wzrokiem z góry na dół, a ona się zarumieniła. Zadzierając podbródek do góry, rzekła:

- Zechciejcie powiedzieć pani Janssen, że przyszła Lily Molyneux, by się z nią zobaczyć.

Grubiańsko chwycił ją za kołnierz i sprowadził po schodach w dół.

- A za kogo ty się uważasz, że dzwoniś mi do drzwi frontowych i pytasz o gospodynię. Gdyby cię pani przypadkiem zobaczyła, zabrałaby posadę pani Janssen, a i mnie też. Ze złością popchnął ją w stronę stromej ściany schodów do suterenu. - Tam jest miejsce dla takich jak ty, mała, i nie zapominaj o tym. I nigdy już nie życzę sobie widzieć twojej twarzy w głównym holu.

Lily zbiegła schodami piwnicznymi ku wejściu dla służby. Odwróciła się jeszcze i spojrzała na niego. Lokaj zdążył wyjąć chusteczkę do nosa i teraz wycierał sobie palce z grymasem niesmaku na twarzy, jak gdyby przed chwilą dotykał czegoś brudnego. Zawrzał w niej gniew i odczuła pokusę, by cofnąć się i powiedzieć mu, kim ona właściwie jest, lecz wówczas przypomniała sobie, że nie jest już tą osobą. Jest tym, za kogo on ją uważa: służącą i mniej niż zerem.

Na jej pukanie drzwi otworzyła pogodna i młoda irlandzka dziewczyna. Czarne włosy miała na wpół ukryte pod czepkiem i nosiła bawełnianą sukienkę w niebieskie pasy oraz suty i czysty biały fartuch.

- Mam widzieć się z panią Janssen w sprawie pracy - powiedziała Lily z policzkami wciąż płonącymi ze wstydu i z gniewu. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

- No proszę - rzekła - to musi być nowa służąca od wszystkiego, na którą czekaliśmy. Ja jestem Kathleen. A ty?

- Lily. - Spojrzała niespokojnie na dziewczynę. - Nigdy tego przed tem nie robiłam. Jaka to jest praca służącej?

- Na pewno nie taka zła. Masz dach nad głową i porządne jedzenie w żołądku. Pani Janssen jest starym tyranem, ale mówi się, że wszystkie gospodynie zadzierają nosa. I, rzecz jasna, nie jest ze starego kraju. To Szwedka i uważa się za lepszą od nas. I ma rację, bo ona jest szefową, a my wszyscy pracujemy dla niej.

Powiodła Lily ciemnym korytarzem do pokoju dla służby i powiedziała:

- Pani domu jest tak wyniosła i ważna, że ledwie się odważysz na nią spojrzeć. Uważaj, by nie wchodzić pani w drogę i nie narazić się pani Janssen, a będzie z tobą w porządku. Jest nas czwórka - dodała. - Ja pracuję w kuchni, a jest jeszcze pokojówka i służąca od górnego piętra; te mają najlepszą pracę. A ty będziesz „od wszystkiego”, co oznacza, że musisz robić brudną robotę po innych, szorując rondle, podłogi i schody i pomagając w praniu. To ciężka praca - dodała ze współczującym westchnieniem.

Serce w Lily zamarło, gdy patrzyła, jak Kathleen wyrusza na poszukiwanie pani Janssen. Przedtem wyobrażała sobie samą siebie, jak wnosi tace z herbatą, wyciera kurze, może układa w wazonach kwiaty, nie zaś szoruje schody. Wróciła Kathleen.

- Teraz ona sama chce cię widzieć - rzekła, wiodąc Lily do salonu gospodyni.

Pani Janssen była siwowłosa i czerwona na twarzy, a jej przenikliwe spojrzenie powiedziało Lily, że się jej nie spodobała.

- A co też ta kobieta z agencji myśli, że robi najlepszego, przysyłając mi takie wątle stworzenie jak ty! - wykrzyknęła zirytowana. - Mając w Bostonie taką hurmę Irlandczyków, na pewno mogłaby wystąpić z czymś lepszym!

Lily skurczyła się pod jej złym spojrzeniem. Nie umiała nic na to odpowiedzieć, a pani Janssen rzekła ponuro:

- Gdybyśmy nie byli w nagłej potrzebie, od razu odesłałabym cię do niej z powrotem, ale teraz lepiej zacznij natychmiast. Dziś wieczorem jest kolacja na trzydzieści osób i kucharka potrzebuje pomocy, skąd tylko się da. I lepiej, żebyś porządnie przykładała się do pracy, mała, jeśli nie chcesz zostać wyrzucona na zbity łeb.

Lily wspomniała słowa przestrogi ze strony pani Richardson i, z akuratnie spuszczonej oczyma, zaszemrała: - Tak, proszę pani. Dziękuję, proszę pani - po czym podążyła za Kathleen znów na korytarz i w górę po niezliczonych ciągach nagich drewnianych schodów - aż na strych znajdujący się

pod mansardowym dachem.

Aczkolwiek malutkie mansardowe okienka były otwarte na całą szerokość, poddasze pulsowało zapierającym dech gorącem, co kazało im ciężko i spazmatycznie łapać powietrze.

- W nocy też tu nie lepiej - rzekła Kathleen, wachlując się chustką. - Gorąc zbiera się na górze i tutaj już zostaje. A zimą będziesz ślizgać się po lodzie. Słysząc wtedy, jak ogrzewanie parowe sapie gdzieś tam na dole, ale nawet jeden podmuch tu nie dochodzi. - Westchnęła, ocierając czoło. Wygląda na to, że nigdy nie wyjdziemy na swoje - powiedziała, z rezygnacją przyjmując swój los.

Pod dachem mansardowym było pięć prowizorycznie wydzielonych pokoiów dla służby i pokój Lily nie różnił się od pozostałych: kostropata drewniana podłoga, czarne żelazne łóżko, sosnowy nocny stolik z taną miednicą i dzbankiem, a nad tym prostokątne lustro bez ramy. Stała też sfatygowana komoda, a na ścianie wisiał mosiężny wieszak.

- Przynajmniej jest tu materac - rzekła Kathleen, spoglądając na pochmurną twarz Lily - choć czasami zdaje mi się, że wypchali go zwirem, taki guzowaty. A zresztą nie mieszkamy tu za dużo czasu na spanie. Ale lepiej się pośpiesz, inaczej kucharka wypruje z ciebie flaki.

Kucharka stała przy odrapanym sosnowym stole, zajęta mieszaniem czegoś w misce. Była to kobieta zwalista i ciemnowłosa, o krzepkich rękach, tłustych policzkach i zgorzkniałym wyrazie twarzy.

- A gdzie to się podziewałaś? - zwróciła się do Kathleen, szorstkim szturchańcem odsuwając na bok młodą dziewczynę, która stała przy stole i obierała ziemniaki. Dziewczyna nie przerwała obierania, ale po policzkach potoczyły jej się łzy bólu. Nie mogła mieć więcej niż trzynaście lat i Lily pomyślała, że dziewczynka wygląda na zbyt przestraszona na to, by choćby na chwilę oderwać wzrok od swego zajęcia.

- A kimże ty jesteś? - zapytała kucharka. I, podobnie jak pani Janssen, z irytacją wywróciła oczami ku niebu, kiedy Lily odrzekła, że jest nową „do wszystkiego”. - O mój Boże, to co nam przyślą następnym razem? Może staruchę dobrą na złomowisko. No już, zakładaj fartuch, dziewczyno, jest cały zlew brudnych garnków i patelni. A ty, Kathleen, możesz wysmarować masłem formy do sufletu - i pośpiesz się z tym.

Popołudnie zmieniło się w wieczór, a kucharka zrzucała na Lily, Kathleen i na dziewczynkę, której było na imię Teresa, jedną robotę za drugą. Pokojówka i służąca z górnego piętra, wyglądające wspaniale w swych czarnych „popołudniowych” sukniach, organdyńowych fartuszkach z falbankami i w czepeczkach, wpadały i wypadały to na filiżankę herbaty, to na ploteczki, później zaś posłano Lily pędem na górę z herbatą na tacy, by zaniosiła piastunce od dzieci.

Wróciwszy do kuchni, Lily została znów postawiona do roboty przy czyszczeniu warzyw. Przechodziła od jednego zadania do drugiego po grążona w transie, wyczerpana, a gdy wreszcie podano kolację, kucharka rzekła z westchnieniem ulgi:

- Dzięki Bogu, kolejne przyjęcie mamy za sobą. - Po czym ruszyła w stronę swego pokoju, zostawiając im posprzątaną kuchnię.

Usiadły przy kuchennym stole i pochłaniały zimny pasztet, kromki chleba z masłem i kubki gorącego kakao łączywie niczym żarłoczne zwierzątka. Pozmywały naczynia, wyszorowały stół i zamiotły podłogę, a potem, o wpół do drugiej w nocy, gdy wszystko było znów czyste i posprzątane, a kucharka od dawna spała już, chrapiąc w swoim pokoju, wspięły się ze znużeniem po ponurych, kuchennych schodach na swój upalny stryszek.

Lily zasnęła nieprzytomnym snem całkowitego wyczerpania, w błogiej nieświadomości gorąca,

obolałych pleców i wszelkich problemów. Następnego ranka obudzono ją wraz z ptakami i kazano się śpieszyć. Dano jej sukienkę z niebieskiego perkalu i ogromny fartuch, który owinał ją całą, a kiedy pośpiesznie zjadła śniadanie złożone z chleba i herbaty wysłano ją przed dom, by wyszorowała schody frontowe. Gdy tak niosła swoje ciężkie blaszane wiadro z wodą i wielkie szczotki do szorowania po schodach dla służby, odwracała ze wstydu twarz. Opadła na kolana i zaczęła szorować, a łzy wpadały jej do mydlin. Jej serce ogarnęła nienawiść i gniew. Właśnie dowiadywała się, że dla Wszchemocnego istnieją bardziej wyrafinowane metody karania za niegodziwość niż tylko nieskomplikowana śmierć.

Mimo pogodnej przyjaźni, okazywanej jej przez Kathleen, Lily czuła się osamotniona. Była odmienna i dziewczęta wiedziały o tym: miała cichy i kulturalny głos, nie używała - tak jak one - wyraźnego irlandzkiego dialektu; nosiła bieliznę z delikatnego lnu, o czym wiedziały, bo oglądały jej rzeczy wiszące na sznurze obok ich ubrań; no i nie była przyzwyczajona do ciężkiej pracy - nawet ślepy na jedno oko mógł to zauważyć. Pomimo to, Lily bardzo się starała; pamiętała, by za każdym razem spuszczać oczy i by pilnować „swojego miejsca”. W czasie, gdy inne dziewczęta udawały się w niedzielę na mszę, ona sama spacerowała po skwerze miejskim, czując się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Nocą zaś leżała w swym niewygodnym łóżku, nie mogąc zasnąć z gorąca, i z tęsknotą myślała o domu. Jednakże starała się nigdy nie myśleć o dziecku i o Dermocie Hathawayu. Tak rozpaczliwie pragnęła uwolnić się od nich, za to wszystko, co jej uczynili.

Dni wlokły się w kieracie szorowania, zmiatania, polerowania i obierania. Jej ręce były już tak samo czerwone i spękane, jak ręce Kathleen czy Teresy, a życie wydawało się osadzone w rutynie nie kończących się obrzydłych prac.

Pewnego niedzielnego poranka, w kilka tygodni później, pani Janssen wezwała Lily do swego gabinetu. Zapach rostbefu niósł się ku górze z kuchni, Lily zaś, związawszy sobie włosy, podążyła zaniepokojona do gospodyni, zachodząc w głowę, czego ta od niej chce. Stała, trzymając ręce za plecami i spuściła wzrok w oczekiwaniu.

Pani Janssen wpatrywała się w nią surowo.

- Zwrócono moją uwagę, że nie uczestniczysz we mszy niedzielnej z innymi dziewczętami - rzekła zimnym tonem.

- Nie uczestniczę, proszę pani - odrzekła Lily. Oczy pani Janssen rozblęły się gniewem.

- Wiesz o tym, że dziewczęta dostają wychodne tylko po to, by pójść do kościoła. A ponieważ ty wolisz nie chodzić, przeto nie przysługuje ci ten sam przywilej, co innym. Od tej pory w niedzielę będziesz przez cały dzień do dyspozycji.

Lily otworzyła szeroko oczy, zdumiona taką niesprawiedliwością.

- Och, ale... - zaczęła mówić.

- Ale co? - z oczu pani Janssen biły w nią płomienie. - Czyżbyś miała czelność sprzeciwiać mi się, dziewczyno?

Lily gwałtownym ruchem uniosła podbródek i spojrzała tamtej ze złością prosto w twarz.

- O Jezu, proszę pani, sprzeciwiam się! - krzyknęła, tupiąc nogą. - To mój wolny czas i pani o tym wie, a przy tym jest go bardzo mało.

Czerwona twarz gospodyni stała się purpurowa z wściekłości i ze zdumienia, że ktoś pozwala sobie z nią dyskutować.

- No wiesz, ty mały irlandzki kocmołuchu - krzyknęła, waląc pięścią w biurko. - Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam takiego języka. Spakujesz swoje manatki i wyniesiesz się stąd natychmiast.

A twoja pensja będzie skonfiskowana. Nie pozwól, żebym kiedykolwiek znów zobaczyła cię tutaj w pobliżu, bo inaczej naślę na ciebie policję.

Była to czcza pogróżka, lecz Lily nie wiedziała o tym i przerażona umknęła z pokoju. Jej dawna porywczność kosztowała ją właśnie posadę, a teraz w dodatku wisiała nad nią groźba kłopotów z policją.

Pędem wbiegła po schodach na poddasze i zaczęła wrzucać swoje rzeczy do wiklinowego kosza podróżnego w obawie, że gdyby szybko nie odeszła, pani Janssen posłałaby po policję. Za Lily pośpieszyła Kathleen.

- Ta stara zwariowała - rzekła ze współczuciem. - Ale słuchaj, Lily, w zeszłym tygodniu spotkałam na mszy pokojówkę pana Adamsa, a ona mi powiedziała, że potrzebują jakiejś dziewczyny. To piękny dom na Mount Vemon. Czemu miałabyś tam nie spróbować? Może będziesz mieć szczęście.

Lily podziękowała jej serdecznie. Pokonała strome kręcone schody przeskakując po dwa stopnie naraz i najszybciej, jak tylko mogła, pobiegła ulicą Chestnut. Agencja zabrała jej zarobek za pierwszy miesiąc, pani Janssen zaś zatrzymała pieniądze za drugi. Przez dwa miesiące, siedem dni na tydzień i osiemnaście godzin dziennie Lily szorowała więc i czyściła za darmo.

Należący do Adamsa dom był jednym z największych i najstarszych na Mount Vemon. Jeszcze dysząc po swej oszalałej ucieczce, Lily tym razem udała się piwnicznymi schodami do wejścia dla służby. Znowu mała irlandzka służąca wpuściła ją do środka i zaprowadziła do gospodyni, pani Hoolihan. Ta szybko popatrzyła na nią od góry do dołu i rzekła obojętnie:

- Nadasz się. Możesz zacząć od razu.

Lily z wdzięcznością pośpiesznie wyszła, doznając ulgi, że tamta nie zapytała o jej poprzednie miejsce zatrudnienia. Musiałaby skłamać znowu, jej życie i tak stało się już zdumiewającym splotem kłamstw. Teraz chwilami miała wrażenie, że kłamstwa stają się prawdą.

Mała służąca, Emer, mówiła ściszym głosem, pokazując Lily jej pokój.

- Wszystkich razem jest nas sześć - rzekła. - Ja jestem „do wszystkiego”, a ty będziesz od kuchni. Pani Hoolihan i kucharka, pani Bennett, to królowe tego gospodarstwa - dodała z rozgoryczeniem. - Mają swoje własne bawialnie i prawie nic nie robią. Pan Adams jest kawalerem. To starszy dżentelmen i wiele podróżuje za granicę. Teraz, aż do października, przebywa we Francji, nie ma więc roboty z przyjmowaniem gości i one się nie przejmują. To takie jak ja czy ty mają wykonywać całą tę pracę dokoła. No, ale jednak jadamy do syta i jest przy tym trochę pieniędzy, a ja mam nadzieję, że kiedyś sama zostanę kucharką, a może piastunką do dzieci. - Westchnęła znowu. - To jest naprawdę spokojny dom.

Lily pamiętała o tym, by mieć spuszczone wzrok i zachowywać się z uszanowaniem. Dostała już nauczkę i była zdecydowana utrzymać swoją posadę, musiała bowiem zwrócić pani Sheridan pięć dolarów, które jej zabrała, i musiała też wysłać pieniądze na opłacenie utrzymania dziecka. Na szczęście jednak gospodyni domu była, jak się zdaje, zupełnie obojętna, a kucharka przyjaźniła się z gospodynią, spędzały więc cały czas razem, zamykając się w bawialni pani Hoolihan. Pokojówka i służąca z górnego piętra zadzierały nosa i ograniczały się do własnego towarzystwa, szczebiocząca zaś ploteczki buzia małej Emer działała Lily na nerwy.

Którejś bezsennej nocy leżała w łóżku, czując jak zwykle rozpacz na myśl o przeszłości i o wstydzie, jakim okryła swą rodzinę. Owładnęło ją poczucie własnej nikczemności. Po raz tysięczny żałowała, że w ogóle spotkała Dermota i przeklinała swoją pewną siebie, zuchowatą głupotę.

Pogrążona w smutku, zastanawiała się, czy Ciel myśli o niej czasami. postanowiła napisać do niej. Nie wiedziała, czy w ogóle siostra dostanie ten list, ale Ciel lubiła odbierać pocztę, tak że istniała jakaś szansa.

Pół nocy przesiedziała, pisząc list, a nazajutrz rano poprosiła panią Hoolihan o pozwolenie wyjścia na dziesięć minut. Wręczając swój list na pocztę, pomyślała, że jest on niby mocna konopna lina rzucona na ratunek marynarzom z tonącego okrętu. Tylko jej siostra mogła ją ocalić przed utonięciem w samotności.

29.

Maudie

Ardnava

Gdy opowiadam historię Lily, wracają do mnie moje własne wspomnienia o tym, jak mi się żyło jako dziecku w Wielkim Domu. Pamiętajcie, że mieszkałam tam tylko do czasu, gdy osiągnęłam dwanaście lat, no i że było to miejsce ponure, tylko my troje plątaliśmy się tam jak Marek po piekle. Ale za czasów Lily był to, jak wiecie, istny pałac, wiecz nie pełen przybyszów i gości, krewnych i przyjaciół, a także miejsce zjazdów strzeleckich i wędkarskich, potańcówek gwiazdkowych i balów z okazji polowania.

Jednak do czasu, gdy przyszła kolej na mnie, wielu z przyjaciół i rówieśników rodziny Molyneux straciło już swoich synów w różnych wojnach. I do owego czasu większość z nich straciła majątek, a niemało także swe wielkie domy. Ci zaś, którzy je zachowali, nadal mieszkali w rozpadających się starych dworach, w których zimą na poły zamarzali. Wilgoć wypełzła na eleganckie georgiańskie tapety, a w pokojach rozstawiano słoiki po dżemie, żeby łapać deszcz sączący się przez dziury w dachu.

Pamiętam te lodowate salony w czasie, gdy wyjeżdżaliśmy gdzieś z wizytą. Pani domu siedziała wtedy w futrze, podając whisky w rękawiczkach na dłoniach, podczas gdy jej mąż nadaremnie szturchał tłący się na kominku torf gigantycznym żelaznym pogrzebaczem, a wiatr z gwizdem wpadał w ogromny komin tak, że ciąg unosił rogi dywanu i sprawiał, iż ciężkie stare brokatowe kotary powiewały.

- Ale dlaczego oni tam zostawali? - spytała Shannon.

- To proste. Nie mieli dokąd się udać. Ich wielkie domy często były oddane w zastaw hipoteczny bez reszty, po dwakroć i po trzykroć, po mimo że dyrektorzy ich banków starali się jak mogli, by utrzymać je w wytyczonych granicach budżetu. Słowo „budżet” jednak obce jest naturze Irlandczyka, a ich nigdy nie uczono żyć w inny sposób, tak więc w dalszym ciągu robili to, co dawniej. Zawsze w stajni było kilka dobrych koni, a na kredensie stały butelki ginu, whisky i sherry; rzeka dostarczała świeżych łososi, jezioro - pstrągów, lasy zaś i pola bażantów, bekasów i zajęcy, tak że nigdy nie zaznawano głodu. Służba nigdy nie upominała się o pensję, a miejscowi sklepikarze otwierali dla nich kredyt dokładnie tak, jak robili to zawsze; tyle że teraz kredyt przeciągał się na lata, nawet jeśli co miesiąc przedstawiano rachunki. Od czasu do czasu jeden lub dwa fanty dawane na poczet kredytu zadowalały kupców i życie toczyło się niemal normalnym rytmem, z przyjęciami i balami z okazji polowań.

A może takie doprowadzenie do ubóstwa było karą Bożą na arystokrację ziemiańską za straszne czyny, jakich niektórzy dopuścili się wobec swoich dzierżawców? Westchnęłam. Na Irlandię zawsze spadały plagi nędzy i niepokojów. I bez wątpienia plaga Anglików.

Ale jak zwykle, oddalam się od tematu, a postanowiłam wam tylko powiedzieć, że chociaż

w czasach, gdy byłam dziewczynką. Wielki Dom robił posępne wrażenie, to nie dlatego, aby brakło nam pieniędzy. Po prostu kamienna gotycka sień wysoka niczym katedra sprawiała, że piskliwy głosik dziecka odbijał się echem. Zawierała też ze sto miejsc, w których mogliśmy się chować, kiedy bawiliśmy się całą grupą. Czasami się za stanawiam, czy aby na pewno znaleźliśmy wszystkich, którzy kiedyś ukryli się przy zabawie w chowanego i te wszystkie „śledzie” pozamykane w przepastnych kredensach. Kto wie? Może pewnego dnia otworzymy jakieś drzwi i zobaczymy doskonale zachowaną dwójkę dzieci w odświętnych ubrankach, niczym Jasia i Małgosię. Mimo to ów stary dom tętnił życiem i uciechą, nawet jeśli był tak wściekle zimny, i żebyśmy nie wiem ile podróżowali, powrót do domu zawsze stanowił przyjemność.

Jednakże - jak to rzekłam Shannon i Eddiemu - odkąd Lily opuściła Wielki Dom, nic już nie było takie, jak przedtem. Najpierw jednak opowiem wam, co włożyłam na siebie tego wieczoru do naszych pokolacyjnych opowieści. Myślę, że wygląd kobiety jest rzeczą istotną. Możecie to nazwać próżnością, jeśli chcecie, lecz - jak wiecie - sukienki są moją namiętnością i tamtego wieczoru miałam model Chanel z 1952 roku, długą suknię morskiego koloru z jedwabnego dżerseju, który zawsze przylega tak ściśle, że noszenie bielizny staje się niemożliwością. Ale to już inna historia. A na wypadek, gdyby wam to zaprzętało głowę - to owszem, owego wieczoru miałam na sobie bieliznę: te cudowne jedwabne reformy, jakie sprzedaje się w Ameryce, a które nie pokazują tego, o czym się mówi „linia majtek”. Oczywiście wtedy, w roku 1952, jeszcześmy takich rzeczy nie mieli.

No dobrze. Oto, co opowiedziałam Shannon i Eddiemu tamtego wieczoru.

Ardnavama

Kiedy dziesięcioletnia Ciel Molyneux patrzyła, jak Lily wywożą z Ardnawamy kareta zaprzęzoną w czarne konie takie, jak u karawanu, bez najmniejszego cienia wątpliwości wiedziała, że oto i jej życie zmienia się na gorsze.

Ojciec zarygłował się w swoich pokojach, a matka nie opuszczała łóżka. William przebywał na Uniwersytecie w Oksfordzie i nikt nie za troszczył się o nową guwernantkę dla Ciel, która - pozostawiona samej sobie - włóczyła się na swym kucyku po całej posiadłości, z psami Lily biegnącymi przy nodze. Łzy bez końca płynęły jej po twarzy, gdy tak oplakiwała swoją siostrę, ponieważ było jej równie ciężko, jak gdyby Lily nie żyła. A nawet ciężiej, bo gdyby Lily umarła, pochowano by ją otoczoną miłością - w Ardnawamie.

Gdy w kilka tygodni później ojciec wyłonił się wreszcie ze swej samotni, przejęta zgrozą Ciel patrzyła na jego wybladłą twarz, martwe oczy, siwiejące włosy i przygarbione barki. W przeciągu kilku tygodni jej dumny, krzepki ojciec stał się starcem! Przygnębiona, krążyła w ślad za nim po domu tak, jak za nią chodziły psy Lily, lecz on odzywał się z rzadka. A kiedy ona próbowała nawiązać z nim rozmowę, odwracał twarz, jakby nie był w stanie znieść jej widoku.

Czując się zagubiona, szukała pociechy u matki, przeto lady Nora podjęła próbę wyrwania się z letargu, by zadośćuczynić potrzebom córki. Swojej jedynej córki, jak uświadomiła sobie z goryczą. Jej mąż za chowywał się teraz jak człowiek obcy. Nie uśmiechał się, był małomówny i wpadał we wściekłość z najbardziej błahych powodów: a to przy śniadaniu kawa okazała się za zimna, a to wino przelano w niewłaściwy sposób, a to że znowu w domu jest za gorąco albo za zimno, czy też służba wygląda niechlujnie. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała prowadzić dom tak, jakby wszystko było po staremu, niczego nie robiła dobrze. Ciel obserwowała, jak papcio bez powodu pieni się ze złości na matkę - i nie wiedziała, co począć.

Gdy otrzymali straszną wiadomość o zatonięciu „Hibernii” i usłyszeli, że nazwisko Lily nie znalazło się na liście ocalałych, papcio na tychmiast wyjechał do Londynu. Zamiast w ich miejskim domu, zatrzymał się w swoim klubie, grając w karty i chodząc z przyjaciółmi na wyścigi konne. Nie przywdział żałoby i zakazał odprawiać nabożeństwo żałobne. Wszyscy uznali go za człowieka nieczulego, o sercu z kamienia, jednak Ciel czuła ponad wszelką wątpliwość, że poza tą zimną fasadą ojciec cierpiał tak bardzo, jak ona i matka.

Lady Nora znów powróciła do łóżka, już ostatecznie załamana, Ciel zaś pobiegła po kucyka i pojechała na nim wzdłuż plaży. Wpatrywała się w rozbijające się zielone fale, widząc w wyobraźni, jak pod ich lodowatym ciężarem tonie jej siostra - i na głos krzyczała z żalu. To nie może być prawdą - płakała - po prostu nie może. Lada chwila Lily pokaże się, jadąc konno dróżką wśród skał, a psy pobiegną ją po witac, szczekając jak oszalałe. A za nią pogna Finn O'Keeffe, tak samo jak zawsze.

Matka spędzała dni w łóżku, a ojciec przebywał w Londynie i wydawało się, że Ciel nie obchodzi już nikogo. Pragnęłaby, żeby matka wyznaczyła dla niej nową guwernantkę, wtedy przynajmniej miałyby z kim porozmawiać; jednakże lady Nora nie wychodziła ze swego

zaciemnionego pokoju. Doktor przychodził i odchodził, a służba rozmawiała najcichszym szeptem, podczas gdy Ciel snuła się z pokoju do pokoju, lub jeździła na swym kucyku milami po bagnach, niekiedy wracając dopiero po zapadnięciu zmroku. Nikt nie zapytał jej z gniewem, gdzie była i dla czego przebywała poza domem aż tak długo, doprowadzając wszystkich prawie do szaleństwa z niepokoju. Nikt nie zwracał uwagi na to, że jej włosy są splątane, a sukienka brudna, ani na to, że teraz jada kolację samotnie w ogromnej, lodowato zimnej jadalni przy wielkim stole, przy którym mogło zasiąść trzydzieści osób. Idąc do łóżka, miała zwyczaj zaglądać tęsknie do pokoju mamusi po to tylko, by stwierdzić, że już śpi pod działaniem mikstury, którą dał jej lekarz. Miała też zwyczaj zaglądać smutno do wnętrza przytulnej kuchni, gdzie służące spożywały kolację, plotkując i śmiejąc się wesoło. Za glądała również do biblioteki, gdzie niegdyś papcio zwykł wypalać swe poobiednie cygaro. Teraz było tam zimno i pusto - i takie też stało się jej życie, gdy umarła Lily.

Nieoczekiwanie matkę unieruchomił artretyzm. Stwierdziła z westchnieniem, że wilgotny klimat przestał jej służyć - i nie ruszyła się już z łóżka. Nie dawała sobie też rady z prowadzeniem domu i wszędzie zbierał się kurz. Gdy zaś brat Ciel powrócił nareszcie z Oksfordu na wakacje, ta rzuciła się na niego ze łzami uniesienia i smutku zarazem.

William trzymał w uścisku łkającą siostrzyczkę, przecierając swe zasnute mgłą okulary i sam ledwo powstrzymywał łzy.

- Byliśmy kiedyś tacy szczęśliwi - łkała Ciel. A teraz spójrz tylko na papcia. I na mamusię. Spójrz na nas i powiedz mi, czy w ogóle kiedyś będziemy znów tacy sami?

Miesiące ciągnęły się pełne nudy. Ojciec wcale nie przyjeżdżał do domu, William wrócił do Oksfordu, a jedyną przyjemnością Ciel pozostała samotna jazda konno przez las lub po niegościnnych górach. W czasie niewiele dłuższym niż jeden rok, szczęśliwa, figlarna dziewczynka przeistoczyła się w samotne dziecko o smutnej buzi.

Na srebrnej tacy, stojącej na okrągłym mahoniowym stole o nogach w formie szponów w samym środku sieni, całymi miesiącami leżała góra listów, tak jak wszystko w Wielkim Domu - zbierając na sobie kurz w oczekiwaniu na powrót lorda Molyneux. Pewnego ranka Ciel przechodziła przez hol jak zwykle, z psami przy nodze, gdy znienacka po podłodze przemknęła mysz. W mgnieniu oka psy rzuciły się za nią, wpadając na stół i wyrzucając w powietrze tacę z listami, które sfrunęły na posadzkę. Ciel z gniewem chwyciła psy za obroże. Mysz znikła pod deskami dębowej podłogi, ona zaś pomyślała z westchnieniem, że nie byłoby sensu mówić o tym mamusi, gdyż wyglądało na to, że obchodzi ją już tylko kolejna mocna dawka środka przeciwbólowego, który zapisał jej lekarz.

Podniosła z ziemi listy, leniwie spoglądając na każdy z nich i z wyteżeniem wpatrując się w kremową kopertę, na której widniało jej imię. Na końcu świata umiałaby rozpoznać duże i wyraźne litery pisane ręką Lily - i miała wrażenie, że serce skacze jej do gardła, po czym znowu opada gdzieś głęboko, ku trzewiom. Chwyciła list oburącz, przyciskając go do piersi i tuląc go tak, jakby to właśnie była jej siostra. Drżąc z radości, wiedziała, że ten cenny list oznacza, iż Lily żyje.

Wbiegła po schodach przeskakując po dwa stopnie naraz i popędziła korytarzem do swego pokoju. Zamknęła drzwi na klucz i weszła na łóżko Lily, z psami usadowionymi wokół niej - po czym rozdarła kopertę. Ręce jej się trzęsły, gdy wyglądziwszy złożone kartki, zaczęła czytać.

Najdroższa Ciel,

Jeśli w ogóle otrzymasz ten list, będę najszczęśliwszą dziewczyną w Bostonie. Przez cały czas myślę o tobie, moja droga siostrzyczko. Tak mi ciebie brakuje i och, jak bardzo mi brak ukochanej mamusi, choć z kolei boję się pomyśleć o papciu takim, jakiego widziałam po raz ostatni. Och, Ciel,

jak on mógł być taki okrutny? Jak mógł pomyśleć, że to, co się zdarzyło, stało się z winy jego kochanej córki. Czy byłam naprawdę aż tak nikczemna. Ciel, żeby zrzucić winę na Finna? Myślę o tym, co zrobiłam i wprost nie pojmuję. Nie pomyślałam o skutkach: sądziłam po prostu, że papcio nie skaże mnie na poślubienie Finna, choć Bóg widzi, że byłoby to lepsze, niż poślubić tego przerażającego D.H. Ciel, jak ci się zdaje? Finn i Daniel byli na „Hibernii”, gdzie pracowali jako palacze. Ciel, on mnie tak bardzo nienawidzi, że o mały włos mnie nie zabił. A wcale bym się nie martwiła, gdyby to zrobił. Zamiast tego, zabrał mi naszyjnik i pieniądze - i powiedział, że mu się to ode mnie należy. Myślę, że miał rację.

Lily pisała o katastrofie statku i opowiedziała Ciel o Sheridanach i o dziecku. Stwierdziła, że nie była w stanie nawet spojrzeć na nie, więc zostawiła je, by spokojnie rosło pod opieką Sheridanów. Dodała jeszcze, że obecnie pracuje w Bostonie u pewnego profesora Harvardu...

jako służąca, najdroższa Ciel. O. jakże nisko upadają moiżni! Widzę teraz życie od drugiej strony tej strasznej zielonej kurtyny. Jeśli w ogóle otrzymasz ten list, bo nie mogę mieć takiej pewności, to chcę tylko, żebyś pamiętała, że przez cały czas myślę o tobie. Och, Ciel, jakże mi ciebie brak i jak mi brak Ardnawamy! Jestem grzesznikiem wypędzonym z raju, bez żadnej nadziei na przebaczenie. Gdybym tylko mogła cofnąć wskazówki zegara, gdybym tylko... najdroższa malutka Ciel...

Ciel przeczytała ten list ze sto razy; przycisnęła go do ust i ucałowała; podsunęła go psom Lily tak, by mogły zwęszyć jej zapach, a one zaszczekały radośnie, merdając ogonami.

Zerwała się z łóżka i pobiegła korytarzem, by pomyślnie nowiny przekazać matce, lecz kiedy otworzyła drzwi, zawahała się chwilę. Przy pomniała sobie, jak ten smutny, cichy i ciemny pokój wypełniony był kiedyś kwiatami, światłem i wonią pudru i perfum, nie zaś kwaśnym odorem leków i choroby. Oszołomiona morfiną, która utrzymywała w ryzach jej straszny ból, matka byłaby zbyt zdezorientowana, by pojąć, że Lily znowu jest wśród żywych. W owym czasie matka niekiedy uważała nawet Ciel za Lily, myśląc, że ta jest jeszcze dzieckiem, karciała ją więc za zjeżdżanie ze schodów na tacach od herbaty i mówiła jej, że nie wolno w długim korytarzu toczyć kuli, grając w kręgle. Biedna matka, trwała nieustannie zamknięta w półmroku przeszłości, tak więc Ciel, wpychając cenny list od Lily do kieszeni, podkrađła się do łóżka i złożyła pełen smutku pocałunek na jej uśpionej twarzy.

Zwinęła się w kłębek w fotelu przy łóżku matki, a wierne psy umościły się u jej stóp, łagodnie pochrapując przy świetle płonącego kominka. Ona zaś myślała o liście, który chciała napisać do Lily jeszcze tego samego popołudnia.

Nie miała jednak czasu na pisanie do Lily ani tego popołudnia, ani jeszcze przez długi czas potem, ponieważ kiedy Ciel siedziała tam, czuwając, jej matka znienacka otworzyła oczy. Zakłopotana, spoglądała na Ciel.

- Lily, kochanie - rzekła słabym głosem - tak bardzo boli mnie głowa. Czy mogłabyś pójść do mojego składziku, w którym trzymam lekarstwa i przynieść mi kilka tych pigułek? Wiesz, o których myślę, kochanie; takie białe. - Przyciskając dłonie do obydwu skroni, stęknęła. - Pośpiesz się, drogie dziecko, ten ból jest bardzo silny.

Ciel niespokojnie badała ją wzrokiem. Wiedziała, że lekarz dał matce na jej bóle morfinę i ostrzegł, że nie wolno jej brać żadnych innych pigułek. Nagle lady Nora usiadła na łóżku. Jej plecy wygięły się w łuk i z jękiem zaczęła się słańać na wszystkie strony. Po czym opadła na poduszki i leżała nieruchomo.

Wystraszona Ciel z całych sił wykrzyknęła jej imię. Oczy matki były szeroko otwarte, a jej

śliczna twarz wykrzywiona w przerażającym grymasie. Ciel głośno krzyknęła raz jeszcze i rzuciwszy w panice ostatnie spojrzenie, pobiegła po pomoc.

Gospodyni i służba tłumnie wbiegli po schodach w ślad za nią. Skupili się wokół wielkiego łoża, wpatrując się w lady Norę, wstrzymując przerażone oddechy i potrząsając głowami na widok jej wykrzywionej twarzy.

- Obawiam się, że tknęła ją apopleksja - odezwała się ze współczuciem gospodyni do Ciel. - Natychmiast poślę chłopaka po doktora.

Gospodyni została przy Ciel, reszta zaś służby zeszła z powrotem na dół. Pełni niepokoju stali w sieni, rozmawiając cichymi głosami, żegnając się krzyżem i mrużąc modlitwy w intencji wyzdrowienia swej pani, choć zobaczywszy ją, nikt nie robił sobie wiele nadziei.

- Jeśli pani odejdzie, to będzie najlepsze uwolnienie od cierpień - mówili jedno do drugiego - bo nie jest już tą samą kobietą, odkąd nikczemna Lily została precz wysłana z domu.

Lekarz przybył i pokręcił głową.

- Obawiam się, że musimy spodziewać się najgorszego, droga dziewczynko - rzekł do Ciel, poklepując ją pocieszającym gestem po ramieniu.

Natychmiast wysłano depesze, by ściągnąć z Anglii do domu lorda Molyneux i Williama. W oczekiwaniu na ich powrót, Ciel siedziała przy łóżku matki na buduarowym krzeselku z różowym aksamitnym obiciem, płacząc nad okrutnym losem, który zamienił słodką twarz ukochanej mamusi w przerażającą maskę. Dalmatyńczyki leżały cicho u jej stóp z łbami rozplaszczonymi między przednimi łapami i z niespokojnie położonymi po sobie uszami, jak gdyby wyczuwały zbliżającą się śmierć.

Przybył Lord Molyneux i tym razem łzy płynęły mu już z oczu bez obawy, że ktoś je zobaczy. Z oddaniem siedział u boku żony, sypiając na małym żelaznym łóżku. Nikt nie wiedział, co takiego rzekł swej żonie w czasie tych długich dni i nocy czuwania, ale przechodząc obok jej drzwi można było słyszeć cichy szmer jego głosu. Ciel i William z goryczą zastanawiali się, czy może mówił matce, że to z jego winy ona teraz umiera. Wiedzieli, że gdyby nie wypędził Lily w tak nieczuły sposób, lady Nora nie doprowadziłaby się do takiego stanu. Teraz nie miała już po co żyć, tak więc musiała umrzeć.

W kilka dni później, kiedy słońce już wstało, lord Molyneux spojrział na żonę i pomyślał, że stał się cud. Jej wykrzywiona twarz wygładziła się i wyglądała tak samo, jak dawniej. Nawet cień uśmiechu błąkał się wokół warg.

- Noro! - wykrzyknął radośnie lord Molyneux, chwytając jej dłoń w swe ręce. Po zimnym dotyku poznał, że jego żony już tu nie ma. Umarła tak samo cicho i dyskretnie, jak żyła.

Ozdobioną srebrnymi uchwytemi mahoniową trumnę lady Nory umieszczono na odkrytym wózku, na kobiercu skomponowanym przez dzierżawców z mchu i kwiatów. Konie z czarnymi pióropuszcami, te same, które wywiozły jej córkę na wygnanie, ciągnęły ją teraz przez mżący w szarej mgłę kapuśniaczek na miejsce jej ostatecznego spoczynku. Ciel i William szli razem z ojcem za trumną. Mieli na sobie czarne żałobne ubrania i nieśli pęki ulubionych lilii swej matki, zerwanych z cieplarni przez naczelnego ogrodnika.

Papcio kroczył powoli. Wspierał się ciężko na swej lasce, a wieśniacy kręcili na jego widok głowami, formując szereg za rodziną. Liczni przyjaciele przybyli całymi tłumami, by po raz ostatni dać wyraz swojego szacunku, tak że mała rodzinna kaplica wypełniona była po brzegi, dzierżawcy zaś stali na zewnątrz, słuchając nabożeństwa, żegnając się i zanosząc własne modlitwy.

Kiedy trumnę wniesiono do rodzinnego grobowca, gdzie pochowano już całe pokolenia rodu Molyneux i gdy wielkie, zgrzytające kamienne wrota pchnięto na miejsce i zaryglowano. Ciel rzuciła się na ziemię z płaczem. Kopała nogami i bębniła pięściami o żwir tak długo, aż za częły krwawić - i krzyczała. Lord Molyneux spoglądał na nią bezradnie, a William podskoczył i podniósł siostrę. Otrzeptał ją z ziemi i poprowadził krętą ścieżką wśród ociekających deszczem drzew i wilgotnych paproci z powrotem do ich pustego domu.

Lord Molyneux pozostał w Ardnavamie, lecz nie był to już ten papcio, którego pamiętała Lily. Stąpał niepewnie, a chodził podpierając się laską, którą specjalnie dla niego wyrzeźbił z leszczynowego drewna jeden z dzierżawców. I nabrał zwyczaju włóczenia się po z rzadka zabudowanej wsi oraz po rozproszonych zagrodach wiejskich i chatach rybackich, wsuwając dociekliwie głowę w drzwi domostw swoich dzierżawców i zapytując, jak im się wiedzie. Nieoczekiwanie ojcowski i dobroczynny, każdemu z mężczyzn ofiarował świnie i krowę jako prezent z okazji Wielkanocy. Przed zimą zamówił położenie nowej strzechy na każdym dachu i wydał polecenie, aby domki pomalowano na jasne, wesołe kolory: koralowy i niebieski, cytrynowy i zielony.

Dotyczyło to wszystkich domków z wyjątkiem chaty Padraiga OKeeffea. Na tle świeżo ożywionego barwami krajobrazu ta wyróżniała się niczym szara blizna, a lord Molyneux przybył i popatrzył na nią, po czym polecił, by zburzono ją aż do fundamentów, kamień po kamieniu. Kamienie rozkazał wrzucić do morza, by nikt inny nie mógł ich powtórnie wykorzystać. Nakazał, żeby ziemia, na której przedtem stał domek OKeeffeów, została zaorana, po czym obsadzona jeżynami, dzikimi różami i tarniną po to, by nikt nie mógł tu więcej postawić stopy, ani hodować płodów rolnych, ani też zbudować domu. Bezlitośnie wytrzebił OKeeffeów ze swego świata, obwiniając ich o wszystkie swe problemy, wieśniacy zaś mieli mu to za złe.

Lord Molyneux z goryczą spojrział w twarz swej jedynej córki, tak naprawdę widząc ją po raz pierwszy od wielu miesięcy. Jej rozczochrane rude włosy wymagały grzebienia, sukienka wyglądała tak, jakby była noszona przez tydzień; Ciel miała brud za paznokciami i gołe nogi. Opuścił głowę ze wstydu, że oto jego dziecko znalazło się przez jego zaniedbanie w takim stanie - i polecił, aby natychmiast wyjechała do pewnej szkoły w Paryżu, gdzie personel przywykł już zajmować się nieokiełznanymi dziećmi i gdzie, na co liczył z całej duszy, zdejmą z jego barków ciężar odpowiedzialności za Ciel i przemianą jego zaniedbaną małą córkę w damę.

Ciel płakała przez cały czas jadąc pociągiem z Londynu. Płakała płynąc promem do Cherbourga. I płakała w pociągu do Paryża. Jednak kiedy wieziono ją poprzez piękne, wiosenne miasto, otarła już oczy i zaczęła bacznie się przyglądać. Niebo było błękitne i kasztanowce stały okryte kwiatami, ulice kipiały ruchem, a w powietrzu unosił się strzęp muzyki.

Szkołę obejrzała sobie uważnie. Był to piękny, biały budynek przy cichej ulicy nie opodal Ogrodu Luksemburskiego. Korytarze pachniały pastą woskową, a w sypialni wzdłuż ścian ustawiono wąskie, białe łóżka, a w każdym z nich leżała dziecięca lalka. Nauczyciele byli uśmiechnięci i mili - i Ciel raptownie poczuła się uwolniona. Po raz pierwszy w życiu cieszyła się, że znajduje się z dala od Ardnavamy.

Zjadła kolację złożoną z zupy i chleba z masłem, i napiła się gorącej czekolady z szerokiej i płaskiej filiżanki, a tej nocy zwinęła się w kłębek w swoim własnym wąskim i białym łóżku, zadowolona z towarzystwa innych dziewczynek. Nim poszła spać, wyjęła list od Lily, pognieciony wskutek nieustającego czytania - i przeczytała go raz jeszcze. Jutro - przyrzekła sobie - napisze do

siostry i opowie o wszystkich tych strasznych rzeczach, które wydarzyły się od jej wyjazdu. I o tym, że Ardnavama już nigdy nie będzie taka sama, jak kiedyś.

30.

Boston

Rezydencja Johna Portera Adamsa była wspanialsza od tej, którą Lily dopiero co opuściła. Zaprojektowany przez wybitnego architekta, Charlesa Bulfincha, piękny dom miejski z łukiem w fasadzie należał do najokazalszych budynków przy ulicy Mount Vernon. Mieścił dziesiątki pokoi wypełnionych wszelkiego rodzaju skarbami, ponieważ pan Adams nie tylko pochodził z jednej z najbogatszych starych rodzin Bostonu, ale był też profesorem literatury europejskiej w Harvardzie i wielkim kolekcjonerem. Większą część roku spędzał w podróżach i zawsze powracał do domu z obrazami, książkami i rzadkimi manuskryptami, a także z figurkami z porcelany i starożytnymi posążkami czy płaskorzeźbami. A zważywszy, że dom i tak był już pełen odziedziczonych skarbów rodzinnych, każdy pokój pękał w szwach.

Kiedy Lily zaczęła tam pracować, pan Adams od dawna podróżował po Europie, lecz młoda pokojówka o rozlazłym wyglądzie powiedziała jej, że jest on kawalerem i „dżentelmenem”, i że jest tak pochłonięty swoimi książkami i pracą, że z rzadka tylko zauważa ich obecność.

- To łatwa praca - rzekła, leniwie przeciągając palcem po kurzu na stole w holu, gdy oprowadzała Lily po domu. Jedyne, co trzeba robić, to z grubsza posprzątać dom, zanim on wróci, a i tak nigdy nie widzi różnicy.

Pokój Lily dostała taki sam, jak poprzednio, na poddaszu; a i praca nie różniła się od poprzedniej: szorowanie, zamiatanie, mycie. Zawzięta, przechodziła od jednej czynności do drugiej, chociaż zauważyła, że wszyscy pozostali sprawiali wrażenie, jakby mieli mnóstwo wolnego czasu. Gospodyni, pani Hoolihan, każdego przedpołudnia punktualnie o jedenastej wkładała płaszcz i kapelusz. Rzuciła wtedy kilka poleceń pod adresem Lily i Emer i mówiła im, że idzie na mszę, po czym zniknęła na kilka godzin.

- Wcale nie na mszę idzie - powiedziała Emer do Lily - tylko do baru. - I Lily wiedziała, że tamta ma rację, ponieważ pani Hoolihan wracała później po południu czerwona na twarzy i agresywna, mocno trzymając torbę z brązowego papieru.

- To gin - szepnęła Emer, chichocząc, gdy gospodyni chwiejnym krokiem udała się do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Wieczorami często dołączała do niej kucharka i wtedy słychać było pobrzękiwanie kieliszków i stłumiony śmiech, a potem kucharka zaczynała głośno śpiewać.

Emer zatykała sobie uszy.

- Ona zawsze śpiewa, kiedy jest pijana - rzekła do Lily. - zawsze są to pieśni religijne. - A skoro nie było nikogo, kto by je zatrzymał, i ona, i inne służące wymykały się, by spotkać się z przyjaciółmi, zostawiając Lily samą w tym dużym domu.

Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, Lily usiadła w kuchni, wsłuchując się w tykanie ściennego zegara i obserwując, jak wskazówki przeskakują z jednej sekundy na drugą, i z jednej minuty na następną minutę. Gdy nie mogła już tego dłużej znieść, pobiegła z kuchni po schodach w górę do frontowego holu. Rozejrzała się dokoła. Po lewej ręce miała obszerną jadalnię z żyrandolami, a po prawej bibliotekę pana Adamsa. Eleganckie szerokie schody prowadziły do ogromnego salonu na piętrze, a dalej znajdował się salon muzyczny z pięknym fortepianem Steinwaya, gdzie, jak mówiła jej Emer, ich pracodawca często do późnej nocy grywał melancholijne etiudy Chopina.

Jednak to biblioteka była miejscem, które Lily lubiła najbardziej. Wysokie okna, zawieszane

kotarami ze złotego adamaszku, wychodziły na ogród od tyłu i na Mount Vemon od frontu. Trzy ściany zastawiono półkami pełnymi oprawnych w skórę książek, a zamknięte na klucz gablotki zawierały cenne iluminowane rękopisy z okresu średniowiecza. Ujęte w ramy rysunki Leonarda da Vinci zebrano razem na ścianie obitej jedwabiem w kolorze brązu, a wspaniały japoński parawan stał tuż obok siedemnastowiecznego gobelinu z Aubusson. Znajdowały się tu dziesiątki małych szklanych gablotek wypełnionych kuriozami i skarbami:

kolekcją maleńkich puzderek z szylkretu, srebra, porcelany i złota; były tu monety starożytnych Rzymian, i prehistoryczne krzemienne groty strzał, skamieliny, wyroby rzemiosła, i tysiące innych fascynujących rzeczy, które Lily mogła podziwiać.

Kiedy weszła do wnętrza pokoju i zamknęła oczy, wdychając zapach starej skóry z lekkim posmakiem dymu cygarowego pomyślała, że równie dobrze mogłaby się znajdować znów w domu, w gabinecie papcia w Ardnawamie. Uszczęśliwiona, błąkała się tu i tam, badając wzrokiem zbiory swego pracodawcy. Zasiadła w jego fotelu z zielonej skóry za wielkim biurkiem, rozglądając się po zakurzonej sali i wyobrażając sobie, że to ona jest właścicielką tego miejsca. Udawała, że znowu jest prawdziwą Lily Molyneux i że to bogate otoczenie prawnie do niej należy - a potem z westchnieniem znów powróciła na ziemię i do rzeczywistości.

Z biblioteki pobiegła na górę po szerokich, okazałych schodach i rozwarła na oścież wielkie dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do wspaniałego salonu. Kurz leżał wszędzie, nawet na klawiszach otwartego fortepianu Steinwaya w salonie muzycznym, więc niecierpliwie starła go rękawem swojego fartucha. Przebiegła delikatnie palcami po klawiszach, lecz instrument był bardzo rozstrojony, pomyślała więc z gniewem, co powiedziałaby pan Adams, gdyby wrócił i zastał swój piękny dom w takim stanie. Zapewne zwolniłby wszystkie służące, a wtedy pani Hooli han, która jest temu winna, rządziłaby się na Mount Vemon niczym pijana królowa.

Lily wiedziała, jak wygląda właściwie prowadzone gospodarstwo domowe; przez całe życie otoczona była służbą; przyglądała się, jak matka wydaje polecenia gospodyni i przysłuchiwała się, jak omawia tygodniowy jadłospis z kucharką. Towarzyszyła matce w drodze do oranżerii, by poinstruować ogrodnika w sprawie kwiatów do ozdoby domu i owoców na stół, no i widziała, że matka nie spuszcza czujnego oka z młodych, roztrzepanych panien służących, w Ardnawamie wszystko szło jak w zegarku, a przecież posiadłość była dziesięć razy większa od domu pana Adama.

Lily postanowiła, że sama wysprząta bibliotekę. Zdjęła swoje sztywne czarne trzewiki, by nie pobrudzić jasnych dywanów. Ich miękki dotyk sprawiał przyjemność bosym stopom i sunęła po pokoju, wyobrażając sobie, że należy do niej. Odkurzyła pieczołowicie wszystkie ozdoby i przetręła do połysku szklane gablotki z eksponatami, uśmiechając się z zadowoleniem, gdy ujrzała, że ich zawartość ukazuje się jakby z większą ostrością. Wdrapała się na krzesło i strzepała potężne kotary, i zwinnie przechylała się to tu, to tam na mahoniowych stopniach biblioteki, by poodkurzać książki.

Pokojówka zaśmiała się na jej widok.

- Po co ta strata czasu? - spytała z wyniosłą miną. - Przecież akurat dziś rano pani Hoolihan dostała kartkę od pana Adama, gdzie było napisane, że przedłużył swoją podróż bezterminowo i żeby nie spodziewać się jego powrotu jeszcze przez kilka miesięcy. - Uśmiechnęła się do Lily od ucha do ucha, wkładając swój płaszcz i kapelusz. - A myszy tańczą, kiedy szefa nie czują - sparafrazowała porzekadło, wynosząc się za drzwi.

Pani Hoolihan wraz z kucharką dyskutowały tego wieczoru nad butelką dzinu na temat pilnie pracującej służącej od kuchni i doszły do wniosku, że teraz, gdy pan jest poza domem, szkoda chyba

tracić godziwych pieniędzy na dwie pokojówki, które i tak nic nie robią, skoro jest przecież Lily, chętna i umiejąca robić to wszystko.

- Zaoszczędzimy dwie pensje - rzekła z przekonaniem pani Hoolihan - a to będzie oznaczać dodatkowe pieniądze do naszej kieszeni, moja droga.

Służącym od pomieszczeń na górze polecono się spakować już na stępnego dnia, Lily zaś awansowała na pokojówkę.

- Będiesz z tego miała o dwa dolary miesięcznie więcej - rzekła pani Hoolihan wielkopańskim tonem do Lily i dostaniesz do noszenia piękny strój służbowy. Jako dziewczyna od pokojów, możesz uważać się za wybrankę losu, ponieważ jesteś bardzo młoda. I zapamiętaj sobie:

spodziewam się, że będziesz pilnie pracować, nie jak tamte inne leniwe małe flądry.

- Tak jest, pani Hoolihan - odpowiedziała Lily z oczyma spuszczoneymi na znak szacunku, lecz w duszy uśmiechała się, ponieważ oznaczało to, że teraz ma swobodę poruszania się po domu, gdzie tylko zechce. Mogła wypożyczać sobie książki albo grać na fortepianie. Dom należał do niej.

Jednakże gospodyni nie zatrudniła nikogo w zastępstwie Lily, tak że do całej roboty zostały tylko ona i Emer. Nadal mając na sobie sukienkę z niebieskiego perkalu i fartuch, Lily zamiatała, myła i odkurzała po mieszczeniu na górze, i na dole, pani Hoolihan zaś przywłaszczała sobie pensje dwóch służących.

- Wydaje to na gin - rzekła Emer, gdy przyglądały się pustym butelkom, piętrzącym się w kredensie w sieni. - A kucharka też kradnie. Jest w znowie z właścicielem spożywczego i z rzeźnikiem. Oni dają jej rachunki za rzeczy, których w ogóle nie zamawiała, a ona zatrzymuje pieniądze dla siebie i oddaje im dole. - Westchnęła, myśląc o swych splekanych rękach i obolałych stopach. - Gdybym tak okropnie nie po trzebowała pracy, próbowałabym szczęścia gdzie indziej - powiedziała z przygnębieniem.

- Też bym tak zrobiła - zgodziła się z nią Lily. Wiedziała, że już nigdy więcej nie przyjęłaby pracy pokojówki. Z każdym mijającym dniem powtarzała sobie, że ta sytuacja nie może potrwać zbyt długo. Nie urodziła się po to, by komuś usługiwać; kiedyś była damą - i tak czy inaczej, pewnego dnia stanie się nią znowu. Znow zacznie nosić jedwabne suknie i nigdy nie zajrzy nawet do kuchni. Nie wiedziała, w jaki sposób do tego dojdzie, lecz wiedziała, że tego dokona. Za każdą cenę. Więc zaciskała tylko zęby i pracowała dalej.

Pewnego popołudnia odkurzała właśnie hol, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Wytarłszy pośpiesznie fartuchem ręce, pobiegła, by otworzyć, z zaskoczeniem spoglądając na stojącego w progu wysokiego mężczyznę z brodą i na dorożkarza, który wyładowywał na chodnik stosik bagażu.

- Dzień dobry - rzekł mężczyzna, mijając ją i wchodząc do holu, a potem po schodach na górę.

- Dzień dobry, szanowny panie Adams - zawołała w ślad za nim Lily, natychmiast pojmując, kto to taki. Miała wątpliwości, czy w ogóle ją zauważył, a co dopiero usłyszał i zbiegła do sutereny, by powiedzieć Emer, aby ostrzegła panią Hoolihan i kucharkę. Po czym popędziła schodami dla służby na górę i szybko przebrała się w czarną suknię pokojówki z organdynowym czepeczkiem i fartuszkiem.

Cichy dom raptownie nabrał życia. Światła płonęły w każdym po koju, a dzięki Lily większość z nich lśniła czystością. Pani Hoolihan znow zrobiła się stateczna, a kucharka z powrotem znalazła się w kuchni. Pan Adams wrócił do domu.

John Porter Adams nie był człowiekiem towarzyskim. Nie znosił przyjęć, a szczególnie nudnych

kolacji, podczas których chętne do swatania majątne bostońskie wdowy sadowiły go zawsze obok jakiejś gotowej do zamęścia młodej kobiety, która na pewno miała „wpaść mu w oko”. Miał czterdzieści dziewięć lat i do tej pory ich starania kończyły się fiaskiem. Wiedział, że kobieta wniosłaby tylko zamęt w idealne życie, które sam sobie stworzył: świat sztuki, książek i podróży, oraz niekrępujące towarzystwo bliskich przyjaciół. Posiadał znakomicie zaopatrzoną piwnicę z winami i swobodę robienia tego, na co miał ochotę. Od kokieteryjnych rozmówek z kobietami wolał rozmowę z ludźmi uczonymi, a poza tym wiedział, że kobieta zburzy rytm jego życia.

Był to człowiek rozmiłowany w swojej pracy, a jego wykłady na Harvardzie na temat siedemnastowiecznej literatury europejskiej stały się atrakcją jego roku. Uzyskał stopień doktora nauk klasycznych na Uniwersytecie w Oksfordzie, a przy tym był lingwistą, biegle władającym językiem francuskim, włoskim, hiszpańskim i niemieckim, w równym stopniu, co starożytną greką i łaciną.

Porter Adamsowie byli starą bostońską rodziną, opływającą w bogactwa, a większość tego John odziedziczył jako ostatni żyjący męski potomek rodu, kiedy miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Miał przyjemną aparycję: wysoki i lekko przygarbiony, z ciemnymi oczyma jak z obrazów Van Dycka i z włosami, które mu posiwiały tuż przed dwudziestą szóstą rocznicą urodzin. Nie był wybredny: ubrania nosił dobre, ale przy padkowo zestawione. Wkładał dziwaczne skarpetki i nie dobrane do siebie marynarki i spodnie. Potrafił okręcić szalik niedbale wokół szyi i wyjść na dwór prosto w zamieć śnieżną, zapominając o włożeniu płaszcza. Nigdy nie mógł znaleźć spinek do kołnierzyka wieczorowej koszuli ani spinek do mankietów i nie potrafił zrobić węzła przy krawacie. Musiała to zawsze robić za niego jedna ze służących i za każdym razem myślał sobie, że naprawdę powinien zatrudnić lokaja, ale z kolei lokaj chciałby zapewne jakoś go „uporządkować”, on zaś był człowiekiem, który wprost nienawidził „uporządkowania”.

Nie chciał mieć powozu z końmi, bo wszędzie chodził pieszo, często zapominając o tym, że ma dziurawe buty, aż do chwili, kiedy niemal spadały mu z nóg. Pod koniec dnia najbardziej lubił spożyć prosty posiłek, a potem usiąść w bibliotece, przy otwartym latem oknie, a przed ogniem trzaskającym na kominku zimną, z nosem zagłęzionym w dobrej książce i z kieliszkiem doskonałego portu na stoliku obok. Ilekroć ogarniał go smętny nastrój, wchodził po schodach na górę i zasiadał w ciemności, grając na fortepianie. Instrument miał cudowny dźwięk, a spokojne sonaty i etiudy, które John lubił najbardziej, otaczały go atmosferą rozkosznej samotności. Sam dla siebie stanowił idealne towarzystwo i nie potrzebował nikogo. Był niezdecydowany, uczony, subtelny i niezupełnie z tego świata.

Oprócz pani Hoolihan, służby w ogóle nawet nie zauważał i Lily bardzo szybko nauczyła się nie oczekiwać po nim, by ją pozdrawiał, przechodząc koło niej, kiedy robiła coś w domu. Nigdy jej nawet nie widział. Stanowiła po prostu część otoczenia, niczym jakiś mebel, a znacznie mniej interesującą niż książka czy obraz.

W najbliższą sobotę wieczorem miało się odbyć w domu „przyjęcie” z okazji powrotu pana Adamsa. Zaprosił on sześciu swoich kolegów z Harvardu - i kucharka była w gorączce przygotowań. Pani Hoolihan fruwała w swej eleganckiej sukni z czarnego jedwabiu, strojąc ważne miny i co dwie minuty kontrolując Lily, która nakrywała do stołu.

- Ja wiem, gdzie postawić kieliszki, pani Hoolihan - rzekła zniecierpliwiona Lily w momencie, gdy gospodyni przestawiała je już po raz trzeci, zostawiając na nich odciski palców, tak że Lily westchnęła i myślała, że teraz będzie musiała raz jeszcze wytrzeć je do połysku.

- Skąd możesz wiedzieć, jak nakryć do stołu, skoro jesteś tylko służącą od kuchni? - zapytała pani Hoolihan.

Po kilku kieliszkach zawsze stawała się agresywna, Lily więc rzekła łagodnym tonem:

- No jakże, przecież pracowałam w Wielkim Domu w Connemara pani Hoolihan. Uczyłam się od samego szefa służby.

- Doprawdy? - zapytała pani Hoolihan, na której zrobiło to wrażenie, oddalając się do kuchni, by dopilnować kucharki. Pan Adams był zwolennikiem zwyczajnego jedzenia.

- Nic wymyślnego i nic byle jakiego - tymi słowami wydał polecenie kucharce, szykowała więc zupę z homara, pieczoną solę, bażanta z rusztu, lody cytrynowe i budyń czekoladowy. Pan Adams sam wybrał wina i przelał je do karafek, a teraz niecierpliwie wzywał kogoś, kto by przyszedł znaleźć jego spinki do kołnierzyka i mankietów i zawiązać mu krawat.

- On nie wie, że nie mamy już służącej „z góry” - rzekła z westchnieniem Emer. - A ona była jedyną osobą, która potrafiła zawiązać mu krawat.

- Ja pójdę - powiedziała śmiało Lily. Papcio często pozwalał pomóc sobie przy wiązaniu krawata, kiedy przebierał się do kolacji, tak że dobrze wiedziała, jak się to robi.

Pobiegła na górę, martwiąc się myślą o tysiąc i jednym drobiazgi o które należy się jeszcze zatroszczyć, mając nadzieję, że Emer będzie pamiętać o rozpaleniu w kominkach i zapaleniu świec. Dom pachnie słodko całą masą kwiatów, które sama kupiła i poukładała w ogromnych wazonach, wywołując tym głośne gderanie pani Hoolihan na temat nie potrzebnego wydatku.

- Pan nie jest przyzwyczajony do kwiatów - zrzędziła. - A co więcej, nie obchodzą go.

Lily pośpieszyła do gotowalni pana Adamsa i wzięła puzderko ze spinkami z miejsca, w którym je zawsze trzymano, to jest na komodzie.

- Oto one, proszę pana - powiedziała. - Pozwoli pan, że pomogę je panu założyć.

Stał na baczność jak mały chłopiec, mruczając zawiłą melodyjkę i patrząc ponad jej głową w przestrzeń, podczas gdy zapinała na jego gorsie spinki ze złota i onyksu.

- I spinki do mankietów, proszę pana - dodała, a on posłusznie wyciągnął przed siebie ręce. - A teraz krawat, proszę pana. Gdyby pan tylko mógł usiąść przed lustrem, ułatwiłoby to sprawę.

Spojrzał w lustro i dopiero teraz ją zobaczył.

- Ty nie jesteś ta sama, co zwykle - rzekł, zaskoczony.

- Nie, proszę pana, nie jestem. Ja jestem Lily, nowa pokojówka. - Stanąwszy za nim, jednym pociągnięciem ułożyła krawat na właściwym miejscu i sprawdziła to w lustrze. - Myślę, że tak powinno być dobrze, proszę pana.

Obrzucił krawat krótkim spojrzeniem i powiedział:

- Tak, świetnie, naprawdę świetnie. Dziękuję ci - i oddalił się, przez cały czas pomrukując swą bezgłośnie melodyjkę.

Kiedy Lily czym prędzej wracała, od strony kuchni dobiegł ją głos kucharki śpiewającej pieśń „Skala wieków”. Sama kucharka, czerwona na twarzy, kołysała się nad paleniskiem. Obok niej stało na stole pół butelki ginu, a Emer puściła do Lily oko i zrobiła znaczącą minę.

- Zajmuje się tym już od godziny - szepnęła z emfazą. Zmartwiona Lily skinęła głową. Jeśli kucharka pokiełbasi coś z kolacją, wszyscy będą mieli kłopoty i mogą stracić pracę. Pobiegła do pokoju pani Hoolihan i zapukała, lecz nie usłyszała odpowiedzi. Zapukała jeszcze raz, ale gospodyni wciąż nie dawała znaku życia, z westchnieniem pobiegła więc z powrotem do kuchni.

Wdzięczna niebu, odnotowała, że kucharka przynajmniej sprawia wrażenie, jakby nadal

wiedziała, co robi: zupa była gotowa, solą do pieczenia - zgrabnie pozwijana w małe krążki, tylko je włożyć do pieca, bażant zaś już się piekł na ruszcie. Przystawki z dziczyzny były przygotowane, warzywa się gotowały, a porcje budyniu gustownie rozmieszczono na srebrnej tacy.

Lily spłotła palce; przy odrobinie szczęścia i bez dalszego picia być może uda im się przebrnąć przez tę kolację.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach i Lily, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę Emer, pobiegła otworzyć. Wygładziła fartuszek, poprawiła włosy porządnie zaczesane pod biały czepeczek i uśmiechnęła się grzecznie do dwóch panów, czekających na stopniach wejściowych.

- Dobry wieczór panom - rzekła, odbierając od nich płaszcze, po czym wprowadziła ich po schodach do salonu, gdzie czekał na nich gospodarz. Wkrótce potem przybyli inni goście, a wtedy podała im szampana pamiętając, by nie patrzeć im prosto w twarz, choć nie powstrzymało jej to od łapczywego przysłuchiwania się ich rozmowie na temat niedawnych podróży jej pracodawcy po Włoszech.

Oznajmiła, że podano kolację, i kiedy oni z zapalem zajadali pełnymi łyżkami zupę z homara, stała w milczeniu przy kredensie modląc się, by danie rybne było gotowe na czas. Pozbierała talerze i wysłała je ręczną windą na dół, wydając westchnienie ulgi, gdy punktualnie, jak w ze garku pojawiła się ryba.

Wiedziała, jak należy ją podać, więc przechodziła dyskretnie od jednej osoby do następnej, podsuwając półmisek. Nikt nawet nie spojrzał na nią; kładli po prostu swoje porcje na talerze i dalej prowadzili konwersację. Lily zaś wróciła na swe miejsce przy kredensie, gdzie stanęła ze spuszczonej oczyma, przysłuchując się rozmowie na temat podróży, sztuki, książek i plotek uniwersyteckich. Tak bardzo przypominało jej to wieczory, jakie pamiętała z własnego domu, że oczy jej wypełniły się łzami nostalgii i żalu. Otarła je dyskretnie palcami, ale nikt na nią nie patrzył i nikt nie zwracał uwagi.

Zebrała talerze i ręczną windą posłała je na dół, lecz tym razem na górę wjechał tylko półmisek przystawek z dziczyzny i sosjerka, napełniona po brzegi sosem. Postawiła to na kredensie i niecierpliwie oczekiwała na bażanta. Po kilku minutach szarpnęła za sznur, dając znać do kuchni, by przysłali potrawę na górę, ale nadal nic się nie działo.

Zegar cykał kolejne minuty. Pan Adams rzucił na nią dziwne spojrzenie i znowu podał dokoła stołu karafkę z czerwonym winem. Ogarnięta paniką, Lily szarpnęła za sznur raz jeszcze, lecz nadal nic się nie działo.

W holu rozległo się ciężkie stąpanie i drzwi jadalni otworzyły się na oścież. Stała w nich kucharka, szkarłatna na twarzy, kurczowo trzymając ogromny półmisek z bażantami. Z tyłu za nią Lily ujrzała wierzącą się małą Emer z wyrazem przerażenia na twarzy - i wiedziała, że ma spodziewać się najgorszego. Stawiając z namysłem jedną stopę przed drugą i mrucząc Skalę wieków, kucharka pomaszerowała chwiejnie w stronę stołu. Wyraz łagodnego zdumienia przebiegł przez twarz jej pracodawcy, gdy popatrzył na nią.

- Pomyślałam, że ja sama pokażę go panu - rzekła, trzymając tryumfująco półmisek w górze.

Owiał go podmuch przesiąkniętego ginem oddechu, taca zachwiała się i przechyliła, a Lily pełnym grozy wzrokiem śledziła bażanta, który powoli zsunął się na samą krawędź srebrnego półmiska, zmierzając ku podołkowi pana Adamsa.

Dała susa i złapała półmisek w ostatniej chwili, pan Adams zaś i jego zdumieni goście przyglądali się, jak kucharka chwiejnym krokiem wytacza się z pokoju. Z holu doszły głośne dźwięki

„Skały wieków”, śpiewanej załamującym się kontraltem, a on rzekł ogłędnie:

- Bardzo przepraszam, panowie. Miejmy nadzieję, że to uchybienie ze strony mojej kucharki w niczym nie pomniejsza znakomitej jakości jej dań.

Rozmowa została podjęta w miejscu, w którym ją przerwano, i Lily zaczęła szybko obsługiwać gości. Wywiązywała się ze swego zadania idealnie, jednakże w środku jej wrzało. Pijana kucharka i gospodyni prawdopodobnie będą ją kosztować utratę pracy i mówiła do siebie z gniewem, że to nie jest w porządku. One nie zasługiwały na to, żeby pracować u tak przy zwoitego człowieka jak pan Adams. A poza tym wiedziała, że ograbiają go na wszelkie możliwe sposoby. Gniewna, wróciła dumnym krokiem do kuchni.

- Jezusie, Emer! - wykrzyknęła, z trzaskiem zamykając drzwi. - Kucharka jest durną starą pijaczką. A my możemy mówić o szczęściu, jeśli rano będziemy mieć jeszcze pracę.

Emer skończyła zmywanie i zmęczona powlokła się do łóżka, zostawiając Lily samą. Drzwi kuchenne zostały otwarte, słyszała więc śmiechy gości i tubalne męskie głosy - i w jakiś sposób nie czuła się tak bez reszty osamotniona.

Kucharka i pani Hoolihan miały nad nią władzę i wiedziała, że na zajutrz wykorzystają to, ponieważ po tym, co się zdarzyło, będą zbyt zawstydzone, żeby patrzeć jej w twarz. Z pewnością zwolnią ją i Emer. W Bostonie służących było na pęczki, więc jeszcze tego samego popołudnia najmą na ich miejsce kogoś innego. Doszła do wniosku, że pozostaje jej zrobić tylko jedno,

Następnego ranka zapukała do drzwi gabinetu pana Adamsa i zapytała, czy może z nim porozmawiać. Patrzyła mu prosto w oczy, a pan Adams wpatrywał się w nią tak, jakby ją widział pierwszy raz. Ależ nie, przecież widzi ją po raz drugi.

- Ty jesteś tą, która zawiązała mi krawat - rzekł, przypomniawszy sobie.

- Tak jest, proszę pana. Jestem Lily. Skinął głową.

- Ale czy nie było jeszcze dwóch innych pokojówek? - zapytał zdezorientowany.

- Były, proszę pana. - Na chwilę Lily niemal straciła zimną krew. Przecież może ją zwolnić za to, co właśnie zamierza mu powiedzieć, lecz jeśli on jej nie zwolni, pani Hoolihan zrobi to na pewno. Nie miała nic do stracenia, szybko więc opowiedziała mu o zwolnieniu obydwu służących i o tym, jak gospodyni i kucharka przywłaszczyły sobie pensje tamtych, i o „umowie”, jaką kucharka miała z kupcami i dostawcami, a także o codziennych wyjściach pani Hoolihan do baru i o ich wieczornych butelkach dzinu.

- Widział pan na własne oczy, w jakim stanie była kucharka wczoraj wieczorem, proszę pana - rzekła na koniec.

John Adams przechylił w tył głowę i zaśmiał się wesoło.

- To tylko dzięki twemu szybkiemu refleksowi cały półmisek nie wylądował na moim podołku. Jak to dobrze, Lily, że jesteś młoda i szybkonoga. Westchnął, myśląc o wstrząsie, jaki to by wywołało w jego statecznym domostwie. Z nadzieją popatrzył na nią.

- Powiadasz, że jesteś Irlandką, a nie słyszę akcentu w twojej mowie - obracał między palcami srebrny nóż do listów i obserwował ją.

- Odebrałam wykształcenie w klasztorze, proszę pana - odrzekła Lily, płoniąc się jak świeżo rozkwitła lilia. - Straciłam rodzinę podczas podróży przez ocean - opowiadała mu szybko. Statek zatonął u wybrzeży Nantucket i wszyscy się utopili.

Był wstrząśnięty.

- Tak bardzo mi przykro. - A potem szybko przeszedł do sprawy. - Zwolnię panią Hoolihan

i kucharkę. Ty, Lily, zostajesz na jej miejsce mianowana gospodynią, z wynagrodzeniem pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, i ty wynajmiesz nową kucharkę oraz tyle służących, ile potrzeba do należytego poprowadzenia domu. Mogę mieć do ciebie zaufanie, prawda, Lily?

Uśmiechnął się do niej, a ona zarumieniła się z tryumfu.

- Oczywiście, że tak, proszę pana - rzekła.

Wymaszerowała pewnym siebie krokiem z pokoju, olśniona wizją pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. To cały majątek, a wiedziała na pewno, że to dziesięć dolarów więcej, niż płacił pani Hoolihan. Będzie co miesiąc posyłała dwadzieścia pięć dolarów Sheridanom na potrzeby dziecka i jeszcze zostanie jej drugie dwadzieścia pięć dla niej samej. Mogła wyrzucić szarą bawełnianą suknię po zmarłej i brzydkie, twarde czarne trzewiki. Mogła sobie kupić porządne ubranie, dobre mydło francuskie, może nawet jakąś wodę kolońską. I miała dostać prawdziwy własny pokój, z prawdziwą łazienką, którą miała dzielić tylko z nową kucharką, wyznaczoną osobiście przez siebie. Nie będzie już szorowała schodów. Poczula się niemal tak, jakby została panią tego domu. Zwłaszcza że pan Adams jest kawalerem. Ta myśl, jak wizja przyszłych korzyści, zapadła jej w umysł, podczas gdy wracała pośpiesznie do kuchni, gdzie listonosz właśnie doręczał poranną pocztę.

A wśród poczty, na samym wierzchu, znajdował się list zaadresowany do niej. Gruby, pękaty list od Ciel.

31.

Pracodawca Dana, Mick Corrigan, był kawalerem, ale - jak wielokrotnie mówił Danowi, kiedy handel szedł wolno, a on zaczynał snuć wspomnienia - to nie znaczyło bynajmniej, że nigdy nie miał ukochanej.

- Mój błąd polegał na tym, że zostawiłem ją w Cork i wyładowałem tu sam, by spróbować urządzić dla nas nowe życie - rzekł z ciężkim, bolesnym westchnieniem. - Och, Danielu, mój chłopcze, ona była taka młoda! - miała dopiero osiemnaście lat - i taka piękna, jak zachód słońca nad Zatoką Bantry. Czyż nie przetrzymałem podróży na jednej z pierwszych „pływających trumien” płynących do Ameryki, podczas gdy po zostali umierali na tyfus? I czy moja ukochana nie miała pecha, że zostawszy w domu, umarła akurat na tę samą chorobę?

Mick był po sześćdziesiątce. Miał mizerne siwe włosy, kaprawe oczy i wyblakłą bladą cerę po czterdziestu latach życia w czynszowych kamienicach. Dan uważał go za mało wiarygodnego bohatera młodzieńczej namiętności, lecz Mick nadal zapalał codziennie świeczkę u świętego Stefana, żeby uczcić pamięć swej utraconej miłości. I bez końca opowiadał swoją historię każdemu, kto tylko chciał słuchać.

Mick ze smutkiem pokręcił głową, pilnie odmierzając mąkę do małych torebek z brązowego papieru, po czym skręcając je pokrzywionymi palcami, by zapieczętować.

- A ironia losu jest w tym, że ja, przymierający głodem facet z Irlandii, zrobiłem dobry interes na sprzedaży żywności innym przymierającym głodem Irlandczykom. - Łzy zamglily jego wyblakłe oczy. - Czasami, Danielu, zadaję sobie pytanie, czy to się nigdy nie skończy?

- I właśnie dlatego, kiedy codziennie widziałem twoją wygłodniałą twarz przed sklepem, miałeś w sobie coś, co przypominało mi siebie samego. I rzecz jasna, wszystko to znów wróciło do mnie - rzekł ponuro. Wciskając na głowę swój spłaszczony beret, chwycił laskę i pokuśtykał do drzwi. - Wrócę o drugiej - zawołał, kierując się tak, jak każdego ranka o tej porze do Baru Hegarty na rogu ulicy Północnej, gdzie spotykał swych najbliższych przyjaciół i bez końca opowiadał wspomnienia „z dawnych dni” nad dzbankiem lub nawet dwoma.

Dan podniósł ścierkę i zaczął powoli polerować sfatygowaną sosnową ladę. Uzupełnił zawartość beczek z cukrem, herbatą i kartoflami, ustawił piramidę szorstkich, pachnących karbolem kostek mydła, policzył świece i ułożył od nowa drewno opałowe. Uporządkował skromną wystawę: skrzynki kapusty, marchwi i cebuli, rozmieszczone na stelażu przed sklepem, a prócz tego obsłużył kilku klientów, zaznaczając ich kredyt w powszechnie znanym rejestrze Micka, ponieważ z nadejściem piątku tym, którzy nie spłacili swojego kredytu, wstrzymywano go do czasu uregulowania rachunku.

A przez cały ten czas Dan myślał, że powinien robić to na własny rachunek. Sfrustrowany, spiorunował wściekłym spojrzeniem mężczyznę, który wszedł do sklepu, niosąc na plecach tornister.

- Nie kupujemy od komiwojażerów - rzekł twardo, gdy mężczyzna złożył tornister na podłodze i znużony oparł się o kontuar.

- Chodzi mi o szklankę wody - odparł. Wyjąwszy czerwoną chustkę do nosa, wytarł spocone czoło. - Szedłem przez całą noc i już po prostu padam. Wydałem ostatniego pensa na „okazyjny interes” i teraz nie mam nawet najedzenie.

Dan przyniósł mu szklankę wody i rzekł zaniepokojony.

- No i co to był za okazjny interes, który tak szybko wpędza was do grobu dla nędzarzy?

Mężczyzna pochylił się i otworzył tornister. Wyjął stalowy kieszonkowy zegarek i położył go na ladzie pomiędzy nimi.

- Aż dwieście sztuk tego kupiłem! - powiedział ponuro. - Ze składu celnego. Sprzedawali skonfiskowane towary za psi grosz, więc po myślałem, że dorwałem okazję. Zapłaciłem po pięćdziesiąt centów od sztuki, sto dolarów za całość. Wyobrażałem sobie, że będę sprzedawał je po parę dolarów do sklepów, ale się przeliczyłem. Nikt nie chce kupować. Wpakowałem w ten plan własne pieniądze, a także pieniądze brata mojej żony i teraz nie mogę nawet pokazać się znowu w domu z obawy, że on zabije mnie za to, iż wszystko straciłem.

Popatrzył z nadzieją na Dana. - Pewno nie zależy wam na kupieniu jednego dla siebie, prawda? Dan wpatrywał się w niego w zamyśleniu. W głowie dzwięczały mu liczby ze znakiem dolara niczym dzwonenie kasy sklepowej, aż rzekł szybko:

- Zrobię coś więcej. Całą partię zdejmę wam z głowy za pięćdziesiąt dolców.

- Pięćdziesiąt dolców? - oburzony mężczyzna spiorunował go wzrokiem. - Czyżbym wam dopiero co nie powiedział, że zapłaciłem za nie stówę?

Dan obojętnie wzruszył ramionami. Odwrócił się i zaczął wycierać z kurzu półki.

- Przyjmujecie albo nie - powiedział. - Przynajmniej tak możecie obliczać wasze straty wraz z żoną, zamiast mrzeć tutaj z głodu na ulicach Dzielnicy Północnej.

Mężczyzna wyciągnął dłoń.

- Przyjmuję - rzekł. Dan się zawahał.

- Na pieniądze będziecie musieli poczekać do późniejszej godziny dziś wieczór, ale żeby przyklepać interes, proszę, oto cztery dolary za datku. - Mężczyzna skwapliwie schował cztery dolary do kieszeni i cisnął tornister na ladę. Powiedziawszy Danowi, że po resztę pieniędzy wróci tegoż wieczoru o siódmej, wyszedł zwawo za drzwi, kierując się do najbliższego baru, by zamówić sobie duże ciemne piwo oraz duszoną baraninę z kartoflami i cebulą.

Widząc jego wesołość, Dan pomyślał z niepokojem, czy przypadkiem nie dał się właśnie nabrać. Podniósł zegarek z lady i przyłożył go do ucha. Zegarek zatykał głośno i Dan odetchnął z ulgą. Wziąwszy monetę, podważył i otworzył tył zegarka, i popatrzył na małe ząbki i kółka, kołyszące się

szybko tu i tam dokoła - tym razem więc się uśmiechnął. Umiał rozpoznać dobrą okazję, widząc ją przed sobą.

Czekając na powrót Micka Corrigan obmyślił sobie plan. Nie miał pięćdziesięciu dolarów przy duszy tak samo, jak każdy inny mieszkaniec Dzielnicy Północnej, lecz wiedział, jak je zdobyć. Kiedy Corrigan wrócił punktualnie o drugiej, Dan powiedział mu, że ma coś pilnego do załatwienia, musi więc wyjść na godzinę. Zdjąwszy biały fartuch sprzedawcy, włożył marynarkę i uładził swe rude kędziory za pomocą odrobiny wody. Potem zarzucił na barki tornister i rażno ruszył w kierunku Prince Street.

Jak na ironię człowiek, którego miał zamiar odwiedzić na Prince Street, również był właścicielem sklepu spożywczego. Thomas Keany został obwołany irlandzkim „szefem” Północnej Dzielnicy i potęgą w tutejszym środowisku politycznym. Otworzył swój sklep dwadzieścia pięć lat temu i rozwinął go tak, że stał się największym obiektem handlowym w tej okolicy. Małe pomieszczenie na tyłach magazynu z czerwonej cegły służyło mu za polityczną siedzibę, gdzie imigranci mogli przyjść w każdej chwili, by skorzystać z jego porady. Był on wysokim, rubasznym mężczyzną o ciemnych, falistych włosach i sumiastych wąsach, Irlandczycy zaś powierzali mu swoje sekrety. Przychodzili do niego ze swymi problemami, wiedząc, że mogą liczyć na jego pomoc, w zamian prosił ich o lojalność oraz o ich głosy w lokalnych wyborach.

Dan zastukał do drzwi i poproszono go, by wszedł. Keany zajęty był rozmową z dwoma innymi mężczyznami, więc Dan zrzucił swój ciężki tornister na podłogę i stał z założonymi rękami, cierpliwie czekając, aż tamci skończą dyskutować. Keany wymienił uścisk dłoni z mężczyznami i skierował swą uwagę na Daniela.

- W czym mogę ci pomóc, chłopcze? - zapytał jowialnie. Dan wyjął z tornistra zegarek kieszonkowy i z zapalem rozpoczął opowieść o tym, jak nadarzyła mu się okazja kupić je tanio.

- To stal - powiedział z tryumfem. - Tylko pięćdziesiąt dolarów. A on sam zapłacił za nie sto. Keany w milczeniu siedział za swym wielkim biurkiem, patrząc nań ponad złożonymi dłońmi.

- Okazja jest okazją tylko wtedy, kiedy stać cię na to, żeby zapłacić - zaznaczył.

- Tak jest - przyznał poważnie Daniel. - Ale ja jestem człowiekiem ubogim i dlatego właśnie przychodzę po pomoc do pana.

- Opowiedz mi o sobie - zaproponował Keany, znowu sadowiąc się w krześle, by posłuchać. A Dan opowiedział mu historię katastrofy statku oraz ich walki o przetrwanie, po czym wyjaśnił, co ma zamiar zrobić z zegarkami.

- Zostanę wędrownym kupcem, chodzącym od miasta do miasta z tornistrem na plecach i będę odsprzedawał zegarki z zyskiem, bez żadnych kosztów bieżących pominąwszy własne zelówki - tak, bym zarobił dostatecznie dużo, żeby odkupić od Corrigan jego sklep - powiedział.

- A czy Corrigan chce go sprzedać?

Dan pewny siebie pokazał w uśmiechu zęby.

- Teraz jeszcze nie chce. Ale zechce. Kiedy ja go przekonam i dam mu poznać siłę moich pieniędzy.

- Nawet jeśli będziesz sprzedawał z porządnym zyskiem, nie zarobisz tyle, żeby zapłacić Corriganowi za sklep - zaznaczył Keany. - No to przyjdę do pana, żeby dostać pożyczkę tej reszty - rzekł tryumfująco Dan.

Keany roześmiał się rubasznie. Plan tego chłopaka miał w sobie tyle dziur, co pończocha ubogiej kobiety, lecz spodobał mu się ten zuchwały zapal i wiara w siebie.

- Pożyczę ci osobiście tych pięćdziesiąt dolarów - powiedział, sięgając do kieszeni - ponieważ takiego gadania od dawna nie zdarzyło mi się słyszeć. A jeśli ci się z tym powiedzie, możesz przyjść do mnie w sprawie pożyczki na zakup sklepu Corrigan. Jeśli Corrigan zechce go sprzedać - roześmiał się znowu, grzmocząc głośno pięścią o biurko. Do licha, chłopcze, po co, na Boga, tak przedsiębiorczy i złotousty facet jak ty chce zostać właścicielem sklepu na rogu ulicy? Powinieneś zajmować się polityką.

Dan schował do kieszeni pięćdziesiąt dolarów i uściśnął Keanyemu rękę.

- To nie ja, proszę pana - rzekł. - To mój brat Finn ma kwalifikacje potrzebne do tej zabawy. Ale ja nie zostanę na długo właścicielem sklepu na rogu. Rozpocznę od tego sklepu, potem wezmę inny, i jeszcze inny. Będę mieć ich całą sieć, w Bostonie i Filadelfii, Pittsburghu, Chicago... - Jego błękitne oczy wpatrywały się w przyszłość tak, jakby już widział ten łańcuch sklepów, ciągnący się w nieskończoność przez całą Amerykę, aż Keany z podziwem pokręcił głową.

- Jesteś człowiekiem dalekowzrocznym i życzę ci powodzenia. Ale teraz lepiej zacznij już sprzedawać te zegarki, żebyś mógł mi oddać moich pięćdziesiąt dolarów.

- Dobrze, proszę pana! - Dan podniósł swój tornister i ruszył ku drzwiom. Zawahał się, po czym wykonał obrót i wrócił. Wyjął jeden zegarek i położył go na biurku przed Keanyem.

- To dla pana, proszę pana - rzekł pełen wdzięczności. - W prezencie. I obiecuję panu, że pewnego dnia Dan O'Keeffe wymieni panu ten zegarek na inny, ze szczerego złota.

Ruszył z powrotem przez pokój i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Chwilę go nie było, po czym znowu je otworzył.

- I każe zrobić na nim napis - dodał uroczyście: - „Dla Thomasa Keanyego, z podziękowaniami od Daniela O'Keeffa”. - Potakując sobie tak, jakby było to już faktem dokonany, poklepał się po kieszeni z pięćdziesięcioma dolarami, zarzucił na barki swój plecak i ruszył za maszycie do sklepu Corrigan, by złożyć mu wypowiedzenie. Od jutra miał być pierwszym O'Keeffe, który zostanie wędrownym kupcem.

Następnego ranka Finn patrzył, jak jego brat oddala się pewnym krokiem, w czapce zawadiacko spoczywającej na rudych kędziorach, a jego długie nogi szybko śmigają. Pomyślał z niepokojem, że nastąpi już prawie zima i nie jest to dla Dana odpowiednia pora na zmianę zawodu i przekształcenie się w podróżnika. A przenikliwie zimno nie było dobre również dla Roryego. Kaszlał jak całe stado chorych psów, a były takie dni, kiedy zdawało się, że ledwie ma siłę iść noga za nogą.

Pomimo to, udawało mu się pracować przez cały czas, tak więc po wozy Jamesa stały wyczyszczone na wysoki połysk, a konie oporządzone. Kiedy Finn wkładał swój szary płaszcz z powiewającą pelerynką i szary cylinder z wywiniętym rondem i wiozł pana Jamesa do jego biura lub na stację kolejową, by zdążyć na pociąg do Nowego Jorku, wiedział, że w całym Bostonie nie ma nikogo o lepszej prezencji.

Z każdym mijającym tygodniem Rory był coraz bardziej chory. Finn powiedział mu, że powinien leżeć w łóżku, lecz w domu panował jeszcze większy chłód niż na dziedzińcu stajni, a poza tym Rory zanadto bał się, że straci pracę. Zatem Finn zostawiał go siedzącego przy ogniu w siodlarni, czyszczącego wędzidła i glansującego części skórzane, a sam wykonywał prace Roryego tak jak swoje. Wprawdzie codziennie przychodził do pracy wcześniej, a wychodził później, lecz robota była zrobiona, on zaś pewien, że pan James nie ma powodu do narzekań na Roryego.

Nadeszło Boże Narodzenie, nie przynosząc ani jednego słowa od Dana, lecz Finn spodziewał się, że już lada dzień może go ujrzeć, jak idzie ulicą z kieszeniami wypchanymi zarobkiem. W Wigilię

Bożego Narodzenia Finn i Rory zostali zaproszeni do domu państwa Jamesów na śpiewanie kolęd, po czym każdy z nich dostał w prezencie koszyk pełen jedzenia i po pięć dolarów premii gotówką. Z sercem przepelnionym wdzięcznością za hojność swych chlebodawców, Finn rozglądał się po ozdobionym girlandami holu, widząc, jak mieszka zamożny Bostończyk - i w jego sercu rozgorzała ambicja. Nagle przestało mu wystarczać to, że jest najbardziej szykownym woźnicą w Bostonie. Zaprażył dokładnie takiego samego domu jak ten. Zaprażył stać się człowiekiem bogatym, nawet gdyby miał umrzeć, osiągnąwszy to. I w tej porze pokoju i dobrej woli - serce spalało mu pragnienie zemsty na rodzinie Molyneux.

Tymczasem jednak oprócz marzeń miał tylko swą posadę oraz norę w Północnej Dzielnicy, liczącą dwa na dwa i pół metra, która niewiele różniła się od nor, w jakich żyli jego przodkowie.

Dzień Sylwestrowy przyniósł zamieć śnieżną, która z dnia na dzień zatarła rysy miasta. Następnego ranka Finn i Rory przedzierali się przez zaspy po kolana, mijając nierozpoznawalne, bo pokryte bielą punkty orientacyjne. Rory kaszlał tak długo, aż robił się czerwony na twarzy i zatrzymywali się kilkanaście razy, żeby mógł złapać oddech. Na przemian trzęsło go zimno i pocił się od gorączki, więc Finn owinał go w kraciastą narzutę końską i usadził przed płonącym kominkiem w siodlarni. Popędył poprosić kucharkę o kubek gorącego kakao i nakłonił Roryego do wypicia go, po czym zdjął z siebie marynarkę i przystąpił do uporania się z robotą Roryego, a także ze swoją własną.

Tydzień za tygodniem Rory robił się coraz bardziej wymizerowany i chudy, nieustannie dygocąc, mimo ciepłej marynarki, darowanej mu przez Finna. Finn w rozpaczy proponował mu połowę własnych zarobków, niechby tylko zechciał zostać w domu i wydobrzeć, lecz Rory dumnie odmówił.

- Nie mogę brać od ciebie pieniędzy, a poza tym boję się, że stracę robotę i nigdy już jej nie odzyskam.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy Rory nie mógł już podolać dalekiej drodze do Louisburgh Square. Leżał na swym słomianym wyrku, a wokół niego zebrali się w milczeniu bracia i siostry oraz matka, która uczepiwszy się jego ręki, płakała. Strapiony Finn udał się do pracy, lecz nie potrafił o nim zapomnieć i tego wieczoru wrócił tam pędem po schodach, bojąc się, że może już jest za późno. Oczy Roryego lśniły niczym dwie jasne gwiazdy, gdy uśmiechał się do Finna.

- Nie martw się, jeśli pan James będzie potrzebował nowego stajennego - powiedział. - Po prostu rozejrzę się za innym zajęciem, kiedy wyzdrowieję. Na wiosnę.

Finn siedział przy nim przez całą noc. Rory nie kaszlał i nie rzucał się ani nie kręcił tak jak zwykle, pomyślał więc z nadzieją, że to na pewno jest dobry znak. Tuż przed świtem Rory się przebudził i wyciągnął ku niemu rękę.

- Dobry z ciebie przyjaciel - wyszeptał. I to były jego ostatnie słowa. Finn płakał po przyjacielu, lecz do pracy przyszedł punktualnie jak zwykle, ponieważ za bardzo się bał, że straci swą posadę. Oczekiwał już z przygotowanym powozem, gdy dokładnie o ósmej, jak zawsze, pan James zszedł po frontowych schodach.

- Dzień dobry, OKeeffe - rzekł pan James, wsiadając do powozu. Spojrzał bystro na Finna, zauważając jego zaczerwienione oczy i ściągniętą twarz. - Czy coś się dzieje? - zapytał.

Finn miał głowę zwieszoną, żeby ukryć swój ból, kiedy opowiadał o Rorym, po czym zapytał, czy mógłby dostać jedną lub dwie godziny wolnego na pogrzeb. Pan James skinął głową.

- Możesz powiedzieć jego rodzinie, że ja pokryję niezbędne wydatki - rzekł. - A teraz ruszaj, bo się spóźnię.

Pogrzeb Roryego odbył się w zimnie, ale dzięki hojności pana Jamesa, Rory miał przynajmniej porządną sosnową trumnę i znalazł się też wieniec z iglastych gałęzi, by go rzucić na grób. Finn wraz z piątką innych przyjaciół wziął trumnę na ramiona i poniósł ją do kościoła świętego Stefana, gdzie odprawiono mszę. Potem zaś szedł za nią, wiezioną na wózku nędznymi, zamrzniętymi ulicami na cmentarz, zadając sobie gorzkie pytanie, dlaczego jego przyjaciel musiał umrzeć. Zmówił za niego modlitwę i zmówił też modlitwę za siebie.

- Boże - modlił się w milczeniu - muszę wydostać się z Północnej Dzielnicy, bo inaczej ona zmarnuje także mnie. Muszę. Na pewno jest jakieś wyjście, proszę, dopomóż mi, Boże. A już nigdy więcej o nic Cię nie poproszę.

Comelius James był spostrzegawczym mężczyzną. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zauważył, że Rory pokazywał się rzadko, a Finn pracował godzinami, coraz dłużej i dłużej - i teraz już poznał przyczynę. Rozmawiał na temat Finna z żoną i oboje uznali, że ten chłopak zasługuje na coś lepszego.

- Możesz to nazwać eksperymentem socjalnym - rzekł Comelius do swej żony. - Wygra czy przegra, to już jego sprawa, ale w obydwu wypadkach na pewno będzie to interesujące. - Zawołał Finna do swego gabinetu i Finn stanął przed nim, obracając nerwowo czapkę w rękach i mając nadzieję, że nie zostanie zaraz zwolniony z pracy.

- Obserwowałem cię, O'Keeffe - rzekł spokojnie. - zauważyłem, że postępowałaś w myśl przypowieści o dobrym Samarytaninie. To, co zrobiłaś dla swego przyjaciela, było rzeczą szlachetną, uczynkiem do bregu serca. - Tu przerwał, a Finn spojrzał na niego pełen niepokoju, zastanawiając się, co teraz nastąpi.

- Taki człowiek zasługuje na nagrodę - dodał pan James. Finn rozjaśnił się cały. Obiecał już pani Donovan, że będzie się nimi opiekował, i mogłoby mu się przydać nieco dodatkowych pieniędzy.

Pan James przemierzał gabinet, trzymając ręce za plecami.

- Jesteś pojętym młodym człowiekiem - rzekł, patrząc nań w za myśleniu, a nadzieje Finna rosły, jako że widział już, jak jego nagroda staje się większa. - Ale człowiekiem, któremu brak wykształcenia - mówił dalej pan James, a nadzieje Finna padły znowu. - A jednak wydaje mi się, że posiadasz instynkt i bystrość, które mogłyby służyć czemuś lepszemu niż tylko dogładanie koni.

Roztrząsałem cechy twojego charakteru, O'Keeffe, i uważam, że jest z ciebie człowiek prawy, solidny, pilny i zdolny do prawdziwej przyjaźni. Pani James i ja rozmawialiśmy na twój temat bardzo długo. Postanowiłem dać ci sposobność, by się rozwinąć. Jeśli będziesz chciał zgodzić się na to, proponuję ci pracę w moich biurach w Nowym Jorku i okazję opanowania pracy w finansach.

- Pracy w finansach? - rzekł Finn, a w głowie wciąż jeszcze dzwoniły mu magiczne słowa „Nowy Jork”.

- Pan nakazał nam wspomagać naszych braci - powiedział pan James - ty zaś spełniłeś jego życzenia. Teraz ja jestem gotów pomóc tobie, Finnie O'Keeffe, byś został kimś więcej niż chłopcem stajennym i woźnicą. Czy się zgadzasz?

Czy się zgadzam? Zdumiony Finn pomyślał o swej gorącej modlitwie podczas pogrzebu Roryego. Pomyślał o Gwiazdce, śpiewaniu kolęd w holu i o swym ślubowaniu, że pewnego dnia będzie posiadał rezydencję dokładnie taką, jak ta. Pomyślał o swojej zemście na rodzie Molyneux, wyobrażając sobie twarz Lily, jeśli kiedyś zobaczy ona tę znakomitość, którą miał niedługo się stać.

- Zgadzam się - odrzekł, promieniejąc.

Finn nie miał nigdy niczego nowego, a na pewno jeszcze nigdy w życiu nie posiadał garnituru. Z pięćdziesięcioma dolarami zaliczki od pana Jamesa, które paliły mu kieszeń niczym żywy ogień,

udał się do miejscowego sklepu z galanterią! powiedział ekspedientowi, że potrzebne mu jest wszystko, „od nowych kalesonów do nowych butów”.

Wybrał to, co według jego wyobrażeń powinien w Nowym Jorku nosić dobrze ustawiony młody człowiek: dwie białe batystowe koszule z czterema celuloidowymi kołnierzykami, które - jak zapewnił go sprzedawca - oszczędzają prania; dalej - garnitur ze sztywnej czarnej serży i fular w stonowanym szarym kolorze. Kupił wielkie i mocne czarne buty, wyczyszczone do lustrzanego połysku i - co było odrobiną ekstrawagancji, lecz nie potrafił sobie tego odmówić - spinki do mankietów, zrobione z macicy perłowej, i dobraną do tego szpilę. Teraz potrzebował już tylko kapelusza; a właściwie musiał sprawić sobie dwa! Melonik o wywiniętym rondzie na zimę i słomkową panamę na lato.

Z zadowoleniem wpatrywał się w nowego Finna O'Keefe, którego widział w lustrze. Całe wyposażenie kosztowało go zawrotną sumę dwudziestu pięciu dolarów i ta ilość pieniędzy, którą właśnie wydał, oślepiła go. Był to majątek, ale pensja w wysokości dwudziestu dolarów tygodniowo, jaką mu obiecano sprawiła, że wszystko, co zapłacił, wydało mu się garstką - i w wielkopańskim stylu rzucił pieniądze na ladę. Ekspedient zawiązał jego pozostałe rzeczy w pakiet i Finn udał się pewnym krokiem ze sklepu na Hanover Street i do sklepu Micka Corrigan.

Jedyny kłopot był w tym, że Dan nie przyjechał jeszcze ze swych podróży. Obiecał powrócić za kilka miesięcy. „Z zyskiem w kieszeni” - powiedział. Ale minęło już sześć miesięcy i Finn się martwił.

Kiedy kroczył zbiegającymi się ze sobą uliczkami Północnej Dzielnicy, wszystkie głowy odwracały się, by popatrzeć na przystojnego irlandzkiego faceta o ciemnych włosach, który wyglądał tak, jakby wygrał milion. Tłum małych chłopców biegł obok niego, chichocząc, robiąc niegrzeczne uwagi, ale on tylko wyszczerzył w uśmiechu zęby i życzliwie cisnął im garść monet, przypominając sobie, że on jeszcze nie tak dawno temu szukałby ich w rynsztoku.

Mick Corrigan w zdumieniu wodził za nim wzrokiem.

- Czy możliwe, że to ty, Finn O'Keefe? - zapytał, bacznie przyglądając mu się z bliska. - Oczywiście, teraz widzę, że tak. Przy tym ubrany jak polityk. A więc czyżby twój brat dorobił się majątku, tak jak zapowiadał?

Finn potrząsnął głową, wyjaśniając, na czym polegał jego szczęśliwy traf.

- Napiszę do pana list z moim adresem tak, żeby Dan wiedział, gdzie mnie znaleźć, kiedy wróci.

- Kiedy Dan wróci! - Corrigan pokręcił głową i wydał żałobne westchnienie. - To nie była pora, by rzucić swą robotę i zostać domokrądcą - rzekł, kręcąc głową. - Na pewno długo jeszcze nie dostaniesz od niego wieści.

Martwiąc się o Dana bardziej niż przedtem, Finn udał się do matki Roryego, żeby się pożegnać. Dał jej nieco pieniędzy i powiedział, że zawsze będzie się nią opiekować. Życzyła mu powodzenia, a on skierował się w stronę stacji, by wsiąść do pociągu do Nowego Jorku.

Pogoda w Nowym Jorku była zbyt upalna, jak na tę porę roku; żar słoneczny lał się z bezchmurnego nieba. Finn wyszedł na ulicę Wschodnią Czterdziątą Trzecią przed Wielkim Dworcem Centralnym, ściskając w rękach pakunek z bielizną i skarpetkami, zapasowymi kołnierzykami i z koszulą na zmianę. Czuł, że się dusi w swym ciężkim garniturze, lecz jego krok był dziarski, gdy wyruszał na poszukiwanie pokoju do wynajęcia. Już sama myśl o prawdziwym własnym pokoju mogła uderzyć do głowy - i szeroko się uśmiechnął, widząc, że jeden po drugim domy miały w oknach szyldz napisem: WOLNE POKOJE. Wybrawszy pewien dom o skromnym wyglądzie,

pociągnął za dzwonek. Kobieta, która otworzyła drzwi, spojrzała na niego groźnie, on zaś śmiało powiedział:

- Dobry dzień, proszę pani. Rzecz jasna, jestem w sprawie wynajęcia pokoju.

Cofnęła się o krok i gniewnie wskazała palcem szyld w oknie.

- Czy nie umiesz czytać, ty ciemny człowiecze? - zawołała ze złością, po czym zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Finn wpatrywał się w szyld. Było na nim napisane: WOLNE POKOJE, a poniżej: NIE PRZYJMUJE SIĘ AKTORÓW, PSÓW, IRLANDCZYKÓW. Ruszył więc dalej tą ulicą, potem następną i jeszcze następną, lecz gdziekolwiek się znalazł, widział taki sam szyld. Nikt nie chciał Irlandczyków, których otaczała zła sława z powodu picia i bójek, a w tym wyliczeniu znajdowali się jeszcze niżej niż psy. W poszukiwaniu pociechy wstąpił zatem na Dolnym Broadwayu do baru, który nosił krzepiącą nazwę Baru Murphyeego.

- W tej okolicy uda ci się, chłopie - powiedział Murphy, gdy Finn nad szklanką mocnego portera wyjaśniał mu, jakie ma zmartwienie. - Tu będą przyjmować każdego. Irlandczyka, Włocha, żyda, Niemca czy kogoś ze starych Amerykanów, dopóki jest w stanie opłacić komorne z góry. Spróbuj u Eileen Malone na Zachodniej Czterdziestej, w pobliżu Bryant Park.

Eileen Malone popatrzyła na przystojnego, młodego Irlandczyka, który stał na schodkach wejściowych jej domu, porządny i spływający potem w swym staromodnym, ciężkim czarnym garniturze i w meloniku. Przesuwała po nim wzrok powoli do góry i potem znowu powoli na dół. A potem zaczęła się śmiać.

Finn przestępował skrzepowany z nogi na nogę.

- Może mi pani powie, co jest tak śmieszne? - zapytał, czerwony na twarzy z gorąca i zakłopotania. Czuł się ugotowany, ale nie chciał zdejmować marynarki, by nie zepsuć swojego eleganckiego, nowego wcielenia jako przedstawiciela wolnego zawodu.

- Może pan tylko popatrz na ten komplet - huknęła śmiechem Eileen. - Nie powie mi pan, że z takim wyglądem jest pan aktorem? Chyba że aktorem ubranym do roli Irlandczyka.

Finn rzucił jej wściekłe spojrzenie. Odwrócił się i ruszył w dół po schodach.

- Nic pan nie wskóra w tym mieście, jeśli nie zna się na żartach - zawołała w ślad za nim. - A poza tym, na tej ulicy jestem jedyną właścicielką pensjonatu Irlandką.

Niechętnie przybliżył się znowu i wszedł za nią do holu, po czym na drugie piętro schodami pokrytymi brązowym linoleum.

- Utrzymuję dom w czystości - zaznaczyła Eileen i oczekuję tego samego od moich lokatorów. Chociaż panu nie mam w tym względzie niczego do zarzucenia - dodała szybko, gdy Finn znowu spiorunował ją wzrokiem.

Popatrzył na pokój. Było tam okno z widokiem na czubki drzew rosnących w parku.

- Łóżko ma materac z końskiego włosia - rzekła z dumą Eileen. - Nie ma tu żadnej słomy, młody człowieku. U Eileen Malone dostaje pan tylko to, co najlepsze.

Końcami palców Finn pomacał uważnie łóżko; wypróbował szuflady kredensu i popatrzył w tanie lustro na swoją zdumioną twarz. Spozstrzegł mosiężne kołki wieszaków wzdłuż ściany oraz drewniane krzesło o pionowym oparciu, pluszowym siedzeniu i brzegach obszytych chwościkami. Twarde jak kamień, było to jednak prawdziwe krzesło i miało mu służyć do siadania.

- Jest tu lampa gazowa - rzekła Eileen. - Poza tym na dole w holu jest ubikacja i łazienka, do wspólnego użytku. W zamyśleniu zmierzyła go wzrokiem. Od chwili, gdy tu wszedł, nie wyrzekł ani

jednego słowa, a sądząc po wyrazie jego twarzy, mogłoby się wydawać, że odkrył właśnie raj.

- Wezmę go - powiedział Finn ochoczo, ona zaś westchnęła. Wiedziała, że ma do czynienia z żółtodziobem już od chwili, kiedy zobaczyła jego garnitur.

Litując się nad nim, rzekła z sarkazmem:

- Powiedziane, jak na prawdziwego Irlandczyka przystało. Tyle że pan powinien najpierw zapytać mnie o cenę. Wyjął z kieszeni dwadzieścia dolarów.

- Ile? - zapytał, tasując banknoty skwapliwymi palcami.

- Ma pan szczęście, że jestem uczciwą kobietą - powiedziała po ważnym tonem. - Każda inna właścicielka pensjonatu na Broadwayu po prostu podwoiłaby cenę. Należy się pięć dolarów tygodniowo. Płatne z góry, regularnie w każdy piątek.

Finn odliczył pieniądze do jej wyciągniętej dłoni, ona zaś rzekła:

- Za dodatkowe dwa dolary tygodniowo daję posiłek wieczorny. A ja jestem dobrą kucharką - dodała, na dowód poklepując się po obfitych biodrach. Finn szybko dał jej dodatkowe dwa dolary, a ona schowała je do kieszeni i podeszła do drzwi:

- Kolacja jest szósta trzydzieści, co do minuty - zawołała. - Większość mych lokatorów to aktorzy i muszą być w teatrze na siódmą trzydzieści. Ci co pracują, oczywista. Zamknęła za sobą drzwi, a Finn z dumą rozejrzał się po swym po koju. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła, przystając, by podziwiać wszystko wzrokiem posiadacza. Odsunął siatkową zasłonę i przyjrzał się widokowi parku. Zdjąwszy z nóg buty, ustawił je przy łóżku, po czym powiesił kapelusz na mosiężnym kołku. Rozwinął pakunek w brązowym papierze i odłożył swoje nowe rzeczy do szuflady kredensu. Udawszy się na dół do łazienki w holu, umył sobie ręce i twarz wodą płynącą z kranu, po czym wytarł się czystym ręcznikiem z białego lnu. Obejrzał prysznic, wielką białą wannę i klozet. Znów powędrował do swego pokoju, rozebrał się, zapalił swą czarodziejską lampę gazową, po czym ostrożnie ułożył się na łóżku. Miękka poduszka wspierała jego głowę, a czysta pościel z białej bawełny chłodziła mu ciało. Przez kilka chwil leżał całkowicie nieruchomo, chłonąc to wszystko, a potem zaczął się śmiać.

Czuł się jak dziecko, które pierwszy raz weszło do sklepu z zabawkami. Nigdy przedtem nie miał własnego pokoju; nigdy nie miał okna, a co dopiero widoku z okna! Nigdy nie posiadał prawdziwego łóżka czy kredensu, nie miał nawet mosiężnego kołka w ścianie. A już na pewno nigdy przedtem nie korzystał z łazienki i świeżego, czystego ręcznika, żeby się wytrzeć. Nareszcie zostawił za sobą dawny świat słomianych sienników na gołych klepiskach, z drewnianą paką służącą za stół i zjedną świeczką, żeby coś dostrzec - i teraz czuł się niczym król.

- Dan, ty staruchu - wyrzekł na głos, wciąż się śmiejąc. - Gdybyś tylko mógł teraz zobaczyć swojego brata, nigdy byś w to nie uwierzył. No i podaje mi się gotowaną kolację punktualnie o szóstej trzydzieści. - Wciąż jeszcze uśmiechał się, kiedy zasnął.

Eileen Malone cieszyła się sławą wśród borykających się z życiem przedstawicieli zawodu aktorskiego. Wiedzieli oni, że jej dom jest czysty, a jedzenie, które gotuje proste, ale smaczne i podawane w szczodrych ilościach.

- Nikogo nie będę morzyć głodem - mawiała często, wydając hojnie porcje kartofli puree, kapusty i kotletów, a w niedzielę jej ulubionego rostbefu. - Nie w sytuacji, gdy moja rodzina i moi rodacy pomarli z tego powodu - dodawała wtedy ze wzruszeniem, przyglądając się, jak jej zadowoleni pensjonariusze zmiatają wszystko z talerzy.

Kiedy mąż jej zmarł w siedem lat po ślubie, Eileen stwierdziła, że oto jest tym rzadkim

zjawiskiem, jakie stanowi bezdzielną irlandzką wdowę, nie posiadającą synów, którzy by mogli się o nią zatroszczyć na starość. Wiedziała, że musi sama zarobić na życie. Pozbierawszy się, sprzedała swój mały domek, a za oszczędności połączone z pożyczką bankową kupiła dom większy i położony bliżej Broadwayu, gdzie wiedziała, że zawsze będzie mogła mieć tuzin wypełnionych pokoiów.

Życie niesło ze sobą także niemiłe momenty. Wydobywanie pieniędzy od aktorów to niełatwa sprawa i z tego właśnie powodu większość właścielek pensjonatów przepędzała ich. Eileen kryła jednak w sercu słabość do przystojnych mężczyzn, a poza tym dostarczali jej nieustannej rozrywki swymi opowieściami. Znała wszystkie najnowsze ploteczki Broadwayu i sprawiali, że czuła się tak, jakby należała do ich świata. Miała czterdzieści lat, była dobrze zabezpieczona materialnie i gotowa matkować.

Przypuszczała, że to naiwność spodobała jej się w Finnie na równi z jego urodą, ponieważ nawet w tym garniturze wyglądał na bardzo przy stojnego młodzieńca. Coś w sobie miał, jakiś wyostrzony, natarczywy głód - nie głód jedzenia, lecz samego życia - co uderzyło ją w serce jak młotem.

- Ja rozpoznaję talent instynktownie - miała często zwyczaj oznajmiać, rozglądając się przenikliwym wzrokiem po swych pensjonariuszach, jedzących przy stole kolację. Czy nie przepowiedziałam powodzenia mojemu lokatorowi, Nedowi Sheridanowi? I czy nie miałam racji? Czy nie jest akurat w tym momencie w objeździe z cieszącą się powodzeniem sztuką? A uwierzcie mi, że to jest tylko początek. Temu młodzieńcowi pisany jest wielki sukces. A kiedy wróci, znów tu się zjawi, żeby mieszkać u pani Malone. Nigdzie więcej nie pójdzie.

Pensjonariusze wpatrywali się wówczas w panią Malone z nadzieją, że jej przenikliwy wzrok przeznaczy ich do kariery tak, jak uczynił to z Nedom, lecz jedynie Finn wyzwolił w niej to samo uczucie. Nie Maria Venturi, młoda aktorka z drugiego piętra od podwórza, która od trzech tygodni zalegała z komornym i która z nadejściem najbliższego piątku znajdzie się na ulicy, jeśli nie zapłaci. I nie siostry Marquand, Francuzki i kokietki, które występowały w rewiach, wierzgając nogami i pokazując więcej, niż powinny - choć te przynajmniej płaciły komorne w terminie. I nikt inny spośród pozostałych: przyszłych dramaturgów, wodewilistów i aktorów, wiecznie żyjących na krawędzi „sukcesu”, nękających swymi wizytami w dzień biura impresariów, a w nocy - bary na Broadwayu, cykającymi pieniędze po trochu i wciąż liczących na tę szczęśliwą odmianę losu.

- Pan O'Keeffe jest inny - rzekła swoim pensjonariuszom, przedstawiając go, kiedy punktualnie o szóstej trzydzieści zjawił się na kolację. - Pan O'Keeffe będzie zajmował się sprawami pieniężnymi. - Słyszając magiczne słowo „pieniądze”, podnieśli wzrok z zainteresowaniem, ona zaś posadziła Finna na honorowym miejscu po swej prawej stronie, w zaiste bezpiecznej odległości od Francuzek, które z miejsca flirtowały z każdym mężczyzną, choćby nawet starym lub mało atrakcyjnym. „Ale czyż wszyscy nie flirtują?” - zapytała niewinnie Corinne Marquand, kiedy Eileen ostrzegła ją przed tym. Teraz jasnowłosa, ładna Corinne wlepiła wzrok w Finna, Eileen zaś obserwowała, jak mała, wymizerowana służąca stawia przed każdym z pensjonariuszy pełny po brzegi talerz zupy.

- A co właściwie oznaczają „sprawy pieniężne”? - zapytała Corinne, śląc w kierunku Finna czarujący uśmiech. - To brzmi tak masculine.

- Chodzi o zajmowanie się papierami wartościowymi i akcjami - wyjaśnił Finn, odwzajemniając jej uśmiech. - Mam pracować w biurze maklerskim James i Spółka.

Wszyscy słyszeli już o tym biurze, patrzyli więc na niego z szacunkiem, zastanawiając się, ile tam zarobi.

- A co pan tam będzie robił, panie OKeeffe? - zapytała Eileen.

- Mam się uczyć tej pracy, pszę pani. Pan James będzie więcej czasu spędzał w Nowym Jorku i to on sam ma mnie uczyć. - Teraz już nawet Eileen zaniemówiła pod wrażeniem tego, co usłyszała, a Finn po stanowił lepiej nie mówić im, że jest on tylko świeżo awansowanym stajennym i woźnicą, któremu z dobroci serca pan James dał okazję po lepszania swej pozycji. I lepiej nie zrobić mu zawodu, rzekł ponuro sam do siebie. To była dla niego szansa, a z gorzkiego doświadczenia wiedział, że takie okazje się nie powtarzają.

Po kolacji wrócił do swego pokoju. Rozebrał się i starannie rozwiesił ubranie na mosiężnych wieszakach, po czym zgasił lampę gazową. Z głową spoczywającą na poduszce z kaczego pierza, czując na skórze dotyk czystej bawełnianej pościeli - zapadł w sen tak spokojnie, jakby wstąpił do nieba. I nie śnił o Nowym Jorku ani o Eileen Malone, ani o Co rinne Marquand, ani nawet o panu Jamesie i biurze maklerskim, gdzie nazajutrz miał rozpocząć nowe życie. Śnił o Lily, tak samo jak zawsze.

O świcie był już na nogach i o szóstej trzydzieści zjadł śniadanie, przyrządzone przez małą służącą „do wszystkiego”, imieniem Peggy. Nikt jeszcze się nie pokazał, nie wyłączając pani Malone - i gdy Peggy postawiła przed nim ogromny talerz siekanej wołowiny, zabrał się z za pałem do jedzenia i zapytał, gdzie się wszyscy podzieli.

- Aktorzy mają inny plan dnia niż tacy jak my - poinformowała go. - Pracują wieczorami; znaczy się, jeśli mają pracę.

Dolała mu kawy i oparła się o serwantkę, przyglądając się, jak on je. Peggy była rudowłosą i piegowaną irlandzką dziewczyną, córką imigrantów. Rozpaczliwie chuda, miała zapadnięte oczy i skórę tak przezroczystą, jak zbierane mleko. Eileen Malone przyrzekła jej rodzinie, że będzie żywić Peggy, a także płacić jej pięć dolarów miesięcznie i dawać pokój, który właściwie skurczył się do trójkątnej przestrzeni na poddaszu, wydzielonej z najtańszego pokoju w całym domu, zajmowanego przez pannę Venturi.

Jednakże choć Peggy była biednym stworzeniem, miała znacznie więcej niż Finn wiadomości o życiu miejskim: znała zwyczaje pracy aktorów i aktorek, nazwy najnowszych sztuk i komedii muzycznych oraz kto w nich występował, a także ceny biletów oraz nazwy i położenie wszystkich teatrów.

- Chciałabym zostać pewnego dnia aktorką - rzekła tęsknie, znów napełniając mu filiżankę.

- No cóż, życzę ci powodzenia, Peggy - powiedział Finn, podnosząc się zadowolony od stołu. Miał pełny żołądek, a przed sobą wspaniały dzień. - Czy możesz pokazać mi drogę na Wali Street? - zapytał.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Chyba nie myśli pan iść tam piechotą? To okropny szmat drogi.

- Nic nie szkodzi. - Finn wzruszył ramionami. Czyż nie miał swoich pięknych, nowych butów, w których mógł chodzić? I czy nie świeciło słońce? A poza tym miał zamiar oszczędzać na czym się tylko da. Peggy powiedziała mu, w którą stronę ma iść, więc wzięwszy laseczkę ze stojaka w holu, wywinął nią młynka i tanecznym krokiem zbiegł po schodach na ulicę.

Słońce grzało i wilgoć, nietypowa dla tej pory roku, unosiła się ku górze. Wali Street zaś leżała dalej, niż Finn przypuszczał. Kiedy wreszcie dotarł do głównych drzwi „Jamesa i Spółki”, lśniących szkłem i mahoniem niczym wrota pałacu, był czerwony na twarzy i spocony z gorąca, nowe buty uwierały go i denerwował się, bo zgubił drogę i już dziesięć minut się spóźnił.

Portier w cylindrze na głowie popatrzył nań podejrzliwie, był to jednak Irlandczyk i gdy Finn wyjaśnił mu, kim jest, życzył powodzenia i wprowadził go do środka.

Wysoka sala miała posadzkę z marmuru. W górze migotały światła kandelabrow, pomimo że światło słoneczne kolorowymi smugami za glądało do wnętrza przez witrażowe okna. Wzdłuż sal rozstawiono błyszczące biurka z wierzchu pokryte rubinowoczerwoną skórą. Na każdym biurku znajdowała się mosiężna lampa z zielonym kloszem - i przy każdym siedział młody człowiek w fartuchu w drobne prążki.

Kierownik biura, usadowiony przy wielkim biurku na samym przedzie, miał wybrylantynowane włosy, okulary, elegancki czarny garnitur i papierowo białe ręce. Wyglądał tak, jakby nigdy nie oglądał światła dziennego i jakby całe życie spędził zagrzebany w biurze.

Z wyrazem niesmaku na twarzy zmierzył Finna, gdy ten wyjaśnił mu, kim jest.

- To nie jest dobry początek - rzekł kierownik biura, rzucając spojrzenie na wielki, okrągły zegar wiszący na ścianie, który pokazywał za kwadrans ósmą. - Na przyszłość będzie pan siedział przy biurku o siódmej trzydzieści.

Zaprowadził Finna do gabinetu pana Jamesa. Tam oszołomiony Finn zapatrzył się na wschodnie dywany i dębową boazerię pokrywającą ściany, na których wisiały portrety mężczyzn o surowym wyglądzie.

- Witaj, mój chłopcze. Witaj - pan James serdecznie uściskał mu rękę.

- OKeeffe jest moim osobistym protegowanym - rzekł szefowi biura. - Proszę dać mu biurko przed moimi drzwiami, obok mego sekretarza. Proszę przedstawić go całemu personelowi i powiedzieć wszystkim, że oczekuję od nich współpracy w uczeniu pana OKeeffe naszej profesji.

- Przez pierwszych kilka tygodni trzeba tylko, żebyś się przyglądał - powiedział Finnowi pan James. - Przechadzaj się tu i tam, przypatruj się wszystkiemu. Bądź ciekawy, zadawaj pytania. A jeśli czegoś nie będziesz rozumiał, przychodź z tym do mnie.

Finn usiadł niespokojnie przy swym biurku, czekając, by ktoś mu powiedział, co ma robić, lecz szef biura zniknął, a wszyscy pozostali mieli głowy pochylone nad ogromnymi rejestrami.

Pamiętając instrukcje pana Jamesa, wstał i zaczął przechadzać się po sali, patrząc to w lewo, to w prawo na każde mijane biurko, lecz nikt nawet nie spojrzał w jego kierunku. A w każdym razie urzędnicy nie spoglądali nań, kiedy koło nich przechodził, on jednak wiedział, że go obserwują. Wyczuwał na plecach ich wzrok. A potem usłyszał szepty i szmer stłumionego śmiechu.

Obrócił się na pięcie i objął ich srogim spojrzeniem, lecz wszystkie głowy pracowicie pochylały się znów nad rejestrami, odwrócił się więc za kłopotany. Zaczął powoli iść dalej i wtedy znowu usłyszał to parsknięcie.

Zawrzał w nim jego irlandzki temperament. Wpychając gniewnie ręce do kieszeni, ruszył przez salę złowróżbnym krokiem. Jeszcze jeden chichot, a zada cios pięścią w nos, każdemu z nich z osobna. Zmierzy się z całą bandą, taki ma zamiar, i pokaże im, gdzie raki zimują. „Jezusie, chłopaku” - przestrzegł sam siebie - „pamiętaj, że masz jeden plus w po równaniu z tymi nędznymi urzędnikami. Jesteś protegowanym pana Jamesa i nie ma znaczenia, kim byłeś przedtem. To jest twoja wielka szansa! Trzymaj pięści w kieszeniach i zrób wreszcie użytek z głowy”.

Obrócił się na pięcie i stanął przed nimi.

- Prześcignę to wasze stado, wy nędzne sukinsyny, ziemiste na gębie - rzekł cichym szeptem, pełnym pogroźki. - Zapamiętajcie sobie jedno. Ja tu jestem na osobiste zaproszenie pana Jamesa, a wy nie. - Głowy aż podskoczyły im do góry i ze zdumieniem wlepili w niego wzrok. Finn zaś, rażno

pogwizdując, podszedł do najbliższego biurka i powiedział urzędnikowi, by dokładnie wytłumaczył mu, co właśnie robi.

Incydent ten zrelacjonował panu Jamesowi jego sekretarz, z kolei pan James wieczorem przy kolacji opowiedział wszystko żonie.

- Chłopiec wszedł tam, mając na sobie żałobny garnitur, przyciskając do piersi melonik i wyglądając kropka w kropkę jak irlandzki wieśniak - rzekł, uśmiechając się. - A ja wrzuciłem go, tak jak stał, prosto w jaskinię lwów. „Wóz albo przewóz”, pomyślałem. Potraktowali go po wielkomijsku z góry, a pierwszą rzeczą, jaką on zrobił, było danie im do zrozumienia, że niezależnie od tego, czy jest żółtodziobem, czy nie, ma nad nimi przewagę, ponieważ jest moim osobistym protegowanym. Otóż to właśnie mam na myśli, mówiąc o bystrości. Zakonotuj, sobie moje słowa: to bardzo zdolny młody człowiek i zrobimy z niego zarówno dżentelmena, jak i bankiera.

Od tej pory Finn brał zawsze tramwaj konny do Wali Street i co rano był przy biurku już przed siódmą. Wiedział, że wszystko, czym dysponuje, to umiejętność czytania i pisanie oraz jego inteligencja, natomiast inni pracownicy są wykształceni. Kiedy jednak minął pierwszy tydzień, potem drugi, a potem trzeci ku swemu zaskoczeniu zrozumiał, że w świecie pieniądza jego kwalifikacje są wszystkim, czego tu potrzeba. Oczywiście, jeśli się ma odpowiedniego opiekuna.

- Pieniądze są ważne - powiedział pan James, osobiście wręczając mu czek z wynagrodzeniem za ten pierwszy, wyczerpujący miesiąc. - To oczywiste, że pieniądze, które właśnie zarobiłeś, można wymienić na towary tej samej wartości. Jednakże, a kładę nacisk na tym jednakże, OKeeffe, jak sam widziałeś w ciągu tych kilku minionych tygodni, pieniądze może także wytwarzać pieniądz. Każdy dolar może dalej dla ciebie zarabiać pieniądze. Nie musisz niczego produkować. Nie musisz niczego tworzyć. A im więcej gromadzisz pieniędzy, tym więcej pieniędzy zarabiasz. Otworzyłem dla ciebie konto w banku James i Spółka i proponuję, żebyś przelał na nie z tego czeku tyle, ile tylko zdołasz, tak by uzyskać odsetki, a potem pomyślimy, jak je korzystnie zainwestować.

Finn pomyślał, że prezentowana przez pana Jamesa filozofia zdobywania majątku jest jeszcze prostsza niż zamiary jego brata Daniela co do sklepu, jednak jeśli szło o jego pieniądze, miał wobec nich inne plany. Szybko nauczył się, że jeśli ma zamiar brać udział w tej grze, będzie musiał wyglądać tak jak zawodnicy - tyle że lepiej. Wybrał się do najbardziej eleganckich krawców na Manhattanie i dobitnie oznajmił, że jest osobistym protegowanym pana Comeliusa Jamesa i że życzy sobie, by wzięto z niego miarę na dwa piękne garnitury.

- Oddaję się w wasze ręce - rzekł wielkopańskim tonem, zagłębiając się w krzesło, podczas gdy użnieni ekspedienci uwijali się nad nim, pokazując próbki samodziałów i tkanin koszulowych, jedwabne krawaty i chusteczki do nosa, jedwabne skarpetki i delikatne skórzane buty, płaszcze i wytworne kapelusze. Wzięli z niego miarę na wszystko, on zaś powiedział im, że jeden garnitur i sześć koszul chce mieć w przeciągu tygodnia i nie ma mowy, absolutnie nie może czekać dłużej. Apodyktycznym tonem oznajmił że zapłaci czterdzieści dolarów gotówką, a na resztę weźmie kredyt, oni zaś rzekli, że są zaszczyceni, mając w nim stałego klienta. I z samopoczuciem takim, jakby już posiadał milion dolarów, do którego zdobycia - jak wiedział - był na najlepszej drodze, Finn pewnym krokiem wyszedł ze sklepu.

Udał się na Broadway do fryzjera, gdzie został przyzwoicie ostrzyżony i elegancko ogolony, po czym, dyskretnie pachnąc wodą kolońską, z gładkim uczesaniem i nienagannym wąsem skierował swe kroki do U Delmonica, gdzie dla uczczenia dnia zafundował sobie drinka. Po czym ruszył w drogę powrotną do pensjonatu Eileen.

Jakiś dżentelmen czeka na pana w saloniku - oznajmiła mu z po wagą Peggy. - Nie byłam pewna, czy mam go wpuścić, czy nie, bo wyglądał na podejrzanego typu, ale powiedział, że jest pana bratem.

W drzwiach już stał Daniel, wypełniając je swoim potężnym ciałem, a oczy Finna na skutek szoku omal nie wyszły mu z orbit. Oto patrzył na dzikusa: długie, kędzierzawe rude włosy Dana zlewały się z jego bujną brodą, kryjąc mu twarz do połowy; od pozbawionej kołnierzyka koszuli dawno już odprysnęły guziki, a stara tweedowa marynarka miała na łokciach dziury. Zniszczone sztruksowe spodnie utrzymywały się na swym miejscu dzięki parze jaskrawych, nowych szelek w kolorze szkarłatu, na szyi zaś z fasonem zawiązana była szkarłatna apaszka. Jednakże błękitne oczy, rzucające błyski spod krzaczastych, rudych brwi naprawdę należały do Dana!

- No, popatrz tylko na siebie - rzekł Dan, ogarniając swojego brata wzrokiem. - Ależ z ciebie prawdziwy miastowy panek. - Uściskali się z entuzjazmem, po czym nawzajem sprawdzali swój wygląd z odległości wyciągniętej ręki.

- Naprawdę ci się wiecie - powiedział z dumą Dan. - Poznają to po stroju.

- To jest do niczego - odparł Finn. - Ale dopiero co byłem u krawców najlepszych na cały Nowy Jork i zamówiłem dwa nowe garnitury. Robione na miarę - dorzucił z dumą. - Martwiłem się o ciebie, Dan.

Dan tylko się roześmiał. Poklepując pękate kieszenie, rzekł:

- Czy nie powiedziałem ci, że wrócę do domu z zyskiem w kieszeni. Proszę, oto on, Finnie! - Rzucając ostrożne spojrzenie za siebie, przy słońcu usta dłonią i szepnął: - Siedemset dwadzieścia trzy dolary i sześćdziesiąt pięć centów, bracie. Oto ile mam w kieszeni. Odejmij od tego pięćdziesiąt, które jestem winien Keanyemu, a nie ma już więcej żadnych kosztów, prócz podeszew, wyżywienia i noclegów.

- Och, przyznam, że sprzedawanie zegarków kieszonkowych wsiowym prostakom było najpierw ciężkim zajęciem, lecz potem przyszedł uśmiech szczęścia. Znalazłem się właśnie w Karolinie Południowej, kiedy w jakimś hrabstwie natrafiłem na jarmark, ustawiłem się więc i wyciągnąłem jeden z tych zegarków. Zacząłem mówić o moim zegarku kieszonkowym, o tym, jaki jest dobry, jaki ma precyzyjny mechanizm i jak wspaniale chodzi. Zebrał się tłumek ludzi, a wśród nich pewien młody facet, po którym było widać, że interesuje go to bardziej niż innych. Podzwaniał monetami w kieszeniach i widziałem po jego oczach, że pragnie mieć ten zegarek. Tak że mówiłem właściwie dla niego, bo po myślałem sobie, że przynajmniej ten jeden uda mi się sprzedać.

- Powiedziałem, że w tym znakomitym zegarku nigdy się nic nie psuje, ponieważ jest wyprodukowany w Szwajcarii. - Zaintrygowany, spojrział na Finna. - Nie wiem, może sprawiła to wzmianka o „made in Switzerland”, a może to, że otworzyłem kopertę zegarka, żeby pokazać im, jak to działa. Tłum się powiększył i podawano sobie zegarek z rąk do rąk, dziwując się tym wszystkim małym ząbkom i kółkom, które robiły do kładnie to, co ząbki i kółka mają robić. „Tu w środku są drogie kamienie” - powiedziałem im śmiertelnie poważnym tonem. - „Rubiny i diamenty”. Tu wskazałem na małe czerwone i białe cząstki, które ledwo można zobaczyć. „Nie stać was na to, żeby mieć choć jeden taki”, powiedziałem, „tym czasem ja je oddaję za trzy dolary i pięćdziesiąt centów”.

Rude kędziory Dana aż nastroszyły się z przejęcia, gdy chwycił Finna za ramię i rzekł:

- Ten młody facet powiedział, że weźmie zegarek i dał mi swoje trzy pięćdziesiąt. A potem jeszcze jeden facet, i jeszcze jeden - i nim się zorientowałem, już podniosła się o nie wrzawa. Siedemdziesiąt zegarków sprzedałem w czasie krótszym niż trzeba, by wskazówki przesunęły się z godziny dwunastej na piętnaście po. I Finnie, pojąłem też, że odkryłem tajemnicę: nastaw się

w zachwalaniu towaru na tego jednego faceta, który może być chętny, a wtedy na dziewięćdziesiąt dziewięć procent masz pewność, że kupi. A gdy tylko on kupi, inni wyobrażają sobie, że tamtemu trafiła się wyjątkowa okazja. Wtedy im powiedz, że akurat masz przypadkiem przy sobie jeszcze kilka sztuk, ale trzymasz je na jarmark w innym hrabstwie. Ledwie pomyślą, że oni nie mogą kupić, a już zaraz strasznie chcą to mieć.

- Szedłem od jarmarku w jednym hrabstwie do jarmarku w drugim hrabstwie, aż sprzedałem wszystkie zegarki. Zarobiłem trzysta pięćdziesiąt dolarów, ale to było za mało, wiedziałem więc, że będę musiał jeszcze coś sprzedawać. Spałem właśnie w stogu siana, tak jak zwykle, kiedy usłyszałem szeleszczący odgłos. Było ciemno i przesuujące się chmury zasłaniały księżyc. Mówię ci, bracie; bałem się okropnie. Po myślałem, że na pewno ktoś mnie śledził, ktoś kto wiedział, że mam w kieszeni pieniądze, a teraz idą, żeby mi je ukraść.

Pokręcił głową z wyrazem wstydu na twarzy.

- Muszę wyznać. Finnie, że dostałem straszliwego napadu wściekłości. Czerwona mgła przesłoniła mi oczy, gdy pomyślałem, ile mnie kosztowało, by wlec się tak zimą w śniegu, a na wiosnę w deszczu, śpiąc byle jak i jedząc tak mało, jak tylko mogłem, by zaoszczędzić jak najwięcej - i rzekłem do siebie: „O Jezusie, niech mnie diabli, jeśli pozwolę im zabrać moje pieniądze”.

„Wyłaźcie, wy nędzne sukinsyny” - zawyłem, chwytając moją laskę. „Pokażcie swe gęby, a Dan OKeeffe zajmie się tą zgrają”.

Twarz rozjaśniła mu się nagle w szelmowskim szerokim uśmiechu.

- I jak myślisz, co wylazło, gramoląc się ze słomy? Po prostu najmniejszy facet, jakiego w życiu widziałeś - i to wszystko. Cały ubrany na czarno, z siwą brodą i jaskrawoczerwonym nosem, w jednej ręce trzymał flaszkę gorzały, a w drugiej starą torbę kramarza.

- Czkał ze strachu i od alkoholu, i wznosił ręce ku górze, wylewając przy tym połowę butelki, po czym powiedział: „Niech pan do mnie nie strzela, panie OKeeffe. Jestem sobie zwykłym wędrownym kupcem, który szuka w stogu siana miejsca na spoczynek nocny, tak samo jak pan”.

- Tak więc oczywiście roześmiałem się, uścisnęliśmy sobie ręce, a on podzielił się ze mną zawartością swojej butelki i opowiedzieliśmy sobie nawzajem swoją historię. Wyznał mi, że pochodzi z Rosji, ma siedemdziesiąt lat, i że przez całe swe życie był wędrownym kupcem, tak że już jest tym zmęczony.

- „Prowadziłem przyzwoite życie”, powiedział, „i nie jestem nic winien ani mężczyźnie, ani kobiecie. Akurat dzisiaj wieczorem postanowiłem porzucić to wszystko i wrócić do Chicago, do swej rodziny. Muszę najpierw jednak sprzedać trzysta par czerwonych szelek, które - na swoje wieczne utrapienie - kupiłem tanio, bo po dwadzieścia pięć centów, od pewnego faceta żyda w Nowym Jorku. A to może mi zająć resztę życia, bo one nie idą, chłopcze. Po prostu nie idą”.

- Po raz kolejny pociągnęliśmy z butelki - rzekł Dan - a dla mnie było to dokładnie to samo, co z zegarkami kieszonkowymi. Przed oczyma miałem wszystkich tych ludzi spotykanych na jarmarkach w różnych hrabstwach, jak stoją i przyglądają mi się, a każdy z nich bez wyjątku - z kciukami zaczepionymi o szelki.

Napiliśmy się raz jeszcze i kramarz pokazał mi czerwone szelki. Były one szersze niż zwykle bywają, z klamerkami, które w świetle księżycy błyszczały jak złoto - i oczyma duszy zobaczyłem wszystkich tych prostaków, jak stoją z kciukami zaczepionymi o nie, a w głowie znowu, tak jak przedtem, postukiwały mi te dobre, poczciwe symbole dolarów. „Uwolnię was od nich za cenę, jakąście zapłacili” - wyrzuciłem z siebie szybko, niby wystrzał. „W takim razie już jutro możecie

wracać do swej rodziny. Nie mogę patrzeć, jak taki stary facet jak wy śpi byle gdzie, jeśli macie łóżko i żonę, do której można wrócić”.

- „Zrobione” - on na to, i to jeszcze szybciej niż ja. No więc uścisnęliśmy sobie dłonie i zapłaciłem mu gotówką siedemdziesiąt pięć dolarów za całą partię. On i ja skończyliśmy butelkę, a następnego rana życzyliśmy sobie nawzajem wszystkiego dobrego i każdy ruszył w swoją drogę.

Spojrzał rozpromieniony na Finna, zakładając kciuki za swoje własne szkarłatne szelki.

- No a teraz dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu farmerów w Ameryce puszy się parą najlepszych szkarłatnych szelek o złotych klamerkach, nadzwyczajnej szerokości i nadzwyczajnej jakości. I czy dokładnie w tej chwili nie mam w kieszeni ich dziewięćdziesięciu dziewięciu centów za każdą parę? - Jego śmiech zagrział po całym domu tak, że stołownicy, schodzący na dół na kolację, przystanęli, by przyjrzeć się wielkiemu rudowłosemu zabijace, mającemu na sobie parę szkarłatnych szelek, który rozmawiał z Finnem OKeeffe.

- Panie OKeeffe - wykrzyknęła Eileen Malone, śpiesząc by przepędzić niechlujnego nieznajomego, który swoją osobą zastawił korytarz wejściowy.

- To właśnie ja, psze pani - rzekł Dan, wykonując w tył zwrot z dwornym ukłonem. Cofnęła się o krok, przyciskając nerwowo dłoń do serca, on zaś odezwał się grzecznie:

- Przepraszam za niechlujny wygląd, psze pani, lecz przez siedem miesięcy byłem w drodze. Przyjechałem tu z Bostonu, żeby odwiedzić mojego brata, Finna. Eileen rzuciła niepewne spojrzenie na Finna, ten zaś z nowo nabytą ogładą rzekł:

- Pani Malone, pozwoli pani sobie przedstawić mojego brata. Oto Daniel OKeeffe. Będzie potrzebował pokoju na noc, jak również kąpieli, jeśli pani sądzi, że to możliwe.

Eileen zmiękła pod działaniem uśmiechu Finna. Spostrzegła jego przycięte włosy i wąsy świeżo doprowadzone do porządku i znów po myślała, jak bardzo jest on przystojny i że, kto wie, pod całą tą masą rudych kudłów jego brat ostatecznie nie jest taki zły.

- Czy pokój tylko na jedną noc? - zapytała.

- Oczywiście, że tak, szanowna pani Malone - odrzekł Dan. - Jutro ruszam z powrotem do Bostonu, by kupić dla siebie sklep. - Pewnym siebie gestem poklepał się po kieszeniach, spoglądając na pensjonariuszy, którzy zgromadzili się w drzwiach jadalni i słuchali. - A po kolacji postawię każdemu z was drinka, żeby to uczcić - powiedział głośno i w tej samej chwili wybuchły okrzyki zadowolenia.

Eileen wysłała go, żeby umył przed kolacją ręce i niczym zawstydzony uczeń - zrobił, co mu kazano. Przy stole dała mu drugie co do ważności miejsce, po swej lewej stronie, podczas gdy Finna miała po prawej, potem zaś pozwoliła sobie nawet udać się razem z nimi do Baru OHagena. Po to, żeby świętować pomyślność OKeeffów.

Maudie

Ardnava

Był piękny, rześki poranek z powiewem wiatru, a ponieważ i tak musiałam się udać do sklepów w Galway, pomyślałam sobie, że po prośbę Shannon i Eddiego, by pojechali wraz ze mną. Jest tam cudowna, stara księgarnia, wypełniona wszelkiego rodzaju dawnymi skarbami na równi z nowościami i pomyślałam, że może chcieliby trochę je powertować w czasie, gdy ja będę zajmować się sprawunkami.

Zdążyli już wybrać się na spacer i teraz wracali, powoli zmierzając ku mnie przez trawnik. Trawa jest teraz wysoka prawie do pasa, z porozrzucanymi wszędzie dzikimi irysami i bławatkami, wygląda więc w swej bujnej zieleni jak łąka. Wiecie, niebieskie kwiaty rosną na naszej glebie zdumiewająco bujnie; powinniście widzieć te hortensje w kolorach turkusowym i purpurowym, z całą gamą pośrednich odcieni. A żywopłoty wzdłuż naszych dróg i drózek rodzą całe mnóstwo kwiatów różowych i czerwonych, tak egzotycznych, niby z jakiejś dżungli. Dodajcie do tego rododendrony w porze ich kwitnienia, moje bzy, i naturalnie moje ukochane róże - i macie istny raj. To było jednym z powodów, że mamusia tak bardzo kochała ogród.

Ale do rzeczy. Oto miałam ich tutaj, dwie młode istoty, nie idące co prawda ze sobą za rękę, lecz głowami prawie stykali się w czasie rozmowy. Zobaczyłam, że twarz Shannon rozjaśnia zainteresowanie i... i co jeszcze? Podziw? Może uwielbienie? Trudno to było określić, lecz z pewnością widziałam zainteresowanie i żywiłam nadzieję co do reszty. Zachowuję się jak stara, wścibska swatka, lecz doprawdy, lubię ich oboje tak bardzo, a przy tym tak niezwykle „pasują” do siebie, jak by powiedziała mamusia.

Moje psy wlokły się im przy nodze z tym rozkochanym, po psiemu oddanym wyrazem pysków. Gdyby tych dwoje pozostało tu dłużej, daję głowę, że te piekielne zwierzaki wyniosłyby się z mojego łóżka na łóżko Shannon. I tylko dla niej dopuściłabym do tak wiarołomnej z ich strony manifestacji uwielbienia.

Zawołałam ku nim, że jadę do miasta i czy chcą wybrać się ze mną. Zgodnie uznali, że oczywiście chcą.

- Ja będę prowadził - dodał Eddie, ale nie chciałam o tym słyszeć.

- Prowadzenie to moja sprawa - powiedziałam stanowczo. - Chodźcie ze mną. - I zabrałam ich nie opodal do garażów, gdzie w dawnych czasach znajdował schronienie chyba z tuzin eleganckich maszyn, czyszczonych do połysku przez zwariowanego na punkcie samochodów chłopaka, który pełnił funkcje pomocnika i wykonywał całą czarną robotę.

Gdy byłam jeszcze dzieckiem, jeździliśmy w wielkim stylu ulubioną pokazową jaskrawożółtą lagondą papcia - długą, nisko zawieszoną, dokładnie taką, jak w powieści Michaela Arlena „Zielony kapelusz”. Tę książkę wszyscy wtedy czytali i podejrzewam, że drogi, poczciwy papcio musiał z niej czerpać natchnienie, ponieważ wiernie naśladował jej dziarskiego, młodego bohatera, jeżdżąc lagondą po całej Europie z po czuciem, że jest tak atrakcyjny jak kierowca wyścigowy.

Mamusia też miała własny samochód - naturalnie, czerwony; przy naszym kolorze włosów,

zawsze pociągała nas czerwień. Był to bugatti, z tak wydłużonym przodem, że gdy siedziałam z tyłu, z trudem widziałam znajdującą się na masce ozdobę. To szybkie urządzenie mamusia prowadziła tak, jakby dosiadała konia, wykrzykując doń słowa zachęty, kiedy zbyt szybko brała zakręt. Aż dziw bierze, że nigdy nie próbowała przeskoczyć w nim pięcioszlabanowej przeszkody.

Mieliśmy jeszcze dwa inne, mniej lubiane i bardziej pospolite samochody, o zwyczajnej jednolicie czarnej karoserii, no i była ozdoba całej kolekcji, rolls-royce silver ghost, samochód-marzenie, którym my wszyscy wybieraliśmy się w podróż po kontynencie, ściągając zachwycone tłumy wszędzie tam, gdzieśmy się znaleźli. Ta maszyna to naprawdę gwiazda i papcio nigdy nie dopuszczał do niej szofera, chyba że chodziło tylko o przetarcie jej do połysku. To było jego ukochane dziecko, jego duma i radość - i nie zgadzał się nawet, by prowadziła go mamusia. Wydaje mi się, że nigdy nie wyjeżdżaliśmy do Francji w mniej niż trzy samochody: oczywiście, z silver rollsem, który służył do podróżowania całą rodziną - prowadził go papcio, z lagondą, prowadzoną przez szofera i z czerwonym bugatti, w którym jechała mamusia.

A jeszcze później dostaliśmy daimlera, coś w rodzaju „rezerwy”, bo inne samochody starzały się, lecz nie mogliśmy wręcz znieść myśli o rezygnacji z nich. I ten właśnie wóz pokazałam Shannon i Eddiemu. Jest on mniej więcej z 1937 roku, jak sądzę, z brezentowym dachem, który zsuwa się, składając w harmonijkę jak przy dzieciennym wózekczku, z długą maską, szerokimi wysuwanymi progami, z kwadratową szybą ochronną w mosiężnej oprawie i z wielkimi mosiężnymi reflektorami, sterczącymi na przedzie niczym dwoje ogromnych, szeroko otwartych oczu. Ma kolor lśniącej czerni jak w kartach piki, z obiciami z czerwonej skóry - i zawsze był to mój samochód.

Na jego widok dreszcz zachwyty przejął Eddiego i Shannon. Obejrżeli daimlera dokładnie i ze zdumieniem stwierdzili, że nadal jest w idealnym stanie. Opowiedziałam im więc o mechaniku z Oughterard, którego ulubioną czynnością było utrzymywanie wozu w dobrej formie. Po prostu tak bardzo kochał ten stary samochód.

Z cichym pogwizdywaniem maszyny wyruszyliśmy przez podjazd wzdłuż przecinki i, minąwszy wejście do Wielkiego Domu, pod górę wijącą się i pokrytą koleinami dróżką, która prowadzi do szosy. Eddie skrzywił się, kiedy samochód podskoczył sprężysto na koleinach, a ja się roześmiałam.

- Żaden problem - wrzasnęłam do tyłu ku nim. - Ten wóz pokonuje tę dróżkę już dłużej, niż życie na świecie, no i wychodzi z tego bez szwanku.

Dach samochodu mieliśmy spuszczone, a dzień był to słoneczny, to znów pochmurny tak, jak się tutaj zawsze zdarza. Wyglądało na to, że moi goście cieszą się powolną jazdą, rozglądając się po okolicy i podziwiając jej dzikość; tak więc aby się nie znużyli - ponieważ do Galway jest kawałek drogi, zwłaszcza gdy się jedzie starym samochodem - zaczęłam im snuć dalszy ciąg mojej opowieści. Och, a zanim o tym zapomnę: nie miałam wtedy na sobie mych bryczesów i kurtki. Boże mój, co to, to nie; mamusia nigdy by na to nie pozwoliła. Człowiek zawsze coś na siebie wkładał, by pojechać do miasta na zakupy, ubrałam się więc w trawiastą zieleń; była to dosyć długa spódnica i dobrany do niej sweter, jako że w samochodzie mogło się zrobić zimno, no i jak rzekłam - wiał wiatr. Do tego włożyłam buty do golfa i wesoły turbanik o głębszym odcieniu zieleni, spod którego moje rude loczki tylko troszkę wyglądały na przedzie. Wszystko w stylu lat czterdziestych. Istotnie, wydaje mi się nawet, że pamiętam, jak Betty Grabie na filmach w czasie wojny nosiła coś w tym rodzaju. Och, i czy nie było to zabawne, kiedy, jak pamiętam... - ale znowu odchodzę od tematu. W każdym razie, jeśli sobie dobrze przypominam, te ubrania nie miały na sobie żadnego nazwiska projektanta, a tylko metkę sklepu „B.T” z Dublina i były całkiem nowe. Z 1985 roku, jak sądzę. Wszystkie oprócz

kapelusza. Ten pochodził z Paryża. Madame Simonetta, rok 1939.

Co do Shannon, ubrała się w kremowy sweter Arana, kupiony tutaj na miejscu, i w letnią kwiecistą spódnicę, dość długą, rozkołysaną i noszoną wraz z kowbojskimi butami. Mnie ta kombinacja wydawała się dosyć dziwna, lecz na niej jakimś cudem wyglądała dobrze. Eddie naturalnie był we wszechobecnym drelichu. Tak więc się prezentowaliśmy, rozpierając się na siedzeniach z czerwonej skóry w lśniącym, czarnym wozie z mosiężnymi reflektorami niczym dwoje szeroko otwartych oczu, kiedy toczyliśmy się szosą Connemary, na ogół po niewłaściwej stronie, żeby uniknąć wybojów i jak zwykle rozmawialiśmy na temat Lily.

Boston

Nieznana dotąd sprężystość była w krokach Johna Adamsa, kiedy pośpiesznie szedł ulicą Mount Vernon w stronę domu. W jego wyglądzie również pojawiło się coś nowego. Zniknęły źle dopasowane do siebie ubrania i znoszone buty; teraz każdego ranka jego gospodyni wykładała mu przygotowane ubranie, był więc tak elegancki, jak należałoby tego oczekiwać po nieprzytomnym, uczonym profesorze siedemnasto wiecznej literatury francuskiej.

Nie potrafiłby dokładnie określić, w którym momencie zaczął za uważać swą gospodynię, ani nie umiałby dokładnie wskazać powodu, z jakiego tak się stało. Lily zajmowała się prowadzeniem jego gospodarstwa domowego już od ponad roku, przypuszczał więc, że musiało to następować stopniowo. Była najbardziej dyskretną i usuwającą się w cień spośród służby, a mimo to zawsze wiedział, kiedy znajduje się w pobliżu. Może to ledwo wyczuwalny pikantny zapach francuskiej wody kolońskiej, lub słodkie fiołki parmeńskie, które przypinała sobie u ramienia, a może - pomyślał z poczuciem winy - szelest, jaki przy chodzeniu wydawały taftowe halki, noszone przez nią pod suknią. A on, który nigdy przedtem nie zauważał damskich fatałaszków, teraz wiedział, że mógłby dokładnie opisać te suknie.

Wmówił w siebie, że oczywiście jest tak wyłącznie dlatego, że tak bardzo różnią się one od zwyczajowych ubrań gospodyni w nieokreślonym szarym kolorze. Zimą Lily nosiła miękkie jedwabiste aksamity w głębokim odcieniu lila róż lub nasyconej zieleni. Natomiast przy cieplejszej pogodzie wkładała lżejszą jedwabną taftę szafirowego koloru, przez co błękit jej oczu wydawał się ciemniejszy, albo w jakimś innym odcieniu, który przywodził mu na myśl wiosenne bzy.

Oczywiście, jej suknie były dyskretne: zapięte wysoko pod szyję, z długimi, obcisłymi rękawami; jednak mężczyzna nie mógł nie zauważyć, jak ta właśnie prostota zachwycająco podkreśla jej smukłą sylwetkę i jak soczyste barwy wydobywają kremowy kolor skóry i rumieniec pokrywający jej policzki odcieniem dzikiej róży. Nie mógł zaprzeczyć, że wdzięczny sposób, w jaki czesała swe lśniące czarne włosy, ściągając je z tyłu w grecki węzeł, akcentował czyste rysy jej profilu i klasyczną długość szyi.

- Czarujący! - wykrzyknął na cały głos, zamasyście krocząc pod górę, jacyś przechodnie zaś zatrzymali się, by mu się przyjrzeć z uśmiechem. Kroczył dalej, nieczuły na nic, pochłonięty tylko swymi myślami.

- Czy to naprawdę ty, Johnie Porter Adamsie? - pytał sam siebie. - To ty mówisz „czarowny” o profilu kobiety, zamiast myśleć o greckim posągu? Czy to naprawdę ty przypominasz sobie zmysłowy szelest jedwabnych halek kobiety, nie zaś chłodną, malowaną scenę z jakiegoś obrazu pędzla Gainsborougha? - Przystanął, by rozważyć tę sprawę, nieświadom wybuchów śmiechu mijających go przechodniów, gdy tak wpatrywał się w swoje buty teraz już elegancko wyczyszczone i bez żadnych dziur - myśląc o swej dyskretnej, usuwającej się w cień gospodyni.

Lily mogła uchodzić za wzór pośród służby. Była opanowana i skromna, i dobrze spełniała swoje zadania, tak że jego zagracony, pełen kurzu dom jak gdyby obudził się do życia pod dotknięciem jej smukłych białych dłoni. W zadziwieniu pokręcił głową. Znow nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Może sprawiły to wazony ze świeżymi kwiatami, stojące w każdym pokoju? Nawet zimą były tu cieplarniane róże i lilie - jej imienniczki, wysokie, blade i czyste. John Adams wiedział o tym, że obecnie zatrudnia mniej służby, a jednak prowadzenie domu kosztowało go mniej niż kiedykolwiek przedtem, sam dom zaś błyszczał, iskrzył się i świecił czystością. Posiłki dostawał dokładnie takie, jakie lubił:

proste, a przy tym smaczne. Co wieczór aksamitna bonzurka i ozdobione monogramami pantofle przygotowane, czekały już na niego, a służąca czym prędzej szykowała mu kąpiel. Karafka wytrawnego sherry jego ulubionej marki, Manzanilla, stała już na stole w bibliotece, a co najważniejsze, w domu była Lily, która go witała.

John Adams ochoczo pokonywał drogę na wzgórze. Ponieważ szczycił się tym, że jest człowiekiem prawdomównym, musiał przyznać, iż powodem jego pośpiechu stała się świadomość, że Lily czeka na niego. Postanowił, że tego wieczoru poprosi ją, by przed kolacją wypła z nim kieliszek sherry.

Lily musiała słyszeć, że on nadchodzi, ponieważ otworzyła drzwi, jeszcze nim dotarł do szczytu schodów wejściowych.

- Dobry wieczór panu - powiedziała z przesadnie uniżonym uśmiechem. - Pozwoli pan, że wezmę pana kapelusz i szalik, choć trudno mi uwierzyć, żeby były panu potrzebne w tak piękny wiosenny dzień.

- Czy było ładnie? - zapytał, rozpromieniony. - Obawiam się, że nie zwróciłem uwagi na pogodę. - Zrobił to jednak teraz. Okna jego domu otwarte na oścież, wpuszczały wieczorne powietrze; lekki wietrzyk marszczył firanki, a zapachy dochodzące z ogrodu łączyły się z zapachem kwiatów w wazonach, stojących na stole w przedpokoju, z wonią fiołków Lily oraz jej perfum. - Jak zachwycająco wygląda dziś dom - zawołał z entuzjazmem, uśmiechając się do niej. - To wszystko jest twoim dziełem, Lily.

- Dziękuję panu, panie Adams - odrzekła, spuszczaając z udaną po korą oczy. - To bardzo uprzejmie z pana strony, że pan tak mówi.

Młoda służąca przywitała go dygnięciem, po czym pomknęła na górę, by przygotować kąpiel, on zaś, zanim zdążył się rozmyślić, powiedział szybko:

- Czy byłabyś na tyle dobra, żeby przyłączyć się do mnie na kieliszek sherry dziś wieczór, Lily? Ja... jest parę spraw, które chciałbym z tobą omówić.

Lily zawahała się i przez pełną udręki chwilę myślała, że mu odmówi. Po czym odrzekła:

- Oczywiście, proszę pana. To prawdziwy zaszczyt dla mnie.

- A więc za pół godziny - rzekł szybko. - W bibliotece. Poglądził swą krótką bródkę w stylu van Dycka, wpatrując się w Lily zamyślony, póki mu nie przypomniała, że kąpiel pewnie już gotowa.

- Och - powiedział, drgnąwszy. - Oczywiście. Tak, oczywiście, pewnie jest gotowa. - Wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz, niczym mały chłopiec, a na podeście odwrócił się i popatrzył na nią. Obserwowała go z uśmiechem, on zaś pokazał wszystkie zęby, resztę schodów pokonując biegiem. Aczkolwiek był dojrzałym profesorem, liczącym sobie pięćdziesiątkę, w jakiś dziwny sposób czuł się dziś wieczorem prawie jak chłopiec.

Dwadzieścia minut później, gdy się już wykąpał i zmienił ubranie, przemierzał bibliotekę wzdłuż

i wszcz.

- Nareszcie jesteś - wykrzyknął z ulgą, kiedy punktualnie po pół godzinie Lily zastukała do drzwi. Podeszła ku niemu, szeleszcząc fałdami błękitnej atlasowej spódnicy, a on westchnął, uszczęśliwiony. - Czy już ci mówiłem, jak bardzo jestem zadowolony, że nie ubierasz się na szaro? - zapytał, podając jej kieliszek z rżniętego kryształu, napełniony jego ulubioną sherry. - Kiedy widzę cię w błękicie i fiolecie, rozjaśnia mi to cały dom. - Skinął głową, na poły pod własnym adresem. - Tak, tak. Rozjaśniasz moje życie, Lily.

- Dziękuję panu. Zawsze lubiłam wyraziste kolory, nawet wtedy, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

- A gdzie to było? - spytał zaintrygowany.

- Mieszkaliśmy w Connemara, proszę pana. Uśmiechnęła się do swoich myśli. - Może właśnie dlatego lubiłam żywe kolory. Tamtejszy krajobraz jest taki przygaszony; chmury i mgła nadają wszystkiemu kolor srebra.

- Czyżby słońce nigdy nie świeciło? - zapytał zdziwiony. Lily roześmiała się, a on rzekł do siebie, że jest to z pewnością najmiłszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszano w jego wielkim, starym domu.

- Och, niekiedy słońce świeci, proszę pana - zapewniła go. - W nie które dni niebo miało tak żywy kolor, jak moja niebieska suknia, a morze było turkusowe i zielone. Jeździliśmy wtedy na naszych kucach wzdłuż samej granicy fal i w ogóle nie chcieliśmy, by ten dzień się skończył, ani żeby cokolwiek się zmieniło. - Przerwała, po czym rzekła: - Ale naturalnie, zmieniło się wszystko. - Podeszła do otwartego okna, wychodzącego na ogród, a on stał obok niej podczas, gdy mu opowiadała o swojej młodszej siostrze. Ciel, która chodziła do szkoły w Paryżu.

- Ciel! - wykrzyknął. - Co za urocze imiona wybiera dla córek twoja matka!

Lily spuściła wzrok na kieliszek z sherry.

- Moja matka nie żyje, proszę pana - powiedziała.

- Ach tak, rzeczywiście. Teraz sobie przypominam; mówiłaś mi, że straciłaś rodzinę w drodze tutaj. Utonęli, czyż nie? Tak bardzo mi przykro, Lily; to było nietaktowne z mojej strony przypomnieć ci o tym.

- Wcale nie, proszę pana. - Wstała i powiedziała energicznie: - Myślę, panie Adams, że kolacja jest już gotowa. Bardzo panu dziękuję za sherry. Był pan taki przemiły, że mnie zaprosił.

Odrzucił w tył głowę i się zaśmiał.

- Nikt przez całe życie nie nazwał jeszcze Johna Adamsa „przemitym”-rzekł.

Lily uśmiechnęła się do niego.

- W takim razie najwidoczniej nie obraca się pan we właściwych kręgach, proszę pana - odparła z cieniem swej dawnej kokieterii.

Przyglądał się, kiedy przechodziła przez pokój, myśląc o tym, ile ma w sobie wdzięku: jest taka prostolinijna, taka wysmukła, taka kobieca.

- Lily - zawołał, a ona odwróciła się, stojąc już w drzwiach.

- Słucham pana, panie Adams!

- Czy zechciałabyś jutro wieczór znów przyłączyć się do mnie na sherry? Nasza pogawędka sprawiła mi tyle radości.

Teraz już jej uśmiech zdawał się wypływać z głębi serca, rozświetlając twarz.

- Oczywiście, proszę pana - powiedziała. - Z największą przyjemnością.

Wspólne wypijanie kieliszka sherry przed kolacją niebawem przeistoczyło się w mały rytuał.

Kolację przesuwano już zawsze o pół godziny, a to stało się dla niego kulminacją całego dnia. Wiosna coraz bardziej zbliżała się ku latu i ten jeden raz John Adams nie planował żadnego wyjazdu do Europy.

- Mam tak wiele roboty nad książką, którą piszę - wytłumaczył Lily. - Zabrało mi to już dwa lata i obawiam się, że jeśli jej nie skończę, moje środowisko będzie mnie miało za dyletanta.

- Jestem całkowicie pewna, że absolutnie nikt nie mógłby tak pana określić, proszę pana - rzekła oburzona Lily. - Jest pan oddany swej pracy i wszyscy to widzą.

Wyglądało na to, że posiada prawdziwie kobiecy talent wynajdowania najwłaściwszych słów ukojenia i John Adams dodał to do rosnącej listy jej zalet.

- A może po kolacji przyszlabyś do biblioteki wypić ze mną kawę, Lily? - zaproponował. - Niekiedy wieczór jest taki samotny, a ja cenię sobie twoje towarzystwo. Lily spojrzała na swego pracodawcę. Mogłaby go opisać słowami „człowiek o dystygowanym wyglądzie”, mając na myśli jego srebrzyste włosy i spiczastą bródkę, oraz miłe piwne oczy kryjące się za okularami w rogowej oprawie. Nigdy nie rozmawiała z nikim innym niż jej pracodawca, zachowując dystans pomiędzy sobą a kucharką i dwiema młodymi służącymi, lecz zajmowało ją tysiąc i jeden drobiazgów, które składały się na prowadzenie domu tak dużego, jak ten, nadal była równie samotna jak wtedy, gdy dopiero przybyła do Bostonu. Słyszała już, że John Adams jest geniuszem w swojej dziedzinie i wiedziała, że rozmowa z nim może okazać się stymulująca dla jej umysłu.

- Och, byłabym tym zachwycona, proszę pana - odrzekła z przekonaniem.

Manuskrypt zaniedbany leżał na jego biurku, a cały stos nowych nie przeczytanych książek spoczywał na stole, za to pokolacyjne rozmowy w bibliotece stały się co wieczornym punktem programu, wyczekiwanym przez oboje. Lily mówiła trochę o swym domu i dzieciństwie, a wyciągała go na rozmowę o jego podróżach, o sztuce, książkach i pracy.

- To są trzy miłości mojego życia - powiedział jej - największa pociecha dla mężczyzny. Lily się roześmiała.

- Mój ojciec zawsze powiadał, że tym właśnie jest dla mężczyzny jego żona, proszę pana. Popatrzyl na nią.

- Lily, czy mogłabyś mi zrobić przyjemność i nie mówić do mnie „proszę pana”, kiedy jesteśmy sami ze sobą? Cieszę się tym wyjątkowym towarzystwem czarującej i wykształconej młodej kobiety i nie ma żadnego powodu, dla którego miałabyś zawsze zwracać się do mnie „proszę pana”.

Pokazał jej swoje zbiory i wszystkie skarby, przewracając kruche karty piętnastowiecznej księgi z modlitwami odmawianymi o określonych porach, malowanej prześwitującymi farbami wodnymi i złotem; była tam również niezwykle rzadka biblia gotycka oraz rękopisy perskie i chińskie. Obszernie mówił na swój ulubiony temat - o siedemnastowiecznej literaturze francuskiej, a ona poprosiła, by polecił jej do przeczytania jakiejś książki tak, żeby mogła rozumieć wszystkie uwagi, jakie wygłaszał. Tak więc zredagował dla niej listę lektur, po czym co tydzień zadawał pytania dotyczące tego, co przeczytała, traktując ją niczym uczennicę.

Lato przeszło w jesień, a jesień w zimę, lecz pan Adams nie podejmował już swoich kolegów, jak zwykł to robić przedtem. Wolał towarzystwo swej gospodyni.

- Na pewno poznałeś jakąś kobietę, John - powiedzieli mu żartem. I byli zdumieni, gdy się roześmiał i wzruszył ramionami. - Czy to może być prawda? - pytali się nawzajem. - Czyżby jakaś kobieta usidliła wreszcie starego Portera Adamsa? A jeśli tak, to cóż to za jedna? - Nikt z nich nie pamiętał, aby kiedykolwiek widział go z jakąś damą.

Następnego roku w pierwszy dzień wiosny, kiedy zbliżały się dwudzieste pierwsze urodziny Lily, pan Adams niespokojnie oczekiwał na nią w bibliotece. Uśmiechnął się z ulgą, gdy usłyszał jej delikatne stukanie do drzwi. Kiedy szła ku niemu, pomyślał, jak Lily pięknie wygląda i z ukłuciem żalu zadał sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś zobaczy ją tak wchodzącą do jego biblioteki. Albowiem istniała możliwość, że po tym, co musi jej oznajmić, ona nie zechce już przychodzić.

- Chodź tutaj, Lily - rzekł. Kiedy podeszła bliżej, Adams patrząc jej w oczy, powiedział: - Wciągu tych minionych miesięcy zaczęłaś znaczyć dla mnie bardzo wiele. Wiem, że jestem o wiele lat starszy od ciebie, ale wszak czujemy się ze sobą dobrze, czyż nie? Pomyślałem, Lily, że byłoby to bardzo miłe rozwiązanie, gdybyś zgodziła się wyjść za mnie.

Gapiała się na niego, pod wpływem wstrząsu szeroko otwarłszy oczy, dodał więc szybko:

- Widzę, że moja propozycja zaskoczyła cię, lecz ja nie jestem mężczyzną, który potrafi okazywać swoje uczucia. Proszę cię, abys została moją żoną, Lily. Nie oczekuję od ciebie odpowiedzi już teraz, lecz proszę, przemyśl to sobie, nie śpiesz się...

Lily odwróciła się i spojrzała na niego.

- Bardzo panu dziękuję, panie Adams. Zastanowię się nad tym - rzekła i wychodząc, cicho zamknęła drzwi.

Idąc spokojnym krokiem, tak jakby nic się nie wydarzyło, Lily przeszła przez hol do tylnej części domu. Rozejrzała się po przyjemnie urządzonej i wygodnym małym saloniku i po niedużej sypialni: pomieszczeniach, które przez ponad dwa lata nazywała swoim domem.

Opadła na obite błękitnym brokatem krzesło przy kominku i oparła stopy na kilimkowym podnóżku. Rzuciła spojrzenie na stojący obok stół ze stosem książek, które stanowiły jej „lekturę obowiązkową” do prywatnego kursu literatury u pana Adamsa - i na stanowiącą jej skarb rodzinną fotografię w srebrnej ramie.

- O Jezu! - wykrzyknęła, zrywając się na równe nogi i poruszona, przemierzała swój pokój. Dlaczego musiał się posunąć do tego, żeby wszystko zepsuć, prosząc ją o rękę? Było tak miło, tak kulturalnie i przy jemnie. Tak bezpiecznie. Włożyła wiele pracy, aby osiągnąć swoją po zycję; włożyła wiele wysiłku w to, aby przeszłość zostawić za sobą. Większość pieniędzy, jakie zarabiała, szło do Sheridanów na utrzymanie dziecka, chociaż nigdy nie napisała, gdzie przebywa, ani od kogo po chodzą pieniądze. Nie chciała mieć żadnej styczności z nimi ani ze swą przeszłością.

Znów pomyślała o propozycji małżeństwa, jaką jej złożył pan Adams. Mogła zostać panią Johnową Porter Adams, piękną i młodą małżonką jednego z najbogatszych i najznakomitszych mężczyzn w Bostonie. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, jak to by było, gdyby za niego wyszła - i chciało jej się płakać. Miał tyle lat, że mógłby uchodzić za jej ojca. Och, a ona jeszcze tak bardzo młoda - wbrew temu, co się wydarzyło - nadal miała w sercu nadzieję, że gdzieś z oddali ktoś przyjdzie jej na ratunek.

Rzuciła się na łóżko i zaczęła tak płakać, jak nie płakała już od dawna. W każdym razie nie płakała tak od czasu, gdy otrzymała list Ciel ze straszną wiadomością, że mamusia nie żyje. A później otarła łzy i po wiedziała sobie, że ma nie być taką idiotką i że istnieje możliwość - no, cię możliwości - iż gdy zostanie już panią Porter Adams, papcio wybaczy swej marnotrawnej córce i pozwoli jej powrócić do rodzinnej Ardnawamy.

Przez tydzień unikała pana Adamsa i posyłała mu do usługiwania małą pokojówkę, bo czuła lęk przed jego rozzarżonym wzrokiem, którym ją śledził w oczekiwaniu na odpowiedź. Noc po nocy mijała jej na bezsenności i rozmyślaniu o tym, jak by się czuła w roli jego żony. Byłaby panią tego

domu, zamiast tylko gospodynią. Miałaby władzę płynącą z posiadania pieniędzy i pozycji w społeczeństwie. Mogłaby z tym ponurym domem robić, co by jej się tylko podobało, mogłaby podejmować gości i wydawać przyjęcia. Byłoby prawie tak samo, jak za dawnych czasów.

Następnego wieczora udała się do biblioteki. Zastukała do drzwi i po czekała, aż zawołał: „Proszę wejść”. Siedział za biurkiem, przy najdalszym oknie z widokiem na ogród. Zerwał się niespokojnie na nogi, ona zaś przeszła przez cały pokój i stanęła przed nim, z uniesioną dumnie głową i wyprostowanymi plecami.

- Słucham cię, Lily? - rzekł.

- Przyjmuję pana propozycję, panie Adams - powiedziała opanowanym tonem. - Będę bardzo szczęśliwa, mogąc zostać pana żoną.

Ślub odbył się bez rozgłosu w dwa tygodnie później, w ślicznym kościółku przy Park Street. Panna młoda miała na sobie dopasowany do figury żakiet z ciemnoniebieskiego jedwabnego dżerseju oraz kloszową spódnicę z kremowego jedwabiu. Jej słomkowy kapelusz przybrany był jedwabnymi kwiatami, a przy tym miała pęk fiołków u pasa oraz dużą szpilę z szafirów i diamentów - ślubny prezent od męża - u szyi. Nie zaproszono żadnych gości, a w charakterze świadków wystąpiły dwie obce osoby, wzięte z ulicy. Lily drżała ręką, gdy składała swój podpis na akcie zawarcia małżeństwa. Była tak blada i wyglądała na tak zdenerwowaną, że jej świeżo poślubiony mąż otoczył ją krzepiącym ramieniem.

- Zrobiłaś ze mnie najszczęśliwszego człowieka na świecie - rzekł, kiedy wyjeżdżali w swą dwutygodniową podróż poślubną do Vermont.

Stary Zajazd Kolonialny był prosty, lecz uroczy; miał portyk z białymi kolumnkami i cienistą werandę z widokiem na ogrody i na rwącą, wąską rzeczkę. Wokół panowała cisza, dochodziły tu tylko odgłosy wsi:

szmer rzeki, śpiew ptaków, beczenie owiec i ryk krów, a od czasu do czasu szczeknięcie dokazującego psa. Jeśli nawet właściciele zajazdu byli zaskoczeni rzucającą się w oczy różnicą wieku między panną młodą a panem młodym, nie dali tego poznać po sobie, prowadząc ich do dwupokojowego apartamentu, który został wcześniej zarezerwowany.

John Adams zostawił Lily w jej pokoju samą, by przebrała się do kolacji, a ona siadła na łóżku okrytym białą kapą, myśląc ze zgrozą o nocy poślubnej. Ogarnęła ją panika i przejął dreszcz strachu na wspomnienie brutalnego Dermota Hathawaya. Wiedziała, czego od niej oczekiwano tej nocy i wiedziała, że nie potrafi przez to przejść. To wszystko okazało się straszną pomyłką. Nie powinna wychodzić za niego. Po raz kolejny po prostu nie pomyślała, a teraz już było za późno.

Zadała sobie pytanie, czy zniósłaby to łatwiej, gdyby jej mąż był młodym człowiekiem - i przyszedł jej na myśl Finn: smagły, pełen życia, przystojny, patrzący na nią tym swoim głodnym wzrokiem. Ale John jest stary. Włosy ma siwe, dłonie blade, a ciało... wzdrygnęła się, nie mogąc dalej myśleć o tym. On jest dżentelmenem - przypomniała sobie; wszystko będzie w porządku. I wtedy wróciło do niej wspomnienie tamtej Lily, siedemnastoletniej gwiazdy w roku jej debiutu, której bez cienia wątpliwości przepowiadano dobre zamażpójście. Mogła wyjść za kogo tylko chciała spośród tuzina przystojnych młodych mężczyzn, a teraz, w wieku dwudziestu jeden lat, oto na co jej przyszło.

Rozbolała ją głowa, podbiegła więc do okna i otworzyła je szeroko, napełniając płuca chłodnym wieczornym powietrzem. Rzekła sobie, że oto właśnie poślubiła jednego z najznakomitszych mężczyzn w Bostonie, człowieka, który jest inteligentny, kulturalny i bogaty. Przypomniała sobie, że

ona sama będzie jedną z największych dam Bostonu, znów stanie się podporą towarzystwa, już wreszcie nie obciążona swoją grzeszną przeszłością, zacznie urządzać przyjęcia oraz herbatki dla pań, a może nawet wyda wielki bal. Jej świeżo poślubiony mąż uwielbiał podróżować, więc ona będzie mu towarzyszyła: kupi sobie cudowne stroje paryskich domów mody: Wortha, Paquina i Doucet. Po czym młoda pani Adams olśni cały Boston swą urodą, bystrością i wdziękiem. I kto wie, może papcio wreszcie jej wybaczy.

Starając się ze wszystkich sił mieć przed oczyma duszy wizję swojej świetlanej przyszłości, przebrała się do kolacji, włożyła suknię w zielonym, stonowanym kolorze z przylegającego do ciała jedwabnego muślinu, z szerokim wycięciem pod szyją, które obnażało jej ramiona. Zawiązała szarfę z fioletowej satyny i wsunęła za nią u pasa pęczek fiołków. Zaczesała włosy do góry i podpięła je małymi perłowymi szpilkami, a gdy do drzwi zapukał jej mąż, uniosła podbródek, wzięła głęboki oddech i po wiedziała, że już jest gotowa.

Byli jedynymi gośćmi w biało wykładanej jadalni i Lily nic nie jadła. Patrzyła w milczeniu przez okno na coraz bardziej ciemniejszy widok drzew i łąk, wsłuchując się w dźwięk szemrania rzeki i w trele późnowieczornych ptaków, a tymczasem jej mąż nalał szampana, którego ona jednak nie wypila.

John nie był głupcem. Wiedział, że Lily jest zdenerwowana i sądził, że ją rozumie. Nie miał jednak żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o zagadkowe zachowania kobiet, nie wiedział więc, co ma robić.

- Może skosztujesz tych lodów, moja droga? - zapytał z nadzieją w głosie. - Powiadają, że to wyrób własny.

Lily spojrzała na niego, a jej szafirowe oczy kipiały gniewem.

- Na miłość boską, nie traktuj mnie jak dziecko! - warknęła. Popatrzył na nią zaskoczony.

- Przepraszam. Pomyślałem sobie tylko, że może lody by ci smakowały.

- No więc nie smakują. - Odwróciła głowę i znów markotnie patrzyła na ogród.

- Musisz być bardzo zmęczona, Lily - powiedział łagodnie, a ona zwróciła się ku niemu, znowu piorunując go wzrokiem. Uśmiechnął się, unosząc dłoń w geście protestu. - nie, nic jeszcze nie mów, ale ja nie traktuję cię jak dziecko. Zachowuję się tylko w taki sposób, w jaki moim zdaniem powinien postępować troskliwy nowożeniec w podobnych okolicznościach. Sięgnął nad stołem, ujął jej dłoń i rzekł miękko: - Lily, myślę, że rozumiem, co w tym momencie przeżywasz - zastanawiasz się, czy dobrze zrobiłaś wychodząc za mężczyznę aż tyle starszego od ciebie. I dręczą cię obawy związane z naszym miodowym miesiącem.

Chcę cię zapewnić, że nie będę cię niepokoił. Masz swój własny pokój i pozostanie on twoim tak długo, póki sama nie zechcesz zaprosić mnie, bym go z tobą podzielił.

Lily ujrzała wyraz szczerości na jego twarzy i zawstydzona, rzekła:

- Jesteś niewątpliwie najmilszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. To tylko przez to, że nawet nie miałam jeszcze czasu przyzwyczaić się do nazywania cię „Johnem”, zamiast „panem Adamsem”. To wszystko zdarzyło się tak szybko.

Uśmiechnął się z ulgą.

- Nie potrzebowałaś zbyt wiele czasu, by przejść od mówienia „Jaśnie panie” do mówienia „panie Adams”. Około tygodnia, jeśli dobrze pamiętam. Będę więc żył pełen nadziei.

Lily wiedziała, że to co mu rzekła, jest prawdą i że jest on zdecydowanie najmilszym mężczyzną, a ona miała wielkie szczęście, zostając jego żoną. Pełna wstydu z powodu swego wybuchu, podniosła jego dłoń i przycisnęła ją sobie do policzka.

- Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli teraz pójde? - zapytała cichym głosem. - Masz rację: czuję się zmęczona...

Odprowadził ją do schodów, składając na jej policzku lekki pocałunek.

- Dobrych snów, kochanie - rzekł, przyglądając się, jak znużonym krokiem wchodzi po szerokich schodach. I pomyślał, że jego świeżo poślubiona żona wygląda w swej powiewnej zielonej sukni tak pięknie i delikatnie jak nimfa wodna. Potem zaś wyszedł na werandę, by wypalić cygaro, słuchając dochodzącego z lasu pohukiwania sowy płomykówki i myśląc z ukontentowaniem, jakim jest szczęśliwym człowiekiem.

Lily rozpięła z tuzin małych guziczków, pozwalając miękkiej sukni zsunąć się z niej na podłogę. Podeszła do okna i oparła się rękoma o parapet, wpatrując się tęsknie w aksamitną ciemność.

To powinna być najcudowniejsza noc w jej życiu: ślub odbyłby się w rodzinnej kaplicy, a Wielki Dom, podobnie jak wszystkie dwory w okolicy, wypełnialiby goście weselni. Papcio poprowadziłby ją przez środek kościoła, dumny ze swej pięknej i młodej córki w dziewiczo białej koronkowej sukni, urodziwy młody człowiek, który w jej snach zawsze chyba przybierał rysy twarzy Finna O'Keeffa, oczekiwaliby na nią przy ołtarzu. Byłaby tam wzbijająca się w niebo muzyka organowa i cudowne kwiaty. Ciel występowałaby jako jej jedyna druhna, a matka wylewałaby łzy radości. Potem zaś odbyłby się wspaniały bal, a później, nocą, ona i jej uroczy młody małżonek wzięliby się za ręce i śmiejąc się, popatrzyliby na siebie porozumiewawczo, po czym wymknęliby się do swego pokoju, by po długim oczekiwaniu być nareszcie tylko ze sobą. Znajomy zapach dymu z cygara Johna uniósł się aż do jej okna i Lily pomyślała o tym, co przed nocą poślubną powiedziała jej matka. „Musisz zawsze pamiętać o swojej powinności” - rzekłaby z przekonaniem, i Lily wiedziała, że miałaby słusność.

Włożyła nową nocną koszulę z białej satyny i z setką razy rozczesła długie czarne włosy, przypominając sobie śliczne srebrne szczotki, które dawno temu oddała w zastaw. Teraz, gdyby tylko chciała, mogłaby znowu kupić srebrne szczotki, i to tyle, ile by jej się żywnie podobało. Ale nie chciała szczotek. Nie chciała niczego poza jednym: żeby już mieć tę noc za sobą.

Przeszła przez uroczy mały salonik do sypialni swojego męża. Przykręciła płomień lampy, wsunęła się do wielkiego łóża z baldachimem i naciągnęła na siebie przykrycie aż po brodę. Zamknęła oczy i czekała.

John skończył palić cygaro. Zwlekał jeszcze moment, napawając się chłodnym powietrzem nocy, a potem z westchnieniem zadowolenia raz jeszcze powiedział sobie, że jest bardzo szczęśliwym człowiekiem. Już przedtem myślał, że jego życie jest doskonałe, lecz dopiero teraz, gdy miał Lily u boku, poczuł, że nie brakuje mu zupełnie niczego. Życzył dobrej nocy gospodarzom i udał się po schodach na górę do swego pokoju. Rozebrał się po ciemku, myśląc, jak rozkoszne zapachy dochodzą przez otwarte okna z ogrodu. Po chwili wyczuł jeszcze inny zapach:

znajomy słodko-ostry zapach perfum Lily.

Obrócił się, by zobaczyć ją leżącą w jego łóżku i pokręcił z uśmiechem głową.

- Czyżby to była prawda? - szepnął, siadając przy niej. Odwrócił jej rękę wnętrzem dłoni do góry i składał na niej delikatne pocałunki, po czym wyszeptał: - Czy jesteś tego pewna. Lily? Chciałem, żebyś miała czas...

- Jestem pewna - odparła mężnie.

Położył się obok niej, a ona wyciągnęła do niego ręce, biorąc go w ramiona. Jęknął i przyciągnął ją do siebie, drżąc, po czym spokojnie leżeli razem. Poglądził jej włosy i ucałował twarz; przesunął

ręką po miękkiej, gładkiej skórze jej ramion i nagich pleców, a Lily przywarła do niego mocno w obawie, że gdyby tego nie zrobiła, mogłaby się rozmyślić i uciec.

Kiedy John kochał ją czule i łagodnie, wszystko działało się tak zupełnie inaczej niż z Dermotem Hathawayem, że Lily nie mogła pojąć, czego się obawiała. John był pełen słodyczy i delikatności, i wiedziała, ile dla niego to znaczy, chociaż dla niej znaczyło mniej niż zero. Pamiętała, że to jej „powinność”, część transakcji, cena za zostanie panią Porter Adamsową, ponieważ mogła ofiarować mężowi tylko swe ciało.

Miesiąc miodowy spędzili przyjemnie; chodzili na długie spacery po okolicy, lub próżnowali nad rzeką; czytali i jedli smakowite kolacje, tylko oni w całej jadalni, jako jedyni goście. W ostatni wieczór przed powrotem do domu John powiedział jej, że chce wydać przyjęcie, by przedstawić ją elicie Bostonu.

- Ostatecznie, jesteś przecież teraz skoligaconą z większością tych ludzi - rzekł. - A ja nie mogę się doczekać, by pokazać cię wszystkim tym starym perszeronom, które przez trzydzieści lat starały się pożenić mnie ze swymi wnuczkami i siostrzenicami.

Zaproszenia wydrukowano i doręczono przez posłańca, a podekscytowana Lily rzuciła się w wir przygotowań. Jeszcze przed ślubem zwolniła kucharkę i służące, a zatrudniła nowy personel, ponieważ nie chciała mieć w swym domu nikogo, kto by pamiętał czasy, kiedy była tam tylko gospodynią.

Zaplanowała bufet z jadłospisem, który jej zdaniem powinien przypaść do gustu wytwornym gościom. Miał być oczywiście szampan i tuzin rozmaitych zimnych dań, ponieważ wieczór zapowiadał się bardzo upalny. Wydobyła z mroków zapomnienia rodzinne srebra Adamsów i poleciła wypolerować ogromne półmiski i kandelabry, a w wielkiej jadalni poustawiać stoły przeznaczone na bufet. Wynajęła kwartet smyczkowy, by dyskretnie grał w kącie salonu muzycznego, a także zatrudniła kwiaciarza, by cały dom przemienił w kwiecistą altanę. Żałowała, że nie mogła pojechać przedtem na zakupy do Paryża, lecz postanowiła, że włoży swój strój weselny, gdyż były to najładniejsze rzeczy, jakie posiadała. A potem John otworzył wielki sejf, umieszczony za sekretarzykiem w bibliotece; pokazał jej pamiątki rodzinne: diamenty i szmaragdy, rubiny i szafiry - i powiedział, że teraz wszystko to należy do niej.

Powiedzieć, że bostońskie panie z towarzystwa były oszołomione podaniem do publicznej wiadomości małżeństwa Johna Portera Adamsa, to stanowczo za mało.

- Ale co to za jedna? - wypytywały się z podnieceniem nad filiżanami herbaty. - Mówi się, że jest cudzoziemką. Musiał ją poznać w czasie swych podróży, ponieważ tutaj nikt w mieście nie przypomina sobie, by kiedykolwiek ją widział. I odwrotną pocztą przesłały przyjęcie za proszenia, z trudem utrzymując na wodzy swoją ciekawość aż do wieczoru przyjęcia.

Lily myślała z tryumfem, że dom wygląda jak istne marzenie, gdy przechadzała się po nim, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. Okazałe schody przeistoczyły się w różaną pergolę, a na stopniach stało rzędem dwunastu lokajów w ciemnobłękitnych jedwabnych liberjach. Wszędzie było pełno kwiatów, a z salonu muzycznego dolatywały łagodne tony koncertu Mozarta, ulubionego przez jej męża. Stoły bufetu stanowiły cudowny widok, wszystkie w świeżym, białym adamaszku, ze smukłymi bukietami lilii w srebrnych wazonach i z rodzowymi srebrami. John nalał szampana i unosząc swój kieliszek, wygłosił toast.

- Zdrowie mojej żony, najpiękniejszej kobiety Bostonu - rzekł z powagą, ponieważ naprawdę tak myślał.

- I zdrowie najbardziej dystyngowanego mężczyzny w Bostonie - odrzekła, odwzajemniając mu się uśmiechem, ponieważ i ona naprawdę tak myślała.

Dał się słyszeć odgłos powozu na ulicy - i Lily spojrzała podekscytowana na Johna.

- Och! Oto i oni! - wykrzyknęła, a on roześmiał się, widząc, jak biegnie stanąć u szczytu schodów, aby witać gości. W swym obcisłym błękitnym staniku i kołyszącej się kremowej spódnicy wyglądała tak młodo i czarująco! We włosach miała kwiaty, założyła też kolczyki z diamentów i szafirów, których nie oglądał od czasu śmierci swej matki.

Najemny główny lokaj szeroko otworzył drzwi, a Lily stropiona patrzyła, jak wchodzi po schodach trzymając srebrną tacę z białym biletem wizytowym.

- Z prośbą o przyjęcie od pani Brattle White, proszę pani - powiedział.

Lily podniosła kartę i przeczytała. Ekscytacja znikła z jej twarzy i w milczeniu podała bilecik mężowi.

- „Pani Brattle White wyraża żal, że na skutek nieprzewidzianych okoliczności nie będzie miała możliwości wziąć udziału w dzisiejszym przyjęciu” - odczytał głośno John. Nic nie szkodzi, Lily - rzekł pocieszająco. - Droga staruszka zapewne złapała jakieś letnie przeziębienie. Ostatecznie wiesz, że jest już po siedemdziesiątce.

Następny powóz zatrzymał się i znów główny lokaj przyniósł im kartę wizytową. Było na niej napisane to samo.

- „Pani Jamesowa Adams wyraża żal...” - przeczytał John zakłopotany. - Ale ona przecież jest moją ciotką! - wykrzyknął. - Przez całe lata zabiegała o to, bym się ożenił. Co to się dzieje? Czy spadła na Boston jakaś epidemia, a ja o niczym nie wiem?

Przed domem zatrzymywał się powóz za powozem, lecz to nie goście przybywali, a tylko małe białe bileciki z wydrukowanymi nazwiskami i ręcznie pisanymi wyrazami żalu.

Lokaje trwali niewzruszenie na schodach, a najęty główny lokaj przemierzał hol; muzyka grała, a w jadalni szampan i jedzenie czekały w całej swej kosztownej glorii.

Lily wyprostowała się, zadarła podbródek do góry i, przywoławszy na pomoc całą swą godność, udała się po schodach na górę do pokoju. Stała tam przy oknie, obserwując procesję wytwornych powozów, posuwających się wzdłuż ulicy Mount Vernon. I za każdym razem stangret wysiadał i wstępował na schody, by na srebrnej tacy złożyć wizytówkę. Ach, te wszystkie „pełne żalu panie” - pomyślała z goryczą Lily, spoglądając prawdzie w oczy. Przez swoje małżeństwo była skoligacona z każdą z rodzin dobrej bostońskiej inteligencji. I żadna z tych rodzin nie chciała jej zaakceptować. Lily wiedziała, że w tym domu już więcej nie przygotowuje żadnego przyjęcia. Nikt nigdy tu nie przyjdzie.

Jeszcze tego samego wieczoru John dowiedział się prawdy od swojej ciotki. Okazało się, że parę z ust, i to właśnie w dzień przyjęcia, puściła jego była kucharka, obecnie pracująca u pani Brattle White.

- To Irlandka, tak samo jak ja - powiedziała swej nowej chlebodawczyni. - A przy tym była kiedyś jego gospodynią. Ale wylała nas wszystkich, gdy postanowiła wyjść za niego i poprawić swą sytuację. No, ona zawsze zadzierała nosa. Ktoś by sobie pomyślał, że to prawdziwa dama, a nie irlandzka służąca, jak wszystkie inne.

Nazajutrz rano państwo Adamsowie wyjechali czym prędzej na dalszy ciąg „miodowego miesiąca” za granicę, zostawiając za sobą atmosferę skandalu, która nie chciała się rozejść.

Maudie

Ardnavama

Gdy już zrobiłam zakupy w Galway, a Shannon i Eddie skończyli buszować po księgarni Kennyego oraz nabyli laski z leszczynowego drewna i wspaniale kolorowe pledy z moheru, przy czym chwała Bogu nie kupili niczego, co by miało na sobie godło Irlandii - udaliśmy się na lunch. Nad kuflami guinnessa i talerzami wędzonego łososa z pożywnym sodowym chlebem nie tak dobrym co prawda, jak wypieki Brygidy, ale przecież tak dzieje się ze wszystkim - rozmawialiśmy na temat Lily. Eddie powiedział, że on uważa, iż była zacięta i samolubna, choć miała zalety, które to wyrównywały. Shannon zaś stwierdziła, że jest jej żal Lily, ponieważ w gruncie rzeczy była tylko młoda, rozpieszczona i dość niemądra, i to naprawdę nie ze swojej winy.

- Ale oskarżenie Finna O Keffe a na pewno było jej winą - stwierdziłam.

- Masz wyraźną słabość do Lily - powiedział jej Eddie.

- Nieprawda - odparła Shannon. - Poza tym, gdyby Finn i Dan zostali w Ardnavamie, skończyliby na tym, od czego rozpoczęli, czyli jako stajenny i naganiacz. A spójrzcie tylko, co się im przytrafiło.

- Ach - rzekłam znowu, tym razem tajemniczym tonem. - Nie usłyszeliście jeszcze wszystkiego. Widzicie, że postacie mojej opowieści są już poustawiane i powiązane ze sobą w jakiś subtelny sposób, tak że jedno życie niemal styka się z drugim - lecz nie do końca. Jeszcze nie.

Roześmiali się ze mnie.

- Wiemy, wiemy! - zawołali zgodnie. - Musimy poczekać. „Wszystko w stosownym czasie”.

- Teraz jest najbardziej stosowny czas - powiedziałam z ożywieniem, odsuwając talerz i z wprawą wychylając swojego guinnessa. - A będziemy śledzić dalsze losy Dana.

Boston

Dan OKeeffe poszedł do fryzjera i dał sobie obciąć krótko gęste, kędzierzawe rude włosy, krzaczastą zaś brodę ostrzygł na „baranka”. Zanim poszedł odwiedzić Thomasa Keanyego, kupił sobie nowe ubranie. Znowu czysty i schludny, mając przy sobie pieniądze, czuł się u szczytu szczęścia, gdy dużymi krokami szedł wzdłuż Prince Street, pozdrawiając po drodze z tuzin różnych znajomych.

Szef dzielnicy poprosił go, by usiadł, dokładnie badając gościa wzrokiem, odnotowując nowe ubranie i pewny siebie uśmiech, a także nie znany przedtem wyraz twarzy człowieka doświadczonego.

- No i cóż, OKeeffe? - zapytał. - Czy przyszedłeś zwrócić mi moich pięćdziesiąt dolarów?

- Właśnie, proszę pana. - Dan położył pieniądze na stole. - Ale jeszcze bez tego złotego zegarka, który panu obiecałem. - Keany nie ruszał pięćdziesiątki, która leżała pomiędzy nimi na stole.

- Więc z tego rozumiem, że twoje przedsięwzięcie nie miało powodzenia?

- Właśnie miało, proszę pana. - I Dan opowiedział mu dokładnie, jak bardzo pomyślne okazało się to przedsięwzięcie, a Keany słuchał wszystkiego z uwagą. - Zarobiłem siedemset dwadzieścia trzy dolary i sześćdziesiąt pięć centów, panie Keany - zakończył Dan z tryumfem. - Kupiłem sobie nowe spodnie i marynarkę, ostrzygłem się i pięćdziesiąt dolarów dałem przyjacielce naszej rodziny, biednej pani Donovan. Odliczając jeszcze pięćdziesiąt zwróconych panu, zostają mi dokładnie sześćset trzy dolary. A tego wystarczy aż nadto, żeby kupić stary sklepik Corrigana. Jestem pewien, że sprzeda go za pięć stów.

Keany skinął głową z namysłem i powiedział:

- Powiedz mi, chłopcze, na jakiej podstawie myślisz, że potrafisz ze sklepu Corrigana wydobyć

więcej niż on sam?

- Dodam mu szyku, proszę pana. Pomaluję wszystko i zrobię tak, że będzie wyglądać świeżo i czysto. Kupię lepszy towar i zaoferuję większy wybór.

- I będziesz brał za to więcej?

- No tak, będę muszę dorzucić troszkę do ceny, na pokrycie zwiększonych wydatków... Keany pokiwał głową.

- I właśnie w tym miejscu twój plan rozpada się na kawałki. Sklep Corrigan jest w najbiedniejszym rejonie Bostonu. Tamtejsi ludzie ledwo mają po dwa piątki, stukające jeden o drugi i liczy się dla nich każdy cent, który dodajesz do ceny główki cebuli. Sklep Corrigan to jest groszowy interes w groszowej dzielnicy i nigdy nie będzie inaczej. Te biedne kobiety rzucą okiem na twoje fantazyjnie pomalowane ściany i na dodatkowy cent w cenie cebuli, no i pójdą za róg do drugiego sklepu, bo tam będzie taniej. Jedyna rzecz, jaka ma dla nich znaczenie, to cena. Absolutnie nic poza tym.

Dan wpatrywał się w niego ponuro. Wspaniałe sny o eleganco po malowanym sklepie z porządnie ułożonym towarem ulotniły się, zobaczył natomiast znów, jak wędruje szerokim gościńcem z tornistrem do mokraćcy na plecach, aż robi się tak stary, jak mały facecik, od którego kupił szelki. Wyobraził sobie, że ma siedemdziesiąt lat, nadal sypia w stogu siana z flaszką gorzałki dla ochrony przed chłodem nocy, zamiast z niezłą kobietą na puchowym pościeliu.

Wyjął z kieszeni wszystkie pieniądze, położył je na biurku obok pięćdziesięciu dolarów Keanyego i rzekł przygnębiony:

- No to mam do wyboru. Doczekać starości jak Corrigan, sprzedając cukier w porcjach po dwa centy kobietom, których na to nie stać, albo wykończyć się jako człek podróżujący, mając na stare lata tylko towarzystwo butelki. Keany postukiwał zdecydowanie palcami w swe drewniane biurko.

- Siedzę za tym biurkiem już dwadzieścia pięć lat, synu, i miałem tu ludzi wszelkiego rodzaju, którzy przychodzili do mnie po radę lub pożyczkę, lub żeby im pomóc w uporządkowaniu różnych spraw. Widziałem faceta zrozpaczonego ceną trumny dla dziecka; i starych ludzi, którzy w kieszeniach nie mieli już nic i nie mogli zimą znaleźć schronienia na noc; i widziałem rodziny potrzebujące dachu nad głową. Przy chodzili do mnie mężczyźni, tak jak i ty to zrobiłeś, po pieniądze, żeby ustawić się w biznesie - i przyznaję, że zdarzały mi się pomyłki. Ale nie było ich tak wiele. W tych warunkach człowiek staje się naprawdę dobrym znawcą charakterów.

Znów rozparł się w krzesło; złożony palce, zamyślony spoglądał ponad nimi na Dana.

- Dan, chłopcze, czy ty w ogóle myślałeś, by wspiąć się o stopień lub dwa wyżej? - zapytał. - Robić dalej interesy w handlu obwoźnym, w bardziej eleganckiej dzielnicy, gdzie na żywność wydaje się niezłe pieniądze, i to całe ich mnóstwo. Przypadkiem wiem, że oddawany jest właśnie w dzierżawę sklep na rogu Clarendon Street; uprzedzam, że to tylko mały lokal, ale położenie ma piekielnie dobre. Większość kucharek na Beacon Hill to Irlandki i na pewno będą stałymi klientkami irlandzkiego sklepikarza. Tak urodziwy i przedsiębiorczy młody gość jak ty mógłby się tam mieć znakomicie.

Dan popatrzył z powątpiewaniem. Clarendon Street to obce terytorium, miejsce dla lepszych gości i dla snobów. A on swą śmiałość przedsiębiorcy zyskał, prowadząc transakcje z wiejskimi prostytutkami i nie był pewien, czy już jest gotów stawić czoło znakomitym damom Bostonu.

- Nie wiem, co się jada w bogatych domach - rzekł pełen wątpliwości.

- Nie wiedziałeś też, kto zechce kupić zegarki kieszonkowe albo szelki - podkreślił Keany. - Ale

miałeś dość oleju w głowie, by się tego wywiedzieć. Czynsz dzierżawny od tej nieruchomości wynosi dwieście pięćdziesiąt za rok.

Dan popatrzył na swoje sześćset dolarów. Mógłby za nie kupić sklep Corrigan i styl życia Corrigan; wiedział, że w ten sposób nie straciłby pieniędzy, ale też by się nie dorobił. Albo też mógłby podjąć ryzyko rocznej dzierżawy eleganckiego sklepu, przy czym wystarczyłoby mu jeszcze na urządzenie go i zaopatrzenie, a gdyby miał szczęście, mógłby na tym zrobić pieniądze. Prawdziwe pieniądze.

- Dziękuję panu za radę, szanowny panie Keany. Wezmę tę dzierżawę - powiedział szybko, żeby się nie rozmyślić.

- Jeśli jesteś takim facetem, za jakiego cię uważam, nie będziesz żałował tej decyzji - rzekł Keany, ściskając mu dłoń. - Widziałem wielu ludzi, którzy przychodzili do mnie z niezłymi planami biznesu, a jedynym słabym punktem był ich własny charakter. O ciebie mogę się założyć, Dan, mój chłopcze. Ale pamiętaj, tylko ty możesz w tym osiągnąć sukces.

Keany przygotował umowę dzierżawną i Dan pewną ręką podpisał ją swym nazwiskiem, po czym zapłacił umówione dwieście pięćdziesiąt dolarów. Żołądek ścisnął mu się boleśnie, gdy obserwował swe pieniądze, jak znikają u prawnika w sejfie, i przypomniał sobie wszystkie te przejmujące zimnem do szpiku kości samotne noce spędzane w drodze i cały trud perswadowania, jaki włożył w gromadzenie wszystkich tych dolarów. Powiadając sobie, że nie można się już wycofać, udał się na dokładne oględziny swej nowej siedziby. Keany miał rację: sklep posiadał znakomite położenie, z jednym oknem wychodzącym na Clarendon, a drugim na Boylston i z wejściem położonym ukośnie między nimi, u szczytu dwóch szerokich kamiennych stopni. Było to kwadratowe po mieszczenie liczące sześć na sześć metrów, z mniejszym magazynem na tyłach. Znajdowała się tam maleńka sień i ciemne, wąskie schody, prowadzące do dwóch pokoi na górze; te pokoje - miały dla niego stać się nowym domem.

- Tylko jeden rok, mój mały Danie - rzekł do siebie z powagą, stojąc na środku swego sklepu. - To wszystko, co dostałeś. A pod koniec tego czasu pieniądze albo ci się zwrócą, albo utracisz wszystko.

Chodził po obsadzonych drzewami ulicach Beacon Hill i Back Bay, odnotowując eleganckie domy z czerwonej cegły, latarnie gazowe i atmosferę spokoju wśród drzew. Wszędzie tu miało się przyjemne poczucie wolnego czasu, tak jak gdyby już samo myślenie o pośpiechu było w złym guście i zauważył, że nawet konie zaprzężone do wytwornych lśniących powozów mijały go, człapiąc statecznym krokiem.

Zdobywszy się na odwagę, podszedł ku wejściu dla handlarzy w jednej z rezydencji i poprosił o rozmowę z kucharką. Powiedział jej, że właśnie otwiera nowy sklep spożywczy na rogu Clarendon i zapytał, co chciałaby kupować u niego, po czym starannie zanotował sobie jej od powiedz. Powtórzył tę czynność w jakimś tuzinie domów i zapisał wszystko, czego się dowiedział.

Wyposażył swój sklep w mahoniowe półki i oszklone szafki z mosiężnymi uchwytami. Wypolerował mahoniową ladę na wysoki połysk i dodał jeszcze parę krzesel z giętego drewna dla klientów, by mogli sobie spocząć przy składaniu zamówienia. Kazał front sklepu pomalować na głęboką czerwień, w kolorze dobrego wina bordeaux, a szyld z mosiężnymi literami głosił U Daniela i to samo wymalował złotą farbą na każdym z okien, dopisując poniżej „Artykuły spożywcze wysokiej klasy, również w handlu obwoźnym”.

Kupiwszy stary wóz dostawczy, kazał go pomalować w tych samych co sklep wytwornych

kolorach czerwieni i złota i umieścić po bokach ozdobny napis złotymi literami U Daniela, a za dziesięć doliczając tygodniowo zatrudnił w charakterze pomocnika w magazynie i doręczyciela młodego mężczyznę Dwyera, który miał błękitne irlandzkie oczy i sześciuosobową rodzinę na utrzymaniu. On sam wczesnym rankiem robił objazd targowisk, spotykając się z dostawcami i hurtownikami, poszukując w każdym asortymencie tylko najlepszych towarów. I określenie „Prosto ze wsi” wykorzystał w ulotce reklamowej, którą rozesłał, zawiadamiając o otwarciu sklepu wspaniałymi, ciemnoczerwonymi literami, pomimo iż kolorowy tusz kosztował majątek, i na mięsistym drogim papierze, tak aby nie można go było nie zauważyć. Tuzinowi krostowatych irlandzkich dzieciaków, żarliwie pragnących zarobić parę centów, kazał doręczyć ulotkę do kuchni we wszystkich rezydencjach i w każdej z bostońskich gazet i pism zamieścił rzucające się w oczy ogłoszenia.

Następnego dnia wczesnym rankiem Dan, elegancki w swym białym lnianym kitlu, stojąc na chodniku badał wzrokiem posiadacza okna wystawowe swego sklepu. Rozwinął markizy w czerwono-białe pasy, podlał dwa identyczne drzewka laurowe ustawione w schludnych skrzynkach, po jednym z każdej strony schodów; dokładnie przyjrzał się świeżym owocom i warzywom wyłożonym w małych drewnianych skrzynkach na pokrytych zielonym filcem kozłach, gdzie każda figa i każda brzoskwinia owinięte były w białą bibułkę niczym cenny upominek. Torebki ze świeżymi ziarnami kawy, pudełka z chińską herbatą i słoje z laskami wanilii, szafranem i cynamonem napełniały sklep miłą wonią, podobnie jak wielka miedziana misa pełna świeżych kwiatów, stojąca na kontuarze obok ogromnej mosiężnej maszyny liczącej, która kosztowała go niezłą sumkę. Ale przecież wszystko go kosztowało. Ruszył do dzieła z hasłem „dla najlepszych - wyłącznie najlepsze”, która miała się stać jego myślą przewodnią.

Ufnie czekał za ladą pojawienia się tych wspaniałych ludzi, którzy mieli być stałą klientelą sklepu, stworzonego specjalnie na ich potrzeby. Nie musiał czekać długo. Kucharki, z którymi rozmawiał w bogatych domach Beacon Hill, pierwsze stawily się w sklepie. Zauważyły po parę centów odjętych to tu, to tam od ceny produktu, a także znaczniejszy rabat na „specjały inauguracyjne” i z doświadczeniem pokiwały aprobowując głowami, gdy dotykając kurczaków o mięsistych piersiach i soczystych gruszek, sprawdzały ich jakość. Obejrzały badawczo wielkie, brązowo nakrapiane jaja, jeszcze z przylepionymi kawałeczkami słomy, zniesione tego samego dnia rano na wiejskiej fermie, oraz młodziutkie warzywa i świeżą zieleninę. I kupowały. Mały bordowy wóz Daniela z jabłkowitym kucem i z powożącym nim młodym Dwyerem bez ustanku toczył się truchtem w jedną i drugą stronę po wytwornych ulicach, dostarczając zamówione towary.

Kiedy pod koniec pierwszego dnia Daniel podliczył swe wpływy, miał w kasie ponad sto dolarów, więcej, niżby przyjął przez tydzień u Corrigan. A pod koniec tego pierwszego tygodnia jego wpływy wynosiły już czterysta piętnaście dolarów i trzydzieści pięć centów i z satysfakcją pomyślał, że uczynił właściwy krok. Jego klienci - kucharki i szefowie kuchni z miejskich rezydencji - reprezentowali siłę nabywczą bardzo bogatych gospodarstw domowych, wymagających „tego, co najlepsze”, a przy tym lubili grzecznego, skorego do żartów, rudowłosego młodego Irlandczyka, który zawsze znalazł chwilę czasu, by się z nimi przywitać.

Dan obliczył sobie, że za rok odzyska pieniądze, które zainwestował, i będzie mógł oddać Keanyemu pożyczkę wziętą na wóz dostawczy i kuca. Jego marża wynosiła dwadzieścia procent i wiedział, że dzięki pilnej pracy i starannemu ustalaniu cen, jego sklep zapewni mu dostatnie życie, o całe niebo lepsze niż u Corrigan. Ale to za mało, nie uczyni go to człowiekiem bogatym.

Pod koniec roku poszedł do Keanyego, zwrócił mu jego pożyczkę i wręczył złoty zegarek kieszonkowy.

- Jest na nim napis, dokładnie tak, jak obiecałem - powiedział z dumą.

- Dla Thomasa Keanyego, z podziękowaniami od Daniela O'Keeffe'a - przeczytał Keany. - To bardzo piękny prezent, Dan, i jestem ci za niego wdzięczny, chociaż nie trzeba było dziękować. Ciężko zapracowałeś na to, co masz.

- Właśnie dlatego tu przyszedłem, panie Keany - wykrzyknął Dan, entuzjastycznie waląc swą wielką pięścią w biurko Keanyego. - Gdy już człowiek ma pełny żołądek, panie Keany, przychodzi mu apetyt na coś więcej. Na sukces. Władzę. Bogactwo. Na samym początku powiedziałem, że chcę czegoś więcej niż jeden sklep i teraz, gdy mam już na to receptę, chcę się rozbudować. Chcę mieć drugi sklep, w Back Bay. A potem trzeci, w Nowym Jorku. Zajmowanie się obecnym sklepem powierzę mojemu pomocnikowi, Dwyerowi, i w Back Bay otworzę nowy, który poprowadzę sam. A potem, kiedy będzie już działał idealnie, znajdę parę młodych irlandzkich sprzedawców, by prowadzili go za mnie. Wtedy pojadę do Nowego Jorku i zrobię tam to samo...

- Zaczniemy od Back Bay - powiedział praktyczny Keany. - Ale pamiętaj, dwa sklepy oznaczają dwa razy tyle roboty, Danie O'Keeffe.

- Mam energię i siłę za tuzin chłopów - wykrzyknął Dan zgodnie z prawdą.

Sklep w Back Bay został otwarty z szumną reklamą i już niebawem widziało się dwa bordowo-złote wozy dostawcze, sunące co bardziej eleganckimi ulicami miasta, a tygodniowy przychód Dana wynosił przeciętnie ponad tysiąc dolarów, zamiast czterystu. Znów te symbole dolara podzwaniały mu w głowie niczym maszyna licząca i wiedział, że jego teoria okazała się słuszna. Oczekiwał jednak stosownej chwili. Kiedy już spłaci wszystkie długi i będzie miał w banku pieniądze, wybierze się do Nowego Jorku i pogada z Finnem, ponieważ w głowie dojrzewało mu jeszcze kilka innych pomysłów.

Tymczasem co niedziela wybierał się na przechadzkę z pewną bardzo miłą młodą dziewczyną, służącą w wielkim domu przy Mount Vernon Street, którą kiedyś poznał w kościele świętego Stefana. Była ciemnowłosa i ładniutka, o różanych policzkach i szarych oczach, i pochodziła z hrabstwa Wexford. Widywał ją raz na tydzień, w dzień, kiedy miała wychodne, i oczekiwał na to prawie tak bardzo, jak na podliczanie tygodniowego przychodu w sobotni wieczór. Resztę wolnych chwil, jakie zostawały mu po pracy, spędzał w biurze Okręgu Szóstego, pomagając Keanyemu w jego złożonych sprawach organizacji politycznej.

Gdy do Ameryki zaczęli napływać pierwsi irlandzcy imigranci, utworzyli właściwy tylko im system miejscowego zarządzania, początkowo mającego na celu po prostu pomagać imigrantom w problemach, z jakimi się stykali w nowym kraju. Z upływem lat system ten rozwinął się tam, gdzie Irlandczycy, skupieni w wielkich miastach jak Boston i Nowy Jork, Pittsburgh i Chicago, zdominowali partię demokratyczną na szczeblu lokalnym. Zamieszkane przez imigrantów dzielnice tych miast po dzielono na okręgi, a każdy okręg miał swego szefa. W Okręgu Szóstym został nim Thomas Keany, lecz w Bostonie mieszkali też inni wpływowi ludzie, mianowicie George McGahy, który prowadził Okręg Siódmy, i Martin Lomasney, wszechpotężny szef Okręgu Ósmego. Byli to zdecydowani faceci, którzy ciężko pracowali na rzecz swoich ubogich wyborców, i wszyscy w zamian spodziewali się „lojalności”, co oznaczało oddanie głosów, kiedy nadchodził czas wybrać ludzi, których oni osobiście już wyznaczyli do ubiegania się o wejście do lokalnej rady, do stanowych organów ustawodawczych i do Kongresu.

Początkowo Dan pracował dla Keanyego jako agitator. Do niego należało obchodzenie w krąg barów i gromadzenie wyborców, kiedy wybierano delegatów na zebrania mianujące kandydatów. Zadaniem „agitatora” było też niedopuszczanie na mityngi ludzi, którzy wypowiadali by się przeciwko kandydatom jego szefa. Mało kto decydował się na dyskusję z potężnym, muskularnym Danem O’Keeffe, a ci, którzy próbowali, poznali siłę jego pięści.

Jednakże Keany szybko pojął, że Dan jest za dobry do tego rodzaju roboty.

- Ktoś taki jak ty, z własnym biznesem i o twoim wyglądzie: potężny, solidny, budzący zaufanie, może otrzymać głosy - powiedział mu. - Człowiek z twoją swadą i talentem mówienia właściwych rzeczy we właściwym czasie i właściwym ludziom... och, nie myśl, że tego nie zauważyłem - dodał z błyskiem w oczach. - A chcę przez to powiedzieć, Dan, że jesteś urodzonym politykiem. Podnoszę cię na wyższy stopień. Możesz zacząć od przemawiania na rzecz moich kandydatów w lokalnych wyborach.

Od tej pory można było często zobaczyć Dana na rogach ulic, jak nakłaniał ludzi do głosowania na kandydata Okręgu Szóstego. Wróciła mu cała dawna przebojowość, nabyta przy sprzedawaniu zegarków i szelek i wygłaszał najlepsze przemówienia w okolicy, co przyznawali wszyscy.

- Na ciebie, młodzieńcze, głosowalibyśmy w każdej chwili - zawołała do niego jakaś kobieta, a szczegół ten nie uszedł uwagi szefa okręgu.

W ciągu następnych paru lat Dan poznawał zarówno wszelkie korzystne strony, jak i pułapki polityki. Pracował dla Keanyego z zamiłowaniem, rozszerzając swe kontakty na wiele irlandzkich stowarzyszeń i organizacji, a także na kościół. Był młodym człowiekiem, o którym niełatwo się zapominało, a dzięki swemu niebotycznemu wzrostowi i silnej budowie ciała robił wrażenie silnego mężczyzny, na którym można polegać. Człowieka, który zawsze dotrzymuje słowa. Ludzie więc lubili go i mieli doń zaufanie.

Dan stał się postacią znaną w Dzielnicy Północnej. Pozdrawiano go na każdej ulicy i serdecznie witano w każdym barze, ale niejako tęgiego pijaka - choć potrafił wysuszyć dzbanek lub nawet dwa, dotrzymując kroku najlepszym, jak przystało na Irlandczyka - tylko jako kogoś chętnego do ściskania ludziom dłoni: człowieka, który przynosił uśmiech i promień nadziei tym wszystkim, których spotykał. Przy tym nigdy nie uważał się za osobę zbyt ważną do wykonania jakiejś pracy; z równą ochotą zamiatał podłogę sali zebrań i pomagał organizować piknik Stowarzyszenia Katolickich Sierot czy też brał udział w pogrzebie kogoś z tutejszych i dopilnowywał, by wdowa po nim uzyskała jakąś pomoc, co uczestniczył w balach maskowych, kwestach lub maszerował w po chodzie z okazji Dnia świętego Patryka.

- Twoje dwa sklepy zapewniają ci niezły poziom życia - powiedział kiedyś Keany późną nocą, kiedy większość ludzi dawno już leżała w łóżkach, a oni jeszcze siedzieli w jego biurze. - A jednak zdaje się, że większość czasu spędzasz tutaj, w siedzibie naszego okręgu. Powiedziałem to, gdy cię poznałem, Dan, i powiem to raz jeszcze: jesteś urodzonym politykiem i proponuję, żebyś się ubiegał o stanowisko.

- Ubiegać się o stanowisko? - Wyraz twarzy Dana szybko się zmienił z zaskoczzonego na pełen zainteresowania. To prawda, że polityka stopniowo zajmowała coraz ważniejsze miejsce w jego życiu, a on to uwielbiał: lubił pracować z ludźmi, zmieniając ich życie na lepsze, nawet jeśli chodziło tylko o drobiazgi. I z całą pewnością chciał, by jego rodacy zyskali równouprawnienie w Ameryce, tym kraju imigrantów. Ale ubieganie się o stanowisko... no, to już było co innego.

- Ja nie myślałem tylko o lokalnej radzie - rzekł Keany, zapalając cygaro i spoza dymu bacznie

obserwując reakcję Dana. - Senat stanu Massachusetts, oto, o czym myślę.

Senator Dan O'Keefe. Na myśl o tym Danowi zaszumiało z podniecenia w głowie, lecz rzekł ostrożnie:

- Mam swoje interesy i muszę myśleć o prowadzeniu ich. Nie mogę tak po prostu odejść w dal i zostawić moje sklepy. A poza tym jestem za młody. Mam dopiero dwadzieścia osiem lat.

- Nauczyłeś się już, jak czynić ludzi odpowiedzialnymi za cudze dobro. Masz dobrych zastępców, którzy prowadzą sklepy, i możesz to nadal rozszerzać, dokładnie tak, jak planowałeś. A w obecnej epoce młodość zyskuje przewagę. Nie przeocz sposobności, Dan. Jesteś do kładnie takim typem młodego człowieka, jakiego nam trzeba.

Dan oddalił się, żeby to sobie przemyśleć. Wędrował po swym małym saloniku nad sklepem, żałując, że nie ma tu Finna, by z nim pogadać. Tylko Finn mógł mu poradzić, co ma robić. Następnego ranka po wiedział Keanyemu, że wyjeżdża do Nowego Jorku, żeby porozmawiać z bratem, a w ciągu paru dni poinformuje go o swojej decyzji.

- Zrób to - nakłaniał go wytwornie odziany Finn, siedząc przy obfitej kolacji U Sherryego. - Zazdroszczę ci takich możliwości.

- Ale co będzie z moimi sklepami? Planowałem otwarcie następnego, akurat tutaj, w Nowym Jorku.

- Jesteś mózgiem, który nadzoruje przedsięwzięcie od zewnątrz - przypomniał mu Finn. - Jak powiada mój szef, niechaj twoje pieniądze zarabiają na ciebie. Zainwestuj w kolejne sklepy według tej samej zasady, do każdego z nich wyznacz dobrego kierownika i dalej pójdzie samo. Równie łatwo możesz mieć tuzin sklepów, nie tylko dwa, teraz, gdy już wiesz, jak to się robi.

Dan wrócił do Bostonu i powiedział Keanyemu, że chce zostać jego kandydatem na senatora stanowego. Za radą Keanyego znów zaczął wygłaszać przemówienia na rogach ulic, lecz tym razem - na swoją rzecz, ściągając większe tłumy, niż widziano kiedykolwiek przedtem. Maszerował na czele pochodów, przy akompaniamencie orkiestr dętych, które gromko grały irlandzkie melodie, i wśród wybuchów fajerwerków. Dał takie przedstawienie, jakiego nie widziano nigdy przedtem, a ludziom się to ogromnie podobało i tłumnie zjawiali się, by go zobaczyć.

- Wiem, że jestem młody - krzyczał, z kciukami zaczepionymi o swe sztandarowe czerwone szelki, z czarnym melonikiem zsuniętym w tył głowy i stopami pewnie rozstawionymi na skrzynce po mydle, która służyła mu za trybunę. - Ale przeszedłem przez to wszystko, co i wy. Przez każdą zniewagę, każde poniżenie. Nędzę i głód. Ja wiem, jak to smakuje. I wiem też, jak wam pomóc. Nie chcę patrzeć, jak się was zmiata pod dywanik Senatu wraz z resztą śmieci ani wyrzuca do pojemnika na śmieci, żebyście tam zgnili. To dla was będę pracować. Będę pracować dla nas wszystkich. Każdy gram energii włożę w walkę o minimalną płacę dla każdego mężczyzny. A dla kobiet, które przez cały boży dzień wykonują niewolniczą robotę na rzecz bogatych pracodawców, wywalczę limit godzin zatrudnienia, tak by nikt was już więcej nie eksploatował. I stanę na głowie, żeby zlikwidować waszą harówkę w pocie czoła. Wszystko, co macie zrobić, to zaufać Danowi O'Keefe i dać mi swoje głosy.

Danowi jednak były potrzebne nie tylko głosy okolicznych wyborców; potrzebował też poparcia innych znaczących polityków okręgu. Mając przy boku Keanyego, ruszał w obchód, prosząc ich o pomoc, aż wreszcie Keany zdołał przeciągnąć na ich stronę potężnego Lomasneya.

Finn wrócił do Bostonu, aby spędzić wraz z bratem te decydujące, ostatnie dni, poprzedzające wybory i był tam, kiedy ogłoszono wyniki. Poparcie Lomasneya przechyliło szalę zwycięstwa na

stronę Dana, który został wybrany najmłodszym senatorem stanu Massachusetts. Finn maszerował dumnie u boku brata, dzieląc jego tryumf, gdy dziarsko szli przez slumsy w Dzielnicy Północnej, które niegdyś dostarczyły im nędznego przytuliska w przeraźliwie zimnej norze bez okien, kiedy przybyli do Bostonu przed ośmiu laty.

- Osiem lat Kto by w to w ogóle uwierzył, Finn? - rzekł Dan, a w oczach zalśniły mu łzy wdzięczności, gdy wspomniał przeszłość. - Ty, chłopak stajenny z Ardnawamy, obecnie bogaty biznesmen. I ja, naganiacz, właściciel dwóch sklepów i pieniędzy w banku; senator, reprezentujący własnych ludzi. Tylko w tak wielkim kraju jak Ameryka mogą się ziścić podobne marzenia.

Pięć lat pracy u Comeliusa Jamesa w Nowym Jorku uczyniło Finna dandysem, jeśli nie zupełnym dżentelmenem. Corinne Marquand leżała w jego łóżku wsparta na łokciu, obserwując go, gdy się ubierał do wyjścia wieczorem tam, dokąd jej nie zaprosił, mimo że właśnie skończyli się kochać. Miał najwytworniejszy strój wieczorowy, jaki można było znaleźć w Nowym Jorku. Wszystko w najlepszym gatunku, od koszuli, butów, czarnego płaszcza z aksamitnym kołnierzem i szalika z białego jedwabiu, po autentyczne perły w zapinkach koszuli i zrobione z pełnego złota i diamentów spinki u mankietów, kupione u Tiffanyego za szczerą gwiazdkową premię, którą Finn - jak to sobie powiedział - cholernie słusznie zarobił, pracując od dwunastu do czternastu godzin dziennie.

Nadal mieszkał u Eileen Malone, ponieważ płacenie za apartament dziesięć razy drożej niż tu byłoby marnowaniem pieniędzy, a poza tym pokoju potrzebował tylko do spania; co rano o szóstej trzydziści był w biurze, cały wieczór spędzał na mieście i zawsze znalazła się jakaś ładna aktorka z własnym mieszkaniem, uszczęśliwiona, gdy mogła wziąć go do łóżka i troszczyć się o niego. Corinne to po prostu historia przedłużana z przyzwyczajenia, która od czasu do czasu obojgu uprzyjemniała życie. Nic poważnego.

Finn nie był próżny na punkcie swojego wyglądu, ale tamtego pierwszego tygodnia w Nowym Jorku dostał bolesną nauczkę, kiedy wszyscy śmiali się z jego taniego garnituru i celuloidowego kołnierzyka. Teraz zawsze ubierał się w najlepsze stroje i stwierdził, że jest to rzecz momentalnie budząca szacunek; portierzy, którym kiedyś zazdrościłby pracy, teraz rzucali się otwierać przed nim drzwi; kelnerzy zginali się i szastali nogami, a piękne kobiety słały w jego stronę spojrzenia pełne uwielbienia. A co najważniejsze, przyjaciele Comeliusa Jamesa traktowali go jeśli nie jako kogoś im równego - w oczach środowiska Wali Street miał przecież dwie ujemne cechy: był Irlandczykiem i katolikiem - to przynajmniej z pełnym rezerwy szacunkiem. Comelius udowodnił swej żonie i przyjaciołom, że można nauczyć krowę fruwania, a niewykształcony irlandzki żółtodziób stał się teraz rzutkiem biznesmenem, któremu udało się kilka zgrabnych, mistrzowskich wręcz posunięć.

Finn okazał się niezastąpiony w technice „szybkiej sprzedaży”. Pożyczając, a następnie sprzedając akcje, by je potem zwrócić w określonym momencie w przyszłości, liczył na to, że jeszcze przed nadejściem terminu zwrotu ich cena spadnie. Gdy tak się działo, mógł odkupić taką akcję po niższej cenie, zwrócić ją wierzycielowi, a zysk zatrzymać dla siebie.

Było to hazardowe tour de force, a Finn przyswoił sobie tę metodę tak swobodnie, jak oddychanie. Niemalże potrafił wywęszyć nowy kapitał akcyjny, od którego pachniało sukcesem, i nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się obstawić niewłaściwie. Mimo to nie mógłby się nazwać człowiekiem szczęśliwym i nie wiedział, dlaczego tak jest.

Corinne leniwie ziewnęła. Finn w roli kochanka był fantastycznie pełen energii i niczego nie pragnęłaby bardziej, niż przytulić się do jego szczupłego ciała i przespać cały wieczór. A później, po lekkiej kolacji i jednym lub dwóch kieliszkach wina, znowu się kochać tak zachwycająco. Z Finnem

jednak nigdy to nie było możliwe: żył jednocześnie kilkoma życiami i - jak podejrzewała - miał kilka kobiet, natomiast „prawdziwy” Finn pozostawał tajemnicą. Dla Corinne nie miało to jednak znaczenia, traciła głowę z pożądania już od samego patrzenia na niego.

- Jesteś bardzo elegant, mon cher - powiedziała z zachwytem, pod czas gdy on zapinał marynarkę.

Finn narzucił na ramiona swój płaszcz z aksamitnym kołnierzem i po dziękował jej uśmiechem.

- Wychodzę do opery - rzekł, składając czuły pocałunek na jej rozczochranej jasnowłosej główce. - I tobie zawdzięczam, że jestem spóźniony. - Owinął sobie wokół szyi długi szalik z białego jedwabiu, strzepnął pył z cylindra i szybko skierował się ku drzwiom. Przystanął, uśmiechając się do niej, nagiej i ładniutkiej, leżącej w jego łóżku.

- Corinne - odezwał się.

- Mhmm? - obróciła się na boku i uśmiechnęła w jego stronę.

- Jesteś piękna. Dzięki.

Jej śliczny śmiech biegł za nim trelami po schodach okrytych błyszczącym brązowym linoleum, a on zamachał ręką ku Eileen Malone, która stała u drzwi do jadalni.

- Dziś znów pan nie będzie z nami na kolacji, panie OKeeffe? - zapytała.

- Może jutro, pani Malone - odkrzyknął wesoło, kierując się do drzwi.

Przywołując dorożkę, Finn przypomniał sobie pierwszy dzień w Nowym Jorku, gdy szedł piechotą aż do Wali Street, cały spocony i czuł w stopach żywy ogień przez sztywne, nowe buty. Niezależnie od tego, ile pieniędzy by zarobił, czy jak dalece był popularny bądź dobrze ubrany, nigdy nie miał zapomnieć, jak bardzo się wstydził, gdy słyszał drwiący śmiech tamtych. To jeszcze coś więcej, rzekł do siebie, gdy dwukółka podwiozła go pod gmach Metropolitan Opera. Piętno slumsów nie opuści go nigdy. Nędza i ciemnota były niczym rana, która się nie goi, a pamięć o tysięcznych upokorzeniach, urazach i poniżeniach, wciąż wywoływała jego gniew i jątrzyła. Zarobienie pieniędzy, całego mnóstwa pieniędzy, więcej, niż mógłby sobie nawet wyobrazić, to jedyna rzecz, która może pewnego dnia zdołałaby zaleczyć tę ranę. Ale by tak się stało, on musiałby stać się bogatszy niż ojciec Lily.

Był to jego pierwszy pobyt w operze, na przedstawieniu „Cyrulika Sewilskiego” Rossiniego, w wykonaniu włoskiego zespołu na gościnnych występach z mediolańskiej La Scali, i błyszczące foyer z szerokimi marmurowymi schodami przywołało mu wspomnienie świątecznych wieczorów w Ardnawmie. Ale wtedy zamiast nienagannego stroju wieczorowego on, jako lokaj, miał na sobie aksamitną liberię i pudrowaną perukę, tak jak tutejsi lokaje, ustawieni teraz rzędem na schodach. Wtedy podawał kieliszki szampana, zamiast je wychylać, i śledził śliczną Lily wzrokiem zazdrosnego jastrzębia, zamiast być otaczanym przez kobiety, wspaniałe w koronkach i atłasach, lśniące od klejnotów, i witające go jak dawno nie widzianego przyjaciela.

W połyskliwych włosach miały pióra i kwiaty, w ich oczach Finn rozpoznawał błysk pożądania, a ich perfumy uderzały do głowy jak szampan. Kobiety nigdy nie miały stanowić problemu dla Finna. On jednak wciąż przechowywał w myślach, tak dokładny niby z jakiejś fotografii, wizerunek Lily, kiedy uśmiecha się do niego lekceważąco, szturchając go szpicrutą i każąc mu, nagiemu, tańczyć jak niedźwiedź dla jej małej siostrzyczki.

- Tu jesteś, mój chłopcze! - Comelius James zbliżył się ku niemu utorowawszy sobie drogę przez tłum, mając przy boku swą żonę Beatrice, olśniewająco wytworną w czarnej aksamitnej sukni i diamentowej tiarze. Na premierę stawily się same znakomitości z elity towarzyskiej, a Comelius James, chociaż był skromnym człowiekiem, znał większość tych osób.

- Człowiek na moim stanowisku spotyka się z wieloma ludźmi - powiedział Finnowi z powagą. - Z ludźmi, którzy odziedziczyli majątek rodzinny i ze śmietanką towarzyską starej gwardii; z ludźmi, którzy nie dawno się dorobili, z potentatami od kolei żelaznych i parostatków oraz z przedsiębiorcami biznesu. Wszyscy oni muszą lokować pieniądze, mój chłopcze, a kogoś takiego jak ja darzą zaufaniem, ponieważ nigdy nie staram się okazać bogatszym, czy bardziej wytwornym, czy też ważniejszym od nich. Przynoszą mi swoje pieniądze, ponieważ wiedzą, że jestem bogobojnym człowiekiem z nosem do wynajdowania dobrych lokat, tak jak i ty nim jesteś.

Odprowadził Finna na bok, w spokojne miejsce, i rzekł: Jest coś, o czym ci chciałem powiedzieć, drogi chłopcze. Beatrice i ja rozmawialiśmy ze sobą na ten temat i obydwójce zgodnie przyznaliśmy, że nasz „niewielki eksperyment” okazał się więcej niż pomyślny. Jesteś cennym nabytkiem dla Jamesa i Spółki i w niewiele ponad pięć lat przeobraziłeś się z ciemnego chłopaka w młodego człowieka, który odnosi sukcesy i jest przyjmowany w towarzystwie. Sądzymy, że zasługujesz na nagrodę. Nabyłem dla ciebie miejsce na Giełdzie Nowojorskiej. Pojutrze staniesz się członkiem jednej z najbardziej elitarnych instytucji handlowych w naszym kraju. Nie mam syna, który mógłby odziedziczyć po mnie Firmę, więc kiedy się wycofam z działalności, a ty dalej będziesz pilnie pracował, planuję, że zajmiesz moje miejsce jako prezes Jamesa i Spółki.

Finn wlepił w niego zdumiony wzrok. Pokręcił głową z niedowierzaniem i powiedział:

- Proszę pana, nie zasługuję na taki zaszczyt.

- Istotnie, teraz jeszcze nie. Musisz dopiero mi udowodnić, że na to zasłużyłeś. - Comelius ojcowskim gestem poklepał go po ramieniu. - Miejsce na Giełdzie to tylko początek.

- Jestem panu głęboko wdzięczny, sir - rzekł Finn. - Postaram się nie sprawić panu zawodu.

Nazajutrz rano wynajął bajecznie drogi jednoosobowy apartament w Piątej Alei przy Czterdziestej Drugiej ulicy, na który go nie było stać, ale kto by się przejmował? Pewnego dnia miał zostać prezesem Firmy James i Spółka i wystarczyło mu tylko powołać się na to. Spiżarnię zapchał szampanem i kawiozem, szafę - jeszcze większą ilością doskonałych ubrań, a łóżko - pięknymi kobietami. Nareszcie Finn O'Keeffe wspiął się wysoko w społecznej hierarchii, na jakiś czas wykreślając ze swej pamięci przeszłość. Ale czy był człowiekiem szczęśliwym? Pokręcił głową, zakłopotany. Nie umiał na to odpowiedzieć.

35.

Nowy Jork

osiem lat po odejściu od Jakuba de Lowryego, Ned Sheridan miał już liczące się w świecie teatru nazwisko, choć równie często bawił poza miastem, co i w mieście, podróżując jak Ameryka długa i szeroka. Miał również występy w Kanadzie i z pół tuzina wyjazdów do Europy, by grać tam w swym ulubionym mieście, Londynie, gdzie witano go niemal z takim samym uniesieniem, jak jego sceniczną partnerkę, Violę Allen, subtelną piękność w typie, jaki Anglicy uwielbiają. Zabiegali o niego wszyscy ważniejsi dyrektorzy teatrów i co tydzień wysyłano mu kilka scenariuszy nowych sztuk.

Wynajął iście pałacowy apartament na rogu Piątej Alei i Trzydziestej Ósmej ulicy, po czym wyposażył go we wspaniałe sprzęty, obrazy i książki. Mieszkał tam ze słodką i uwielbiającą go dziewczyną imieniem Mary Ann Lee, którą on nazywał Lucky - Szczęśliwą, ponieważ od momentu, w którym poznał ją pewnego ciemnego, deszczowego wieczoru przed czterema laty w Baltimore, miał fenomenalnie szczęśliwą passę. Droga jego kariery prowadziła od roli zwykłego amanta do pozycji gwiazdora, którego nazwisko pojawiało się oświetlone na teatralnych namiotach od Nowego

Jorku aż po San Francisco.

Lucky Lee miała dwadzieścia dwa lata i tak samo, jak Ned, zawsze pragnęła zostać aktorką, już od czasów, gdy była małą dziewczynką w Milwaukee. Jej wujek miał teatr we krwi; jego matka, Argentynka, była kiedyś tancerką. Wuj zabierał więc swą siostrzeniczkę i oglądała każde przedstawienie, z jakim tylko przyjeżdżano do miasta.

Kiedy miała trzynaście lat, wujek zmarł i od tej pory nie chodziła już do teatru, lecz małą Mary Ann pochłonał ten wyimaginowany świat. Kiedy tylko skończyła szesnaście lat, uciekła z domu z dwudziestoma dolarami i garścią drobnych w torebce i wstąpiła do kierowanej przez Georgea Tylera trupy „Miss Philadelphia”, tłukącej się po kraju z przedstawieniami, ledwo wiążącej koniec z końcem, a zawsze tylko o jeden krok od finansowej katastrofy.

Została przygarnięta przez zespół rewiowy dzięki swej ładnej buzi i jeszcze ładniejszym nogom, którymi potrafiła wymachiwać tak dobrze, jak wszyscy. W pewien premierowy wieczór zespół „Miss Philadelphia” nie miał pieniędzy - nie zostało już nic, ani jeden cent - gdy znienacka stwierdzono, że ktoś zapomniał o kupieniu czarnych lakierków dla tancerzy rewiowych. George Tyler bynajmniej nie był dyrektorem, którego by zraził byle przejściowy brak pieniędzy i nigdy nie zbywało mu na świetnych pomysłach, natychmiast więc posłał kogoś na drugą stronę drogi do właściciela miejscowego zakładu pogrzebowego. Dobito targu na kilka par odpowiednich rozmiarów czarnych lakierków, używanych w tej profesji. I podczas premiery artyści rewii tańczyli w obuwiu dla nieboszczyków.

Wkrótce Mary Ann przekonała się, że taki właśnie jest show-business: zawsze na krawędzi wielkiego sukcesu lub kompletnej klapy, a raczej rzadko pośrodku.

Kiedy wreszcie rewia „Miss Philadelphia” zwinęła się, czy też - ściśle mówiąc - „padła”, Mary Ann znalazła kolejną pracę w podobnej grupie objazdowej i przez jakiś czas znajdowała sporadyczne zatrudnienie.

Miała dopiero osiemnaście lat, kiedy widowisko, w którym się pokazywała, zwinęło nieoczekiwanie w Baltimore, kierownictwo zaś natychmiast wyjechało z miasta, nie spłacając swych długów i zostawiając artystów bez pieniędzy. Miała przy duszy pięć dolarów, kilka par zdartych pantofli do tańca i parę ubrań. Było to za mało, żeby się dostać do Nowego Jorku, znalazła więc pracę kelnerki w najokazalszym hotelu w tym mieście, podając poranną kawę i jajka podróżującym zamożnym dżentelmenom. Pewnego ranka wparadował tam Harrison Robbins, zamówił dwa jajka sadzone, bekon i grzanki i rozsiadł się, żeby przeczytać gazetę.

Mary Ann rozpoznała go natychmiast; owego tygodnia jego zdjęcie było we wszystkich miejscowych gazetach, widniał na nim wraz ze swym podopiecznym, przystojnym i bardzo sławnym aktorem Nedom Sheridanem, wiedziała więc, że jeśli ktoś mógłby załatwić jej pracę, to właśnie on.

- Szanowny pan mi wybacz - rzekła, przystając z wahaniem przy jego stoliku i mocno trzymając oburącz imbryk z kawą.

Harrison podniósł wzrok znad gazety, rejestrując fakt, że jest ładna, i uśmiechnął się uprzejmie.

- Napiję się herbaty, dziękuję - powiedział, myśląc sobie, że kelnerka o chabrowych oczach, czarnych włosach i nieśmiałym uśmiechu zasługuje przynajmniej na dolara napiwku.

- Szanowny panie Robbins - powiedziała w nagłym pośpiechu. - Jestem aktorką. No, w tej chwili właściwie tylko artystką rewiową. Osiadłam tu jak na mieliźnie, kiedy widowisko, w którym występowałam, zrobiło klapę, a kierownik wyjechał, nie zapłaciwszy nam.

- To bardzo niedobrze - odrzekł Harry ze współczuciem - ale tak już jest w show-businessie.

Albo jest świetnie, albo fatalnie.

- Potrzebuję pracy, proszę pana, i myślałam sobie właśnie, że może pan by coś miał? Cokolwiek. Mówię serio, będę pracować choćby za kulisami, prasując kostiumy, albo... albo wszystko jedno co...

Głos jej się załamał, a Harrison wydał westchnienie, zapytując sam siebie, dlaczego młode dziewczęta w ogóle nie mogą pojąć, że nawet, gdy ma się talent - świat teatru jest zdaniem się na los, który częściej bywa przegrany niż wygrany. Mimo że była ładna, on mógłby się założyć, że nie miała żadnego przygotowania, żadnego doświadczenia ani talentu, jej atutem stała się uroda i z tego też powodu pracowała jako artystka rewiowa w trzeciorzędym widowisku, które nawet nie zapewniało utrzymania. A jednak on sam miał za sobą zbyt wiele trudnych lat bez zarobku, by teraz zachować się nieuprzejmie, a poza tym dziewczyna wydawała się ładniutka i zdecydowanie miła.

- Przyjdź dziś po południu do mnie do teatru. Około drugiej trzydzieści - rzekł, wracając do swej gazety. - Coś dla ciebie znajdę, choć może nic tak dobrze płatnego, jak praca kelnerki.

Nie miało to żadnego znaczenia: Mary Ann byłaby gotowa pójść dokądkolwiek, i w każdej chwili, byleby tylko znów znaleźć się w pobliżu sceny, zamiast co rano podawać kawę i soki.

Tego dnia deszcz lał jak z cebra; w ciągu dziesięciu minut, kiedy szła do teatru, buty jej przemokły, a cienki płaszcz przesiąkł na wylot. Powiedziała portierowi za kulisami, że ma umówione spotkanie z panem Robbinsem, więc została wysłana na poszukiwanie go do garderoby pana Sheridanana.

Delikatnie zastukała do drzwi i cudowny, głęboki głos powiedział:

„Proszę wejść!”, nadając tym prozaicznym słowom brzmienie bogate w treść niczym wiersz. Otworzyła drzwi i stanęła, kapiąc wodą na pluszowy czerwony dywan Neda Sheridanana, zupełnie niezdolna wykrztusić z siebie choćby słowo, ponieważ patrzyła w oczy najprzystojniejszego mężczyzny, jakiego w życiu widziała.

- Wygląda pani jak przemoczone kocię - powiedział rozbawiony. - Kim, na Boga, pani jest?

- Mary Ann Lee, proszę pana - odrzekła, desperacko starając się otrząsnąć włosy z deszczu i spryskując go wodą.

Akurat wtedy wpadł do garderoby Harrison Robbins, powiewając nad głową depeszą.

- Przebiliśmy się, Ned! - wrzasnął pełen radości. Frohman idzie na to! Całe toumee szekspirowskie. Jak wam się podoba, Hamlet i Król Lear. Najwyższa gaża, z tuzin najlepszych teatrów w całym kraju. Najbardziej znany scenograf, i kostiumy wykonane w Mediolanie, i sam możesz wybrać sobie obsadę. Na Boga, chłopcze, mamy wszystko, czegośmy chcieli. Wreszcie ci się udało od początku do końca.

Ned popatrzył na Mary Ann i wyjaśnił:

- Zawsze się mówiło, że nie mógłbym grać Szekspira. Teraz dostałem szansę, żeby się sprawdzić. Może to dlatego, że dopiero co przeszło mi drogę małe, na wpół utopione czarnowłose kocię i przyniosło mi szczęście.

- Ona ma nadzieję, że dostanie pracę - rzekł Harry ze śmiechem.

- Już ją ma - odparł Ned - jako moja maskotka. Dokładnie od tej chwili „Lucky” dostaje pensję. No i jedzie z nami w szekspirowskie to umee. - Znowu popatrzył na nią, ale już bardziej uważnie, i dodał, myśląc o Lily: - Poza tym przypomina mi pani dziewczynę, którą znałem kiedyś, dawno temu - i z melancholijnym, nieznacznym drgnieniem ramion po dążył z powrotem na próbę, tak jakby już zapomniał o Mary Ann.

Tak więc Lucky została przygarnięta przez zespół Sheridana; dano jej posadę pomocnicy garderobianej, a od czasu do czasu statystowanie na scenie - i stopniowo podczas tych długich, samotnych wieczorów spędzanych na próbach w Filadelfii, a potem w drodze, Ned Sheridan stwierdził, że ciągnie go do niej. Nie tylko dlatego, że przypominała mu jego irlandzką Lily, bo Lucky była przy tym słodka, nieśmiała i pełna uwielbienia - i niewiele czasu upłynęło, gdy stali się kochankami.

Tournee szekspirowskie odniosło niebywały sukces, Ned z przystojnego artysty grającego w lekkich komediach, stał się aktorem dramatycznym. Po zakończonej tryumfem premierze na Broadwayu bilety do ich teatru rozchwytywano; sprzedawano je nawet po trzy dolary za spektakl, co wówczas stanowiło niesłychaną sumę. I grali przy wypełnionej widowni aż do chwili zamknięcia teatru na lato.

Lucky wprowadziła się do nowego apartamentu, kupionego przez Neda i zrezygnowała ze swych aktorskich ambicji po to, by grać rolę jego kochanki. Była osobą nieśmiałą, lecz na Broadwayu wszyscy wokół ją znali i wiedzieli, że jest kochanką Neda. Nie prosił jej o rękę, choć spodziewał się, że kiedyś w przyszłości to zrobi; ilekroć jednak chciał się oświadczyć, zawsze powiadał sobie: „Nie teraz; mógłbyś jeszcze któregoś dnia odnaleźć Lily”.

Często spotykał syna Lily: ciemnowłosego i ponurego chłopca, który w ogóle jej nie przypominał i który nigdy nie silił się na to, żeby dla kogoś być miły. Jednak Ned nigdy nie odnalazł Lily, pomimo że przez ponad rok zaraz po jej odejściu zatrudnił prywatnego detektywa. Lily zniknęła bez śladu; mijało już osiem lat od czasu, gdy wyjechała i teraz jedynym znakiem życia, jaki dawała, był czek z banku, opiewający na tysiąc dolarów, który co roku otrzymywała jego matka na koszty wychowania chłopca. Za każdym razem czek wysyłany był z innego miasta, z miejsc tak od siebie odległych jak St. Louis i Chicago.

Ned i Lucky żyli ze sobą już od czterech lat. Tego właśnie wieczoru miała się odbyć kolejna wielka premiera, wystawiali najzupełniej nową sztukę. Próby, jakie odbywali po drodze, nie obyły się bez kłopotów. Aktorka grająca główną rolę kobietą odeszła, a na jej miejsce dopiero tydzień temu przyjęto pełną temperamentu i porywczą, nikomu nie znaną Juliet Scott, i teraz Ned, podążając na generalną próbę kostiumową, po sępnie zastanawiał się, czyjego dobra passa już się nie skończyła. Po raz pierwszy w życiu nie cieszył się na wieczór premierowy, i cokolwiek by Harrison mu mówił, przecucie czegoś złego spowiło chmurami cały ten dzień.

Pomimo iż czuło się, że jest wiosna, z okazałymi, puszystymi pąkami na kasztanach i z zapachem bzów w powietrzu, Lily Adams zażywając popołudniowej przejażdżki powozem po uroczych ulicach Back Bay i Beacon Hill, miała na sobie płaszcz ze złotych soboli. Kosztowny powozik polakierowany był na jej ulubiony odcień fioleto i wyściełany jasnoszarym zamszem, a stangret odziany w liberię w tym samym srebrnoszarym kolorze.

W każde popołudnie, czy to deszcz, śnieg, czy słońce, Lily udawała się na tę samą przejażdżkę. W każde popołudnie, zanim wyruszyła, wsuwała świeży bukiet fiołków swym koniom za uprzęż oraz przyodzabiała nimi kapelusz stangreta i fiołki nosiła również sama, przypięte do futerka diamentowym półksiężycem. Jeździli przez godzinę, mijając wszystkie wspaniałe domy Bostonu, do których nigdy jej nie zapraszano. Nieznaczny czarujący półśmiech rozjaśniał twarz Lily, lecz oczy miały ogień nieugaszzonego gniewu, gdy tak wodziła wzrokiem z lewa na prawo, sprawiając na pozór wrażenie kobiety, która jedzie na umówione spotkanie, podczas gdy w rzeczywistości nie miała absolutnie dokąd się udać.

Najtrudniejsze były miesiące jesienne i zimowe, gdy jej męża po chłaniały wykłady i koleżeńskie spotkania. Nawet kiedy zostawał w domu, zawsze zagłębiał się w książkach. Od czasu do czasu zdarzało mu się zapraszać na kolację odwiedzających Boston uczonych z zagranicy. Nie wiedzieli o tym, że Lily „nie jest przyjmowana w towarzystwie” i przez jeden wieczór mogła wtedy odgrywać rolę pełnej gracji, młodej pani domu, mając na sobie kosztowną suknię i doskonałą biżuterię. Ale nigdy w towarzystwie nie było innych kobiet, później więc zostawiała ich w bibliotece z porto i cygarami - i z interesującą rozmową, w której tak bardzo pragnęłaby uczestniczyć.

Każdej zimy dochodziła z nudów niemal do obłędu. Ponury nastrój ogarniał ją w październiku i nie opuszczał aż do czerwca, kiedy to wyjeżdżali, by całe lato spędzić w Europie.

W Bostonie mieszkała od ośmiu lat, z czego sześć spędziła jako pani Porter Adamsowa, a każdy rok był bardziej samotny od poprzedniego. Wyszła za męża za człowieka wykształconego, zajętego własnymi sprawami, który zakładał, że jest jej dobrze we dwoje, tak jak jemu żyło się dobrze samemu i że jest idealnie szczęśliwa, gdy siedząc zimą przy kominku, niestrudzenie kartkuje książkę lub haftuje kolejną dekoracyjną poduszkę do jadalni, dokładnie tak samo, jak kiedyś zwykła to robić jej matka. Tyle że jej matka i papcio byli w sobie zakochani.

Podczas tych długich zim żyła listami od siostry i w odpowiedzi pisała ich całe stopy, skrupulatnie opowiadając o życiu pełnym rozrywek i wesołości, przyjaciół i znajomych. O życiu, które nie istniało. Jediną rzeczą prawdziwą w jej listach do Ciel było to, że wyszła za męża za bogatego, dobrego i starszego mężczyznę, że mieli piękny dom w naj bardziej wytwornej dzielnicy Bostonu i że przez swe małżeństwo spowinowaciła się z najlepszymi starymi rodzinami w kraju.

Choć oczywiście, droga Ciel - napisała snobistycznym tonem - to, co Amerykanie mają na myśli, mówiąc „stary”, bynajmniej nie odpowiada naszemu rozumieniu tego słowa. Oni mówią o trzech lub czterech pokoleniach, my natomiast o kilku stuleciach. Nie napisała jednak, że dobre stare rodziny nie odzywają się do niej.

Za każdym razem, gdy wyjeżdżali do Europy, Lily robiła plany i knuła intrygi, żeby jakoś spotkać się z siostrą, jednak aż dotąd bez powodzenia. Zawsze jeździli do Włoch i do Francji, lecz wtedy Ciel już wracała na lato do Ardnawamy, a lord Molyneux nigdy nie pozwalał jej spędzić wakacji gdzie indziej.

Podczas każdego lata spędzanego we Włoszech Lily stawała się nie tą samą kobietą. Pod gorącym tokańskim słońcem znów rozkwitała w niej młodość; piła młode czerwone wino, jadła pełne witamin zielone oliwki i pomidory zrywane na polach oraz chleb wypiekany przez wiejskiego piekarza w wielkim piecu i wyciągany na długiej drewnianej łopacie. Nosila bluzki głęboko wycięte pod szyją i cienkie kretonowe spódnice, które jeszcze podkasywała, gdy wspinała się na zielone, porośnięte tymiankiem pagórki. Rozpuściwszy swe długie włosy, przechadzała się boso po chłodnych marmurowych tarasach czternastowiecznych willi i sunęła w gondoli po weneckich kanałach pod bajecznymi mostami. Kąpała się w chłodnej zielonej wodzie jeziora Garda i jeziora Como, i na ocienionych markizami tarasach kafejek w samotności sączyła gorzką kawę z małych filiżaneczek, wyglądając na powiewną piękność w zwykłej białej woalce z wielkim ocieniającym twarz słomkowym kapeluszem przybranym, jak zwykle, jej ulubionymi fiołkami. Jednak zawsze była kimś z zewnątrz, kto tęsknie obserwuje odbywającą się obok promenadę. W czasie tych letnich podróży do Europy stawała się znowu dziewczyną, natomiast jej miły małżonek robił wrażenie jeszcze starszego. Wydawał się bardziej nieobecny, zaabsorbowany swymi poszukiwaniami rzadkich oryginalnych wydań i rękopisów, podczas gdy ona szukała życia. Krew pulsowała jej w żyłach jak

czerwone włoskie wino i choć była zbyt wylekwna, żeby pozwolić sobie chociażby na flirt, jej wzrok od czasu do czasu zatrzymywał się z namysłem na jakimś przystojnym młodzieńcu o oliwkowej cerze. Zadawała sobie pytanie, kto to taki, co by powiedział, gdyby odezwała się do niego, co by zrobił, gdyby mu rzekła: „Jestem osamotniona. Pomóż mi”.

Jej mąż nie należał do namiętnych mężczyzn i Lily cieszyła się z tego; była jednak młoda, miała dopiero dwadzieścia sześć lat, piękna i - mężczyźni podziwiali ją tak jak zawsze. A ona tak bardzo pragnęła być kochaną.

Naturalnie nigdy jednak nie odzywała się do przystojnych młodych Włochów i z nadejściem października wracała do Bostonu. I znowu rozpoczynała swoje popołudniowe przejażdżki powozem, starając się dać otoczeniu do zrozumienia; że nie obchodzi jej to, co myślą. A w nocy leżała nie śpiąc i myśląc bez końca o popełnionych błędach, które przy wiodły ją do tego pożądanego więzienia. Gdy przez kotary zaglądał świt, zapadała wreszcie w sen i zawsze śniła jej się wtedy Ardnawama. Był to wciąż ten sam, od dawna znany sen, w którym występowała jako uwielbiana i pieszczona mała księżniczka, stanowiąca ośrodek kochającej rodziny, mająca swe kuce i psy, i przejażdżki wzdłuż plaży z Finnem O'Keeffe. I tylko w tych snach znowu czuła się szczęśliwa.

Było to w czasie drugiego roku trwania jej małżeństwa, gdy do jej domu zgłosiła się młoda kobieta starająca się o posadę służącej do wszystkiego. Lily nie zatrudniała gospodyni; sama wiedziała znakomicie, jak prowadzić własne gospodarstwo domowe, rozmowę więc z kandydatką na służbę odbywała osobiście.

Kobieta czekała w pokoju dla służby, tuż obok kuchni, stojąc zdenerwowana w kącie położonym najbliżej drzwi, tak jakby się spodziewała, że wyleją ją za drzwi za to, że miała czelność postawić swą nie godną stopę w tak znakomitym domu. Jej fartuch był w miarę czysty, lecz wyświechtana i sprana suknia miał nijaki szary kolor znamionujący nędzę, a cienki wełniany szal, który zawiązała sobie wokół ramion, trzymał się kupy dzięki misternej plataninie starannych szwów. Lily wiedziała, że nie mógł on dać żadnej ochrony przed zimnem i chociaż trzewiki kobiety były pieczołowicie wypucowane, dałaby głowę za to, że mają dziury. Czuła, że serce rozplywa jej się z litości i już wiedziała, że da kobiecie tę pracę, pomimo że nie wyglądała ona na tak silną, by móc udźwignąć ciężkie wiadro z cynkowej blachy.

- Jestem silna, pani, i pracowita - powiedziała niespokojnie kobieta, czytając w jej myślach. Nie spodziewała się, że będzie rozmawiać z panią domu. Służącym nie zdarzało się to nigdy, zawsze spotykały się tylko z gospodynią, miała więc oczy przez cały czas spuszczone, wpatrując się w czubki swych znoszonych butów.

- Jeśli rozumiem, nie chciałabyś mieszkać tu na miejscu - rzekła łagodnie Lily. - Z jakiego powodu?

- Mam siedmioro dzieciaków do doglądania, pani.

- A czy masz męża?

- Mam męża jak trza. A on ma pracę. Dwanaście dolarów tygodniowo przynosi do domu, ale daleko się z tym nie zajdzie, gdy ma się siedem gęb do nakarmienia. Najstarszy ma dopiero dziesięć lat, a jest gazeciarzem. Ale nie ma żadnego z tych najlepszych rogów, no więc zarabia tylko dwa dolary na tydzień. I tak bardzo się stara. - Po czym dodała z goryczą: - Oczywiście, pani nie rozumie pewnie takich rzeczy, proszę pani.

Podniosła wzrok na Lily i jej oczy rozwarły się szeroko. Podeszła jeden krok bliżej, gapiąc się na nią z otwartymi ustami.

- Nie mogę uwierzyć - wykrzyknęła. - To ona! Pani we własnej osobie. Ta sama, co ocaliła mego męża na „Hibernii”. - Upadłszy na kolana, uchwyciła rąbek sukni Lily i ucałowała go z wdzięcznością, tak jakby miała do czynienia z samym papieżem. - Myślałam, że pani nie żyje - płakała. - Ja byłam z panią u Sheridanów. Zważ mnie Mary Dwyer. „Nie przetrzyma nocy” - powiedzieli nam, gdy wysyłali nas statkiem do Bostonu. A ja wiedziałam, że nigdy nie podziękuję pani za to, co pani uczyniła. Ale zapaliłam za pani duszę świeczkę u świętego Stefana, proszę pani. I zawsze od tej pory myślałam o pani w modlitwie. A teraz stał się cud.

Lily wpatrywała się w nią, ogarnięta grozą. W pierwszej chwili po myślała, że tamta musiała wiedzieć o dziecku, lecz zaraz potem pojęła, iż ta kobieta nie mogła mieć świadomości, że ona była wówczas w ciąży. Nikt o tym nie wiedział, nawet Sheridanowie, zanim sama im tego nie powiedziała. Westchnęła z ulgą. Nie było obawy, że John coś wykryje. Pamiętała za to swoją walkę o przetrwanie i ubieganie się o pracę. Kobieta wzruszyła ją.

- Nie chcę, żebyś była u mnie służącą w kuchni - powiedziała. Kobieta spojrzała rozczarowana i wstała powoli. Czerwona na twarzy i pełna godności, rzekła: - Przepraszam, pani; może i nie powinnam mówić tego, com powiedziała. Nie zamierzałam być zuchwałą, chciałam tylko podziękować pani.

- Zamiast tego chcę, żebyś została moją osobistą pokojówką - po wiedziała Lily. - Będiesz mieć w swej pieczy mój apartament, zajmować się moją odzieżą i towarzyszyć mi, kiedy wyjeżdżam na zakupy. Dam ci strój służbowy, a ze względu na twoją szczególną sytuację i fakt, że nie zamieszkasz tutaj i nie skorzystasz z pokoju i wyżywienia, będę ci wypłacać dodatkowe pieniądze. - Zawahała się, rozdarta dylematem. Chciała pomóc tej kobiecie, lecz wiedziała, że nie może płacić jej więcej, niż zarabia jej mąż, bo inaczej ten człowiek straciłby twarz. Rzekła:

- Będę ci płaciła dziesięć dolarów tygodniowo.

Kobieta gapiała się na nią oczyma wielkimi jak spodki. Uważałyby się za szczęściarę, zarabiając pięć dolarów miesięcznie za szorowanie podłóg. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc splotła swe splekane ręce, z trudem powstrzymując łzy wdzięczności.

- Pan nasz z pewnością pobłogosławi panią za jej zacne serce, pani, i za jej miłosierdzie - powiedziała, gdy wreszcie udało jej się przemówić.

Lily wzruszyła ramionami. Nie sądziła, żeby Pan okazywał jej szczególne względy.

- Będziesz się do mnie zwracać „pani Adams” lub „proszę pani” - rzekła, dając jej dwadzieścia dolarów zaliczki na poczet jej pensji i polecając, by rozpoczęła od jutra.

Lily tyleż potrzebowała osobistej pokojówki, co i kuchmistrza od bankietów, lecz przynajmniej uczyniła coś dla swojej rodaczki i teraz czuła się dobrze. John był bardzo bogaty, ona mogła więc pomagać innym. A kto potrzebował pomocy bardziej od jej własnego narodu? Im bardziej o tym myślała, tym bardziej podobał jej się ten pomysł, zaczęła więc snuć plany, jak zyskać poparcie męża.

Tego wieczoru włożyła ulubioną przez Johna aksamitną suknię w kolorze ciemnego błękitu i wiszące kolczyki z szafirami, należące kiedyś do jego babki. Poleciała kucharce przygotować potrawy, które smakowały mu najbardziej, i po przyjemnej kolacji przymilaniem przekonała męża, by co roku ofiarował dziesięć tysięcy dolarów na pomoc dla jej przymierających głodem rodaczek. Pieniądze dzielono pomiędzy irlandzkie okręgi i szefowi każdego z nich przesyłano czek z życzeniem, że nazwisko Adamsów ma nie być wzmiankowane i że pani Adams szczególnie prosi, by pomoc otrzymały irlandzkie kobiety.

Tych corocznych dziesięć tysięcy już od czterech lat przynosiło wsparcie wielu cierpiącym nędzę

kobietom. W tym czasie zaś Mary Dwyer przeistoczyła się w doskonałą pokojówkę damy. Jej mąż po wozził furgonem dostawczym sklepu Daniela na Clarendon Street i uważali się za ludzi, którym się powiodło. Wynajęli lepszy dom na peryferiach dzielnicy slumsów, a dzięki Lily ich dzieci były porządnie nakarmione i ciepło odziane zimą, no i wszystkie - prócz najmłodszego - chodziły do szkoły.

Jednak czas nadal płynął opieszale i mimo że w to wiosenne popołudnie w drzewach krążyły soki żywotne, Lily czuła się tak, jakby w jej żyłach krew już wysychała.

Tego samego rana, gdy Ned Sheridan posepnie rozmyślał nad widokami swojej premiery, Lily wyczytała jego nazwisko na poświęconej teatrowi szpalcie w „Boston Herald”. NED SHERIDAN REZYGNUJE Z SZEK SPIRA NA RZECZ DRAMATU WSPÓŁCZESNEGO - głosił tytuł. Gazeta zadrżała Lily w dłoniach tak, że aż jej mąż podniósł na nią wzrok i zapytał, czy dobrze się czuje, ona jednak prawie go nie słyszała. Była zbyt pochłonięta czytaniem o tym, jak wielkim aktorem jest Ned, o jego godnym najwyższych pochwał Hamlecie i tragicznym Learze. „Gwiazda nad gwiazdy” - tak o nim pisano w artykule - „a przy tym człowiek odważny, skoro podejmuje ryzyko gry w nowej sztuce jakiegoś nieznanego, młodego autora”.

Lily przypomniawszy sobie, jak jej powiedział wtedy, kiedy prosił ją o rękę, że pewnego dnia zostanie gwiazdorem. Ona zaś odmówiła, ponieważ oznaczałoby to zatrzymanie przy sobie dziecka.

Pomyślała z tęsknotą, jak jego życie musi być pełne i szczęśliwe w porównaniu z jej samotną egzystencją i już wiedziała, że żadna siła na ziemi nie jest w stanie powstrzymać jej od spotkania się z Nodem.

- Wybieram się na zakupy, John - odezwała się.

- Czego sobie tylko życzysz, Lily.

- Do Nowego Jorku - dokończyła.

- Nowego Jorku? - powtórzył za nią zdumiony.

- Jest tam nowa projektantka, jakaś kobieta z Londynu, ostatnia nowość... poza tym, odmiana dobrze mi robi. Czuję się znudzona...

Momentalnie starał się jej okazać zrozumienie, czując się winny z powodu własnego zaabsorbowania.

- Naturalnie, pojedziemy do Nowego Jorku. Zatrzymamy się tam na kilka dni i będziesz mogła robić, co zechcesz. Może w przyszłym tygodniu lub w jeszcze następnym.

- Wybieram się już teraz, John. Dzisiaj. I pojedę sama. Nie sprawiałoby ci przyjemności włóczenie się po sklepach i pracowniach krawieckich. Poza tym, odmiana dobrze mi robi. Będę całkowicie bezpieczna, zatrzymam się w najlepszym hotelu. - I zanim miałby czas powiedzieć „nie”, Lily dodała: - No i przywiozę ci jakiś prezent.

W dwie godziny później Lily jechała pociągiem do Nowego Jorku, sama jedna. Wzięła apartament w hotelu Fifth Avenue i poprosiła o przyślanie służącej do rozpakowania jej rzeczy. Następnie skorzystała z długiej kąpieli w perfumowanej wodzie i ubrała się tak starannie, jakby szła na spotkanie z kochankiem, wkładając jedwabne pończochy, pantofle na wysokich obcasach i suknię z czarnej koronki o głębokim i szerokim wycięciu pod szyją i z długimi, obcisłymi rękawami. Pokojówka pozapinała tuziny maleńkich, obleczonej satyną guziczków i z podziwem wpatrywała się w odbicie Lily w lustrze, gdy ta zaczesywała do góry swe czarne loki, wpinając w nie tu i ówdzie brylantowe gwiazdki. Dodała do tego długie brylantowe kolczyki, lecz zrezygnowała z naszyjnika. Narzuciła na siebie czarną aksamitną pelerynę suto obrębianą futrem z czarnego lisa, sprawdziła

w lustrze swój wygląd, po czym wzięła dorożkę na Broadway.

W teatralnym foyer zgromadził się tłum hałaśliwie zachowujących się, roześmianych, kosztownie odzianych ludzi, uśmiechnęła się więc, czując się znów w swoim żywiole. Ludzie zaś obracali głowy, by z za chwytem popatrzeć na samotną piękną kobietę. Oczywiście, biletów nie było. „Nie na premierowy wieczór Neda Sheridana” - powiedziano jej.

Nie zbita tym z tropu, przedostała się do wejścia dla aktorów. Portier przyjrzał się jej dokładnie, po czym zdjął czapkę z głowy i wstał.

- W czym mogę pani pomóc, proszę pani? zapytał z szacunkiem.

- Przyszłam, żeby zobaczyć się z panem Sheridanem. Pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Pan Sheridan z nikim się nie widuje, proszę pani, w każdym razie nie w czasie premierowych wieczorów. Nie wcześniej niż po przedstawieniu.

- Ze mną się zobaczy - rzekła pewna siebie. - Proszę mu powiedzieć, że jest tutaj Lily Molyneux.

- Dobrze, proszę pani. - Nadal kręcąc głową z powątpiewaniem, portier otworzył pchnięciem ciężkie czarne drzwi i znikł wewnątrz, po zostawiając ją na chodniku, drżącą z zimna i przejęcia.

Na pukanie do drzwi garderoby Neda odezwał się Harrison Robbins. Gdy mężczyzna powiedział mu nagłym szeptem, że Lily Molyneux chce właśnie zobaczyć się z panem Sheridanem, w pośpiechu wyszedł z pokoju i szybko zamknął za sobą drzwi.

- Lily Molyneux? - powtórzył z niedowierzaniem, pomimo iż zawsze spodziewał się, że któregoś dnia ona wróci. I zgodnie z jego wyobrażeniem o Lily jako o „kłopotie”, pojawiła się w jak najgorszym momencie, w wieczór premiery, dwadzieścia minut przed wejściem Neda na scenę.

- Powiedz jej, że pan Sheridan nie może nikogo widzieć przed spektaklem. - Zaraz jednak uświadomił sobie, że Lily nie należy do osób, które by „nie” z ust portiera uznały za odpowiedź. - Sam jej to powiem - rzekł, ruszając zdecydowanym krokiem wzdłuż obskurnego korytarza.

Lily obróciła się na pięcie, z uśmiechem rozjaśniającym jej twarz.

- Och - rzekła rozczarowana. - Pan nie jest Nedem. Podeszła ku niemu i Harrison już wiedział, dlaczego Ned uległ jej urokowi. Choć w teatralnym światku roiło się od piękności, Lily mogła swobodnie uchodzić za najśliczniejszą kobietę, jaką widział w życiu. W uniesieniu jej głowy, w pytającym wyrazie wielkich oczu i w półuśmiechu jej warg był jakiś pociągający kobiecy wdzięk. Nawet miękki głos brzmiał jak muzyka.

- Miałam nadzieję, że zobaczę Neda - rzekła, kurczowo zaciskając futerko pod szyją.

Bez wątpienia stanowiła tak poważny problem, jak to wcześniej przy puszczał Harrison, a nawet jeszcze poważniejszy - i wiedział, że w żaden sposób nie może temu zaradzić. Nie mógł nie dopuścić jej do Neda, a wiedział, że kiedy Ned ją zobaczy, biedny frajer będzie już stracony. Pograżony w miłości do panny Lily Molyneux. Na nowo.

- Ned nie może z nikim rozmawiać przed spektaklem - powiedział. - Pani to rozumie, prawda? Ma bardzo trudną rolę. Trzeba mu koncentracji, a pani tylko by go rozpraszała.

- Jestem dawną przyjaciółką - rzekła szybko. - Ale naturalnie nie będę mu przeszkadzać. Chciałabym zobaczyć tę sztukę, lecz nie ma już biletów.

- Przynajmniej to mogę dla pani załatwić. - Odprowadził ją z po wrotem do foyer i polecił bileterowi, by posadził ją w łoży C, jako jego osobistego gościa. Powiedział Lily, że po spektaklu przyjdzie po nią i czym prędzej wróci do garderoby Neda.

Finna O'Keeffe zatrzymano w biurze do późna i przez to spóźnił się do teatru. W środowisku finansjery pojawiły się jakieś problemy, przebąkiwano o zaniedbaniach bankowych i o kryzysie, on

zaś - w przeciwieństwie do wielu innych osób w jego zawodzie, które twierdziły, że to tylko panikarstwo i że nie ma się czym martwić - przejął się taką wiadomością. Został do późna specjalnie po to, by porozmawiać z Comeliusem Jamesem o niepokojącej informacji, otrzymanej od kolegi pracującego w jednym z wielkich banków, która dotyczyła pogłosek o niewypłacalności pewnej poważnej spółki, lecz nie wydawało się, żeby na Comeliusie zrobiło to większe wrażenie.

- To dzieje się co kilka lat, Finnie - powiedział ze spokojem. - Wszyscy wpadają w panikę, rynek przez kilka tygodni wariuje, akcje upadają i każdy przepowiada koniec świata. A potem nagle wszystko znowu wraca do normy i wszyscy rozgarnięci faceci, którzy dokonali zakupów na podupadającym rynku, teraz odsprzedają po cenach inflacyjnych i robią kasę. Przeciąganie tego to dobry fortel.

Ale Finn nadal miał niemiłe przeczucie, że sprawy nie stoją dobrze. Gdy Jessicę Tyrone, z którą był umówiony na ten wieczór, zabierał z jej rodzinnej rezydencji na Piątej Alei, wciąż jeszcze myślał o tym, usprawiedliwił więc swoje spóźnienie.

- Rozumiem, chłopcze - rzekł ojciec dziewczyny. Był to Irlandczyk rodem z hrabstwa Kilkenny, który doszedł do bogactwa przed piętnastu laty, natrafiwszy na ropę naftową po tym, jak pół życia spędził na grzebaniu po pustyniach i skałach. Teraz zbudował sobie na Piątej Alei wspaniałą rezydencję z piętnastoma marmurowymi łazienkami. Miał trzy córki w wieku stosownym do zamążpójścia i spoglądał nader łaskawym okiem na młodego Finna O'Keeffea.

Jessica miała jasne włosy i była całkiem ładna, choć nie olśniewająco piękna. Stanowiła jednak „dobrą partię”, jej ojcu zaś podobało się to, że Finn był Irlandczykiem, przystojnym mężczyzną i że bardzo dobrze radził sobie w dziedzinie, do której dotychczas przebiło się tylko nie wielu jego rodaków. W zamkniętym, ciasnym świecie Wali Street i bankowości. Podobało mu się również to, że Finn zrobił karierę dzięki swej głowie, nie zaś uporowi i ciężkiej pracy fizycznej.

Widownia była pogrążona w ciemności i pierwszy akt już się zdążył rozpocząć, kiedy Finn wprowadził Jessicę do łoży, by dołączyć do grupy jej przyjaciół. Wszyscy, oprócz Finna, utkwili oczy w gwieździe wieczoru, Nedzie Sheridanie, którego hipnotyzujący głos wypełniał wielki teatr.

Finn nie mógł skupić się na sztuce; nieustannie myślał o tym, co powiedział mu Comelius i że powinien tamtemu wierzyć, jednakże coś w głębi serca nakazywało sprzeciw. Wiedział, że będzie to oznaczać postąpienie wbrew zasadom Comeliusa i wbrew radzie, której tamten właśnie mu udzielił, lecz był zdecydowany zaryzykować i pójść za głosem przeczucia. W ten właśnie sposób działał zawsze i nigdy jeszcze się nie pomylił. Jutro spuści akcje pewnych spółek, o których wszyscy - poza nim - myśleli, że są wypłacalne. Jeśli by się mylił, on straci klientów, jego Firmę zaś będzie to kosztować majątek: a przecież Comelius dopiero co zadał sobie specjalny trud, by mu powiedzieć, że się myli. Gdyby jednak miał rację, wtedy ocaliłby majątek ich obu.

Wydawało się, że sztuka nie ma końca, więc kiedy wreszcie kurtyna spadła po raz ostatni, Finn z ulgą bił brawo. Widzowie podnieśli się jak jeden mąż, by zrobić Nedowi owację na stojąco. Jessica szepnęła mu coś na temat, jak wspaniałą jest Ned, a on uprzejmie potaknął głową, choć z dialogów nie słyszał ani jednego słowa.

Pomyślał, że widzowie nigdy nie przestaną klaskać, by mógł już pójść do domu. Jego wzrok niestrudzenie błędził po widowni, aż z błyskiem zainteresowania zatrzymał się, by spocząć na samotnej kobiecie w łoży naprzeciwko. Była nieco ukryta w cieniu, lecz jej profil, dumny sposób noszenia głowy i krzywizna długiej szyi miały w sobie coś niesamowicie znajomego. Wzruszył ramionami: po prostu o jedną piękną kobietę więcej; w Nowym Jorku było ich pełno. A ponieważ

lubił piękne kobiety, więc ją obserwował. W chwili, gdy narzucała na ramiona przybraną futrem pelerynę i odwróciła się, przelotnie ujrzał jej twarz.

To była twarz, którą tak dokładnie znał ze swoich snów, swych zawiedzionych nadziei i wspomnień. Powiedział sobie, że to nie jest możliwe, że to tylko złudzenie wywołane grą światła. Miał przed oczami swoje marzenie. Swoją miłość. Swoją koszmar senny. Miał przed oczami Lily.

- Wszystko w porządku? - zapytała troskliwie Jessica.

Finn patrzył na nią nie widzącym wzrokiem, jak gdyby już zapomniał, że ona w ogóle istnieje. Po czym przypomniał sobie, że mieli iść na kolację do Sherryego. Szybko poprosił Jessikę, żeby poszła ze swymi przyjaciółmi, ponieważ on musi wrócić do biura, by zająć się czymś niecierpiącym zwłoki.

Przez tłum wypełniający okryte czerwonymi dywanami schody przecisnął się na dół, do foyer, rozglądając się gorączkowo dokoła. Pochwycił biletera i, wciskając mu w dłoń dziesięć dolarów, poprosił go, by szybko się zorientował, kim była dama siedząca samotnie w łoży C i czy ktoś wie, dokąd się udała, człowiek jednak wrócił z informacją, że do stała ona miejsce w łoży w ostatniej chwili i że nikt jej nie zna.

Finn zacisnął pięść i trzasnął nią o własną dłoń. Mógł przysiąc, że to była Lily; wiedział o tym. Miał ją w swym sercu, w głowie, w trzewiach i wiedział, że to ona, w taki sam sposób, jak wiedział o tamtych papierach wartościowych. Wyszedł na ulicę, w chłód nocy, z rękami w kieszeniach, ramionami przygarbionymi dla ochrony przed wiatrem i obserwował oddalający się tłum ludzi, mając nadzieję, że może ją zobaczy, lecz niebawem nikogo już nie było, a on został sam na omiatanym wichrem chodniku. Poszedł piechotą do U Delmonico i zafundował sobie szklanekę whisky w barze. Twarz miał bladą i, spiętą, tak że barman, który dobrze go znał, powiedział zatroskany.

- Czy czuje się pan dobrze, panie O'Keeffe? Wygląda pan na człowieka, który przed chwilą zobaczył ducha.

Pełne udręki szare oczy Finna napotkały jego wzrok.

- Masz rację, Mack - rzekł z goryczą. - Masz wiele racji. Tylko że to nie był duch, lecz diabeł.

36.

Harrison Robbins otworzył drzwi garderoby, lecz Lily położyła ostrzegawczo palec na ustach i przez chwilę stała nieruchomo, obserwując Neda. Zmęczony, zapadnięty w krzesło siedział przed lustrem. Obok niego stała Lucky, uśmiechając się z ulgą na myśl, że tę straszną premierę mają już za sobą i że znów był to kolejny wielki sukces.

Ned podniósł głowę i spojrzał w lustro i spostrzegł Lily w czarnej koronkowej sukni, w czarnej pelerynie z lisim futrem narzuconej na zgrabne ramiona i z diamentami migoczącymi w świetle, które lśniły prawie tak samo, jak łzy w jej błękitnych oczach. Nie wyrzekł ani słowa. Od wrócił się od lustra i wlepił w nią wzrok. Harrison ujrzał, jak ich oczy łączą się ze sobą i miało się wrażenie, że w pokoju nie ma nikogo innego, tylko Lily i Ned.

Rzucił spojrzenie na Lucky i z wyrazu jej twarzy mógł wyczytać to, o czym myślała: że w ciągu czterech wspólnie spędzonych lat Ned nigdy nie popatrzył na nią w taki właśnie sposób. Tak, jakby nie istniał dla niego nikt inny, żadna inna kobieta na całym świecie. Bliska łez, Lucky przyłożyła dłoń do drżących warg, a Harrison poczuł gwałtowny przypływ litości dla niej. Wiedział, równie dobrze jak ona, że dla niej wszystko się skończyło.

Ned ujął dłoń Lily. Podniósł ją do ust i pocałował. Zatrzymał obie jej ręce w swoich i stał patrząc na nią, przejęty zdumieniem.

- Wróciłaś - odezwał się, a jego piękny głos załamał się z przejęcia.

- Musiałam cię zobaczyć - odrzekła po prostu Lily. Nie spojrzawszy ani na Harrisona, ani na Lucky, Ned zdjął ze stojaka płaszcz i rzucił go sobie na ramiona. Garderobiany podbiegł ku niemu z jego białym szalikiem i z kapeluszem, on zaś otoczył Lily ramieniem i wyszli z garderoby bez jednego słowa wytłumaczenia czy spojrzenia za siebie.

Lucky, wciąż z dłonią na drżących wargach i z nieprzytomnym wyrazem oczu, patrzyła, jak odchodzą. Wcześniej w swej bladoróżowej jedwabnej sukni wyglądała tak ładnie, pełna podniecenia i ożywiona, lecz teraz, gdy jej twarz zupełnie straciła barwę, wydawała się przegrana i chora.

Harrison odezwał się szybko:

- To przyjaciółka z bardzo dawnych lat. Rodzina Neda zna ją od lat, lecz dotychczas była... była w podróży. Sądzę, że Ned nie wiedział nawet, czy ona zmarła, czy żyje. Przypuszczam, że jest tak bardzo przejęty spotkaniem jej znowu, iż najzwyczajniej w świecie zapomniał o tobie, o mnie i o przyjęciu z okazji premiery. - Wziął należący do Lucky żakiet z szynszylki i pomógł go jej założyć. Pod wpływem wstrząsu zrobiła się sztywna, tak że musiał zginać jej ręce w łokciach, chcąc by włożyła je do rękawów.

Pójdziemy teraz do „Sherryego” - powiedział, dodając z przekonaniem: - Przypuszczam, że Ned dołączy do nas, jeśli już tam nie jest.

Ale Neda nie było na przyjęciu i nie pojawił się także potem. W istocie na Broadwayu mówiło się, że to po raz pierwszy wielki aktor nie uczestniczy w przyjęciu z okazji premiery, a było to tym bardziej dziwne, że sztuka odniosła tak niebywały sukces.

Harrison podawał z pół tuzina różnych powodów. Że Ned padł ofiarą silnego bólu głowy, że rozboleło go gardło i obawiał się, że straci głos, czy że był zmęczony. Prosił każdego o zrozumienie i obiecał urządzić następnego wieczoru jeszcze jedno przyjęcie. Jednak nikt mu jakoś nie wierzył i zaczęły się szerzyć pogłoski o awanturze między Harrisonem Robbinsem i Nedom; o walce z autorem; o kłótni z dyrektcją; wreszcie o zerwaniu z Lucky, mającej wygląd kobiety, która obudziła się ze złego snu i stwierdziła, że dalej śni to samo.

Ned i Lily przywarli do siebie w wiozącej ich dwukółce, śmiejąc się, płacząc, i mamrocząc: „Nigdy nie myślałem... Nie mogę w to uwierzyć... Jak jest cudownie... Ależ jestem zadowolona, ale szczęśliwa...” Nie musieli kończyć wypowiedzianych zdań, wystarczyło im patrzeć na wzajem na swe twarze, by wiedzieć, jak bardzo są szczęśliwi, mogąc oglądać się znowu. Znalazłszy się z powrotem w swym apartamencie hotelu Fifth Avenue, Lily strząsnęła z siebie przybraną lisami pelerynę i stanęła, uśmiechając się do Neda.

- Nie przypominam sobie, żebyś tak wyglądała - wykrzyknął. - Byłaś bladą, na wpół utopioną i porzuconą istotą. A teraz proszę tylko patrzeć. - Pokręcił głową, podziwiając jej wygląd w czarnych koronkach i diamentach. - Stałaś się wielką damą. Lily się zaśmiała.

- Nigdy nie byłam niskiego stanu - przypomniała mu.

- Musisz mi o wszystkim opowiedzieć. - Znow ją chwycił za ręce i podprowadził do kanapy.

Zamówił szampana i, ruchem dłoni odesławszy kelnera, sam otworzył butelkę i nalał jej kieliszek.

- Wznoszę toast - powiedział, z uśmiechem patrząc w jej śliczne oczy - za powrót zbląkanej owieczki, za moją ukochaną Lily, moją przyszłą żonę.

Lily z westchnieniem odstawiła kieliszek.

- Myślę, że lepiej będzie, Ned, jeśli ci powiem, że jestem mężatką. - Wpatrywał się w nią

z niedowierzaniem, a ona opowiadała mu o Johnie i o swoim życiu.

- Umieram z nudów - wykrzyknęła porywczo. - Och, Ned - rzuciła mu się w ramiona, wylewając z oczu łzy, tłumione przez całe lata desperacji - krew w żyłach mi wysycha, bo jestem śmiertelnie głodna młodości, życia, muzyki i śmiechu. Moje życie skurczyło się do zera. Jestem jeszcze młoda. Potrzeba mi ludzi, miłości, wrażeń. Co mam począć?

Ned otulił Lily ramionami, trzymając ją w uścisku tak mocno, że wiedziała, iż nigdy już nie pozwoli jej odejść.

- Ja ci pomogę, Lily - obiecał, całując jej pachnące włosy i delikatne, wilgotne policzki. Znajdę jakiś sposób. Ty wiesz, że zawsze będę się tobą opiekował. - Jej skóra pachniała fiołkami, a usta poddawały się miękko jego pocałunkom i cała tajała w jego objęciach niczym śnieg w słońcu. On zaś rozebrał ją i kochał z tym pełnym drżenia, żarliwym uwielbieniem mężczyzny, który wreszcie odnalazł kobietę swych marzeń. I cały paniczny lęk, jaki Lily niegdyś odczuwała, opuścił ją, a rany zostawione w jej sercu przez Dermota Hathawaya zaczęły się goić pod czułymi po całunkami i pełnym miłości dotykiem Neda.

Dopiero później, gdy czuwając, leżała w jego objęciach, powróciło poczucie winy i łzy, gdyż uświadomiła sobie, że jej mąż jest dobrym człowiekiem, który ją ubóstwia, ona zaś dopuszcza się wobec niego oszustwa. Ale i tym razem, tak jak zawsze, najpierw coś robiła, a dopiero później żałowała.

Mimo to nie mogła się zdecydować na powrót do Bostonu w terminie, w którym wcześniej przyrzekła, że wróci; odłożyła wyjazd raz, a potem jeszcze jeden raz, zawiadamiając męża, że spotkała dawnych przyjaciół i dobrze się bawi. John pomyślał o tym, jak bardzo jest zawsze pochłonięty swą pracą i jak źle traktowali Lily jego krewni i przyjaciele. Uśmiechnął się więc pobłaźliwie w taki sam sposób, jak kiedyś robił to ojciec Lily i powiedział jej, żeby nie śpieszyła się z powrotem.

Ned wprowadził się do apartamentu w hotelu Fifth Avenue tuż obok Lily, Lucky zaś spakowała swe manatki i wyniosła się z jego mieszkania. Gdy Harrison powiadomił go, że odeszła, Nede boleśnie szarpnęło poczucie winy i polecił tamtemu upewnić się, czy Lucky ma ładne mieszkanie i wystarczającą ilość pieniędzy. Ale Lucky była samotna, a jej nadzieje i marzenia o zostaniu żoną Neda przepadły. Własnych przyjaciół nie miała: wszystkich, których znała, znała poprzez Neda. Do nie dawna jej życie kręciło się wokół niego, jego przyzwyczajzeń, potrzeb, pragnień i pracy. Bez Neda nie zostało jej nic.

Kilka miesięcy później ciało Lucky wyłowiono z East River. Musiała się utopić już kilka dni temu, ale nikt nie zgłosił jej zaginięcia ani nie dopytywał, gdzie może się znajdować. W ogóle nikt nie odczuł jej braku. Zidentyfikowano ją wreszcie na podstawie metki kuśnierza na zakieciku z szynszyli, jaki miała na sobie, a ten ślad doprowadził do Neda, który kupił zakiecik dla Lucky. Harry zidentyfikował ciało, Ned zaś został po raz pierwszy dotknięty znamieniem skandalu, gdy w tytułach podrzędnych gazet pojawiła się wiadomość: KOCHANKĘ AKTORA ZNALEZIONO UTOPIONĄ W EAST RIVER.

Ned zapłakał za swoim biednym małym „przybłąkanym czarnym kotkiem, przynoszącym szczęście”, który przypominał mu Lily. Opowiedział Lily o tym, co się wydarzyło i powiedział, jak gorzko boleje nad śmiercią Lucky. Jednakże niczego przecież jej nie obiecywał, a teraz miał Lily i tylko ona się liczyła. Lily zaś z przerażeniem dowiedziała się, że stała się przyczyną śmierci tej dziewczyny i żałowała, że w ogóle udała się w tamten wieczór do teatru, ponieważ choć uwielbiała

być z Nedem, wiedziała, że go nie kocha. A w każdym razie nie w taki sposób, w jaki kochała go Lucky.

Kiedy Finn O'Keefe zobaczył w teatrze Lily, zapomniał zupełnie o swoich podejrzeniach, co do pewnej poważnej spółki państwowej, jak i o niepokojących pogłoskach na temat bankructwa banku. Nie wyzbył się akcji, które jego klienci ulokowali w tej spółce, nie zabrał też z owego banku pieniędzy ani własnych, ani należących do klientów ani w ogóle żadnych, pieniędzy Jamesa i Spółki. Tydzień później, wśród żalostnego wycia ze strony inwestorów owa Firma zbankrutowała, a jednocześnie bank zamknął swe podwoje, tak że jego klienci stracili masę pieniędzy i ten sam los spotkał Jamesa i Spółkę. Comelius powiedział posępnym tonem: - Trzeba ci było postąpić zgodnie z własnym przekonaniem, chłopcze, nie zaś słuchać mnie.

- Miałem taki zamiar - rzekł Finn, markotnie patrząc za okno, z dłońmi wepchniętymi głęboko w kieszenie i ze schyloną głową.

- Więc czemu tego nie zrobiłeś? Czy z mojego powodu? - Comelius westchnął głęboko, żałując swych słów. - Możliwe, że jestem już za stary. Finnie. Tracę swój zmysł, swoje wyczucie rynku. Możliwe, że po winienem przekazać ster w ręce młodszego pokolenia.

Finn odwrócił się od okna i spojrział na niego. Comelius oferował mu niesłychaną okazję. Gdyby Comelius odszedł, on stałby się najmłodszym szefem biura maklerskiego na Wali Street. Zaledwie przed kilkoma tygodniami czułby się u szczytu szczęścia. Stwierdziłby z tryumfem, że niczego już nie może od życia oczekiwać, że zrealizował swoje ambicje, a teraz zostaje mu już tylko zarabiać coraz więcej i więcej pieniędzy. Dziś jednak nie czuł niczego. To wysokie stanowisko proponowano mu wyłącznie dlatego, że zaniedbał zrobienia tego, o czym wiedział, że po winien był zrobić, a Comelius brał winę na siebie.

A tymczasem akurat w tej chwili stanowisko nic go nie obchodziło. Mógł i chciał tylko myśleć o odnalezieniu Lily. Chociaż co ma zrobić, kiedy ją odnajdzie - tego jeszcze nie wiedział. Kochać się z nią? Poślubić? Zabić?

Powiedział Comeliusowi, że tamten nie ma się za co winić. Odpowiedzialność za straty spada tylko na niego, a Comelius nie powinien myśleć o odejściu teraz, gdy jest pod wozem.

- Pańska kariera na Wali Street była długa i zgodna z nakazami honoru - dodał. - Nie może pan odejść teraz, kiedy sprawy źle stoją. Musi pan odejść stojąc u szczytu, tam, gdzie pan zawsze był i gdzie jest pana miejsce.

Comelius wiedział, że każde słowo Finna płynęło prosto z serca. Uśmiechnął się doń po ojcowsku. Finn okazał się czymś więcej niż tylko zawodowym i społecznym eksperymentem; tkwiące w nim możliwości wykorzystał z nawiązką, nie tracąc przy tej okazji swoich wartości. Tak więc Comelius przyznał mu rację, że będzie lepiej, jeśli nadal zostanie, i w jeszcze większym stopniu traktował Finna jak własne dziecko, nie tylko jak zdolnego, młodego pracownika, któremu kiedyś dał szansę.

Finn wynajął prywatnego detektywa do śledzenia Lily. Był to krępy i czerwony na twarzy mężczyzna o wyglądzie konspiratora, który miał dobre rekomendacje, jeśli chodzi o umiejętność, z jaką w pikantnych sprawach rozwodowych odszukiwał zabłąkanych mężów lub żony. Jedyńm tropem pozostał teatr, w którym Finn ją zobaczył, lecz detektywowi wystarczyło to z powodzeniem i nie upłynęło wiele czasu, gdy powrócił z informacją, że kobieta, o którą chodzi, jest żoną Johna Portera Adamsa, mieszka w Bostonie i jest nową kochanką Neda Sheridana. Podróżuje ona tam i z powrotem między Bostonem i Nowym Jorkiem, więcej czasu spędzając z Nedem niż ze swym

uczonym mężem z wyższych sfer w ich wspólnym domu na ulicy Mount Vernon.

Finn wypłacił mężczyźnie jego honorarium. Był w biurze sam, myślał o Lily w ramionach aktora i jęczał na głos. Następnie pomyślał o mężu Lily nie podejrzewającym niczego i wiedział już, że pozostała jak dawniej egoistką. Do diabła z tym; ona była kobietą jego myśli, dziewczyną jego serca i raną jego trzewi.

Imię Lily wyryło się w jego sercu i tak już miało zostać aż do dnia jego śmierci. Nie oznaczało to jednak, że nie zamierzał zemścić się na niej. Potrzeba mu czasu. Musiał to zaplanować starannie. Przede wszystkim potrzebował więcej pieniędzy. Musiał być bardziej bogaty niż John Porter Adams. Bardziej bogaty niż Lily. A wtedy wykona swój ruch.

Senator stanowy Dan O'Keeffe był zaskoczony, widząc swego brata w Bostonie, ponieważ obydwaj jako ludzie zajęci, wiodąc skomplikowane życie, niewiele mieli czasu na rodzinne spotkania. Jeśli Finn pracował czternaście godzin na dobę, to Dan pełne dwadzieścia cztery godziny. Dni robocze spędzał w Senacie Stanowym i dokładał do tego jeszcze kilka godzin, przyjmując swych wyborców. Ilekroć znalazł trochę wolnego czasu, wpadał niespodziewanie do jednego ze swych sklepów, by skontrolować, jak się go prowadzi, i do tej pory nie miał się na co skarżyć. W miarę, jak rosła jego sława, interesy kwitły. Otworzył sześć kolejnych sklepów w różnych miastach, pierwsze dwa - w Nowym Jorku. W czasie, gdy powinien spać, rozmyślał o polityce i interesach, a często najlepsze pomysły przychodziły mu do głowy nad szklaną whisky w Telegraph Hotel lub zaraz po tym, gdy kończył się kochać z wyjątkowo pociągającą sprzedawczynią papierosów w jednym z pokojów na piętrze, specjalnie pozostawionym do tego celu.

Dan był ostrożny. Nigdy nie uprawiał hazardu, choć w gospodzie była nielegalna ruletka, nigdy też nie zalecał się jawnie do żadnej z dziewcząt, gdyż i tak pociągała je uroda, irlandzka wymowność i cały zasób zajmujących opowieści Dana.

- To jest tak - powiedział Finnowi, który ostrzegał go, by miał się na baczności, bo jako senator stanowy mógł stać się łatwym celem. - Jestem facetem, który lubi wypić kieliszek i facetem, który lubi kobiety. Mój problem polega na tym, że wszystkie dziewczęta, z którymi spotykam się towarzysko, są to „porządne” dziewczęta. Pochodzą z dobrych katolickich rodzin i wszystkie chcą wyjść za mąż. Nie jestem jeszcze gotów wkroczyć na ścieżkę wiodącą do ołtarza. Jaki więc wybór Pan pozostawia takiemu facetowi jak ja, męskiemu i będącemu u szczytu kariery? Ale coś ci powiem, Finnie: każ mi wybierać między kobietą a polityką, a w każdym wypadku wybiorę politykę. Uszczęśliw mnie najbardziej czarującą babą w Bostonie, a potem powiedz, że jest spotkanie liderów partyjnych gdzieś w Pokestown - to będę na tym spotkaniu. Kobiety mogę brać i mogę zostawiać. A kiedy nadejdzie taki dzień i taka kobieta, której nie potrafię zostawić, ożenię się z nią.

Rzucił Finnowi spojrzenie spiskowca.

- I powiem ci jeszcze coś, bracie. Coś, co trzymałem w sekrecie, ale skoro tu jesteś, mogę zdradzić tajemnicę: zamierzam ubiegać się o krzesło w Kongresie. - Roześmiał się na widok zdumionej twarzy Finna. - Twój brach wstępuje w zawody o kandydaturę z ramienia demokratów do Izby Reprezentantów. Kto by o tym pomyślał? W Izbie Senatu Stanowego nazywają mnie „cudowny chłopak”. Czasami myślę sobie, że może nasz poczciwy tata mówił prawdę i że wywodzi się od wielkiego króla Briana Boru. Bo inaczej skąd mielibyśmy taką głowę? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Ale będę potrzebował twojej pomocy, Finn. Każdej pomocy, jaką zdołam uzyskać. Czy poprosisz mnie, bracie?

- Poprę cię - obiecał Finn. Przyjechał do Bostonu, żeby choć przelotnie ujrzeć Lily, ponieważ nie

mógł już dłużej wytrzymać. Pracował dwa razy tyle, co przedtem, rzucając się w pogoń za pieniędzmi. Myślał o niewielu rzeczach poza postawionym sobie celem, a kiedy robił w pracy przerwę na rozrywkę po to, by zachować zdrowie psychiczne, już nie towarzyszył do opery ukochanym córeczkom bogatych nowojorczyków. Zamiast tego, w tanich barach na Broadwayu wyszukiwał sobie wesołe, beztroskie dziewczęta z rewii i tancerki, którym bieda nie była obca i które właśnie dlatego gorąco chciały po prostu balować, kochać się i na chwilę zapomnieć o swoich kłopotach. Tak samo jak on.

Finn przejechał przez Beacon Hill i ulicą Mount Vernon w jedną i w drugą stronę, obserwując wszystko. Dom, w którym mieszkała Lily, był bardzo okazały, a on pomyślał o chwili, gdy widział ją na „Hibernii” ostatni raz, kiedy nie posiadała nic poza ubraniem oraz pięćdziesięcioma złotymi suwerenami i diamentowym naszyjnikiem z podwójną kokardką, który jej ukradł. Zacisnął palce w kieszeni, poczuł zimny dotyk kamieni, równie twardych i promiennych, jak sama Lily.

Gdy tak się przyglądał, drzwi otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna. Przez minutę lub dwie stał na schodach, mrużąc oczy przed silnym blaskiem słonecznym i Finn spostrzegł, że człowiek ów jest w podeszłym wieku. Ubrany był dobrze, lecz niezupełnie w tym samym pieczołowicie eleganckim stylu, w jakim nosił się Finn, a mimo to w jakiś sposób, przy całym swego rodzaju niedbalstwie, widoczne były znamiona zamożności.

Finn czekał. Zegarek tykał długie nudne godziny, lecz czarno malowane drzwi frontowe wciąż się nie otwierały. Południe przyszło i minęło, potem zaś godzina pierwsza i druga. Tuż przed trzecią przed dom zajechał fioletowy powóz i punkt trzecia lśniąca czarne drzwi frontowe otworzyły się znowu, a w słoneczny blask wynurzyła się Lily.

Finn utkwiał w niej wzrok niczym jastrzęb w swojej ofierze. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał: wysoka, smukła, jak zawsze pełna wdzięku. Już sam sposób, w jaki obróciła głowę, uniosła podbródek i wygładziła spódnicę nappełnił jego myśli tysiącem wspomnień. Wyraz zachwyty na jej twarzy, gdy klepała dwójkę jabłkowitych koni, dając im po kostce cukru i - jakże charakterystyczne dla Lily! - wsuwając w ich uprząż bukietki fiołków, wywołał jego uśmiech. Przez chwilę stała, spoglądając tu i tam po pustej ulicy, a potem z głębokim westchnieniem wsiadła do kabrioletu i przejechała ulicą obok niego.

Finn posuwał się w ślad za nią, zachowując bezpieczną odległość. Podjechała przed sklep jubilera na Boylston i pół godziny później wyszła stamtąd z małą paczuszką. Ruchem ręki przywołała stangreta i pieszo ruszyła ulicą, spoglądając na witryny sklepów z nieznacznym uśmiechem. Zastanowiło go to, że nie wyglądała jak nieszczęśliwa żona, wplątana w udreki romansu z innym mężczyzną. Lily wydawała się kobietą szczęśliwą.

Następnie z powrotem wsiadła do powozu i pojechała ulicami Beacon Hill do domu.

Kiedy wchodziła po schodach, drzwi zostały otwarte przez pokojówkę, a potem się zamknęły. Raz jeszcze Finn został na zewnątrz. Wykluczony z jej życia, tak jak działo się zawsze.

Przez kilka dni pozostał w Bostonie, pomagając Danowi w planowaniu jego kampanii i omawiając finansowanie nowych sklepów, które Dan zamierzał otworzyć w Chicago.

Dan opowiedział mu o jeszcze jednym nowym przedsięwzięciu.

- Finn, chłopie, nigdy nie zapomnę, jak zaraz po przyjeździe tutaj zobaczyłem te małe irlandzkie dzieciaki, tłumnie wypełniające ulice, włóczące się bezradnie za swymi matkami, przemarznęte zimą i ugotowane z gorąca latem, bez szansy na ucieczkę z nawiedzanych chorobami slumsów Dzielnicy Północnej. Teraz planuję działać coś w tej sprawie. Zebrałem pieniądze i buduję Obóz Letni Dana

OKeeffea dla Katolickich Dzieci.

- Nie jest to nic więcej niż zwyczajne drewniane chałupy stojące na wybrzeżach jeziora, lecz to piękne miejsce, w samym sercu wiejskiego krajobrazu. Otoczone jest gospodarstwami rolnymi, więc te biedne dzieciaki nałykają się świeżego powietrza, i dzięki temu przetrwają zimę. Będą mieć dobre jedzenie w swych wzdętych brzuskach, bo wszystkie one mają brzuchy wzdęte z niedożywienia. Nakarmimy ich smaczными i świeżymi brązowymi jajami, zniesionymi tego samego ranka na fermie, oraz warzywami, owocami. Jasne, że dzięki pieniądzom, które ze brałem, będą mogły jeść nawet ciasto. - Tu przerwał i popatrzył na Finna, widząc, że zrobił na nim wrażenie.

- I jest to posunięcie inteligentne, mój stary - powiedział. - Dzielnica Północna nie jest już zamieszkała wyłącznie przez Irlandczyków, bo są tam teraz wszystkie narodowości. Włosi, Polacy, Niemcy, kogo tylko chcesz. Są tu wszyscy imigranci. Nie robię tego więc tylko dla dzieci irlandzkich, lecz dla dzieci wszystkich narodowości.

Pod wrażeniem tego, co usłyszał, Finn patrzył na brata. Podziwiał nie tylko jego oddanie i szczytną motywację przy tworzeniu obozu letniego, lecz również bystrość jego myślenia. Udostępniając obóz wszystkim rodzinom katolickim, Dan zdobędzie sympatię borykających się z życiem rodziców-imigrantów w Bostonie, tak że z całą pewnością od dadzą swe głosy na niego. W - ten sposób czyniąc dobro, Dan zdobywał zarazem dla siebie miejsce w Kongresie.

Finn nic nie powiedział Danowi o Lily i już nie poszedł śledzić jej po raz drugi, ponieważ nie dowierzał sobie samemu, czy nie zachowa się jak głupiec. Wrócił natomiast do Nowego Jorku i rzucił się w wir pracy, oddając się robieniu majątku. Majątek bowiem był jedyną rzeczą, która uczyniłaby go kimś równym Lily.

37.

Wróciwszy do Ardnawamy, Ciel żyła listami od Lily. Szczególnie zaś teraz, gdy pełne były świeżej emocji i wszystkie opowiadały o jej nowym, ruchliwym życiu, kursowaniu między Bostonem a Nowym Jorkiem, o chodzeniu do teatrów i na przyjęcia - i o kupowaniu nowych strojów. I były też pełne Neda Sheridana, przystojnego młodego aktora, którego po długim czasie zupełnie przypadkiem spotkała w Nowym Jorku. W rzeczywistości Ciel uznała za rzecz niezmiernie dziwną, że listy Lily mówiły częściej o Nedzie i Nowym Jorku niż o jej mężu i o Bostonie.

Ciel miała dwadzieścia lat. Jej siedemnaste urodziny i rok debiutu przeszły nie zauważone przez ojca. Nie było żadnych uroczystości, portretu, żadnych przyjęć. Ani diamentowego naszyjnika. Miała wątpliwości, czy ojciec w ogóle o tym sobie przypomniał, tak głęboko tkwił w swoim własnym świecie. Poczynając od chwili, gdy w wieku szesnastu lat opuściła paryską szkołę, ukrył ją w Ardnawamie, on tymczasem spędzał większość czasu w Londynie, drzemiąc całymi popołudniami na obitych czerwona skórą ławach w Izbie Lordów, bądź grając w swym klubie w karty.

Ciel było przykro, że nie chodzi na wszystkie te cudowne przyjęcia w Londynie i nie przeżywa tego rodzaju przyjemności, jakich doświadcza jej przyjaciółki, lecz nie działa się jeszcze najgorzej, ponieważ teraz chociaż William wrócił do domu, kierując posiadłością w zastępstwie ojca. No i miała swoje psy i konie, a kiedy nastawał sezon łowiecki, wszyscy zjeżdżali się do swoich dworów na bale i kolacje połączone z tańcami. Od czasu do czasu robiła wypadki pociągiem do Dublina po zakup nowych strojów, obciążając ich kosztami ojca, a w rezultacie zawsze elegancko się ubierała, czy to na polowanie, czy też na proszony obiad. W rozmowie z Williamem przyznała z uśmiechem od ucha do ucha, że było kilku takich młodych ludzi, którzy chyba lubili jej towarzystwo.

William wyjął nos z książki i popatrzył na swą siostrzyczkę uważnie po raz pierwszy od całych

wieków. Mieszkali w tym samym domu i razem jadal posiłki, lecz jemu zbyt zaprzątały głowę inne poważne sprawy, takie jak zaćmienie księżyca lub zwyczaj wędrówki gęsi kanadyjskiej, by mógł prowadzić grzeczną rozmowę lub słuchać dziewczęcego gadania Ciel, tak więc prawie nigdy nie „widział” jej naprawdę. Była po prostu na miejscu, tak samo jak dalmatyńczyki, płacząc się pod nogami i najczęściej zawadzając.

- Ciel, jesteś prawie tak samo wysoka, jak ja - rzekł zaskoczony.

- Wyższa - sprecyzowała. - Przy tym mam dobrą figurę. William nie był znawcą dziewcząt, ale pomyślał, że jego siostra jest całkiem ładna.

- Żadna z ciebie piękność - powiedział uczciwie - ale jesteś niezła. Zaśmiała się gromko, aż zadrżały krokwie.

- No cóż, to wątpliwy komplement, jeśli nim w ogóle jest. Ale masz rację, nie jestem piękna. Nie w taki sposób, jak Lily. Mimo to nie wydaje się, żeby mężczyznom to przeszkadzało. Myślę nawet, że całkiem mnie lubią. Poszła przejrzeć się w lustrze o ozdobnej, złożonej ramie, wiszącym nad kominkiem. Swoje rude włosy, długie i kręcone, zazwyczaj związywała z tyłu wstążką, ponieważ nie zadawała sobie trudu, by zrobić z nimi coś więcej. A była ich taka masa, przy tym tak lśniące i pełne życia, że miało się wrażenie, iż tworzą nimb wokół jej drobnej, trójkątnej twarzyczki. Za swoje duże, w oslepiająco niebieskim kolorze z ciemnymi rzęsami oczy dziękowała niebiosom, ponieważ nie ścierpałaby tego bladookiego wyglądu, jaki nadają twarzy ryże rzęsy. Szyję miała długą, uszy przylegające, nos prosty, a usta za duże. Jej cera była ładna, ale piegowata i z irytacją pomyślała, że wygląda przez to jak rudo nakrapiany dalmatyńczyk. Nie ulegało jednak wątpliwości, że cieszyła się powodzeniem u mężczyzn. Przychodzili do niej, by opowiadać o swoich sekretach, i o tym, w kim się kochają, a niekiedy wyznawali jej swą miłość.

Nigdy by nie myślała, że do tego dojdzie, lecz teraz marzyła o wyrwaniu się z Ardnawamy. Od kiedy wyjechała stąd Lily, ten dom stał się więzieniem, pełnym złych wspomnień. Miejscem, z którego należy uciec, chociaż jedynym sposobem ucieczki, jaki widziała przed sobą, było zamążpójście. Oczywiście, gdyby ojciec w ogóle pozwolił jej wyjść za mąż, ponieważ wyglądało na to, że jest zdecydowany trzymać ją w za mknęciu - „z dala od drogi zła”, jak powiedział - tak, by nie poszła grzesznymi śladami swej siostry. A jeśli małżeństwo było jedynym sposobem ucieczki, to widocznie nie spotkała jeszcze odpowiedniego mężczyzny, bo nie kochała nikogo. Kochała życie, a ono wydawało się przechodzić obok niej.

W pewien ponury październikowy piątek, cały mokry od deszczu i mgły, ojciec nieoczekiwanie powrócił z Londynu i poinformował ich, że na stępnego ranka wszyscy wyjeżdżają na polowanie. Ciel i William z niepokojem popatrzyli po sobie. Ojciec był słaby i pochylony ku ziemi, nie polował już całymi latami - lecz teraz otaczała go aura stanowczości, jakiej żadne z nich nie pamiętało od dawna.

- Mam robotę, ojciec - powiedział szybko William, z nadzieją, że mu się uda wykręcić.

- Nie przyjmuję żadnych tłumaczeń - odrzekł lord Molyneux. - Pojedziecie ze mną oboje.

Następnego dnia zjawił się w stajni z samego rana, gdy Ciel i William w posępnym nastroju jedli jeszcze śniadanie i tylko chrupanie grzanek przerywało ciszę.

- Nie będzie aż tak źle - pocieszała Williama Ciel, kiedy kroczyli potem w stronę stajni. - Zawsze możesz powiedzieć, że koń ci okulał i wymknąć się wcześniej. Ja potwierdzę twoje słowa.

- William! - ryknął zniecierpliwiony ojciec, na powrót odnajdując swój rozkazujący sposób bycia. - Czemu do diabła nie opiekujesz się końmi jak trzeba? Powierzam ci je i co znajduję, wracając?

Pegeen ma obolałą pęcinę, a Black Lad kaszle. Cholera, chłopcze, czy niczego nie potrafisz zrobić dobrze?

Jak burza przeszedł się po stajniach, badawczo oglądając konie i za zdecydował, że William pojedzie na silnie zbudowanym, krótkonogim koniu o nerwowym usposobieniu, a on sam dosiadzie masywnego kasztana do polowań, na którym zwykle jeździła Ciel. Wiedziała z doświadczenia, że kasztana trudno prowadzić; odznaczał się ognistym temperamentem i skłonnością do przejmowania kierownictwa.

- Uważaj, papciu - ostrzegła go Ciel, gdy dosiadł poirytowane zwierzę. - On lubi czasem ponieść.

- Nie bądź śmieszna - odrzekł pogardliwie, kiedy kłusem wyjeżdżali z dziedzińca w aleję, zmierzając ku miejscu zbiórki na terenie sąsiedniej posiadłości. - Nigdy jeszcze żaden koń mnie nie poniósł i na pewno nie pozwolę na to również temu.

W powietrzu było pełno mgły, przypominającej falujący deszcz i tak miękkiej jak jedwab, przez to widoczność zmniejszyła się do stu metrów. William rzucił niepewne spojrzenie na grząski grunt; pojął, że jazda będzie zdradliwa i westchnął. Nienawidził koni, nienawidził polowania i nienawidził zabijania jakichkolwiek żywych stworzeń, lecz wiedział, że ojcu to sprawia wielką przyjemność, wyprostował więc ramiona i starał się siedzieć prawidłowo, w taki sposób, jak nauczył go Finn już tyle lat temu.

Ciel rzuciła wstecz spojrzenie na brata i uśmiechnęła się zachęcająco. Po tylu latach wciąż jeszcze wyglądał na koniu nieporadnie, a gdy kłusowali długą, wijącą się drogą przez teren parku do rezydencji ich sąsiada, zauważyła, jak bardzo ochoczo jedzie ojciec, tak jakby istotnie po raz pierwszy od lat nie mógł się doczekać polowania.

Gdy przyjechali, było już tam ponad dwadzieścia osób, kręcących się bezładnie wokół domu. Pijąc na rozgrzewkę strzeziennego, rozmawiano o złej pogodzie i o miękkości gruntu. Mistrz polowania zadął w róg i z okrzykami emocji, przy wtórze szczekania psów, wszyscy rozpierzchli się po polach.

Róg zabrzmiał znowu; psy złapały trop, puszczono się więc przed siebie galopem. Lord Molyneux był na samym przedzie, niskie kamienne murki przeskakując jak dwudziestolatek, za nim zaś z zapalem galopowała Ciel. William zatrzymał się, by wytrzeć mgłę z okularów, a jego koń nerwowo zarżał.

- No dobrze już, dobrze - powiedział William zniecierpliwiony, za dając sobie pytanie, dlaczego w ogóle ktoś może chcieć jeździć konno. Człapał samotnie w tyle za innymi, dziwiąc się na widok swego ojca hen, w oddali, i nieustraszonej Ciel na jej swawolnym koniku myśliwskim.

Ujrzał, jak ktoś usiłuje przeskoczyć rów; z tej odległości nie mógł dostrzec, kto to taki, lecz widział, że koń narowi się, a mężczyzna daje nura w przód nad jego głową.

- O Jezu! - krzyknął William, modląc się, aby to nie był jego ojciec. Dźgnął konia obcasami i puścił się pędem na przelaj przez błotniste pole akurat w chwili, gdy pozbawiony jeźdźca koń odwrócił się i ruszył prosto na niego. William uskoczył w lewo, chroniąc się pod drzewem, lecz tamten koń nadal zbliżał się ku niemu. I wtedy jego własny koń stanął dęba, zrzucając go w tył, tak że padając na ziemię, William trzasnął głową o gruby konar.

Ciel nie umiała powiedzieć, co kazało się jej odwrócić akurat w tym momencie; może po prostu od dawna wykształcony instynkt pilnowania brata, kiedy siedział na koniu. Widziała, jak doszło do wypadku i wrzasnęła w stronę ojca, że William spadł.

- Musiał spaść - rzucił jej ojciec.

Ciel zobaczyła, że biegną do Williama wieśniacy, którzy stali w alei i się przyglądali. Gdy szybko podjechała, cofnęli się i stanęli z pochyłymi głowami, nie mając odwagi spojrzeć na nią.

- William! - wrzasnęła, rzucając się w błoto u jego boku. Leżał na plecach. Oczy miał zamknięte; jego okrągłe okulary w srebrnej oprawce nadal tkwiły mu na nosie, a na prawej skroni, w miejscu, w które trafiła gałąź, był wielki, szkaradny siniec. Miękkie błoto zmniejszyło siłę upadku, lecz nie miało to żadnego znaczenia: zanim uderzył o ziemię, William już nie żył.

Pozostali jeźdźcy zobaczyli, że coś nie jest w porządku i czym prędzej zawrócili ku nim. Wyjęli z zawiasów drzwi wejściowe najbliższej chaty i umieścili na nich Williama. Lord Molyneux siedział na swym koniu, kierując wszystkimi poczynaniami. Martwym, pozbawionym emocji głosem polecił, by syna odniesiono do Ardnavamy.

Po twarzy Ciel płynęły łzy, kiedy wiodła ku domowi tę smutną procesję, a co kilka chwil spoglądała na Williama, przykrytego końską derką, niesionego przez wieśniaków z tyłu za nią.

- Nigdy nie powinnam mu była pozwolić wsiąść na tego konia. To wszystko moja wina - rzekła. Wówczas spojrzała na ojca, który jechał obok niej wyprostowany, z surowym wyrazem twarzy - i uświadomiła sobie, że to on jest winien temu, iż w ogóle zmuszał Williama do zostania jeźdźcem. I tylko potrząsnęła głową, płacząc z żalu za bratem.

Pogrzeb odbył się następnego tygodnia, w zimowy dzień ciemny i surowy, z deszczem przechodzącym w śnieg. Kiedy ciało Williama złożono w rodzinnym grobowcu, a ciężkie kamienne wrota zasunięto już na miejsce i zaryglowano, Ciel przypomniawszy sobie pogrzeb matki i Williama, który podnosił ją ze żwiru alejki. Przypomniawszy sobie, jak osuszał jej łzy, otrząsał płaszcz i przez całą drogę do domu trzymał za rękę. I zapłakała za swoim łagodnym, kochającym bratem.

Napisała do Lily długi list, podając jej te straszne nowiny.

Papcio trzymał się aż do końca pogrzebu - pisała. - lecz teraz jest w opłakanym stanie. Siedzi w bibliotece, gapiąc się w ścianę, nic nie mówi i wygląda tak, jakby miał sto lat, przygarbiony, z trzęsącymi się rękami, choć ani razu nie widziałam, by uronił choć jedną łzę. No ale przecież to nigdy nie było w jego stylu, czyż nie?

Marzę, by przyjechać do ciebie i zobaczyć cię. Lily, ale tylko ja zostałam do opieki nad papciem - napisała. - Nie masz pojęcia, jak niewypowiedzianie smutne jest teraz życie w Ardnavamie. biedny, kochany William, który niczego innego nie chciał, jak tylko żyć sobie w spokoju, doglądając ziemi, troszcząc się o swych ludzi, służąc Bogu i krajowi na swój własny pełen prostoty sposób - ten kochany William opuścił nas. Och, Lily, dlaczego tak się dzieje, że dobrzy ludzie naprawdę umierają młodo?

38.

Finn był w gmachu Giełdy jeszcze przed otwarciem i siedział tam również, gdy zamykano, resztę czasu zaś spędzał w biurze, pomijając niezbędne minimum na sen, tak by znów funkcjonować, gdy otwierały się rynki światowe.

- On ma obsesję na punkcie giełdy - powiedział żonie Comelius James. - O niczym innym nie myśli. Być może stara się zrekompensować klęskę, do jakiej doszło, kiedy padł bank, a jeśli tak, to robi to z powodzeniem, ponieważ zyskał już z nawiązką wszystko, co spółka wtedy straciła. Intuicyjnie wybiera dobre transakcje, tak że wydaje się, iż pieniądze wręcz płyną do jego nadstawionych rąk. I ma się wrażenie, że on tego tylko chce. Pieniądzy, pieniędzy, pieniędzy. Utracił zdolność cieszenia się życiem. - Nie zapominaj, jaki był ubogi - przypomniawszy mu. - Człowiek o takiej przeszłości zawsze myśli, że szczęście może kupić tylko za pieniądze.

Finn wziął urlop, żeby pomóc Danowi w jego kampanii wyborczej w Bostonie, nie chodził jednak śledzić Lily. Mimo to wiedział o każdym jej kroku. Prywatny detektyw, którego zatrudniał, zdążył już się dorobić niezłej sumki, pilnując codziennie pięknej i wiarołomnej pani Lily Adams, która oszukiwała swego nieświadomego rzeczy męża, przekonana, że jest tak pochłonięty pracą, iż nie przyłapie jej nigdy. I miała rację, ponieważ John wręcz wydawał się wdzięczny, że Lily czuje się zadowolona, mając nowe, interesujące ją sprawy i przyjaciół w Nowym Jorku. I oczywiście miał do niej zaufanie.

Gdy znajdowała się w Nowym Jorku, Lily szumiała z przejęcia jak szampan, bywając tu i tam na kolacjach i przyjęciach, gdzie pokazywała się u boku przystojnego, sławnego gwiazdora Broadwayu, lecz w głębi duszy gryzła ją poczucie winy. A poza tym wiedziała z całą pewnością, że wprawdzie bardzo lubi Neda, ale nie jest w nim zakochana. A w każdym razie, że nie jest zakochana do szaleństwa, namiętnie - tak, jak zawsze tego pragnęła. Wszystko było zbyt ułożone, zbyt łatwe do przewidzenia. Brakowało jej ekscytacji.

Którejś nocy, gdy już skończyli się kochać, odrzuciła pościel i skoczyła nago ku oknu. Odsunęła kotarę ze złotego brokatu, wpatrując się niestrudzenie w ciemność.

- Co się stało? - zapytał Ned, opierając się o poduszki i zapalając jedno z tych egipskich mocnych cygar, jakie ostatnio zaczął palić.

Lily zmarszczyła nos, czując przenikliwy, słodkawy zapach tytoniu.

- Czy musisz je palić? - rzekła z irytacją. - Wiesz, że tego nie znoszę.

- Nie, wcale tak nie jest. Zawsze mi mówisz, jak to przyjemnie pachnie.

- Kiedy to powiedziałam? - zapytała zapalczywie. - No, powiedz mi, kiedy, Nedzie Sheridan.

- Och, że dwie godziny temu, jak sądzę. Gdy zjedliśmy kolację w restauracji. Chyba sobie przypominam, że nawet raz pociągnęłaś. Lily tupnęła nogą ze złością.

- O Jezu - rzekła - czy ty zawsze musisz mieć rację? Czy w ogóle musimy ze sobą walczyć?

- Ależ ja nie chcę walczyć z tobą, Lily - powiedział zdumiony. - Kocham cię. Przecież wiesz o tym.

Odrzuciła w tył swe długie czarne włosy i cisnęła mu piorunujące spojrzenie.

- No tak, ale... - Przerwała i znowu odwróciła się w stronę okna. Miała zamiar powiedzieć „ale to takie nudne”. I była to prawda. Nudziła się i w gruncie rzeczy cieszyła się, że Ned nazajutrz wyjeżdża, zabierając swą trupę w trasę na drugi koniec Ameryki. Prosił ją już, by rzuciła Johna i pojechała razem z nim, by mieszkała z nim i wyszła za niego. On załatwiłby wszystko, wiedziała o tym. Ned byłby zadowolony choćby z okruchów jej miłości. Nawet gdy brał ją w posiadanie, uwielbienie, jakie żywił dla niej, kazało mu obchodzić się z nią delikatnie niczym z porcelanową lalką, która mogłaby się stłuc; a tymczasem to, czego ona pragnęła na prawdę... Znów nie dokończyła swej myśli, tym razem jednak dlatego, że nie wiedziała, czego chce. Wiedziała tylko, że to nie jest to.

Następnego ranka odprowadziła Neda na dworzec kolejowy. Aktor miał swój prywatny wagon, a w nim sypialnię z błękitnym dywanem i mosiężnym łóżkiem, łazienkę wyłożoną mahoniowym drewnem i salonik z czerwonym pluszem, w pełni wyposażony, z fotelami i roślinami w doniczkach.

- Miejsca jest tu aż nadto dla nas dwojga - zaproponował Ned z na dzieją, ale ona się tylko zaśmiała, pokręciła przecząco głową i pocałowała go na pożegnanie.

Cofnął się w ślad za nią po schodkach na peron, odwlekając moment rozstania, a ona popatrzyła nań smutno, przechylając głowę na bok.

- Będę tęsknić za tobą, Ned, kochanie - powiedziała mu, myśląc o tym, że jest głupia, bo istotnie

powinna opuścić Johna i jechać razem z nim.

- Ani w połowie nie tak bardzo, jak ja za tobą - odparł Ned, po czym wskoczył z powrotem do wagonu, bo pociąg wypuścił parę, sapnął gniewnie, zagwizdał, a potem ze stukotem kół ruszył z peronu. Wychylił się z okna przyglądając się, lecz Lily nie pozostała, by machać mu ręką. Odwróciła się i zdecydowanym krokiem odeszła z peronu, a także z jego życia. Jeszcze jeden raz.

Następnego tygodnia Comelius James wrócił do biura po obfitym lunchu zjedzonym w towarzystwie pewnego starego przyjaciela i kolegi po fachu, który poprzedniego roku przeszedł na emeryturę.

- Powinieneś tego zakosztować, Comeliusie - powiedział mu przyjaciel. - Popatrz na mnie. Popatrz, jak cieszę się życiem. Nauczyłem się grać w golfa i w tenisa ziemnego. W czasie weekendu pływam żaglówką w Newport wraz z synem i nareszcie mam czas dla swych wnuków.

- Coś w tym jest - odrzekł w zadumie Comelius. - Jedyne problemy w tym, że ja nie mam syna, ani nawet córki, nie mówiąc już o tak rozkosznych wnuczętach, jak twoje. Ale pani James robi się nieco słabowita; powiadają, że to artretyzm, usztywnienie stawów i tak dalej. Może będzie czuła się lepiej w bardziej suchym klimacie. Siedząc przy biurku, pokręcił głową, myśląc o lodowatych bostońskich zimach ze śniegiem i deszczem, kiedy to przez całe miesiące Beatrice nie mogła wyjść choćby krokiem za próg. Westchnienie żalu przeszło w spazm, gdy zaskoczył go nagły ból w klatce piersiowej. Mówiąc sobie, że musiał za dużo zjeść i wypić w czasie lunchu, wezwał swego sekretarza i poprosił go o przyniesienie szklanki wody.

Kiedy sekretarz powrócił z karafką i szklanką na srebrnej tacy, głowa Comeliusa spoczywała na oparunku w skórę księdze bieżącej, która leżała przed nim na biurku.

- Panie James, sir! - krzyknął mężczyzna. Postawił tacę, szybko znalazł się przy szefie i podniósł go, lecz wtedy pojął, że jest już za późno. Comelius James nie żył.

Pogrzeb odbył się w Bostonie, lecz Beatrice nie mogła w nim uczestniczyć, mokra pogoda bowiem pogłębiła jej artretyzm tak, że nie była w stanie chodzić; ba, nawet na wózku inwalidzkim nie mogła siedzieć dłużej niż przez pięć minut, inaczej ból stawał się nie do zniesienia. Przed zamknięciem trumny pocałowała męża na pożegnanie i z okna swojej sypialni, wychodzącego na Louisburgh Square obserwowała, jak z frontowych schodów znoszą trumnę żałobnicy, na których czele stał protegowany jej męża, Finn O'Keefe.

Później odbyła się w domu stypa, złożona z sherry dla pań i rozgrzewającej whisky dla panów, oraz z małych porcji tortu i zwykłych biszkoptów. Finna poproszono, aby został jeszcze na odczytanie testamentu, które nastąpiło w bawialni Beatrice.

Adwokat odchrząknął. Popatrzył na starszą panią i na młodego człowieka, którzy w wyczekującej pozie siedzieli na kanapie z prostym oparciem, w stylu królowej Anny, i rzekł:

- Moją jedyną powinnością jest powiadomić was o treści „Ostatniej woli i testamentu” Comeliusa Jamesa. Jest to sprawa bardzo prosta i jasna. - Pełen współczucia wzrok skierował na wdowę. Znał ją od wielu lat i smutkiem napawał go fakt, że tak szybko stała się słabowita i stara. - Beatrice, chciałbym złożyć pani moje najgłębsze kondolencje. - powiedział - Comelius był dobrym człowiekiem i dobrym przyjacielem.

- I dobrym mężem - rzekła ze spokojnym, nikłym uśmiechem. Testament Comeliusa okazał się zwięzły i treściwy.

Mojej drogiej żonie, Beatrice Marcie James, zapisuję połowę swego majątku, do korzystania i dysponowania nim tak, jak tego pragnie, dla własnej wygody i przyjemności. Zapisuję jej również

dom na Louisburgh Square z całą jego zawartością i wyposażeniem, by korzystała zeń lub dysponowała nim zgodnie ze swym życzeniem. Finnowi OKeeffe, młodemu człowiekowi, który zyskał serce mojej żony i moje swoim oddaniem i zdolnością do ciężkiej pracy, wytrwałością w polepszaniu swego bytu wbrew wszelkim trudnościom, wierną przyjaźnią i dobrocią serca - pozostawiam drugą połowę mojego majątku. Przekazuję mu także swoją firmę. Przejmie on Jamesa i Spółkę i zostanie jej prezesem i przewodniczącym. Są tylko dwa zastrzeżenia dotyczące nazwisk: po pierwsze, że nigdy nie zmieni nazwy James i Spółka, umieszczając w zamian nazwisko własne lub kogoś innego, po drugie zaś, że w dniu, w którym stanie na czele Firmy, przyjmie on moje nazwisko i zostanie Finnem OKeeffe Jamesem. Tytułem wyjaśnienia powiem, że wielką niedolą dla mojej żony i dla mnie samego stał się fakt, iż nigdy nie mieliśmy własnego syna, i chciałbym sobie pozwolić na tę drobną próżność, zapewniając naszemu nazwisku ciągłość dzięki pośrednictwu młodego człowieka, którego z dumą nazywalibyśmy naszym synem.

- I to już jest wszystko, Beatrice i panie OKeeffe - rzekł prawnik, ponownie składając papiery.

Finn ujął oburącz zdeformowane naroślami dłonie Beatrice. W oczach stały mu łzy, kiedy mówił:

- Pani James, jestem głęboko wzruszony, lecz nie mogę przyjąć po łowy majątku Comeliusa.

Pieniądze należą do pani. Uśmiechnęła się, łagodnie poklepując go po dłoni.

- Ja ich nie potrzebuję powiedziała mu cichym głosem. - Dla siebie mam aż nadto, a to, co zostanie, przejdzie na własność kościoła, gdy ja już pójdę połączyć się z Comeliusem. On chciał, żebyś miał pieniądze, żył na poziomie odpowiadającym twej pozycji prezesa jego firmy. I miał do ciebie zaufanie, że nie splamisz jego nazwiska.

- Będę się starał ze wszystkich sił, proszę pani - obiecał Finn.

- I jeszcze jedna sprawa - rzekła Beatrice. - Planuję przenieść się w strony o bardziej suchym i cieplejszym klimacie. Do Kalifornii. Lekarze mówią, że zrobi mi to dobrze na mój artretyzm i że mogę nie wytrzymać jeszcze jednej zimy na Wschodnim Wybrzeżu. Chcę dać ci ten dom. Jestem pewna, że tego właśnie pragnąłby Comelius.

Po kilku tygodniach Beatrice wyjechała do Kalifornii, a Finn stwierdził, że jest właścicielem domu, w którym kiedyś pracował jako chłopak stajenny. „Ach, gdyby tylko” - myślał sobie, krążąc po wielkich, eleganckich, przestronnych pokojach „gdyby tylko to była Ardnawama!” Nie szkodzi. On, Finn OKeeffe James, który się wyrwał z bagien i ze slumsów Dzielnicy Północnej, osiągnął rzecz niemożliwą. Dostał się do najbardziej ekskluzywnej enklawy starej gwardii Bostonu, na Beacon Hill. Jest właścicielem wspaniałego domu na Louisburgh Square i posiadaczem fortuny. A tuż za rogiem mieszka jego sąsiadka, Lily.

39.

John Adams podniósł wzrok znad książki, którą właśnie czytał, gdy do pokoju weszła jego żona. Popołudnie było posępne i szare, z zaskoczeniem więc stwierdził, że Lily właśnie odbyła swoją zwykłą przejażdżkę; w ostatnim okresie jednak wciąż wydawała się taka znudzona... Prawie w ogóle nie jeździła do Nowego Jorku, a on, czując się winny, zadawał sobie pytanie, czy nie powinien postarać się i sam ją tam zabrać. Ale do diaska, był tak bardzo zajęty i musiał przeprowadzić jeszcze tyle badań po niezbędnych do napisania następnej książki. Jednakże lato niedaleko. Wywiezie ją wtedy znów do Europy, a może tym razem uda im się pojechać gdzieś dalej, do Grecji albo nawet do Turcji... A tymczasem, przynajmniej tego wieczoru, będą mieli towarzystwo. To powinno sprawić jej przyjemność.

- O, tutaj jesteś, kochanie - odezwał się, patrząc jak w ponurym nastroju rzuca płaszcz prosto

w oczekująco nadstawione ręce swej po kojówce przechodzi przez pokój do kominka, by ogrzać sobie dłonie.

- Naturalnie, że tutaj jestem, John - rzekła z irytacją. - A gdzie miałabym być? - Odwróciła się plecami do ognia i podciągnęła wysoko swą długą spódnicę z fioletowej wełny, grzejąc sobie siedzenie, on zaś zdumiony, gapił się na nią.

Lily zaśmiała się.

- Mój papcio zawsze właśnie w taki sposób podnosił sobie poły surduta - powiedziała. - Wiem, to nie przystoi damie, ale rozgrzewa cię szybciej niż prawie wszystko, co przychodzi mi na myśl. - Poza kochaniem się, pomyślała tęsknie.

- Nigdy nie mówisz na temat swego ojca - rzekł zaskoczony. - Nie sędzę, żebym wiele o nim wiedział.

- Jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz - odpaliła. - żadna z nich nie ma najmniejszego znaczenia. - Spojrzała na osiemnastowieczny francuski zegar, stojący na marmurowym obramowaniu kominka, cały w pozłacanych amorkach, pękach kłosów zbóż i kwiatów. Był niezwykle piękny, a jego wskazówki pokazywały czwartą.

- To dopiero taka pora? - wykrzyknęła, zachnąwszy się nagle. - Jak też godziny mogą płynąć tak wolno?

- Nawet ty nie możesz zmienić rytmu mijania czasu, Lily - zaznaczył łagodnym tonem.

- A gdybym mogła, cofnęłabym go - odparła.

- Będziemy mieć gościa - powiedział. - Niejakiego pana Jamesa. To jakiś krewny starego Comeliusa Jamesa. Właśnie odziedziczył jego piękny dom na Louisburgh Square, a wraz z nim sporą bibliotekę rzadkich książek. Powiada, że nic nie wie na ich temat, i potrzebuje mojej porady. Zaprosiłem go więc tutaj na herbatę. Na piątą.

- To bardzo ekscytujące - rzekła zjadliwie Lily.

- Tak, też sobie tak pomyślałem - uśmiechnął się do niej promiennie John. - Będzie ci miło go poznać, moja droga.

Lily westchnęła. Uważała, że jakiś kolekcjoner starych książek to coś lepszego, niż w ogóle nie mieć gości.

- Przyjdę tu - obiecała, wychodząc z pokoju, jakby płynęła. John musiał przyznać przed samym sobą, że nie mógł się oprzeć swego rodzaju wyzwaniu, jakie złożył przed nim młody pan James.

Na temat rzadkich książek nie wiem niczego napisał mu w swoim liście - a z najlepszego źródła słyszałem, że pan jest ich znawcą, sir. Usilnie pana proszę, panie Adams, proszę mnie oświecić.

Zadzwoił wtedy do pana Jamesa, przynajmniej raz zadowolony z tego, że Lily wcześniej uparła się, by zainstalować w domu tę nowomodną maszynę, i zaprosił go do siebie jeszcze tego samego popołudnia.

Uśmiechnął się, odkładając książkę, gdy usłyszał dzwonek u drzwi wejściowych i pokojówkę śpieszącą przez hol.

- Witam, witam, młody człowieku - zawołał wesoło, ściskając mu dłoń i oceniając go wzrokiem. Domyślał się, że James zbliża się do trzydziestki, był przy tym szczupły i ciemnowłosy, z wąsem i pełnymi zadumy szarymi oczyma. Przyniósł ze sobą powiew zimnego powietrza z ulicy i jakiś strumień ożywienia i przejęcia, jak gdyby był mężczyzną idącym do boju, a nie przychodzącym na konsultację w sprawie rzadkich książek do takiego starego piernika jak on.

- Miło mi pana poznać, sir - powiedział Finn, patrząc na człowieka, który jest mężem Lily

i zwracając uwagę na jego lekko podniszczony, ale dobry garnitur, na jego wiek i szczerą serdeczność powitania. Spróbował swoje serce uczynić nieczułym w stosunku do niego. Rozejrzył się po pokoju. Wzdłuż ścian stały półki z książkami, pełno tu było rysunków, obrazów i przykrytych od góry szkłem szafek na bibeloty. Widząc jego zainteresowanie, John wprowadził go dalej i zaczął pokazywać mu niektóre ze swych skarbów.

Weszła służąca z herbatą na tacy, a John uśmiechnął się przepaszająco do Finna, gdy zasiedli przy kominku.

- Jestem pewien, że moja żona za kilka minut przyłączy się do nas - rzekł wesoło. - A tymczasem proszę mi opowiedzieć o swoich książkach.

Finn powiedział mu, że wie, iż są stare, a być może nawet rzadkie i cenne. Ale przez cały ten czas wyczekiwał, że z holu dobiegnie odgłos szybkich, znajomych kroków Lily.

Musiała mieć pantofle o miękkich podeszwach, ponieważ Finn nie usłyszał kroków, a tylko odgłos otwieranych drzwi.

- Ach, jesteś tu wreszcie, Lily - rzekł John. - Chodź, poznaj naszego nowego sąsiada, pana Jamesa.

Lily pomyślała, że zemdleje; na kilka sekund została przeniesiona wstecz, do Ardnavamy, i znów byli razem: tylko ona i Finn, dwoje przy jaciół, nierozłącznych jak zawsze. Zapragnęła podbiec do niego i zarzucić mu ręce na szyję, radośnie wołając: „To ty, Finnie. Ty! Przecież na reszcie wróciłeś po mnie”.

Na jej policzki wypłynął rumieniec i tylko stała w miejscu, patrząc na niego.

- Czy wszystko w porządku, Lily? - zapytał ją mąż z troską w głosie.

- W idealnym porządku - odpowiedziała cicho. - To tylko pan James przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałam. Bo to jest pan James, czyż nie?

- Tak, proszę pani - odrzekł, ujmując jej drżącą, zimną dłoń uśmiechnął się. - Żeby być dokładnym, Finn O'Keeffe James. Był to jeden z warunków otrzymania spadku po panu Jamesie - wytłumaczył. - Chciał, aby prezes nadal nazywał się James.

- Jest pan bardzo młody jak na prezesa biura maklerskiego - za uważył John.

- Najmłodszy na Wali Street, proszę pana - Finn rzucił szeroki uśmiech tryumfu w stronę Lily. Mógłby przysiąc, że w jej zdumionych oczach zalśniły łzy. To była chwila prawdziwego tryumfu. Stało się to, po co pracował, na co miał nadzieję i na co czekał przez tyle długich lat. Serce szarpnęło mu spazm miłości, choć wmawiał sobie, że jej nienawidzi i że odpłaci jej pięknym za nadobne.

Lily drżały ręce, gdy podawała mu filiżankę herbaty, a on posłał jej uśmiezek osoby dobrze poinformowanej, który oznaczał, że ma nad nią władzę. Może powie panu Adamsowi prawdę i zniszczy jej nowe życie tak, jak kiedyś ona zniszczyła jemu.

John rozmawiał z zapalem o nowej bibliotece Finna, lecz do Lily z trudem cokolwiek docierało.

- Myślę o tym, żeby wydać w następnym tygodniu skromną kolację powiedział później, już wychodząc, Finn. - Byłbym zachwycony, gdybyście państwo zechcieli być moimi gośćmi.

John powiedział szybko, że ze względu na nagłą pracę musi od mówić.

- No to może pani Adams zechciałaby przyjść sama. - Lily rzuciła Finnowi pełne furii spojrzenie, on zaś uśmiechnął się do niej rozbawiony. Tak dobrze znał ten wyraz twarzy: ściśnięte nozdrza, piorunujący wzrok, udana obojętność. Och, on potrafił powiedzieć, kiedy jest na prawdę wściekła.

John spojrzał na swą milczącą żonę.

- Jaki to dobry pomysł; choć raz będziesz miała rozrywkę.

- A więc w piątek. O ósmej - powiedział Finn.

Lily podeszła do okna i przyglądała się, jak ich gość rażno kroczy ulicą Mount Vernon, po czym pobiegła na górę, do swego pokoju i rzuciła się na łóżko, drżąc z podniecenia. Finn O'Keefe znowu pojawił się w jej życiu; mieszka tuż za rogiem, na Louisburgh Square. Jest bogaty, jest człowiekiem sukcesu. I do licha, jest tak samo diabelnie pociągający jak zawsze.

Przeżywała od nowa każdy szczegół jego wizyty, nie mogąc wyjść ze zdumienia, jak bardzo się zmienił od czasu, gdy widziała go ostatni raz. Wtedy rozstała się z odchodzącym od zmysłów szaleńcem, całym czarnym od miazgi węglowej, teraz zaś miała przed sobą dobrze ubranego, uprzejmego światowca, będącego na równej stopie z jej mężem i równego jej samej.

Nagle przejął ją dreszcz złego przeczucia: wiedziała, że Finn nie zmierza do niczego dobrego, czuła to przez skórę. Poznała to po jego świadomym rzeczy uśmiechu, po przedłużonym dotyku jego rąk, którym dawał jej do zrozumienia, że mógłby zrujnować jej życie. Wiedziała, że gdyby Finn kiedykolwiek powiedział Johnowi prawdę, ten by się z nią rozwiódł. Człowiek należący do bostońskich Adamsów nie tolerowałby dziwki z nieślubnym dzieckiem, niezależnie od tego, jak wysokie było jej pochodzenie. Nawet rodzony ojciec wyrzucił ją z domu i wiedziała, że po mężu nie mogłaby się spodziewać niczego lepszego.

Pomyślała z rozpaczą o wszelkich kłamstwach i półprawdach, jakie wcześniej opowiadała - i westchnęła. Wszystko to zaszło za daleko; już za późno na tłumaczenia i prawdę. Taka możliwość przepadła dawno temu, gdy ona była głupią siedemnastoletnią dziewczyną, która myślała, że zjadła wszystkie rozumy.

Po sto razy przykazywała sobie, że nie pójdzie na proszoną kolację u Finna. Ale kiedy już piątkowy wieczór nadszedł, najzwyczajniej nie mogła się oprzeć. Z dziesięć razy, aż do ostatniej chwili, zmieniała postanowienie co do tego, jak ma się ubrać, ściągając z siebie suknię z błękitnego aksamitu, którą dopiero co włożyła i polecając służącej, by wyjęła suknię z czerwonego jedwabiu, mówiąc sobie w duchu, że jeśli Finn chce oglądać odzianą w purpurę nierządnicę, to będzie ją miał. Włożyła czarny gorset, który ścisnął ją w talii, czerwone jedwabne pończochy i takie same rękawiczki. Dodała do tego rodowe klejnoty Adamsów: kolczyki z rubinów i diamentów, naszyjnik i dwie dobrane do tego bransolety. Na ramiona zaś narzuciła długą do ziemi pelerynę ze srebrnych lisów.

Rzuciła wściekle spojrzenie na własne odbicie w lustrze, mówiąc sobie, że jest głupia, zadając sobie tyle trudu dla Finna O'Keeffea - po czym kopnięciem zrzuciła z nóg pantofle, cisnęła pelerynę na ziemię, a sama przygnębiona opadła na krzesło. Z jękiem złożyła głowę w rękach. Co ona robi? Ba, o czym myśli? Nie pójdzie tam. Zdecydowanie nie pójdzie.

Przemierzała pokój, trzymając ręce ciasno skrzyżowane na piersiach, a dłonie kurczowo zaciśnięte w pięści. W udręce spojrzała przez okno na powóz czekający pod latarnią uliczną. Noc była czysta, mroźna i Lily przejął dreszcz.

- O Jezusie! - wrzasnęła, rzucając się całym pędem znów na drugi koniec pokoju i wsuwając stopy w pantofle. Zarzuciła sobie na ramiona pelerynę z lisa, chwyciła swą złotą wieczorową torebkę i szybko, by nie zdążyć się rozmyślić, ruszyła ku drzwiom.

Dom na Louisburgh Square był odległy tylko o kilka minut drogi. Powoli weszła po szerokich kamiennych schodach i zadzwoniła do drzwi, drżąc, gdy przypomniawszy sobie, jak owego fatalnego dnia też przybyła sama do zamku Hathaway.

Finn otworzył drzwi na oścież.

- No jesteś, Lily-powiedział, ujmując jej rękę i wciągając do środka. - Witaj w moim domu.

- Dobry wieczór, Finn - rzekła oziębło. - Czy mam przez to rozumieć, że to koniec z udawaniem, iż się wzajemnie nie znamy?

- Tak jest. Na czas, kiedy jesteśmy sami - odpowiedział ze śmiechem. - Obiecuję ci, Lily, że wszystkie twoje tajemnice są bezpieczne, jeśli o mnie chodzi. - Nie dodał wprawdzie, że „są chwilowo bezpieczne”, lecz ona wyczytała to w jego oczach.

Zbliżył się główny lokaj, żeby wziąć od niej pelerynę, ona zaś rzekła:

- To miło przekonać się, że wspinałeś się tak wysoko. Mam nadzieję, że jesteś mi za to wdzięczny. Ostatecznie, gdyby nie ja, przez cały czas jeszcze wydobywałbyś torf na mokradłach i niszczył sobie wnętrzności, żłowiąc gorzałkę.

- Istotnie, byłoby tak, Lily - odrzekł ze spokojnym, nieznacznym uśmiechem. - Więc teraz dziękuję ci za to, że splamiłaś mój honor. Dzięki Bogu, znalazł się człowiek lepszy niż twój ojciec, który stwierdził, że pod brudem i końskim łajnem może się kryć ktoś wart zachodu. Zaczynałem jako chłopak stajenny, tu, w tym domu. Pan James zrobił mnie stangretem, a później dał mi życiową szansę. Nigdy nie spoglądałem wstecz. Tylko do Ardnawamy wracałem we wspomnieniach. Do chwil, gdy byliśmy razem, Lily, tylko ty i ja, jadąc konno o świcie.

Wpatrywał się w nią. Wyglądała jeszcze śliczniej, niż kiedy była dziewczyną. Czarne włosy miała spiętrzone w lśniące fale, jedno lub dwa delikatne pasemka wiły się wokół jej twarzy i z tyłu na karku, zaś jej ciemnoniebieskie oczy błyszczały gniewem. Serce podskoczyło w nim tak samo jak wtedy, gdy miał szesnaście lat i właśnie się w niej zakochał. Wiedział jednak, że nie przyszła tu, żeby go błagać o przebaczenie. Lily nie robiła tego nigdy, nawet wobec swojego papcia.

Rozglądała się po pustym salonie.

- Czy przychodzę jako pierwsza? - spytała zaskoczona.

- Usiądź tu, Lily - rzekł, prowadząc ją w stronę fotela przy kominku. - I owszem, jesteś pierwsza. - Posłał jej ten znajomy, szydarczy uśmiech. A zarazem ostatnia.

Wstrząśnięta, wpatrywała się w niego, a potem z westchnieniem żalu oparła się w fotelu.

- Powinam się tego domyślić - powiedziała. - Ciągle jeszcze nie jesteś dżentelmenem, Finnie, mimo tego przebrania.

- A są wśród nas również tacy, Lily, którzy podejrzewają, że mimo twojego przebrania, ty z kolei nie jesteś damą.

Przez chwilę piorunowali się nawzajem wzrokiem, a potem Lily wbrew własnym chęciom zaczęła się śmiać.

- O Jezu, Finnie O'Keeffe - wykrzyknęła. - Kto by w ogóle o tym pomyślał? Spójrz tylko na siebie. Papić przewróciłby się w grobie, gdyby kiedyś cię takim zobaczył.

- A więc twój ojciec umarł?

- Nie, nie umarł, choć równie dobrze mógłby być nieżywy. Ale mamusia umarła. I William też. Wypadek podczas jazdy konno. Finn odezwał się, szczerze zasmucony: - Biedny William. Nawet ja nie potrafiłem zrobić z niego jeźdźca.

- Ciel siedzi teraz w domu i opiekuje się papciem - rzekła. - Zrobił się stary i zgrzybiały. Ciel powiada, że przez pół dnia papić tylko siedzi i gapi się po ścianach biblioteki. To dla niej przykre, ale nie może zostawić go całkiem samego. - Jej oczy napotkały wzrok Finna. - Och, Finn - wyszeptowała - każdej nocy śni mi się, że wracam. I to nawet wiedząc, że już nigdy nie może być tak samo, jak wtedy.

Przyglądali się jedno drugiemu, przypominając sobie, jak sprawy miały się kiedyś. Następnie Finn podniósł się i powiedział zwięźle:

- Twoje wspomnienia są zapewne lepsze od moich. Pamiętam tylko ciężką pracę i to, że byłem zdany na łaskę i niełaskę twego papcia. To, czy mam dach nad głową i to, czy mam pełny żołądek, wszystko zależało od pańskiego kaprysu. Pamiętam chwilę, gdy mianował mnie przybocznym stajennym, a ja myślałem, że osiągnąłem już szczyt moich aspiracji.

Nalał szampana i rzucił jej chłodne spojrzenie.

- Dopiero dzięki tobie uświadomiłem sobie, że moja ambicja może sięgać dalej niż stan ubogiego irlandzkiego stajennego, który nadaje się do koni, ale poza tym do niewielu rzeczy. Jednakże co było, to było. Już pora zostawić to za sobą, Lily. Wypijmy za naszą przyszłość.

Popatrzyła na niego czujnie.

- Czy mówisz to na serio?

- Och, pewnie, że na serio. - I podniósł swój kieliszek.

- A więc za przyszłość - odrzekła.

- Za naszą przyszłość - poprawił ją z uśmiechem, ponieważ znów spostrzegł ten zdradziecki rumieniec.

Zapalono świece w srebrnych kandelabrach, a Finn odesłał szefa służby i powiedział, że sam zadba o swego gościa.

- Ostatecznie - zwrócił się do Lily - wiem, jak się to robi. Z czasów kiedy byłem lokajem.

- Zniszczysz mi reputację - ostrzegła Lily, gdy lokaj dyskretnie zamknął za sobą drzwi i pozostali sam na sam. Wyszczerył w uśmiechu zęby.

- I wtedy będziemy oboje w takiej samej sytuacji. Oko za oko, reputacja za reputację. Poza tym, Lily, nie masz w tym mieście dobrej opinii, którą można by zniszczyć; przekonałem się o tym już dosyć dawno.

- Spojrzała nań wściekła ponad stołem, a on rzekł: - Wszyscy w Bostonie słyszeli, że John Adams ożenił się ze swą irlandzką gospodynią. Wszyscy, naturalnie, którzy się liczą, wydaje się więc, że ty się w tym mieście nie liczysz. Musi być dla ciebie czymś całkiem nowym fakt, że nie zostałeś przyjęta.

Tonem obronnym powiedziała:

- Mam swoich własnych przyjaciół.

- Tak, o nim także słyszałem. - Podbródek Lily aż podskoczył ku górze i wpatrzyła się w Finna wytrzeszczonymi oczyma. - Ned Sheridan - dodał. - Przystojny, młody aktor.

- Rodzina Neda przygarnęła mnie po zatonięciu „Hibernii”. Opiekowali się mną jak rodzoną córką. Ned jest dobrym człowiekiem, to mój przyjaciel... A zresztą, po co to wszystko? - rzekła ze wzruszeniem ramion. - Nie mam zamiaru się tłumaczyć. Przyznaję, poślubiłam Johna, ponieważ był to dla mnie jedyny sposób wydostania się z życia wypełnionego harówką. Jakże miałam inne wyjście? A poza tym jest on miłym człowiekiem, dobrym i łagodnym i szczerze go kocham. Tylko...

- Tylko co?

Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Czy muszę tłumaczyć?

- Niczego nigdy nie musisz mi tłumaczyć, Lily. Myślę, że znam cię lepiej niż siebie samego. - Sięgnął ręką poprzez stół i ujął jej dłoń. - Lily, co stało się z dzieckiem?

Lily poczuła, że krew odpływa jej z twarzy, z żył, wreszcie z serca, które zmieniło się w kawałek

kamienia. Wyuczyła się już nigdy nie myśleć o dziecku; nikt o nim nie wiedział, poza Nedem, który jednak nigdy nie mówił na ten temat. Pogrzebała swojego syna na samym dnie pamięci, razem z Dermotem Hathawayem.

- Ja... ja nie wiem - rzekła w końcu.

- Nie wiesz? Ale przecież musisz wiedzieć. Czy wskutek katastrofy statku poroniłaś? Czy ono umarło, Lily?

Zerwała się na równe nogi i pobiegła ku drzwiom, lecz on chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

- Lepiej odpowiedz mi na to pytanie, Lily - rzekł szorstko. - Rozmawiamy o dziecku, któreomal nie zniszczyło życia nam obojgu.

- Oddałam je - odpowiedziała słabym głosem. - Nie mogłam nawet znieść jego widoku. Dla mnie ono nigdy nie istniało.

Pomógł jej usiąść na krześle i stanął obok, patrząc na nią. - Powiedz mi, kto to był - rzekł - abym mógł wiedzieć, kogo mam za to zabić.

Spojrzała na niego z przerażeniem. Było dla niej jasne, że mówi poważnie.

- W takim razie musisz zabić mnie - westchnęła - ponieważ to ja jestem winna. To ja zrzuciłam winę na ciebie tak, jak robiłam to zawsze, myśląc, że później wszystko jakoś załatwię. - Złożyła głowę w dłoniach.

- Mój Boże, byłam taka naiwna - jęknęła boleśnie - i taka głupia. Finn patrzył na nią pełen litości; nie płakała, a on wiedział, że działo się tak dlatego, że wcześniej już wylała wszystkie łzy. Zapragnął otoczyć ją ramionami, lecz nie zrobił tego. Ujął tylko jej dłoń i powiedział:

- Przepraszam. Przed chwilą uznaliśmy, że przeszłość należy po grzebać. Zapomnijmy o tym, Lily. Po prostu cieszymy się z dzisiejszego wieczoru, z tego, że znów jesteśmy razem.

Spojrzała na niego z nadzieją, że naprawdę tak myśli i że się jej upiekło, bo Finn już nic nie powie jej mężowi.

- Och, Finn - powiedziała drżącym głosem. - Tak bardzo mi ciebie brakowało.

- A jak mi brakowało ciebie... Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że ty i ja będziemy siedzieć razem przy kolacji tak jak teraz? Uśmiechnęła się.

- Nigdy. I to do tego w twym własnym wspaniałym domu. Widocznie jesteś jeszcze bystrzejszy, niż sądziłam, skoro tyle zdołałeś osiągnąć.

- Pracowałem na to cholernie ciężko. Dan zresztą też. Ach, ale widzę, że nic nie wiesz o moim bracie. Na pewno słyszałaś już o sklepach Daniela? Zaczął od jednego, a teraz ma ich dwa tuziny, i przez cały czas się rozrastają. - Uśmiechnął się z dumą. - Czy mogłabyś kiedykolwiek pomyśleć, że Dan okaże się biznesmenem? A nie słyszałaś jeszcze tego, co najlepsze. Myślałem, że może czytałaś o nim w bostońskich gazetach. Dan był senatorem stanu Massachusetts, a teraz został wybrany do Kongresu. Mój starszy brat siedzi sobie tam, w Waszyngtonie, uprawiając po litykę i zmieniając prawa. - Popatrzył na Lily wyzywającym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć, żeby spróbowała dokonać więcej, jeśli potrafi.

Ta zaś przypominała sobie dwóch młodych braci Irlandczyków i radość, przepelniającą ich owego dnia w stajniach, kiedy jej ojciec wyniósł Finna do stanowiska stajennego, a z Dana zrobił naganiacza.

- Jacy wy obaj jesteście inteligentni! - nie mogła wyjść z podziwu. - Ja zdołałam tylko wyjść za mąż dla pieniędzy, za to ty wraz z Danem odkryliście tajemnicę sukcesu.

Finn zapomniał o przeszłości, napawając się przyjemnością goszczenia Lily tu, w swoim domu; Lily siedzącej naprzeciwko niego i tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by jej dotknąć. I rozpaczliwie pragnął chwycić ją w ramiona; chciał tego bardziej niż czegokolwiek innego w świecie. Westchnął. Tak; to się nigdy nie zmieni.

- O Jezu! - wykrzyknęła, gdy po kolacji rzuciła się na sofę ustawioną przed kominkiem w salonie. - Jestem taka szczęśliwa, Finnie O'Keeffe, ach, jaka szczęśliwa, że cię odnalazłam. Mojego starego przyjaciela.

Usiadł przy niej i objął ją ramieniem.

- Czy tylko tym byliśmy dla siebie, Lily? Przyjaciółmi? Lily spojrzała w jego szczupłą, urodziwą twarz, która znalazła się tak blisko jej twarzy, teraz już starszą; na piersiach czuła dotyk jego silnego ciała; i patrzyła w oczy jedyne go mężczyzny, co do którego miała pewność, że kochała go zawsze. Dreszcz podniecenia przeszedł wzdłuż całego jej ciała, wędrując od czubków palców u stóp aż do łędźwi, brzucha i piersi, a kiedy dotarł do jej warg, pocałowała Finna.

- Tego właśnie pragnę - rzekła do siebie, wtulając się jeszcze bardziej w jego objęcia. - Właśnie tego zawsze pragnęłam. Już od chwili, gdy na tyle dorosłam, żeby rozumieć, co to jest miłość.

Ręce Finna pieściły ją, a ona chciała, by nie przerywał tego nigdy. Dermotowi prawie udało się ją zniszczyć, a Ned Sheridan przywrócił ją życiu, ale to Finn był tym, którego zawsze kochała. Zrobiłaby wszystko, o co by ją poprosił, dosłownie wszystko. Tylko nie w tej chwili.

Odsunęła go od siebie.

- Nie mogę - powiedziała drżącym głosem. - Nie tutaj...

- Więc przyjedź do Nowego Jorku.

- Jutro - zgodziła się szybko. - Będę na pewno.

Odprawiał ją do domu cichymi i zimnymi ulicami, oświetlonymi latarniami gazowymi, często zatrzymując się w ciemnych miejscach, żeby ją pocałować. Przy głównych drzwiach do jej domu życzyli sobie konwencjonalnie dobrej nocy, a Lily wsunęła do torebki wizytówkę z nowojorskim adresem, którą jej dał.

Jutro wieczorem - szepnęła. - O siódmej.

Spostrzegła, że jego oczy zajaśniały uśmiechem.

- Będę czekał - obiecał.

W Nowym Jorku padał śnieg; grube wirujące płatki gładką warstwą pokrywały chodniki, a gdy Lily śpieszyła do Willi Finna, przystrajały jej czarne włosy niczym ślubne konfetti. Miała na sobie swój płaszcz ze złocistych soboli i taką samą czapkę w rosyjskim stylu, tak że gdy Finn, otworzywszy drzwi, ujrzał ją, roześmiał się i powiedział, że z zaróżowionym nosem i różowymi policzkami wygląda kropka w kropkę jak zmarznięty złoty niedźwiadek.

- Ale to ty byłeś niedźwiadkiem - rzekła ze śmiechem. - Czy nie pamiętasz, jak cię zmusiłam, żebyś zatańczył dla Ciel?

- Pamiętam - odpowiedział, wydobywając ją z okrycia.

- Czy w ogóle mi to kiedyś wybaczyłeś? - zapytała, wykonując obrót w jego ramionach i uśmiechając się do niego. - Wybaczyłem ci to naprawdę i wiesz o tym.

- I... i wszystkie inne rzeczy, którymi sprawiłam ci przykrość? Wzruszył ramionami.

- Ty wiesz, że każdy zawsze ci wszystko wybacza, Lily.

- Och, Finn - zawołała uszczęśliwiona, podnosząc ręce i splatając je wokół jego szyi. - Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy tutaj naprawdę. Znowu razem. Prawie jak za dawnych czasów.

- Tyle że jeszcze lepiej - zamruczał, zagłębiając twarz w jej włosy - ponieważ teraz ty i ja jesteśmy sobie równi, Lily. Mogę trzymać cię w objęciach. A nigdy bym się na to nie odważył - za tych dawnych czasów.

Jej chłodne usta złączyły się z jego ustami i przylgnęli jedno do drugiego, pijąc siebie nawzajem. Po czym Lily odsunęła go ze śmiechem.

- Nie mogę oddychać - poskarżyła się. Finn zaczął wyjmować szpilki z jej włosów, które opadły lśniąco czarną falą i sięgnęły jej pasa, on zaś przeczesywał je dłońmi, zdumiewając się ich pachnącą miękkością.

Wziął ją za rękę i razem przeszli do sypialni. Był to pokój z ciemno zielonymi ścianami i wysokimi regałami pełnymi książek. Na parkiecie leżał turecki dywan, a szerokie łóżko przykrywała kapa ze złotego aksamitu.

Finn wciągnął Lily w krąg światła lampy stojącej przy łóżku i znowu pocałował. Odpiął cały tuzin maleńkich guziczków z tyłu jej sukni z miękkiej fioletowej wełny. Suknia spadła jej z ramion, a ona odwróciła się i płynnym ruchem objął jego szyję, zaczęła go całować. Pragnęła go aż do bólu; nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o dłoniach Finna na swej nagiej skórze, przyciągających ją coraz bliżej i bliżej.

Wysunęła się z halki i stanęła przed nim, on zaś wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma, jak w cudowne zjawisko. Przepelniona szczęściem, powiedziała:

- Wszystko w porządku. Finn, ukochany. Tak właśnie ma być. I znów podeszła do niego, by dać się wziąć w ramiona, a on ją pocałował, po czym uniósł do góry i położył na złotym aksamicie łóżka.

Patrzyli na siebie zafascynowani, podczas gdy zrywał z siebie ubranie, a potem szedł ku niej. Zdjął jej bieliznę tak delikatnie, jakby rozpakowywał posążek z cennej porcelany, po czym spojrzał na nią, leżącą nago w jego łóżku. Jego oczy wędrowały od koniuszków jej różowych palców u stóp, wzdłuż gładkich nóg i poprzez smukłą krzywiznę jej bioder, głębsze wygięcie talii, aż do prześlicznych łuków piersi. Ujrzał ciemnoróżowy rumieniec podniecenia na jej policzkach i chmurę połyskliwych czarnych włosów rozpostartych wokół niej niczym peleryna. Rozchylone czerwone usta oczekiwały jego pocałunków, a szafirowe oczy, lśniące jak brylanty, spoglądały w jego oczy bez cienia wstydu, gdy tak pyszniła się przed nim swoją nagością.

- Jesteś najpiękniejszą z dziewczyn, jakie widziałem - powiedział, ujmując jej stopę i całując każdy z idealnie kształtnych palców.

- Czy wiele ich widziałeś, Finnie? - zapytała z nagłym ukłuciem zazdrości.

- Dostatecznie dużo, żeby móc porównać. Wyciągnęła ramiona i powiedziała namiętnie:

- Myślę, że czekałam na ciebie przez całe życie.

Przywarli do siebie, ciało do ciała, usta do ust i poczuła, jak on drży z pożądania. A kiedy wreszcie ją brał, był w nim cały ten ogień i namiętność, jakiej łaknęła od Neda.

- O Boże, wcale nie przestawaj, w ogóle nie wychodź ze mnie; nie, nie - wydawała namiętne okrzyki, a on wziął ją raz jeszcze.

Leżeli potem wyczerpani, nadal jeszcze spleceni. Uniósł jej głowę i patrzyli na siebie z pasją i czułością.

- Zawsze cię kochałem - powiedział cichym głosem. I była to prawda. Pogładziła go po twarzy, a on ucałował jej dłoń.

- A ja zawsze kochałam ciebie - odrzekła. - Myślę, że wiedziałam o tym, lecz było to zakazane.

- Teraz już nie - powiedział, a ona się uśmiechnęła.

- Teraz już nie - przyznała.

Finn usiadł i ze stolika przy łóżku wziął naszyjnik z „węzłem miłości”. Zakołysał nim przed jej oczyma, uśmiechając się do niej.

- A więc jednak go nie sprzedałaś! - wykrzyknęła.

- Jak bym mógł sprzedać? - zapytał zagadkowym tonem. - Przecież należał do ciebie.

- Do mnie też należało tamtych pięćdziesiąt złotych suwerenów - przypomniała mu.

Niedbale wzruszył ramionami.

- Zawsze się powiada, że kradzione nie tuczy. Ktoś mi je ukradł. Zaśmiała się.

- Biedny Finn. Ani razu nie mogłeś postawić na swoim, prawda?

- Aż do dzisiaj nie mogłem - powiedział, przesuwając diamenty wokół jej szyi i zapinając je.

Położyła się znów na poduszkach, w chmurze swych włosów - miała na sobie tylko diamentowy naszyjnik - a na jego ustach pojawił się uśmiezek satysfakcji.

- Nigdy się nie dowiesz - powiedział miękko, nachylając się, żeby ją znów pocałować - jakie mnóstwo razy widziałem cię w swej wyobraźni dokładnie w taki sposób. - Położył się przy niej, i wziął ją w objęcia, czując się jak człowiek, którego fantastyczne sny spełniły się właśnie co do joty.

40.

Maudie

Ardnava

No cóż, dziś mamy dzień zacinającego deszczu. Kropelki spływające po szybach okna w salonie zamazują mi widok trawnika i obawiam się, że moje śliczne wysokie stokrotki właśnie w tej chwili miażdży ulewa, a wiatr sieje zniszczenie pośród róż „Gloire de Dijon”,” których zapach w czasie tego jedyne go miesiąca, kiedy kwitną, wart jest oczekiwania nań przez całą resztę roku. Przypuszczam, że naszą irlandzką po godę moglibyście nazwać „grą żywiołów”. Nie może się ona równać jednak z tą długą, mroźną nowojorską zimą, którą Lily przeżywała jako kochanka Finna.

Lily mówiła Ciel, że owej zimy chłonęli siebie nawzajem z całą na miętnością. Jakoś udało jej się omamić swego biednego męża, który uwierzył, że Lily oddaje się pracy dobroczynnej. Zajmowała apartament w hotelu Fifth Avenue, lecz korzystała z niego rzadko. Była w łóżku Finna rano, kiedy wychodził do biura, czekała nań również w łóżku, gdy wieczorem wracał do domu. Nie wiem, co porabiała w ciągu dnia. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek o tym wspominała. To się w ogóle nie liczyło. Liczyło się tylko dla Neda Sheridana.

Ned przyjechał ze swego objazdu do domu akurat tego dnia, kiedy Lily zbiegiem okoliczności wróciła z weekendu spędzanego w Bostonie i znajdowała się w swoim hotelowym apartamencie. Wiedziała, że musi mu powiedzieć i bolało ją to, ale szalała za Finnem do tego stopnia, że nic już nie miało znaczenia.

Powiedziała Nedowi bez ogródek, że między nimi wszystko jest skończone, a jego twarz stała się szara pod wpływem wstrząsu.

- Ale ja pragnę ożenić się z tobą - rzekł oszołomiony.

- Wiesz, że nigdy nie byłabym szczęśliwa jako żona aktora - po wiedziała smutnym głosem. - Mówiłam ci to dostatecznie często. To by się nigdy nie ułożyło, Ned. Ty jesteś zawsze w rozjazdach, przemieszczając się z miasta do miasta - nic, tylko pociągi, pokoje hotelowe i zimne teatry.

Dotknięty, spoglądał na nią.

- Ale ja jestem aktorem - powiedział. - Nie mogę już tego zmienić, Lily. Czym innym mógłbym

się zajmować?

- Niczym innym, Ned, kochanie - rzekła uspokajającym tonem. - Dla ciebie twoja kariera jest wszystkim. Ma większe znaczenie niż ja. A w końcu kim ja jestem, żeby pozbawiać teatr jednej z jego najświetniejszych gwiazd? Poza tym - dodała, kłamiąc - muszę wrócić do męża.

Kiedy wychodził, powiedziała:

- My zawsze pozostaniemy przyjaciółmi, Ned, prawda? Nie potrafiłabym wyobrazić sobie życia, w którym by gdzieś nie było ciebie. - A on, biedny, kochany idiota, pochwycił skwapliwie, jak zwykle, okruchy z jej pańskiego stołu.

- Zawsze - zgodził się, wkładając w to małe słówko wszystkie swoje nadzieje.

Ale Lily nie miała czasu nawet dla przyjaciela i pozbyła się Neda ze swego życia z równą łatwością, z jaką już wcześniej zapomniała o swoim dziecku, urodzonym w Nantucket przed dziesięciu laty, mogła bowiem myśleć wyłącznie o Finnie.

Nowy Jork

Po jakichś dwóch miesiącach Ned, który czuł się zraniony i nie po trafił zapomnieć, poślubił swoją sceniczną partnerkę, Juliet Scott. Lily przeczytała o tym w „New York Herald”.

- Jak on mógł się ożenić? - zadawała sobie pytanie oszołomiona. - Przecież jeszcze dwa miesiące temu przysięgał mi nie gasnącą miłość. Przysięgał, że zawsze będzie moim przyjacielem.

Potem jednak zapomniała o nim, ponieważ stwierdziła, że jest w ciąży. Niemalże wyczuwała ten moment zderzenia, gdy ich ciała złączyły się ze sobą, by począć dziecko. Wszystko to było tak cudowne i tak najzupełniej różne od strachu i upokorzenia, których doznawała poprzednim razem, że przepelniona radością, zaczęła tańczyć dokoła pokoju.

Ich romans trwał już od pięciu miesięcy. W powietrzu unosiła się wiosna i Lily obliczyła, że jej dziecko urodzi się w październiku. Będzie musiała rozwieść się z Johnem i wyjść za Finna. Bo właśnie tego pragnęła: zostać panią Finnową O'Keeffe James. Widziała teraz swe życie, jak ściele się przed nią tysiącem promiennych i ciepłych dni szczęścia. Na pewno kupią jakiś dom na wsi, gdyż nie chce, żeby jej syn wychowywał się w mieście, wdychając wszystkie te brudy. A ona musi znaleźć dobrą nianię dla chłopca i całą służbę do domu - i ach, tysiąc spraw do załatwienia pozostanie na jej głowie.

Kiedy już się pobiorą, zaczną przyjmować gości jak należy, a kto lepiej niż ona wie, jak się to robi? Otoczy ich tłum przyjaciół, a ona i Finn będą się kochać nawzajem do końca życia, tak namiętnie i tak bezgranicznie, jak kochają się teraz. Zadrżała z podniecenia, wspominając, jak rzucają się w łóżku na siebie niby dzikie zwierzęta. Później już traktują się nawzajem z delikatną czułością, lecz w chwili, gdy się kochają, Lily żąda od niego siły i namiętności - i dostaje to.

Stanowią tak idealną parę, mówiła sobie z zadowoleniem Lily, gdy bez pośpiechu zażywała kąpieli, przygotowując się do powrotu Finna o siódmej. Sukienkę włożyła prostą: białą, usianą maleńkimi niebieskimi kwiatkami. Niebieską szarfę zawiązała ciasno wokół talii, myśląc z satysfakcją, że już niedługo nie będzie mogła tego robić. Włosy ściągnęła z tyłu wstążką w dobranym kolorze, spryskała się swymi perfumami o korzennym, orientalnym zapachu, a na ramieniu przypięła pęczek fiołków. Wpatrzyła się w swoje odbicie w lustrze: wyglądała jak dawniej, kiedy miała siedemnaście lat.

Usłyszała Finna, kiedy wchodził i wybiegła z sypialni, żeby go przywitać, z twarzą rozświetloną swym sekretem. Zachwyciła ją nowe życie, które widziała przed sobą, i nie mogła się wprost doczekać chwili, gdy mu o wszystkim powie. To był Finn: przyjaciel jej dziecięcych czasów, jej powiernik, współzawodnik porannych gonitw konnych przez plażę w Ardnavamie. Jedyne człowiek na świecie, który naprawdę ją rozumiał, a ich nowe, wspólne życie miało powstać jak feniks z popiołów przeszłości.

Podeksytowana powiedziała mu o dziecku i planach, jakie już po robiła co do ich nowego życia, a on stał przy oknie i spoglądał w dół, na ulicę, tak jakby mówiła mu o kimś innym.

- I jestem pewna, że to będzie syn - rzekła uszczęśliwiona. - Czuję to przez skórę.

Finn wiedział, że oto nadszedł wreszcie moment prawdy. Nawet wtedy, gdy się kochali, nigdy nie

pozwalając sobie zapomnieć o ranach, jakie mu niegdyś zadała. Jątrzyły się one nieustannie rozdrapywane, on zaś rozmyślnie nie chciał, aby się zabiły, żeby przypomnieć sobie, gdy nadejdzie stosowna pora, co musi zrobić. Zamierzał odplacić jej, nawet gdyby miało go to zabić.

- Ach, tak - powiedział oziębłym tonem - więc wreszcie spełniłem zadanie, które przypadło mi w udziale dziesięć lat temu, Lily. Teraz możesz już wracać do swego sympatycznego męża i wychowywać dziecko. Ono może być równie dobrze jego, jak i moje i nie istnieje sposób na udowodnienie, że jest inaczej. Zrobiłaś kawał dobrej roboty, zachowując nasz romansik w tajemnicy. Prawdopodobnie on nawet się niczego nie domyśla.

Gapiała się na niego z otwartymi ustami i oczyma rozszerzonymi szokiem, a wtedy dodał ostateczne pchnięcie noża.

- Nie ożenię się z tobą, Lily Molyneux. Jesteś zbyt wysoko urodzona dla takich, jak ja.

Splotła ręce, potrząsając z niedowierzaniem głową. To jakiś niepojęty żart, który robi jej Finn. To nie działo się w rzeczywistości; to nie mogła być prawda. Wiedziała przecież, że ją kocha.

Finn obserwował ją w milczeniu. Wiedział, jaka jest Lily. Dopiero kiedy uczyni z niej zero, dokładnie tak, jak stało się to z nim samym, zawróci, żeby ją uratować. A nie miał wątpliwości, że ona znowu przybiegnie do niego. Wtedy powie jej, jak bardzo ją kocha, powie, że jej pragnie, że należy i zawsze będzie należała do niego. Ale jeszcze nie teraz, bo jego rany są głębokie. Lily zawsze robiła dokładnie to, co chciała i zawsze otrzymywała to, co chciała mieć. Ale nie tym razem. Teraz Lily musiała dostać nauczkę.

Po wielu latach Lily opowiadała Ciel, że nawet nie pamięta, w jaki sposób wyszła z apartamentu Finna i wróciła do hotelu. Nie była w stanie pamiętać także drogi powrotnej do Bostonu, a tylko straszliwy ból w sercu i obecność nowego dziecka wewnątrz niej. „Następny bękart” - rzekła z goryczą, tyle że tym razem jest poczęty w miłości.

Wróciła do męża, a jej życie znowu zostało obrócone w gruzy. Jednakże raz jeszcze doszedł do głosu jej dawny instynkt samozachowawczy, ułożyła więc plan działania. Powie Johnowi, że spodziewa się dziecka, ten zaś przyjmie jako rzecz oczywistą, iż zostanie ojcem. Jeden problem po zostawał do rozwiązania: odkąd bowiem związała się z Finnem, unikała męzkowskich zalotów, tak że dziecko żadną miarą nie mogło być jego.

Wiedziała, że tylko jedno musi zrobić, jeśli ma się uratować, tego wieczoru więc ubrała się do kolacji w swe najładniejsze rzeczy. Użyła perfum, które John lubił, włożyła błękitną suknię i kolczyki z szafirów, a potem zabrała go ze sobą do łóżka. Po kilku tygodniach z porozumiewawczym uśmiechem oznajmiła mu, że jest w błogosławionym stanie.

Johna Adamsa zachwyciła myśl, że zostanie ojcem, będąc w tym wieku: przekroczył już przecież sześćdziesiątkę.

- Powiada się, że nigdy nie jest za późno - rzekł jowialnie do Lily i owinał ją kokonem wygod, podarków i luksusów. Przynosił jej naręcza kwiatów i olbrzymie pudła belgijskich czekoladek, a także dawał co wieczór do wypicia kieliszek swego najlepszego porto, ponieważ uważano, że to dobrze robi na krew. Kazał jej leżeć w łóżku aż do późnego ranka, nalegał, żeby kładła się wcześniej spać i planował dla niej każdy dzień po to, by nie zmęczyła się z nadto - aż wreszcie myślała, że z tego wszystkiego przyjdzie jej oszaleć. I ani razu nie dostała jednego słowa wiadomości od Finna.

Z zazdrością czytała w gazetach o Nedzie i jego młodej żonie, o tym, jak fascynującą i wyrafinowaną stanowią parę, dwie gwiazdy błyszczące zarówno na scenie, jak i poza nią. Z irytacją cisnęła gazetę na podłogę. Do diabła, pomyślała, żałuję, że to nie o mnie mowa. Powinna

wyjscie za Neda, a wtedy ona bylaby ta, ktora sie plawi w jego slawie, zabawiajac sie na wszelkich przyjeciach i premierach. A dziecko mialaby od Neda, nie od Finna.

Wiedziala jednak, ze prawda jest inna. Chciala miec dziecko Finna OKeeffea tak ogromnie, ze byla sklonna lezec plackiem w lozku przez calych dziewiec miesiecy, gdyby zaszla taka potrzeba. Poniewaz kiedy juz urodzi to dziecko, losy ich odwiecznej walki o panowanie odwraca sie znowu. Majac przy sobie syna Finna, ona znow bedzie gora. Z dusza plonaca gniewem ustatkowala sie i czekala.

41.

Ned przebywal w San Francisco, kiedy poslubil Juliet. Wystawiali sztuke sensacyjna, w ktorej ona grala morderczynie, w jednej ze scen skradala sie ku ofierze, sciskajac zakrwawiony noz w rece. Wygladala jak piekna Walkiria z jasnymi wlosami splywajacymi na plecy. Gdy obydwie znajdowali sie na scenie, publicznosc olsniona byla polaczona potega ich talentu, zamierajac przy kazdym slowie, oklaskujac kazde wejście i wyjście.

Poza scena Juliet nie wydawala sie ladna: wszystkie potrzebne skladniki urody nie harmonizowaly ze soba. Jej nos byl o ulamek za krutki, a brązowe oczy - po prostu troszeczka za male. Usta, choc ksztaltne, miala raczej wazkie, a podbródek odrobinę za spiczasty. Wspaniale wlosy, dlugie, zlociste i wijace sie, z calym tuzinem róznych odcieni, ktore nadawaly im wyglad zywego plomienia, nosila spiętrzone na glowie zgodnie z moda, co dorzucalo jej jeszcze kilka centymetrów wzrostu, a dosc ostrym rysom twarzy przydawaly miękkości.

Kiedy tournee dobieglo kresu, Ned zabral ja w podroz poslubna na Hawaje. W chwilach, gdy akurat nie toczyli ze soba walki, Juliet potrafila go rozsmieszyc, a wtedy czul sie lepiej, aczkolwiek watpil, czy jeszcze kiedykolwiek w zyciu bedzie naprawde szczesliwy bez Lily.

Wprawdzie nie wiedzial, czy jest zakochany w Juliet, za to na pewno zakochal sie w Hawajach i w ich goracym tropikalnym klimacie. Ned pragnal zostac na Hawajach juz na zawsze, ale poniewaz nie bylo to mozliwe, zabral nowo poslubiona malzonke - gdy teatry zamknięto na okres wakacji letnich do swego rodzinnego Nantucket i zarzadzil, by na dzialce przy legajacej do starego Domku Morskich Mgieł w Sconset wybudowano letni dom, replike tego, w ktorym sie rozkochal na Hawajach.

Przygotowania nadzorowal sam, podczas gdy Juliet z nudów do chodzila do obledu. Rodzina Sheridanów raczej przypadla jej do gustu, choc o ich najmłodszym synu Juliet myslala, ze jest nadasy i impertynencki. „Boy” Sheridan przez tak dlugi czas po urodzeniu pozostawal bez imienia, ze nawet gdy juz wreszcie go ochrzczono, nadal nazywany byl mianem „Boya” i w jakis sposob przylgnelo to do niego. Sheridanowie czekali bardzo dlugo, majac nadzieje, ze Lily powroci, lecz ostatecznie nadali dziecku imie dobrego chrzescijanina i zalozyciela kościoła metodystów, Johna Wesleya.

Byl wysokim i smuklym jedenastoletnim chlopcem o czarnych wlosach, zmyslowych rysach twarzy i ciemnych oczach, w ktorych plonela uraza do calego swiata. Uczeszczal do tutejszej szkoly, choc Alice Sheridan powiedziala, ze uczniem jest zlým i nieuważnym.

- Pomimo to jest dobrym chlopcem - rzekla, choc Juliet sie zdawalo, ze wychwycila w jej glósie cień watpliwosci. Opowiedziala Juliet o tym, jak rodzona matka porzucila chlopcza, a oni wychowywali go jako wlasne dziecko.

- Mozliwe, ze zanadto mu poblazalismy; dziewczęta zawsze trzesly sie nad nim, a i ja nie bylam lepsza - powiedziala ze smutkiem.

Juliet spojrzała na „Boya”, który zmagał się z zadanymi lekcjami. Spostrzegła, że to jakiś kłopot z matematyką, a ponieważ ona właśnie matematykę знаła dobrze, odezwała się:

- Daj mi rzucić okiem. Może potrafię ci pomóc. Podniósł głowę znad książki i popatrzył na nią.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - rzekł pełnym wściekłości szeptem. Jego ciemne oczy miały tak dziwny, zimny wyraz, że Juliet wybiegła przestraszona z pokoju. Znalazłszy się w słońcu na zewnątrz, powiedziała sobie, że chyba zwariowała, skoro wystraszyła się jedenastolatka. Nadal jednak przejmował ją dreszcz na wspomnienie nienawiści w jego głosie i zimnego wyrazu oczu.

W październiku Juliet i Ned występowali w premierowych przedstawieniach dwóch różnych sztuk. Ned był właśnie w Bostonie na generalnych próbach przed Broadwayem, kiedy reżyser powiedział mu, że jest do niego telefon. Podniósł słuchawkę, przypuszczając, że to Juliet, lecz usłyszał Lily. Powiedziała mu, że jest w domu, że strasznie za nim tęskni i czy on nie zechciałby jej przebaczyć i przyjść do niej na herbatę tego popołudnia.

Rzucił wszystko, zostawiając swoją trupę, która kuśtykała przez próbę już bez niego, i popędził, by znaleźć się przy Lily. Nic nie było w stanie utrzymać go z dala od niej: ani pożar, ani wojna, ani jego żona Juliet. Lily wezwała go, więc poszedł.

Czuł się u szczytu szczęścia, gdy zadzwonił do drzwi i przez nie śmiałą pokojóweczkę został wpuszczony do środka. Poprowadziła go po imponujących schodach do „buduaru pani”.

Lily stała przy oknie.

- Widziałam cię, jak nadchodziłeś ulicą - powiedziała, uśmiechając się. - Prawie biegniesz, tak jakbyś nie mógł się doczekać, żeby już tu być.

- Nie mogłem się doczekać, żeby cię zobaczyć - odrzekł. Spojrzał na jej nabrzmiaty brzuch i jęknął.

- To nie dziecko Johna - powiedziała smutno.

- Czy on o tym wie? - rzekł zdumiony Ned. Pokręciła głową.

- Wierzy, że to jego. Tak jest lepiej. W ten sposób obydwójcie cierpimy mniej.

Opowiedziała mu ze znużeniem w głosie o Finnie i wyznała, jaką była idiotką, a on ujął jej ręce i ucałował.

- Lily - powiedział - to dziecko powinno być nasze. Uczyniłabyś mnie najszczęśliwszym mężczyzną pośród żyjących.

- Nie mogę z siebie zrobić takiego pośmiewiska - rzekła z goryczą. - Och, Ned, dlaczego ja nigdy najpierw nie pomyślę? Dlaczego, no dla czego, musiałam się zakochać w Finnie? Taka jestem głupia. Chyba nigdy nie zrozumiem, o co chodzi w miłości. Nigdy jej nie pojmem we właściwy sposób.

Rzuciła nań spojrzenie spod rzęs.

- Czy nadal jesteś moim przyjacielem? - spytała z nadzieją.

- Na zawsze - powiedział, klękając u jej stóp.

Mała pokojówka zastukała delikatnie do drzwi i weszła, niosąc na tacy herbatę. Przystanęła, wpatrując się niepewnie w słynnego aktora, klęczącego u stóp pani.

- Wszystko dobrze - rzekła Lily. - Postaw tylko tacę tam, na małym stoliku. - Roześmiali się, kiedy pokojówka pędem wybiegła z pokoju, żeby powiedzieć służbie w kuchni, co przed chwilą widziała. - Myślę, że oni wszyscy są zelektryzowani tym, że jesteś tutaj - powiedziała Lily, nalewając herbatę. - Ja zresztą też.

- Kiedy dziecko ma się urodzić? - Ned nie mógł oderwać od niej oczu, myśląc o tym, że gdyby tylko była jego żoną, nosiłaby teraz w łonie jego dziecko.

- W tym tygodniu, albo w następnym. - Wzruszyła ramionami w geście zmęczenia. - Chociaż John myśli oczywiście, że to potrwa jeszcze miesiąc lub coś w tym rodzaju. To ma być „wczesniak”. Westchnęła, zadając sobie z goryczą pytanie, czy kiedykolwiek w ogóle nastąpi kres jej kłamstw i podstępów.

Nalała herbaty, poczęstowała go ciastem i zapytała o żonę.

- Juliet jest cudowną aktorką - powiedział - lecz język ma cięty. - Pokazał zęby w kwaśnym uśmiechu. - Myślę, że trzyma mnie w ciągłym napięciu.

- Mam nadzieję, Ned, że będziesz bardzo szczęśliwy, ale...

- Ale co? - podniósł pytająco brwi.

Lily ogarnął nagle strach, że go straci.

Nie opuszczaj mnie, dobrze? Obiecuj, że pozostaniesz moim przy jacielem. Obiecuj mi, że nie opuścisz mnie, jeśli cię będę potrzebować. Jestem taka samotna. Sama jedna.

- Będę przy tobie - obiecał.

Następnego tygodnia Lily zaczęła rodzić. O szóstej wieczór podczas nieobecności Johna. Przyjechał lekarz, a ona mu przysięgła, że dziecko musi być wczesniakiem, choć obydwójce świetnie wiedzieli, iż jest donoszone. Nie miał jednak prawa wygłaszać uwag, kiedy więc wreszcie pojawił się John i zmartwiony zapytał, czy z jego żoną nie dzieje się nic złego, choć dziecko urodziło się o tyle za wcześnie, lekarz rzekł uspokajająco, że wszystko idzie dobrze i nie ma potrzeby się martwić.

Przez całą noc John przemierzał bibliotekę, Lily zaś dzielnie zaciskała zęby, przezwyciężając kolejne fale bólu, aż po dziesięciu godzinach syn Finna przyszedł na świat.

John z dumą przyjrzał się dziecku leżącemu w ażurowym wełnianym szalu w ramionach swej matki.

- Podobny jest do ciebie, Lily! - wykrzyknął. Ale ona wiedziała, że to nieprawda. Był podobny do Finna. Po tygodniu, pewnego wieczoru około ósmej rozległ się dzwonek u drzwi i pokojówka oznajmiła Johnowi, że przyszedł właśnie do niego pan James.

- Wprowadź go, wprowadź! - zawołał zadowolony.

- Co za niespodzianka - rzekł podchodząc, by uścisnąć gościowi rękę. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność? Finn zignorował wyciągniętą rękę.

- Przykro mi, panie Adams - powiedział - ale ja nie przyszedłem tutaj do pana. Przyszedłem tu do mojego syna.

John zaintrygowany patrzył nań wytrzeszczonymi oczami, a potem twarz zrobiła mu się szara. Nie trzeba mu było żadnych wyjaśnień; wystarczyło, że przypomniał sobie długie pobyty Lily w Nowym Jorku, rozdrażnienie, jakie mu okazywała, uwodzenie go przez nią, a potem „przedwczesny” poród. Wystrychnięto go na dudka, wymierzając tym cios w samą istotę jego uczciwej, sprawiedliwej natury.

- Nie mogę pozwolić panu na widzenie Lily lub dziecka - rzekł spokojnie do Finna. - Czy zechce pan odejść? Bez wątplenia Lily, gdy tylko poczuje się dostatecznie dobrze, skontaktuje się z panem.

- Przykro mi, sir - powiedział Finn, mierząc go smutnym wzrokiem. John stał się mimowolną ofiarą i on nie chciał go ranić, lecz nie widział innego sposobu.

Patrzył, jak John idzie w stronę swego ulubionego fotela przy kominku w bibliotece i zapada się weń. Usiadł tam, pustym wzrokiem wpatrując się w płomienie. Jego twarz była pozbawiona wyrazu i wyciągnął ręce, by je ogrzać.

Finn wyszedł z pokoju, pozostawiając pana Adamsa sam na sam z jego cierpieniem, po czym wrócił do własnego domu na Louisburgh Square. To był koniec dla Lily. Teraz poczeka, aż przyjdzie do niego. I był pewien, że to zrobi.

Późnym wieczorem John Adams zakradł się cicho na piętro do pokoju żony. Spała, a on stanął i przez jakiś czas patrzył na nią. Powiedział do siebie, że okazał się starym głupcem, skoro choć przez chwilę myślał, że ktoś tak pociągający jak Lily nie zostanie mu skradziony; mężczyźnie, który tak niewiele wiedział i rozumiał z postępowania kobiet; mężczyźnie po sześćdziesiątce, pochłoniętemu swą pracą tak jak on. Zaniedbał ją; oczekiwał od kobiety, tak młodej i pełnej życia, że będzie tkwiła tu w zamknięciu sama, bez przyjaciół, bez spotkań towarzyskich, nawet bez jakiejś przyjaciółki, z którą mogłaby pogwarzyć. Czy mógł się po niej spodziewać czegoś innego ponad to, że zadurzy się w pierwszym przystojnym młodym człowieku, jakiego spotka?

Pomimo to nie mógł jej przebaczyć. Na nocnej szafce położył list, który uprzednio napisał. Mówił w nim, że wyjeżdża teraz na pewien czas i że chce, aby ona - kiedy poczuje się już dostatecznie dobrze - opuściła jego dom wraz ze swym dzieckiem. Był tu ojciec dziecka, by upomnieć się o nie i nie wątpię, że obydwójce udacie się do niego - pisał na końcu.

Podszedł, żeby spojrzeć na ciemnowłose niemowlę, śpiące równie smacznie jak matka, w łóżeczku obok jej łóżka i wydał z siebie westchnienie goryczy i żalu, że nie jest to jego dziecko. Kiedy urodził się syn, on uznał to za najwyższe ze swych osiągnięć, które przedstawiało dlań większą wartość niż wszystkie jego uczone prace i rzadkie rękopisy, ponieważ syn był żywą częścią jego samego.

Zszedł ponownie na dół i zamknął się w bibliotece. Przez długi czas siedział, rozmyślając, i doszedł do wniosku, że był szczęściarzem już przez sam fakt, że nazywał Lily „swoją”. Przez tych ostatnich kilka lat podarowała mu więcej przyjemności, niż doznał w całym swoim życiu. A teraz nastąpił koniec.

Dłoń zadrżała mu, gdy nalewał sobie kolejny kieliszek porto, a kiedy pociągnął łyček, ból tkwiący mu w sercu rozlał się po całej klatce piersiowej i wzdłuż lewej ręki. Gardło mu się ścisnęło i poczuł się tak, jak gdyby się dusił. Kieliszek wypadł mu z dłoni, rozlewając wino i plamiąc piękny, jasny dywan ciemną czerwienią. Kiedy kurczowo chwycił powietrze, pomyślał o Lily, która spała na górze, i próbował dźwignąć się na nogi. Chciał zabrać tamten list, chciał za wszelką cenę ją zatrzymać. Nie umiałby po prostu znieść takiej straty, niezależnie od tego, co zrobiła. Ból wzmocnił swój uścisk; ciemność otoczyła Johna ze wszystkich stron i nieprzytomny upadł na podłogę.

Służąca znalazła go nazajutrz rano, kiedy weszła, żeby posprzątać. Wrzasnęła, widząc pana leżącego na podłodze i w pierwszej chwili po myślała, że plama na dywanie powstała z krwi. Biegiem zjawiała się reszta służby i posłano po doktora. Gdy przybył, stwierdził, że pan Adams zmarł na atak serca i że nie żyje już od kilku godzin.

Lily obudziła się już wcześniej i przeczytała list od Johna, który jej przekazywał, że był tu Finn, żeby zobaczyć swego syna, a on spodziewa się, że opuści jego dom. Teraz John nie żył i Lily wiedziała - gdyż po wiedział jej to już przed laty - że wszystko, co posiadał, nie wyłączając domu, zostawił dla niej.

Płakała gorzkimi łzami winowajcy nad nim i płakała również nad sobą. John okazał się dobrym, łagodnym człowiekiem; był dla niej przy stanią, liną ratowniczą, dawał jej poczucie bezpieczeństwa. A teraz z jej powodu już nie żył. Cały Boston stawiał się na pogrzeb Johna Portera Adamsa. Wszyscy ci, którzy nie chcieli przyjmować jego ani żony, kiedy jeszcze żył, okazywali mu swój szacunek teraz,

gdy był już martwy, nadal ignorowali okrytą woalem i pełną rezerwy wdowę, która nawet nie zadawała sobie trudu, by spojrzeć w ich stronę. A krążyły już pogłoski na temat powodu nagłej śmierci Adamsa, szczególnie, iż właśnie urodził mu się syn i spadkobierca. Służba plotkowała o wyjazdach Lily do Nowego Jorku, tak że wielu spośród uczestników pogrzebu dodało dwa do dwóch, choć nie wiadano, kim może być „ten drugi”. Lily była więc po dwakroć potępiona przez bostońskie panie z towarzystwa.

42.

Dan O'Keefe był w Waszyngtonie jednym z najmłodszych członków Kongresu. Grover Cleveland zasiadał w Białym Domu już po raz drugi i nadal nieustannie walczył z demokratami skupionymi w po tężnym Tammany Hali. Niezależne rysy charakteru Clevelanda doprowadziły do tego, że występowało teraz przeciw niemu jego własne stronnictwo, lecz Dan O'Keefe również miał cechy charakteru indywidualisty, który słowem wyrażał wyłącznie własne myśli. Był człowiekiem, który walczył nie tylko o Irlandczyków, ale także o prawa wszystkich uciskanych imigrantów - i który w równym stopniu, co sam Cleveland sprzeciwiał się łapówkom i zawyżaniu ochrony celnej. Prezydent poczuł do niego sympatię, więc Dana często zapraszano na kolacje do Białego Domu, i to zarówno oficjalnie, jak nieoficjalnie.

Dan uważał, że Biały Dom stanowi najbardziej majestatyczną budowlę, jaką kiedykolwiek wzniesiono. On sam nie urodził się w Ameryce, wiedział więc, że nigdy nie mógłby zostać prezydentem O'Keefe i posiadaczem wszystkich tych wspaniałości, żywił jednak nadzieję, że pewnego dnia, kiedy się już ożeni i będzie miał dzieci, jego syn zdoła to osiągnąć.

Posiedzenia Kongresu zajmowały tylko cztery lub pięć miesięcy w roku, a kiedy letni upał z siłą ciosu spadał na Waszyngton, Dan wracał do Bostonu, by zajmować się swoimi wyborcami i biznesem. Ten ostatni rozrastał się szybciej, niż Dan przypuszczał. Od swoich pracowników wymagał dwóch rzeczy: uczciwości i lojalności. „Nieco rozumu też by nie zaszkodziło” - mawiał kierownikom sklepów, a ludzi obdarzonych dynamizmem umiał rozpoznać po żarliwości spojrzenia, dumnym sposobie, w jaki się poruszali i po uporze, z jakim nie przyjmowali do wiadomości odpowiedzi „nie”.

Płacił im dobrze i oczekiwał od nich wytrwałej pracy, ci zaś, którzy uchylali się od obowiązków lub starali się zrzucić swój ciężar na kogoś innego - byli natychmiast zwalniani, pomimo iż dla Dana oznaczało to, że musi pozostać głuchy na ich błagalne argumenty o żonie i dziewięciorgu dzieciach na utrzymaniu. „Może pomyślisz o tym następnym razem, gdy ktoś da ci dobrą robotę” - mówił zimno w takich wypadkach.

Dan wyznawał filozofię, w myśl której jeśli ktoś jest po jego stronie tylko w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, to nie należy liczyć na jego poparcie. Miarę dla niego stanowiło sto procent, i stosował ją zarówno wobec swych pracowników, jak i przyjaciół, aczkolwiek w polityce bywało inaczej; tam zapatrywania i przyjaciół dawało się przehandlować nad rzeźbionymi biurkami i mosiężnymi spluwaczkami Białego Domu z równą łatwością, z jaką wymieniało się ploteczki.

Dzięki swej inteligencji i ciężkiej pracy Dan posiadał teraz sklepy w czterdziestu dużych miastach ciągnących się od Wschodniego Wybrzeża aż na zachód. Wszędzie tam, gdzie znajdowali się emigranci z Irlandii, był też sklep Daniela. W bogatych i wytwornych częściach miasta, gdzie zatrudniano irlandzką służbę i kucharki, umieszczał wytworne sklepy w eleganckim ciemnoczerwonym kolorze, takie same, jak na Beacon Hill, natomiast w biedniejszych dzielnicach miał do zaoferowania malowane w kolorze koniczyny sklepiki, pełne okazyjnych towarów po

niższych cenach, licząc w tym wypadku na metodę masowej wyprzedaży dla zapewnienia sobie zysku.

Tak więc interes rozwijał się na dwa sposoby, a on uważał się za całkiem łebskiego faceta, który zaszedł bardzo daleko od czasów, gdy handlował zegarkami na wiejskich jarmarkach, aczkolwiek zawsze nosił czerwone szelki, które stały się jego znakiem rozpoznawczym. Każde jego zdjęcie w gazetach i każdy plakat polityczny nieuchronnie musiały pokazywać wielką postać Dana OKeeffe z kciukami zaczepionymi o szelki, w meloniku zsuniętym na tył głowy i ze śmiałym, szerokim uśmiechem na twarzy.

W jego życiu nie było czasu na znalezienie żony ani nawet na kupno domu dla siebie. Nadal swym miejscem zamieszkania nazywał dwa pokoje nad sklepem w Beacon Hill i podobnie jak większość pozostałych kongresmanów - na czas tych miesięcy, które spędzał w Waszyngtonie, wynajmował pokój w jakimś pensjonacie. Posiadał pokaźną sumę pieniędzy w banku, jego biznes obracał niezłą fortuną, a i kariera polityczna, jaką robił, cieszyła się powszechnym uznaniem. Jednak w ciągu całego swego życia nigdy nie miał takiego miejsca, które z ręką na sercu mógł by nazwać domem.

Jako kongresman z Bostonu, Dan czytywał codziennie wszystkie gazety Massachusetts i nie mógł przeoczyć wiadomości o nagłej śmierci jednego z najwybitniejszych bostońskich uczonych, który zarazem należał do jednej z najlepszych rodzin Bostonu. Z zazdrością przeczytał o akademickich osiągnięciach Johna Portera Adamsa, o stopniach naukowych z Harvardu i Oksfordu i o wyrazach uznania ze strony uczonych kolegów, jedyną bowiem rzeczą, jaka zawsze trapiła Dana, był brak wykształcenia.

W „Boston Herald” przeczytał o pogrzebie i zwrócił uwagę, że listę żałobników otwierała wdowa, pani Lily Adams, i że był tam również sławny aktor, Ned Sheridan, który służył jej wsparciem. A potem z jednej z pośredniejszych gazet dowiedział się, że pani Adams, która zaledwie kilka dni przed śmiercią męża wydała na świat syna, była przedtem znana jako Lily Molyneux rodem z Irlandii i że uprzednio pracowała jako gosposia Adamsa. No i że odziedziczyła ogromną fortunę Adamsów.

Dan odsunął swoje sfatygowane skórzane krzesło, oparł stopy o biurko, zsunął melonik w tył głowy i wpatrywał się przed siebie w głębokim zamyśleniu. Stało się. Lily Molyneux wróciła, by znów mnie dręczyć, czyż nie? Podniósł gazetę i jeszcze raz przeczytał o jej pięknym domu na ulicy Mount Vemon i o tym, iż jej mąż miał sześćdziesiąt lat, kiedy umarł, i że zaledwie kilka dni wcześniej urodził mu się syn.

Przypomniawszy sobie, że dom Finna znajduje się zaledwie dwa kroki od ulicy Mount Vemon i zastanowił go ten zbieg okoliczności. Z pewnością jego brat nie mógł przebywać tak blisko Lily i mimo to nie widzieć się z nią. A jednak nigdy o niej nie wspominał. Finn prowadził swe pracowite życie w Nowym Jorku. Daniel wiedział, że bez przerwy zajęty był tam zmieniającymi się jedna po drugiej panienkami, natomiast imię Lily od lat nie padło z jego ust. Dan nie zastanawiał się, czy płomień miłości obrócił się w nienawiść, a potem zgasł? Po chwili zdecydował. On sam odwiedzi Lily.

Niezależnie od tego, do jakiego stopnia wielki, milczący dom na ulicy Mount Vemon Lily napelniała kwiatami i jak pilnowała, by na kominkach płonął rażny ogień - kiedy samotnie spożywała w jadalni kolację przy świecach, ciągle miała wrażenie, że przebywa w sanktuarium poświęconym pamięci wszystkich zmarłych Adamsów, nie zaś w po godnym domu jej nowo narodzonego syna i dziedzica, który będzie podtrzymywał nazwisko rodu. A - jak to swojego czasu ujął treściwie Finn,

kiedy jej życie sprowadził znowu do zera - nie istniała możliwość udowodnienia, że dziecko nie pochodzi od jej męża. I tak samo jak kiedyś nie chciała swego pierwszego syna, teraz uwielbiała drugiego. Czasami kiedy długie samotne dni wlokły się nieznośnie, myślała sobie, że gdyby nie to dziecko, nie miałyby po co żyć.

Dała swemu synowi na imię Liam, co było irlandzką wersją imienia jej brata Williama, oraz John - po swoim mężu. Nadając dziecku jednej z najświetniejszych rodzin irlandzkie imię, odgrywała się teraz na bostońskiej elicie. Wiedziała, że uznają to za wielkie poniżenie w kategoriach prestiżu społecznego, podczas gdy ona pełna dumy uważała to za nobilitację. Tym biednym, zastrachanym przyzwoitym damulkom przydałaby się odrobina dobrej irlandzkiej krwi, by zasumieć im w żyłach - powiedziała do siebie, siedząc nad nietkniętą kolacją i rozmawiając sama ze sobą, co obecnie zdarzało jej się często, jako że nie było nikogo innego, z kim mogłaby pomówić. Poza dzieckiem, a ono akurat teraz potrzebowało od niej tylko i wyłącznie pożywienia. Jego piastunką była pewna zadzierająca nosa kobieta z Filadelfii, która miała się za coś lepszego od swej osławionej chlebobawczyni. Lily chętnie by ją wylała, jednak tamta dobrze obchodziła się z Liamem, a to było najważniejsze.

Liam oznaczał dla Lily zaangażowanie się w przyszłość. Miała teraz o kim myśleć, poza sobą samą. Zamierzała poświęcać mu swój czas i starannie planować jego życie: szkoły, college, karierę zawodową i życie to warzyskie, choć co do tego ostatniego, nie wiedziała, czy w ogóle będzie je miał, skoro ona jest jego matką. Chyba że uda jej się dokonać cudu.

Jednak to wszystko miało się stać dopiero w przyszłości. Myśli o tym odłożyła na później i odsunęła od siebie pełny talerz, swój kieliszek wina biorąc do biblioteki.

Usiadła naprzeciwko dawnego fotela Johna, oparłszy stopy na małym haftowanym podnóżku, który przypominał jej matkę, i popijała wino, wpatrując się w płomienie, wsłuchując w ciszę i myśląc, jakże inaczej by było, gdyby naprzeciw niej siedział John i planował, jak ułożyć życie ich synowi.

Na dźwięk dzwonka do drzwi wejściowych zerwała się na nogi. A któż to taki? - zadała głośne pytanie, ponieważ nikt, oprócz doktora, nigdy nie odwiedzał jej domu. Wsłuchiwała się w kroki pokojówki, przechodzącej przez hol. Usłyszała otwierane drzwi i głos jakiegoś mężczyzny, a potem pokojówkę proszącą go, by wszedł do środka. Usłyszała, jak ta przechodzi przez hol i puka do drzwi biblioteki.

Jeśli to Finn, powiedziała do siebie z zawziętością Lily, to zabiję go. Pokojówka podała jej srebrną tacę z kartą wizytową reprezentanta Daniela O'Keeffe.

Zdumiona Lily popatrzyła na służącą. - Czy on przyszedł tu do mnie?

- Tak, psze pani. Czeka za drzwiami w holu.

- Poproś, żeby wszedł. - Lily uporządkowała włosy i niespokojnie wygładziła spódnicę. Powiedziała sobie, że jeśli Dan przyszedł błagać o przebaczenie dla Finna, ona powie mu dokładnie, co myśli o jego pozbawionym skrupułów bracie. Powie mu, że jej ojciec miał rację, uważając, iż wszyscy członkowie rodziny O'Keeffe są bandą wygadanych łajdaków. Czując, jak rośnie w niej gniew, czekała, aż pokojówka wprowadzi Dana do biblioteki.

Miało się wrażenie, że cały pokój wypełnia swoją osobą, gdy szedł ku niej z obydwojema rękami wyciągniętymi i z takim wyrazem na przy stojnej rudobrodej twarzy, który stanowił mieszaninę współczucia i za chwytu. Zdażyła już zapomnieć, jaki jest wysoki i potężny: o masywnych ramionach i pełnym siły wyglądzie. Ze swymi rudymi włosami i zarostem, ze swą władcą postawą był równie

urodziwy, jak jego brat, acz kolwiek w inny sposób.

- Lady Lily, pani Adams... proszę mi wybaczyć, że składam wizytę o tak późnej porze i bez uprzedzenia pisemnie lub telefonicznie - po wiedział, tak jakby się widzieli nie dalej niż wczoraj. - Ale przeczytałem w „Heraldzie” o pani stracie i poczułem, że muszę znów panią odszukać i wyrazić jej moje współczucie.

- Powiedziane, jak przystoi prawdziwemu politykowi, Dan - od rzekła, podając mu z ociąganiem dłoń. Skłonił się nad nią z takim towarzyskim obyciem, że wybuchła śmiechem.

- Ostatnim razem, kiedy cię widziałam, byłeś pokryty węglowym miałem. Wyglądałeś jak rzeźbiona chimera na parapecie katedry. Uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Nie zapomniałem tego. A ty wyglądałaś jak sierota. Zagubiona, samotna dziewczynka. Sama byłaś wtedy zaledwie dzieckiem, lady Lily.

- Miałam siedemnaście lat. Dostatecznie dużo, by nie postępować tak głupio - odrzekła z goryczą.

- To wina wychowania, jakie odebrałaś. Chroniona dzięki społecznej pozycji i zamożności twej rodziny przed światem nie znałaś rzeczywistości takiej, jakiej większość z nas doświadczała. Dziewczętom takim jak ty po prostu nic złego się nie dzieje.

Obrzuciła go znużonym wzrokiem.

- Czy to twa złotousta wymowa doprowadziła cię do stanowiska kongresmana?

- Jasne, że tak. Ona, a także fakt, że obiecałem walczyć o lepsze warunki pracy, mniej godzin i wyższe pensje, no i wreszcie to, że pomagałem ludziom w ich problemach i przy ich dzieciakach. To znaczy, że nie słyszałaś o koloniach letnich Dana O'Keefea? Ubogim dzieciom, które mieszkają w slumsach tak samo, jak ja mieszkalem, dają one parę tygodni świeżego powietrza na wsi i dobre pożywienie. Finansuję to w większości sam, a resztę zdobywam od innych Irlandczyków, którzy mieli szczęście przyjechać do Ameryki i dorobić się majątku. W pewnym sensie - powiedział, kierując na nią spojrzenie, które nie pozostawiało wątpliwości co do tego, iż uważa się za równego jej - w pewnym sensie mam ci wiele do zawdzięczenia.

Przypomniała sobie, jak Finn mówił to samo, po czym rzekła, poruszona:

- Brzmi to jak rzecz godna uwagi.

- Pewnie, bo teraz, kiedy sama masz syna, wiesz, co to znaczy być matką, móc wychowywać go we właściwy sposób i zapewniać mu to, co w życiu jest dobre.

Podbródek aż podskoczył jej do góry i spiorunowała Dana wzrokiem, spodziewając się, że zaraz to powie. Powie, że przyszedł tu, po nieważ Finn pragnie przebaczenia i chce swojego syna.

Dan zawahał się, dobierając starannie słowa.

- A tamto dziecko, lady Lily - powiedział ostrożnie - czy ono...?

- Umarło - skłamała szybko, odwracając twarz i oblewając się rumieńcem.

Przykro mi, choć śmiem sądzić, że ty nie odczułaś straty. I naturalnie nie było to dziecko mojego brata.

- Nie - odrzekła zawziętym tonem. - Nie było jego. Dan wciąż nie poruszał celu swojej wizyty, powiedziała więc gwałtownie:

- Po co przyszedłeś, Dan? Czego ode mnie chcesz?

- Prawdę mówiąc, chciałem zobaczyć cię znowu. Nigdy o tobie nie zapomniałem i już wiele lat temu wybaczyłem ci każdą przykrość, jaką mogłaś mi zrobić. Ostatecznie, spójrz tylko na mnie teraz!

- Zaśmiał się potężnym, grzmiącym i wesołym śmiechem, który nappełnił cały pokój, a ona z ulgą też się roześmiała.

- Ale teraz nie będę ci już dłużej przeszkadzał, lady Lily, bo dobrze widzę, że przerywam ci ten spokojny wieczór. A w dodatku to tak niedawno po... po tym. Powiedz mi tylko, że znów mogę kiedyś przyjść w odwiedziny, a odejdę stąd jako człowiek szczęśliwy. - Ujął znowu jej dłonie w swoje wielkie łapska i promiennie uśmiechnął się do niej, a Lily stwierdziła, że mimo woli ona również mu odpowiada uśmiechem. Nie była pewna, czy przypadkiem nie kusi w ten sposób licha, ale usłyszała siebie samą, jak mówi, że tak, oczywiście, chciałaby zobaczyć go znowu. Pomyślała o Finnie i dodała szybko:

- Ale ponieważ jestem w żałobie i naprawdę nie wypada, żebym przyjmowała gości, musi to zostać naszą małą tajemnicą. Obiecuj, że nie powiesz żywej duszy.

- Ani żywej duszy - obiecał, przykładając palec do ust, by je zamknąć i uśmiechnął się wesoło. Kiedy już poszedł, Lily znowu usiadła przed kominkiem, zastanawiając się, czyżby w końcu straciła rozum. Właśnie zgodziła się spotkać z Danem O'Keefe. Ona, jeszcze niedawno kochanka jego brata, którego synek śpi w swoim łóżeczku w dzieciennym pokoju na piętrze. Zapatrzyła się w płomienie, a przez głowę przelatywało jej dziesiątki myśli i domysłów na temat Finna i Dana. Ponieważ jednak nic z tego nie miało większego sensu, znużonym krokiem ruszyła, by nakarmić swojego synka, a potem udać się do swego pustego łóżka.

Tego wieczoru Dan wrócił do swoich dwóch pokoiów nad sklepem jako człowiek szczęśliwy. Rozejrzał się wokół siebie po tandetnych, krzykliwych chodnikach i brzydkich meblach, kupionych w sklepie z używanymi rzeczami, dziwiąc się, jakim cudem nigdy wcześniej nie zauważył, jak ciasne i zaniedbane jest jego mieszkanie. I jakie nędzne w porównaniu ze wspaniałym wystrojem mieszkania Lily, a także jego rodzzonego brata. Powiedział do siebie, że nie jest to miejsce, w którym powinien mieszkać ktoś z jego pozycją, a na pewno nie jest to miejsce, w którym ktoś taki jak on mógłby przyjmować kobietę.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszył, aby kupić sobie dom. Chciał go mieć natychmiast i chciał, aby był kompletnie wyposażony w sprzęty i służbę, której on naturalnie da więcej, niż wynosi płaca minimalna i która - czego on dopilnuje - będzie pracować wyłącznie w godzinach, określonych przepisami zawartymi w nowych ustawach, jakie on osobiście pomagał wdrożyć w życie.

Zadanie, jakie sobie postawił, okazało się trudniejsze, niż sądził: Irlandczyków, a zwłaszcza irlandzkich nuworosy, postrzegano niechętnym okiem wśród należących do wyższych sfer mieszkańców co wytworniejszych dzielnic Bostonu. Uwidoczniło się to jeszcze bardziej, jeśli Irlandczyk był jednocześnie politykiem. No i demokratą. Lily weszła do Beacon Hill dzięki małżeństwu, a Finn poprzez zapis testamentowy, ale Dan nie mógł znaleźć sposobu, by się tam wkupić.

Powiedziano mu, że w rachubę może wchodzić Back Bay - i jeszcze nim dzień się skończył, Dan nabył nowo zbudowany dom z czerwonej cegły przy miłej, ocienionej drzewami ulicy. Było tam sześć sypialni, on zaś pomyślał, że starczy tego w zupełności, by pomieścić w przyszłości jego dzieci. Żadaną, wysoką sumę uiszczył w gotówce i wynajął ludzi do wyposażenia domu we właściwego rodzaju kotary i antyki.

- I dopilnujcie, żeby to było gustowne - polecił im, choć ściśle mówiąc, wcale nie wiedział, co to oznacza. Po prostu chciał tego.

Wieczorem znów poszedł odwiedzić Lily; opowiedział jej o swym nowym zakupie i wskazówkach, jakich udzielił dekoratorowi, a ona skwapliwie zaproponowała mu swoją pomoc.

- To wspaniale - powiedział zadowolony. - I może wyciągnie cię to trochę z tego domu. Jest tu za

wiele smutku i za wiele wspomnień. - A ponadto, jak powiedział sobie w duchu pełen szczęścia, to oznacza, że ma teraz pretekst, by odwiedzać ją, ilekroć znajdzie się w Bostonie.

Dan nigdy przedtem nie pozwalał sobie pomyśleć, że miałby chociaż cień szansy, by zdobyć sympatię Lily, po pierwsze dlatego, iż wydawała się nieosiągalna, a po drugie - zawsze należała do Finna. Teraz on jest bogaty. Teraz on stał się „kimś”, ona zaś była wdową z dzieckiem, które bardzo potrzebowało ojca. Pozostała sama i bezbronna, on zaś kochał ją jak sztubak, odkąd sięgał pamięcią.

Pomyślał, że na szczęście znajdują się szmat drogi od Ardnawamy. Lily spadła niżej w hierarchii społecznej, on natomiast się wspiął i teraz są sobie równi. A pewnego dnia, choć na razie wydaje się to dziwne, zamierzał poprosić lady Lily, żeby została panią Danielową O'Keeffe.

43.

Maudie

Ardnawama

Siedzieliśmy w połowie wysokości wzgórza, wpatrując się ponad płaskimi i brązowymi torfowiskami w Ocean Atlantycki. Lodowato zimny strumyk spadał z jakiegoś niewidocznego miejsca gdzieś wysoko nad nami i mijał nas, pędząc na oślep w dół stoku, żłobiąc sobie drogę wśród spiętrzonych skałek, by dotrzeć tam, gdzie podobne mu maleńkie strumyczki łączą się w rwącą i brunatną od torfu rzeczkę, która biegnie równoległe do drogi w dole pod nami.

Shannon leżała na plecach z rękami założonymi pod głowę, spoglądając w niebo - tego dnia błękitne i nakrapiane puszkami chmur niby z waty, o brzeżkach zabarwionych na szaro, co obiecywało na później przelotne deszcze. Eddie leżał obok niej, obserwując ją oparty na jednej ręce i śmiem twierdzić, że na jej ładnej, młodej buzi zobaczył tyle przelotnych uczuć, ile ona widziała zmian w obłokach na niebie. Psy krążyły dokoła, radując się słońcem i wywączując zajmujące zapachy zajęcy, a były jedynymi istotami w towarzystwie, które nie robiły wrażenia smutnych.

Czułam się dzisiaj smutna, bo myślałam o mamusi i o Lily, i o tym, co miało nastąpić, lecz powiedziałam sobie dziarsko, że to tylko odrobina melancholii: choroba, na którą my, Irlandczycy, jesteśmy podatni. George Bernard Shaw rozumiał to, zaczęłam więc im cytować fragment z jego sztuki „Inna wyspa Johna Bulla”.

„Twoje zmysły nigdy nie zdołają zatracić swej wrażliwości w tym delikatnym, wilgotnym powietrzu; na tych białych i sprężystych drogach, w mglistych polach sitowia i brunatnych torfowiskach, pośród tych stoków wzgórz, skał granitu i fioletowo-czerwonych wrzosów. Nigdzie nie masz już takich kolorów nieba, takiego powabu dali, takiego smętku wieczorów. Ach, te marzenia! Te marzenia! Udręczone i dręczące, spalające mózg, nie przynoszące nigdy zaspokojenia - marzenia, marzenia, marzenia i marzenia!”

- Ciel miała zwyczaj często przychodzić w to miejsce po śmierci Williama, gdy ona jedna została do opieki nad papciem - przerwałam milczenie. - I tutaj przyprowadziła mnie po latach, żeby mi o tym opowiedzieć. Przychodziła tu, pragnąc samotności. Miała do towarzystwa tylko morze i wiatr, bądź od czasu do czasu odległy krzyk mewy lub trzepotanie jastrzębia nad głową. Wiedziała, że jest schwyta w potrzask. Schwyta przez papcia, schwyta przez Ardnawamę wraz ze wszystkimi wspomnieniami, schwyta wreszcie przez swoje własne przygnębienie.

Spoglądała na torfowiska, na białe, sprężyste drogi, na mgliste łąki sitowia, wciąż marząc i marząc, dokładnie tak, jak mówi Shaw. Marząc o ucieczce.

Listy od Lily zaś, zupełnie jakby chciały podkreślić samotność Ciel, były tak zajmujące! Z początku pełne wiadomości o Finnie; o tym, jak przypadkowo go spotkała, jak wysoką osiągnął

pozycję i że jest teraz jej sąsiadem. A potem donosiły o dziecku i straszne wieści, że John nie żyje. A jeszcze później przyszedł z wizytą Dan O'Keeffe, który jest „tak przystojny i uroczy, jak tylko można sobie wymarzyć”.

Następnie Ciel dowiedziała się, że Lily wyszła za niego za męża. Pisała, że dom przy ulicy Mount Vernon zamknęła „razem ze wszystkimi jego smutnymi wspomnieniami” i że wraz z dzieckiem przeniosła się do nowego domu Dana w Back Bay.

Pomyślałam, że nie ma żadnego sensu nadal tkwić w żałobie i unieszczęśliwiać samą siebie. A w pierwszym rządzie zastanawiałam się, co jest najlepsze dla dziecka. Dan jest taki dobry, zawsze służy pomocą, a przy tym odnosi wielkie sukcesy tak w interesach, jak i w polityce, chociaż dla moich wyniosłych sąsiadów, bostońskiej inteligencji spod znaku konserwatywnych republikanów, nie jest to polityka „słusznej linii”. Jednak gdy przyszedł mnie odwiedzić w tym okropnym okresie po nagłej śmierci Johna, stał się dla mnie opoką, na której mogłam się oprzeć. Przyzwyczaiałam się polegać na nim coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie stwierdziłam, że nie potrafię się bez niego obejść.

Tobie, kochana Ciel, która przez wszystkie te lata siedzisz odosobniona tam, w Ardnawamie, pamiętając braci O'Keeffe jedynie jako służbę naszej rodziny, na pewno wyda się dziwną myśl o twojej siostrze jako żonie jednego z nich. To jest jednak ziemia nowych możliwości, więc Dan jest teraz równie bogaty jak papcio - jeśli nie bogatszy - i pomaga w rządzeniu swym nowym krajem, Cóż więcej mogę powiedzieć, żeby to wytłumaczyć?

Obawiam się, że moje małżeństwo wywołało skandal na Beacon Hill. ale czym tu się przejmować? Śmieję się z ich idiotycznie małostkowego, staroświeckiego stylu życia, a poza tym czemu to nie miałabym być szczęśliwa? Przecież biedny John nie żyje i nic nie mogę na to poradzić.

Potem już niewiele pisała o Danie w swoich listach; wszystkie za to opowiadały ojej synku, Liamie. Pisała, że jest pięknym chłopcem z włosami takimi czarnymi, jak jej włosy, lecz ma delikatne zdrowie, więc ona boi się o niego podczas tych lodowatych bostońskich zim.

Ale Ciel nie miała zbyt wiele czasu na roztrząsanie dziwnego związku małżeńskiego swej siostry, ponieważ papcio stawał się coraz bardziej niedołączny. Nie znosił, gdy się oddalała nawet na chwilę.

- Dokąd idziesz? - zapytywał podniesionym głosem, ilekroć podnosiła się, żeby przynieść książkę, wyprowadzić na spacer psy lub przegonić konie. - Ale pamiętaj, pośpiesz się - wołał wtedy za nią z niepokojem.

Uzależnił się od niej całkowicie: to na jej ramieniu, zamiast na lasce, wspierał się teraz; to z jej oczu korzystał, kiedy co rano czytała mu „Timesa”; to jej młode nogi pędziły, by przynieść mu okulary, których zapomniał, albo książkę, albo lemoniadę do popijania w cieniu drzewa podczas wspaniałego, upalnego popołudnia. Odprawił lokaja, mówiąc, że nie ma potrzeby trzymać tego człowieka, gdyż nie zamierza już przyjmować gości; tak więc teraz w zimne, ciemne wieczory do Ciel należało nalewanie ojcu porto do karafki i stawianie jej na okrągłym intarsjowanym stoliku włoskim w gabinecie, naprzeciwko kominka; potem zaś zaczynała mu czytać.

Miała dwadzieścia jeden lat i wielu przyjaciół, lecz nigdy nie zapraszała ich do Ardnawamy teraz, gdy papcio znajdował się w takim stanie. U boku ojca trzymały ją mocno niewidzialne więzy miłości i lojalności, a także jej lęki i miłość własna.

Przy całej swej słabowitości lord Molyneux nie miał jednak zamiaru umierać. Pewnego wiosennego dnia podniósł się z fotela i rzekł stanowczym tonem:

- Jestem zmęczony Ardnawą. Potrzebuję odmiany. Każ spakować nasze bagaże, Ciel; jedziemy

do Londynu.

Dawno nie odwiedzana, lecz wciąż jeszcze wystawna rezydencja miejska na Belgrave Square została z okazji ich powrotu pozamiatana, odkurzona i odnowiona, a papcio zaraz wyruszył do swego klubu. Kazał sobie zrobić nowe okulary i znów sam zaczął czytywać gazety; zjadał obiad w klubie punktualnie o pierwszej, a potem przez całe popołudnie grał w brydża. Wypijał tam ze swoimi serdecznymi przyjaciółmi kilka drinków przed kolacją, którą zawsze jadał w klubie, siedząc samotnie przy własnym, oddzielnym stole, stojącym koło okna z widokiem na Green Park. Potem zaś, podpierając się laską z tarniny, kuśtykał nie opodal do prywatnego domu gry, gdzie nieustannie przegrywał w karty.

Podczas gdy papcio znaczną część swoich pieniędzy tracił na uprawianie hazardu. Ciel trwonila je w inny sposób: urządziła przyjęcia i wydawała kolacje, wyrzucając szerokim gestem krocie, zgodnie z kulturowaną przez ród Molyneux tradycją oferowania gościom samych najlepszych rzeczy. Naturalnie, rzeczą skandaliczną był fakt, że nigdy nie występowała w towarzystwie przyzwoitki; pamiętając jednak wstyd, jaki przeżyła Lily, Ciel prowadziła się zawsze nienagannie, pomimo że stała się równie zawziętą kokietką, jak jej osławiona siostra.

Była tym, co Francuzi nazywają jolie-laide, ładną brzydulą: dziewczyną, która choć niezbyt ładna, niemniej jest atrakcyjna. Miała w sobie humor i radość życia, które przyciągały do niej innych ludzi. Miała też dobrą figurę i ubierała się ekstrawagancko, choć może niedokładnie w myśl zasad dobrego gustu. Stworzyła swój własny styl, była dowcipna, zabawna i przebywanie z nią stanowiło frajdę. Nigdy nie brakowało jej adoratorów, lecz wciąż jeszcze nie poznała kogoś, z kim w swoim mniemaniu potrafiłaby spędzić resztę życia. Ilekroć papcio wypytywał ją o zalotników, patrząc na nią z nadzieją i myśląc o wnuku, który odziedziczyłby jego nazwisko, Ciel na rzekała, że ten jest „za bardzo moim księżkowym”, tamten znów „za bardzo koniarzem”, lub dla odmiany jeden był „za stary”, a inny „za młody”.

- Zawsze jest w nich coś nie w porządku, Ciel - huknął z iskrą swej dawnej energii. - Do licha, dziewczyno, oni wszyscy są z dobrych rodzin; wszyscy mają domy, ziemię, pieniądze. Wszyscy oni są dżentelmenami. Czego kobieta może chcieć więcej?

Ciel popatrzyła mu ze smutkiem w oczy.

- Och papciu, nie wiem. Myślę, że ja chcę miłości.

Wyzwolona od smutku, jaki ogarniał ją przy papciu i w Ardnawamie, Ciel zniemacka znów się poczuła pełna wigoru.

O Jezu, Uly - pisała radośnie. - Właśnie zbuntowałam się i zafundowałam sobie szalone dawne czasy, przyjęcie za przyjęciem i znowu przyjęcie. Przystojnych młodych kawalerów jest w tym mieście więcej, niż można policzyć, a wygląda na to, że nawet kilku z nich interesuje się twoją siostrzyczką. Ale nie czuję się jeszcze przygotowana do małżeństwa. Po prostu stawiam tylko pierwsze kroki na swobodzie. Pamiętaj, że ja nie miałam swojego debiutu w wieku siedemnastu lat, tak jak ty, i że od skończenia szkoły znalazłam się w Ardnawamie odcięta od świata niczym mniszka w klasztorze.

Każdy kolejny dzień spędzała na radosnych zakupach, nabywając wszystkie te piękne stroje, których przez tak długi czas była pozbawiona. Wskoczyła nawet na krótko do Paryża, gdzie u Wortha zamówiła z tuzin sukien, a u Revillona - długi do ziemi płaszcz z rudych lisów, w prawie identycznym kolorze jak jej włosy; sprzedawczyni myślała, że Ciel jest szalona, lecz ta była pełna zachwyty. Swoje niesforne rude loczki kazała sobie obciąć u najmodniejszej paryskiej fryzjerki

i kupiła chyba tuzin kapelusików, by nakładać je na czubek swej od teraz eleganckiej główki. Odziedziczone po matce diamentowe broszki rozmieściła na piersi niczym migocące konfetti, a dwie z nich dla równowagi przypięła do kapelusza. No i stale nosiła słynny matczynej sznur pereł, wielkich jak przepiórcze jajka i zaopatrzonych w okazałą diamentową klamerkę, który jej matka dostała w ślubnym prezencie od swego męża. Zjawiała się powiewna na przyjęciu lub balu, cała olśniewająca w swych jedwabiach i satynach o żywych barwach, z szerokim, ochoczym uśmiechem na uroczej, zabawnej buzi - i natychmiast otaczali ją młodzi mężczyźni.

Boże Narodzenie spędzili w Londynie, a papcio był rześki i ożywiony jak sześćdziesięciolatek, i to pomimo zimowego przejmującego chłodu.

- Pozbyłem się wreszcie ze swych kości tych wilgotnych irlandzkich mgieł - rzekł do Ciel w dzień Nowego Roku, kiedy pewnym krokiem wychodził na ulicę, prawie nie podpierając się laską. Wyglądał lepiej niż przez wszystkie ostatnie lata: oczy mu się iskrzyły i poruszał się zdecydowanym krokiem, przemierzając Belgrave Square w drodze do swego klubu, dokąd udawał się na poranną kawę i lekturę „Timesa”. Kiedy więc w kilka godzin później na Belgrave Square pojawił się jego przyjaciel, doktor Bamett, człowiek w równie podeszłym wieku, co papcio, Ciel była zaskoczona.

- Obawiam się, że przynoszę złe wieści - powiedział. Z pobielającą twarzą wpatrywała się w niego wiedząc, że papcio nie żyje, jeszcze nim zdążyła to usłyszeć.

- To stało się nagle - mówił doktor tonem pocieszenia. - Zawsze miał wysokie ciśnienie, przpuszczam więc, że był to zator wieńcowy. Łzy płynęły jej po twarzy.

- Przynajmniej cieszył się życiem przez tych kilka ostatnich miesięcy - rzekła. - To coś, za co należy być wdzięcznym. - A skoro już musiał umrzeć, była zadowolona, że stało się to w klubie, pośród jego przyjaciół, nie zaś w Ardnavamie, gdzie czułby się samotny, tylko w towarzystwie swoich złych wspomnień.

Ciel towarzyszyła ciału ojca w czasie przeprawy promem do Dublina, potem w długiej podróży pociągiem do Galway, a wreszcie gościńcem do Ardnavamy. Wcześniej wysłała już polecenia, by dom wysprzątano tak, aby cały lśnił; żeby wszystkie pokoje przygotowano na przyjęcie gości; żeby w każdym kominku zapłonął ogień i by przyszykowano dosyć jedzenia do nakarmienia setek przyjaciół rodziny, którzy w dwa dni później tłumnie zjechali się na pogrzeb. Było ich takie mnóstwo, że rozlali się wszędzie dokoła po okolicznych dworach i pogrzeb nabrał charakteru zjazdu towarzyskiego. Pogoda nastąpiła wyjątkowo sucha i rześka, i pożegnanie papcia odbyło się przy wtórze wielu hymnów religijnych, pełną pierś śpiewanych w kościele, a potem - wspomnień opowiadanych nad szklankami whisky przed ogniem huczącym na kominkach Wielkiego Domu.

Wszyscy jedli, pili, rozmawiali o papciu i wymieniali ploteczki na temat przyjaciół, a Ciel pomyślała z zadowoleniem, że papcio byłby w siódmym niebie. Dom wyglądał prawie tak samo, jak kiedyś: pełen ludzi, zgiełku i krótkich wybuchów śmiechu. Wydawało jej się, że lada chwila ujrzy papcia, jak sprężystym krokiem wchodzi do pokoju w kurtce myśliwskiej, ze swą ulubioną dubeltówką Purdy przewieszoną przez ramię, prosząc wszystkich o uwagę i przypominając, że już pora na polowanie.

Kiedy wszyscy powyjeżdżali, dom znowu ogarnęła dawna, posepna cisza, Ciel zaś przechodziła z pokoju do pokoju ubrana w czarną żałobną suknię, wyjątkowo bez klejnotów. Złożyła ręce na piersiach, przyciskając je mocno do ciała, by uniknąć zimna, które jednak pochodziło z jej wnętrza - i przyglądała się wszystkiemu dokoła, widząc to innymi oczyma. Ona, Ciel Molyneux, została teraz panią na Ardnavamie. I była tam sama jedna.

Szybko otarła łzy z oczu i pobiegła na górę do swojego pokoju. Zdarła z siebie czarną suknię, a narzuciła różowy wełniany szlafrok przybrany białym futerkiem, który nadawał jej wygląd kogoś pośredniego między rosyjską księżniczką a królową Elżbietą I. Następnie zasiadła przy biurku i napisała list do Lily.

Najdroższa Lily,

Dzisiaj pochowaliśmy Papcia z całą miłością i tak uroczysto, jakby mógł sobie tego życzyć, a zęgnął go ze wspianym rozmachem około tysiąca przyjaciół, jak również wszyscy dzierżawcy i wieśniacy. Myślę, że chyba sprawiło mu to przyjemność, ponieważ jestem pewna, że choć nie obecny ciałem, duchem był przy nas.

A teraz zostałam tu, w Ardnawie, sama jedna i wiesz, Lily, nie mogę tego wytrzymać. Czy rozumiesz, co oznacza śmierć Papcia? Oznacza, że wolno mi znowu ciebie zobaczyć. Możemy się spotkać. Och, kochana Lily, nigdy się nie dowiesz, jak bardzo za tobą tęsknię. Zarezerwuję sobie bilet na podróż pierwszym transatlantykiem, jaki wypływa z Liverpoolu, i jeszcze przed końcem miesiąca będę przy tobie. Nie mogę doczekać się chwili, w której zobaczę ciebie i mojego drogiego małego siostrzeńca, no i oczywiście Dana.

Och, a przy okazji lepiej, jeśli od razu ci powiem, że Papcio wszystko zostawił mnie, łącznie z domami i ziemią. Wiem, że nie robi ci to różnicy, skoro sama jesteś teraz tak bogatą osobą: poza tym jeszcze nie wiem, ile cała posiadłość jest warta, za to wiem, że w ciągu minionego roku Papcio był zapamiętałym hazardzistą, spodziewam się więc najgorszego.

W tydzień później Ciel, z piętnastoma sztukami bagażu zawierającego ubrania, z dwoma tuzinami pudeł na kapelusze i z ogromną kasetą z czarnej skóry, wypchaną jej „śmietnikiem”, jak nazywała swą biżuterię, wypłynęła statkiem transatlantyckim „Etruria” do Nowego Jorku, gdzie zgodnie z jej poleceniem miała oczekiwać ją Lily.

44.

Tego dnia, w którym poślubił Lily, Dan myślał, że pięknie z rozsadzającej go dumy i miłości, i to mimo faktu, iż ślub nie odbywał się u świętego Stefana, tak jakby on sobie tego życzył, Lily bowiem nie była katoliczką.

Tak więc, aby uniknąć gadania - jako że od śmierci Johna upłynęło zaledwie sześć miesięcy - uzgodnili, że wezmą ślub w kancelarii sędziego pokoju w pewnym małym miasteczku w Nowej Anglii. Chcąc zachować dyskrecję, na ceremonię udali się osobno, ku zachwytowi Dana zaś Finn zdołał w swym obłąkańczym rozkładzie zajęć znaleźć trochę czasu, by wystąpić w charakterze drużby.

- Nie mówmy o tym Lily - powiedział Finn, kiedy jego brat pojawił się z tą wiadomością. - Niechaj to będzie niespodzianka.

Dan w swym nowiutkim szarym żakiecie obstalowanym u krawca prezentował się, na swój szorstki sposób, pięknie, a Finn w czarnym ubraniu był równie przystojny, choć poważny i znużony. Dan odezwał się żartobliwie:

- Mam nadzieję, że nie przesadzasz z robotą, bracie. Nic tylko praca, bez żadnej rozrywki, otepia człowieka. A poza tym, kiedy możemy spodziewać się twojego ożenku? Już pora, żebyśmy ty i ja zmajstrowali stadko naszych własnych dzieci. Wyobraź sobie, Finnie, te święta Bożego Narodzenia, jakie spędzilibyśmy razem, twoja żona i moja żona, twoje dzieci i moje dzieci - wszyscy zabawiający się radośnie przed kominkiem lub siedzący razem wokół stołu przy świątecznym obiedzie, do kładnie tak, jak to robiono w Wielkim Domu.

- Nie wygłupiaj się, Dan - rzekł ozięble Finn. Nigdy nie będzie tak jak w Ardnawamie i dobrze o tym wiesz. Nieważne, ile zarobimy pieniędzy; i tak nigdy nie staniemy się tacy sami, jak oni.

Lily włożyła uszytą na obstalunek suknię i żakiet w swym ulubionym kolorze, ciemnym lila róż. Nosiła ekstrawagancki paryski kapelusz przybrany różami z różowego jedwabiu i rodowe klejnoty Adamsów:

kolię z pięciu sznurów pereł i kolczyki z pereł i diamentów. W rękę trzymała bukiet słodko pachnących różowych róż i fiołków. Jadąc na ślub, roztrząsała w myślach każdy szczegół swojego romansu z Finnem.

Wiedziała, że uwiódł ją, by się zemścić i wiedziała, że kiedy usłyszysz o niej i o Danie, pomyśli, że teraz ona odgrywa się na nim. A to nieprawda; Dan pomógł jej wrócić do stanu normalności wtedy, gdy rozpacz i rozczarowanie doprowadzały ją do obłędu. Był dobry, bezinteresowny i okazał się skałą, której się mogła uczeplić pośród burzliwych fal życia. A ją te burzliwe fale tak bardzo już zmęczyły! Mając Dana i swojego syna, a może jeszcze inne dzieci, zaczniesz żyć w spokoju i pogodzona z losem. Taki zawarła układ z Panem Bogiem. Postanawiała, że będzie dobrą i sumienną żoną i matką, i miała nadzieję, że Bóg odpuści jej winy zgodnie ze słowami modlitwy, obdarzając ją zadowoleniem z życia i towarzysztwem, jeśli już nie może doświadczać wielkiej miłości. Miała też nadzieję, że Finn będzie trzymał się z dala od jej życia i że dochowa ich sekretu.

Pomimo to, gdy tak jechała na swój ślub, nie mogła się powstrzymać od marzeń o tym, że gdy Finn dowie się, iż wyszła za jego brata, poczuje się tak, jakby nóż wkręcał się w jego wnętrzości. W ten właśnie sposób bowiem czuła się owego wieczoru, gdy Finn wyrzucał ją ze swego mieszkania.

- Wziąłem tylko to, za co już zapłaciłem - krzyknął wtedy za nią, a ona odwróciła się od drzwi i spiorunowała go wzrokiem.

- O nie, nie zapłaciłeś - warknęła. - Nie zapłaciłeś tyle, ile trzeba. Jeszcze ci daleko do tego, Finnie OKeeffe.

Cóż, teraz miał właśnie zapłacić, a potem wszystko się już skończy.

Czekając na Lily w poczekalni spokojnej, małej sali sądu gdzieś w Nowej Anglii, Dan myślał, że jest ona niczym dziewczyna z baśni; jako dziecko już wydawała się czarodziejką, z tą jej dziką urodą, błyszczącymi niebieskimi oczami i władczym sposobem bycia, który sprawiał, że każdy pędem robił, co mu rozkazała. Lily zawładnęła jego sercem już wtedy tak samo, jak sercem jego brata, a teraz zdobył ją ten lepszy. A co dziwniejsze tym człowiekiem jest właśnie on.

Posłyszał jej szybkie, lekkie kroki w holu i wybiegł jej na spotkanie, rozpromieniając się z zachwyty, gdy ujrzał, jak pięknie wygląda.

Czy jesteś zdenerwowana, Lily? - rzekł z troską, ponieważ drżała.

Myślała w popłochu: Jeszcze masz czas. Teraz możesz odejść. Uciekaj! Tym razem pomyśl Lily. Pomyśl o tym, co z wami robisz.

- Dan - rzekła zdesperowana - Ja... ja myślę...

- No, no, przyjechała piękna narzeczona - powiedział kpiącym tonem Finn.

Ujrzała go stojącego w drzwiach i zaczęła gapić się na niego jak zahipnotyzowany królik na lisa.

- Finn zgodził się być moim drużbą - wyjaśnił szybko Dan, jako że nie dotrzymał obietnicy, że nikomu nie powie o ich ślubie wcześniej niż po fakcie. - Przecież to cała moja rodzina i wiedziałem, że nie będziesz miała nic przeciw pocziwemu Finnowi.

Spojrzał na nich z nadzieją, ale Lily i Finn wpatrywali się w siebie w milczeniu. W oczach Finna, gdy tak patrzył na nią, widać było dziwny refleks. Przez chwilę Dan myślał, że to pogarda, lecz zaraz

ze śmiechem odrzucił ten pomysł jako absurdalny.

Wziął Lily pod rękę i rzekł jowialnie:

- To jest ślub, a nie pogrzeb. No, chodźcie już, bo sędzia czeka. - Dan - odezwała się Lily z rozpaczą. I wtedy napotkała wzrok Finna, zobaczyła na jego ustach uśmiešek satysfakcji i już wiedziała, dlaczego tu przybył. Pomyślał sobie, że kiedy ona go ujrzy, nie przebrnie przez to wszystko. A więc się mylił. - Jestem gotowa, Dan - powiedziała.

W ciągu kilku minut ceremonia się skończyła; pan młody wsunął pannie młodej na palec złotą obrączkę i delikatnie ją ucałował, po czym drużba upomniął się o swoją tradycyjną zapłatę w postaci pocałunku.

- Moje gratulacje, pani OKeefe - szepnął Finn, biorąc ją w ramiona i wyciskając mocny pocałunek na jej ustach. Zesztywniała, a wtedy ją wypuścił. - Cóż, bratowo - zawołał, ruszajmy na uroczysty obiad weselny!

Pomimo iż panna młoda zachowywała milczenie przez większą część obiadu, a później w czasie drogi powrotnej, Dan uważał, że ten dzień ślubu jest najszczęśliwszym dniem jego życia. W podróż poślubną zabrał ją do Waszyngtonu, gdzie przedstawił ją kolegom, ci zaś powiedzieli:

- Ten stary drań dobrze się urządził. Lily OKeefe to szykowna dama. A przy tym piękność.

Obydwoje zostali zaproszeni do Białego Domu, by zjeść kolację z prezydentem i panią Cleveland - i był to jedyny raz w ciągu całego ich miodowego miesiąca, kiedy Lily czuła się na właściwym miejscu.

Waszyngton okazał się małym, zwyczajnym miastem i nie cierpiała hotelu, w którym mieszkali. Nie znosiła jedzenia, wina, obsługi. Czuła odrazę do komarów i do otaczających Waszyngton terenów wiejskich. Gorąco wywoływało u niej ból głowy i tęskniła za dzieckiem. Dan był pełnym namiętności, kochającym mężczyzną, ale ilekroć ją kochał, pragnęła, by na jego miejscu znajdował się Finn - niezależnie od tego, jak często przywoływała na myśl swój układ zawarty z Panem Bogiem.

Z nadejściem ostatniego dnia ich miodowego miesiąca Lily przy znała przed samą sobą, że popełniła błąd. Zamknęła się w łazience i płakała tak długo, aż jej oczy stały się opuchnięte i czerwone, a jej twarz cała w plamach, a i wtedy jeszcze nie wyrzuciła z siebie całej rozpaczy. Ale jak zwykle, było już za późno na to, by cofnąć wskazówki zegara. Miała zamiar dotrzymać zawartej transakcji.

Finn nabrał zwyczaju odwiedzania ich w domu na Back Bay za każdym razem, kiedy był w Bostonie, lecz zawsze uważał, by najpierw upewnić się, że Dan jest w domu. Nie dowierzałby sobie w przypadku, gdyby znalazł się sam na sam z Lily, i nie chciał sprawiać bólu bratu. Chciał za to widzieć swojego syna...

- To wspomniały chłopiec - rzekł Dan, podnosząc dziecko i sadzając je sobie na ramionach. - No i podobny jest do Lily, choć ona mówi, że wda się w Adamsów i zostanie uczonym.

Radośnie wyszczerzył do dziecka zęby.

- Nie ma mowy, żeby twoja matka pozwoliła ci wystartować w życiu od sprzedawania czerwonych szelek zarechotał, a Lily rzuciła mu piorunujące spojrzenie. Zaczynały ją męczyć zgrzebne mądrości Dana i jego historyjki o tym, „jak rozpoczynał”. Finn napotkał jej spojrzenie, więc jego również zgromiła wzrokiem, w którym było wyzwanie, by powiedział coś na temat dziecka. Ale on milczał. Z jakiegoś powodu usta miał zamknięte równie mocno, jak ona, choć naprawdę rozpieszczał chłopca, przynosząc mu całe naręczka kosztownych prezentów za każdym razem, kiedy przychodził z wizytą.

- Jedna zabawka wystarczyłaby - rzekła doń Lily lodowatym tonem, ale on tylko się roześmiał i powiedział drwiąco:

- Mam chyba prawo rozpieszczać własnego „bratanka”, czyż nie?

- On nie jest twoim bratankiem; to Liam Adams - przypomniała mu ozięble.

- No dobrze, więc mojego przyrodniego bratanka. Tak czy owak, to jedyny dzieciak, jakiego znam, no a przy tym to wspaniały facecik. - dodał tonem prowokacji: - Widzę w nim nawet odrobinę czegoś z OKeeffeów, mimo że jesteśmy dla siebie tylko „przyrodni”.

Życie u boku Dana na Back Bay bardzo różniło się od życia w małżeństwie z Johnem na Beacon Hill. Kiedy Dan siedział w Bostonie, dom nieustannie zapełniali ludzie: szefowie irlandzkich okręgów, senatorzy stanowi, politycy wszelkiego rodzaju i reprezentujący każdy poziom. Byli to grzeczni, krzepcy ludzie, w większości Irlandczycy i wydawało się, że zawsze w perspektywie jest jakaś parada z orkiestrą dętą, balonikami, fajerwerkami i koźmi lub piknik na cele dobroczynne, lub jakaś kampania, którą trzeba stoczyć.

Ilekcroć Dan wyjeżdżał do Waszyngtonu, w domu zapadała cisza, a Lily nie wiedziała, czy odczuwa ulgę, widząc, jak on i jego kompani odjeżdżają, czy też jest zagubiona i nie wie, co ma ze sobą począć w chwili, gdy ich nie ma. Kiedy Dan był poza domem, Finn nie przyjeżdżał z wizytą, a Lily w desperacji myślała, że w ostatecznym rozrachunku to ona przegrała.

Maudie

- I tak właśnie, moi drodzy - rzekłam do Shannon i Eddiego - przedstawiała się sytuacja, gdy do Bostonu przyjechała Ciel.

- Powiedziałbym, że była wybuchowa - odezwał się Eddie, pomagając mi wstać z głązu, na którym siedziałam. Trzasnęło mi w kościach jak zwykle; wiek nie jest łaskawy: odbiera sprężystą elastyczność czasów młodości, gdy wszystko przesuwa się i obraca jak w zegarku, smarowane nieznanymi olejami i amortyzowane przez młode, niezuzycie chrząstki. Ale kiedy już stanę na nogach, nadal jeszcze potrafię wspiąć się na to wzgórze razem z najlepszymi.

- Chodźcie tędy-zawołałam, przybierając ton DanaOKeeffea, gdy sprzedawał te przekłete czerwone szelki. - Chcę - wam coś pokazać.

Gramolili się za mną po wzgórzu aż do miejsca, gdzie z odsłoniętej skały spadał mały strumyczek. Za nim znajdowała się jaskinia na tyle wysoka, by w niej stać. Wsunęłam się ostrożnie do niej, ściągając na siebie pajęczyny i dałam im znak, żeby szli za mną.

Staliśmy w grocie, przed sobą mając opadający z góry kryształowy strumień, a blask słoneczny zmieniał go w tuzin różnych barw.

- Dokładnie tak, jakby się było we wnętrzu tęczy! - wykrzyknęła Shannon w chwili, gdy Eddie strzepywał jej z włosów pajaka. Przez kilka chwil staliśmy, wsłuchując się w uroczy dźwięk rozpędzonej wody i w tajemnicze odgłosy krzątania, które dochodziły z ciemności w głębi jaskini.

- Na pewno nietoperze - powiedziałam dziarsko, a Shannon jak wystrzelona z procy znalazła się na zewnątrz.

- Ciel i Lily przychodziły tutaj jako dzieci - wyjaśniłam. - Mamusia powiedziała mi, że było to ich tajemne miejsce. Snuły szalone plany ucieczki z domu i zamieszkania w grocie, więc znosiły tu jedzenie i chowały je, lecz oczywiście kiedy wracały, niczego już nie było. Lily powiedziała Ciel, że jedzenie zabrały wróżki, choć świetnie wiedziała, że to po prostu myszy i małe dzikie zwierzątka. Ale w oczach Lily baśń w każdej sytuacji wydawała się czymś lepszym od prawdy i przypuszczam, że stanowiło to jedną z przyczyn jej kłopotów. Zawsze widziała rzeczy tylko w taki sposób, w jaki je

chciała zobaczyć.

- W każdym razie, moi drodzy - obiecałam, kiedy znowu dotarliśmy do szosy i do czekającego na nas czerwonego auta - dziś wieczór po kolacji opowiem wam, co się wreszcie stało z nimi wszystkimi.

Wyraźnie widziałam, że czekają w napięciu, by dowiedzieć się w końcu, jak się to wszystko ułożyło, a ja mocząc się bez pośpiechu w wannie, czułam smutek, ponieważ właśnie ta część opowieści sprawiała kiedyś mojej mamusi najwięcej bólu.

Ja prawie nigdy nie noszę już czerni, bo stwierdzam, że nic ona nie daje starszej skórze; popatrzcie tylko na czarno zawołane wdowy o ziemistej cerze, a będziecie wiedzieć, o co mi chodzi. Pomimo to dzisiejszego wieczoru uznając, że moja opowieść to uzasadnia, ubrałam się na czarno.

Był to, koronkowy oczywiście, wczesny model Yalentino, z dopasowaną talią i jedną z tych kokietyrnych kloszowych spódniczek na podszewce z różowego atłasu. Suknia o całe niebo za wytworna na domową kolację, ale oddawała mój nastrój. Przetarłam diamenty, zapięłam je na szyi, dodałam muśnięcie szminki i odrobinę perfum - i znów byłam gotowa, by snuć swą opowieść.

Boston

Luksusowe statki transatlantyckie nazywano „greyhoundami oceanu”, ponieważ podróż morską odbywały w siedem dni. Ciel całą drogę przez Atlantyk spędzała na flirtach i tańcach, zabawiając się wspaniale.

Kiedy transatlantyk wszedł wreszcie do portu, przewiesiła się z przejęciem przez burłę, wypatrując swej siostry w tłumie kłębiącym się w dole. I wówczas ją zobaczyła: wysoką, cudownie elegancką kobietę w futrzanym zakieciku i kapeluszu, na której widok odwracały się wszystkie głowy, gdy podążała w stronę statku. Ludzie rozstępowali się, by ją przepuścić, przystając, by na nią spojrzeć i zapytując się, kto to taki, bo z całą pewnością wyglądała na „kogoś”. Ciel roześmiała się z ulgą. Nic się nie zmieniło. Lily pozostała tą samą piękną, autokratyczną Lily; ludzie nadal ustępowali jej z drogi, zatrzymywali się, by na nią spojrzeć i - o czym Ciel była przekonana - nadal śpieszyli spełniać jej zachcianki.

- Lily - wrzasnęła Ciel, machając jak szalona. Spotkały się oczyma i twarz Lily rozświetliła się wyrazem szczęścia i ulgi.

- Dzięki Bogu, nareszcie tu jesteś. Wchodzę na pokład. Z rozpędem padły sobie w ramiona, nie zważając na pełne ciekawości spojrzenia wychodzących pasażerów; obchodziło je tylko to, że znowu są razem.

Lily zrobiła krok do tyłu, trzymając Ciel na odległość wyciągniętej ręki i wpatrując się w nią ze łzami w oczach.

- Och, Ciel, wyglądasz cudownie. - Obejrzała badawczo paryski kostium Ciel z brunatnego samodziła i nałożony na bakier mały kapelusik z brunatnymi piórami, po czym dodała zaskoczona: - jesteś taka szykowna.

- A ty musisz być najpiękniejszą kobietą w Nowym Jorku. Gdy szłaś nabrzeżem, przypominało to rozstąpienie się fal w Morzu Czerwonym. Nic się nie zmieniło.

- Och, jak ja za tobą tęskniłam - rzekła Lily i znowu się uściśniły. - Obiecuj mi, że zostaniesz na zawsze. Wydostały się w ślad za górą bagażu Ciel na nabrzeże i już niebawem jechały do hotelu Fifth Avenue. Trzymały się za ręce jak dzieci i Ciel bez ustanku opowiadała o Ardnawamie, a Lily rzekła z nadzieją:

- Myślałam, że zawsze będę skazana na wygnanie, ale może pewnego dnia, już niedługo, znów pojedę do domu. Ciel powiedziała ze smutkiem:

- Nie jest już taki, jak kiedyś. Bez nich wszystkich jest teraz pusty. Jednak najgorsze było życie bez ciebie. - Na samo wspomnienie zaczęła płakać, a Lily pocieszającym gestem objęła jej ramiona.

- Liczy się tylko to, że już znowu jesteśmy razem - rzekła krzepiającym tonem. - A teraz czeka nas nieco rozrywki. Dziś wieczór obejrzymy mojego przyjaciela, Neda Sheridana, w jego nowej sztuce na Broadwayu, a potem zabierze nas na kolację do U Delmonico.

Tego wieczoru Ciel włożyła suknię z ciemnozielonej tkaniny, sięgającą wysoko pod szyję i obcisłą w talii, wraz ze swym tradycyjnym rozgardiaszem diamentowych broszek i z ogromnymi matczynymi perłami. Miała diamenty we włosach i w uszach oraz długie futro z rudych lisów. Lily zaś była elegancka jak zwykle, w sukni z koronki, z głębokim dekoltem i obcisłymi rękawami, w rodowych szafirach Adamsów i w pelerynie z czarnych lisów.

Ned Sheridan powiedział im, że czuje się najbardziej dumny ze wszystkich mężczyzn w Nowym Jorku, jako że ma u swego boku dwie najpiękniejsze kobiety tego miasta, a Ciel kręciło się w głowie ze szczęścia, gdy U Delmonico wznosili szampanem toasty za swoje zdrowie. Szepnęła do Lily, że Ned jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała, a przy tym najsympatyczniejszym, i może jednak szkoda, że Lily nie wyszła za niego.

- Może i powinnam - rzekła Lily, a Ciel uchwyciła w jej głosie nutę smutku. Zauważyła ponadto, że dla każdego, kto patrzył z boku, było oczywiste, iż Ned Sheridan jest po uszy zakochany w jej siostrze.

Nazajutrz rano udały się pociągiem do Bostonu i przejechały przez dzielnicę Beacon Hill, tak że Lily mogła pokazać Ciel swój poprzedni dom przy ulicy Mount Vernon, teraz zamknięty na głucho, i dom Finna O'Keeffe Jamesa na Louisburgh Square, aż wreszcie dotarły do domu Dana w Back Bay.

- Nie trać czasu na rozglądanie się - krzyknęła, wbiegając pędem na schody niczym gołąb wracający do domu. - Chodź zobaczyć Liama!

Chłopczyk słyszał, jak wchodzi; rzucił się na matkę, a Lily porwała go w ramiona, śmiejąc się i obsypując pocałunkami jego twarzyczkę, włosy, ręce - wszystko, gdzie znalazła choć trochę miejsca na całusa.

Miał już prawie dwa lata i był chłopcem wysokim na swój wiek, o smukłym, jędrnym ciałku, ciemnych włosach i spokojnych szarych oczach. Twarzyczkę miał jednak bladą i pokaszływał.

Zmartwiona Lily patrzyła na niego.

- Od jak dawna kaszle w ten sposób? - zapytała piastunkę.

- Dopiero od wczoraj, pani O'Keeffe. Na pewno to nic takiego, tylko drapanie w gardle. Chłopiec czuje się świetnie; bawi się spokojnie klockami i zabawkami.

- Liam nigdy nie bawi się spokojnie - rzekła Lily ze złością. - Czy nie jesteś tu już na tyle długo, by o tym wiedzieć? Jeśli jest spokojny, znaczy to, że na pewno jest chory. Przyłożyła dłoń do jego czoła; było chłodne, ale może zanadto chłodne. - Natychmiast połóż go do łóżka - rozkazała - i opatul ciepło. Ja wzywam doktora.

Obejrzała się i przypomniała sobie o Ciel, która stała w drzwiach.

- Och, Ciel - powiedziała. - Tak bardzo się o niego martwię. On zawsze łapie ten kaszel; lekarz powiedział mi, że ma słabe płuca...

- To wspaniały chłopak, Lily - odparła i wydaje się, że jest całkiem zdrowy. - Zerkał ku niej spoza matczynej spódnicy i Ciel zaśmiała się wesoło. - Ja jestem twoją ciocią Ciel - rzekła,

opadając na dywan obok niego. - Przyjechałam, by się z tobą bawić i cię rozpieszczać.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, a on odwzajemnił się takim samym uśmiechem. Miał szczupłą, pogodną buzię o słodkim wyrazie i Ciel pomyślała, że jest zachwycający, choć w najmniejszym stopniu nie przypominał Lily. Usiadł na podłodze koło Ciel, wziął do ręki klocki i powiedział:

- Pobawmy się!

- Nie - rzekła stanowczo Lily. - Idziesz do łóżka. A ja wzywam doktora.

Niania zabrała dziecko, a w chwilę potem pojawił się lekarz. Powiedział, że nie ma powodu do niepokoju, że chłopiec nie ma gorączki i że jego gardło jest wręcz znakomite.

- Ale niania mówiła, że był taki spokojny - zaprotestowała Lily.

- Śmiem twierdzić, że po prostu miał ochotę na spokojną zabawę. Wie pani, dzieciom czasami się to zdarza - odparł znużonym tonem lekarz. Przyzwyczał się już do szaleńczych wezwań Lily, które niekiedy zdarzały się w środku nocy i prawie wszystkie były zbędne.

- Za bardzo się martwisz, Lily - zauważyła Ciel. - Mnie on się wydaje wspaniałym i silnym chłopcem.

- Och, a co ty wiesz - krzyknęła Lily, tupiąc nogą. - Ja jestem tą, która musi się nim opiekować. Muszę tak bardzo uważać. On jest dla mnie wszystkim. Jest wszystkim, co posiadam. Ciel wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

- Ale przecież masz swojego męża, Lily - powiedziała. - I swój uroczy dom, i wspólne życie z Danem.

- Myślałam tylko, że Liam jest wszystkim, co mi pozostało... po Johnie - wyjaśniła. - Po prostu kocham go tak bardzo. Ciel, że nie zniósłabym, gdyby coś miało mu się stać.

Dan już obiecał, że ten wieczór spędzi w domu, i Lily krążyła po wszystkich pokojach jak zdenerwowana kotka, zadając sobie pytanie, co pomyśli Ciel na widok jej męża, który przypomina diament oprawny w drewno. Ciel była na górze, przebierając się właśnie do kolacji, gdy wrócił Dan, w meloniku jak zwykle zsuniętym w tył głowy i z chustką w grochy, zawiązaną na szyi. Lily rzuciła nań tylko okiem i jęknęła, pytając go, dlaczego musi zawsze wyglądać jak irlandzki polityk uliczny, który właśnie zmierza do najbliższego baru. Wysłała go czym prędzej na górę, żeby się przebrał, a potem poszła dopilnować, by stół do kolacji został nakryty dokładnie w myśl jej wskazówek.

Dan szczerze kochał swojego małego pasierba i właśnie szedł do dzieciennego pokoju, by przywitać chłopca, kiedy na schodach zderzył się z Ciel. Zmierzyli się nawzajem wzrokiem, uśmiechnięci.

- Czy to zjawisko to naprawdę mała Ciel Molyneux? - zapytał, ujmując jej rękę w swe wielkie łapska.

- A ten przystojny światowiec, czy to naprawdę Daniel O'Keeffe, syn Padraiga? - odpowiedziała pytaniem na pytanie, a on zamknął ją w swych ramionach, w wielkim niedźwiedzim uścisku.

- Czy kiedyś ci przyszło do głowy, że będziemy tak ścisnąć się i całować? Jako szwagier i szwagierka? - zapytał, uśmiechając się do niej promiennie.

- Mogę się tylko cieszyć, że to prawda - odparła. - Nie jestem w stanie wymyślić nikogo innego, kogo wolałabym mieć za szwagra. Może jedynie Finna - dodała z cieniem swego dawnego wichrzycielstwa.

- No jasne, bo sam zadawałem sobie pytanie, i to jeszcze w dzień ślubu, dlaczego to za mnie wychodzi twoja piękna siostra, a nie za mego brata? Skoro już w dzieciństwie rozumieli się jak para łotrów? Ale mówię z całą radością, że to ja jestem tym facetem, którego wybrała, i z dumą ci mogę

powiedzieć, szwagierko, że uczyniła mnie bardzo szczęśliwym człowiekiem. I mam nadzieję, że w niedługim czasie zapełnię ten pokój dziecinny wieloma innymi małymi koleżkami. - Mrugnął do niej z miną spiskowca. - Chciałem tylko zerknąć na chłopaczkę, a potem Lily każe mi się przebrać w coś bardziej „porządnego”, by sięść do kolacji z jej siostrą.

Ciel obserwowała ze śmiechem, jak teatralnie skrada się na palcach korytarzem w stronę pokoju dziecinnego. Pomyślała, jaki z niego miły mężczyzna i jaki przystojny, i pomyślała też, że jej siostra ma szczęście, będąc jego żoną.

Przy kolacji bawili się wesoło; płynęło wino, a Dan - pomimo miazdzących spojrzeń Lily - opowiedział swą historyjkę o tym, jak za czynił karierę. Rozmawiał z Ciel o Waszyngtonie i o Białym Domu, do którego obiecał ją zaprosić w niedługim czasie. Potem rozmowa zwróciła się ku Ardnavamie, a jemu przemknął po twarzy wyraz smutku.

- Nie powiedziałem ci ani razu, jak bardzo chciałem tam wrócić - rzekł do Lily. - Na początku, kiedy przyjechałem do Bostonu i kiedy Finn i ja mieszkaliśmy w norze bez okien, zawsze śniła mi się Ardnavama. Zamiast szarych, cuchnących i brudnych ulic Dzielnicy Północnej, śniła mi się zieleń ogrodów Ardnavamy, szmer deszczu na liściach olch i świeżość powietrza, napęlniającego mi płuca. Ile to razy wyobrażałem sobie, że brodzę w brunatnej od torfu rzece, borykam się z łososiem, albo uganiam się po polach z dubeltówką za bażantami. Jedyne problemy z tymi snami polegały na tym, że dotyczyły one przeszłości, w miejscu zaś, w którym się znajdowałem, miałem tylko okropną teraźniejszość, ale żadnych marzeń ani nawet nadziei na jakąś przyszłość, którą mógłbym przewidzieć.

- To tylko pokazuje, jak człowiek może się mylić - dodał tryumfująco. - I jeśli uważamy, że Irlandia jest krajem należącym do Boga, to Ameryka na pewno jest krajem przez Boga wybranym, ponieważ ja bynajmniej nie jestem jedynym z ubogich i niewykształconych Irlandczyków, którzy tu czegoś dokonali. Jak powiadam swoim wyborcom: „To jest kraj niezwykłych sposobności, a wszystko, co macie zrobić, to ruszyć z miejsca swe leniwe tyłki i złapać te sposobności”.

- Dan - zaprotestowała oziębłym tonem Lily.

- Przepraszam za swe przyziemne słowa, Lily - powiedział spokojnie - ale jestem człowiekiem, który nazywa rzeczy po imieniu, a tyłek jest tym, czym zawsze był. Po prostu tyłkiem.

Ciel wybuchła śmiechem, widząc zgorszenie na twarzy siostry.

- Chyba pamiętam, że ty używałaś jeszcze gorszych wyrazów, Lily - przypomniała jej i Lily roześmiała się, lecz w duszy po myślała, jak miała by kiedykolwiek wrócić do Ardnavamy z Danem w roli swojego męża.

- No, no. Otóż radosne spotkanie rodzinne - odezwał się od drzwi Finn, a wszystkie głowy obróciły się, by spojrzeć w jego stronę.

- Finn OKeeffe! - Ciel zerwała się i pobiegła ku niemu. - Chwyciła go za rękę. - Czy to naprawdę ty? - zapytała, oglądając go z góry do dołu. Był szczupły, przystojny, smagły i nieskazitelnie ubrany. - Kiedy widziałam cię po raz ostatni, nosiłeś kamizelkę w zielone pasy i spodnie do konnej jazdy, na swej urodziwej twarzy miałeś dwudniową szczecinę, a w oczach nikczemny błysk, który był przekleństwem dla każdej dziewczyny od Galway aż do Westport.

W odpowiedzi uśmiechnął się do niej, pokazując zęby.

- Ten błysk wciąż się nie zmienił, tylko strój się zmienił - rzekł. - może również to, co w środku, jako że było mi dane nauczyć się, jak mam się zachować w dobrym towarzystwie.

- I jak zrobić majątek - wykrzyknęła Ciel, nigdy nie umiejąc za chować dla siebie tego, co myśli.

- Powiadają mi, że jesteś bogaty, może nawet bogatszy niż papcio. Uśmiechnęła się do niego szeroko.
- To nie byłoby zbyt trudne; pod koniec życia to stare chłopaczysko uprawiając hazard, przepuszczało niezłe sumy. Ja spadłam niżej w społeczeństwie, ty natomiast się wspiąłeś.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie, Finn - ucięła chłodno Lily.

- Dan mi powiedział, że będzie tu Ciel. Jak mogłem ominąć sposobność zobaczenia znowu mojej dręczycielki? - Wyszczrzył do niej zęby. - Tylko nie spodziewaj się, że zatańczę dla ciebie jak niedźwiedź, panienko Ciel.

Roześmiała się, a on zajął miejsce obok niej, rzucając ku Lily spojrzenie pełne udanego błagania.

- Czy możesz użyzyć talerza strawy biednemu facetowi, który właśnie przebył długą drogę z Nowego Jorku, kona z głodu i trza mu kielicha, albo i dwóch?

- Och, daj spokój z tym idiotycznym irlandzkim akcentem - rzekła zniecierpliwiona, dając znać służącej, by położyła jeszcze jedno nakrycie. Dan nalał wina i powiedział:

- Jasne, że się cieszę, iż przyjechałeś, Finn. Teraz cała nasza czwórka zebrała się razem. Cała rodzina. I jest właśnie tak, jak być powinno. Finn pociągnął łyk czerwonego wina i popatrzył z zachwytem na Ciel.

- Nikt mi nie mówił, że wyrosła z ciebie piękność - powiedział. Rzuciła mu niedowierzające spojrzenie.

- Daj już sobie spokój z pochlebstwami. Finnie OKeeffe. Nikt przy zdrowych zmysłach nigdy by mnie nie nazwał piękną. A więc albo masz pomieszanie zmysłów, albo jesteś okropnym pochlebcą.

- Jedno i drugie - odparł z przekonaniem i wybuchli śmiechem. - Wyglądasz po prostu wspaniale - powiedział szczerze. - Taka wytworna i taka, taka... rudowłosa, i taka pełna życia. Zawsze cię lubiłem, Ciel.

Lily szybko zadzwoniła na służącą, żeby zabrała talerze.

- Jeśli na skutek rozmowy jesteś, Finnie, zbyt zajęty, by jeść kolację, to po prostu przejdźmy do deseru - warknęła.

Ciel wpatrywała się w nią zaskoczona; przecież Finn był tu dopiero od dziesięciu minut.

- Czy zobaczymy dziś wieczorem małego Liama? - zapytał Finn po kolacji, gdy znowu znaleźli się w salonie.

Lily rzuciła mu zjadliwe spojrzenie, a on odwzajemnił jej się słodkim uśmiechem.

- Jest za późno - rzekła Lily. - Już śpi.

- Och, daj spokój, Lily, nie możesz trzymać człowieka z dala od jego własnego bratanka - powiedział przymilnym tonem. Przecież nie widuję go aż tak często.

- Pewnie, że możesz go zobaczyć. - Dan był zawsze gotów pokazać swojego chłopca. - Może chodźmy wszyscy, by zerknąć na niego.

- Dzisiaj kaszał. Musiałam posłać po doktora - zaprotestowała Lily, a Ciel patrzyła na nią wielkimi oczami. Wiedziała znakomicie, że lekarz powiedział, z Liamem nic złego się nie dzieje.

- Och, proszę cię, Lily - błagała.

Lily poprowadziła ich na górę, a jej sztywno wyprostowane plecy i szastanie fałdami spódnicy wyrażało obrazę. Liam spał.

- Czy widzieliście kiedyś coś tak niewinnego i słodkiego? - wyszeptała Ciel, spoglądając na siostrę i myśląc, jaka z niej szczęśliwa ko bieta. Ma wszystko: przystojnego i bogatego męża, który ją uwielbia, piękny dom, oraz synka, którego wszyscy kochają.

- To naprawdę piękny facecik - szepnął Dan. - A teraz jest już niemal całkiem mój, tak że patrząc

na niego, można by prawie pomyśleć, że jest w nim kropla dobrej krwi O'Keefeów.

- Można by to pomyśleć - zgodził się Finn. Lily płonęły policzki, gdy pochylała się nad synkiem i naciągała mu kocyk aż pod szyję.

- Musi mu być przez cały czas ciepło - upomniała młodszą piastunkę, która czekała za drzwiami. Ale drżenie słyszalne w jej głosie nie brało się z troski. Brało się z obawy przed Finnem i przed władzą, jaką miał nad nią. I nic nie mogła na to poradzić.

Gdy znaleźli się znowu na dole, Finn powiedział do Ciel:

- Będę w Bostonie przez parę dni. Może zgodzisz się, żebym cię oprowadził.

- Zaplanowałam już, że sama pokażę Ciel miejsca godne uwagi - zaprotestowała Lily, starając się utrzymać go z dala od swego życia. - Przecież nie widziałyśmy jedna drugiej przez całe lata. - A więc może obydwie mogłybyście poświęcić nieco czasu na to, by jutro po południu przyjść i wypić ze mną herbatę. A później być może to ja pokażę wam Nowy Jork.

- Być może - odparła Ciel, odprowadzając go do drzwi. Gdy zamaszystym krokiem odchodził, odwrócił się jeszcze i pomachał, a w Lily serce zamarło na widok uśmiešku na twarzy siostry, kiedy ta obserwowała oddalającego się Finna.

Maudie

- Znaleźli się znowu wszyscy razem, tylko że teraz byli sobie równi - zwróciłam się do Shannon, siedzącej obok mnie na wielkiej kanapie obitej błękitnym brokatem i z popękkanymi sprężynami, które cię łapią w chwili, kiedy siadasz, i sprawiają, że niczego nie podejrzewające damy wyobrażają sobie, iż może ktoś je uszczypnął w siedzenie.

Shannon zsunęła się na dywan, gdzie leżał już Eddie, rozciągnięty jak długi przed kominkiem, z rękami założonymi za głowę i z zamkniętymi oczyma, ja zaś z błogością jednym ruchem podciągnęłam nogi na kanapę. Podparłam głowę dwiema poduszkami, podziwiając swe czarne zamszowe pantofelki na wysokich obcasach i pragnąc, by moje kostki u nóg nie były aż tak chude.

Odkąd mam dwoje gości, którzy co wieczór zachęcają mnie do jedzenia, jadam tak dużo, iż pomyślałam, że może troszeczkę przybrałam na wadze. Ale nic z tego. Im jestem starsza, tym robię się szczuplejsza.

- W każdym razie - rzekłam - Ciel powiedziała mi, że Finn był najbardziej urodziwym mężczyzną, jakiego w życiu widziała: wysokim, o szerokich ramionach, o mocnej, gibkiej sylwetce, przenikliwych szarych oczach i szczupłych szczękach. Miał gęste, czarne włosy ze skłonnością do układania się w fale, które nosił zaczesane do tyłu. Przy tym w swoich garniturach szytych na miarę i w płaszczach z futrzanymi kołnierzami wyglądał na ten milion lub więcej - dolarów, jakie posiadał, no i z pewnością wiedział, jak obchodzić się z dziewczyną.

- „Najwyraźniej wiedział to z doświadczenia” - powiedziała mi, trochę z goryczą, jak sądzę, lecz było to jeszcze zanim usłyszałam, co się wydarzyło. Cóż, uganiał się za nią, rzecz jasna. Ścigał ją swymi telefonami, niespodziewanymi wizytami i kwiatami tak długo, aż - jak mówiła Ciel - Lily ze złości rwała sobie włosy z głowy, ona zaś nie mogła pojąć, dlaczego tak się dzieje, więc zapytała o to.

Boston

- No bo on jest takim... takim wieśniakiem - wykrzyknęła Lily z nasyconą snobizmem zgryźliwością.

- Wobec tego ty jesteś żoną wieśniaka, ponieważ wyszłaś za jego brata - odparła Ciel. - I nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałabym pojechać do Nowego Jorku i spotkać się z nim.

Lily szastnęła spódnicą i wbiegła na schody.

- Och, jedź, jeśli musisz - zawołała ze złością. - Ale ostrzegam cię, z takim mężczyzną musisz uważać. Ma złą opinię, jeśli chodzi o kobiety. - Odwróciła się i spojrzała na nią. - Prowadziłaś do tej pory życie spokojne i bezpieczne. Nic nie wiesz o mężczyznach takich jak on. Ja po prostu staram się uważać na swą młodszą siostrę, to wszystko.

Nie miała potrzeby martwić się; Ciel nie zamierzała dać się uwieść Finnowi, lecz właśnie zakochiwała się w nim. Jak mogła się nie zakochać? Spotkał się z nią w Nowym Jorku i traktował tak, jakby była najważniejszym stworzeniem na całej ziemi. Jej pokój w hotelu napełniał pomarańczowymi różami, żeby - jak powiedział - pasowały do jej włosów. Kupował jej ozdobione klejnotami drobiazgi: malutkie papużki, pszczoły, koniki, nakrapiane pieski z diamentów i onyksu. Doprowadziło ją to do śmiechu i powiedziała, że nie ma pojęcia, gdzie może przypiąć tak liczną menażerię, ponieważ na piersiach miała już pełno iskrzących się różności po mamusi.

Oprowadził ją po mieście i olśnił mroczną, bogatą okazałością swoich biur i szacunkiem, z jakim witali go wszyscy, od portiera w górę. Zabrał ją, by zobaczyła Statuę Wolności i najnowszą rewię; podejmował wystawnymi kolacjami we wszystkich najbardziej wytwornych restauracjach i bombardował telefonami nawet wówczas, kiedy dopiero co się rozstali i ona leżała już z głową na poduszce, gotowa do snu.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że tęsknię za tobą. Ciel - powiedział tym swoim niskim głosem, od którego dreszcz przebiegał jej wzdłuż kręgosłupa.

- Niemądry człowieku - rzekła do niego - przecież zostawiłeś mnie dopiero pół godziny temu.

- Najdłuższe pół godziny w moim życiu - wymamrotał, a ona roześmiała się, odwieszając słuchawkę.

Finn O'Keeffe James popisywał się przed nią, a ona o tym wiedziała i ogromnie to lubiła. I pomimo niczym nieuzasadnionych zastrzeżeń ze strony Lily, jeździła do Nowego Jorku widywać się z nim najczęściej, jak tylko mogła, on zaś przyjeżdżał do Bostonu częściej, niż robił to kiedykolwiek przedtem. - Nie wiem, co takiego widzisz w tym człowieku - prychnęła Lily.

- A ja nie wiem, czemu tak bardzo jesteś mu przeciwna. Po prostu lubię jego towarzystwo, Lily, i to wszystko - powiedziała Ciel, z jakichś niejasnych powodów bojąc się wyznać siostrze, że jest w Finnie zakochana.

Równo w trzy miesiące od dnia ich spotkania po latach, Finn pierwszy raz ją pocałował.

- Pocałunek jubileuszowy - wyszeptał, jednakże w niewytłumaczalny sposób pocałunek ten wyglądał na coś znacznie więcej, tak że Ciel poczuła, jak nieoczekiwane drżenie dociera do jej żył, a przejmujące drobne sygnały trafiają do koniuszków nerwów, o których istnieniu nie miała pojęcia.

- Obawiam się, że zakochuję się w tobie - oznajmił, a ona zwiesiła głowę, po raz pierwszy zawstydzona, nie chcąc przyznać się sama przed sobą, że i ona się w nim zakochuje, ponieważ zbyt się martwiła, co na to powiedziałyby Lily.

W miesiąc później Finn zaprosił obie siostry na kolację do swego domu przy Louisburgh Square. Lily miała ochotę zabić go za sposób, w jaki omotał jej siostrę. Doskonale wiedziała, że on to robi, by dręczyć właśnie ją i by pokazać, jak mało o nią dba. żeby się puszyć władzą, jaką ma nad nią. Była przy tym przekonana, że biedna mała Ciel ulega urokowi jego słodkich słówek, niezależnie od tego, jak bardzo ona stara się odciągnąć siostrę od Finna. Powiedziała sobie, że ta gierka już niedługo mu się znudzi - i zaczęła się zastanawiać nad mężczyznami odpowiednimi dla swej siostry.

Tego tygodnia, w którym miały pójść na kolację, Lily padła ofiarą ataku grypy i lekarz zabronił

jej ruszyć się z łóżka, Ciel więc wybrała się sama.

Lokaj wprowadził ją do salonu, gdzie oczekiwał Finn. Pogoda zrobiła się prawdziwie wiosenna, więc wszystkie okna były otwarte i przyjemny wietrzyk wydymał firanki, przynosząc z ogrodu zapach kwitnącego bzu.

- Czy przychodzę jako pierwsza? - zapytała Ciel, nieświadoma tego, że dokładnie powtarza słowa swojej siostry i że Finn wyreżyserował dokładnie to samo przedstawienie.

- Jesteś jedynym gościem - rzekł do niej. - Wszystkich innych od wołałem, kiedy usłyszałem, że Lily nie może przyjść, bo wiedziałem, że w tej sytuacji będę cię miał wyłącznie dla siebie. Wszystko w porządku - uspokoił ją, gdy rzuciła dokoła niespokojne spojrzenie. - Służba zostanie przy nas. Nie martw się, nie próbuję cię uwieść.

- O Jezusie, Finnie James - powiedziała ze śmiechem. - Jesteś bezczelnym facetem, jeśli wyobrażasz sobie, że mógłbyś akurat coś takiego zrobić.

Wyjął z kieszeni puzderko z pierścionkiem, a ona wlepiła olśniony wzrok w ogromny szmaragd w otoczeniu diamentów. Wtedy Finn przykląkł na jedno kolano i rzekł z namaszczeniem:

- Ciel, wiem, że nie jestem ciebie godzien. Znasz moje niskie po chodzenie aż nadto dobrze, lecz mam nadzieję, że przekonasz się, iż wzniosłem się ponad nie. Mam serce w gardle ze strachu, że mi odmówisz, ale proszę cię, byś uczyniła mi ten honor i została moją żoną.

Patrzyła na niego uśmiechnięta i zaróżowiona na twarzy z przyjemności.

- To muszą być najdłuższe oświadczyzny, jakie kiedykolwiek wygłoszono. No i największy pierścionek. - Stuknęła go żartobliwie w jedno i drugie ramię, tak jak robiła to królowa, nobilitując swoich poddanych i rzekła: - Powstań, sir Finnie O'Keeffe Jamesie. Właśnie zaliczyłam cię w szeregi arystokracji, a więc możesz mi się oświadczyć tak jak trzeba i dać sobie spokój z tymi bzdurami o niskim pochodzeniu.

Opasał ją wokół ramionami, śmiejąc się radośnie.

- Boże kochany - zawołał, wznosząc ku niebu pytający wzrok - dlaczego nie spotkałem jej zanim...

- Zanim co? - zapytała. Ale on tylko wzruszył ramionami i rzekł: - nie udzieliłaś mi odpowiedzi.

- Nie zapytałeś mnie jeszcze tak, jak trzeba.

- Ciel, czy zechcesz wyjść za mnie? - krzyknął.

- Tak, do licha - wrzasnęła i ze śmiechem rzucili się sobie w ramiona.

Ciel nawlekła swój zaręczynowy pierścionek na wstążeczkę i za wiesiła na szyi, chowając go pod suknię do czasu, gdy potrafi zebrać się na odwagę, by powiadomić Lily, iż ma zamiar poślubić Finna.

Po kilku dniach wydawało się, że nadszedł stosowny moment. Finn był w Nowym Jorku, Dan w Waszyngtonie, a ona została sama z Lily.

Ciel wsunęła pierścionek na palec i wybrała się z siostrą i Liamem na spacer po placu miejskim. Przyglądała się, jak Liam kopie piłkę tu i tam, a jej siostra stara się nie pędzić w jego stronę i nie podnosić go za każdym razem, gdy mały upada.

- Nie mogę znieść tego, kiedy robi sobie krzywdę - rzekła Lily. - Dan zawsze mówi do niego: „No, rusz się, staruchu, nie ma o co płakać. To tylko zadraśnięcie”, a ja zawsze pędzę po jodynę, bandaże i termometry.

- Taka jest miłość - powiedziała filozoficznie Ciel. - A mówiąc o miłości...

Lily spojrzała na nią podejrzliwie.

- To co mianowicie?

Ciel wysunęła lewą rękę. W świetle słonecznym szmaragd błysnął jak zielonkawy lód. - Finn poprosił mnie o rękę - rzekła Ciel, a jej oczy zalśniły tak promiennie, jak diamenty w pierścionku.

Lily poczuła uderzenie w serce; odwróciła się bez słowa i pobiegła za Liamem. Porwała go z ziemi i mocno przycisnęła do siebie, walcząc ze łzami. „Sukinsyn, ach, ten perfidny sukinsyn” - powtarzała sama do siebie raz za razem. - „Jak on mógł mi to zrobić? Jak mógł się posunąć aż tak daleko?”

- Lily - rzekła błagalnie Ciel, lecz ta nie zwracała na nią uwagi, jeszcze mocniej ściskając swego synka.

- Lily, ja nie rozumiem. Dlaczego jesteś taka zdenerwowana? Co złego widzisz w moim małżeństwie z Finnem? Przecież ty wyszłaś za jego brata. Miałam nadzieję, że będziesz z naszego powodu zadowolona.

Lily obróciła się na pięcie. Czowała się zbyt mocno zraniona, żeby jeszcze płakać. Jeśli Finn nie zważa na to, jakiej broni używa przeciwko niej, ona postąpi tak samo. W miłości i podczas wojny wszystko jest dozwolone. Odezwała się z desperacją:

- Nie możesz wyjść za Finna.

Ciel w oszołomieniu pokręciła głową. Liam płakał, lecz Lily wyjątkowo sprawiała wrażenie, że tego nie zauważa.

- Ale z jakiej to przyczyny? - błagała. - No, podaj mi choć jeden rozsądny powód.

Właśnie na niego patrzysz - rzekła Lily skonanym, cichym głosem. - To jest syn Finna.

Ciel popatrzyła na siostrę, a potem na Liama. Było dla niej jasne, że Lily mówi prawdę.

- Cóż, znów ci się udało, Lily powiedziała z goryczą, starając się powstrzymać swe serce przed wskoczeniem do gardła i uduszeniem jej. Następnie odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w powrotną drogę przez plac miejski.

Maudie

Ciel powiedziała, że jeszcze tego samego wieczoru spakowała walizki, wyszła z domu bez jednego słowa pożegnania, po czym wsiadła do pociągu do Nowego Jorku.

Lily zamknęła się na klucz w pokoju, ale Ciel i tak nie chciała jej widzieć. W ogóle nie obchodziło ją, czy jeszcze kiedyś zobaczy swą siostrę. Następnego ranka wyruszyła do Anglii na „Etrurii”, tym samym transatlantyku, którym tak radośnie płynęła zaledwie kilka miesięcy wcześniej. A w dwa tygodnie później znów była w domu, w Ardnavamie i lizała swoje rany.

Otóż Ciel, moja kochana mamusia, była wedle swych własnych słów kobietą z temperamentem. Kochała życie, kochała mężczyzn i kochała miłość. Nigdy przedtem jednak nie była zakochana w taki sposób, jak w Finnie, a wyznała mi przy okazji opowiadania tej historii, że później także już nie. Nie kochała tak nawet Jacka Allerdyce, mężczyzny, którego ostatecznie poślubiła i który stał się moim ojcem.

Och, kochała go naprawdę; umiał ją doprowadzić do śmiechu i byli parą wspaniałych kompanów, lubiących to samo: konie, życie na wsi, zagraniczne podróże, szybkie auta i przyjęcia. Ale nigdy już przy nikim nie odczuwała tego podniecenia, kiedy serce przestaje bić, a które czuła przy zdradzieckim Finnie.

Oczywiście, zachowała sobie jego pierścionek na pamiątkę.

- Żeby mi przypominał, jak o mały włos nie zrobiłam z siebie skończonej idiotki - powiedziała.

Poruszyłam dłonią w świetle lampy i szmaragd Finna zaiskrzył się, a brylanty błysnęły, Shannon i Eddie zaś na ten widok wydawali ochy i achy.

- To jest cząstka historii - stwierdziła Shannon z zapartym tchem.

- Czy on rzeczywiście rozkochał ją w sobie, żeby odegrać się na Lily? - zapytał bystry Eddie. - Czy też kochał Ciel naprawdę?

- Ach - rzekłam tajemniczo. - Niestety, drogi chłopcze, to jest coś, czego nie dowiemy się nigdy. Mamusia powiedziała, że gdy przeanalizowała to w wiele lat później - „gdy była znów zdrowa na umyśle”, jak to sama ujęła - pomyślała, że możliwe, iż jednak ją kochał. Nie dało się już jednak cofnąć wskazówek zegara i na pewno lepiej, że tak się stało, ponieważ zaczynało to już mieć w sobie coś z antycznego dramatu greckiego, z tymi wszystkimi zawiłymi powiązaniem rodzinnymi.

Tak więc nie dowiemy się nigdy, czy Finn kochał Ciel. Ja osobiście zawsze myślałam, że kochał, ale wy musicie zdecydować sami, w co wolicie wierzyć.

45.

Boston

Dan O'Keeffe uznał za rzecz bardzo dziwną fakt, że jego szwagierka wyjechała tak nagle, mimo iż Lily nerwowo próbowała to jakoś wytłumaczyć, mówiąc, że Ciel poczuła raptownie tęsknotę za domem. - Podejrzewam, że musiała zatęsknić do blasku światła Londynu i do pewnego młodego człowieka - powiedziała mu.

- Londyn? Mogąc korzystać z rozrywek całego Nowego Jorku? - odezwał się Dan ze zdumieniem. - mając Finna, który mógł dbać o jej przyjemności i poznać ją z tuzinem przystojnych i wolnych młodych facetów. Choć myśląc o tym teraz, nie jestem wcale pewien, czy Finn miał ochotę to robić. -

Dan przypomniał sobie, jak Finn starał się przebywać w towarzystwie Ciel i jak Ciel spoglądała na niego oczyma lśniącymi niczym gwiazdy, w sposób, w jaki on zawsze pragnął, by Lily spojrzeła na niego. Przyszło mu do głowy, że może jego brat chciał mieć Ciel tylko dla siebie.

- Na dnie tej sprawy znajduje się Finn - rzekł z przekonaniem. - Głupi by dostrzegł, że ona jest pod urokiem jego słodkich słówek. Czy myślisz, że mogło dojść między nimi do sprzeczki? Na Boga, jeśli źle się z nią obszedł, wyszarpię z niego flaki.

- Jestem pewna, że to nie ma nic wspólnego z Finnem - zaprotestowała Lily aż nazbyt szybko.

- Cóż, a ja nie jestem - Dan pomaszerował w stronę kredensu i nalał sobie potężną szklanekę whisky. - Jasna cholera! - ryknął, wlewając w siebie alkohol jednym haustem. - Powiadam ci, Lily; jeśli to Finn spowodował, że wyjechała, to już jest w kłopotach jak nic. Tyle lat czekałaś na to, żeby ją znów móc zobaczyć, a teraz zasmarkany sukinsyn sprawia, że ta ucieka z powrotem. Po prostu Finn nie potrafi utrzymać łap z dala od żadnej kobiety i to jest jego problem. W Nowym Jorku ma ich całe stado. Nazywa je „kłaczkami”. I myślę, że mogło mu przyjść do głowy, że jeśli i Ciel doda do swojej „stadniny”, będzie to dla niego perła w koronie.

- On zawsze ci zazdrościł, Dan - rzekła Lily, nagle zaczynając go judzić. Jeśli nie mogła tego zrobić osobiście, to przynajmniej chciała, żeby Dan pobił Finna. Chciała widzieć nos Finna rozkrwawiony, może też jeden lub dwa zęby wybite tak, żeby z jego urodziwej, kłamliwej twarzy znikł ten szeroki uśmiech samozadowolenia.

- Zazdrosny? - Dan nalał sobie jeszcze jedną szklanekę whisky i za skoczony, wpatrywał się w Lily.

- Bo ożeniłeś się ze mną. Z córką właścicieli dworu. Wiesz, że on zawsze myślał, że go lubię. No, ale ja wybrałam ciebie, więc on dla odmiany zaczął się zalecać do mojej siostry. Jest zazdrosny o ciebie, Dan, czy tego nie widzisz? O wszystkie twe sukcesy, no i o to, że ożeniłeś się ze mną. Chciał teraz poślubić Ciel, tak żeby móc ci dorównać...

- A przecież ja sam myślałem, że to byłby wspaniały pomysł! - Plasnął dłonią o czoło, dręczony wyrzutami sumienia, wychylając jednocześnie kolejną whisky. - Poczekaj! Coś mu nagle przyszło do głowy. - Czy chcesz mi powiedzieć, Lily, że zalecał się również do ciebie?

Czerwony na twarzy, wpatrywał się w nią, zaciskając swe wielkie pięści.

- Nie. O nie, nigdy tego nie robił - odpowiedziała spiesznie. - Zawsze wiedział, że wolę ciebie, Dan.

- Nie wiedziałem, że widywałaś się z nim, jeszcze zanim spotkałaś mnie - rzekł z nagłą podejrzliwością.

- No cóż, ja... tylko raz lub dwa - przyznała z ociąganiem. - Przyszedł porozmawiać z Johnem na temat rzadkości wydawniczych, jakie odziedziczył po Comeliusie Jamesie.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś - rzekł, z wytężeniem wpatrując się w nią.

Lily zorientowała się, że wypływa na głębsze wody niż zamierzała, powiedziała więc niecierpliwym i wyniosłym tonem, jakiego w ostatnich dniach niemal zawsze używała, zwracając się do Dana:

- To nie było nic ważnego.

Śledził ją wzrokiem, kiedy zwawo ruszyła ku drzwiom. Odezwała się:

- Zresztą to wszystko jest nieważne. Ciel niedługo powróci. Po prostu musiała na jakiś czas wrócić do Ardnawamy. Śmierć papcia dotknęła ją bardziej, niż było to po niej widać.

- Dokąd idziesz? - zapytał, krocząc za nią do drzwi.

Idę przebrać się do kolacji. O Jezu, Dan, zachowujesz się tak, jakby świat się rozpadł na kawałki z powodu nagłego wyjazdu Ciel do domu. Już ci mówiłam; nic złego się nie dzieje.

Zachnęła się i z szumem spódnicy opuściła pokój, on zaś zamyślony spoglądał w ślad za nią. Potem znów podszedł do kredensu i nalał sobie kolejnego drinka. Popatrzył na zegarek. Siódma trzydzieści. Finn będzie tu o ósmej. Nie mógł się wprost doczekać, by go zobaczyć.

Punktualnie o ósmej Finn wbiegł ochoczo po wejściowych schodach i zadzwonił do drzwi. Uśmiechnął się zaskoczony, kiedy zamiast pokojówki otworzył mu brat.

- Czyżby kłopoty ze służbą. Dan? - zapytał, mijając go i wchodząc do holu. - Na pewno nie w tym domu! Czy każdemu nie płacą tu więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu w Bostonie? I to przy krótszym czasie i lepszych warunkach pracy? - Roześmiał się, rzucając płaszcz na krzesło i przyjaznym gestem obejmując brata. - Wyglądasz jakbyś był lepszy ode mnie o kielicha - powiedział Finn, wchodząc do jadalni, a następnie przyglądając mu się bliżej. - Powiedziałbym nawet, że wypijeś więcej niż jednego.

- Nie tyle, żebym nie wiedział, co mówię - odrzekł Dan twardo. Finn spojrzał zaskoczony.

- Słyszę to z przyjemnością, mój stary. Przyszedłem tu, żeby spędzić wieczór na kulturalnej rozmowie, nie na słuchaniu bełkotu pijanego irlandzkiego polityka.

- Co u diabła przez to rozumiesz?

Dan stąpnął groźnie w jego kierunku, a Finn pośpiesznie powiedział:

- To był tylko żart. Dan, nic poza tym.

Dan nalał sobie kolejnego drinka, nie proponując jednak Finnowi, który obserwował go ostrożnie. W powietrzu między nimi aż trzaskało napięcie i Finn poczuł na głowie ostrzegawcze mrowienie. Coś się szykowało, a on miał nadzieję, że to nie jest to, czego się domyśla.

- Gdzie jest Ciel? - zapytał, spoglądając na zegarek i próbując rozładować sytuację. - Zwykle czeka na mnie.

- Już nie czeka, „staruchu”. Ciel spakowała manatki i wyjechała dziś po południu. Wróciła do domu, do Ardnavy, lub, co bardziej prawdopodobne, uciekła od ciebie.

- Nie mówisz tego serio - rzekł cicho Finn. Dan, zaintrygowany, pomyślał, że tamten wygląda na człowieka, któremu właśnie zadano śmiertelny cios.

Jasne, że tak. Zapytaj Lily. I może poda ci prawdziwy powód, dla którego Ciel wyjechała, choć mnie tego nie mówi.

- Byliśmy zaręczeni i mieliśmy się pobrać - powiedział Finn. - Kupiłem jej pierścionek...

- W ogóle nic mi nie mówiła na ten temat. I jeśli się dobrze orientuję, nie mówiła też swojej siostrze. Ale przekonuję się nagle, że jest wiele rzeczy, których nie wiem na temat Lily.

Jak na zawołanie, Lily pojawiła się w drzwiach. Prezentowała się doskonale, ubrana w błękitny jedwab i perły, z włosami zebranymi do tyłu w nieskazitelnie zgrabny kok. Nie spuszczała z niej oczu, podczas gdy ona niedbałym krokiem przeszła przez cały pokój i opadła na krzesło stojące przy oknie.

- Jest dzisiaj bardzo gorąco, jak na wiosnę - rzekła, wachlując się niedbale.

- Lily, co ty narobiłaś? - zapytał Finn.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Drgnęła, widząc w jego oczach zawzięty gniew, kiedy powolnym krokiem podchodził bliżej. Rzekła szybko: - Ciel powiedziała, że żałuje, iż nie może się pożegnać. Właśnie odczuła pragnienie powrotu do domu. Jest to jak najbardziej zrozumiałe, skoro papcio zmarł tak niedawno.

- To nie jest prawda i ty o tym wiesz - wrzasnął w gniewie. - Ciel kochała mnie. Byliśmy

zaręczeni i mieliśmy się pobrać. Nigdy by nie wyjechała, nie rozmówiwszy się ze mną najpierw. - Podniosła na niego wystraszone niebieskie oczy. - Chyba że ty maczałaś w tym palce, Lily. Wprowadzając zamęt, jak zwykle.

- Nie wiem, o czym mówisz - powtórzyła. - Tylko ty wiesz, co wydarzyło się między Ciel a tobą. Dan twierdzi, że w Nowym Jorku masz stado „kłaczek”, a Ciel dowiedziała się o tym i po prostu nie chciała, byś ją zaliczył do swoich „trofeów”.

- Czy to ty jej powiedziałaś? - zapytał, stając nad nią w groźnej pozie.

- Do cholery, nie; nie powiedziała! Nie wiem, w jaki sposób się dowiedziała. A jak twoim zdaniem ma się zachować dama, kobieta z rodu Molyneux, mając do czynienia z czymś takim? Czy spodziewasz się, że będzie sobie spokojnie siedziała, uśmiechała się jak poczciwa żonka wieśniaka i mówiła, że to nie ma znaczenia?

- Kłamiesz, Lily - ryknął Dan. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z założonymi rękami i wpatrywał się w nich z gniewem. - Ciel nie wiedziała o kobietach Finna, podobnie jak ty, póki ci o wszystkim nie opowiedziałem. Więc co mianowicie zaszło między tobą a Ciel? No dalej, Lily, czemu nie masz nam wyjaśnić? Skrót cierpienia nas obydwu, ponieważ coś tu się dzieje, a ja postanowiłem dowiedzieć się, co! Rąbnął pięścią w stół, przez co ładny półmisek z miśnieńskiej porcelany zatoczył łuk i spadł na podłogę, gdzie rozprysnął się na sto kawałków.

- Znowu ci się udało, prawda, Lily? - zwrócił się do niej z goryczą Finn. - Myślałaś, że gra toczy się nadal i że teraz jest kolej na twoją wygraną. No cóż, moja droga Lily; pozwól sobie powiedzieć, że nie wygrasz nigdy. Zawsze będziesz przegrana. Myślałem, że Ciel jest tą jedyną osobą, którą naprawdę kochasz. Pomyliłem się jednak. Nawet droga mała Ciel nie mogła stać na twojej drodze.

Odwrócił się i ruszył do drzwi, lecz Dan zastąpił mu drogę. - O co chodzi w tym wszystkim? - zapytał z gniewem.

- Zapytaj swoją żonę - odrzekł Finn, odsuwając go ramieniem na bok. Zamaszyście wszedł do holu, a potem przez hol na schody.

- Dokąd idziesz? - wrzasnął za nim Daniel.

- Zapytaj swoją żonę - powtórzył Finn, wchodząc po schodach. Lily pobiegła w ślad za nim. Zobaczyła go na podeście i już wiedziała, dokąd on zmierza. - Nie - krzyknęła przeraźliwie, biegnąc za nim. - Nie, Finn!

- Dokąd on idzie? - zapytał zdezorientowany Dan. - Co tu się dzieje?

- Zatrzymaj go. Dan, zatrzymaj go - krzyczała Lily. - Ma zamiar wziąć dziecko!

Dan jednym susem znalazł się za nimi na schodach. Chwycił Lily za ramiona.

- Po co mu Liam? - zapytał, ale nie potrzebował już odpowiedzi, gdyż wyczytał ją w oczach Lily.

Odrzucił ją od siebie i korytarzem na piętrze popędził za bratem. Finn stał przy łóżeczku Liama, przypatrując się śpiącemu chłopcu. Ramiona mu opadły i wyglądał na człowieka, który właśnie przed chwilą utracił wszystko, na czym mu w życiu zależało.

- Zabieraj się od tego chłopca - wyszeptał Dan przez zaciśnięte zęby. - Wynoś się z pokoju dziecinnego, ty sukinsynu.

Finn wzruszył ramionami w geście znużenia. A więc teraz Dan już wiedział. On, Finn, dokonał swej zemsty, która jednak nie była słodka. Minawszy brata, wyszedł za drzwi i ruszył korytarzem. Z potężnym rykiem Dan rzucił się za nim.

- Jak mi Bóg miły, zabiję cię - wrzasnął. - Mówiłem, że zrobię to za Ciel, lecz teraz będzie to za Lily.

- Może zrobisz, bracie, nam obydwu tę przysługę i zabijesz zamiast mnie Lily - zawołał Finn, stając u szczytu schodów i czekając na niego. - To ona powinna wypić to piwo. Nie ty ani ja.

Dan zdarł z siebie marynarkę i wystawił pięści, okrążając go gniewnie. Finn odrzucił płaszcz.

- No chodź, ty pijany stary sukinsynu - zawołał. Dan zaatakował go niczym rozjuszony byk; na jego wielkich pięściach powystępowały węzły, a twarz miał purpurową z wściekłości.

Krew trysnęła Finnowi ze złamanego nosa i z rozcięcia nad okiem. Wiedział, że nie ma szans na wygraną. Dan był tak pijany i w takim szaleństwie, że mógł go zabić.

- Już dobrze, Dan, już dobrze - powiedział, wycierając krew i schodząc tyłem ze schodów, gdyż bał się spuścić z brata wzrok. - Jesteś górą. Wszystkie zaszczyty przypadają tobie. Tak samo, jak Lily. Ale pewnego dnia wrócę tu po mojego syna.

Dan zawył z bólu. Rzucił się na brata, a Finn usłyszał przeraźliwy krzyk Lily w chwili, gdy szybko uskakiwał tamtemu z drogi, patrząc z przerażeniem, jak Dan przelatuje obok niego z wyciągniętymi przed siebie ramionami, koziółkując raz za razem w dół po tych pięknych schodach, póki z głuchym łomotem nie wylądował na samym dole, gdzie leżał bez ruchu.

Finn zszedł ze schodów i popatrzył na brata. Następnie spojrzął na Lily, w milczeniu stojącą na półpiętrze, z dłonią przyciśniętą w napięciu do piersi. Podniósł słuchawkę telefonu i wezwał lekarza, mówiąc, że miał miejsce wypadek i że sprawa jest pilna. Ze smutkiem opuścił wzrok na nieprzytomnego brata, a potem zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi.

- Żegnaj, Lily - powiedział zimno. - I nie zapominaj - dodał - pewnego dnia wrócę po swego syna.

Lily patrzyła, jak odchodzi. Wiedziała, że tym razem żegnając ją, robił to na serio. Między nimi wszystko było skończone, teraz za to miała się rozpocząć wojna o chłopca. Popatrzyła na męża, który leżał w dole schodów, i nagle zdała sobie sprawę z tego, że wcale się nie poruszył.

- Dan - krzyknęła przeraźliwie, rzucając się przy nim na kolana. Oczy miał wywrócone, był bardzo blady i szybko oddychał. Napęczniała złym przeczuciem, uklękła obok niego, ujęła jego zimną rękę w swą dłoń i czekała.

Kiedy w szpitalu robiono przy jej mężu wszystko, co można było zrobić, siedziała odrętwiała w małej, zatłoczonej poczekalni, myśląc o Finnii i zastanawiając się, co teraz ją spotka.

Kiedy Dan odzyskał przytomność, dowiedział się, że ma rozliczne złamania lewej nogi oraz podejrzenie złamania kręgosłupa, a pomimo iż był bardzo chory, przypominał sobie wyraźnie, co się wydarzyło, i płonął gniewem zwróconym przeciwko Lily.

- Ta kobieta nie ma prawa pokazać mi się na oczy - rozkazał przerażonym pielęgniarce.

Po tygodniu, od szyi po czubki stóp zakuty w pancerz gipsowy, odbył długą rozmowę z księdzem Byme z kościoła świętego Stefana i dziękował niebiosom, że nie poślubił Lily wedle obrządku katolickiego. Za trudnił pewnego człowieka do przeprowadzenia kilku wywiadów na temat przeszłości jego żony, a to, czego się dowiedział, zaskoczyło go, nie czy tywał bowiem w gazetach stronic poświęconych ploteczkom. Po kilku tygodniach wszczęto postępowanie rozwodowe przeciw jego żonie, jako powód podając cudzołóstwo.

Lily otrzymała pozew z rąk młodego posłańca sądowego o głupkowskim uśmiechu i ziemistej twarzy, który wepchał się do holu, odsuwając na bok jej pokojówkę. Zimnym tonem polecając mu wyjść, jeśli nie chce, by ona wezwała policję, Lily zabrała papiery do swego pokoju i z osłupieniem wpatrywała się w nazwisko jej współwinowajcy. Wiedziała, po co Dan to zrobił; jako polityk, unikał w ten sposób jeszcze większego skandalu, a nie wymieniając brata, własne nazwisko

zachowywał nie skażone. Zastanawiając się, co by powiedziała matka, gdyby mogła ją widzieć w tej chwili, rozplynęła się w łzach, zastanawiając się, na czym polegał jej błąd.

Następnego dnia służąca spakowała jej rzeczy i razem z nianią i Liamem Lily wróciła do swojego domu na ulicy Mount Vemon.

- W gruncie rzeczy to lepiej, że Liam będzie rósł w domu swojego ojca - rzekła sobie na pocieszenie, jednym mistrzowskim ruchem usuwając ze swych myśli prawdziwego ojca dziecka, dokładnie tak samo, jak przed tylu laty udało jej się usunąć Dermota Hathawaya wraz z jego synem. Liam był jej. Teraz należał do niej i do nikogo więcej. Ona swoją złą przeszłość zostawi za sobą i poświęci mu życie. Stanie się wzorową matką, taką samą, jak jej ukochana mamusia. Zapisze go do odpowiednich szkół, by potem idąc w ślady swego ojca, który był znakomitym naukowcem, trafił do Harvardu.

Lily wyobrażała sobie siebie jako matkę znakomitego młodego profesora, który podejmuje swych uczonych kolegów na kolacji tak samo, jak robił to John i rzekła do siebie z żarliwym przekonaniem, że teraz, gdy już zdołała się pozbierać, życie nie jest w gruncie rzeczy aż tak złe. Ma ten piękny dom, ma pieniądze i swobodę postępowania, no i ma syna, dla którego może robić plany. I nikt go od niej nie zabierze.

Złożyła wizytę swemu adwokatowi, by upewnić się, że przyjscie na świat Liama zostało zapisane w sposób właściwy i powiedziała, że chce sporządzić swój testament. Zostawiała wszystko na własność swemu synowi, ewentualnie jego dzieciom - i tak dalej po wieczne czasy.

Utraciła wszystkich, których kochała, oprócz swojego syna, teraz więc postanowiła się upewnić, że Finn nigdy nie będzie twierdził, że Liam jest jego dzieckiem i że nigdy go jej nie zabierze.

Pozostał jej jedyny przyjaciel - Ned. Nie widziała go od wieków i nie miała pojęcia, gdzie teraz przebywa, wiedziała jednak, że jego impresario, Harrison Robbins, będąc w Nowym Jorku ma zwyczaj jadać śniadanie U Delmonico, a więc na ten adres zadzwoniła do niego.

Harrison jęknął, słysząc władczy głos Lily; a już myślał, że pozbył się jej, kiedy wyszła za męża.

- Ned ma teraz rodzinę - rzekł do Lily oziębłe. - Ma żonę i dziecko, o których musi się troszczyć, kolejne dziecko w drodze, a przy tym zbliża się następne tournee, które będzie piekielnie wyczerpujące, nawet dla kogoś w takiej formie, jak Ned. Korzysta teraz z dobrze zasłużonego wypoczynku i nikt nie wie, gdzie jest.

- Muszę go zobaczyć. Coś się wydarzyło... Muszę z nim porozmawiać, Harrison. To bardzo pilne.

Jęknął. Kiedy Lily chciała czegoś, zawsze to osiągała. Obiecał jej, że przekaże Nedowi wiadomość.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony Ned, kiedy Harrison wpadł do niego do Nantucket.

Harrison wzruszył obojętnie ramionami.

- Nie wiem, a jeśli chcesz znać moje zdanie, to będziesz skończonym głupcem, zamierzając jechać tam i się dowiadywać.

Mógł zaoszczędzić sobie gadania; Ned i tak pojechał.

Lily była sama w swym wielkim domu; wyglądała na osobę spokojną i pogodną, a nie na taką, która nie wie, co począć, jak to powiedziała Harrisonowi. Ned spięty z niepokoju o nią w pociągu przez cały czas myślał, czy nie jest chora, albo czy coś nie stało się z jej synkiem. Był pewien, że wydarzyło się coś okropnego i aż osłabł z ulgi widząc, że z Lily chyba wszystko jest dobrze.

Lily nalala herbaty do ładnych filiżanek z porcelany w kwiatki.

- Musiałam z kimś porozmawiać, a ty jesteś moim jedynym przyjacielem - zaczęła. - Poza tym

o czymś muszę cię powiadomić. - Miała zamiar powiedzieć „zanim znajdzie cię posłaniec z sądu”, lecz nerwy ją zawiodły i zamiast tego zapytała: - Jak czuje się twoja żona?

- Bardzo dobrze. Dziecko urodzi się za dwa miesiące. Gotowa jest przysiąc, że to znów będzie dziewczynka. - Sięgnął po kanapkę.

- Szczęśliwa Juliet - rzekła Lily smutnym głosem. Wiedziała, że nie może już dłużej tego odkładać. Powiedziała:

- Dan chce ode mnie rozwodu. Oskarża mnie o cudzołóstwo i obawiam się, że jako współwinowajcę podaje ciebie. Popatrzył na nią zdumiony.

- Ale to nieprawda. Ty i ja byliśmy ze sobą, zanim wyszłaś za niego. Potem już nigdy.

- Czy jesteś skłonny iść do sądu i zeznawać w tej sprawie? - wykrzyknęła. - Bo co do mnie, to mogę oświadczyć ci, Ned, że nie jestem. Dan chce się ze mną rozwieść i żeby to osiągnąć, użyje wszelkich środków, jakimi dysponuje. On jest stroną poszkodowaną i jeśli mnie oskarży, cały skandal przetoczy się za jego plecami. Jeśli ty i ja będziemy się bronić, zmuszą nas do zeznawania przy drzwiach otwartych. Wiesz, ja kie są brukowe gazety. Wszelkie słone szczegóły twojego czy mojego życia pojawią się obryzgane błotem w nagłówkach. Zwróciła się ku niemu błagalnie.

- Pomyśl o naszych dzieciach. Jak możemy im to zrobić? Czemu by nie pozwolić, żeby Dan dostał ten rozwód po cichu? To się załatwi w ciągu jednego dnia. Na jakiś czas wywiozę Liama na wypoczynek, a zanim wrócimy, wszystko już wygaśnie.

- Proszę cię, Ned - ujęła jego dłoń i przytuliła do swego chłodnego policzka. - Proszę. Jeśli mnie jeszcze kochasz.

Ned pomyślał, z jakim skandalem będzie miał do czynienia, jako gwiazda wystawiona na widok publiczny. Pomyślał o swojej żonie i dzieciach i o tym, na co ich naraża. A potem spojrzał na Lily, osamotnioną i bezradną, która nie ma na kim się oprzeć. Serce przeppełniło mu uczucie miłości do niej i jak zawsze - już wiedział, że robi to, o co prosiła.

Lily wydała głębokie westchnienie ulgi. Teraz ludzie pomyślą, że to Ned był jej kochankiem. W ogóle nie połączą jej imienia z Finnem i Liam będzie bezpieczny.

Ned wrócił do Nowego Jorku i powiedział Harrisonowi, co się dzieje.

- Ta sprawa będzie bezsporna - dodał, nie patrząc mu w oczy.

- Bezsporna? Ale, do diabła, Ned, nie spotykałeś się przecież z tą kobietą...

Ned wzruszył ramionami.

W taki właśnie sposób ma się to odbyć - dodał, nabierając wody w usta. - Sprawa zapewne znajdzie się na wokandzie, kiedy ja będę na tournée poza miastem, chcę więc, żebyś w moim imieniu zajął się Juliet.

- Chcesz powiedzieć, że mam ją powiadomić? Chyba postradałeś zmysły. Przecież ona zamiast ciebie, zabije mnie. - Ned wyszczerzył doń zęby.

- Czy nie po to człowiek ma impresaria?

Dan spędził w szpitalu cztery miesiące, a kiedy wyszedł, musiał siedzieć na wózku inwalidzkim. Trzeba było kolejnych czterech czy pięciu miesięcy zaciskania zębów, determinacji, cierpienia i ciężkiej pracy, za nim znów zaczął chodzić, a i to musiał wspierać się na lasce. Jego serdeczni przyjaciele, koledzy i mieszkańcy Dzielnicy Północnej, którzy oddali na niego swe głosy, kręcili litościwie głowami patrząc, jak kuśtyka.

- Smutna sprawa, taki z niego świetny, wielki facet - mówili ze współczuciem - i do tego przystojny i cieszący się powodzeniem. A w do datku ma teraz na głowie kłopoty z tą flądą, swoją

żoną.

Finn dowiedział się o rozwodzie z gazet. Nie mógł nie zauważyć tej wiadomości: rzucono ją na pierwsze strony wszystkich brukowych gazet, jakie wychodzą w mieście i spoglądała z nich na świat urodziwa twarz Neda Sheridana, napiętnowanego niczym łajdak, który zabrał cudzą żonę. Nie pojawił się żaden wizerunek Lily, choć wspominało, że kiedy wychodziła za Dana, była panią Adams, bogatą bostońską wdową.

Finn wyrzucił gazety do kosza na śmieci i objął głowę rękami, myśląc o Lily i o swoim bracie, który przez ten głupi pijacki incydent został kaleką. Dan nie zgodził się na spotkanie z nim. Nie rozmawiał z bratem od tamtej nocy i wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek do tego dojdzie.

46.

Maudie

Ardnava

Wyłynęliśmy w głąb zatoki starą łódką, taką sobie małą motorówką z silnikiem za burzą, trzymającą się na słowo honoru, ale która przetrwała już ze mną jedno półwiecze, nie widzę więc powodu, dla którego nie miałyby przetrwać drugiego.

- Bezpiecznie jak na łądzie - powiedziała wesoło do Shannon, widząc na jej twarzy powątpiewanie. - Poza tym oddaliśmy się tylko niewielki kawałek od brzegu, tak że zawsze mogłabyś dopłynąć z powrotem.

- A co z panią? - zapytała z niepokojem.

- Patrząc na to tak - wyjaśniłam jej. - Jeśli Bóg ma mnie wezwać, uczyni to w momencie, który On wybierze, a nie ja. Poza tym znam tę łódkę i te wody równie dobrze, jak własną twarz; tu i tam jest tyle samo lekko wzburzonych małych falek i zmarszczek.

- Jest pani fatalistką - zaśmiał się Eddie. - Nie ma jednak powodu do niepokoju; Bóg nie chwyci pani w swój uścisk dzisiaj. Jestem z Kalifornii, więc płynam, odkąd skończyłem roczek. Wyratuję panią.

Pomajstrował przy silniku, który mruknął raz czy dwa, a potem gorączkowo ożywił się i wyruszyliśmy złowić sobie na kolację jakieś ryby w zacisznym miejscu, które znam we wschodniej części zatoki, psy zaś zostały, siedząc niepokieszone na kamieniach i wyjąc na wiatr niczym para nakrapianych syren, które starają się przywieść żeglarzy do zguby.

Ranek był przyjemnie ciepły; słońce to chowało się, to wychodziło, a woda przybrała uroczą ciemnobłękitną barwę, jak gdyby chciała udawać Morze Śródziemne z maleńkimi falkami, całymi w błyskach. Shannon oparła swoje długie nogi na burcie, a stary słomkowy kapelusz ogrodniczy mojej mamusi nasunęła na twarz dla ochrony przed szkodliwymi promieniami. Ja swój kapelusz noszę wyłącznie przez próżność, ponieważ jest już za późno, by cokolwiek chronić. Jest on niebieski, w tym odcieniu ciemnowej akwamaryny, niczym morze dzisiaj; ma szerokie rondo, z jednej strony podwinięte ku górze i przypięte wielkim, wiotkim kwiatem z różowego jedwabiu. Kupiłam ten kapelusz przed wielu laty na jeden ze ślubów Molly, a myślę, że musiało to być koło roku 1950, choć na pewno miło wam będzie usłyszeć, iż na wyprawę łódką nie włożyłam na siebie pozostałych części stroju z okazji tamtego ślubu. Ubrałam się stosownie do okoliczności w białe spodnie żeglarskie kupione w 1966 roku w Saint Tropez. Zapomniałam, ile wtedy miałam lat i nie waży się nawet próbować obliczać, ale działo się to w czasach „trzęsienia młodości” i wiercie mi, nie zamierzałam zostać w tyle.

Opowiedziałam Shannon i Eddiemu historyjkę o tym, jak przebywałam na jachcie słynnej

osobistości: był to wielki amator wyścigów konnych i często widywałam go w Irlandii, w Punchestown i Leopardstown i na jego cudownej farmie końskiej. Kiedyś sprzedał mi klacz, co zawsze stwarza silną więź między miłośnikami koni i przypuszczam, że na wycieczkę jego jachtem wokół Morza Śródziemnego zostałam za proszona tyleż ze względu na moje zalety, jeśli chodzi o dostarczanie rozrywki, ile z powodu modnego wyglądu. Albowiem, jak już wam mówiłam, my, Irlandczycy nigdy nie narzekamy na brak historii do opowiedzenia. Prawdę mówiąc, często w kulturalnym towarzystwie musimy się powstrzymywać, by nie monopolizować całej rozmowy.

W każdym razie w roku 1966 byłam starsza, niżbym sobie życzyła - co chyba jest pieśnią całego mego życia - i żywiłam niewzruszone przekonanie, że żadna kobieta w wieku powyżej trzydziestu dziewięciu lat nie powinna pokazywać nóg więcej, niż kilkanaście centymetrów ponad kolana, pomimo iż nogi miałam nadal ładne.

Naturalnie, wszystkie szykowne dziewczątka chodziły w spódniczkach o szerokości drażka od firanek, pokazując uda, a czasami jeszcze więcej, ja zaś uznałam, że nie mogę z nimi współzawodniczyć, poszłam więc na zakupy do tych eleganckich małych butików przy dalej położonych uliczkach i kupiłam sobie te cudowne spodnie żeglarskie. Leżały na mnie jak ulał, a nosiłam do nich cienką jak mgiełka bluzkę koszulową, białą i przezroczystą, z wywiniętymi rękawami i połami wiązаныmi w wielki węzeł na moim nagim brzuchu. Miałam wielki słomkowy kapelusz, największe i najciemniejsze okulary przeciwsłoneczne, oraz miejscowe tanie espadryle - i uwierzcie mi, że zapoczątkowałam pewną modę. Już niebawem wszyscy w tym miasteczku występowali w przezroczystych koszulach i białych spodniach żeglarskich; wszyscy oprócz naszych eleganckich dziewczątek, które nie miały zamiaru zrezygnować z pokazywania ud na rzecz mody.

Byłam wtedy z mężczyzną, włoskim przemysłowcem i wielkim czarodziejem, z moim, ujmując rzecz delikatnie, „ulubionym przyjacielem”, przystojnym w ten męski sposób, w jaki władza i pieniądze przydają starszemu mężczyźnie urody, lecz miał też nieprzeparty urok i znakomite poczucie humoru. Znałam go z przerwami od dziesięciu lat i zawsze spędzaliśmy miło czas w swym towarzystwie. Mówiłam po włosku, a on trochę po angielsku i było nam ze sobą po prostu świetnie. Aż do chwili pojawienia się tej panienki. Myślę, że to ktoś z sąsiedniej łodzi poznał ją, gdy siedziała w jakiejś portowej kafejce, popijając pemod i chłonąc wzrokiem życie oraz mężczyzn na wielkich jachtach, przycumowanych naprzeciwko niej.

Tak czy owak, zanim zdążyła się zorientować, już ją zabrano i znalazła się na najbardziej okazałym z tych jachtów, po czym została przy prowadzona na koktajl na naszą łódź. Rozpoznawszy mojego przyjaciela, który często pojawiał się w kronikach towarzyskich światowych gazet, ruszyła prosto na niego. Miała osiemnaście lat, jasne włosy i była - niech to diabli - przepiękna, tak że nie dała Włochowi żadnych szans obrony przed jej sztuczkami, gdy szeroko otwartymi oczyma i z zapartym tchem wyrażała swój zachwyt.

Otóż ja nigdy nie rościłam sobie prawa do wyłączności wobec jego osoby, ani on wobec mojej; utrzymywaliśmy po prostu stałą „przyjaźń”. Jednakże dziewczyna wraz z towarzyszem zostali z nami na kolację i ona bezwzględnie odsunęła mnie łokciem na bok, zajmując miejsce przy moim Włochu, uziemiając mnie przy swoim towarzyszu, idealnie miłym mężczyźnie, z którym nie potrafiłam znaleźć wspólnego języka. Mała flirciara przysunęła się blisko do mojego Włocha i, opierając lekko rękę na jego udzie, wpatrywała się weń pełnym zachwytu wzrokiem, w przerwach rzucając tryumfalne spojrzenia na mnie, która starałam się podtrzymać kulturalną rozmowę.

Przyznaję, że nieco się nadałam i wypiłam może trochę za dużo szampana, ale czy wyłącznie

moją winą było to, że gdy później w drodze powrotnej znalazła się na kładce, „przypadkiem” pośliznęła się i wpadła - plusk! - w fale wody portowej, raczej nie pierwszej świeżości? Zebraliśmy się przy nadburciu, by patrzeć, jak jej towarzysz skacze na ratunek, choć sama mogłaby pływać doskonale, gdyby tylko nie była taka zła. Ja zaś z zadowoleniem stwierdziłam, że nie wygląda już ani w połowie tak wspaniale z makijażem spływającym po twarzy, gdy wypływa ze swych odętych usteczek stare niedopałki papierosów.

Ta mała saga ma jednak swoje szczęśliwe zakończenie. Rok później przeczytałam o małżeństwie tej dziewczyny z kierowcą wyścigowym, którego poznała w dyskotecie, a który był synem pewnego niemieckiego po tentata, a więc w końcu została damą tak wytworną, jakie zawsze widzi się w Monachium, dostały się jej też bawarskie zamki i własny jacht. Urodziła czwórkę pięknych dzieci i stała się powszechnie znana ze swej działalności charytatywnej, szczególnie na rzecz upośledzonych dziewcząt.

Eddie śmiał się z mojej historyjki tak bardzo, że omal sam nie wpadł do zatoki; jednakże przecież wszystko można mi wybaczyć, jestem bowiem kobietą, i to starszą.

Nic nie zaczęło się na nasze wędki, leniuchowaliśmy sobie zatem, podziwiając krajobraz i odległy widok Ardnawamy prześwietlającej spo za drzew - i dziwnie nam było oglądać wybrzeże od strony wody, a nie - jak to zwykle robiliśmy - z końskiego grzbietu, w czasie galopu wzdłuż plaży.

- Jeżeli się nudzicie - podsunęłam - mogę wam opowiedzieć, co potem zrobiła Lily. Shannon usiadła.

- Ja się nie nudzę - powiedziała z entuzjazmem - ale nie mogę się doczekać, by to usłyszeć. To znaczy, czy spotkała jeszcze Finna? A co się stało z Ciel?

- Wszystko we właściwym czasie - rzekłam, unosząc dłoń powściągającym gestem i podziwiając mój nowy lakier do paznokci w odcieniu koralowym.

- A więc tak - podjęłam opowieść. - Lily uwielbiała tego swojego synka i niemal dławiała go uczuciem i macierzyńską troską. Był on miłym chłopczykiem, choć nieco zbyt uległym, a przy tym ładnym w jakiś delikatny sposób. I trzeba sobie zadać pytanie, czy rzeczywiście urodził się tak delikatny, czy też ona chciała, żeby tak się działo, gdyż oznaczało to, że ma go wyłącznie dla siebie. Poświęcała mu swój czas, zawsze mając na względzie przyszłość i planując tok jego edukacji, a to, że pójdzie kiedyś do Harvardu, było faktem nie podlegającym dyskusji. Ale jeden mały chłopczyk nie potrafił wypełnić codziennych dni kobiety, a zwłaszcza tych długich nocy, więc Lily czuła się samotna. Dręczyło ją też poczucie winy.

- Podejmując próbę rehabilitacji swej osoby tak we własnych oczach, jak i przed Bogiem, wróciła do działalności dobroczynnej. Czy pamiętacie tych dziesięć tysięcy rocznie płaconych przez Porter Adamsa i przeznaczonych na rzecz biednych Irlandek z Dzielnicy Północnej? Otóż Lily dawała teraz o wiele więcej i tym razem, ożywiona wspomnieniem swej matki, która chorem i potrzebującym niosła koszyki pełne jedzenia, przywdziała gładką, skromną suknię i ruszyła do pracy, odwiedzając szpitale, szkoły i garkuchnie i osobiście podejmując decyzje co do rozdziału pieniędzy z jej funduszu dobroczynnego. Irlandczycy zaś lubili ją; była wielką panią, o czym wiadano, a przecież nie zadzierała nosa i zawsze okazywała im zrozumienie. Za najważniejsze uważała wykształcenie, wiedziała bowiem, że bez niego te obdarzone dzieci z ubogich dzielnic pozostaną tak samo skazane na nędzę, jak ich rodzice. Sprowadzała więc nauczycieli, ustanawiała stypendia i za każdym razem, gdy któreś z Jej dzieci” kończyło szkołę i dostawało się do collegeu, uważała to za swoje osobiste osiągnięcie.

Boston

Dusząc się latem w Bostonie od upału, Lily nabyła posiadłość wiej ską na północnym wybrzeżu Long Island, w rejonie znajdującym się koło Manhasset i znanym jako „Kanał Irlandzki”, gdyż bardzo wielu zamożnych Irlandczyków miało tam swoje posiadłości. Nazwała to miejsce „farmą Adamsów”, przeniosła się tu z Liamem i służbą i zaczęła przyjmować sąsiadów.

Naturalnie, nie była to prawdziwa „farma”; gdzieś na skraju ich dwudziestohektarowych włości znajdował się kurnik dostarczający świeżych jaj, a na wygonie dla stadniny pasł się też osiołek, który dotrzymywał to warzystwa kucykowi Liama - i ku swojej radości Lily nareszcie znowu miała stajnie, które zapełniła najlepszymi końmi, jakie dało się kupić za pieniądze Adamsów. Jeździła po swych włościach, mając u boku szczęście letniego Liama na jego kucu, i znowu czuła się szczęśliwa i wolna. Nigdy jednakże nie pozwalała sobie zapomnieć o pogróźce Finna.

Przekroczyła dopiero trzydziestkę, wciąż jeszcze olśniewała pięknnością i zawsze prezentowała się doskonale, czy to na przejażdżce po lesie, czy podczas wystawnej kolacji, gdy zaś podejmowała gości, była idealną panią domu.

W „Boston Herald” przeczytała o tym, że Dan sprzedał swój dom w Back Bay i wybudował sobie willę pod Waszyngtonem, w Maryland. Powiadano, że jest to miniatura Białego Domu i że Dan ubiega się o miejsce w Senacie. Mówiono też, że ostatnio często bywa skazany na wózek inwalidzki wskutek doznanej kiedyś kontuzji kręgosłupa. Łzy paliły jej oczy na wspomnienie tego fatalnego wieczoru i tak jak zwykle - żałowała, że nie może cofnąć wskazówek zegara. Przypominała sobie swą matkę, jak zdenerwowana, powtarzała jej raz po raz:

- Gdyby tylko, Lily, gdyby tylko - mówiła. - Te słowa to twoja stała śpiewka. Kiedy się wreszcie nauczysz, że nie ma czegoś takiego, jak „gdyby tylko”? Zrobiłaś to, co zrobiłaś i ty ponosisz winę. - Teraz Lily myślała ze smutkiem, że gdy umrze, słowa „gdyby tylko” powinny zostać wyrte na jej nagrobku.

Byli już z powrotem w Bostonie, gdy któregoś wieczoru zaskoczona usłyszała dzwonek u drzwi. Siedziała właśnie na górze w swym saloniku, zajęta wyszywaniem, próbując wypełnić czymś czas, tak jak kolorowymi nićmi wypełniała płótno. Liam szykował się już do łóżka i miała pójść pocałować go na dobranoc, po czym znów czekała ją samotność w wielkim, milczącym domu aż do świtania kolejnego samotnego po ranka.

Weszła pokojówka i powiedziała, że chce się z nią widzieć jakiś młody człowiek. Wygląda „gburowato” - mówiła dalej - więc zostawiła go na schodach przed drzwiami.

- Mówi, że nazywa się John Wesley Sheridan, psze pani - dodała.

- Sheridan? - powtórzyła wstrząśnięta Lily.

- To duży chłopak, psze pani, mniej więcej szesnastoletni, powiedziałabym.

Lily wiedziała już, że ziścił się najgorszy z jej koszmarów sennych. Jej syn odnalazł ją. Podbiegła do okna i wyjrzała na ulicę, lecz nie do strzegła go.

Wystraszona, powiedziała sobie, że ten chłopak nie ma z nią nic wspólnego. Nie odgrywa w jej życiu żadnej roli. Należy do przeszłości. Przed oczyma przepłynął jej obraz bezwzględnej twarzy Dermota Hathawaya i przypomniała sobie jego ciało na swoim ciebie, jego okrutne ręce, ten ból i poniżenie. Miała ochotę wrzeszczeć. Rzekała do siebie raz jeszcze, że owoc takiego związku nie może sobie rościć prawa do posiadania matki.

- Powiedz chłopakowi, że nie wiem, kim jest, więc go nie przyjmę - poleciała pokojówce.

Jej głos drżał i pokojówka spojrzała na nią zaniepokojona.

- Powiedz mu tylko to, co mówię - syknęła Lily - i dopilnuj, żeby sobie poszedł, bo inaczej wezwę policję i każę go zatrzymać. Dziewczyna uciekła, przerażona, z pokoju na półpiętro. Liam przechylał się nad poręczą, spoglądając na hol.

- Kim jest ten człowiek tam na dole? - spytał zaciekawiony. Stał tam „Boy” Sheridan i patrzył do góry na nich. Sam wszedł do środka, choć pokojówka prosiła go, by zaczekał na zewnątrz, teraz więc szybko zbiegła ze schodów w obawie, że może on zamierza coś ukraść. Liam zszedł za nią. Boy czekał z dziwnym uśmiechem na wargach. Popatrzył na Liama.

- Kim jesteś? - zapytał obcesowo.

- Jestem Liam Porter Adams. A ty kim jesteś?

- Porter Adams, co? - Chłopak przeszedł nonszalancko przez hol, zaglądając do biblioteki i zauważając bogate sprzęty i cenne przedmioty.

- A więc to wszystko jest twoje, prawda? Liam potaknął, zaintrygowany.

- Myślę, że tak.

- Pani powiada, że nie zna cię i że masz natychmiast stąd wyjść, albo wezwie policję - powiedziała histerycznie pokojówka. Chłopak był wielki i miał taki wyraz oczu, który budził w niej strach. - Nie powinieneś wchodzić do środka - dodała zdenerwowana. - Zaraz powiem pani, żeby natychmiast zawołała policję.

Wzruszył obojętnie ramionami, wpatrując się w Liama, tego syna, który posiadał wszystko, podczas gdy on nie miał niczego.

- Powiedz jej tylko, że zna mnie bardzo dobrze. I że ja przyjdę tu jeszcze - dodał, idąc ku drzwiom. Odwrócił się i wyszczerzył zęby do Liama. Do widzenia, bracie - zawołał, wychodząc.

Liam pobiegł na górę opowiedzieć o tym matce. Lily stała przy oknie, patrząc jak John Wesley Sheridan oddała się ulicą. Liam powiedział jej, co mówił ten dziwny człowiek w ich holu, a ona szybko wysłała go do łóżka. Następnie zaś, chora ze strachu, zatelefonowała do Neda.

Opowiedziała mu, co się wydarzyło i oświadczyła, że już postanowiła wyjechać z Bostonu na wypadek, gdyby miał wrócić.

- Zabiorę Liama do Nowego Jorku - rzekła. - Będę w tym hotelu, co zawsze.

Ned wpadł do Nantucket, żeby dowiedzieć się, co się stało. Matka powiedziała mu, że znowu były jakieś kłopoty i „Boya” oskarżono o pobicie jakiegoś kolegi tak mocno, że tamten trafił do szpitala. „Boy” zawsze był niesforny, łatwo wpadał w złość i chciał się wyrwać z wyspy. Zniknął, zabierając ze sobą pięćdziesiąt dolarów pana Sheridana, a oni nie mieli pojęcia, gdzie się znajduje, jednakże przeczuwali, że już do nich nie wróci.

- Przez tyle lat troszczyli się o niego - powiedział Ned ze smutkiem - a on im tak odplaca. - Wszyscy się staraliśmy - odparła z gniewem Lily. - To, czym on został, nie ma żadnego związku z nimi ani ze mną.

Lily kupiła małą kamienicę przy Sutton Place, z widokiem na East River i zapisała Liama do dobrej dziennej szkoły prywatnej do czasu, gdy osiągnie odpowiedni wiek, by pójść do collegeu świętego Pawła. Poczula dreszczyk lęku, gdy dotarło do jej świadomości, że jest teraz w tym samym mieście, co Finn. Ale pomyślała sobie, że nie jest prawdopodobne, by ich ścieżki skrzyżowały się, ponieważ planowała nawiązać przez Neda nowe przyjaźnie w kręgach teatralnych i operowych. Zamierzała też zostać protektorką sztuki. Nie mogła się jednak powstrzymać przed zadawaniem sobie pytań na jego temat: jak teraz wygląda, czy się ożenił... I czy zapomniał już o niej.

Przyjaciół Ciel Molyneux intrygował fakt, dlaczego nie wyszła za mąż, choć była dziewczyną atrakcyjną i żywą, dowcipną, czarującą, radosną i - pomimo że jej ojciec przed śmiercią stał się hazardzistą - nadal bogatą.

Lata mijały, a Ciel, chociaż bywała na wszystkich przyjęciach i znała „każdego”, ciągle pozostawała samotna.

- Taki jest jej wybór - krążyły pogłoski, ponieważ wiadomo było, że uwielbiają ją wszyscy jej przyjaciele. Wszyscy mężczyźni zgodnie stwierdzali, że jest mniej wyzywająca, a o całe niebo bardziej zabawna niż niektóre słynne „piękności”.

Ciel miała dwadzieścia osiem lat; wydawała majątek na ubrania, kochała polowanie i łowienie ryb, uwielbiała teatr i przyjęcia, a mimo to nie spotkała jeszcze mężczyzny, który mógłby zająć miejsce zdrajcy Finna O'Keefe'a. Dzielnie próbowała nie myśleć o nim, spychając go w głąb świadomości wraz ze wspomnieniem swej nikczemnej siostry. Powiedziała sobie, że jedno jest warte drugiego i żałowała, iż wśród żywych nie ma już Williama, który dzieliłby z nią Ardnawamę.

Była właśnie w Dublinie i szła ulicą Molesworth, zdążając po zajmujących popołudniowych zakupach na herbatę do hotelu Buswell, kiedy wpadła na Jacka Allerdycea. Poznała go kiedyś przed laty w Londynie, ale od tamtej pory ich drogi przecinały się tylko z rzadka, więc pod wpływem chwili zaproponowała mu, żeby wypił z nią herbatę.

Jack naprawdę nazywał się John Howard Allerdyce, był angielskim majorem i służył jako adiutant w twierdzy dublińskiej. Miał około trzydziestu pięciu lat, poważne, piwne oczy, brązowe włosy, które obcinał krótko i porządnie zaczesywał do tyłu, i zawadiacki wąsik. Nie był tak przystojny jak Finn, ale jego wyprostowana żołnierska postawa i sympatyczne rysy wydawały się pociągające. Kiedy siedzieli już u Buswella nad gorącymi herbatnikami z masłem i nad rożkami. Ciel pomyślała, że ma on w sobie szyk, a przy tym umiał ją rozśmieszyć, tak że ucieszyła się, gdy powiedział jej, że i on przyjdzie tego wieczoru na tańczący wieczorek wydawany przez ich wspólnych przyjaciół.

Ciel umyślnie spóźniła się i skwapliwie rozglądała się za nim w tłumie, zadowolona, kiedy wreszcie go wypatrzyła. Wyglądał jowialnie w swym mundurze, złożonym z krótkiej szkarłatnej kurtki ze złotymi epoletami i złotymi guzikami, oraz z czarnych spodni z czerwonymi jedwabnymi lampasami.

Torując sobie drogę w ścisku, stanął przy niej.

- Rezerwuję wszystkie tańce z tobą - powiedział apodyktycznym tonem.

- A co powiedzą ludzie? - zapytała.

- To mnie nie obchodzi. Zamaszyście wypisał swoje nazwisko poprzez cały jej karnecik i dodał:

- Nie sądziłem, że możesz wyglądać jeszcze ładniej, niż wyglądałaś dziś po południu w tym kapelusiku z nakrapianą woalką. Podobasz mi się w różowym.

- Nawet z marchewkowymi włosami? - zapytała.

- Z powodu marchewkowych włosów - odrzekł stanowczo, a ona już wiedziała, że naprawdę go lubi.

Przetańczyli ze sobą wszystkie tańce i udali się razem na kolację, a ona miała świadomość tego, że wszyscy ich obserwują i snują domysły, jednak bawiła się cudownie. Pomimo to, wciąż żyjąc w obawie przed skandalem, nie pozwoliła mu odprowadzić się do domu.

Jego miłe i poważne piwne oczy i jego śmiech były ostatnią rzeczą, o jakiej Ciel myślała tej nocy przed zaśnięciem - i pierwszą, jaką pamiętała po przebudzeniu. Pomyślała o Finnie i natychmiast

wróciło do niej całe doznane cierpienie. Po czym rzekła do siebie, że Jack Allerdyce jest mężczyzną o znakomitej prezencji, odczytanym, kulturalnym, pochodzącym z bardzo dobrej rodziny - i zaśmiała się, myśląc przekornie, że stanowi on taki typ mężczyzny, jakiego jej ojciec chciałby dla niej za męża. Kiedy jednak wraz ze śniadaniem pojawił się pierwszy bukiet kwiatów od niego, wyskoczyła z łóżka, spakowała manatki i w panice umknęła do Ardnawamy.

Tego wieczoru Jack zadzwonił do niej.

- Dlaczego uciekłaś? - zapytał, a w jego głosie brzmiało tyle bólu i zakłopotania, że zaczęła mięknać.

- Nie było w tym twojej winy - rzekła. - Nie wiem, nie potrafię tego wyjaśnić. Może to dlatego, że stanowisz po prostu aż nadto dobrą partię.

- Nie miej mi tego za złe - powiedział ze śmiechem. - Ale nie jestem nawet w połowie tak dobrą partią jak ty. Mam starszego brata i to jemu przysługuje przywilej dziedziczenia, mnie zostaje więc kariera wojskowa.

- Bogu dzięki - rzekła, łagodniejąc. I zaprosiła go na najbliższy weekend do Ardnawamy.

Przyjechał obładowany kwiatami, szampanem, czekoladkami i książkami niczym letni święty Mikołaj, sprawiając, że w jej oczach znów pojawił się błysk, a w sercu na nowo zagościła niefrasobliwość. Od Finna różnił się tak bardzo, że już niebawem zapomniała o porównywaniu ich obu.

Romans trwał krótko i w kilka miesięcy później Ciel poślubiła Jacka podczas cichej uroczystości w Dublinie. Jednym z warunków postawionych przez jej ojca w testamencie było to, że jej mąż musi zgodzić się na przybranie nazwiska Molyneux. Tak więc Jack stał się Johnem Howardem Allerdyce Molyneux. Wywiózł swą żonę w dłuższą podróż poślubną do Francji, gdy zaś wrócili, wydali dla wszystkich swych przyjaciół przeogromne przyjęcie w domu przy Fitzwilliam Square. Przyjaciele uśmiechali się z zadowoleniem widząc, że młodzi nie widzą świata poza sobą i że śmieją się nieustannie. „To idealna para” - powiedziano.

Ardnavama stała się dla nich domem, lecz jako że Jack był wojskowym, Ciel radośnie podążała za nim we wszystkie miejsca, gdzie go posyłano: do Indii, na Borneo czy do Hongkongu. Rzuciła się w każde nowe środowisko, w jakim akurat się znajdowali, nawiązując przyjaźnie i ciesząc się życiem, ponieważ - jak powiedziała Jackowi - przy nim czułaby się szczęśliwa i w dżungli, i na pustyni, i wszędzie indziej między tymi skrajnościami.

- Nic mi nie przeszkadza, dopóki jestem z tobą - mówiła i z żartobliwą pogodą ducha borykała się ze służbą, która władała tylko językiem hindu lub urdu bądź też dialektem kantońskim czy malajskim. Tłukła komary wielkości ważek, wyganiała karaluchy olbrzymy, polowała na szczury przypominające króliki, i wrzeszczała na widok pajaków tak dużych, jak jej dłoń. Modliła się o to, by nigdy nie spotkać węża, ponieważ było to jedyne stworzenie, któremu nie potrafiła stawić czoła.

- Po prostu cała rozpadnę się na strzępy - powiedziała Jackowi, więc kupił jej dwie mangusty, które tak się przywiązały do Ciel, że nie chciały odstąpić jej ani na krok i trzeba było siłą powstrzymać je w nocy od wchodzenia do łóżka.

- No widzisz, kochają cię wszyscy - mówił Jack, śmiejąc się z niej, gdy wypychał małe mangusty na werandę, gdzie było ich miejsce.

Jedyny problem stanowiło to, że lata mijały, a oni wciąż nie mieli dzieci.

- Może to przez gorący klimat - mówił Jack, ponieważ wiedział, że Ciel martwi się z tego powodu. I możliwe, że miał rację, gdyż ledwie znaleźli się z powrotem w Anglii, gdzie Jack dostał

posadę urzędnika w ministerstwie spraw wojskowych. Ciel zaszła w ciążę.

Byli małżeństwem już od ośmiu lat, kiedy na świat przyszła Maudie.

- Kolejny żywiołowy rudzielec - powiedział Jack z uśmiechem od ucha do ucha, zachwycony, że ma jeszcze jednego diabełka, który ożywi mu dom.

Ilekroć Ciel spoglądała na swoją dziewczynkę, myślała tęsknie o Lily. Pamiętała siebie samą, jak z oddaniem dreptała za swą starszą siostrą i rozpaczliwie pragnęła, żeby i mała Maudie miała siostrę, która dotrzyma jej towarzystwa, i choć bardzo się starali, nie było im to pisane.

Na letnie miesiące Ciel zabrała Maudie do Ardnavamy, a Jack przyjeżdżał do niej, gdy tylko zdołał się wyrwać. Wówczas jednak, gdy Finn powrócił w swe rodzinne strony, Jack siedział w Londynie.

Zwróciła uwagę na służące, które pochylone ku sobie głowami, paplały o czymś podekscytowane, myśląc więc, że zanoszą się może na dalsze zamieszki, zapytała je, co się dzieje.

- Chodzi o Finna O'Keeffe'a. Syna Padraiga O'Keeffe'a - dodały, tak jak gdyby to imię nie odcisnęło się w niezatarty sposób w umyśle każdego z rodu Molyneux. - Wrócił tu, by odwiedzić stary kraj. Przy tym z milionem dolarów w kieszeni, jak powiadają. I tak też wygląda.

Ciel poczuła, że serce w niej zamiera. Wyrzuciła już Finna ze swych myśli i życia, i wszystko było w najlepszym porządku, dopóki go nie widziała. Teraz jednak, kiedy znalazł się tutaj... Powiedziała sobie, że on nigdy nie odważy się jej odwiedzić. Myliła się jednak.

Podekscytowane służące wpuściły go do środka, a dalmatyńczyki rzuciły się w jego stronę, szczekając jak szalone i merdając ogonami, tak jakby był starym przyjacielem. Powoli schodząc ku niemu po wielkich, szerokich schodach Ciel pomyślała, że gdyby psy miały choć trochę rozumu, odgryzłyby mu głowę.

Mijając go, weszła do ciasnej poczekalni położonej na zewnątrz wielkiej sieni. Finn wszedł za nią, a Ciel usiadła na twardym, wąskim krzeselku o prostym oparciu, nie dowierzała bowiem swym trzęsącym się kolanom. Nie zaproponowała mu, by usiadł. Wyglądał dokładnie tak samo, jak przedtem: przystojny, dobrze ubrany, bogaty. Był tylko starszy. Nos miał teraz zakrzywiony, ślad po złamaniu pozostał, a na jego twarzy pojawiło się więcej bruzd.

- Słyszałam, że byłeś we wsi i rozrzucasz wokół pieniądze - rzekła oziębło.

Wzruszył ramionami.

- Chciałem coś zrobić dla starych przyjaciół. Czy jest w tym cokolwiek złego?

- Po co tu przyjechałeś? Jakie masz prawo przychodzić do mojego domu?

- Czy uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że przyszedłem cię przeprosić?

- Nie chcę tego słuchać. Teraz jestem mężatką.

- Słyszałem o tym. Cieszę się, że czujesz się szczęśliwa, Ciel. Spiorunowała go wzrokiem, a on rzekł:

- Ale jest też inny powód, dla którego cię odwiedziłem. Chcę kupić Ardnavamę.

- Ardnavama nie jest na sprzedaż - powiedziała. - A gdyby nawet była, nigdy bym jej nie sprzedała tobie.

Pewnym krokiem przeszła obok niego do sieni, a on podążył za nią.

- Zapłacę każdą sumę, jakiej zażadasz. Tylko ją wymień, Ciel wchodziła po schodach, nie patrząc na niego. Wreszcie się odezwała:

- Wracaj do Nowego Jorku, Finnie, tam jest twoje miejsce. Wielki Dom nigdy twym miejscem nie był i nigdy się nim nie stanie.

Udała się do pokoju dzieciennego i poleciała niańce spakować kufereki małej Maudie, ponieważ na pozostałą część lata wracają do Londynu,

Myślała, że długa jazda pociągiem, promem, i potem znów pociągiem, nigdy nie dobiegnie kresu. Ogarnęło ją gorączkowe pragnienie, by znowu ujrzeć Jacka i gdy wreszcie go zobaczyła, jak przemierzał stację kolejową, spragnionym wzrokiem penetrując cały sznur wagonów, serce jej przepełniło uczucie miłości do niego i wydała westchnienie ulgi. Właśnie udowodniła sama sobie, że Finn ani trochę nie liczy się już dla niej. To Jack był tym, którego kochała, a Finna nareszcie wyrzuciła ze swego umysłu i ze swego życia.

48.

Maudie

Ardnava

Wybrałyśmy się na długi spacer, Brygida i ja, dwie stare kobiety, człapiące po wzgórzach w staroświeckich wellingtonach, opatulone w ciemnozielone kurtki myśliwskie z dziesiątkami różnych kieszeni przeznaczonych na trzymanie różności, poczynając od troków na bażanty, a kończąc na fajce i tytoniu. Te kurtki należały kiedyś, około 1930 roku, do mojego papcia i nadal jeszcze chronią przed tym drobnym, niesionym w powietrzu irlandzkim deszczykiem i przed wiatrem. Brygida włożyła jedną z tych tweedowych czapek w stylu Sherlocka Holmesa, z małymi nausznikami, ja zaś miałam swój stary czarny kapelusz filcowy. Zważywszy, że jedna z nas jest tak wielka i krągła jak gomółka masła, a druga - drobna i chuda niczym dziki królik, tworzyłyśmy najbardziej dziwną parę, jaką moglibyście spotkać w swych wędrówkach drogami Connemary, równie nie dopasowaną, jak irlandzki wilczur i terier Jacka Russella.

Brygida wiedziała, że jestem rozstrojona opowiadaniem historii nie powodzeń mojej rodzonej mamusi.

- Niech pani się aby nie zaczyna znów nad tym rozwodzić - ostrzegła mnie, podając mi rękę ponad niebezpiecznym odcinkiem drogi po luźnych głazach i żwirze. Pani to wie, że nie ma po co doprowadzać się do nerw. To się skończyło i dawno już po wszystkim, a teraz doprawdy mało co może pani na to poradzić.

- Wiem, wiem - westchnęłam. - Ja tylko zawsze myślę, że aż do tego momentu całej historii jestem w stanie rozgrzeszyć Lily ze wszystkiego, bo przecież to, co się stało, nie było w gruncie rzeczy jej winą. Ona po prostu nigdy nie uwolniła się od skutków tego pierwszego, okropnego błędu. Wierzę jednak, że Finn naprawdę zakochał się w mojej mamusi. Może nie do utraty zmysłów, tak jak zakochany był w Lily, z całą wariacką namiętnością, jaką daje młodość i pierwsza miłość. Przecież on szczerze lubił mamusię; potrafili się nawzajem rozweselić i czuli się ze sobą dobrze.

- Ona nie była tak sexy jak Lily - rzekła Brygida, wielkimi krokami posuwając się naprzód, a jej maleńkie stopy tak szybko migały po sprężystej trawie, że chcąc dotrzymać jej kroku, musiałam prawie biec.

Wiem o tym. Lily pociągała mężczyzn już wtedy, gdy miała zaledwie siedemnaście lat i była za młoda i zbyt nieświadoma tego, o co chodziło. A przez to właśnie napytała sobie na samym początku biedy z Dermotem Hathawayem, i to samo stało się przyczyną dalszych kłopotów, w które obfitowało całe jej życie, czy to z Finnem, z Danem, czy z Nedom. A nawet, w pewnym sensie, z rodzonym synem, choć to, co w tym wypadku mam na myśli, opowiem wam trochę później.

- Niech pani się nie trapi z powodu swej mamusi - jeszcze raz upomniała mnie Brygida, kiedy stanęłyśmy na szczycie wzniesienia, przy glądając się szaremu, zamglonemu krajobrazowi, czując

w powietrzu zapach morza i wsłuchując się w ciszę. Nie dało się słyszeć nawet krzyku ptaka, a ja w takich sytuacjach zawsze myślę, że ta ziemia musiała dokładnie w ten sposób wyglądać przez całe stulecia. Nic sienie zmieniło i nigdy nie zmieni. Taka jest właśnie Irlandia.

Powoli zeszyliśmy z powrotem ze wzgórza, podczas gdy psy pędem biegły przed nami - i pod wpływem impulsu zaproponowałam, żebyśmy weszły do wsi. Jest to zaledwie garstka rozrzuconych niskich domków, otynkowanych w tych samych jaskrawych odcieniach zieleni i żółci, na które kazał je pomalować mój dziadek, a ja pilnuję, żeby co roku je odnawiano. Ogrody nie zasługują na swą nazwę, Irlandczykom bowiem w tych stronach niezbyt zależy na kwiatach, oczywiście oprócz osób jak ja, które mają wielkie posiadłości ziemskie i gorące zamiłowanie do ogrodnictwa. Jednakże hortensje rosną na dziko z całym rozgardiaszem odcieni błękitu i różu, a dzika fuksja tworzy wspaniałe kolorowe żywopłoty, wzdłuż których przechodzisz - i mając wokół siebie całą tę gamę jaskrawych barw, mógłbyś niemal myśleć, że znajdujesz się w Indiach lub w tropikach, gdyby nie szare, zamglone niebo, jakie masz nad głową. We wsi są dwa bary, jeden należący do Flahertyego, a drugi do Burkea - obydwaj oni noszą dobre nazwiska rodem z Connacht - każdy z barów na innym końcu tej samej ulicy, a lojalność dzielona jest pomiędzy nie po równo. Bar Burkea stanowi zarazem sklep wielobranżowy, gdzie sprzedaje się mąkę, jajka i mydło tak samo, jak pianistego ciemnego guinnessa, ciągniętego porcjami po pół litra.

Zatrzymałyśmy się tam i zamówiłam dwa kufle, podczas gdy Brygida wypytywała się o to i tamto, sprawdzając pomidory i brzoskwinie swym dociekliwym palcem wskazującym, co pozostawiało na nich odcisnięte ślady, i najlepsze sztuki wybierając na dzisiejszą kolację. Tymczasem dalmatyńczyki przypochebiały się właścicielce, która kilka lat temu po obejrzeniu filmu „Sto jeden dalmatyńczyków”, padała ofiarą ich przewrotnych słodkich spojrzeń. Udałam, że nie widzę, jak ukradkiem wsunęła biszkopta każdemu z nich w czasie, gdy ja popijałam guinnessa i wymieniałam pozdrowienia z innymi klientami. Wiecie, połączenie sklepu i baru ma w sobie coś familiarnego i może właśnie to zwalnia kobietę od poczucia winy wobec faktu, że przed południem, zamiast filiżanką herbaty, raczy się guinnessem.

- Na pewno oczyści to pani płuca z wilgoci - powiedziała wesoło Mowa, podczas gdy psy krążyły wokół niej z nadzieją. - A jak się mają pani młodzi goście? Dziewczę było tu wczoraj i kupowało pocztówki, a ten młody facet nabył jedną z najpiękniejszych lasek z drewna leszczynowego, robionych przez Dessiego Flaherty. Zapytał, gdzie mógłby znaleźć troszkę gorzałki, a ja mu powiedziałam: „To pan mnie pyta, kiedy najlepsze źródło ma pan tam, w swoim domu?”

Pokazałam zęby w chytrym uśmiechu.

- Doprawdy nie wiem, o czym pani mówi, Moura - rzekłam, po nieważ domowa whisky stanowi jedną z wielkich tajemnic Irlandii. Po trafić być dobra - wystarczająco mocna, żeby zwalić cię z nóg - ale może być też śmiertelna. Jest to prawnie zakazany samogon, robiony z mieszaniny cukru, drożdży, jęczmienia i wody, gotowanych nad paleniskiem z torfu, lecz niewątpliwie przyjdą po mnie, jeśli wam powiem coś więcej.

- Jeśli zależy mu na gorzałce, lepiej, żeby był ostrożny - rzekłam.

- No pewnie, sama mu to powiedziałam - Moura odwzajemniła mi się tak samo szerokim uśmiechem. Ma o połowę lat mniej niż ja i jest przystojną kobietą: ciemnowłosą, o różowych policzkach i błyszczących ciemnych oczach - i znam ją od dnia jej narodzin, podobnie jak większość wieśniaków z Ardnavamy, pomijając starszków takich jak ja i Brygida, a i tak niezbyt wielu już nas zostało.

Brygida skończyła zakupy, psy przestały żebrać, dopiliśmy swego guinnessa - i znalazłszy się na zewnątrz, powędrowaliśmy wąską drogą z powrotem. Przeszliśmy nad wyrwą w murowanym ogrodzeniu i ruszyliśmy na skróty przez dawne tereny parkowe Wielkiego Domu, a z myślą o mamusi zboczyliśmy nieco z drogi i wstąpiwszy do rodzinnej kaplicy zmówiliśmy krótką modlitwę za nią, za papcia i za całą resztę rodziny, nie wyłączając Lily. Psy tymczasem ułożyły się w kłębek, niczym wierne ogary, u stóp posągów przedstawiających leżącego rycerza i jego damę. Po tym krótkim momencie kontaktu z Bogiem i z drogimi memu sercu osobami poczułam się jakoś lepiej i energicznie przy śpieszyłam kroku na ścieżce wiodącej do domu, mając przed sobą perspektywę drzemki przy kominku, a wieczorem - powrotu moich „wnucząt”, jak lubię ich nazywać.

Pojawili się domu, przywożąc prezenty. Wspaniałe, jedwabny szalik w żywych kolorach dla Brygidy i jedną ze swych fotografii, które robili sobie w automacie, oprawioną dla mnie w srebrną ramkę. Brygida okryła się rumieńcem o barwie ognistej czerwieni, harmonizującej z szalikiem, tak bardzo bowiem była zadowolona i zmieszana, a z połysku jej oczu poznałam, że ten nieoczekiwany upominek wzruszył ją prawie do łez. Mój z kolei prezent nie mógłby stanowić bardziej idealnej pamiątki. Znowu przyjrzałam mu się z entuzjazmem. Eddie obejmował Shannon ramieniem, twarze mieli przysunięte blisko jedna do drugiej i obydwójce byli roześmiani. Wąziutka srebrna ramka zamknęła dla mnie tę chwilę na wieczne czasy, a ja gorąco ucałowałam obydwójce.

- Postawię ją sobie na nocnej szafce - powiedziałam im - gdzie będę mogła widzieć wasze radosne twarze jako pierwszą rzecz po przebudzeniu.

Nakupili nawet czekoladek dla dziewcząt, które pomagają w domu, i przysmaki dla psów, tak że nikt nie został pominięty. Mieliśmy nie małe wrażenie, że to święta Bożego Narodzenia, gdy tak wypijaliśmy wielkimi haustami butelkę dobrego czerwonego wina i pałaszowaliśmy pełne talerze duszonej baraniny z kartoflami i cebulą, a oni - dla odmiany, ponieważ zazwyczaj tylko ja mówię przez cały czas - paplali i flirtowali bez przerwy.

Miałam okazję zauważyć, jak sprawy między nimi posuwają się do przodu i uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Muszę was zapewnić, że absolutnie nie maczałam w tym palców. Możliwe, że jestem plotkarką i wścibską staruchą, ale romans toczy się swym własnym biegiem, jak to pewnie zauważyliście na podstawie tej opowieści. A jak już mówiłam, Ardnava stanowi sprzyjającą oprawę dla romansu.

Shannon kupiła sobie ręcznie robiony jedwabisty sweter w kolorze żywopłotów z fuksji, a do niego włożyła powiewną spódnicę z czarnego jedwabiu.

- Pomyślałam sobie, że jeśli pani mogą uchodzić rude włosy do różowych sukienek, to mogą również i mnie - przygadała.

- A przy tym wygląda to bardzo ładnie, kochana dziewczynko - rzekłam z aprobatą; za to Eddiemu, który wciąż był w dżinsach, rzuciłam krzywe spojrzenie. Zaczynam się martwić, że ten chłopak nie ma nic innego. Może powinnam mu zaproponować coś z garderoby papcia. Założę się, że prezentowałby się cudownie w pumpach i w jednej z tych marynarek w kratkę, z plisą na plecach. Papcio w takim stroju wyglądał wspaniale, troszeczkę jak młody książę Windsoru, tyle że z wąsikami i mocniej zarysowanym podbródkiem.

Co do mnie, miałam na sobie miękki jedwabny aksamit - jedną z mamusinych sukni od Vionneta w delikatnym, szarawozielonym kolorze, który w świetle lampy wydawał się srebrzysty, z długimi rękawami i z dwoma diamentowymi klipsami w kształcie listków, przypiętymi w rogach głębokiego, kwadratowego dekoltu. Miała ona zdobioną chwościkami szarfę, na szyi zaś zawiązałam szalik ze

srebrnej gazy, by zamaskować swoje kościste ramiona, na loczki natomiast wsunęłam filuterną przepaskę z zielonego aksamitu w formie kabłączka. Moje długie kolczyki z imitacji szmaragdów i rubinów pochodziły od Saint-Laurenta z okresu, w którym lansował styl cygański - myślę, że było to około 1968 roku - i pobrzękiwały tudzież grzechotały przy każdym ruchu głową. Dlaczego tak się dzieje, że kolczyki tego typu sprawiają, iż czujesz się tak bardzo kobieca i pełna kokieterii? Założę się, że Lily знаła ten sekret.

W momencie, w którym podejmujemy tę opowieść, Liam skończył siedemnaście lat. Zbudowany tak, jak jego ojciec: wysoki i smukły, o gibkiej postaci, usposobieniem jednak przypominał raczej brata Lily, był bowiem marzycielem, który nad uprawianie sportów przedkłada muzykę i malarstwo. Miał rzeźbioną delikatność rysów Lily, lecz jasne, szare oczy i czarne włosy odziedziczył po ojcu. Jeśli byście wiedzieli, że jego ojcem był Finn, powiedzielibyście naturalnie, że jest do niego podobny jak dwie krople wody, lecz jeśli byście o tym nie wiedzieli, to byście mówili, i oczywiście słusznie, że jest podobny do Lily. Liam miał najlepsze elementy urody ich obydwójga i najlepsze cechy ich charakterów. Opanowany i niefrasobliwy, w szkole okazał się dosyć bystrym uczniem, jednak ku zmartwieniu Lily nie został miłośnikiem nauki jak John Porter Adams, człowiek, o którym Liam myślał, że był jego ojcem.

Boston

- Gdybyś tylko troszkę bardziej się starał, mógłbyś stać się tak słynnym uczonym, jak twój ojciec - mawiała Lily, zirytowana marzycielskim usposobieniem Liama i nie zwracając uwagi na fakt, że w najmniejszym stopniu nie ma on zadatków na naukowca.

Liam nie chciał pójść do Harvardu. Pragnął pojechać do Florencji i studiować sztuki piękne, a potem chciał włóczyć się po Europie Południowej ze sztalugami, farbami i jedną tylko torbą zawierającą parę rzeczy osobistych - po prostu malować wszystko, co stanowiłoby dla niego natchnienie: czerwone wzgórza w Prowansji, horyzont zlewający się z morzem w Wenecji, tokańskie wioski utrzymane w tonacji ochry, umbry i terakoty oraz srebrnozielone gaje oliwne nad Morzem Śródziemnym. Miał jednak dosyć rozsądku na to, by jeszcze nie ujawniać tych planów przed matką.

W szkole był samotnikiem, i to nie dlatego, że nie lubili go inni chłopcy, lecz z własnego wyboru, a ponieważ ze wszystkich przedmiotów nauczania okazał się dobry, nauczyciele też mieli o nim jak najlepsze zdanie. Powszechnie oczekiwano, że pójdzie w ślady ojca, a w każdym razie Lily planowała, że ufunduje na Harvardzie bibliotekę imienia Johna Portera Adamsa i ofiaruje do niej mnóstwo rzadkich książek, które należały do jej męża, oraz ogromną sumę pieniędzy.

Liam wiedział, że nie obędzie się bez kłopotów, kiedy powie matce, że nie ma zamiaru iść do collegeu, jednakże nie zaprzętał sobie teraz tym problemem głowy, odkładając to na później, w taki sam sposób, jak czyniła to zawsze Lily, żyjąc tymczasem z dnia na dzień.

Lata mijaly i Finn był już człowiekiem bardzo bogatym, o wiele bogatszym niż wtedy, gdy Comelius James zostawiał mu swoją spuściznę, a zapewne również bogatszym od swego brata. Dana, którego sklepy rozciągały się teraz na przestrzeni całej Ameryki, od wybrzeża do wybrzeża i który dzięki swym nowatorskim katalogom sprzedaży wysyłkowej zdobywał nowe rynki wśród odległych osiedli rolniczych gdzieś na pszenicznych równinach środkowego Zachodu czy na odosobnionych obszarach lasów i jezior na północy Stanów. Od tamtego wieczoru, w którym się pobili, bracia nie odezwali się do siebie ani razu, jednakże Finn śledził karierę Dana, wertując w gazetach zarówno strony poświęcone sprawom finansowym, jak i polityce.

Dan nadal pełnił funkcję senatora. Mieszkał sam, pominawszy towarzystwo służby, w pięknej rezydencji o białych kolumnach, położonej w Maryland i przykuty był do wózka inwalidzkiego, który opuszczał tylko wtedy, kiedy zaszła konieczność uczestniczenia w jakichś podniosłych obchodach lub wygłoszenia ważnego przemówienia i kiedy znaczna dawka środków przeciwbólowych pozwoliła mu utrzymać się na nogach. Na fotografiach zamieszczanych w gazetach Finn zauważył, że brat nieco przybrał na wadze, lecz nadal pozostawał tym samym przy stojnym senatorem Danem, w swym meloniku i z czerwonymi szelkami, rozczochranymi kędziorami i wesołym, szerokim uśmiechem. Prasa przezwalała go określeniem „uczciwy Dan” i to miano przyłgnęło do niego, ponieważ - jak powiadał często sam Dan - było zgodne z prawdą.

Finn również mieszkał samotnie, lecz w ogromnym czternastopokojowym apartamencie przy Piątej Alei. Rzadko gdzieś bywał; pracował zawsze do późna, a następnego ranka znowu był w biurze, jeszcze przed otwarciem rynków światowych. Każdą wolną chwilę wypełniało mu przedzieranie się przez wszystkie książki, jakie pozostawił mu w swej bibliotece Comelius, jak również przez te, które polecił mu kiedyś John Porter Adams. Na Uniwersytecie Kolumbia znalazł też pewnego profesora literatury, którego poprosił o sporządzenie mu listy lektur i teraz sumiennie czytał z tej listy jedną książkę tygodniowo.

Finn śledził Lily; wiedział, gdzie ona mieszka, kogo widuje i co po rabia. Uznał, że nadszedł już stosowny moment i teraz chciał odzyskać swego syna.

Liam miał siedemnaście lat, kiedy Finn odwiedził jego szkołę, udając, że ogląda ją pod kątem potrzeb swego syna.

Kiedy już został oprowadzony, wspomniawszy mimochodem, że jego sąsiadem w Bostonie był John Adams, on zaś słyszał, że syn Adamsa uczęszcza do tej szkoły.

- Przyszło mi do głowy, że może bym zobaczył, jak się miewa - rzekł, niedbale oddalając sugestie, żeby poprosić Liama, by przyszedł i wypił z nimi herbatę w gabinecie dyrektora.

- Nie, nie. Proszę mi tylko wytłumaczyć, gdzie go mogę znaleźć, a ja już przejdę tamtędy - powiedział swobodnym tonem.

Liam siedział na brzegu rzeki i rysował. Finn obserwował go przez kilka chwil w milczeniu, siłą powstrzymując łzy, gdy tak przyglądał się swemu synowi - chłopcu, którego prawie nie znał. Po raz pierwszy przepełniło go zupełnie nowe uczucie miłości ojcowskiej i zaczął się zastanawiać, czemu zmarnował wszystkie te lata.

- To bardzo udany rysunek - powiedział z podziwem, gdy wreszcie zdołał przemówić.

Liam grzecznie stanął.

- Dziękuję panu - rzekł zakłopotany, że ktoś mu się przygląda. Finn wyciągnął ku niemu rękę i przedstawił się:

- Jestem Finn O'Keeffe James. Znałem twojego ojca. Mieszkaliśmy po sąsiedzku i był na tyle uprzejmy, żeby pomagać mi w sprawach mojej biblioteki.

Liam poczuł się zaskoczony; rzadko spotykał kogoś, kto znał jego ojca, uścisnął więc skwapliwie dłoń Finna.

- Jak to dobrze pana spotkać, sir. I miał pan więcej szczęścia ode mnie, bo ja w ogóle nie znałem swego ojca.

- To był dobry człowiek. No i wielki uczyony. Finn się zdziwił, kiedy Liam powiedział:

- Tak, wiem o tym. I trudno mi jest żyć stosownie do takich wzorów.

- Przespacerujmy się może brzegiem rzeki tak, byś mi mógł powiedzieć, co przez to rozumiesz -

zapropował. Było to zdumiewające, lecz Liam czuł, że temu obcemu jest w stanie się zwierzyć ze wszystkiego, co ukrywał przed matką, opowiedział więc Finnowi o swym kłopotliwym położeniu. Wyznał, że najbardziej na świecie pragnie zostać artystą. Dodał z nieczystym sumieniem:

- Moja matka gniewałaby się, gdyby wiedziała, co przed chwilą panu powiedziałem, i to mimo iż był pan przyjacielem mojego ojca. Widzi pan, ja o niczym jej nie mówiłem. Jeszcze nie.

- Rozumiem - rzekł cichym głosem Finn.

- Moja matka jest mi bardzo oddana - rzekł nagle Liam. - Zaplanowała całe moje życie w dniu, w którym przyszedłem na świat. Może dzieje się tak dlatego, że zaraz potem umarł mój ojciec, a ona po prostu całą tę zbywającą jej miłość i troskę przelała na mnie. - Rzucił Finnowi spojrzenie pełne nadziei. - Przepraszam pana, panie James, jeśli przekraczam granice dobrego wychowania, mówiąc w ten sposób. Tyle że czasami bierze to nade mną górę. Ona wręcz dusi mnie swą wielką troskliwością. Kiedy byłem mały, każdy posiłek planowała pod kątem wartości odżywczych; żeby po raz pierwszy skosztować cukrowego batonika, musiałem wyrwać się do szkoły. Wszystko, czego uczyłem: konna jazda, taniec, szermierka, pływanie, jazda na łyżwach nie miało po prostu służyć przyjemności, lecz spełniać jakieś zadania, towarzyskie czy zdrowotne, boja wiem? I byłem faszerowany książkami i wiedzą jak gęś karmiona na siłę już od chwili, gdy podrosłem na tyle, żeby móc czytać.

- A w jakim byłeś wtedy wieku? Liam pokazał zęby w uśmiechu.

- Miałem cztery lata, proszę pana. Finn się roześmiał.

- Ja miałem czternaście, zanim dobrze nauczyłem się czytać i teraz to właśnie ja przypominam gęś karmioną na siłę; faszerując się książkami i wiedzą, by nadrobić to wszystko, co mnie ominęło. - Zamyślony popatrzył na swego syna. - Pozwól, że cię o coś zapytam, Liam. Czy zastanawiałeś się kiedyś nad swoim talentem artystycznym? Czy zadawałeś sobie pytanie, jak jesteś dobry? Czy też może malowanie jest tylko miłą rozrywką, w której przejawiasz pewne zdolności i która sprawia ci przyjemność?

Liam powiedział żarliwie:

- Nie wiem, jak mam to panu wytłumaczyć, sir, lecz to jest tak, jak gdybym myślał czubkami swych palców. Pomysł znajduje się w głowie:

kształty, kolory, światło - i w jakiś sposób to wszystko przekłada się za pośrednictwem pędzla na płótno. Nie wiem, jak jestem dobry, a na pewno muszę nauczyć się wielu rzeczy. Wiem tylko, że jestem gotów zrezygnować ze wszystkiego, byle to robić.

Finn podniósł pytająco brwi.

- Ze wszystkiego? Z domu? Ze swej pozycji? Z pieniędzy? - Przerwał, a potem dodał przebiegle: - Ze swej matki?

- Ze wszystkiego, proszę pana, prócz tej ostatniej.

- Pomyśl o tym, Liamie - rzekł Finn, kiedy szli z powrotem w stronę szkoły. - Ponieważ mnie się wydaje, że gdybyś tak postąpił, najpierw straciłbyś matkę. Zastanów się, czy twoja twórczość ma dla ciebie aż takie znaczenie.

- Czy przyjdzie pan jeszcze do szkoły, panie James? - zapytał żywo Liam, kiedy ściskali sobie ręce na pożegnanie. - Rozmowa z panem była dla mnie przyjemnością.

Finn uśmiechnął się i wesoło poklepał go po ramieniu.

- W takim razie musimy znów porozmawiać. A następnym razem zjemy razem lunch. Co powiesz na sobotę? Tylko nie mówmy niczego twojej matce. Po tym, co mi opowiedziałeś, myślę, że mogłaby

tego nie pochwalać.

Patrząc za odchodzącym Finnem, Liam westchnął. Wiedział, że tamten ma rację i oczywiście nie miał zamiaru niczego mówić matce, lecz oto po raz pierwszy w życiu spotkał człowieka, z którym mógł porozmawiać o sprawach bliskich jego sercu. Prawie tak jak z ojcem - pomyślał tęsknie.

49.

W następną sobotę Finn udał się na spotkanie z Liamem i podczas lunchu poznali się ze sobą bliżej. Opowiedział Liamowi o tym, jak z Irlandii przybył do Ameryki, kiedy był w wieku Liama, bo miał siedemnaście lat, o swej pracy u Comeliusa i o wydarzeniach, które zrobiły zeń człowieka bogatego.

I od tej pory, kiedy tylko Liam miał czas, spotykał się z Finnem. Bez końca roztrząsali sprawy związane z jego uzdolnieniami i jego przyszłością, a Finn widział już przed sobą prosty sposób odegrania się na Lily i odebrania jej syna. Gdyby Liam wyjechał do Włoch, żeby zostać malarzem, ona odcięłaby mu dopływ pieniędzy i nie miałby innego wyjścia, jak tylko robić to, co mu każe. Jednak gdyby wówczas Finn zaproponował mu, że sfinansuje jego potrzeby, Liam mógłby robić, co by tylko zapragnął, a jednocześnie zraziłby się do matki. Finn odczuwał pokusę, lecz po raz pierwszy obok pragnienia zemsty pojawiło się jeszcze inne uczucie. Kochał swojego syna i jak przy stało na ojca, pragnął dla niego tego, co najlepsze. Chciał, żeby Liam poszedł do collegeu.

- Jesteś młody - powiedział. - Masz jeszcze czas, by zrobić wszystko to, co chcesz. Studiuj historię sztuki i architekturę. W czasie wakacji letnich możesz wybrać się za granicę, może też wziąłbyś lekcje rysunku we Florencji albo w Sienie. Ja znajdę ci najlepszych nauczycieli. A gdyby z pieniędzmi były jakieś „trudności” - tu wyszczerzył zęby do Liama, który wiedział, że tamten ma na myśli „kłopoty z matką” - to ja z całą przyjemnością wezmę na siebie twoje wydatki.

Uniósł dłoń, by powstrzymać jego protesty.

- Nie osiągnąłbym tego, co mam dzisiaj, gdyby mi nie pomagano - powiedział stanowczo. - uważam to za swój obowiązek, żeby teraz z kolei pomóc tobie. Poza tym mam nawet ochotę odgrywać rolę mecenasa sztuki. Gdy staniesz się sławny, będę mógł wszystkim mówić, że to ja pierwszy poznałem się na twoim talencie.

I w ten to sposób następnego roku Liam bez protestów wstąpił do Harvardu, a Lily odetchnęła z ulgą, bo chociaż Liam postanowił studiować dziedziny inne od tych, które ona wybrałaby dla niego, przynajmniej sumiennie kroczył śladami swego „ojca”.

Boy

Tymczasem drugi syn Lily, John Wesley „Boy” Sheridan, był już dorosłym, dwudziestoosmioletnim mężczyzną. Od chwili swej ucieczki z Nantucket już z dziesięć razy zdążył przemierzyć kraj w jedną i w drugą stronę, podróżując wagonami towarowymi i śpiąc byle gdzie wraz z innymi włóczęgami, dla ochrony przed zimnem skupionymi wokół ognisk na opuszczonych miejskich podwórkach, bądź też ukrywając się na wsi w stogach siana i stodołach, kradnąc jedzenie i pieniądze gdzie tylko się dało i większość tych pieniędzy wydając na tani alkohol. Twarz miał pokrytą bruzdami i pokiereszowaną śladami nazbyt wielu bójek, stoczonych w różnych barach, tak że wyglądał na starszego niż w rzeczywistości. Był młodym mężczyzną pełnym zaciętości i gniewu, skorym do używania przemocy, tak że wśród sezonowych robotników znalazłoby się co najmniej dwóch takich, którzy nie przeżyli jego brutalnych uderzeń lub szybkiego sięgnięcia po nóż.

Od czasu do czasu znajdował sobie dorywczą pracę. Niekiedy prostą robotę przy sprzątanu obejścia w przyjemnych podmiejskich okolicach, gdzie panie domu ze współczuciem słuchały jego opowieści o tym, jak przyszły nań ciężkie czasy i dzięki temu karmiły go i płaciły mu trochę lepiej, niż początkowo miały zamiar. Z jakiegoś nieznanego powodu Boy pociągał kobiety; gdy patrzył na nie, miał w oczach zuchwałość, która sprawiała, że rumieniły się i czuły zakłopotane z powodu swoich dekoltów.

Częściej jednak zatrudniał się na farmach przy żęciu zboża i zrywaniu jabłek czy brzoskwiń. Stwierdził, że kobiety w rejonach wiejskich są bardziej samotne, a pociechę, jaką oferowały wraz z pracą, łatwiej było otrzymać u nich niż u podejrzliwych kobiet miejskich. A przy tym kiedy je opuszczał, często udawało mu się zabrać ze sobą jedno czy dwa trofea: pierścionek lub bransoletkę, bądź kupkę pieniędzy wyjętych spod materaca, by następny etap tej nie kończącej się podróży uczynić sobie łatwiejszym.

Na jednej z odosobnionych farm poznał pewną wdowę, kobietę o piętnaście lat starszą od niego. Była wysoka i chuda, z płaskimi piersiami i zupełnie nie w jego typie, o włosach siwiejących już po bokach i o wyblakłych niebieskich oczach ze zmarszczkami w kącikach oczu, powstałymi od patrzenia w dal na bezkresne płaskie pola pszenicy, które posiadała i które ciągnęły się aż hen, do horyzontu. Całe setki akrów żywej ziemi, jak Boy zdołał sobie szybko odnotować. Dom był zwietrzała, szarą kupą desek, jak wszystkie inne domy i kiedy Boy pojawił się w poszukiwaniu pracy, miał pomalować go na białą.

- Lubię, kiedy wszystko przez cały czas jest ładne, nawet gdy już od dawna nie ma Ethena - rzekła z dumą kobieta. - Nie mam synów i cały czas prowadzę tę farmę sama. No wiesz, mój mąż Ethen wleciał w spichlerz zbożowy. Stał w górze na drabinie i łopatą wrzucał ziarno na pochylnię, aż tu coś się zacięło; zeskoczył więc na zboże, by zobaczyć, co się stało. A wtedy cała ta góra ziarna zwyczajnie zsunęła się prosto na niego i zasypała go. Cały tydzień minął, zanim żeśmy stwierdzili, gdzie on jest, ale wtedy ziarno było już zmarnowane.

Boy wpatrywał się w nią, wyobrażając sobie zwłoki rozkładające się w ziarnie.

- Powinien mieć więcej rozumu - wygłosiła ponuro swoje zdanie. Tygodnie płynęły, a ona dawała mu coraz więcej i więcej rzeczy do zrobienia; czyszczenie urządzeń mechanicznych,

pomaganie przy orce i na wożeniu, oporzędzanie koni, sprzątanie stajni. Pomału Boy zrozumiał, że ona nie chce, by odszedł. Była bogatą i samotną wdową i lubiła mieć go gdzieś pod ręką.

- Twoje towarzystwo jest lepsze niż obecność zwykłych parobków - powiedziała, podając mu do stołu w kuchni zimne piwo, jako dodatek do obiadu złożonego ze smażonego kurczaka i kaszy. - Co byś powiedział, żeby zostać tu na stałe jako mój zarządca?

Ich wzrok spotkał się nad stołem i Boy już wiedział, że całe te hektary pól pszenicy oraz dom wraz ze swą zawartością, włączając w to Amelię Jane Ekhardt, są dla niego do wzięcia. Jedyne, co pozostaje mu zrobić, to poprosić.

Rozważył to sobie i w sześć tygodni później zaproponował jej małżeństwo. Uroczystość, bez żadnych zaproszonych gości, odbyła się w najbliższym miasteczku. Obowiązki małżeńskie okazały się dla Boya nudne, ale Amelia była całkiem zadowolona, zresztą nie miała zbyt wielkich oczekiwań. Jako pan domu. Boy dzielił z nią sypialnię i zamaszystym krokiem przemierzał swoje hektary pól, a o pół do szóstej każdego wieczoru miał już na stole gorący obiad wraz z butelką piwa do popicia.

Po kilku miesiącach, gdy nie mógł już dłużej wytrzymać monotonii codziennych czynności i nudnego widoku szerokiej równiny, wyczyścił konto bankowe Amelii z kilku tysięcy dolarów i wskoczył do pociągu jadącego do Chicago. Kupił sobie elegancki komplet ubrań, wynajął pokój w najbardziej wytwornym hotelu i zasięgnął informacji, gdzie można znaleźć najlepsze kobiety i najbliższe miejsce gry w pokera. Mając w kieszeni pieniądze, zamierzał stać się hazardzistą, lecz zabrakło mu bystrości, by pobić prawdziwych zawodowców, tak że niebawem znów nie miał grosza przy duszy. Elegancką odzież zastawił w lombardzie i ponownie w nieokreślonym stroju włóczęgi, złożonym ze znoszonej kurtki i spodni - raz jeszcze wyruszył w drogę.

A przez cały ten czas jego mózg paliła żywym ogniem świadomość tego, kim jest, a kim mógłby być. Co wieczór siadał przygarbiony przy naprędce skleconym ognisku, z butelką najtańszego alkoholu, żeby nie co złagodzić uczucie bólu w duszy i głodu w żołądku, i przypominał sobie opowieści, jakie prawiły mu kobiety w rodzinie Sheridanów. O tym, że jego matka to córka bogatego i utytułowanego Irlandczyka i że jej rodzina posiadała ogromne majątki ziemskie. O tym, jak porzuciła go, ponieważ była za młoda i po zbyt ciężkich przeżyciach, żeby sama się nim opiekować, chociaż zawsze przysyłała pieniądze na jego utrzymanie. O tym, że w ogóle nie chciała go widzieć.

Posprawdzał te fakty. Udał się w Bostonie do biblioteki i znalazł tom „Wykazu parów Burkea”, z którego wynikało, że to, co mówiono u Sheridanów, jest prawdą. Od tamtej pory już tysiąc razy od nowa zadawał sobie to samo pytanie: czy on nie ma prawa do swojej części tych żywnych akrów irlandzkiej ziemi? Oraz pieniędzy? A może nawet i do; tytułu szlacheckiego? Nie było trudno dowiedzieć się o miejsce pobytu matki, udał się więc tam, mając zamiar stanąć z nią twarzą w twarz, lecz ona nie zgodziła się na spotkanie i zagroziła mu policją. A ponieważ miał przy sobie kradzione pieniądze, nie mógł sobie pozwolić na zadzieranie ze stróżami porządku publicznego.

Jednakże było coś, co piekło go jeszcze bardziej niż tamto. A mianowicie wspomnienie jej drugiego syna, jak stojąc na pięknych schodach we wspaniałym domu bezczelnie pyta go, kim on jest, tak jakby on nie miał prawa znaleźć się tam - oraz sam fakt, że właśnie ten dzieciak, a nie on, jest tu panem i władcą.

W lodowate zimowe noce, kiedy wiatr przez człowieka przechodzi na wylot, dygocząc przy prowizorycznych ogniskach w towarzystwie innych wyrzutków, pijaków i mętów społecznych, którzy znaleźli się w opałach, obiecał sobie, że pewnego dnia zemści się na tamtych i wiedział już, jak ma tego dokonać.

Zdarzyło się tak, że Boy znalazł się znowu w Bostonie wówczas, gdy Liam spędzał swój pierwszy semestr na Harvardzie. Boy był splukany i nawet przebywając w slumsach wydawał się bardziej brudny i bardziej wyświechtany niż większość tamtejszych mieszkańców. Noce spędzał w przytulku towarzystwa dobroczynnego, gdzie dostawał miskę zupy na kolację, herbatę i chleb na śniadanie, no i kilka drobnych kieszonkowego, żeby przetrwać jakoś dzień i dotrzeć w kolejne miejsce przeznaczenia.

Wśród eleganckich ulic i placów Beacon Hill rzucał się w oczy niczym wrzód na nosie. Czyjś czujny wzrok zauważył go wałęsającego się ulicą Mount Vernon i zgłoszono tę sprawę na policję, tak że ani się spostrzegł, jak go wepchnięto do „furgonu patryków”, określanego tym mianem ze względu na dużą liczbę policjantów Irlandczyków. Wrzucono go do celi i potrzymano tam przez parę dni, żeby był spokojniejszy, a potem wypuszczono ostrzegając, by trzymał się z dala od Beacon Hill i wyniósł się z miasta do wszystkich diabłów.

Boy powrócił jednak na Beacon Hill i grożąc użyciem noża, okradł elegancki sklep spożywczy zwany U Daniela. Poszło mu gładko; ludzie nie spodziewali się, że coś podobnego może się wydarzyć w takim miejscu, jak Beacon Hill, wyszedł więc stamtąd z ponad czterystoma dolarami. Przez Charles River uciekł do Cambridge, gdzie kupił nowe ubranie, kazał sobie krótko ściąć włosy i zgolić wąsy. Wynajął tani pokój w Alei Massachusetts i przez most znowu wrócił na Beacon Hill i ulicę Mount Vernon. Tym razem wyglądało na to, że nikt nie zwraca na niego uwagi, mógł więc śledzić codzienne wyjścia z domu i powroty swojej matki, jak również jej syna. Pierwsze naprawdę poważne starcie, jakie Liam miał z matką, dotyczyło tego, czy należy mu pozwolić zamieszkać w miasteczku akademickim wraz z innymi studentami, czy też powinien co wieczór wracać do domu na Beacon Hill, tak jak ona sobie życzyła. Lily awanturowała się i szlochała mówiąc, że jeśli Liam ją kocha, to nigdy jej nie zostawi samej. Przypominała mu, ile rzeczy poświęciła dla niego i jak ciężko jej przyszło pozwolić mu na uczęszczanie do szkoły z internatem.

W końcu Liam postawił matkę przed wyborem: albo on zostanie z nią w domu, ale nie pójdzie do collegeu, albo też pójdzie do college ale zamieszka w miasteczku akademickim. Była zmuszona poddać się, ale nigdy nie pozwoliła mu o tym zapomnieć i zawsze zjawiała się, przynosząc niepotrzebnie domowe smakołyki i udzielając mu zbędnych rad. Moment wytchnienia następował tylko wtedy, kiedy wyjeżdżała do Nowego Jorku.

Liam rozumiał, że pomimo swej działalności dobroczynnej, jest ona kobietą samotną, która nie zaznała pełni życia. Miała czterdzieści sześć lat, wyglądała wciąż młodo i bardzo pięknie, pragnęłby więc, żeby spotkała jakiegoś miłego mężczyznę, wyszła za niego i była szczęśliwa. Wtedy może pozwoliłaby mu żyć własnym życiem. Wiedział jednak, że nie jest to prawdopodobne, Lily bowiem wyraźnie nie interesowała się mężczyznami.

Finn nadal odwiedzał go tak często, jak tylko mógł; zaprzyjaźnili się bardzo, choć matka Liama wciąż nie wiedziała o niczym. Tego wieczoru Liam miał spotkać się z Finnem w kawiarni przy Placu Harvardzkim, a był już spóźniony. Szedł z pośpiechem przez Dunster, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że ktoś za nim idzie. Panowała mroczna noc bez księżyca i czarny lód połyskiwał na chodnikach i w długich smugach mroku po między syczącymi latarniami gazowymi. Myśląc, że to na pewno któryś kolega-student, Liam zwolnił kroku, by zobaczyć, kto to taki.

Finn poczuł się zmęczony staniem to tu, to tam na zimnie i szedł mu właśnie na spotkanie z drugiego końca Dunster. Zobaczył, że Liam odwraca się i spogląda za siebie, po czym przystaje i rozmawia z kimś, lecz byli za daleko, żeby Finn mógł stwierdzić, kto to jest.

- Poczekaj jedną chwilę! - zawołał nieznajomy.

Liam przyjrzał się obcemu człowiekowi, gdy ten podszedł bliżej ku smudze światła padającego z latarni. Było w nim coś znajomego, lecz Liam zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, co.

- Cześć, bracie - powiedział obcy. - Powiedziałem ci, że wrócę. Dopiero wtedy w pamięci Liamowi stanął wieczór sprzed lat, kiedy to do ich domu przyszedł nieznany chłopak. „Do widzenia, bracie” - zawołał wtedy, odchodząc, i nie wiadomo czemu utkwilo mu to w pamięci. I teraz oto znowu ten nazwał go „bratem”.

- O co ci chodzi? I dlaczego mówisz do mnie „bracie”?

- O co mi chodzi? Jak to, chcę z tobą oczywiście porozmawiać. A dla czego mówię do ciebie „bracie”? Jak to, dlatego, że mamy tę samą matkę, Liam. Panią Lily Porter Adams, która wcześniej nazywała się Lily Molyneux.

Szczupła, młodzieńcza twarz Liama zapłonęła z wściekłości.

- Nie waż się nawet wspominać imienia mojej matki, bo inaczej wezwę policję!

Boy pochwycił Liama za rękę i wykręcił je do tyłu, a potem przyłożył mu do żeber nóż.

- To właśnie ludzie z twojej rodziny robią zawsze, kiedy czegoś nie chcą usłyszeć albo kogoś zobaczyć, prawda? Zawołać policję i kazać zabrać intruzów! No cóż, teraz nie możesz kazać mnie zabrać, bracie, będziesz więc musiał wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia. Nawet jeśli ci się to nie podoba. A możliwe, że również wiesz, iż twoja matka jest także moją matką, tyle że po katastrofie statku porzuciła mnie w Nantucket. Kiedy się urodziłem, zostawiła mnie tam, jak niepożądany bagaż i wyniosła się do pana Johna Portera Adamsa i do przyjemnego życia, z którego wyłączne prawo korzystania miałeś jak dotąd tylko ty, drogi bracie. Tyle że teraz ja wróciłem i zamierzam zażądać należnej mi części.

Nóż wbił się w ciało Liama, który poczuł, że zaczyna sączyć się krew. Przerażony, zachodził w głowę, skąd ten człowiek mógł tyle wiedzieć na temat jego rodziny. Lecz to, co mówił o jego matce, nie było prawdą i Liam chciał go zabić za wypowiedzenie takich słów.

- Ty nędzny sukinsynu! - ryknął, odpychając od siebie napastnika. Nóż z brzękiem upadł pomiędzy nimi na ziemię i obydwaj utkwili w nim wzrok.

- No dalej, bracie - szepnął z pogroźką. - Ja cię wyzywam. Podnieś to, a wtedy zobaczymy, że kto lepszy, ten wygra.

Ale zanim Liam zdążył wykonać ruch, on sam pochwycił nóż. Skończył z rozmowami. Wpatrywał się w Liama. Chciał wręcz wyciąć te wszystkie lata nienawiści. I raz za razem zadawał mu pchnięcie nożem.

Ostatnich kilka metrów Finn pokonał biegiem. Z całej siły swą laską walnął napastnika po rękach. Ten zawył z bólu, popatrzył na swe złamane palce, po czym zapluwając się przekleństwami i obelgami skoczył Pinnowi do gardła. Finn grzmotnął go swą trzciniową laską w czaszkę. Rozległ się przyprawiający o mdłości trzask, jakby od uderzenia kijem w kulę bilardową, po czym Boy zamroczony padł na chodnik. Finn zobaczył, że przez ubranie Liama przesiąka krew i jęknął. Zdjął z siebie płaszcz i przykrył chłopca, a potem ściągnął marynarkę i zrobił mu z niej poduszkę pod głowę. Pobiegnął na koniec ulicy i jakimś przechodniom kazał sprowadzić pomoc, po czym pognął z powrotem do Liama. Nie było go zaledwie kilka minut, lecz kiedy wrócił, niedoszły zabójca już zniknął. Finn kołysał Liama w ramionach, a łzy kapały mu po twarzy.

- Boże kochany - modlił się - nie pozwól mu umrzeć. On jest taki młody. I odnalazłem go tak niedawno.

Przyjechał ambulans i zabrano Liama do szpitala, gdzie natychmiast przewieziono go na salę operacyjną. Chirurg powiedział Finnowi, że Liam odniósł liczne rany kłute i musi być natychmiast operowany. Finn poinformował policję o tym, co się stało, a oni posłali po matkę Liama.

Lily z impetem wpadła w drzwi, mając oczy oszalałe z trwogi. Spostrzegłszy Finna, stanęła w miejscu jak wryta.

- Przykro mi, Lily - powiedział łagodnym głosem. - Liam jest nadal na sali operacyjnej. Nie ma jeszcze żadnych wiadomości. Szczęście, że znalazłem się tam i mogłem mu pomóc.

- Ty pomogłeś mojemu synowi? - opadła na krzesło z oczyma wielkimi z niedowierzania.

- Nie zapominaj, Lily, kim on jest. Niepokoję się o niego tak samo, jak ty.

- Jak to możliwe, że się niepokoisz? - wykrzyknęła. - Ty nawet go nie znasz. To ja go wychowałam. To ja troszczę się o niego, to ja go kocham, to ja leczyłam go w dzieciństwie ze wszystkich chorób i pilnowałam, żeby dostawał dobre stopnie. Ja zawsze byłam przy nim. - Po słała Finnowi mordercze spojrzenie. - Jak masz czelność sugerować, że niepokoisz się o niego tak samo, jak ja? Ten chłopiec jest moim życiem.

Ogarnięta przerażeniem, przemierzała korytarz.

- Kto to był? - wykrzyknęła. - Gdzie on jest? Zabiję go własnymi rękami. Och, dlaczego, dlaczego. Dlaczego to zrobił?

- Może to jakiś złodziej zażądał pieniędzy, a Liam nie zgodził się dać mu ich.

Lily wlepiła w niego podejrzliwie wzrok.

- A ty po prostu przypadkiem tam się znalazłaś, idąc sobie w jedną stronę ulicą Dunster. Akurat wtedy, gdy Liam szedł w drugą stronę. To godny uwagi zbieg okoliczności. Finnie. Nieco nazbyt godny uwagi, jeśli o mnie chodzi.

Wzruszył ramionami.

- Zwyczajny traf, jak sądzę. Ale nie jest to ani czas, ani miejsce odpowiednie do podejmowania naszej dawnej walki. Myślmy teraz o Liamie.

Siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu i czekali. Po pół godzinie zjawił się chirurg, by im powiedzieć, że głęboka rana kłuta spowodowała u Liama odmę prawego płuca. Inne uderzenie przebiło brzuch, lecz dzięki Bogu nie natrafiło na organy życiowe, aczkolwiek wywołało po ważne krwawienie wewnętrzne. Zrobiono, co było możliwe; teraz wszystko zależało od Liama.

Powiedział, że mogą Liama na kilka minut zobaczyć, stanęli więc przy nim po obydwu stronach, wpatrując się w jego popielatą twarz. Lily pomyślała smutno, że on wygląda tak młodo i tak bezbrinnie, jakby znowu był dzieckiem.

- Śpij smacznie, moje kochanie - powiedziała, pochylając się, żeby go pocałować.

Finn odprowadził ją do domu na ulicę Mount Vemon, a ona zaprosiła go do środka.

- Myślę, że jest kilka spraw, które musimy omówić - rzekła. Usiedli w bibliotece Johna, po obydwu stronach ognia dogasającego na kominku; spoglądając na siebie, obydwójce wspominali wieczór, w którym Finn pod pretekstem rozmowy z Johnem przyszedł tu, żeby ją zobaczyć i wspominali, jak rozpoczął się wtedy ich romans.

Lily oparła głowę o chłodne, ciemnoczerwone skórzane obicie wysokiego fotela, przyglądając się, jak Finn nalewa do kieliszków brandy.

- Wypij to - powiedział. - Poczujesz się lepiej.

- Chcę wiedzieć, dlaczego miałaś spotkanie z moim synem - rzekła. Westchnął.

- Znamy się już od pewnego czasu. Jesteśmy, jak myślę, serdecznymi przyjaciółmi.

Jej twarz przybrała kolor popiołu w palenisku.

- A dlaczego chcesz przyjaźnić się z nim teraz? Po upływie tylu lat?

- On jest również moim synem. Popatrzyła na niego smutnym wzrokiem.

- Czy choć kiedyś zastanowiłeś się nad tym, jak mogło być? Czy nie pamiętasz chwili, gdy powiedziałam ci, że jestem w ciąży? Czy naprawdę nie potrafisz sobie przypomnieć, co się wydarzyło, co po wiedziałeś i co zrobiłeś tamtego wieczoru? Wyparłeś się własnego syna, Finnie. Zrezygnowałeś ze wszystkich praw do niego. Powiedziałeś, że to nie twój syn i że nikt nie zdołałby udowodnić, że jest inaczej. No więc teraz powiem ci, Finnie, że to, co mówiłeś, jest prawdą. Liam jest synem Johna Portera Adamsa i nikt nie będzie w stanie dowieść, że to nieprawda. Tamtego wieczoru straciłeś wszelkie prawa do niego. Ja jestem jego matką i nigdy mi go nie zabierzesz, nawet jeśli będę zmuszona powiedzieć mu prawdę. - Wstała i podeszła do drzwi. - A teraz możesz już opuścić mój dom, moje życie i mojego syna. Nie chcę cię widzieć nigdy więcej.

Minęła go i weszła na schody, ale nie spojrzała za siebie. Finn wiedział, że wszystko jest nieodwołalnie skończone. Przegrali obydwój i teraz utracili się nawzajem już na zawsze.

Wyszedł z jej domu i wrócił do szpitala. Wpatrzył się w twarz swojego syna.

- Wracaj szybko do zdrowia, mój drogi chłopcze - powiedział, całując go w policzek ten jeden jedyny raz w życiu. A potem odszedł.

50.

Lily była w pewnym sensie niemal zadowolona, kiedy Liam uznał, że nie chce wracać do Harvardu. Trzy miesiące spędzone w szpitalu i następne dwa rekonwalescencji w domu zrobiły z niego całkowitego inwalidę, tak więc mogła trząść się nad nim, rozpieszczać go i przekarmiać jak jej się żywnie podobało. On zaś zupełnie nie pamiętał napastnika i łamał sobie głowę, co było powodem ataku.

- Dlaczego właśnie ja, mamó? - pytał, a ona odpowiedziała mu, za intrygowana tak samo jak on, że musiał to być napad rabunkowy. A kiedy przyszła wiosna i Liam oznajmił, że chce pojechać do Włoch, wyraziła zgodę. Pomyślała, że pewnie zrobi mu to dobrze, a jednocześnie utrzyma go z dala od Finna, tak na wypadek, gdyby tamten jednak chciał wrócić. Ale Finn nie ponawiał już prób zobaczenia się z nim i Liam nawet nie wiedział, że to Finn ocalił mu życie.

W kilka tygodni później wypłynęli statkiem do Neapolu, a potem aż do samych jezior podróżowali samochodem prowadzonym przez szofera. Liam żył jak we śnie: oczami chłonał barwy i krajobrazy, gromadząc je w specjalnej przegródce swego umysłu, żeby przywołać je stamtąd później, gdy już znajdzie się znowu w Bostonie.

Wynajęli apartament w luksusowej Villa d'Este i Liam już o świcie był na nogach, wędrując brzegiem jeziora z blokiem rysunkowym i farbami wodnymi. Lily zaś mogła wreszcie zażywać odpoczynku i rozrywki. Tak jak zawsze, ubrana była znakomicie według najświeższej mody, wciąż piękna i nadal zdolna przyciągać wzrok mężczyzn.

- Twoja matka jest absolutnie najpiękniejszą kobietą, jaką udało mi się widzieć - rzekła do Liama jakaś dziewczyna, spoglądając ponad jego ramieniem na akwarelowy szkic łódeczek, kołyszących się obok mołu przy brzegu jeziora. - A ty słowo daję, jesteś na pewno doskonałym artystą, widać to od razu.

Odwrócił się, zmieszany, i spojrzał na nią. Była drobna, o słodkiej buzi i amerykańska. Spodobały mu się jej lśniące blond włosy o złocistym odcieniu, jej bursztynowobrazowe oczy i brzoskwiniowa cera. Po myślał, że ma w sobie barwy pejzażu wczesnej jesieni i odpowiedział jej

uśmiechem.

- Dziękuję za obydwie komplementy, choć ten drugi nie jest zgodny z prawdą. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Muszę się wiele nauczyć.

- Już i tak umiesz więcej od wielu z nas - odparła, śmiejąc się i pokazując drobne, równe i białe zęby. - Powinieneś namalować portret swojej matki. Czyż nie jest ona po prostu przepiękna? - Westchnęła teatralnie: - Och, ile bym za to dała, żeby tak wyglądać!

- Nie powinnaś chcieć niczego w sobie zmieniać. Wyglądasz absolutnie pięknie właśnie tak - rzekł Liam zdumiony własną śmiałością. Przyszło mu do głowy, że włoskie powietrze musi mieć w sobie coś, co robi z niego takiego zuchwalca.

- Och, dziękuję panu, sir - powiedziała z żartobliwym dygnięciem. - Są takie kobiety, które różnią się od wszystkich pozostałych, a twoja matka jest jedną z nich. Wyciągnęła do niego rękę. - Jestem Jennie Desanto z Chicago. A ty kim jesteś?

- Liam Porter Adams. Z Bostonu. - Starł z palców żółtą ochrę i sjenę paloną, po czym ujął jej dłoń. Była drobna i miękka jak łapka kodaka i uśmiechnął się z zachwytem.

- Och, Boston - powiedziała, krzywiąc się. - Miasto świętoszek i snobów. Nie to, co Chicago. - Roześmiała się. Wszystko uchodzi w tym mieście wiatrów.

Opadła obok niego na ciepłe drewno desek pomostu i oplotła sobie ręce wokół kolan, patrząc w dal ponad błękitnym jeziorem, które iskrzyło się pod lekką mgiełką gorąca w porannym powietrzu.

- Jesteśmy tu na wakacjach - rzekła. - Moja rodzina wywodzi się z Włoch. Ojciec i matka są teraz w Mediolanie, aleja nie mogłam znieść upału i wyziewów miasta, wysłali mnie więc nad to jezioro, żebym tu na nich czekała. Wrócą w przyszłym tygodniu. - Uśmiechnęła się do Liama psotnie. - Prawdę mówiąc, cieszę się wolnością z dala od nich. A jak z tobą? Czy nie jesteś już trochę za duży na podróżowanie z mamą?

Liam poczuł, że się rumieni. - Mam dziewiętnaście lat - powiedział szybko. - I wolałbym być sam, tak jak ty, ale miałem... miałem wypadek i teraz przechodzę rekonwalescencję. Dlatego właśnie jest ze mną moja matka.

- Och, jest mi przykro. - Jej bursztynowe oczy przypatrzyły mu się z ciekawością. - Czy to dlatego masz tę interesującą szramę na policzku? - Roześmiała się. - Pomyślałam, że może jest to blizna od pojedynku, stoczonego w obronie honoru uciśnionej panny.

- Nie ma tak dobrze. Zostałem napadnięty na ulicy przez szaleńca z nożem.

Otworzyła oczy szeroko ze zgrozy.

- Och, mój Boże, przepraszam. Czy sprawia ci przykrość mówienie na ten temat?

Liam zastanowił się chwilę. Jediną rzeczą, jaka go martwiła, było to, że pan James nie przyszedł go odwiedzić. Kiedy on odzyskał przytomność, codziennie wypatrywał Finna, ale ów nawet nie przesłał mu żadnej wiadomości. Nie usłyszał już ani słowa od tego człowieka, którego kiedyś nazywał swoim przyjacielem, był więc dotknięty i gorzko rozczarowany. Nie umiał sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego jego mentor mógł go opuścić tak gwałtownie, pomyślał zatem, że widocznie musiał tamtego obrazić. Całymi tygodniami dręczył się rozmyślaniami, co to mogło być takiego, lecz wciąż nie znajdował odpowiedzi, a wiedział, że nie umiałby szukać z nim kontaktu poprzez jego biuro. Skoro pan James postanowił go nie widywać, miał do tego całkowite prawo.

- Nie przeszkadza mi mówienie o tym - rzekł. - Ale to już przeszłość.

- Myślę, że zawsze powinniśmy spoglądać w przyszłość - stwierdziła poważnym tonem. - A zresztą, w naszym wieku, niewiele możemy powiedzieć o przeszłości.

Liam spakował swoje farby i w dobrej komitywie ruszyli brzegiem jeziora, trzymając się cienia rozłożystych cedrów, Jennie rozprawiała o domu rodzinnym - dużym domu, również stojącym na brzegu jeziora, tuż po za granicami Chicago. Opowiedziała mu o swoich siostrach i braciach, z których „wszyscy są starsi i o wiele zdolniejsi ode mnie” - zapewniła Liama.

- Ja jestem w rodzinie rozpieszczonym dzieciątkiem i w gruncie rzeczy nikt za wiele nie spodziewa się po mnie. Spojrzała na niego z zadumą, a Liam poczuł zawrót głowy z dumy, że właśnie jego wybrała na partnera rozmowy. Drobna i ładna, stanowiła dokładnie jego przeciwieństwo. On był zamknięty w sobie, miał naturę samotnika i artysty, Jennie zaś była otwarta, radosna i jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność.

Pod wpływem chwili Liam zaprosił ją na lunch z jego matką.

- O pierwszej, na tarasie - powiedział, kiedy wracali do hotelu.

- Dobrze, przyjdę - obiecała.

Podczas lunchu dziewczyna tak zachwycała się Lily, że ta odnosiła się do niej łaskawie. Ostatecznie - mówiła sobie - Liamowi na czas wakacji potrzebny jest ktoś młody - i zaprzyjaźniony, a towarzystwo Jennie wydawało się niegroźne, chociaż z pewnością nie było też szczytem marzeń. Poza tym Lily wyraźnie zajmował hrabia Crespoli, przystojny, siwowłosy starszy pan, który był związany z flotą handlową i przemysłem samochodowym. Zaspakajał jej próżność prawiąc wytworne komplementy i był zachwycony, mogąc towarzyszyć Lily podczas krótkich wycieczek, czy w uroczych romantycznych restauracjach, czy nawet w partyjkach przy stołach do gry. Wszystko to sprawiało, że znowu czuła się zupełnie młoda.

Zostawiony nareszcie sam sobie, Liam cały wolny czas spędzał z Jennie i był nią tak pochłonięty, że całkiem zapomniał o dziwnej dezercji swego dawnego mentora, Finna Jamesa. Kupił jej szkicownik i węgiel, i wspólnie włóczyli się po wzgórzach, rysując z różnych miejsc widok na jezioro. Kiedy czuła się tym zmęczona, kładła się na trawie z rękami tworzącymi poduszkę pod głową i wpatrywała się w niebo, on zaś malował. Czasami śpiewała, a on z zachwytem powiadał jej, że ma piękny głos.

Nie bądź głupi - odrzekła, śmiejąc się wesoło. - To tylko tu, na świeżym powietrzu mój głos brzmi dobrze. W sali koncertowej słychać tylko cienkie popiskiwanie.

- W tobie podoba mi się wszystko - powiedział, chwytając jej rękę i całując, jak robią to Włosi. Pochyliła się do przodu i pocałowała go w usta, a on opasał ją ramionami i przywarli do siebie, pijąc wzajemnie swoje oddechy i nie chcąc jedno drugiego wypuścić z objęć.

- Czy miałabyś mnie za wariata, gdybym ci powiedział, że cię kocham? - zapytał pokornie.

Popatrzyła na niego z powagą.

- Nie. O, nie. Wcale nie pomyślałabym, że jesteś głupi, Liam - od rzekła.

Nazajutrz powrócili jej rodzice, a kiedy Liam przedstawił ich Lily, ta wymieniła z nimi uścisk dłoni z lodowatym wyrazem twarzy.

- To są prostacy i nowobogaccy - rzekła ze złością do Liama, gdy z powrotem znaleźli się w swym apartamencie. Kto to widział, ta kobieta podczas lunchu miała na sobie diamentowy naszyjnik! - A dlaczego nie, jeśli tak lubi? - zapytał Liam, tak samo zły, po nieważ cokolwiek by zrobiła Jennie i jej rodzina, wszystko wydawało mu się dobre.

Ale również rodzina Jennie spoglądała na Lily z góry.

- Nie jest lepszą niż na to wygląda - prychnęła pani Desanto, z po liczkami jeszcze płonącymi od pogardliwych spojrzeń Lily. - W taki sposób, sama jedna, chodzi z tym hrabią tu i tam „na wycieczki,

żeby obejrzeć ruiny”, jak niezmiernie wyniosłe powiada. Jakże znów ruiny? Chciałabym to wiedzieć. Nie ma tu w okolicy żadnych ruin, na które warto patrzeć.

Była to tęga kobieta o matczynym wyglądzie i z upodobaniem do żywych kolorów i błyszczącej biżuterii. Jej mąż dorobił się mnóstwa pieniędzy na imporcie włoskiej oliwy z oliwek i dostarczaniu włoskich kiełbas do sklepów delikatesowych na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Był on szorstkim w obejściu, łatwo wpadającym w gniew człowiekiem, który nieustannie zamartwiał się swoimi interesami i poczynaniami dzieci, ale który uwielbiał swoją żonę. Wszystko, co powiedziała, stanowiło niepodważalne prawo, jeśli chodzi o sprawy rodzinne, na tomiast w interesach on królował. Jeśli żona nie pochwałała tego, że ich córka widuje się z Liamem Porterem Adamsem, oznaczało to koniec z nim.

- Nie spotkasz się z nim więcej - powiedział surowo do Jennie.

- Ale papo, to tylko taki sobie znajomy, którego spotkałam na wakacjach - błagała. Co wam szkodzi, że go widuję? Przecież poza nim nie ma tu nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

- Ona ma rację - rzekła pani Desanto, nieco mięknięc. - Nie ma tu żadnych innych sympatycznych, młodych dziewcząt i chłopców, z którymi mogłaby spędzać czas. - Jennie uśmiechnęła się do niej promiennie, czując już, że wyrok będzie odroczone. - Ale tylko na czas wakacji! - dodała pani Desanto, grożąc jej palcem.

Liam i Jennie spędzali czas całując się, trzymając w objęciach i przy sięgając sobie dożgonne oddanie, gdy zaś tego nie robili, on malował jej portret. Najpierw był to szkic ołówkiem, potem nakładał farby olejne.

- Absolutnie nie zdążę go skończyć przed twoim wyjazdem - po wiedział, wpatrując się z niepokojem w nie dokończony obraz. Jennie spojrzała mu zza ramienia.

- Nawet w połowie nie jestem tak ładna, jak tutaj - rzekła.

- Ależ tak, jesteś. Chwycił ją i przyciągnął blisko do siebie. - Jesteś piękna, cudowna. I resztę życia chcę spędzić z tobą. Czy wyjdiesz za mnie, Jennie?

- O tak, pewnie, że wyjdę - zgodziła się impulsywnie. - Ale teraz jeszcze musi to pozostać naszą tajemnicą. - Zmarszczyła brwi, z niepokojem myśląc o swych rodzicach. - A co powie twoja matka? - zapytała Liama.

- Zapewne będzie szaleć, aleja się tym nie przejmuję. A co z twoimi rodzicami?

Jennie skrzywiła się lekko.

- To samo. Ale ja też się nie przejmuję. Tylko kiedy będziemy się spotykać, Liamie? Ja mieszkam w Chicago, a ty w Bostonie.

Zamilkli, myśląc o mniej więcej tysiącu kilometrów, jakie ich rozdziela, i serca w nich zamarły, gdy uświadomili sobie, że muszą się rozstać.

- Będę codziennie pisała do ciebie - obiecała.

- Ja też - obiecał, znów przyciskając ją do siebie.

Dzień, w którym Jennie wyjechała wraz z rodzicami, wydawał się Liamowi najsmutniejszym dniem w życiu. Patrząc, jak ich auto z prychnieniem oddala się białą drogą, póki nie zniknęło w obłoczku kurzu. A wtedy poszedł z powrotem wzdłuż brzegów jeziora do miejsca, w które chodzili razem; tam usiadł i napisał do niej list, pierwszy z setek listów, jakie miał do niej pisać w ciągu najbliższych dwóch lat.

Lily we Włoszech czuła się szczęśliwa. postanowiła zostać tu jeszcze przez jakiś czas i pozwoliła Liamowi studiować w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie, ona zaś cieszyła się

z nowego życia, jakie tu znalazła, dzięki hrabiemu Amadeo Crespoli mając zapewniony wstęp w krąg elity towarzyskiej Rzymu. Wynajęła wspaniałą willę usytuowaną na jednym ze wzgórz, z fontannami i ogrodami pełnymi drzew cytrynowych, posągów i sadzawek z liliami wodnymi, oraz z widokiem na Bazylikę Świętego Piotra w dali.

Ubrania kupowała w Paryżu, nosiła klejnoty Adamsów i pełna szczęścia hojnie podejmowała przyjaciół, szcycąc się swym przystojnym, młodym synem-artystą i zapomniawszy już na śmierć, jak kiedyś chciała, by poszedł w ślady ojca; teraz bowiem jego mistrzowie powiedzieli, że Liam ma prawdziwy talent.

- Pewnego dnia mój syn stanie się sławny - rzekła z dumą nowym przyjaciołom, płynnie posługując się włoskim, gdyż zawsze łatwo uczyła się języków obcych.

Liam pilnie studiował i kiedy tylko mógł, unikał jej spotkań towarzyskich. Dla niego towarzystwo stanowili koledzy - studenci instytutu i z nimi właśnie czuł się bardziej swobodnie, siedząc w ubogich kafejkach w dzielnicy artystów, pijąc tanie czerwone wino i wiodąc spory na temat modelek i przyjaciółek. W głębi serca wiedział, że pewnego dnia znów zobaczy Jennie. Czytał jej listy po wiele razy, tak długo, że atrament zblakł, przechodząc w nie dającą się odczytać niebieską mgiełkę, nie miało to jednak znaczenia; Liam każde słowo tych listów znał już na pamięć. Wiedział, że kiedy skończy dwadzieścia jeden lat, wejdzie w posiadanie niewielkiej sumy pieniędzy, dziesięciu tysięcy dolarów, zapisanych mu przez jego dziadka Adamsa. Mając je przy sobie, zamierzał pojechać do Chicago i ożenić się z Jennie. A w razie, gdyby jej rodzice nie chcieli go zaakceptować, porwie ją w nocy. I potem będą już zawsze razem.

Dwudzieste pierwsze urodziny Liama zbiegły się w czasie z rozstaniem się Lily z hrabią i ze znudzeniem Europą, jakie wtedy nagle odczuła. Zarezerwowała dla nich obojga miejsca na „Michelangelo”, płynącym do Nowego Jorku. Wejście Liama w wiek dojrzały świętowali butelką wina Krug.

- Ma tyle lat, co ty - powiedziała mu z dumą, gdy siedzieli przy spokojnym obiedzie na dwie osoby we wspaniałej jadalni na statku.

- Jest dokładnie tak, jak lubię - rzekła, ściskając mu rękę nad stołem. - Ty i ja razem. Tak właśnie było zawsze, prawda? I naturalnie, zawsze tak powinno pozostać.

Gdy znaleźli się z powrotem w Bostonie, podpisano dokumenty i Liam miał wreszcie własne pieniądze; pieniądze, o które nie musiał już prosić matki. Był wolny.

Powiedział matce, że wyjeżdża w niewielką podróż.

- Muszę się trochę wyrwać, przemyśleć różne sprawy - dodał, gdy przyglądała mu się niespokojnie.

- Ale dokąd jedziesz? - zapytała Lily. - Pojadę z tobą. Nie możesz po prostu wyjechać tak sobie.

- Za parę dni wrócę - powiedział, podnosząc torbę i zmierzając ku drzwiom.

- Liam! - krzyknęła. - Natychmiast tu wracaj!

- Do rychłego zobaczenia, mamó - zawołał, otwierając drzwi. - Powiedz mi chociaż, dokąd jedziesz - dopytywała się, oszołomiona.

- Do Chicago - odparł, patrząc jej prosto w oczy. - Odwiedzić starych przyjaciół.

Liam wszedł w pociąg jadący do Chicago. Wychylił się przez okno, gdy ten wtaczał się na stację i wynurzając się z obłoków pary, ujrzał Jennie, jak niespokojnym wzrokiem przebiega wagony w poszukiwaniu go.

- Jennie! Tu jestem! - zawołał, a jej twarz zajaśniała. Ruszyła biegiem w jego stronę, a on

wyskoczył na peron, nim jeszcze pociąg się zatrzymał. Stali i patrzyli na siebie, oceniając różnice, wynikające z upływu lat i z nowych przeżyć, po czym ona wydała idące z głębi serca westchnienie ulgi.

- O, dzięki Bogu! Nie zmieniłeś się!

- Ty też się nie zmieniłaś poza tym, że jesteś jeszcze ładniejsza. Zrobili krok ku sobie, padli sobie w ramiona, i Liam wiedział już, że wszystko jest dobrze. Upłynęło wiele czasu, lecz między nimi nic sienie zmieniło.

- Czy wyjdiesz za mnie? - wyszeptał jej cichutko, obsypując po całunkami jej drogą twarzyczkę.

- Oczywiście, że wyjdę - wyrzuciła z siebie jednym tchem, pełna szczęścia. - Nigdy już się nie rozstaniemy. I nie ma znaczenia, co kto będzie mówił.

Powiedziała tak, wiedziała bowiem, jakie plany mają wobec niej rodzice. Ojciec już wybrał dla niej męża. Był to oczywiście Włoch, po chodzący z rodziny podobnej do jej rodziny, lecz o wiele, wiele bogatszy i odnoszący więcej sukcesów. W rodzinach Włochów odbywało się to zawsze w taki właśnie sposób i niezależnie od tego, do jakiego stopnia w nowym kraju stali się wykształceni i wyzwoleni, kiedy przychodziło do małżeństwa, każda córka miała postępować tak, jak nakazuje tradycja.

Pojechali do hotelu Edgewater Beach, gdyż Liam przyzwyczał się zatrzymywać tylko w najlepszych miejscach i nie wiedział nic na temat pieniędzy i oszczędności. Jennie opowiedziała mu o planach jej ojca wobec niej i rzekła z desperacją:

- Wróciłeś w samą porę, Liamie. Ja po prostu nie mogę wyjść za niego! Jest dwa razy starszy ode mnie i nie lubię go ani trochę. Poza tym kocham ciebie. Wszystko, co napisałam w listach, jest prawdą. Myślałam o tobie dosłownie każdego dnia i każdej nocy przed zaśnięciem. Nawet śniłam o tobie. To przeznaczenie sprawiło, żeśmy się spotkali, a kiedy coś takiego zdarza się, jest się już razem na zawsze.

Popatrzyła na niego przygnębiona. Złote włosy miała po bokach za czesane do góry, policzki zaróżowione z zimna, a bursztynowe oczy szeroko rozwarte w wyrazie szczerości. Uścisnął jej dłoń, myśląc, co należy zrobić.

- Poproszę twojego ojca o twą rękę - rzekł pewnym głosem. - Jeśli się nie zgodzi, zabiorę cię do mnie do domu.

- A co na to twoja matka? - zapytała z obawą, pamiętając zaborczość Lily.

- O nic się nie martw - odparł. - Kiedy powiem matce, że mam zamiar ożenić się z tobą, nie pozostanie jej nic innego, jak się zgodzić. A zresztą na pewno cię pokocha, skoro ja cię kocham. Jennie nie była o tym do końca przekonana, lecz starała się optymistycznie patrzeć w przyszłość, pojechali więc taksówką na drugi koniec miasta do jej domu.

- Mamo, papo - rzekła, trzymając Liama za rękę i ciągnąc go za sobą do salonu. - To jest Liam Adams. Pamiętacie, spotkaliśmy się we Włoszech, nad jeziorem Como.

- No więc? Co on teraz robi tu, w moim domu? - zapytał pan Desanto, patrząc na nich podejrzliwie.

- Mieliśmy właśnie siadać do obiadu - wtrąciła się pani Desanto, wysuwając się żywo do przodu. - Może zechciałby pan zjeść z nami.

- Zaczekaj - pan Desanto podniósł rękę rozkazującym gestem. - Chcę wiedzieć, po co on tu przyszedł. Como leży kawał drogi od Chicago i było to dawno temu.

Patrząc mu ucziwie w oczy, Liam odezwał się:

- Prawda jest taka, proszę pana, że przyjechałem prosić pana o rękę Jennie.

- Moja córka? Miałyby wyjść za ciebie? - Twarz pana Desanto przybrała barwę buraka, a jego oczy prawie zrobiły się niewidoczne, zamieniając się z wściekłości w wąskie szparki.

- A co myśli o tym pana matka? - zapytała pani Desanto, pamiętając Lily aż nadto dobrze.

- Jeszcze o niczym nie wie - przyznał się Liam. - Jestem jednak pewien, że będzie zadowolona, kiedy dostanie tak piękną synową. Posiadam własne pieniądze, proszę pana - dodał pośpiesznie z obawy, żeby nie wziął go za kogoś bez grosza przy duszy, kto nie jest w stanie zapewnić Jennie opieki.

- Pieniądze? Ile tych pieniędzy? - Desanto z pogroźką zrobił krok do przodu.

- No, dziesięć tysięcy dolarów, proszę pana.

- Dziesięć tysięcy dolarów? - Desanto odwrócił się ku żonie i wybuchł pogardliwym śmiechem. - Ten arystokrata ma pieniądze. Aż dziesięć tysięcy dolarów. Phi, człowiek, za którego wychodzi za mąż moja córka, może kupować i sprzedawać twoją rodzinę po dziesięć razy. Dla niego dziesięć tysięcy dolarów to plewy. A teraz wynocha z mojego domu i trzymaj się z dala od mojej dziewczynki. Słyszałeś? - Zbliżył się jeszcze bardziej, a jego twarz z gniewu była już karmazynowa. Jennie wyciągnęła czym prędzej Liama do holu.

- Teraz już idź - szepnęła. - Czekać na mnie w Edgewater Beach. - Wypchnęła go za drzwi i zamknęła je mocno, a Liam stał niezdecydowany na schodach. Miał ochotę wejść tam raz jeszcze i bronić swoich racji, ale wiedział, że byłoby to bezcelowe, tak więc powrócił do hotelu i czekał.

Jennie zjawiła się tam w trzy godziny później, niosąc niewielką torbę.

- Zamknęli mnie na klucz w pokoju - rzekła, łapiąc dech - lecz zapomnieli o balkonie i o schodkach prowadzących na taras. Udało mi się uciec bez trudu. - Oparła się łokciami o stół i uśmiechnęła się do Liama. - A co teraz?

- Wyjeżdżamy stąd najbliższym pociągiem. - Chwycił torbę jej i swoją, po czym pomknęli na dworzec tak, że akurat zdążyli na pociąg odjeżdżający do Nowego Jorku.

Zmęczeni, skulili się w swym przedziale, obejmując się wzajemnie ramionami. Znów byli razem i tylko to się liczyło.

- Co zrobi twój ojciec? - zapytał z niepokojem, gdy w Nowym Jorku czekali na pociąg do Bostonu.

- Na pewno już się mnie wyrzekł - powiedziała smutno. - Splamiłam honor jego nazwiska i to koniec wszystkiego. Rzucił jej niespokojne spojrzenie.

- Przepraszam, Jennie.

Wzruszyła ramionami i powiedziała tonem filozoficznym:

- Lepiej jest być wydziedziczoną niż zmuszoną do wyjścia za mąż za człowieka, którego nie kocham.

Zmierzchało się, kiedy przybyli do Bostonu. W domu przy ulicy Mount Vernon paliły się światła i Liam ujął Jennie za rękę, wprowadzając ją do środka. Rozglądała się wokół, zdumiona wszystkimi wspaniałościami. Gdyby papa wiedział, że jesteś bogaty, może by się zgodził - szepnęła.

- To nie ja jestem bogaty, tylko moja matka - odpowiedział jej również szeptem. - Nie martw się, wszystko będzie dobrze, kiedy już pobierzemy się mimo wszystko. Jestem tego pewien.

- Liam - odezwała się Lily ze szczytu schodów i obydwójce spojrzeli w górę ku niej. - Kto to taki jest z tobą? - zapytała, zaskoczona.

- Dawna przyjaciółka, mamó. To Jennie Desanto. Pamiętasz, jak spotkaliśmy się nad jeziorem

Como?

- Oczywiście, że pamiętam. - Sunęła ze schodów cichym krokiem. - A co panna Desanto porabia w Bostonie?

- Przywiozłem ją, żeby się z tobą zobaczyła. Aż z samego Chicago - powiedział Liam żarliwie.

- Z Chicago? Ach, to dlatego tam pojechałeś. - Odwróciła się i weszła do biblioteki. - Może wy też tutaj wejdziecie - rzuciła znad ramienia. - To jest miejsce, w którym rozgrywają się wszystkie dramaty na szego domu. A odnoszę wrażenie, że właśnie tego wieczoru będzie miał miejsce dramat. Czy mówię prawdę, Liamie?

Lily usiadła w wielkim, głębokim fotelu z czerwonej skóry, a oni stanęli przed nią. Obrzuciła szybko Jennie z góry na dół badawczym wzrokiem, policzki Jennie zaś oblały się żarem, gdy zauważyła wyraz oczu Lily. Liam ścisnął jej rękę jeszcze mocniej, mówiąc:

- Przywiozłem tutaj Jennie, żeby znowu zobaczyła się z tobą, mamó, ponieważ kocham ją i ożenię się z nią. I jestem pewien, że ty też ją pokochasz, kiedy tylko ją poznasz.

- Czy zechciałabyś zostawić nas samych - rzekła Lily. Jennie rzuciła niespokojne spojrzenie na Liama, po czym szybko wyszła z pokoju i za mknęła drzwi. Usiadła na krześle w holu, gapiąc się na portrety członków rodziny i natężając słuch. Wiedziała, że Lily nienawidzi jej za to, że zabiera jej Liama, ale przecież spaliła już za sobą mosty i teraz modliła się, by Liamowi starczyło sił, aby stawić opór swojej matce i też spalić mosty.

Lily popatrzyła na syna, a w środku kipiała gniewem. To wszystko, na co pracowała przez tyle lat, teraz jej wykradała jakaś dziewczynka z parweniuszowskiej rodziny włoskich chłopów. Jak mieli czelność - zadawała sobie pytanie, wpatrując się w syna, który stał z rękoma założonymi z tyłu, niczym niegrzeczny chłopiec, oczekujący kary.

- Nie ożenisz się z tą dziewczyną - powiedziała stanowczym tonem. - Jest ona najzupełniej nieodpowiednia. Czy zapominasz, Liamie, o tym, że jesteś jednym z Porter Adamsów? Musisz podtrzymywać nazwisko rodziny oraz tradycję. Ten związek jest niemożliwy. Odeślij ją z powrotem do Chicago. Powiedz jej, że zapłacę pięć, nie - dziesięć tysięcy dolarów za zostawienie cię w spokoju. W Bostonie i w Nowym Jorku są setki pięknych dziewcząt pochodzących z tak dobrych rodzin, jak twoja, które poczują się szczęśliwe, mogąc wyjść za ciebie. Owszem, przyznaję, że może byłam egoistką, trzymając cię cały czas przy sobie, ale teraz to się zmieni. Jutro pojedziemy do Nowego Jorku, otworzymy tam dom i znowu zaczniemy przyjmować gości. Będziemy zapraszać młodzież dla ciebie, Liamie.

- Mamó, proszę cię...

- Nie spieraj się, Liamie. Zadzwoń teraz do dyrektora banku do domu i każę mu, by przysłał tu od razu dziesięć tysięcy dolarów. Dasz je dziewczynie i pójdzie swoją drogą, całkiem zadowolona, co do czego nie mam żadnych wątpliwości.

- Mamó, czy oszalałaś? - rzekł Liam, blady na twarzy. - Nawet nie słuchałaś tego, co powiedziałem, prawda? - krzyknął z gniewem. - Nigdy nie słuchałaś. Przez wszystkie te lata po prostu nieustannie robiłaś to, co chciałaś robić, kierując moim życiem tak samo, jak swoim własnym. Albo może w miejsce swojego życia. Tak, na tym polega cały problem, prawda, mamó? Staralaś się potraktować moje życie jako rekompensatę za niedostatki własnego. No, więc z tym już koniec. Żenię się z Jennie i to wszystko, co mam do powiedzenia.

- Pomyśl o tym, co zostawiasz, Liamie krzyknęła. - Swój spadek, domy, pieniądze. Nie masz pojęcia, jak bogaty staniesz się kiedyś.

- Zatrzymaj to sobie - odparł z pogardą, zmierzając ku drzwiom. - Kup sobie za to nowe życie, mammo.

- Poczekaj! - Podbiegła do gabloty przy drzwiach, w której stały dwie piękne, stare dubeltówki. Wyjęła jedną z nich i wsunęła naboje do luf, podczas gdy Liam przyglądał się oniemiały. Następnie otworzyła drzwi i mijając go, przeszła do holu. Nie zwracając uwagi na Jennie, która siedziała na krześle przy drzwiach, weszła powoli na schody z na bitą dubeltówką w rękach.

Zatrzymała się na podeście.

- Jeśli opuścisz dom, Liamie, dla tej dziewczyny, ja się zabiję - rzekła, a głos jej drżał. - Wybór należy do ciebie. - Ruszyła wzdłuż podestu w stronę swego pokoju, lecz przystanąła, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. Przechyliła się nad poręczą i zobaczyła, jak Liam bierze Jennie za rękę.

Spojrzał ku górze na jej zbielełą twarz.

- Nie dam się szantażować - powiedział sucho. - Żegnaj, mammo. Lily przyglądała się, jak całe jej życie, miłość i sens istnienia oddała się i zdawało się, że coś pęka w niej. Wszystko, o co walczyła w swym rozbitym życiu, znów zostało raptownie przekreślone.

- Ty bękarcie - zasyczała. - O tak, tym właśnie jesteś. Żaden z ciebie Porter Adams. Jesteś OKeeffe od początku do końca. Dokładnie taki, jak ten sukinsyn, twój ojciec.

Liam gapił się na nią zdjęty grozą. Odwrócił się do Jennie i otoczył ją ramieniem. A potem wyszli z domu, zamykając za sobą drzwi.

Lily upuściła dubeltówkę i zbiegła ze schodów, żeby go dogonić. Przemknęła przez hol, gwałtownie otworzyła drzwi i zbiegła po stopniach na ulicę. Ale ciemność już zdążyła go całkiem pochłonąć, tak jak by nigdy nie istniał.

Lily postąpiła tak, jak zawsze, gdy znalazła się w kłopotach. Za dzwoniła do Neda.

- Musisz go powstrzymać - krzyczała w histerycznym strachu. - On nie może się z nią ożenić. Musisz go zawrócić, Ned.

- Ależ Lily, ja jestem w Nowym Jorku - powiedział stropiony. - Co ja mogę zrobić?

- On akurat tam jedzie. Jestem tego pewna. Wieczorem o tej porze jest już tylko ostatni pociąg do Nowego Jorku.

- Pojadę na dworzec - obiecał. - Zrobię, co będę mógł, Lily. Ale Liam ma już dwadzieścia jeden lat. Jest dorosłym człowiekiem i zakochanym mężczyzną. Wiesz, jak z tym jest, Lily. To jest rzecz, z którą trudno walczyć.

- Musisz - rzekła zrozpaczona. - Po prostu powstrzymaj go, Ned, cokolwiek byś musiał zrobić.

Kiedy już tyle lat temu Ned został podany jako współwinny w sprawie rozwodowej Lily, Juliet krzyczała, awanturowała się i miotała w szaleństwie po ich cudownej willi na wsi i okazałym apartamencie na Manhattanie, grożąc popełnieniem samobójstwa bądź morderstwa, albo jednego i drugiego, ale wiedziała, że jest na z góry przegranej pozycji. Wszystko było tak, jak działo się to zawsze: kiedy Lily potrzebowała Neda, on zjawiał się przy niej. Kariera sceniczna Sheridanów rozwijała się dalej pomyślnie jak zawsze, ale awantury urządzali takie, że ich koledzy aktorzy tracili dosłownie dech, a w domu dzieci wciskały sobie pięści w oczy, byle tylko nie widzieć rozgniewanych twarzy rodziców i zasłaniały rękami uszy, żeby nie słyszeć ich gorzkich słów.

W końcu Juliet odeszła od niego. Zatrzymała sobie willę, a Ned zostawił sobie apartament na Manhattanie, a latem zawsze zabierał dzieci na wakacje do Nantucket. Kupił stojący obok Domek Morskich Mgieł dla Lily, tak żeby nie budzić zgorszenia faktem, że ona mieszka wraz z nim w jego domu, lecz Lily jeździła tam tylko wyjątkowo; nie miała cierpliwości siedzieć w miejscu tak

spokojnym i cichym.

Ned w swym wspaniałym apartamencie na Manhattanie wydawał właśnie prośoną kolację dla entuzjastów nowego spektaklu, w którym grał, gdy zadzwoniła Lily. Przeprosił swoich gości, tłumacząc się nagłą potrzebą i natychmiast odjechał na dworzec Grand Central. Chodził dużymi krokami po zimnym peronie, czekając na pociąg, a gdy ten wreszcie nadjechał, Ned przekonał się, że domysły Lily były słuszne. Liam wysiadł w towarzystwie drobnej, jasnowłosej dziewczyny, wyglądał na zmęczonego i miał zacięty wyraz twarzy. Rzucił zaskoczone spojrzenie na Neda.

- Twoja matka dzwoniła do mnie - powiedział Ned. Liam wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Mogłem się tego domyślić. Ale nie sądz, Ned, że zdołasz mi to wyperswadować, nic z tego. Może jednak potrafisz mi wytłumaczyć, o co jej chodziło - rzekł z zaintrygowanym wyrazem twarzy. - Możliwe, że ty wiesz. Powiedziała, że ja nie jestem Porter Adamsem. Że moim prawdziwym ojcem był jakiś O'Keefe. Czy to prawda?

Ned się zawahał.

- No cóż, owszem, ale daj sobie wyjaśnić... Liam wpatrywał się weń pustym wzrokiem. Miał dwadzieścia jeden lat i oto właśnie dowiedział się, że nie jest tym, za kogo się uważał.

Nagle przypomniał sobie wieczór, kiedy tamten mężczyzna pchnął go nożem i to, co wówczas powiedział na temat jego matki i teraz pojął ze zgrozą, że wszystko to było prawdą. Złapał Jennie za rękę i zaczął biec.

Ned podążył w ślad za nimi poprzez barierę i wypadł na ulicę. Przed dworcem krążyła wolna taksówka, a tamci wskoczyli do niej, zatrzasnęli drzwiczki i w tej samej chwili z całą szybkością odjechali. Ned wybiegł na ulicę, żeby próbować ich zatrzymać - i wówczas nadjeżdżająca taksówka potrafiła go, odrzucając na chodnik. Dokoła zebrał się tłum ludzi wydających okrzyki, gdy spostrzegli, że jest to sławny aktor. Po śpiesznie przewieziono go do szpitala, gdzie oczekujący dziennikarze usłyszeli wiadomość, iż jego stan „jest na tyle dobry, jak można się tego spodziewać w podobnej sytuacji” i gdzie znalazł się pod nieustanną opieką pielęgniarek czuwających dzień i noc.

Ned miał szczęście i przeżył. Doznał złamania kończyn i pęknięcia czaszki. Lily, zupełnie oszołomiona, znowu przeniosła się do Nowego Jorku i codziennie przychodziła do niego w odwiedzin, przynosząc całe kosze owoców, kwiaty i najnowsze książki do przeczytania, lecz nawet kiedy Ned poczuł się lepiej, wydawało się, że nie ma ochoty zaglądać do nich. Ogarnął go straszliwy letarg, tak że tylko leżał na szpitalnym łóżku, wpatrując się w ścianę.

Kiedy wreszcie wypuszczono go ze szpitala, Lily zawiozła go do Nantucket, żeby nabrał sił. Nie był to już ten sam pełen życia Ned. Bez zainteresowania przekartkował oczekujące go scenariusze i niebawem prawda wyszła na jaw. Jego umiejętność koncentracji oraz pamięć zostały uszkodzone na skutek wypadku. Nie potrafił już zapamiętać tekstu roli. Jako aktor, Ned Sheridan był skończony.

Lily pozostała przy nim. Mieszkając obok, w Domku Morskich Mgieł, robiąc sobie wyrzuty i czekając, by powrócił do niej Liam, choć w głębi serca wiedziała, że nie nastąpi to nigdy.

51.

Maudie

Arnavama

A więc usłyszeliście wszystko, moi drodzy - powiedziałam do Shannon i Eddiego. - Całą opowieść o przeszłości. No, prawie całą. Pozostał tylko jeszcze jeden epizod i mogę tylko żałować, że sama nie byłam tego świadkiem. No bo wiecie, Lily wróciła jednak do swej rodzinnej Arnavamy. Ale wróciła do domu po to, żeby umrzeć.

- Kiedy to się zdarzyło, ja przebywałam w szkole w Paryżu, mój papcio pojechał do Chin w jakichś sprawach wojskowych, tak że mamusia siedziała tutaj sama. mówiła mi, że dzień był wtedy wspaniały, cały w delikatnym blasku słońca i łagodnym wiatku - i Ardnava wyglądała najpiękniej, jak mogła. Kwitły późne róże, a ich zapach nappełniał powietrze. Mamusia wracała z przejażdżki konno; jej rude włosy powiewały na wietrze, a kasztanka wyglądała prawie tak samo, jak koń Lily sprzed lat, Jamestown. Ta scena mogła pochodzić z przeszłości.

Lily wysiadła ze starego, rozklekotanego samochodu, który przywiózł ją z Galway. Obie siostry wpatrywały się w siebie, gdy tymczasem kasztanka płasała i przysiadła, a psy ze szczekaniem skoczyły ku nim. Przez długą chwilę patrzyły tylko jedna na drugą, po czym Lily rzekła cichym, drżącym głosem:

- Wróciłam do domu, Ciel. Czy jestem tu chętnie widziana? - za pytała, spoglądając z niepokojem na siostrę.

- Tak, jak kwiaty w maju! - wykrzyknęła Ciel, zeskakując z konia i chwytając ją w objęcia. Odsunęły się od siebie o krok i trzymały się na długość wyciągniętej ręki, wypatrując zmian, widząc ślady przemijania czasu, a w przypadku Lily - oznaki choroby. Zawsze czuły się jak siostry syjamskie: jedna o drugiej wiedziała wszystko, teraz więc nie było po trzeby, żeby Lily mówiła Ciel, iż jest umierająca.

- Dlaczego, o dlaczego nie wróciłaś do domu wcześniej? - wykrzyknęła Ciel ze łzami.

Lily potrząsnęła głową.

- Jestem w domu teraz i tylko to się liczy, prawda? - Uśmiechnęła się, przechylając głowę swym dawnym kokieterijnym gestem. - Czy mogę liczyć na przebaczenie? - zapytała z nadzieją.

- A czy nie miałaś go zawsze? - uśmiechnęła się szeroko Ciel i w jednej chwili znów powróciły do swych wzajemnych związków sprzed lat: pełna uwielbienia młodsza siostra i piękna, pewna siebie - starsza.

Weszły do domu, obejmując jedna drugą w pasie, a Lily opowiedziała smutną historię odejścia Liama.

- On wróci! - wykrzyknęła Ciel. - Jestem tego pewna. Jeszcze jest na to czas.

Ale Lily potrząsnęła głową i powiedziała:

- Obawiam się, że dla mnie czas już się skończył. - W jej głosie brzmiało tak wiele smutku, a Ciel wiedziała, że Lily nie jest smutna z własnego powodu. Niezależnie od innych swoich cech, Lily zawsze odznaczała się odwagą i teraz też się nie bała. Ciel wiedziała, że Lily cierpi z powodu utraty syna i poczuła się zadowolona, że jej własna córka, Maudie, przebywa poza domem, w przeciwnym wypadku fakt, że są ze sobą tak serdecznie żyte, podkreślałby tylko osamotnienie Lily.

Lily wędrowała po całym salonie, dotykając zapamiętanych przedmiotów: rodzinnej fotografii w srebrnej ramie, wyszywanego podnóżka wykonanego przez jej matkę, lornetki, której William zawsze używał do obserwowania ptaków, i przepięknego pudełka na cygara, zrobionego z różanego drewna. Podniosła jego wieczko, wciągając w płuca wonny zapach marki „Monte Cristo” i przyknęła oczy, ta woń bowiem przy woływała wizję papcia wyraźniej niż najlepsza fotografia.

Miała przed oczyma siebie jako małą dziewczynkę, która siedziała na kolanach papcia, gdy ten wybierał jedno cygaro, a następnie przechodził przez kolejne fazy tego wolnego, zbytkownego rytuału, posługując się specjalnymi złotymi nożyczkami i długimi drewnianymi zapalnikami, które ona zawsze dostawała do zdmuchnięcia. A potem następowała najmielsza chwila, gdy opaskę od cygara

papcio nakładał jej na palec niczym pierścionek. Widziała mamusię, jak siedzi nad swoją robótką, i papcia nad jego gazetą - i znowu chłoneła tę wyjątkową atmosferę spokoju i bezpieczeństwa, znaną jej kiedyś, gdy była małym dzieckiem, które schodziło chyłkiem na dół i przycupywało obok tych dwojga cudownych istot, nim kazano jej zmykać z powrotem do łóżka.

- Gdyby tylko, ach, gdyby tylko... - pomyślała z tęsknotą, już po raz ostatni w swym życiu.

Wiadomość o tym, że nikczemna Lily Molyneux wróciła do domu, przebiegła przez całe domostwo, a następnie przez wieś z szybkością błyskawicy. Służba zebrała się i zaczęła ciekawie się przyglądać - i już niebawem wszyscy wiedzieli, że Lily wróciła tu, żeby umrzeć. „Ma to wypisane na twarzy” mówili z powagą, a wszystkie dawne opowieści i pogłoski wydobyto na światło dzienne i przedstawiano od nowa w wypełnionym ludźmi wiejskim sklepiku bądź nad kielichem czy nawet nad trzema - w miejscowej gospodzie.

Lily wystarczył do szczęścia fakt, że jest w domu i może odbywać samotne przejażdżki konno po dzikich szlakach porośniętych liśćmi paproci i wzdłuż wybrzeża. Wieczorem siedziała spokojnie przy kominku, uśmiechając się, kiedy rozmawiała na temat dawnych wspomnień i starych dziejów. A psy, dokładnie tak samo, jak działało się zawsze w minionych czasach, leżały przy nogach łóżka Lily, wpatrując się w nią z uwielbieniem, tak jakby to były jej najukochańsze dalmatyńczyki sprzed czterdziestu lat. Kiedy Lily zrobiła się już zbyt słaba na to, żeby jeździć, spacerowała wolnym krokiem po ogrodach, podpierając się trzciniową laską o srebrnej gałce, należąca niegdyś do papcia. Odmówiła przyjmowania dużych dawek morfiny zapisanych jej przez lekarza, ponieważ mając już tak mało czasu do dyspozycji, nie chciała tracić go na trwanie w narkotycznym zamroczeniu.

- Pragnę chłonać każdą z tych ostatnich chwil czasu danego mi w Ardnavamie - rzekła spokojnie do Ciel. - Bo wiem, że raj jest tutaj, a kiedy umrę, będę musiała to wszystko porzucić. Jeszcze raz. - Rozejrzała się ze wzruszeniem wokół siebie i powiedziała:

- Czy myślisz, że papcio kiedyś mi wreszcie przebaczył? A może przewróci się w trumnie, gdy pochowasz mnie obok niego?

- Naturalnie, że ci przebaczył - skłamała Ciel, tłumiąc łzy. - Po wiedział mi to ze sto razy. A ty poza tym długo jeszcze nie umrzesz. - Ale Lily tylko się do niej uśmiechnęła.

Podczas tych długich wieczorów, spędzanych przy kominku tylko we dwie, Lily opowiedziała Ciel całą prawdę o Johnie, Finnie i Danielu, jak również o swych dwóch synach, o nienawiści do jednego z nich i o wszech władnej, zaborczej miłości do drugiego.

- Liam nie pojawił się w domu już nigdy więcej - zakończyła ze smutkiem. - No widzisz, Ciel: zrobiłam to raz jeszcze. Po prostu nie myślałam o nikim, wyłącznie o sobie. Próbowałam go odnaleźć i prosić o wybaczenie, lecz nic z tego wyszło. Po prostu zniknął.

- Czy nigdy nie myślałaś o tym, jak inaczej potoczyłoby się życie, gdybyś w ogóle nie poznała Dermota Hathaway'a? - zapytała Ciel.

- Czy nie myślałam? - Lily roześmiała się, a był to cichy śmiech, smutny i gorzki. - W każdy kolejny dzień mojego życia, tyle ci powiem. Ale przekonałam się na własnej skórze, że nie ma odwrotu. Nie można zmienić tego, co się wydarzyło, Ciel, choć, Bóg mi świadkiem, że próbowałam to zrobić.

Wyjęła z kieszeni diamentowy naszyjnik i podała go Ciel.

- Pamiętasz? - zapytała, uśmiechając się. - Miałam wtedy siedemnaście lat i cały świat u swoich stóp. Teraz pragnę, by ten naszyjnik do stała twoja córka, gdy skończy siedemnaście lat i całe życie przed sobą, i gdy wszystko będzie dla niej możliwe.

mówiła na temat Neda, którego musiała pozostawić w Nantucket pod opieką pewnej tamtejszej kobiety.

- Pomijając ciebie. Ciel, on jest moim jedynym przyjacielem - powiedziała. - Teraz wprowadź jego biedny umysł błędzi, ale nadal jest tak przystojny, miły i pełen czaru, jak zawsze. Dlaczego, no, dla czego nie kochałam go na tyle mocno, żeby wyjść za niego? Życie stałoby się wtedy takie proste... Jego dawni przyjaciele z teatru są mu wierni; nadal znajdują czas, żeby go odwiedzić, a podczas lata często tłumnie przybywają tam, do białego domu, i dotrzymują mu towarzystwa. Wolałam pożegnać się z nim w momencie, w którym byłam jeszcze sobą, niż pozwolić mu zobaczyć, co się ze mnie zrobiło teraz. Spuściła ze smutkiem oczy na własne dłonie: nic, tylko wiązka drobnych kości, obleczonych w pergaminową skórą poznaczoną błękitnymi żyłkami. - To ręce staruszki powiedziała z żalem - a przecież w ogóle nie dożyję starości.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Lily nie mogła już wstać z łóżka. Ciel kazała łóżko dosunąć do okna tak, aby siostra mogła spoglądać na urocze ogrody i olchy zasadzone przez ich prapradziadka, rzucać okiem na srebrzyste morze i rozległe, opalizujące niebo i widzieć przejeżdżające kłusem konie. Pomimo iż powietrze późnego lata było łagodne, Lily czuła zimno, więc na kominku nieustannie płonął ogień. Psy z oddaniem trwały przy niej, leżąc z łbami złożonymi na łapach, a rudy kot siedział na parapecie okna, przyglądając się i czekając.

Minął tydzień, a potem drugi - i Lily już nie mogła jeść. Przyjmowała płyny przez słomkę, choć powiedziała do Ciel, że to nie ma sensu.

- To już nie ma znaczenia, Ciel, kochanie - rzekła. - Jestem już w domu. - Jej oczy przypominały ciemne, jarzące się szafiry, a jej szczupła, wyniszczona twarz sprawiała wrażenie złożonej z samych kości, lecz Ciel spostrzegła, że tęsknota i smutek nareszcie opuściły Lily.

Lily poruszyła dłonią i złożyła ją na dużej głowie psa. Z westchnieniem zadowolenia zamknęła oczy, a Ciel wiedziała, że tamta nie otworzy ich już nigdy więcej.

Dzierżawcy przybyli, jak było to w zwyczaju, żeby wóz, który miał wieźć trumnę, przystroić mchem, paprociami i wszystkimi wonnymi różami „Gloire de Dijon”, jakie rosły w ogrodzie. Szli z tyłu za Ciel do rodzinnej kaplicy, a potem do grobowca, gdzie Lily połączyła się wreszcie ze swym ukochanym papciem i mamusią - i tym razem zdjęli z głów czapki z szacunkiem w obliczu zgonu Lily Molyneux.

Maudie

Spojrzałam na dwójkę moich słuchaczy. Siedzieli ze spuszczoneymi głowami i patrzyli we mnie poważnym wzrokiem, myśląc o Lily. - Umierając, czuła się szczęśliwsza niż za życia - przypomniałam im łagodnie. - Przynajmniej wróciła znowu do domu, tam, gdzie zawsze pragnęła być.

- Ned musiał umrzeć w kilka lat po tym faksie - rzekł Eddie. - Jeszcze mam stare wycinki z gazet dotyczące jego pogrzebu i tłumnego nabożeństwa żałobnego, jakie odbyło się potem. Każdy, kto tylko znaczył coś w świecie teatru, udał się tam, by pożegnać Neda i złożyć wyrazy szacunku.

Popatrzyłam na Eddiego i powiedziałam:

- A więc teraz już wiesz, co przytrafiło się twojemu pradiadkowi. Ze wszystkiego, co stanowiło jego osobowość, krok po kroku rezygnował na rzecz kobiety, którą kochał, potem o mały włos nie poświęcił życia, a wreszcie zapłacił za nią cenę swej kariery. Był on wspaniałym mężczyzną i wielkim aktorem, ale przy niej stawał się głupcem.

- Zanim Lily umarła, zadała Ciel pytanie: „Czyja naprawdę byłam niedobrą kobietą?” A Ciel odrzekła jej, jak myślę - zgodnie z prawdą - „Nigdy nie byłaś niedobra. Tylko niemądra i uparta.

Zawsze żałowałaś po fakcie, ale wtedy było już za późno”.

- I taka właśnie moim zdaniem jest prawda na temat Lily, lecz wy sami musicie zdecydować co o niej myśleć.

- Biedna Lily - rzekła ze współczuciem Shannon. - Nie wierzę, żeby była niedobra; tyle tylko, że przytrafiały jej się same nieszczęścia.

- Ale sama je na siebie ściągała - powiedział Eddie i domyśliłam się, że myśli w tym momencie o Nedzie, którego życie z jej powodu legło w gruzach.

- Jest to jednak niezupełnie koniec mojej opowieści - rzekłam, a oni unieśli głowy i znów nastawili uszu. - Ponieważ następnym gościem związanym z przeszłością, który przybył w poszukiwaniu Ardnawamy, był ojciec Shannon, Bob O'Keeffe.

Około 1980 roku, jeśli dobrze pamiętam, pojawił się na progu mego domu, a gdy powiedział mi, jak się nazywa, natychmiast zrozumiałam, że to potomek Finna. Miał jego wygląd”, jak mówią w tej okolicy: był ciemnowłosy i przystojny. O, to był na pewno wnuk Finna i nikt z tutejszych nie podałby tego w wątpliwość.

Shannon oparła podbródek na dłoniach, wpatrując się we mnie żarliwie, ja zaś opowiedziałam jej tę historię tymi samymi słowami, jakimi kiedyś jej ojciec opowiadał to mnie.

Bob O'Keeffe wyszedł swoją przeszłość w taki sam sposób, jak dwadzieścia lat później czyniła to jego córka. W Domku Morskich Mgieł na wyspie Nantucket znalazł portret Lily i listy. Następnie sprawdził dokumenty sierocińca i uwzględniając to, co ja potrafiłam mu powiedzieć, wspólnie doszliśmy do reszty.

Liam i Jennie pobrali się dwanaście lat przed przyjściem na świat ich syna, Roberta, który dopełnił ich szczęścia. Liam już wcześniej przybrał nazwisko swego rzeczywistego ojca, O'Keeffe, a irlandzkie „Liam” zmienił na „William, tak więc mąż i żona byli teraz znani jako państwo Williamowie O'Keeffe - tym właśnie nazwiskiem sygnował swoje obrazy. Z tego też prawdopodobnie powodu wszyscy detektywi, jakich przez całe lata wynajmowała Lily, w ogóle nie mogli trafić na jego ślad.

Zamieszkiwali w północnej Kalifornii w małym, położonym na osobności domku w pobliżu Mendocino i ograniczali się do swego własnego towarzystwa, choć zawsze starali się być mili dla sąsiadów, kiedy napotykali ich na uliczce we wsi albo w sklepie. Tamtejsi ludzie mówili, że choć młodzi stanowili „typ artystów”, Jennie O'Keeffe utrzymywała dom w stanie jak spod igły, z nakrochmalonymi kraciastymi firaneczkami w oknach i ze smacznym pożywieniem na stole. Ich synek był jeszcze za mały, żeby chodzić do szkoły, tak więc nikt specjalnie nic o nich nie wiedział, poza tym, że osiedlili się tam po całych latach krążenia po kraju, podczas których zatrzymywali się wszędzie, gdzie Liam zapragnął malować. Co trzy miesiące Liam wybierał się do San Francisco, żeby sprzedać swe obrazy i móc zapłacić komorne, a po jego śmierci właściciel galerii sztuki powiedział, że choć tamten nie osiągnął jeszcze pełni swych możliwości, miał jednak prawdziwy talent, tak że świat stracił wspaniałego artystę.

Odbywali właśnie wyjątkowo podróż na wschód - kto wie, może po to, by spróbować pojednać się z Lily i z Finnem i żeby pokazać im ich wnuka? Wtedy to, we wczesnych godzinach mglistego poranka ich ekspres zderzył się z pociągiem towarowym. Wśród podanych przez gazety nazwisk ofiar śmiertelnych znaleźli się William O'Keeffe i jego żona Jennie, natomiast przeżył katastrofę ich pięcioletni syn, Robert. Krewnych proszono o kontakt z sierocińcem dla dzieci katolickich, dokąd wzięto chłopca pod opiekę.

Małego Boba znaleźniono otulonego ramionami przez ojca, który swym ciałem ochronił go przed uderzeniem. W przytułku chłopiec oczekiwał niecierpliwie na to, by ojciec przyszedł i żeby go zabrał, a kiedy zapytał dlaczego nie przychodzi, zakonnice uciszyły go łagodnie i powiedziały, że jego ojciec poszedł do raju, dokąd pragną pójść wszyscy dobrzy ludzie.

- Chciałbym, żeby lepiej przyszedł tutaj do mnie - wykrzyknął pełen urazy.

Powiedziano mu, że wkrótce znajdą się jego krewni, którzy przyjadą i odbiorą go niczym zgubioną przesyłkę. Nie pojawił się jednak nikt, a Bob dziwił się, dlaczego. W miarę dorastania jego zdziwienie przeobraziło się w gniew i urazę za to, że w całej Ameryce nikt go nie chce. Powziął decyzję, że kiedy już dorośnie, pokaże im wszystkim. Stanie się bogaty, sławny i będzie odnosił sukcesy, a potem odnajdzie tych krewnych, którzy go odrzucili, i pokaże im, że wcale ich nie potrzebuje.

Działo się to na wiele lat przedtem, nim pojechał do domku na wyspie Nantucket, gdzie odkrył listy od Ciel i portret Lily. Udał się pod adres, który znalazł na kopercie, do domu swej babki przy ulicy Mount Vernon, lecz dom był zamknięty, a sąsiedzi powiedzieli mu, że pani Adams przed wielu laty powróciła do Irlandii.

A potem, po latach, gdy stał się już człowiekiem bogatym, przyjechał tu, by odszukać Ardnawamę i własne korzenie. Powiedział mi, że przez całe swe życie cierpiał, myśląc, że nikomu nie zależało na nim na tyle, by wyrwać go z przytułku i że nigdy naprawdę nie wiedział, kim jest. Powiedziałam mu na to:

- Jesteś jak najbardziej wnukiem Lily i jak najbardziej wnukiem Finna O'Keeffea, i gdyby któreś z nich wiedziało, że to ty, w mgnieniu oka zjawiliby się w przytułku, by cię odebrać. - A kiedy go poinformowałam, że jest też prawowitym spadkobiercą fortuny Lily, wzruszył tylko ramionami i rzekł:

- Teraz już jest za późno. Niech martwi pozostaną wśród martwych, a ja będę żył dalej swym własnym życiem. W każdym razie dałam mu ten naszyjnik.

- To dla twojej córki - powiedziałam mu, dokładnie słowami Lily. - Kiedy całe życie stanie przed nią i wszystko będzie dla niej możliwe. - W pięknych szarych oczach Shannon zobaczyłam łzy i pojęłam całą głębię jej smutku. Powiedziałam łagodnie:

- Twój ojciec postanowił zerwać z przeszłością, ale być może są tacy, którzy z niej nie zrezygnowali. I jestem przekonana, że to jest właśnie powód, dla którego został zabity.

Popatrzyła na mnie zaintrygowana, a ja rzekłam:

- Żaden mężczyzna pokroju Boba O'Keeffea nie ma zamiaru za bić się tylko z powodu pieniędzy. Z powodu kobiety - być może, tak. Wszyscy z rodu Molyneux zawsze mieli naturę uczuciową, sentymentalną, gdy chodziło o psy, konie i kobiety. Ale pieniądze? Nigdy. Poza tym, jeśli interesy źle mu się układały i zbankrutował, wiedział przecież, że ma spadek po Lily, kilka milionów dolarów, tylko wyciągnąć rękę. I ten majątek jest tam do dziś dnia: spoczywa w Banku Bostońskim, czekając na spadkobiercę.

- Ale on nie znał nikogo ze swej przeszłości - rzekła Shannon. - Nikogo kto mógłby dokonać czegoś tak strasznego? Więc dlaczego? Eddie otoczył ją ramionami w geście pocieszenia.

- Dowiemy się, kto to zrobił, Shannon - zapewnił ją cicho. - Ja ci pomogę. Wrócimy na Nantucket, gdzie to wszystko się zaczęło. Może kiedy przyjrzymy się temu uważniej, znajdziemy ostateczny ślad, który dostarczy nam odpowiedzi.

Istnieje stare irlandzkie przysłowie: „By znaleźć wroga, Irlandczyk najpierw przygląda się sobie,

a potem innemu Irlandczykowi”. Myślę, iż może być w tym wiele prawdy - stwierdziłam. - Brygida, która zna się na tych sprawach, dodałaby, że istnieją trzy podstawowe motywy morderstwa: pieniądze, namiętność i zemsta.

Jednego jestem prawie pewna. Tam, gdzie chodzi o sprawy rodziny, a zwłaszcza rodziny o tak burzliwych dziejach, trzeba uważnie przyjrzeć się osobom z bliskiego otoczenia ofiary. To tam właśnie znajdziecie za bójcę.

Shannon i Eddie postanowili, że wrócą do Nantucket, a ja, chcąc przywrócić pogodę ducha im i sobie, postanowiłam wydać pożegnalne przyjęcie. Zadzwoiłam do wszystkich, których znałam, i kazałam im zjawić się w sobotę wieczór w swych najlepszych strojach, aby poznali i zarazem pożegnali moją właśnie odnalezioną „wnuczkę”.

Dawno już nie używana sala balowa położona w głębi domu została zamieciona i wyfroterowana, a małe złocone krzeselka - wypolerowane. Ze wsi zwołano pomoc do poprzesławiania mebli, a w Dublinie zamówiono zespół muzyczny. W kuchni Brygida była w swoim żywiole, planując i organizując bufet do kolacji na sto pięćdziesiąt osób - i chyba z tuzin kobiet biegało wokół, spełniając jej polecenia, siekając, gotując i piekąc.

Ale zanim doszło do tego wspaniałego wydarzenia towarzyskiego, do Ardnavamy zawitał jeszcze jeden niespodziewany gość.

52.

Kłęczałam, wrywając chwasty z rabatek pod oknami salonu, gdy usłyszałam, jak po zwirowanym podjeździe zbliża się z chrzęszczeniem samochód. Poranek był słoneczny, więc zsunęłam kapelusz w tył głowy i osłoniłam ręką oczy, spoglądając z ukosa na białego mercedesa - wydłużoną limuzynę, która podskakiwała po koleinach w stronę domu. Tak wspaniałego auta nie widziano w Ardnavamie od czasów mojego ukochanego papcia i ze zdziwieniem pomyślałam, że może to jakaś gwiazda rocka, która zgubiła drogę do zamku Ashford.

Szofer zatrzymał się przed frontowymi drzwiami, a ja wyszczerzyłam zęby w uśmiechu, widząc jak zdejmuje z głowy czapkę i ociera spoconą twarz.

Rzucił niespokojne spojrzenie na lakier karoserii, myśląc o paprociach i o jeżynach, ja zaś przewidywałam, jaki będzie zły, kiedy mu powiem, że przyjechał nie tam, gdzie trzeba. Patrząc na mnie pogardliwie, rzucił się otworzyć drzwiczki przed swoim pasażerem.

Najpierw pojawiły się nogi: niesamowicie długie, wytwornie smukłe i odziane, jeśli się nie mylę, w czerwone zamszowe buty Manolo Blahnika. Potem pokazała się cała reszta damy, tak wysokiej, jak można się było spodziewać po tej długości nogach i jak to się mówi - zaokrąglonej we właściwych miejscach, co jeszcze podkreślał jej dobrze skrojony biały kostium. Miała długie jasne włosy rozsypane na ramionach niczym lwia grzywa, a twarz raczej ładną niż piękną. Posłała w moją stronę uśmiech pełen niebywałej słodyczy i odezwała się z nowojorskim akcentem:

- Bardzo przepraszam, czy moglibyście wskazać mi drogę do waszej pani?

Rozprostowałam się powoli, ocierając zabłocone ręce o siedzenie moich bryczesów akurat w chwili, gdy psy zorientowały się, że coś się dzieje i rzuciły się ku niej, zostawiając dekoracyjne odciski łap wszędzie na jej nieskazitelnie białej spódnicy.

- Och, jakie kochane! - wykrzyknęła. Naturalnie, już ją lubiłam.

- Proszę wybaczyć moim psom ich wylewność - przeprosiłam ją. - Nie są przyzwyczajone do tak wspaniałych samochodów ani do tak czarujących gości. Wyciągnęłam do niej wciąż jeszcze brudną rękę i powiedziałam: - Jestem Maudie Molyneuks, pani na Ardnavamie.

Oblała się rumieńcem, pojmując swą pomyłkę.

- Och, tak mi przykro - wybąkała. - Myślałam, że jest pani osobą do pomocy... no, kimś w rodzaju ogrodnika.

- Nic nie szkodzi - uspokoiłam ją. - Tym też jestem: ogrodnikiem, pomocą stajenną, szoferem, gospodynią... A kogo mam przyjemność poznać?

- Joanna!

Odwróciłyśmy się jak jeden mąż na dźwięk głosu Shannon, która stała w drzwiach, wpatrując się w nieznaną, a ja przypominałam sobie, że kiedyś mówiła mi, iż kochanką jej ojca była Joanna Belmont. Spojrzałam na nią z zainteresowaniem i stało się dla mnie jasne, dlaczego Bob O'Keeffe wybrał właśnie ją: ładna i zmysłowa, a zarazem miała w sobie coś ze zdrowej, wysportowanej dziewczyny amerykańskiej. Wiedziałam, że byłaby dla Shannon macochą lepszą niż Buffy - oziębła przedstawicielka wyższej sfery i żał mi się jej zrobiło, że straciła mężczyznę, którego kochała.

- Shannon! - odrzekła Joanna nieco niespokojnie, jak pomyślałam, rozumiejąc tego przyczynę. Oto kochanka ojca stawiała twarzą w twarz z jego córką, z jakichś powodów, których jeszcze nie znaliśmy.

- Musiałam przyjechać - rzekła Joanna. - Po tym przemitym liście, jaki napisałaś do mnie, pomyślałam sobie, że może nie weźmiesz mi tego za złe. - Spojrzała z nadzieją na Shannon, nadal niespokojna, czy ta nie zechce zapytać jej z gniewem, jak ma odwagę narzucać się w ten sposób, skoro była tylko kochanką, a nie żoną, lecz Shannon tego nie zrobiła.

Podeszła do Joanny i otoczyła ją ramionami.

- Nie wiem, dlaczego tu jesteś - powiedziała - ani jak mnie znalazłaś. Ale cieszę się, że przyjechałaś. Serce mi mówi, że tata kochał cię i tylko to się dla mnie liczy.

Joanna Belmont zalała się łzami. Stała w miejscu, wysoka i wspaniała, w białej spódnicy wszędzie pokrytej odciskami psich łap i po jej ładnej buzi płynęły łzy razem z tuszem do rzęs, a tymczasem szofer gapił się, Shannon zaś tuliła ją w uścisku, sama również płacząc.

Wiedziałam, że dobrze im robi, jeśli podzielią się swym żalem, rzekłam więc ze współczuciem:

- Kiedy skończycie, ja będę w kuchni. Poproszę Brygidę, żeby przy gotowała kawę i wtedy porozmawiamy.

Upłynęło niewiele czasu, kiedy przyszły do kuchni. Przedstawiłam Eddiego i Brygidę - i zasiedliśmy wokół stołu, pijąc kawę i przyglądając się sobie nawzajem, a psy tymczasem usadowiły się u stóp Joanny, wpatrując się w nią jak urzeczony. Czy ta rasa ma szczególny pociąg do piękności, czy co? - zadawałam sobie pytanie, trącając je nogą i sycząc pod ich adresem słowo „zdrajcy”. One jednak nie zwracały na mnie uwagi i nadal wpatrywały się w Joannę, niekiedy trącając ją łapą i domagając się dalszych pieszczot.

- Jonas podał mi ten adres - rzekła Joanna. - Powiedział, że jesteś tutaj, ale nie był pewien, z jakiego powodu. Prawdę mówiąc, troszeczkę bałam się dzwonić do niego, ponieważ twój ojciec i ja... no wiesz, on zawsze przestrzegał rozdziału swego życia zawodowego od „osobistego”, nie byłam więc pewna, czy Jonas w ogóle wie, kim jestem. Ale nie zadawał mi żadnych pytań, tylko po prostu powiedział, że jesteś w Ardnawie. Tak więc przyjechałam tutaj.

- Ale dlaczego tu przyjechałaś? - zapytała Shannon. - Na pewno nie po to tylko, żeby mnie zobaczyć?

Joanna wzięła czarną skórzaną dyplomatkę, którą nosiła ze sobą, i podsunęła ją Shannon.

- Twój ojciec dał mi to na przechowanie - rzekła - tuż przed tym, jak został zabity.

Zaskoczona Shannon wpatrywała się w nią wielkimi oczyma.

- A więc ty myślisz, że został zabity?

- Ja to wiem. - Joanna pochyliła się do przodu i chwyciła ponad stołem dłoń Shannon. - W noc poprzedzającą twoje urodzinowe przyjęcie Bob powiedział mi, że zwróci się do Buffy o rozwód. Poprosił mnie, żebym została jego żoną. Uprzedził mnie, że może to jeszcze jakiś czas potrwać, zanim będzie wolny i że wiele rzeczy musi najpierw uporządkować. Myślałam, że to odnosi się do podziału majątku, no wiesz - alimenty i tym podobne, ale nie chodziło o to.

- Twój ojciec nie ukradł tych wszystkich pieniędzy - rzekła. - To on był okradany.

Brygida i ja spojrzaliśmy najpierw jedna na drugą, a potem znów na Joannę, ona zaś wówczas opowiedziała nam, co się wydarzyło.

Nowy Jork

Od śmierci Boba Joanna prawie nie opuszczała swojego apartamentu. Wałęsała się po mieszkaniu z widokiem na Central Park, przypominając sobie, jak razem je kiedyś wybrali i jaka była szczęśliwa, kiedy je dla nich dwojga meblowała i dekorowała. W tej chwili, bez niego, stało się ono po prostu mieszkaniem, jak każde inne.

Poszła do garderoby i zapatrzyła się na ubrania Boba, które jeszcze wisały obok jej ubrań. Popatrzyła na zegarek, który dwa lata temu dała mu na urodziny i na emaliowe spinki do mankietów, które stanowiły prezent z okazji ich pierwszej rocznicy. Ile razy przychodził tu do apartamentu, zawsze zmieniał zegarek i zakładał ten, który mu ofiarowała, a kiedy szli dokądś razem, zawsze miał przy koszuli spinki od niej.

Nawet gdyby myślała milion lat, nie przyszłoby jej do głowy, że może zgodzić się zostać kochanką Boba Keeffea, ale w rzeczywistości nic to jej nie przeszkadzało. Czasami, gdy siedziała w domu i czekała na niego, czuła się bardziej jak „żona”, niż jak „ta druga”, bo wiedziała, że żona Boba, Buffy, nigdy nie siedzi w domu, czekając na niego.

Uniosła rękaw starej tweedowej ulubionej marynarki Boba, tej, którą zawsze nosił podczas weekendów - i przycisnęła go sobie do policzka. Zamknęła oczy, widząc ich dwoje, jak w niedzielny poranek idą spacerkiem przez park, żeby odebrać „New York Timesa”, może zmierzając też do kafejki na rogaliki i kawę. Potem wracali do domu, czytali gazety, a może też szli na nowo do łóżka. Mój Boże, on był mężczyzną tak pełnym seksu i och, jak ona go kochała!

Łzy zaćmiewały jej wzrok, gdy niezgrabnie wychodząc z garderoby, potknęła się o czarną dyplomatkę Boba, stojącą przy serwantce. Teczka upadając, otworzyła się, a papiery rozsypały się po dywaniku w czarne i białe pasy jak zebra. Joanna pozbierała papiery, szybko wepchnęła je na powrót do środka i ponownie zamknęła dyplomatkę. Położyła ją na półce w szafce i wyprostowała się, po czym zawahała się i popatrzyła na nią niezdecydowanie.

Przeczytała już w gazetach każde słowo na temat Boba. Wiedziała, że nazwano go oszustem i że prowadzono przeciw niemu dochodzenie o defraudację, a ona w nic z tego nie wierzyła. Pamiętała, jak w telewizji oglądała agentów Federalnego Biura Śledczego oraz przedstawicieli Komisji Papierów Wartościowych i Urzędu Podatkowego, którzy z biura Keeffe Holdings wynosili wszystkie dokumenty i akta. Wszystkie oprócz tych, które były w dyplomatce, leżącej właśnie tutaj, u niej w szafce.

Wyjąwszy teczkę, zaniósła ją do pokoju, który Bob zawsze nazywał kryjówką. Usiadła na białej kanapie, przyciskając dyplomatkę do piersi i wpatrując się w krążące za oknem gołębie - i myślała. Nigdy nie wtrącała się w świat interesów Boba, chociaż zawsze słuchała, gdy miał ochotę rozmawiać na te tematy. Był podniecony budową nowego wieżowca i opowiadał o każdym etapie jego konstrukcji. Joanna wiedziała, że nie stawiał pomnika swojej próżności tak, jak mówiły o tym środki masowego przekazu. Bob był człowiekiem, który doszedł do sukcesu swą ciężką pracą i Wieża Keeffea miała stanowić ukoronowanie jego po myślnej kariery. Zamiast tego stała się epitafium. Joanna myślała o rozmowie, jaką odbyli w nocy, poprzedzającej noc jego śmierci, kiedy to

poprosił ją o rękę - i pamiętała, jaki wydawał się wtedy wyczerpany.

- Robię się już za stary - powiedział z goryczą. - Za stary na to, żeby nadal mieć marzenia i iluzje. Nagle wszystkie z nich zaczynają zniknąć.

Pamiętała, jak wręczał jej swoją dyplomatkę i prosił, żeby mu ją schowała w jakieś bezpieczne miejsce - i pamiętała ten smutny, zadumany wyraz jego oczu, kiedy jeszcze zawrócił, by pocałować ją po raz drugi, zanim wszedł do windy i opuścił ją na zawsze. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Bob sam się nie zabił. Ktoś ukradł te brakujące miliony i Bob musiał się zorientować. A wtedy złodziej, kimkolwiek on był, zabił go.

Pomyślała o papierach zamkniętych w dyplomatce, o której przechowanie w bezpiecznym miejscu prosił ją - i już wiedziała, że Bob musiał znaleźć jakiś dowód oszustwa i że ona ma to teraz w ręce.

Otworzyła teczkę i przestudiowała dokumenty. Wszystko to były kontrakty na zakup przez Keeffe Holdings działek budowlanych w mniej więcej tuzinie większych miast Ameryki. Wszystkie one przedstawiały dokładnie ten sam formularz prawniczy, z nazwą strony sprzedającej i kupującej, z opisem działki, do którego załączone były mapy i wykresy, z ceną kupna i mnóstwem paragrafów prawnych. Na każdym kontrakcie widniało inne nazwisko sprzedającego, lecz zauważyła, że poniżej drobnym drukiem napisano „pełnomocnik Funduszu XWZ” i że każdy kontrakt podpisał ze strony sprzedającego człowiek o cudzoziemskim na zwisku, Jean Michel Zymatt, a ze strony nabywcy - dwaj partnerzy Boba, Brad Jeffries i Jack Wexler. Żadnego kontraktu nie podpisywał Bob.

Ludzie w ogóle nie oczekują tego od aktorki, lecz Joanna była dobrą matematyczką. Szybko dodała w myślach poszczególne ceny kupna i na tychmiast zorientowała się, że ma przed sobą kontrakty o wartości ponad czterystu milionów dolarów.

Starannie włożyła dokumenty na powrót do teczki i zamknęła ją. Wpatrywała się w nią, zadając sobie pytanie, czy to nie tego szukali wszyscy ci faceci z brygady tropiącej oszustwa. Ale mówiono o sumie znacz nie większej niż czterysta milionów. Podawano liczbę dziewięćuset milionów, a może nawet i ponad bilion dolarów, mówiąc też o manipulacji udziałami i o nieprawdziwych gwarancjach. Pomyślała o wszystkich tych bankierach, czekających na swoje pieniądze. No cóż, ona na pewno mogłaby im powiedzieć, gdzie znajduje się część tych pieniędzy. Na koncie bankowym monsieur Jeana Michela Zymatta i Funduszu XWZ.

Zadumała się nad tym, co też Bob miał na myśli, mówiąc o zachowywaniu swych złudzeń? Czy przyczyną było to, że Brad i Jack okpiwali go przez tyle lat? Ale czterysta milionów dolarów? Potrząsnęła głową; trudno byłoby w to uwierzyć. Wiedziała, że Brad prowadził dosyć skromne życie w ładnym domu z czerwonej cegły, stojącym na kilku akrach ziemi w Kings Point na Long Island. Jeździł mercedesem, a wakacje spędzał samotnie, łowiąc ryby w Kanadzie. Wexler lubił błyszczeć, to prawda, ale swój dom na Sutton Place miał już od dawna. No tak, jeździł aston martinem. Bob mówił jednak, że wszystko jest po to, aby się pokazać i że Jack odczuwa potrzebę imponowania dziewczynom; zresztą ten człowiek jest kawalerem, więc na co jeszcze miałby wydawać pieniądze?

Może ci dwaj działali w dobrej wierze, a tylko Fundusz XWZ okazał się nieuczciwy? Joanna westchnęła, odnosząc dyplomatkę z powrotem do garderoby, gdzie wsunęła ją głęboko do szuflady, którą zamknęła na klucz. Włożyła klucz do kieszeni szlafroka i zaczęła się ubierać. Nie wiedziała, co się właściwie dzieje, ale bała się pójść na policję, myśląc o skandalu, jaki by wybuchł - i bała się stawić czoło współnikom Boba, domagając się od nich prawdy, ponieważ... - nagle poczuła, że ma nogi jak z waty - ponieważ jest możliwe, że to Brad Jeffries i Jack Wexler zamordowali Boba.

Szybko pozbierała się, włożyła czarną sukienkę i zajęła się swoją twarzą. Jako że Joanna była wysoka i efektowna, ludzie zawsze sądzili, że używa dużej ilości kosmetyków, podczas gdy w rzeczywistości ograniczała się do muśnięcia pudrem, pociągnięcia rzęs tuszem i do śladu szminki na ustach, i zawsze kupowała groszowe kosmetyki. Stanowiło to dziedzictwo jej uboższych czasów, gdy jako aktorka borykała się z życiem. Teraz jednak stała się, dzięki Bobowi, kobietą stosunkowo zamożną. To on jej kupił ten apartament, on stale wpłacał pieniądze na jej konto w banku i regulował wszystkie jej rachunki.

- Nigdy już nie będziesz musiała pracować - powiedział jej wesóło, bo wiedział, że ze względu na niego ona nawet nie próbuje znaleźć sobie jakiejś pracy. Chciała mieć wolny czas w każdej chwili, kiedy tylko on będzie w stanie spotkać się z nią.

Pomyślała o czterystu milionach dolarów przekazanych Jeanowi Michelowi Zymattowi i Funduszowi XWZ za wszystkie te tereny budowlane, zastanawiając się, czy one w ogóle istniały. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Joanna wyjęła z teczki dwa kontrakty; jeden dotyczący pewnej nieruchomości w Nowym Jorku, a drugi - w Bostonie. Włożyła zakiet w białą-czarną krateczkę, wielki czarny słomkowy kapelusz z szerokim rondem i wsunęła kontrakty głęboko do torebki. Gdy wychodziła, portier wręczył jej listy, które przysły na jej nazwisko, a ona wepchnęła je do torebki i wzięła taksówkę do Drugiej Alei.

Była to dzielnica nędznych budynków, które wyglądały tak, jakby nikt nie tknął ich od czasu, kiedy je sklecono byle jak na początku dziewiętnastego wieku. Na parterze znajdował się minimarket, a obok pralnia z automatami oraz pralnia chemiczna. Prosząc taksówkarza, żeby zaczekał, Joanna weszła do środka i zapytała, czy może mówić z kierownikiem albo właścicielem.

Młody Haitańczyk, stojący za ladą minimarketu popatrzył na nią tak, jakby przybyła tu w odwiedziny ze statku kosmicznego „Enterprise”, a ona rzekła energicznie:

- Prędko, młody człowieku; śpieszy mi się bardzo. Powędrował na tyły i wrócił ze starszym człowiekiem o przetłuszczonych włosach i nieprzyjaznym spojrzeniu.

- Czego chcesz, kobieto? - warknął.

- Chcę wiedzieć, do kogo należy ten budynek - odrzekła, podczas gdy on przybrał groźną postawę i znalazł się o krok bliżej.

- Na co to komu wiedzieć?

- Może byłabym zainteresowana kupnem.

- He? - obszedł ją naokoło, mierząc wzrokiem z góry na dół, a jej przyszło do głowy; żeby pobiec do taksówki, lecz jednak musiała się dowiedzieć.

- Nie znam właściciela - rzekł obojętnie. - Płacę tylko komorne, moja pani, i tyle.

Podziękowała mu z pośpiechem i poszła do położonej po sąsiedzku pralni samoobsługowej. Siedząca za ladą dziewczyna, Afroamerykanka, była ładna i bystra, powiedziała więc Joannie, że właściciel domu nazywa się Marks i że co piątek przysyła tu jakiegoś człowieka, żeby zebrał czynsz. I nie, nie słyszała o żadnych planach rozbudowy tego miejsca.

- Kto chciałby tu cokolwiek budować? - zapytała z drwiącym śmiechem. - My wszyscy staramy się stąd wydostać.

Joanna kazała taksówkarzowi zawieźć się na lotnisko La Guardia, gdzie złapała lot wahadłowy z Nowego Jorku do Bostonu. Taksówkarz na lotnisku Logan popatrzył na nią dziwnie, kiedy podała mu adres i zapytał ją, czy na pewno chce tam jechać. A kiedy przybyli na miejsce, zrozumiała, dlaczego się tak dopytywał. Była to ponura dzielnica slumsów, składająca się z na wpół

zrujnowanych budynków, tak że Joanna nawet nie zadawała sobie trudu, by wysiąść i obejrzeć zabity deskami stary skład, za który Keeffe Holdings zapłacił trzydzieści dwa miliony dolarów. Powiedziała tylko taksówkarzowi, żeby zabrał ją z powrotem na lotnisko, gdzie złapała najbliższy powrotny lot do Nowego Jorku.

W samolocie przeczytała raz jeszcze kontrakty dotyczące tych dwóch miejsc, które właśnie oglądała - i wiedziała, że ma przed sobą oszustwo. Ale coś jej mówiło, że to tylko czubek góry lodowej. Było tego więcej, o wiele więcej. Bob zorientował się w tym, co się działo i wiedział, kto to robi. I to właśnie miał na myśli, mówiąc o „utracie swych marzeń i złudzeń”. Ktokolwiek to był, musiał stać blisko Boba, a kiedy nastąpiła konfrontacja, ta właśnie osoba zabiła go. Jeszcze raz Joanna popatrzyła na obydwa podpisy, podpis Brada i Jacka - i zadała sobie to pytanie. Pokręciła głową; oni w żaden sposób nie wyglądali na morderców. Ale właściwie jak ma wyglądać morderca? Czy jak goryl o żarzących się oczach i groźnym uśmiechu? Mój Boże - pomyślała wstrząśnięta - przecież mogła to być nawet Buffy, sądząc po tym, co o niej wiedziała.

Wepchnęła z powrotem dokumenty głęboko do torebki i przerzuciła listy, które wręczył jej portier, gdy wychodziła z domu. Jeden z nich miał na sobie stempel pocztowy Nantucket i spojrzała na ten list z ciekawością. Nikt, kogo znała, nigdy nie bywał w Nantucket. Otworzyła list i spojrzała zdumiona na podpis: „Shannon Keeffe”, a gdy przeczytała pełne współczucia słowa, łzy napłynęły jej do oczu.

Kiedy rzuciła okiem na adres - Domek Morskich Mgieł w Nantucket - Joanna miała ochotę poprosić pilota, żeby zawrócił samolot i wracał prosto do Bostonu tak, by ona mogła udać się tam i podziękować tej uroczej dziewczynie za sam fakt, że o niej pomyślała. Za samo zwrócenie uwagi na to, że kochanka jej ojca może mieć serce zbolełe bardziej niż jego żona. Przypomniała sobie to, co wyczytała w gazetach na temat wyjazdu Buffy na Barbados, gdzie tamta przebywała w izolacji, oczekując wygaśnięcia skandalu i zostawiwszy swą pasierbicę, by samotnie znosiła obrzucanie jej błotem.

- Ta dziwka - odezwała się z porywczością, aż siedząca obok kobieta spojrzała na nią, wstrząśnięta. Joanna przeprosiła ją i odłożyła list z powrotem do torebki, myśląc o tym, co ma robić.

Kiedy wróciła do domu, zrzuciwszy obuwie, zaczęła przemierzać swój apartament, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć Shannon Keeffe o podejrzeniach, że jej ojciec został zamordowany i czy powinna pokazać te oszukańcze dokumenty? Potem jednak rzekła do siebie, że Shannon miała tak wiele przejść i że prawdopodobnie pogodziła się już z samobójstwem swego ojca, więc mówienie jej czegoś takiego przypominałoby sypanie soli na otwartą ranę. Zastanawiała się, czy nie zwierzyć się najlepszej przyjaciółce, ale nie chciała jej w to wciągać: była to zbyt niebezpieczna zabawa. Chodziło tu o morderstwo.

Jeszcze trochę pokręciła się tu i tam, a potem podeszła do telefonu i wykręciła numer. Kiedy ktoś się zgłosił, zamówiła pizzę z mozzarellą, pomidorami i większą ilością sera, po czym usiadła przed telewizorem. Gdy pizzę przyniesiono, zjadła jeden kawałek, wpatrując się w serwis wiadomości CNN i stwierdzając z ulgą, że nareszcie nie ma w nich wzmianki o Bobie.

Wsunęła resztę pizzy do pudełka, wepchnęła je do śmieci i wzięła prysznic. Potem położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

- Co tu zrobić, Bob, mój kochany? - zapytała, a do głowy przyszła jej odpowiedź wyraźna, jak dźwięk dzwonka, tak jakby to on przemawiał do niej:

- Powiedz Shannon.

Joanna odetchnęła z ulgą. Tak właśnie uczyni.

Joanna skończyła swoje opowiadanie i popatrzyła na nas wyczekująco.

- No więc jestem tu - dodała cichym, przepraszającym głosem na wypadek, gdybyśmy woleli, żeby nas zostawiła w spokoju. Popchnęła teczkę z dokumentami w stronę Shannon.

- Myślałam o tym, żeby pójść na policję, ale wtedy przypomniałam sobie, kim ja jestem. Wiedziałam, że mass media znów miałyby swój dzień, gdyby ujawniła się kochanka Boba Keeffea z dyplomatką pełną dokumentów, pozostawioną w jej szafie i powiedziała, że ta teczka stanowi dowód na to, iż zamordowali go jego wspólnicy. - Przesłała nam wymuszony uśmiezek, a mnie napęlił podziw dla odwagi, z jaką Joanna przyznawała, że była tylko „kochanką”, choć przecież wiedziała, że stała się dla Boba kimś o wiele więcej.

- To ty, Shannon, powinnaś zdecydować, co należy zrobić - po wiedziała cicho.

Shannon spojrzała bezradnie na Eddiego, a potem na mnie. Wyjęliśmy dokumenty i zaczęliśmy podawać je sobie z rąk do rąk, oglądając podpisy wspólników i przypatrując się zaintrygowani nazwie sprzedawcy, brzmiącej Fundusz XWZ i cudzoziemskiemu nazwisku człowieka, który podpisywał się jako pełnomocnik.

- Może jest to jedna z tych fikcyjnych zagranicznych Firm mających na celu omijanie podatków, która istnieje w Szwajcarii, Liechtensteinie lub jeszcze gdzieś - powiedział Eddie z namysłem.

- Jeśli tak, to nie ma sposobu, żebyśmy mogli to sprawdzić - rzekłam. - Takie Firmy są zawsze poufne i wątpię, byśmy kiedykolwiek byli w stanie dokładnie zorientować się, kim jest właściciel Funduszu XWZ.

- Ale pan XWZ zagarnął co najmniej czterysta milionów dolarów z majątku Boba Keeffea. Jeśli je ukradziono, muszą o tym wiedzieć.

Pamiętając niedawne podobne przypadki, które znalazły się na pierwszych stronach gazet, pokręciłam przecząco głową.

- Musimy dowiedzieć się tego w inny sposób.

Shannon roztargnionym gestem przesunęła dłonie po swoich długich włosach koloru miedzi, dziękując Joannie za to, że przywiozła jej dokumenty, zamiast udać się z nimi na policję.

- Nie wiem, co robić - rzekła poważnie. - Jak mam uwierzyć, że wszystko to ktoś ukradł memu ojcu? Jak mam uwierzyć, że ktoś go zabił? A jednak... - Popatrzyła na nas wystraszonymi szarymi oczyma. - A jednak obaj wspólnicy byli na przyjęciu tamtego wieczoru. I obaj za chowywali się dziwnie. Robili wrażenie bardzo unizonych - chcę po wiedzieć, że nie tańczyli i nie podeszli do mnie, by porozmawiać, ani nawet, by złożyć mi życzenia urodzinowe. Zauważyłam, że Brad dużo pił, a Jack wyglądał jakoś na zachmurzonego i bez humoru, i pamiętam, że jego dziewczyna wydawała się znudzona. Ale oni byli bliscy mojemu ojcu przez całe lata. Jak mogliby go zabić? A poza tym, co może ich łączyć z przeszłością?

- Może to nie oni go zabili powiedział Eddie, bardziej po to, żeby ją uspokoić niż dlatego, żeby w to wierzył. - I może kiedy wrócimy do Nantucket, znajdziemy tam koronny dowód, który zaprowadzi nas do zbrodniarza.

Joanna popatrzyła na nich, nie rozumiejąc, a ja poklepałam ją po dłoni.

- Już niedługo dowiesz się wszystkiego o przeszłości Boba - po cieszyłam ją. - Ale teraz bardzo chcę, żebyś została z nami w Ardnawmie. W sobotę wieczorem odbędzie się pożegnalne przyjęcie, którego na pewno nie chciałabyś opuścić.

Otóż wszyscy z rodu Molyneux zawsze wydawali wspaniałe przyjęcia, a ja miałam zamiar, żeby

pożegnalny bal dla Shannon i Eddiego należał do tych najbardziej udanych. Zaprosiłam wielu znajomych, starych i młodych i wszyscy wnieśliśmy swój wkład w udekorowanie domu, odzierając ogród z kwiatów paproci i gałęzi aż do chwili, gdy salę balową przeobraziliśmy w cieniłą altanę. Z Dublina przybył zespół muzyczny i ulokował się na małej estradzie w jednym końcu sali, Brygida zaś biegła jak oszalała tu i tam niczym kot z pęcherzem, ustawiając zapierający dech w piersiach bufet, w którym znalazł się wędzony łosoś i pstrąg, ostrygi i małże, krewetki i homar oraz zupa z owoców morza - kiedy się czuło jej zapach, ślinka napływała do ust. Były tam szynki, indyki, polędwica wieprzowa, wędzone kurczęta i dzikie kaczki, lśniące i świeże sałatki i suflety z jarzyn, no i ciasta oraz desery, którym Brygida poświęciła długie godziny, ozdabiając je cienkimi niteczkami lukru i muśnięciami lekkimi niczym piórko aż do chwili, gdy przypominały miniaturowe dzieła sztuki.

Brygida przeszła samą siebie i na parę minut przed oznaczonym czasem, w którym mieli pojawić się goście, krążyła już niespokojnie po jadalni, przepędzając żywo zainteresowane psy i koty, ubrana w swą najpiękniejszą suknię z czarnego jedwabiu ze stanikiem w kolorze gardenii, lecz bez fartucha, ponieważ na tym balu ona też była gościem. Przygładziła sobie włosy odrobiną wody i podpięła je porządnie za uszami za pomocą moich diamentowych strzałek, a ponadto miała na sobie czarne pończochy i swe buciki na wysokich obcasach.

- Wygląda pani olśniewająco, Brygido - rzekł Eddie z aprobatą. - A stół jest jeszcze bardziej olśniewający. - Trzymając się za ręce, on i Shannon dokładnie obejrzelili bufet, ja zaś w tym czasie z zadowoleniem przyglądałam się im obojgu. Wcześniej przekopałam swoje szafy aż do głębi, ubrałam więc ich w najelegantsze z ubrań mojej rodziny. Shannon miała należąca kiedyś do mojej mamusi aksamitną suknię z kolekcji Fortuny, w formie długiej i prostej tuniki, w której mnóstwo drobnutkich fałdek przylegało do jej wysokiej, smukłej figury jak płynne srebro. Jej włosy tworzyły drgający obłok koloru miedzi, a wokół szyi iskrzył się diamentowy naszyjnik Lily. Eddie, który trzymał ją za rękę, miał taki wyraz twarzy, jakby nigdy nie chciał jej wypuścić.

Jeśli jakiś mężczyzna prezentował się kiedyś dobrze w stroju wieczorowym, to na pewno on. Przystojny Eddie nosił dawny smoking papcia z kolekcji SavileRów tak, jakby sam urodził się arystokratą. Z po wodzeniem ten smoking mógł być szyty specjalnie dla niego.

Nie obeszło się bez tego, żebym nie pomyślała - a jestem pewna, że Brygida również - że i dla nas to przyjęcie może okazać się „pożegnalne” w równym stopniu, co dla Shannon i Eddiego. Nie chodzi o to, żebyśmy spodziewały się najgorszego, ale gdy jest się w naszym wieku, człowiek ma skłonność do napawania się każdą chwilą, po prostu na wypadek, gdyby miała się ona okazać ostatnią. A poza tym, kto wie, kiedy znowu mógłby nam się zdarzyć pretekst do takiej hecy? Dlatego też Brygida przeszła samą siebie, jeśli chodzi o bufet, a ja wyniosłam z piwnicy to, co jeszcze pozostało z trzymanyh przez papcia starych win i dobrych roczników szampana.

Wystroiłam się w szyfonową suknię czerwoną jak tulipan, pochodzącą z kolekcji Valentino 1970. Opływała zmysłowo ciało aż do wysokości bioder, po czym opadała mnóstwem powiewnych warstw wokół mych idiotycznie drobnych jak u wróbelka kostek. Włożyłam satynowe sandałki w tym samym odcieniu czerwieni i całą masę okazałej, choć bezwartościowej biżuterii: szeroką kolbę ze złotych oczek, bransoletkę i kolczyki wysadzone czerwonymi, niebieskimi i zielonymi „klejnotami”, a kupione mamusi przez papcia na jakimś bazarze, kiedy byli w Indiach. Gdy poruszałam się, bransoletki podzwaniały tak, jak trzeba, a kolczyki ze świstem przecinały powietrze wokół mej twarzy tak, jak to lubię, w rude loczki zaś wsunęłam sobie gardenię. Spryskałam to dużą ilością perfum „LHeureBleue”, uróżowałam policzki i usta, narzuciłam dobrany do całości szal z szyfonu

z kryzą czerwonych piór i wreszcie byłam gotowa witać gości.

Stanęliśmy w holu, zachwycając się sobą nawzajem, spoglądając niespokojnie na zegarki i myśląc o tym, że Joanna spóźnia się - i właśnie wówczas spłynęła ku nam po schodach wyniosła bogini w jedwabnej prostej sukni-koszuli z kolekcji Calvina Kleina, czarnej i długiej do ziemi, bez jednej choćby ozdoby. Zaparło nam dech z podziwu, a ja pomyślałam, jak dumny ze swych kobiet byłby Bob Keefe, gdyby tak mógł widzieć je dzisiejszego wieczoru.

Goście zaczęli przybywać w wyznaczonym czasie, o dziewiątej, bo w Irlandii nikt się nie spóźnia na przyjęcia. Po prostu ludzie nie mogą się doczekać, żeby wreszcie znaleźć się tam i rozpocząć zabawę. Nasza czwórka uformowała się w niewielki szyk powitalny, a ja uszczęśliwiona przedstawiałam swych od niedawna najbliższych - swoim starym kompanom oraz dziesiątkom młodych ludzi, którzy na przyjęcie przyjechali aż z Dublina, Cork i Galway, zatrzymując się tutaj na miejscu u przyjaciół i krewnych, w ich przejmująco zimnych dworach.

Ardnava tej nocy nie miała w sobie nic z przejmującego zimna. Podobnie jak my, prezentowała się w pełnej chwale zważywszy, że we wszystkich paleniskach wesoło buchały płomienie. Nawet dalmatyńczyki miały kokardy z czerwonej satyny, choć sprytne ryże koty nie zamierzały tolerować takich fatałaszków. Już wkrótce płynął i szampan, i rozmowy, a dźwięki muzyki sięgały starych krokwi dachu. Stałam sobie trochę z boku, przypatrując się im wszystkim, jak tańczą, śmieją się, paplają - i myślałam o tym, ileż to przyjęć musiała już oglądać Ardnava. Każde przyjęcie ma w sobie coś takiego, co uderza mi do głowy niczym mocne wino: jakieś gwałtowne podniecenie, którym pragnę podzielić się z całym moim otoczeniem. Chciałam, by pamięć o Ardnawie zabrali ze sobą do domów tak, by po wielu latach mogli mówić jeden do drugiego: „Czy pamiętasz tę zaczarowaną noc w Ardnawie? I Maudie Molyneux? Pamiętasz, jak pięknie ten stary dom wyglądał, jak szykowna była stara Maudie i jak Brygida przygotowała ucztę godną bogów?”

A skoro już mowa o uczcie, nadeszła pora kolacji. Podniosłam róg myśliwski, który należał do papcia Lily i Ciel, w czasach, gdy ten był mistrzem polowania, i przyłożyłam go sobie do ust. Przenikliwe „czuj, huzia! „odbiło się od ścian domu, gdy swym tryumfalnym graniem wszystkich wezwałam do jedzenia. Orkiestra przerwała w połowie akordu i ruszyła w stronę baru. Wśród śmiechów goście zbiegli się tłumnie, by pochłaniać ucztę przygotowaną przez Niewierną Brygidę, chociaż powszechnie twierdzono, że wszystko jest właściwie zbyt piękne, żeby niszczyć to jedzeniem. Brygida stała dumnie przy stole, przyjmując ich komplementy i czerwona na twarzy, z niespokojnym uśmiechem przyglądała się, jak napełniają sobie talerze. Wsunęłam jej w dłoń kieliszek szampana i powiedziałam:

- Brygido, moja kochana staruszko, czyż nie jest to najbardziej udane przyjęcie, jakieśmy kiedykolwiek wydały w Ardnawie?

- Za każdym razem pani tak mówi, Maudie - rzekła, śmiejąc się do mnie.

- Bo czyż za każdym razem nie jest to prawda? - odparłam, od wzajemniając jej uśmiech.

Jednak tym razem było to rzeczywiście najbardziej udane przyjęcie, jakie kiedykolwiek wydano w Ardnawie, bo nikt nie miał ochoty wychodzić, nawet gdy nastał już świt, no i czyż nie miałam przy sobie moich kochanych „wnucząt”? A kto mógł przewidzieć, kiedy je znów zobaczę?

Po ich wyjeździe pętałam się po domu osowiała jak bezpański pies i nawet te cholerne zwierzaki były przygnębione: chodziły za mną ze spuszczoneymi uszami i obwisłymi ogonami, postukując łapami

o dębową podłogę, gdy tak krążyliśmy po domu, osaczeni bez przerwy padającym deszczem i nostalgie de la vie.

- Ileż to lat upłynęło - zadałam sobie pytanie, wyglądając na zewnątrz, na przesiąknięty deszczem szarozielony ogród - od czasu, kiedy po raz ostatni gdzieś wyjeżdżałam? Dziesięć? A może piętnaście? Jezusie! - krzyknęłam tryumfalnie słowami osławionej Lily, jako że wpadłam na pomysł, jak skończyć jeśli nie ze sprawą morderstwa, to przy najmniej ze swą melancholią.

Wróciwszy czym prędzej na górę, wyjęłam z najwyższej szuflady serwantki szafiry, pamiętając, jak Eddie mówił, że gdybym kiedyś chciała je sprzedać, dostałabym za nie dostatecznie dużo, by spędzić resztę życia w dobrobycie - i wybuchłam głośnym śmiechem.

- Do diabła z dobrobytem! - wykrzyknęłam. - Niech żyje przy goda!

Zadowolona z siebie, wciąż jeszcze chichocząc, zbiegłam po schodach, ponownie czując się w znakomitej formie.

- Brygido! - wrzasnęłam apodyktycznie, żeby nie było dyskusji. - Spakuj bagaże. Wyjeżdżamy do Nowego Jorku. No i lecimy concordem.

Kiedy tydzień później samolot wystartował, poczułam się jak trzy letnia klaczka na starcie wyścigów, choć muszę przyznać, że nieszczęsna obsługa naziemna zadrżała na widok mojego bagażu. Przypuszczam, że obecnie nieczęsto widuje się kufer do podróży statkiem, szczególnie kiedy leci się samolotem. A do tego jeszcze inne moje lary i penaty, mianowicie mocne skórzane walizy, staroświeckie nesesery i paryskie pudła na kapelusze. W myśl mojej teorii w dzisiejszych czasach wszyscy inni podróżują nie obciążeni bagażem, więc sądziłam, że na moje śmieci zostanie mnóstwo miejsca, a poza tym właśnie stwierdziłam, że jedną z niewielu korzystnych stron bycia starszą osobą jest to, że nikt ci nie lubi odmawiać. I muszę powiedzieć, że Brytyjskie Linie Lotnicze poradziły sobie z nami z mistrzowską łatwością.

Brygida miała na sobie swoje najlepsze czarne ubranie i rozdeptane buciki (zabroniłam jej zabierania wellingtonów, choć nie byłabym za skoczona, gdyby okazało się, że ukryła je gdzieś w bagażu), natomiast - chwała Bogu - już bez skarpetek. Włożyła wielki kapelusz przybrany piórami, w porównaniu z którym mój gustowny filcowy kapelusik przepadał z kretelem, za to mój kostium marynarski, model Chanel z 1964 roku, ze złotymi guzikami i przybrany białym galonem wyglądał na rzecz tak samo współczesną, jak wszystko, co można dziś znaleźć w sklepach, a moje białe rękawiczki, marynarskie lakierki na wysokich obcasach i perły stanowiły dopełnienie tego, co powinna mieć na sobie dama. O, ja i Brygida wyglądałyśmy doprawdy na wspaniałą parę, gdy tak wyruszałyśmy naprzeciw przygodzie. Kiedy samolot oderwał się od ziemi, Brygida przeżegnała się, zamykając oczy i kurczowo ściskając moją rękę, a ja uśmiechnęłam się, czując, jak przebiega przeze mnie to dawne znajome uczucie podniecenia - i ruszyłyśmy w nieznaną, na poszukiwanie zabójcy Boba Keeffea.

Jeśli chodzi o mnie, to zawsze lubiłam Nowy Jork. Jest taki strzelisty i wiecie, że mam do niego słabość, a przy tym uwielbiam wytworne hotele. Podjechałyśmy przed podwoje hotelu Ritz-Carlton zamaszyście i w eleganckim stylu, siedząc w długiej limuzynie o zaciemnionych oknach. Przekręciłam swój kapelusz figlarnie na bakier dokładnie pod takim kątem, jak potrzeba i lekkim ruchem poprawiłam swe rude loczki, rzucając wygórowany napiwek portierowi, gdy ten przywołał całą sztafetę gońców hotelowych, żeby zajęli się naszym bagażem. Następnie, czując się w swoim żywiole, wkroczyłam do hotelu majestatycznie niczym królowa. Dyrektor ruszył nam żywo naprzeciw. W mgnieniu oka ogarnął wzrokiem stosy sakwojaży z dobrej, starej skóry, upstrzone

nalepkami z dawno już minionych czasów hoteli, statków i pociągów. „Raffles” i „Linia Białej Gwiazdy”, „Cunard” i „Claridges”, „Cipriani” i „Orient Express”, „Pałac Pera” w Istambule i „Kaskady” w Egipcie, no i „Błękitny Pociąg” oraz „Negresco”.

- To dla nas przyjemność, że obie panie zechciały zatrzymać się u nas, pani Molyneux - odezwał się, od pierwszego rzutu oka rozpoznając klasę.

- Słowo daję, nie podróżowałam ze sto lat - powiedziałam, wpadając w akcent irlandzki, co tak dobrze potrafię robić, gdy mi to odpowiada i co jest niezawodnym środkiem do oczarowania mężczyzny, on zaś awansował nas natychmiast do swego najlepszego apartamentu, rozkosznego mieszkanka pełnego luksusu i wygód, które wkrótce wypełniło się bukietami kwiatów, czekoladkami i butelkami szampana. Dałam służącemu do wyglansowania swe buty do konnej jazdy i powiesiłam swą kurtkę jeździecką, tak na wszelki wypadek, a milutkiej małej pokojóweczce, którą przysłano mi do pomocy, opowiadałam ze szczegółami o każdym z moich ubrań, gdy rozwieszała je w szafie: gdzie zostało kupione, kiedy to było i w jakich okolicznościach je nosiłam. Wiecie przecież, że jestem starą gadułą, lecz pod przykrywką tego w mojej głowie aż kipiało od myśli.

Brygida wyglądała na zmęczoną; nigdy nie podróżowała w taki sposób, jak ja, zapakowałam ją więc do łóżka i zamówiłam mocną herbatę - którą kazałam podać w kubku, a nie w filiżance, czyli dokładnie tak, jak Brygida lubi - i grzanki z cynamonem.

- Teraz ja z kolei będę cię rozpieszczę, Brygido - powiedziałam jej stanowczym tonem. - I w czasie tej podróży to ty będziesz obsługiwana.

Westchnęła pełna szczęścia, wyciągając się w ogromnym jak dla króla łożu i zaczęła przełączać kanały telewizyjne tak, jak gdyby zwykła to robić przez całe życie. Poklepałam ją po ręce, pocałowałam szybko w policzek i powiedziałam jej, że może w ogóle przez cały czas nie wychodzić z łóżka, jeśli tak jej się podoba, po czym zostawiłam ją z grzankami cynamonowymi i wyniosłam się do urządzonego z przepychem salonu, żeby przemyśleć różne sprawy.

Kopnięciem zrzuciłam ze stóp pantofle, usiadłam na szykowej kanapie i, pogryzając biszkopt, podsumowałam zostawioną przez Lily spuściznę nieszczęść i ofiar.

W którymś miejscu tej listy znajdowało się rozwiązanie tej zagadki. Ale od czego zacząć?

Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer Shannon w Nantucket.

- Halo? - odpowiedziała, a w jej głosie zadźwięczało zdziwienie, że ktoś do niej w ogóle telefonuje.

- Mówi Maudie - wrzasnęłam, ponieważ nigdy nie byłam w stanie tak do końca uwierzyć w to, że usłyszą mnie na odległość tylu kilometrów, jeśli nie będę krzyczeć. - Jestem w Nowym Jorku. Właśnie zatrzymałam się w R. C.

- W kościele? - zapytała, dezorientowana. Roześmiałam się.

- W Ritz-Carltonie, głuptasie. Brygida i ja przyjechałyśmy, żeby pomóc ci w rozwikłaniu tej zagadki i myślę, że wpadłam na pomysł, od czego należy zacząć. A co u was? Jakież tropy już są?

- Chciałabym, żeby tak było - powiedziała smętnie.

- No więc, ja przeglądałam listę osób, które były ofiarami Lily i doszłam do wniosku, że jeśli to morderstwo jest powiązane z przeszłością - a wierzymy, że tak - to musimy odnaleźć potomków tych ofiar. Mam już całkowicie gotową listę, więc może ty i Eddie zjawilibyście się z powrotem tu, w Nowym Jorku, tak byśmy zaczęli działać?

Przyjechali nazajutrz rano i na widok ich pełnych zapału twarzy moje serce zadrgało.

Z chwilą, gdy weszli, wydawało się, że rozjaśnili cały pokój, tacy młodzi i piękni, tacy śmiali,

a zarazem tak drżący w niepewności, jak tylko mogą być ludzie młodzi i zakochani. Przywitałam się z nimi i rzekłam żwawo:

- Dobrze się składa, że Brygida i ja jesteśmy tutaj, żeby wam pomóc, bo nie wygląda na to, żebyście samodzielnie zajechali zbyt daleko. A teraz zabierzmy się do rzeczy. W pierwszym rzędzie musimy dowiedzieć się, co stało się z Danielem i Finnem O'Keeffe.

Nie trzeba było Eddiemu wiele czasu, żeby zorientować się, że biuro maklerskie James i Spółka nadal funkcjonowało na Wali Street i że jego prezesem był pan Michael O'Keeffe James. I tylko troszkę dłużej potrwało, nim dokonaliśmy odkrycia, że słynna sieć sklepów „Danstore”, obracająca wieloma milionami dolarów, jest tożsama z pierwszymi sklepami U Daniela, otwartymi w Bostonie na przełomie wieku. I że człowiek, który jest obecnie ich zwierzchnikiem, to powszechnie lubiany senator Jim O'Keeffe. Zadzwoiłam do pana Michaela Jamesa, po wiedziałam mu, kim jestem, że przyjechałam z Irlandii i że jestem przekonana, iż nasze rodziny znały się kiedyś nawzajem „w dawnych czasach”.

- Znały się z całą pewnością - odparł ze śmiechem i poprosił, żebyśmy od razu przyjechały go odwiedzić.

Shannon i ja zrobiłyśmy się na bóstwa, pudrując sobie nosy i rozczesując pukle włosów. Shannon miała na sobie dzinsy i krótki, dopasowany czerwony żakiet, ja zaś byłam ubrana w ciemnozielony kostiumik od St. Laurenta z 1975 roku oraz w kapelusz z malutką woalką i srebrnym piórem i okazało się, że na swych wysokich obcasach muszę szybko drobić niczym Brygida, żeby dotrzymać kroku długonogim susom Shannon.

Biura Firmy James i Spółka przedstawiały się jeszcze bardziej imponująco niż wtedy, gdy Finn O'Keeffe dopiero zaczynał tu pracować.

Pierwotny budynek został starty z powierzchni ziemi już dawno temu, a na jego miejscu wzniesiono nowoczesny wieżowiec, choć nie był to jeden z wieżowców Boba Keffea. Michael James, wysoki mężczyzna o włosach rudawoblond, starszy niż oczekiwałam, bo ponad sześćdziesięcioletni, wyszedł ze swego gabinetu, żeby nas powitać. Miał brązowe oczy i w niczym nie przypominał „czarnego Irlandczyka” Finna, może tylko szerokim uśmiechem i swobodnym wdziękiem.

- Mam wrażenie, że już panią znam - zawołał, biorąc moją kościstą rękę w obydwie swe dłonie i spoglądając na mnie z promiennym uśmiechem. - A przynajmniej znam większość osób z rodu Molyneux, mianowicie z opowieści mojego taty. - Zmrużył oczy, dodając: - Pani wie, że moim ojcem był Finn O'Keeffe.

- Nie wiedziałam - rzekłam zdziwiona i usłyszałam, jak Shannon gwałtownie wciąga powietrze. - Muszę poznać pana z Shannon Keffe - dodałam z takim samym zmrużeniem oka. - Ona uważa się za pana krewniaczkę.

Wyjaśniłam, że Shannon jest prawniczką Finna i Lily. Odrzucił w tył głowę i się zaśmiał.

- Czy ten staruszek nigdy nie przestanie? Przepraszam - wytłumaczył się szybko przed Shannon. - Nie miałem zamiaru być niegrzeczny, ale starego Finna znano z tego, że rozglądał się za kobietami, no i aż do samego końca pozostał pełen uroku jak większość Irlandczyków. - Przerwał i dodał, marszcząc z namysłem brwi: - Ale zaraz, czy nie jesteś córką Boba Keffea?

- Owszem, jestem - odrzekła, unosząc dumnie podbródek do góry.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedział, ujmując jej rękę i po klepując ją delikatnie. - To był wspaniały człowiek i nikt z nas pracujących tutaj, w Firmie James i Spółka, nie może uwierzyć w to,

co się stało. Bob Keefe nie oszukiwał bardziej niż królowa Anglii! To skandal, że środki masowego przekazu w taki sposób gonią za nim jak sępy.

- Dziękuję - rzekła Shannon z drżącym uśmiechem, ponieważ współczucie to jedyna rzecz, która natychmiast wyciska jej z oczu łzy. - Mój ojciec jest rzeczywistym powodem, dla którego tu przyszliśmy. - Rzuciła mi wymowne spojrzenie, więc przejęłam inicjatywę, energicznie informując Michaela, że myślimy, iż Bob został zamordowany i nie spoczniemy, póki nie dojdziemy do tego, kto to zrobił.

- Nie będę się wdawać w szczegóły, bo to zbyt długa historia - powiedziałam - ale mam pewność, że morderca jest w jakiś sposób związany z przeszłością i z Lily Molyneux.

- Ach, ta sławna Lily - powiedział zamyślony.

- Chyba raczej osławiona - dodałam żywo. Michael potaknął.

- Myślę, że może mieć pani rację. Mój ojciec opowiedział mi całą tę historię, gdy miałem osiemnaście lat. Skończyłem właśnie liceum i wybierałem się do Yale. Ojciec wycofał się z interesów i mieszkał w domu przy Louisburgh Square, gdzie niegdyś pracował jako chłopak stajenny. Zawołał mnie do swego gabinetu i rzekł do mnie: „Michael, jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz i może są pewne rzeczy, których ci o sobie nie powiem nigdy, ale chcę, żebyś wiedział, skąd pochodzę. Chcę opowiedzieć ci o naszych irlandzkich korzeniach. I o kobiecie, którą kochałem bardziej niż którąkolwiek inną, a także o tym, jak głupia męska duma może spowodować więcej zła niż kula. Istotnie, po tym, jak ją straciłem, bywały chwile, kiedy wolałbym dostać kulę w łeb”.

Myślę, że miało to miejsce w roku 1951 i on był wtedy człowiekiem osiemdziesięcioletnim, wciąż jeszcze wyprostowanym i przystojnym, o srebrnych włosach i tych wspaniałych szarych oczach, o których zawsze myślałem z żalem, że chciałbym je odziedziczyć. Ale ja jestem podobny do matki, Madeline Whittier James. Mama, kobieta wysoka, o wspaniałych włosach i miłym wyglądzie, śmiała się nieustannie i była łatwa we współżyciu, tak że potem, gdy już usłyszałem o Lily, domyślałem się, że właśnie z tego powodu przypadła tacie do serca. Powiedział mi, że była tak przezroczysta, jak szkło, więc zawsze dokładnie wiedział, jak stoją sprawy między nimi.

Mama była od niego o wiele młodsza; poznał ją na pikniku z okazji Czwartego Lipca, w domu jakiegoś przyjaciela na wsi w Southampton. Miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat, choć powiedział mi z dumą, że wyglądał na kogoś w okolicach pięćdziesiątki. Przystojny i zamożny, mógł wybierać najpiękniejszą spośród chyba dziesięciu kobiet, ale powiedział, że natychmiast zrozumiał, iż to ona jest tą jedyną.

Mama umarła, kiedy miałem czternaście lat, a mój ojciec został jak bezpański pies. Nie wiedział, co ma bez niej począć. Znowu zaczął chodzić do biura, ale myślami ciągle gdzieś błądził. Ja przebywałem wtedy poza domem, w szkole, a on czuł się samotny - i miał zwyczaj zjawiać się o dziwnych porach i wyciągać mnie na lunch albo na mecz piłki nożnej. Przypuszczam, że stopniowo wyszedł z tego wstrząsu i pogodził się ze stratą, lecz powiedział, że będzie za nią tęsknił aż po kres swoich dni. „Pozostała najlepszą towarzyszką” - rzekł do mnie rzeczowym tonem. „Za życia twojej matki nigdy nie zapragnąłem żadnej innej kobiety”.

W każdym razie tego dnia, gdy zawołał mnie do gabinetu, po raz pierwszy opowiedział mi o miejscu, w którym się urodził, w ciasnej norze z klepiskiem, tam w Connemara. „Wiem, że żadnej z tych rzeczy wcześniej nie ujawniłem” - powiedział, „ale to nie z tego powodu, że bym się wstydził. Po prostu wszystko to stało się tak bardzo skomplikowane. Ale teraz, kiedy jestem już starym

człowiekiem, myślę, że lepiej, jeśli dowiesz się tego ode mnie, a potem nie będziesz musiał przeżywać żadnego zaskoczenia w przyszłości. A ponadto nikt nie zarzuci nigdy twemu staremu tacie, że coś przed tobą ukrywał”.

Opowiedział mi tę historię o sobie, o Lily i o Liamie. Od początku do końca. A także o swoim bracie Danielu, o którego istnieniu w ogóle nie wiedziałem aż do tamtej pory.

„My, chłopaki od OKeeffea, sprawiliśmy się dobrze w nowym kraju” - powiedział mi z dumą. - Tyle że po drodze jakoś pogubiliśmy się nawzajem. - Spojrzał mi przenikliwie prosto w oczy i powiedział: - „A więc teraz już wiesz wszystko o swoich dawno utraconych krewnych i o przyrodnim bracie, który zniknął. Jest taka możliwość, że nigdy się nie pojawią i nie zaczną cię nękać, ale gdyby się jednak znaleźli, ty znasz już prawdę”.

- Zapytałem go, czy kiedykolwiek próbował odnaleźć Liama, a on przyznał z miną winowajcy, że próbował, ale wtedy było już za późno. Liam przepadł i ojciec nigdy go już nie zobaczył.

Michael popatrzył na mnie i powiedział zamyślony:

- Lily musiała być nie byle jaką kobietą.

- Owszem - przyznałam. - Ale teraz już pan wie, że Bob Keeffe to syn Liama, co oznacza, że Shannon jest pana kuzynką. Widzisz więc - rzekłam tryumfująco do Shannon - nie zostałam sama jedna na tym świecie.

Michael James się roześmiał.

- Możesz liczyć na mnie w każdej potrzebie - powiedział jej życzliwie. - A chciałbym też, abyś przyjechała poznać moją rodzinę, kiedy tylko będziesz miała wolny weekend. Nasz dom jest naprawdę niekrępujący, mieszkamy w Sag Harbor za miastem, i zawsze znajdzie się tam miejsce na jedną czy dwie osoby więcej.

Shannon zarumieniła się z zadowolenia i ładnie mu podziękowała, ja zaś dodałam, że ponieważ jest ona spadkobierczynią Lily i weszła w posiadanie znacznej sumy pieniędzy, może będzie potrzebować jego rady również w interesach.

- A teraz, gdy wyeliminowałyśmy pana z naszej listy podejrzanych o morderstwo, musimy udać się do następnej osoby - rzekłam, a on zdziwiony wybałuszył na mnie oczy.

- Podejrzany o morderstwo? - powtórzył. - Myślałyście, że może to ja zabiłem Boba Keeffea?

- Przyszło nam coś takiego do głowy - odpowiedziałam niedbale. - Ale teraz, gdy już pana dobrze poznałyśmy, wiemy, że pan tego nie zrobił.

- Jak pani może wiedzieć? - zapytał z ciekawością.

- Głos wewnętrzny - rzekłam z przekonaniem - bądź też kobieca intuicja. Tak czy inaczej, jestem tego pewna.

Pożegnaliśmy się i obiecałyśmy, że odezwiemy się niebawem, po czym wyruszyłyśmy na poszukiwanie naszego następnego podejrzanego, senatora Jima OKeeffea.

54.

Waszyngton

Muszę wyznać, że zawsze kochałam pociągi; mają w sobie coś, co dostarcza więcej uroku i ekscytacji, niż mogłaby dać tylko podróż samolotem. Pamiętam te jazdy z sapaniem i w kłębach pary przez Londyn do Dover i przeprawy promem przez lekko wzburzone szare fale, po czym znowu wracało się do pociągu, a przed tobą rozciągała się nagle cała Europa. Można było zjeść kolację, a potem zwinąć się w kłębek jak rozpieszczone stworzonko na swym eleganckim miejscu do leżenia po to, by obudzić się w którymś z pół tuzina mijanych państw, jadąc przez pokryte śniegiem przełęcze

górskie i zielone doliny, przez pełne krzątany miasta i zielone lasy. Niecierpliwiłam się wyczekując, gdy kołyszące się korytarze pociągu przemierzali urzędnicy kontroli paszportowej, sprawdzając dokumenty i wyglądając niby wzięci z jakiegoś filmu Sidneya Greenstreet. Aż wreszcie docieraliśmy do Baden-Baden lub Transylwanii, do Wiednia albo Wenecji, do Istambułu lub Moskwy. Och, było to naprawdę przeżycie, i to takie, że jestem zadowolona, iż mnie nie ominęło.

Właśnie dlatego byłam zadowolona, gdy Shannon podsunęła myśl, żebyśmy pojechały pociągiem do Waszyngtonu na spotkanie z senatorem Jimem O'Keeffe. Wyruszyła też z nami Brygida, niezmiernie przejęta perspektywą zwiedzenia Białego Domu, miała zamiar obejrzeć go w czasie, gdy my złożymy wizytę u senatora.

Jim O'Keeffe był człowiekiem lubianym; potężnie zbudowany, tak jak jego dziadek, pozostał kawalerem, który zasłużył na reputację uwodziciela. Jego gęste, ciemne włosy, na skroniach poprzetykane srebrnymi pasmami, wyrastały znad wysokiego czoła. Oczy Jima miały ten sam srebrnoszary kolor, co pasemka we włosach, a jego uśmiech mógłby - jak to mówią - ściągać ptaki z drzew.

Gdy wprowadzono nas do gabinetu w budynku Senatu, Jim popatrzył pełnym uznania wzrokiem.

- Dwa piękne rudzielec - rzekł, podchodząc ku nam zamaszycie i wyciągając rękę. - To mój dobry dzień. - Czy muszę wam jeszcze mówić, że natychmiast poczułam się podbita?

Już w ciągu pierwszych kilku minut stało się jasne, że jego język był tak samo srebrny, jak te części jego osoby, które już opisałam, jednak kiedy powiedział Shannon, jak bardzo mu przykro z powodu jej ojca, był szczery. Usiadł obok niej na dużej, zielonej kanapie, delikatnie poklepując jej dłoń i mówiąc - dokładnie tak samo, jak Michael James - że nigdy ani przez moment nie wierzył w to, że Bob Keffe został oszustem.

- A takich widziałem w moich interesach wystarczająco wielu, żeby znać się na tym - dodał odrobinę ponuro.

Rzuciłam spojrzenie na Shannon, która wpatrywała się w niego za mgłonym wzrokiem, i westchnęłam. Znany mi od dawna głos wewnętrzny mówił, że senator Jim O'Keeffe także nie jest mordercą, ale w tym momencie pomyślałam z nadzieją, że może to, co on miałby nam do powiedzenia, zaprowadziłoby nas do poszukiwanego przez nas mężczyzny - albo kobiety.

Wyjaśniłam zwawo, jakich dotychczas dokonaliśmy odkryć i to, że Shannon przybyła do mnie w poszukiwaniu minionych dziejów po to, aby zrozumieć teraźniejszość.

- Ma pani na myśli historię Lily Molyneux - powiedział, zupełnie tak samo, jak Michael James. Wygląda na to, że obaj bracia O'Keeffe zachowywali jej wspomnienie aż do samego końca tak w sercach, jak i w głowach, przekazując jej legendę z pokolenia na pokolenie.

- Niewiele mogę wam pomóc, jeśli chodzi o teraźniejszość, chyba że zaproponuję swoje wsparcie, w razie potrzeby, ale opowiem wam to, co pamiętam na temat mojego dziadka.

Otóż w tych wysokich, niedźwiedziowatych i brodatych mężczyznach jest coś, co zawsze mnie pociągało. Mają oni wygląd bardziej solidny i wzbudzający zaufanie niż pozostali ludzie, tak że byłam w stanie zrozumieć urok, jaki Jim O'Keeffe wywiera na wyborcach i popularność, jaką cieszy się w mass mediach. Tak jak większość Irlandczyków, senator okazał się urodzonym gawędziarzem o głosie tak kojącym i hipnotycznym, jak dźwięk fal na brzegu morza - i przysłuchiwalismy się jego wspomnieniom skwapliwie.

- Dziadek Danny O'Keeffe to nie lada osobowość - rzekł, patrząc na nas z uśmiechem. - Kiedy się urodziłem, on był już starym człowiekiem, ale wyobraźcie sobie, że nigdy nie stracił donośnego głosu

ani żywotności. I pomimo iż pozostał do końca życia inwalidą, nigdy nie doszedł do tego stadium słabości, jak wielu zgrzybiałych starców. Mógł bym się założyć, że kiedy umierał, nie wyglądał aż tak bardzo inaczej niż wtedy, gdy wychodziła za niego Lily Molyneux, oczywiście, jeśli się pominie jego nadwagę i siwe włosy. No i wózek inwalidzki. Manewrował tym wózkiem niby jakimś czołgiem, szarżując po całym domu jak dowodzący bitwą, rzucając po drodze polecenia na prawo i lewo: służbie, psom, sekretarzom - ponieważ nigdy nie zaniechał sprawowania kontroli nad siecią sklepów „Danstore”. Nieustannie pracował, aż do samego końca, a byłem przy nim w dniu, w którym umarł.

Przebywaliśmy w jego willi w Portofino, ożenił się bowiem z Włoszką, którą poznał tam w 1919 roku. Zakochał się wtedy w tamtym kraju i w niej, gdyż miała w sobie wszystko to, czego brakowało Lily. Była słodka, łagodna i pochodziła z rodziny pracującej na swoje utrzymanie. Jej matka i ojciec prowadzili restauracyjkę, której klientelę stanowili miejscowi i od czasu do czasu turyści albo ludzie ze wspaniałych jachtów, odbywający latem wycieczki po Morzu Śródziemnym, choć Portofino było jeszcze wówczas miejscowością malutką i nie zepsutą.

Gdy Dan przeżył tamtą bójkę ze swym bratem, nie chciał mieć z nim już więcej do czynienia. Po wycofaniu się z polityki, podobnie jak wielu nowo wzbogaconych ludzi tamtej epoki, kupił sobie piękny, olśniewająco biały jacht i całymi miesiącami żeglował po morzach z gronem przy jaciół, odkrywając świat i dobrze się bawiąc. Z tego jachtu zarządzał swoim państwem, tak jak robił to z biura w Okręgu Kolumbia.

Był on jednym z najbardziej lubianych senatorów w Waszyngtonie, zupełnie tak samo, jak ja - Jim uśmiechnął się do nas z ujmującym brakiem skromności. - Ale interesy Dana zabierały mu coraz więcej czasu, a ponieważ teraz już niemal ciągle musiał korzystać z wózka inwalidzkiego, postanowił zrezygnować z polityki. Mówiło się, że kiedy senator Danny O’Keeffe składał swój urząd, w Waszyngtonie nastąpił dzień smutku. Przeworsował on wiele ustaw, pomagając imigrantom i biedocie i był naprawdę „człowiekiem z ludu”. Z pewnością miał z milion przyjaciół i sympatyków, a mówiło się, że przyjęcie, jakie wydał w „mini-Białym Domu” - to jest w swym domu w Marylandzie - było jednym z najbardziej udanych, o jakich słyszano w tym mieście.

W każdym razie, poznał on i w przeciągu dwóch miesięcy poślubił Marię Annuncjatę, którą zawsze nazywał Nancy. Ceremonia odbyła się w miejscowym kościele, w rok później zaś urodził się ich syn, mój ojciec, Patryk. A po niedługim czasie dwie siostry. Dan kupił efektowny kawałek ziemi położony na urwistym cyplu, wznoszącym się nad wodą i wybudował na nim wspaniałą różową willę.

Mógłbym go wspominać jako najpiękniejszy dom, jaki w życiu widziałem - Jim uśmiechnął się do mnie i dodał: ale przecież nigdy nie byłem w Ardnawmie, a dziadek Dan oznajmił mi, że przy niej tamten dom zgasłby jak świeca przy słońcu. Powiedział, że na całym świecie nie ma miejsca tak pięknego, jak Connemara. Pamiętam, że zapytałem go, dlaczego nigdy tam nie powrócił, skoro to tak wyjątkowe miejsce i właśnie wtedy opowiedział mi tę historię.

Miałem dziewięć lat i, tak jak zawsze, spędzałem lato razem z dziadkami w ich „Villa Favorita”. Oni dzielili swój czas pomiędzy dom w Marylandzie podczas miesięcy zimowych, a jacht i willę na wiosnę i latem. Uwielbiałem te długie, gorące letnie dni. Boże, do tej pory wydaje mi się, że czuję na plecach promienie słońca, kiedy pędzę na dół, ku skałom, żeby łowić ryby - i czuję zapach dziko rosnącego rozmarynu i tymianku, rozdeptywanych obutymi w sandały nogami. Mogę was zapewnić, że byłem szczęśliwym chłopczykiem, mając okazję zaznać złocistego włoskiego lata, wszystkich tych

długich, gorących i pełnych błękitu dni i wyiskrzonych, ciepłych nocy, kiedy pozwalano mi nie spać do późna, jak pozostałym włoskim dzieciom i krążyć wraz z nimi po uliczkach we wsi i wisieć na zewnątrz restauracyjki mojego drugiego dziadzia. Miało to posmak wolności, jakiej nigdy nie doświadczałem po powrocie do domu. W Waszyngtonie mój tato pomagał w kierowaniu sklepami „Danstore”, choć zawsze był jedynie następcą tronu, a nigdy królem, ponieważ dziadzio Dan w ogóle nie abdykował na jego korzyść i tato zdołał przejąć zwierzchnictwo dopiero po śmierci dziadka.

Z powodu braku ruchu i upodobania do dobrego włoskiego jedzenia, z biegiem lat dziadzio Dan bardzo przybrał na wadze i pamiętam, że zmontowano dla niego taki specjalny dźwig do przenoszenia go z wózka inwalidzkiego na pokład jachtu. Przerzucano go na drugą stronę w czymś w rodzaju brezentowego siedziska, podczas gdy on wrzeszczał, kłął i wykrzykiwał komendy, wyglądając przy tym jak rozwścieczony niedźwiedź. To zawsze doprowadzało mnie do śmiechu, on zaś, gdy znalazł się już bezpiecznie na pokładzie, szczyrzył do mnie zęby i powiedział: „No to dobrze, synu; teraz kolej na ciebie”. I wydawał polecenie, żeby mnie także przeniesiono, przy czym kazał załodze, by niemal upuściła mnie do wody, tak że piszczałem i wrzeszczałem, na poły wystraszony, a na poły wniebowzięty, gdy on tymczasem śmiał się ze mnie do rozpuku.

„Teraz już wiesz, jak się człowiek wtedy czuje” - mówił za każdym razem, gdyśmy tak robili, a wiedział, że przepadam za tym, tak jak przepadałem za jego towarzystwem, i to bardziej niż za towarzystwem moich rodziców.

Przebywanie z nim było zawsze zabawne; sypał opowieściami jak z rękawa, a jego willę i jacht stale zapelniał mieszany tłum przyjaciół, zarówno nowych, jak i starych, ponieważ Dan skupiał ludzi z taką samą łatwością, z jaką zdobywał pieniądze. I dzięki tym samym zdolnościom:

umiejętności wysławiania się i radości życia.

Opowiedział mi historię Lily i swego brata. „To na wypadek, gdyby prawda wyszła kiedyś na jaw” - dodał. - „Ponieważ jeśli pójdiesz w moje ślady i zajmiesz się polityką, nie będziesz sobie mógł pozwolić na przechowywanie szkieletów w szafie”.

Otóż, nie zapominajcie o tym, ja miałem dopiero dziewięć lat i wówczas chciałem zostać rybakim, właśnie tam, w Portofino: wypływać z innymi łódkami rano w zamglone, błękitne morze, powracać wieczorem z błyszczącym połowem, a potem zabawiać się w barach i gospodach tak, jak widziałem, że robią to ojcowie moich przyjaciół. Byli oni dla mnie wzorcami tej roli, którą najchętniej odgrywałbym w życiu, jednakże dziadzio Dan miał inne plany.

„Widzę w tobie znamiona polityka” - powiedział, wpatrując się badawczo w moją twarz. „I mam zamiar dopilnować, żeby twoje wykształcenie pokazywało ci właściwy kierunek. Może kiedyś pokonasz drogę aż do Białego Domu”.

Widziałem, jak błyszczały mu oczy na myśl o jednym z OKeeffeów zasiadającym w Owalnym Gabinetcie. Dopiero znacznie później zrozumiałem, ile znaczyłoby dla niego, gdyby zatryumfował nad swym pochodzeniem, nad swym bratem Finnem, a także nad Lily i całą rodziną Molyneux.

Zawsze myślałem, jakie to smutne, że on i Finn nie pogodzili się ze sobą przed śmiercią, ale przypuszczam, że zła krew doszła już zbyt głęboko, by tak się stało. I zawsze zadawałem sobie pytanie - pomimo iż wiedziałem, że on uwielbiał moją babkę Nancy - czy po kryjomu nie żywił nadziei, że pewnego dnia Lily do niego wróci.

A więc, teraz już wiecie. Dan zmarł następnego roku, kiedy miałem dziesięć lat. Nie zobaczył już ani Lily, ani Finna. A ja postąpiłem w myśl jego wskazówek i jako drugi OKeeffe zostałem senatorem. Cieszę się z tego i jestem naprawdę zadowolony, że to on był moim dziadkiem. - Jim

popatrzył na nas i potrząsnął głową, rozpamiętując. - To był as - powiedział. - Wspaniały człowiek.

Mój ojciec zmarł pięć lat temu i jeśli mi wiadomo, nigdy nie pojechał do Connemara. Możliwe, że jesteśmy jedynymi Irlandczykami, którzy nigdy nie wrócili tam, by odwiedzić „stary kraj” i może dzieje się tak dlatego, że przeszłość zawsze okryta była całunem tajemnicy i nieszczęścia - i dlatego, że to „Willa Favorita”, gdzie babcia przez całe lata mieszkała sama, aż do chwili, gdy i ona umarła, zawsze stanowiła dla nas „dom rodzinny” i miejsce, gdzie latem zbieraliśmy się wszyscy.

W uśmiechach podziękowałyśmy mu za to, że opowiedział nam tę historię.

- No cóż, teraz gdy już pan wie, że nie wszyscy z rodziny Molyneux są tacy źli, może przyjedzie pan nas odwiedzić - powiedziałam serdecznie, czując do niego sympatię za jego otwartość, a także za urodę i wdzięk. - Niniejszym zapraszam pana, Jimie OKeefe. Będę wyglądała pańskiej wizyty i mogę zagwarantować, że Ardnava powita pana jak od lat zbłąkanego syna.

Zaśmiał się na te słowa i porwał nas na lunch do wspaniałej restauracji, gdzie Shannon, Brygida i ja byłyśmy tak pochłonięte gapieniem się na twarze słynnych polityków i na wszelkie znakomitości, że prawie zapomniałyśmy o posilaniu się wyśmienitym jedzeniem, choć wiedziałam, że Brygida delectuje się każdym drobiazgiem i prawdopodobnie dokonuje niekorzystnych porównań ze swą kuchnią.

Senator Jim odwiózł nas swoją limuzyną na dworzec kolejowy i rozstaliśmy się w całym rozgardiaszu uścisków i pocałunków niczym starzy przyjaciele.

- Do zobaczenia w Connemara! - zawołał, gdy machałyśmy mu z pociągu i miałam dziwne przeczucie, że to nastąpi.

- A co dalej? - rzekła Shannon, gdy znalazłyśmy się z powrotem w Ritz-Carltonie. Brygida udała się do swego bogatego łóża z kolejnymi grzankami z cynamonem i z herbatą, a ja słyszałam odgłosy turnieju telewizyjnego, gromko buchające z jej odbiornika. Eddie siedział obok Shannon i piliśmy dla pokrzepienia po kieliszku szampana, obmyślając następne posunięcie.

Westchnęłam.

- Obawiam się, że dalej trzeba się zająć współnikami - powiedziałam, ponieważ doprawdy nikt inny nie przychodził mi już do głowy. - Najpierw Bradem, a potem Jackiem.

- Dobrze, no to tym razem pojedę z wami - rzekł Eddie - ponieważ jestem pewien, że to oni są sprawcami. - Wpatrzyłyśmy się w niego zaskoczone. - No jakże powiedział - kto inny, do diabła, mógłby to zrobić? OKeefeów przecież wyeliminowaliśmy, a o współnikach wiemy, że okradali Boba.

- Lub wiemy, że tak to wyglądało - odrzekłam, bo już dawno temu przekonałam się, że nic nie jest takie, jakim się wydaje.

Brad Jefies mieszkał za miastem na Long Island, więc naszą wynajętą limuzyną wyruszyliśmy, by odszukać Iwa w jego własnej jaskini. Nie dzwonił tam zawczasu, bo chcieliśmy dopaść go nieoczekiwanie, lecz gdy przyszło co do czego, okazało się, że to my jesteśmy zaskoczeni.

55.

Na dźwięk dzwonka zjawiała się elegancko ubrana gospodyni i wpuściła nas do środka. Po kilku chwilach Monika Jeffries z wahaniem zeszła po schodach, żeby się z nami przywitać. Była to starsza kobieta, choć nigdy nie lubię używać tego określenia, kiedy mówię o innej damie, a nie ulegało wątpliwości, że ona właśnie jest „dama”. Musiała mieć jednak dobrze po sześćdziesiątce, przy czym też była naturalna; chcę przez to powiedzieć, że była taka, jaką ukształtowała ją natura: bez podciągania zmarszczek, nadal ładna w jakiś pastelowy, dyskretny sposób. Jasne włosy; jasna cera

i jasne oczy migdałowego kształtu za okularami w szylkretowej oprawie.

- Shannon, słodziutka - odezwała się uroczym południowym akcentem - co za niespodzianka. - Pomyślałam sobie, że jej głos, tak samo jak wygląd, zdradza zdenerwowanie - i najeżyłam się, niby dalmatyńczyki, kiedy poczują zająca. Monika Jeffries miała coś do ukrycia, wiedziałam o tym i już.

Shannon przedstawiła mnie, a potem Eddiego - i Monika, jako kulturalna kobieta z Południa, zaproponowała nam herbatę.

- Bylibyśmy zachwyceni - rzekłam.

Odczekując, aż earl grey w ładnych filiżankach Wedgwooda zostanie podany, a rozmowa towarzyska dobiegnie kresu, powiedziałam znienacka:

- Rzeczywistym powodem naszego przybycia jest chęć widzenia się z pani mężem.

- Z Bradem? - odrzekła, oblewając się gorącą czerwienią. Jej dłonie drżały, kiedy pośpiesznie odstawiała filiżankę na spodeczek.

- Chcemy porozmawiać z nim na temat tatusia - dodała czym prędzej Shannon. - Jeśli przypadkiem jest gdzieś tutaj? - Spojrzała pytająco na Monikę, a biedna kobieta zupełnie nieoczekiwanie wybuchła płaczem.

- Brad odszedł - rzekła pomiędzy jednym a drugim łkaniem. - Po rzucił mnie. Po czterdziestu latach małżeństwa. Jest jakaś inna kobieta, młodsza ode mnie i ładna. Trenuje konie na farmie w Kentucky i to wszystko, co wiem na jej temat. Przypuszczam, że musiało to już trwać przez jakiś czas, ale ja dowiedziałam się dopiero tuż po śmierci twojego ojca. Pewnego wieczoru Brad przyszedł do domu cały spięty i milczący, ale tak właśnie zachowywał się zawsze od chwili, kiedy... cóż, zawsze od chwili, kiedy to się stało i ten biznes runął, a więc nie było to niczym nowym. A wtedy powiedział mi, że istnieje ta inna kobieta. Oświadczył, że pakuje manatki i odchodzi, by zamieszkać razem z nią, a ja mogę zatrzymać sobie ten dom z całą zawartością i on już dopilnuje, żeby zapewnić mi opiekę finansową. Dodał jeszcze, że wszystkie nasze dzieci są dorosłe, on więc nie musi już kłopotać się o nie i zamierza rozpocząć całkiem nowe życie i nareszcie zaznać przyjemności. - Spojrzała na nas przez łzy, a Shannon, dziewczyna o miękkim sercu, zdjęła jej okulary i trzymała je, podczas gdy Monika próbowała osuszyć przepelnione łzami oczy.

- O Boże, wprawiłam państwa w zakłopotanie! - pociągnęła nosem, usilnie starając się opanować, a ja oczekiwałam, że może mimo wolnie ujawni coś na temat swojego zbiegłego męża. Jednak bardzo szybko stało się rzeczą oczywistą, że Monika wiedziała niewiele więcej ponad to, gdzie on przebywa, o interesach zaś i śmierci Boba Keeffea nie miała pojęcia.

Zmobilizowałam Shannon i Eddiego i szykowaliśmy się do wyjścia.

- Przepraszam, pani Jeffries, że sprawiliśmy pani przykrość - rzekłam - ale jeśli tylko zechce pani dać nam jego adres, mamy zamiar udać się tam i przeprowadzić z nim rozmowę. I żeby nie było wątpliwości:

powiem mu, co myślę o nim i o porzuceniu wspianiałej, kulturalnej kobiety jak pani dla młodej dziewczuchy, zbzikowanej na punkcie koni. - A gdy pobiegła, żeby przynieść nam adres, zastanawiałam się, dlaczego ona sama nie popędziła za tym głupim mężczyzną i nie wyćwiczyła go szpicrutą tak, jak na to zasługiwał.

Nazajutrz rano lecieliśmy samolotem do Louisville, skąd zabrała nas limuzyna i zawiozła na Farmę Bradlee. Jadąc tam, zatrzymaliśmy się w najbliższej małej miejscinie, złożonej z garstki rozproszonych sklepów spożywczych i minimarketów, nad którymi górowała gigantyczna stacja benzynowa Mobil, położona na skrzyżowaniu dwóch szos. Eddie udał się bez pośpiechu do sklepu

spożywczo-zbożowego i pod pretekstem, by pokazać mu drogę do Farmy Bradlee dzięki swemu swobodnemu, życzliwemu sposobowi bycia, błyskawicznie dowiedział się, że właścicielem farmy jest Brad Jeffries już od dziesięciu lat. Fedora Lee została najęta do prowadzenia tej farmy i jest to prawdziwa mistrzyni w pracy z końmi, a przy tym wcale niebrzydka kobieta. No i od pierwszego dnia owinęła sobie pana Jeffriesa wokół małego palca. Wszyscy o tym wiedzieli, ale ciągnie się to już od tak dawna, że nikt nawet nie rozmawia więcej na ten temat.

- Interesujące - rzekłam z namysłem, zastanawiając się, skąd Brad Jeffries wziął tak znaczną sumę potrzebną do kupienia pięknej i bardzo kosztownej farmy, położonej na terenach o najlepszej, soczystej trawie. Całe hektary nienagannie utrzymanych wygonów i zagród usiane były dającymi cień drzewami. Pasło się tam mnóstwo koni rasy thoroughbred takiej klasy, że paliła mnie zazdrość. W oddali mogliśmy dostrzec szeroko rozciągające się białe rancho, otoczone klombami kwiatowymi i trawnikami, a z boku rozległe stajnie.

Przy bramie zatrzymał nas strażnik. Wszedł ze swej oryginalnej małej stróżówki o białym szalunku, żeby rzucić na nas okiem, po czym - będąc pod wrażeniem limuzyny, jeśli nie jej pasażerów - zatelefonował do domu, żeby powiadomić o naszym przybyciu. Nacisnął guzik, dzięki czemu szlaban uniósł się, przepuszczając nas do środka i przez mniej więcej milę toczyliśmy się gładko po idealnie utrzymanej drodze, mijając wszystkie te prześliczne konie i pracowników rancho zajętych swymi czynnościami, a ja marzyłam o tym, by móc się zatrzymać i oglądać, wiedziałam jednak, że to niemożliwe. W pierwszym rzędzie musiałam załatwić sprawę Brada Jeffriesa.

Czekał już na schodach, żeby nas powitać i wydawał się tak samo zdenerwowany, jak jego żona. Nosił ciemne okulary, więc nie mogłam zobaczyć jego oczu, kiedy ścisnął mi rękę i witał mnie.

- Nie spodziewałam się, Shannon - powiedział, obejmując ją ramieniem, gdy przechodziliśmy przez drzwi do wnętrza holu. - Ale do myślałam się, że rozmawiałaś z Moniką.

- Tak - odrzekła, strząsając z siebie jego ramię i mówiąc tonem zimniejszym, niż mogłabym to sobie w ogóle wyobrazić. Ale zaraz przy pomniałam sobie, że Shannon była zła na Brada bynajmniej nie tylko ze względu na Monikę: wiedziała przecież od Joanny, że okradał jej ojca i wiedziała, że ta baśniowa farma została zapewne kupiona za tamte kradzione pieniądze. A żeby to wszystko utrzymać, Brad może dopuścić się nawet zabójstwa.

Brad zaprowadził nas do komfortowo urządzonego saloniku z barkiem w jednym końcu, a z ogromnym kamiennym kominkiem w drugim - i usadowiliśmy się ostrożnie na krawędzi olbrzymich, gąbczastych kanap, odrzucając wysuniętą przez niego propozycję drinka i patrząc na niego kamiennym wzrokiem.

- A więc? - zapytał, spoglądając na nas lękliwie. - Czym mogę państwu służyć?

- Przyjechaliśmy w sprawie tego - powiedziałam, wyjmując z dyplomatki kontrakty z Funduszem XWZ i - jeden po drugim - otwierając je na tych stronach, gdzie widniał obciążający go podpis. W miarę, jak patrzył na nie, z jego twarzy odpływała krew. Odezwał się:

- Ale w jaki sposób to dostaliście?

- Mój ojciec znalazł je i dał na przechowanie Joannie Belmont - rzekła Shannon lodowatym głosem.

- To nie jest tak, jak na to wygląda - zaprotestował Brad. - Były to wyłącznie prawidłowe transakcje, nic ponad to, co zwykle. Bob kupował ziemię, a nam kazał zająć się szczegółami i podpisać dokumenty. Wiecie, jak mało dbał o tę stronę interesów. - Popatrzył prosząco na Shannon. - Lubił opracowywać transakcje i przekonywać bankierów, by udzielili mu pożyczek, ale potem już

sprawę pozostawiał nam..

- Jak rozumiem, tę farmę kupił pan dziesięć lat temu - powiedziałam energicznie. - Ale nawet wtedy musiała kosztować całą masę pieniędzy. Nie miałam jeszcze przyjemności odwiedzić pańskiej stajni, jestem doskonałą znawczynią koni, a te konie rasy thoroughbred, które widziałam tam, na pięknych wygonach stanowią poważną inwestycję. Niezależnie od wszystkiego wiemy, że pan kradł i mamy potrzebne do kumenty, aby tego dowieść.

Twarz Brada zrobiła się popielata, gdy Shannon dodała z goryczą:

- Mój ojciec wprowadził cię do swego przedsiębiorstwa. Pomógł ci awansować. Wiem, jak dobrze ci płacił; wiem o tych wszystkich hojnych „premiach”, jakie ci dawał, o podróżach i bogatych prezentach na Gwiazdkę. Przyjąłeś jego wielkoduszność i jego naiwne zaufanie, po to, by ich nadużyć. Okradłeś go tak, by móc porzucić Monikę, przyjechać tutaj i żyć w przepychu z młodszą kobietą, która zapewne i tak sobie myśli, że jesteś tylko starym głupcem, niczym więcej.

- Czy ma pani na myśli mnie? odezwał się ostry głos od strony drzwi i wszyscy gwałtownie obróciliśmy się, by spojrzeć na kobietę, która stała tam, obserwując nas. Była wysoka i elegancko ubrana w kremowe jeździeckie bryczesy, które leżały na niej jak ulał, bluzkę koszulową z białej bawełny i znakomite buty do konnej jazdy, które przez moment podziwiałam, zanim nie przypomniałam sobie, że jest to „ta druga”. Miała około trzydziestu pięciu lat, owalną twarz, ciemne oczy i usta o stanowczym wyrazie, a na plecy opadały jej czarne włosy, splecione w warkocz. Była w idealnej kondycji i wiedziałam, że na pewno jest świetną amazonką.

, Jej ciemne oczy przybrały zimny wyraz, a mięśnie wokół ust napięły się, gdy zamaszycie wchodząc do saloniku, rzekła:

- Czy to ja jestem „tą drugą”, której szukacie?

- Przypuszczam, że tak - powiedziałam, wstając i prostując się na całą wysokość. - To znaczy, jeśli to pani jest Fedorą Lee.

- Tak, to ja - rzekła, ściągając z dłoni jeździeckie rękawiczki i rzucając je wraz ze szpicrutą na krzesło. - A wy kim właściwie jesteście? - To jest pani Molyneux - powiedział Eddie, dokonując prezentacji. Ramieniem otoczył Shannon. - A to jest Shannon Keeffe.

- Keeffe? Ach, pojmuję. - Wzruszyła ramionami z pogardliwą obojętnością. - To dopiero paradne, żeby córka jednego z największych złodziei w tym kraju przychodziła tu i oskarżała Brada o kradzież. - Roześmiała się krótkim, łamiącym się dźwiękiem, podchodząc do Brada, by usiąść przy nim. Zauważyłam, że Brad rzuca jej bezradne spojrzenie i w mgnieniu oka domyśliłam się, że to ona jest motorem wszystkich jego nieprawości. Brad był człowiekiem słabym. Nigdy nie miał w sobie tego, co posiadał Bob: tej gotowości do działania, przebojowości, która czyni z człowieka zwycięzcę. Potrzebował dopiero kogoś takiego, jak Fedora Lee, gorzkiej pigułki w słodkiej cukrowej polewie, na to, kto by mu dał motywację i odwagę potrzebną do przekroczenia granicy, która oddziela niewielką perfidię od poważnego oszustwa. I chętnie założyła bym się, że większość ukradzionych przez niego sum znajdowała się obecnie na zgrabnie zaszyfowanym koncie bankowym Fedory w Szwajcarii. Albo może w Liechtensteinie, wraz z Funduszem XWZ.

Ten człowiek był głupcem, ale wiedziałam, że nie potrafiłby zamordować. Szybko wepchnęłam kontrakty z powrotem do dyplomatyki i spostrzegłam, że Brad błędnym wzrokiem spogląda na Fedorę. Przystąpiła do mnie wyrwała mi teczkę z rąk, patrząc na mnie triumfująco.

- Myślę, że to należy do Brada - powiedziała jedwabistym głosem. - Przez chwilę patrzyłam na nią wściekła, a potem posłałam jej szybki cios karate tuż poniżej łokcia. Wrzasnęła z bólu i upuściła

teczkę, a Ed die ją podniósł.

- Ty suko - warknęła Fedora pod moim adresem, a ja uśmiechnęłam się z tryumfem. - To takie małe co nieco, którego nauczyłam się na lekcji karate pewnego zimowego wieczoru w wiejskiej świetlicy - po wiedziałam tytułem wyjaśnienia. - A teraz już się pożegnamy. Ale pani nie usłyszała od nas jeszcze ostatniego słowa, panno Fedoro Lee.

56.

Jack Wexler nie wyglądał na zaskoczonego, kiedy zobaczył nas na progu swego eleganckiego domu z piaskowca we Wschodniej Dzielnicy.

- Shannon - odezwał się, oziębłe skinąwszy głową w naszą stronę, gdy ta nas przedstawiała. Nie zaprosił nas do środka, a tylko odwrócił się i z powrotem wszedł do domu. Popatrzyliśmy pytająco na siebie, po czym weszliśmy w ślad za nim.

Nie mogłabym powiedzieć, żeby to był piękny dom, który by wyrażał wszechogarniającą i opiekuńczą intymność, jakiej oczekuję od domu i co można znaleźć na przykład w Ardnavamie. Ale sądzę, że miał w sobie pewien rodzaj ponurej architektonicznej wspaniałości. Wypruto tam ściany i podłogi, tworząc w ten sposób od nowa masy i wolne przestrzenie, a spiralnie wznoszące się ciągi schodów łączyły ze sobą różne poziomy zaopatrzone w galerie, gdzie wystawiono dzieła sztuki, odcinające się od tła barwnymi plamami.

Rozglądałam się wokół z zainteresowaniem. Nie jestem osobą, która odrzucałaby nowości tylko dlatego, że sama jest stara i nie potrafi czegoś zrozumieć - i z przyjemnością poświęciłabym nieco czasu na dokładniejsze zapoznanie się z kolekcją Jacka. Ale nie po to się tam znaleźliśmy.

Była jedenasta przed południem, a ja zaobserwowałam, że Jack do lewa sobie do szklanki whisky. Osunął się na twardą z wyglądu kanapę z czarnej skóry, gapiąc się na nas, a ja wiedziałam, że nie jest to jego pierwszy drink tego rana. Miałam przed sobą człowieka strapionego, może nawet człowieka oszalałego.

Nie zaproponował nam nic do picia, po prostu siedział i milczał. Shannon powiedziała oziębłym tonem:

- Czy wiesz, dlaczego przyszedliśmy tutaj?

- Brad zadzwonił - rzekł ponuro.

- A więc wiesz, że mamy podpisane przez ciebie i Brada kontrakty na zakup bezwartościowych nieruchomości. Dziesiątki kontraktów...

- Te nieruchomości wybrał twój rodzony ojciec, prawdopodobnie po to, by ukryć pieniądze podlegające opodatkowaniu, których nie chciał ujawnić. Kupił te nieruchomości, a potem na nas zwał brudną robotę i podpisywanie dokumentów. Nie ma sposobu na to, żebyś mnie za cokolwiek mogła przygwoździć.

Krażyłam po wielkim pokoju, zerkając na podpisy malarzy widniejące na obrazach, i nawet ja wiedziałam, że seria trzech ogromnych prac abstrakcyjnych była dziełem Rothko. Nawet w głuszach Connemary jest wiadome, jakiego rodzaju cenę trzeba zapłacić za obraz Rothko.

- Bardzo ładne - powiedziałam sucho, sadowiąc się obok Jacka na twardej skórzanej kanapie. Skrzywiłam się, zadając sobie pytanie, dla czego właściwie architekci zawsze wybierają takie ponure meble. Czy w ich duszach nie ma żadnej delikatności? Patrząc w oczy Jacka Wexlera wiedziałam, że w duszy przynajmniej tego architekta delikatności z pewnością brak. Podobnie, jak w jego sercu. Mój głos wewnętrzny mówił mi, że mam przed sobą zawziętego, sfrustrowanego człowieka. Można to było poznać po jego wzroku, wyrażającym rozczarowanie, po sztywnych

bruzdach wokół ust i po ulotnym wyrazie obawy, a nawet strachu, jaki przemknął mu przez twarz, gdy tak mnie obserwował, zastanawiając się, co powiem dalej.

- Takie dzieła sztuki o muzealnej klasie musiały kosztować mnóstwo pieniędzy - powiedziałam przyjemnym tonem. - Shannon była w stanie poinformować mnie dokładnie, ile wynosiły pana roczne zarobki w Keeffe Holdings i wątpię, żeby za to dało się kupić choć jedno z tych arcydzieł, a co dopiero trzy. Podobnie jak całą resztę pańskiej cudownej kolekcji. Oraz tę bardzo elegancką miejską willę. Nie mówiąc już o aston martinie i innych „zabawkach”, które ma pan na własność, panie Wexler.

Gwałtownym ruchem wlał resztę alkoholu do gardła i z trzaskiem postawił szklanekę na minimalistycznym szklanym stoliku.

- To nie pani interes, ty wścibska stara intrygantko - warknął. Zupełnie zniecałkowany ten gładki, przystojny mężczyzna zniknął i wylał z niego dawny Jack Wexler. Pozbawiony skrupułów człowiek, za prawiony w bójkach ulicznych, który nauczył się maskować swoją bezwartościową duszę - i ścieżki, jakimi kroczył - dzięki swej przymilnej, spokojnej urodzie i wytrenowanemu wdziękowi. Czułam, że ten człowiek codziennie rano przed lustrem w łazience ćwiczy wyraz twarzy i uśmiech; że nauczył się wykorzystywać ludzi; wiedział, jak ma mówić im to, co chcą usłyszeć i jak brać sobie to, co zechce. I z litością myślałam o każdej kobiecie, która okazałaby się na tyle głupia, żeby się z nim zadawać.

Jack był człowiekiem nastawionym konsumpcyjnie, a teraz cały ten błyszczący świat, jaki stworzył dla siebie samego, zaczynał mu się walić na głowę, wpadł więc w panikę. Czułam bijący od niego zapach strachu, tak jak potrafią zwęszyć to psy; uśmiechnęłam się więc najbardziej szczerym ze swoich uśmiechów i zapytałam:

- Panie Wexler, czy zamordował pan Boba Keeffea?

- Czy pani straciła rozum? - ryknął, zrywając się pod wpływem wstrząsu na równe nogi. Wielkimi krokami przebył odległość, dzielącą go od Shannon i otoczył ją ramieniem w opiekuńczym geście.

- Jak możecie oskarżać mnie o zabicie go? - wrzeszczał, czerwony na twarzy ze strachu i złości. Po czym, uczyniwszy wysiłek, by się opanować, powiedział spokojniejszym głosem: - Przyznaję, że nie jestem ideałem, ale, do cholery, nie jestem zabójcą.

Gwałtownie odwrócił się i odszedł, by nalać sobie kolejnego drinka. Ręce mu się trzęsły i zaczęłam zastanawiać się, ile musiał pić podczas ostatnich miesięcy od śmierci Boba. Wiedziałam jednak, że mówi prawdę, ponieważ Jackowi zależało tylko na tym, jak wypada w oczach innych ludzi; „pokazanie się” stanowiło dla niego wszystko. Był on pozerem, stąd też jego elegancka willa w wytwornej dzielnicy miasta, kosztowna kolekcja dzieł sztuki oraz imponujące samochody. Jack to fasada bez żadnej treści. Z jakichś powodów, których jeszcze nie rozumiałam, przyszło mu do głowy, że może kraść pieniądze z Firmy i nie zostanie przyłapany. Zrobił to, żeby mieć czym opłacać swoje wybryki oraz podierać swój wizerunek, ale nie uważałam, żeby z tego powodu mógł zabić. Mieliśmy przed sobą człowieka, którego niepokoiła perspektywa pójścia do więzienia za defraudację, nie za morderstwo - i podnosząc się, żeby wyjść, westchnęłam z żalem.

- Oczywiście, jest pan złodziejem, panie Wexler - stwierdziłam miłym tonem, bo nie cierpię być niegrzeczna, kiedy jestem gościem. - teraz, kiedy rozejrzy się pan po swoim okazałym domu i wspaniałym dobytku, musi pan sobie zadać pytanie, czy to się panu opłacało. Zastanawiam się, ile właściwie lat można dostać za poważną kradzież. Albo może uznają to za oszustwo? - Wzruszyłam

ramionami z uśmiechem. - Ale o tym zadecyduje już sędzia. A my musimy się pożegnać i ruszyć w dalszą drogę.

Jack spiorunował mnie wzrokiem, a potem zwrócił się prosząco do Shannon:

- Słodziutka, ja wiem, co przeżywasz. Uwierz mi, ja sam zapłakałem nad twym tatą. Przez wszystkie te lata pracowaliśmy razem. Był moim przyjacielem. Jak mogłaś uwierzyć, że potrafiłbym go okradać? Ręczę ci, że to nieprawda.

Zastosował wobec niej cały swój przymilny urok. Ba, nawet odzyskał znowu właściwy sobie wygląd: smukłego i atrakcyjnego mężczyzny, ubranego z kosztowną elegancją i mającego w sobie troszeczkę z zabłąkanego chłopczyka, na co niektóre kobiety lecą jak muchy do miodu. Ale nie Shannon.

Jack położył dłonie na jej ramionach i przyciągając ją bliżej do siebie, popatrzył jej głęboko w oczy, a ja spostrzegłam, że Eddie cały się zjeża i zbiera się w sobie, gotów tamtego uderzyć pięścią przy choćby jednym niewłaściwym ruchu.

- Nie dotykaj mnie - rzekła Shannon głosem, w którym wyczuwało się tak lodowaty ziąb, że Jack aż się wzdrygnął. - Nawet się do mnie nie odzywaj. Okpiwałeś mojego ojca i z tego, co wiem, wynika, że zastrześliłeś go, gdy już się zorientował. Doprowadziłeś do ruiny tego wspaniałego człowieka i nawet jeśli go nie zabiłeś, to zabiłeś wszystko, na co on pracował. Jego Firmę i jego dobre imię.

Wyszliśmy z pokoju bez pożegnania, zostawiając Jacka, który z paniką w oczach gapił się w ślad za nami.

Została już tylko jedna osoba - powiedział Eddie. - Jonas Brennań.

Shannon westchnęła, kiedyśmy tak jechali z powrotem do Ritz-Carltona.

- On jest jedynym, któremu uwierzyłam, gdy powiedział, że jest mu przykro. Tylko on mi pomógł. Nadal mogę korzystać z jego linii kredytowania w banku do wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Po prostu nie potrafię uwierzyć, żeby kradł. Spośród nich wszystkich to on zawdzięczał mojemu tacie najwięcej i z tego, co mi mówił, wynikało, że wziął to sobie bardzo do serca.

Zlokalizowaliśmy Jonasa na wsi, na jego farmie w Montauk i Shannon zadzwoniła do niego, żeby uprzedzić, że wybieramy się w odwiedzin. Ja przekonałam się, iż zaskoczenie jest zawsze dobrą bronią, nie pochwalałam więc tego posunięcia, ale Shannon powiedziała, że jest to za daleko na to, by jechać tam, po czym go nie zastać.

Myślałam, że będziemy lecieć samolotem liniowym, ale Shannon miała inny pomysł.

- Na moje dwudzieste pierwsze urodziny tato zafundował mi kurs pilotażu - rzekła z pewnym siebie, szerokim uśmiechem. - Dzisiaj ja będę waszym pilotem. Wynajęty samolot okazał się czerwono-białą czteroosobową cessną, śliczną i małą, którą Shannon prowadziła ze znajomością rzeczy. Eddie zasiadł z przodu obok Shannon, ja zaś ulokowałam się za nimi, z przejęciem spoglądając przez okno na zielono-niebieski krajobraz, z plamami blasku słonecznego i rzucanego przez chmury cienia, które unosiły się i znikały pod nami. Byłam zadowolona, że Brygida - zamiast jechać z nami postanowiła spędzić dzień u Bloomingdalea, bo inaczej wyjęłaby już różaniec, robiłaby znak krzyża i wszystkich nas wprawiała w zdenerwowanie. Miałam tylko nadzieję, że nie roztrwoni oszczędności całego swego życia podczas jednej gigantycznej hulanki po sklepach.

Jonas oczekiwał na nas na małym lotnisku i wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Shannon: średniego wzrostu, krępy, o gładkich, brązowych włosach zaczesanych równo do tyłu i łagodnych, brązowych oczach za okularami w złotych oprawkach. Miał na sobie starannie odprasowane dżinsy

i niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami, ale nawet siedząc za kierownicą swojego białego range-rovera wyglądał jakoś nie swojo, jak człowiek, który raczej powinien siedzieć za biurkiem. Opisując Jonasa Brennana, na pewno w żadnym wypadku nie można by użyć słowa „niedbały”.

Według moich przypuszczeń był to człowiek, który żył według własnego kodeksu codziennych prawideł i przepisów, a z doświadczenia wiem, że tego typu ludzie, którzy działają w obrębie ograniczających ich ciasnych ram, ilekroć poza te ramy wykroczą, mogą się całkiem rozlecieć.

Jonas okazał się więcej niż miły: witał nas wyraźnie serdecznie. A wobec Shannon zachowywał się z szacunkiem. Nie dostrzegłam cienia po ufałości, jakiej bym się spodziewała wiedząc, że to on był osobą, która Shannon pocieszała i pomogła jej w kłopotach, pożyczając pieniędzy. Wymienił z nią uścisk dłoni tak samo konwencjonalny, jak z Eddiem czy ze mną, a wioząc nas w stronę swojej farmy położonej na wybrzeżu cieśniny Long Island, wskazywał nam miejsca godne uwagi, jak przystało na dobrego gospodarza.

Uśmiechnęłam się na widok tej farmy, bo przypominała raczej gospodarstwo irlandzkie niż amerykańskie: parę ogrodzonych pól, starannie utrzymany ogród warzywny, kilka symbolicznych kwiatów i niski, biały dom uczepony tego terenu w wiecznej obawie, czy nie zmiotą go z powierzchni ziemi srogie wichry znad Atlantyku.

- Nie jest to nic wielkiego - rzekł przepaszającym tonem Jonas - ale to wspaniałe miejsce, jeśli człowiek chce się oderwać od rozpychania łokciami.

- Kryjówka - powiedziała cicho Shannon i uśmiechnęli się do siebie, przypominając sobie, jak on proponował jej przyjazd tu właśnie z tego po wodu.

Przyszło mi do głowy, że to dziwne, by człowiek tego pokroju miał chęć odrywać się od codziennej pogoni za sukcesem, ale Shannon już dawniej opowiadała mi o wczesnej fazie jego życia, spędzonej na farmie w Karolinie Południowej, pomyślałam więc, że może po prostu wraca w ten sposób do swoich „korzeni”, mając to schludne, małe „gospodarstwo na niby”, gdzie nie trzeba pracować na utrzymanie, tak jak musiał to robić na farmie jego dzieciństwa.

Dom był ozdobiony w uroczo niedbałym stylu, dając poczucie swobody i wygody, ze swymi lampami o zielonych kloszach, typowo męskimi kraciastymi narzutami na stare kanapy i z polanami, piętrzącymi się z jednej strony wielkiego, kamiennego kominka i człowiek wprost widział, jak wieczorem siedzi sobie w tym przytulnym wnętrzu przy ogniu. Moje mniemanie o Brennie natychmiast uległo poprawie, lecz po chwili, gdy oświadczył, że kupił ten dom całkowicie już umeblowany od pewnego pisarza, który nie mógł tu znieść samotności, roześmiałam się tylko. Trudną sprawą było rozpracowanie człowieka, który sprawiał wrażenie, jakby nosił ubranie kogoś drugiego i który mieszkał w domu innego mężczyzny.

Jonas wyraził nadzieję, iż zostaniemy na lunchu, ale ja szybko odmówiłam, mając świadomość, że w rzeczywistości nie jesteśmy tam ze względów towarzyskich.

Tym razem inicjatywę wzięła w swe ręce Shannon. Odezwała się stanowczym głosem:

- Maudie, Eddie i ja, a także Joanna Belmont uważamy, że tata został zamordowany. Nie, muszę się poprawić: wiemy, że został zamordowany. I jesteśmy zdecydowani dowiedzieć się, kto to zrobił.

- Myślałem, że masz już za sobą ten pomysł - powiedział, wyglądając na zakłopotanego. Pokręciła głową.

- Teraz jestem tego jeszcze bardziej pewna. Zwłaszcza że mamy dowody na to, iż Brad i Jack okradali go. Wyjęła kontrakty i podała je Jonasowi.

- Czy już kiedyś to widziałeś? - zapytała, a on szybko przebadał je wzrokiem i pokręcił przecząco

głową.

- Stanowczo nie. Ale to nie oznacza, że nie są prawdziwe. Wspólnicy często podpisywali kontrakty, i to nawet poważne, choć w wypadku Jacka były to zazwyczaj kontrakty z dostawcami i kontrahentami - no wiesz, na dźwigary, marmury i windy. Shannon, przecież wiesz, że twój tata nie znosił tego, co nazywał „papierkową robotą”. Z tego powodu mnie zatrudniał: żebym mianowicie uwolnił go od tego codziennego kołowrotu z czytaniem kontraktów, pisaniem listów i tak dalej. On był inżynierem i tylko tym lubił się zajmować. Trzy czwarte swego czasu spędzał na terenach budowy, pozostałą zaś jedną czwartą - podejmując wystawnymi kolacyjkami bankierów i przekonując ich, by dawali mu więcej pieniędzy. A w tym również osiągał diabelnie dobre wyniki.

- Na pewno te kontrakty były zawsze sprawdzane przez prawników, zanim je podpisano - rzekłam, gdyż nagle przyszło mi to do głowy.

- Tak, zawsze - odpowiedział stanowczo. - Nie widzę w tych kontraktach żadnej nieprawidłowości.

- Poza tym, że działki nie przedstawiają żadnej wartości - wypalił bez osłonek Eddie, a Jonas spojrział na niego zaskoczony.

- To już jest dziedzina należąca do wspólników - rzekł Brennan ze wzruszeniem ramion. - Z nimi musicie rozmawiać. Ja na ten temat nic nie wiem.

- A jaka mianowicie była „pańska dziedzina”, panie Brennan? - zapytałam z ciekawością, zachodząc w głowę, czemu to ten nieszkodliwy młody człowiek okazał się Bobowi Keffe aż taki niezbędny.

- Przypuszczam, że spełniałem rolę Piętaszka. Zajmowałem się po prostu tym wszystkim, czego nie chciał robić Bob. Z dnia na dzień i z miesiąca na miesiąc było to coś innego. Mógł pchnąć mnie do Włoch, żeby sprawdzić, dlaczego wysłanie marmurów drogą morską opóźnia się, bądź też do Londynu, żeby przeprowadzić rozmowy z jakimś bankierem. Albo do Pittsburgha, by omówić sprawy pieniężne z nowym dostawcą stalowych dźwigarów lub wreszcie do Hongkongu, by zobaczyć, jak posuwa się budowa, bądź do Sydney czy Timbuktu, abym skontrolował tamtejsze tereny budowy. Stałem się tym wszystkim, czym sam nie chciał być. Doszło do tego, że czasami pomyślałem o czymś, zanim on zdążył to zrobić, po czym minutkę później mówił właśnie to samo. Niekiedy po wiadał, że jesteśmy niczym dwa okropne bliźniaki. Jeden o drugim wiedzieliśmy aż nadto.

Zadałam sobie pytanie, czyżby Bob wiedział aż nadto na temat Jonasa tamtej” nocy, kiedy go zastrzelono i odezwałam się nieoczekiwanie:

- A czy zabił pan swojego pracodawcę, panie Brennan? Popatrzył na mnie wstrząśnięty. Potem obrócił się ku Shannon i po wiedział:

- Mój Boże, jak mogliście nawet pomyśleć o czymś takim? Bob Keffe umożliwił mi rozpoczęcie kariery. On dosłownie wziął mnie z ulicy w chwili, kiedy wiedziałem, że nikt inny by tego nie zrobił. - Przeszedł przez pokój do okna i z żałości przygarbionymi ramionami wpatrywał się w jasne morze, chlupiące o poszarpany brzeg.

- Przepraszam, jeśli sprawiliśmy ci przykrość, Jonas - załagodziła szybko Shannon. - Chodzi tylko o to, że musieliśmy zapytać. No wiesz, po prostu prowadzimy dochodzenie.

- Detektywi-amatorzy - rzekłam, uśmiechając się promiennie. Ten człowiek wyglądał na załamanego naprawdę i choć nie potrafiłam go rozszyfrować, nie miałam wrażenia, żeby był zabójcą. - Może zmienili byśmy zdanie, co do lunchu - podsunęłam, żeby rozładować atmosferę. Ostatecznie, Jonas pomógł w krytycznej sytuacji Shannon, no i jej ojcu zależało na nim.

Twarz mu się rozjaśniła i popędził rozpalic ogień pod rusztem, a ja zauważyłam, że sałatka już wcześniej została naszykowana i że płaty świeżej ryby leżały w marynacie, wiedziałam więc, że miał nadzieję, iż zostaniemy.

Eddie i Shannon odprężyli się i do przyjemnego posiłku wypiliśmy butelkę kalifornijskiego wina, a potem poszliśmy na spacer po ogrodzie, oglądając porządne niczym szyk żołnierski rzędy cebuli, marchwi i ziemniaków, zorganizowane szeregi fasoli i groszku wspinających się ku górze po kratkach oraz wybujałą, przerośniętą dynię.

- Jeśli spuścić je z oczu na dzień lub dwa, rosną po prostu jak chcą - powiedział Jonas tonem usprawiedliwienia, tak jakby nas obchodził fakt, że on pozwolił swym cukiniom zająć się ich własnym losem.

Po lunchu odwiózł nas z powrotem na pas startowy i gdy wystartowaliśmy, widziałam go jeszcze, jak wyprostowany siedzi w swym białym range-roverze i jedną dłonią osłania oczy od słońca, obserwując nas, jak wzbijamy się w powietrze i oddalamy. A ja myślałam o nim z ciekawością.

Lecąc z powrotem w stronę Manhattanu milczeliśmy i każde z nas zastanawiało się posępnie, że w ogóle nie wyszliśmy poza punkt, w którym byliśmy na początku. Gdy dusząc się w korkach ulicznych wracaliśmy już do hotelu, przeprosiłam ich obydwójce.

- Być może, poprowadziłam was niewłaściwym śladem - stwierdziłam. - Jestem wścibską staruchą i w końcu wy prawdopodobnie wiecie lepiej.

Roześmiali się i kazali mi nie być zbyt skromną; po prostu my wszyscy grzęźniemy to tu, to tam w poszukiwaniu prawdy. A przecież dzięki Joannie już zdołaliśmy udowodnić, że Brad i Jack okradali ojca Shannon.

- Wracajmy do Nantucket - podsunął Eddie Shannon. - Przeszukajmy biały dom i Domek Morskich Mgieł od strychu do piwnicę, od końca do końca, a może znajdziemy jakiś trop.

Pomachałam im na pożegnanie, gdy limuzyna podwiozła mnie przed hotel Ritz-Carlton, a potem zawróciła, by odwieźć ich znowu na lotnisko. Było mi smutno, ale jednocześnie patrzyłam na ich odjazd z zadowoleniem, ponieważ to dawało mi nieco czasu tylko dla siebie, potrzebnego do przemyślenia różnych rzeczy.

Otworzyłam drzwi do mojego apartamentu i stanęłam jak wryta, wpatrując się ze zdumieniem w istny śmietnik papierowych opakowań i lśniących toreb reklamowych, po czym jęknęłam. Doszło do najgorszego. Brygida, która nigdy w życiu nie robiła zakupów dalej niż w Galway, wpadła w obłąd konsumpcji u Bloomingdalea.

Poszłam po śladach wiodących przez przedpokój do salonu. Na kanapach i krzesłach leżały malowniczo porozkładane ubrania wszelkiego rodzaju. Na podłodze porozrzucana była jedwabna bielizna oraz mnóstwo paczuszek z czarnymi pończochami; niektóre z nich miały lśniące paseczki, a inne gwiazdki lub koronkę. Dostrzegłam tam barwne spódnice, bluzki, swetry i przynajmniej z pół tuzina czarnych sukienek. A przed marmurowym kominkiem stało rządkiem sześć identycznych par czarnych bucików na wysokich obcasach. Włoskich i co było widać - bardzo drogich.

W drzwiach swojego pokoju pojawiła się Brygida, zarumieniona, tryumfująca i przejęta tym całym przeżyciem. Miała na sobie długą, pikowaną podomkę w gorących kolorach rodem z Florydy: pomarańczowym, amarantowym i żółtozielonym, z metką dyndającą jeszcze u rękawa - i promieniejąc dumą, patrzyła na mnie.

- Jak pani uważa, Maudie? - wykrzyknęła z podnieceniem. - Czy to wszystko nie cudowne? Pewno, że nie ma niczego, czego by nie mieli w Nowym Jorku. A te ekspedientki, istne cudo, tylko im

powiedz, co chcesz i już ci to znajdą. „To żaden problem” - mówią, i: „Sześć par? Oczywiście, proszę pani”. No i: „A może jeszcze to, przecież to w sam raz dla pani”. Niech im Bóg błogosławi, bo zrobiły ze mnie dzisiaj kobietę szczęśliwą. W całym życiu nie miałam tyle uciechy.

W takim razie, Brygido, to było warte każdego centa - rzekłam z aprobatą, ponieważ całym sercem jestem za tym, żeby kobieta dobrze się bawiła, obojętnie co jej jest potrzebne do szczęścia.

Rzuciła mi lękliwe spojrzenie, po czym powoli uniosła brzeg swego szlafroka. Miała na sobie buty kowbojskie z jaszczurczej skóry, na kubańskich obcasach i z puszystymi chwościkami, a jej pulchne różowe kolana sterczały u góry niczym dwa grejpfruty z Florydy.

- Jak pani uważa? - zapytała ostrożnie.

- Brygido, uwielbiam je! - rzekłam z entuzjazmem, po czym podeszłam i dałam jej naprawdę wielkiego całusa. - Ciebie także uwielbiam - dodałam.

- Myślałam, żeby wziąć takie same jeszcze w innym kolorze - po wiedziała w zadumie, a ja się roześmiałam.

- No cóż, z mamusi szafirów zostało jeszcze tyle, że wystarczy, by za nie zapłacić - rzekłam, ponieważ wszystko, co moje, należy również do niej, i to mimo że wszystkie zarobki z ostatnich trzydziestu lat trzyma odłożone w Banku Irlandzkim. - Nigdy się na to nie zgodzę - powiedziała wstrząśnięta. - Kolczyki mamusi z prawa się pani należą i tylko pani powinna być dziś tutaj i razem ze mną wydawać pieniądze, zamiast „dochodzić”, jak to nazywacie.

- Tropić - powiedziałam, rzucając się ze zmęczeniem na kanapę i na stopy ubrań. Westchnęłam. - A wcale przez to nie zbliżyliśmy się do rozwiązania, Brygido.

Opowiedziałam jej o wynikach, lub raczej o ich braku, i o dzisiejszym spotkaniu z Jonaszem Brennanem, a Brygida popatrzyła na mnie zamyślona i rzekła:

- Ale wszystko, co wiecie o Jonasie, to są rzeczy, które sam wam powiedział.

Miała rację i wydawało się to tak oczywiste, że nie wiedziałam, jak mogłam sama o tym nie pomyśleć. Jednakże wszystko, co mówił Shannon na temat własnej przeszłości, brzmiało prawdziwie: ubogi chłopak z bocznych torów życia, którego matka była ladaco, a ojciec pijakiem. I do tego babka, która jako jedyna kochała go i nauczyła marzyć.

Marzyć o czym? - zadałam sobie pytanie. O dawnych czasach? Czy może o przyszłości? Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

- Włóż nowe ubranie, Brygido - powiedziałam, znowu sprężyście zrywając się na nogi. - Jedziemy na małą wycieczkę.

Przypomniałam sobie, jak Shannon mówiła, że Jonas pochodzi z Karoliny Południowej i że chodził tam do collegeu w jakimś małym mieście, zadzwoniłam więc na dół do recepcji i poprosiłam o zarezerwowanie dla nas miejsc na najbliższy samolot.

- Do jakiego miasta, proszę pani? - zapytał recepcjonista.

- Dokądkolwiek kursują samoloty, byleby to była Karolina Południowa - odparłam, zupełnie zapominając o ogromnych odległościach na kontynencie amerykańskim.

Późną nocą przybyliśmy do Charleston i padając ze zmęczenia, za kwaterowałyśmy się w hotelu na lotnisku. Dałyśmy znać obsłudze po kojów, żeby przyniesiono nam kanapki i herbatę i siedziałyśmy - każda w swym własnym królewskim łóżu - chrupiąc w milczeniu i spoglądając w telewizor niczym dwójka „żywych trupów”. Miałyśmy za sobą długi dzień i już po pół godzinie obie spałyśmy twardym snem.

Nazajutrz rano punkt dziewiąta siedziałam przy telefonie; tak że nie bawem miałam listę

wszystkich małomiasteczkowych college'ów na terenie tego stanu. Było ich tak wiele, że obawiałam się, iż sprawdzenie wszystkich może mi zabrać cały tydzień, lecz zaczęłam od początku listy, od litery „A” - i przy „B” trafiłam w dziesiątkę. Jonas Brennan od 1980 do 1983 chodził do college'u w Boonespoint Valley. Na tym się kończyła informacja, jakiej potrafili mi udzielić, ale Brygida i ja spakowałyśmy się w okamgnieniu, po czym usiadłam za kierownicą wynajętego cadillaca kabrioletu i wyruszyłyśmy do Boonespoint.

Było to jedno z tych brzydkich, rozlazłych miasteczek, gdzie masz wrażenie, że nigdy nie potrafisz znaleźć centrum: nic, tylko cały sznur długich i prostych ulic, wzdłuż których ciągną się składy używanych samochodów i stacje benzynowe, oraz łuki McDonalda i Wendiego. Były tam tandetnie wyglądające supermarkety i sfatygowane bazarki, a także salony piękności z brudnymi oknami i staromodnymi suszarkami do włosów, które widywały lepsze czasy. Środek miasta przecinała rzeczka, a na urwisku na drugim jej brzegu widać było szeregi większych domów z drzewami, ogrodami i eleganckimi samochodami na podjazdach, wiedziałyśmy więc, że tu musi się koncentrować lepsza strona życia. Natomiast ta część Boonespoint, gdzie się zatrzymałyśmy, stanowiła rewir Jonasa Brennana.

Odnalazłyśmy college i przyjrzałyśmy się porozciąganym na znacznej przestrzeni budynkom z prefabrykowanych płyt betonowych, w których tworzeniu żaden architekt nigdy nie maczał palców. Chłopaki w większości nosili koszulki trykotowe i baseballowe czapki tyłem na przód, żuli gumę i gadali z rezolutnie wyglądającymi dziewczętami w krótkich spódniczkach. Gapili się ciekawie na dwie stare ciotki w wielkim cadillacu, robiąc nam owację, gdyśmy z łoskotem przejechały obok.

- Jedź, lalucha! - krzyknęli za mną, a ja z zachwytem pokazałam w uśmiechu zęby.

Z filmów i powieści detektywistycznych pamiętałam, że ilekroć chcesz się czegoś o kimś dowiedzieć, musisz udać się do biura miejscowej gazety i poprosić o sprawdzenie ich archiwów. I właśnie to zrobiłyśmy.

„Echo Boonespoint”, tygodnik dość szmatławy, pisywał o wszystkim, od uroczystości rozdania matur do pogrzebów, od jubileuszu złotego wesela do zatrzymania kogoś za kradzież samochodu lub bijatykę - i o mnóstwie innych przestępstw, których popełniano strasznie dużo w takim małym mieście. Pokazywał najnowsze fasony ubrań, jakie sprowadzono do „Stylu Elity” w Boonespoint Mali, oraz przywódców kibiców w akcji na meczach piłki nożnej w college'u Boonespoint Valley, a istniał już od pięćdziesięciu lat.

- Musi być jednym z najstarszych w tym stanie - powiedziała nam dziarska kobietka w średnim wieku, siedząca przy pierwszym biurku, kiedy prowadziła nas do ponurego i dusznego lochu, gdzie znajdowały po mieszczenie egzemplarze wszystkich numerów od czasów powstania tego pisma. - Co tylko zechcecie, wystarczy dać mi znać - rzekła, zostawiając nas gapiące się bezradnie na kartoteki i nie wiedzące, od czego zacząć.

Pamiętając o zdjęciach z ukończenia szkoły, rozpoczęłam od roku, w którym Jonas Brennan ukończył college Boonespoint Valley. I rzeczywiście, był tam na fotografii, trochę zasłonięty w drugim rzędzie, licząc od przodu, wśród mniej więcej czterdziestu młodych chłopców i dziewcząt, rok ukończenia 1983.

Brygida i ja z ekscytacją przyjrzałyśmy się badawczo tej fotografii i ja uznałam, że Jonas bardzo niewiele zmienił się od tamtej pory: nadal ma tę samą gładką twarz, gładko uczesane włosy, okulary i krępa sylwetkę. Tylko że teraz wygląda na bogatego. Bogatszego niż ktokolwiek z jego kolegów i koleżanek z 1983 roku; mogłabym założyć się o to.

Zaciekawiło mnie, jak bardzo bogaty jest właściwie Jonas? I jak bardzo był naprawdę ubogi? Pamiętałam, że jego babka zmarła na miesiąc przed uzyskaniem przez niego dyplomu. Chociaż uboga, na pewno „Echo” donosiło o jej śmierci. Strona po stronie, przeszukiwałam starannie każdy numer gazety poczynając od okresu na dwa miesiące przed ukończeniem przez Jonasa collegeu, a Brygida tymczasem poddawała dokładnemu badaniu jeszcze starsze numery, szukając doniesienia o śmierci jego matki. Ja nie znalazłam niczego i westchnęłam z rozczarowaniem.

- Bogu niech będą dzięki! Pani na to tylko patrzy, Maudie! - wykrzyknęła Brygida wstrząśnięta, spoglądając na mnie znad swych okularów. Drżał jej palec, kiedy wskazywała na fotografię powyżej nagłówka:

TUTEJSZĄ BARMANKĘ ZNALEZIONO W BOCZNEJ ULICZCE ZAMORDOWANĄ.

Była to fotografia - przerażająca nawet w czasopiśmie brukowym - skrwawionego ciała, które leżało pośród wszelkiego rodzaju śmieci i kontenerów na odpadki. Obok zaś znajdowało się zdjęcie wystrojonej kobiety o twardych rysach, z szerokim uśmiechem na twarzy, lecz bez cienia uśmiechu w pełnym wyrachowania wzroku. A nazywała się ona Alma Brennan.

- Myślałam, że on mówił, iż umarła na marskość wątroby - powiedziała z oburzeniem Brygida, która nie zapomina niczego. I rzeczywiście, dokładnie tak relacjonowała nam Shannon, powtarzając słowa Jonasa, że mianowicie ludzie „któreś nocy podnieśli ją z chodnika, krwawiącą ustami”.

- Wygląda na to, że Jonas musiał kłamać, Brygido - stwierdziłam, pilnie czytając doniesienie o znalezieniu ciała wczesnym rankiem przez właściciela sklepu. I o tym, że Alma Brennan przez całe lata pracowała jako barmanka w Barze pod Czerwonym Kogutem na skrzyżowaniu Pierwszej i Głównej „i była kobietą dobrze znaną w tym mieście”.

- A co niby mają na myśli? - zapytała Brygida.

- No wiesz, co, kokotę - odrzekłam, czytając dalej.

Mowa była o tym, że ciało zabrano do urzędowej kostnicy hrabstwa i jeszcze tego samego popołudnia dokonano sekcji zwłok. I że policja przeprowadzała dochodzenie w poszukiwaniu zabójcy. W tym czasie zawiadomiono jej teściową i syna, Jonasa Brennana, którzy mieszkają za miastem, na farmie Jekylla.

Popatrzyliśmy znacząco po sobie, wyciągając kolejny numer „Echa”. NIEZNANY ZABÓJCA STRZELAŁ DO BARMANKI PIĘĆ RAZY - głosił nagłówek. Wprost mogłam sobie wyobrazić, jak młody Jonas zrywał się, czytając to, podobnie jak raport na temat jej życia prywatnego, lub raczej - ściśle mówiąc - „życia publicznego”, ponieważ Almę Brennan znano jako kobietę, która przyjaźni się z mnóstwem mężczyzn. Każdy z nich równie dobrze mógł ją zabić” - z obojętnością twierdzili jedno myślnie ludzie, których na ulicy pytano w sprawie jej śmierci.

Znalazłyśmy następne „Echo” i tym razem było tam tylko krótkie doniesienie. MORDERCA NADAL JEST NA WOLNOŚCI - napisano nad trzywierszowym stwierdzeniem, że Almę pochowano poprzedniego dnia po południu.

Popatrzyłam z rozczarowaniem na Brygidę, a ona rzekła:

Niech pani jeszcze nie rezygnuje. Może doszli, kto to zrobił. - Tak więc dalej przerzucałyśmy gazety z paru miesięcy, aż oczy zrobiły nam się szkliste ze zmęczenia. Jednak w żadnym razie nie mogłybyśmy przeoczyć tytułu: SYN ZATRZYMANY CELEM PRZESŁUCHANIA W SPRAWIE ZABÓJSTWA ALMY BRENNAN.

- Boże, zmiłuj się nad nami - wysapała Brygida, robiąc znak krzyża, podczas gdy ja szybko czytałam doniesienie o tym, że policja za aresztowała osiemnastoletniego Jonasa Brennana „celem

przesłuchania” i że trzymano go przez noc w komisariacie Boonespoint. Policja przeszukała farmę Jekylla, lecz nie zdołała odnaleźć broni, choć na terenie farmy znaleziono kilka dubeltówek.

Westchnęłam z ulgą na widok nagłówka w następnym numerze gazety. Było tam napisane: JONAS BRENNAN ZWOLNIONY, czcionką znacznie mniejszą niż poprzednio, tak jak gdyby ludzie tracili już zainteresowanie śmiercią Almy i losem Jonasa. Ale moją uwagę przykuł wiersz znajdujący się poniżej. Była w nim mowa o tym, że babka Jonasa Brennana, pani Iris Sheridan, złożyła dla prasy oświadczenie, stwierdzając, że „to zbrodnia przeciwko jej wnukowi, że w ogóle oskarżono go o taki straszny czyn”. I że „ktokolwiek by zastrzelił Almę, to z pewnością nie on”. Powiedziała, że „lepiej by było, żeby policja trochę się ruszyła i odkryła, kto jest naprawdę winny, choć do tej pory upłynęło już tyle czasu, że ten ktoś prawdopodobnie dawno już opuścił miasto”.

- Pani Iris Sheridan - powtórzyłam, gapiąc się na Brygidę.

- Czyś pani zastanowiła się choć raz, co oznacza „K” w „Jonas K. Brennan”? - zapytała zamyślona.

- Keeffe? - spytałam, a ona skinęła głową.

- Daję za to moje kowbojskie buty.

Powiem wam, że wypadliśmy z tego lochu niczym para nietoperzy z piekieł, rzucając pośpieszne podziękowania w stronę kobiety przy kontuarze.

- Chcecie mieć kopie czegoś? - zapytała, wróciłam więc, wyczekując niecierpliwie, kiedy ta powoli robiła fotokopie artykułów, które mi były potrzebne. Po czym znalazłyśmy się znowu w kabriolecie i po pędziłyśmy do Charleston, a stamtąd samolotem do Nowego Jorku.

Martwiłam się o Shannon i dziękowałam Bogu, że znajduje się bez pieczna w Nantucket w towarzystwie Eddiego, ponieważ byłam już przekonana, że Boba zabił Jonas K. Brennan i że przeszłość dogoniła terazniejszość dokładnie tak, jak spodziewaliśmy się, że to nastąpi.

57.

Znalazłszy się z powrotem w hotelu, zapakowałam wykończoną Brygidę do łóżka i próbowałam telefonować do znajdującej się na Nantucket Shannon, żeby powiedzieć jej, co odkryłyśmy. Telefon dzwonił, ale nikt nie odbierał, więc rozczarowana odłożyłam słuchawkę i zaczęłam niespokojnie krążyć po apartamencie. Potem zażyłam bez pośpiechu kąpieli, napełniwszy wannę drogim olejkiem kąpielowym, który Brygida kupiła u Bloomingdalea i leżąc tam z grubo nałożoną na twarz maseczką nawilżającą, rozważałam, co począć. Wreszcie zrobiłam sobie makijaż, rozczesałam włosy i przebrałam się w granatowy, drobno prążkowany kostium w męskim stylu z kolekcji St. Laurenta z 1980 roku, który równie dobrze mogli zaprojektować specjalnie do „śledzenia”.

A wtedy zadzwonił telefon. Usłyszałam głos Shannon na tle okropnego hałasu, westchnęłam więc z ulgą, gdy powiedziała mi, że dzwoni z samolotu. Lecieli linią wahadłową z Bostonu na Manhattan i mieli się tu zjawić za jakieś dwie godziny.

- Zatelefonował do mnie Jonas. Robił wrażenie naprawdę przejętego. Powiedział, że myśli, iż ma już dowody, których ja potrzebuję. Och, Maudie, prosił, żebym nie mówiła tego tobie ani Eddiemu, ale mam się z nim spotkać dziś późno wieczorem i wtedy pokaże mi, co ma.

- A czy odkrył, co to takiego?

Mój głos zabrzmiał ostro, a ona rzekła szybko:

- Powie mi, kiedy tam przyjadę. Ale dodał, że wie, czym naprawdę jest Fundusz XWZ.

Pomyślałam o tym, że Jonas siedzi niczym pajak w środku zawilej sieci, którą stworzył, i czeka na Shannon - i ogarnął mnie głęboki gniew, tak wielki, jakiego nie czułam już od czasu, gdy

usłyszałam, że mój Archie został zabity przez nazistów.

- A gdzie jest to miejsce, w którym macie się zobaczyć? - dopytywałam się natarczywie.

- To dziwne, ale on chce, żebym się z nim spotkała w nowej Wieży Keeffea na Park Avenue.

Prosił, abym wjechała windą towarową do części mieszkalnej na samej górze, a on tam się ze mną spotka o jedenastej. Ma coś ważnego, co muszę zobaczyć.

Nie pojedziesz tam - rzekłam dobitnie. Spotkajmy się tutaj i o jedenastej wszyscy razem stawimy się na spotkanie z Jonasem Brennanem.

- Powiedział, że jest rzeczą ważną, bym nie mówiła nikomu. Nie wcześniej, niż zobaczę to, co ma mi do pokazania, a wtedy sama już zdecyduję. - Zawahała się, a potem dodała: - Wiesz, Maudie, w jego głosie brzmiało coś takiego, jakby „współczucie”. Czy sądzisz, że może ma dowód na to, że tato jednak naprawdę sam się zabił? Że nie został zamordowany, a my wszyscy pędzimy tu i tam, szukając podejrzanych, podczas gdy tacy w ogóle nie istnieją?

- Jestem pewna, że to nieprawda - odrzekłam zaciekawiona, co właściwie Jonas trzyma w rękawie. I odkładając słuchawkę, byłam już zdecydowana, że dowiem się tego.

Myślałam, że najbliższa godzina nigdy nie minie. Z nadzieją zajrzałam do Brygidy, ale ta spokojnie sobie chrapała, tak że nie miałam serca jej budzić, by opowiedzieć o nowych wydarzeniach. Stałam przed telewizorem, przełączając kanały, tak jak ona, lecz nic mnie nie interesowało, podeszłam więc do okna i spojrzałam z góry na zapierający dech w piersiach widok czarodziejskiego miasta. Nocą drapacze chmur były oświetlone jak cały las choinek na Boże Narodzenie, a gdy pomyślałam o Jonasie, który w Wieży Keeffea czeka na młodą Shannon, aż zakipiało we mnie.

O dziesiątej nagryzmołam wiadomość, założyłam marynarski filcowy kapelusz z opuszczoną w dół jedną połową runda oraz pantofle na praktycznych obcasach, a w klapę wetknęłam sobie jedną kamelię wyjętą z bukietu. Wzięłam starą laskę papcia, zrobioną z leszczyny, sprawdziłam wygląd włosów i nowej czerwonej szminki „paloma”, po czym zjechałam windą na dół do holu...

W hotelu znali mnie już wszyscy, bo czyż nie zatrzymywałam się, by pogadać z absolutnie każdym; poczynając od szefa nocnej zmiany i portiera aż do szefa obsługi hotelowej, kelnerów i recepcjonistów? Teraz więc, gdy przechodziłam energicznym krokiem, wszyscy rzucali mi uśmiechy i słowa powitania. Portier przy drzwiach zawołał dla mnie taksówkę i zapytał, dokąd chcę jechać, zdumiewając się, gdy powiedziałam, że do nowej Wieży Keeffea na Park Avenue.

- Ten budynek jeszcze nie jest ukończony, pani Molyneux - powiedział tonem powątpiewania. - Czy na pewno tam chce pani pojechać?

- Naturalnie, dziękuję ci, Patryku - rzekłam, wsiadając do taksówki, on zaś podał kierowcy adres.

U wejścia do holu znajdował się ochroniarz, który popatrzył na mnie ze zdumieniem, gdy w pośpiechu podbiegłam ku jego jasno oświetlonej szklanej kabinie. Zauważyłam, że na identyfikatorze miał napisane na zwisko Mulligan. Dziwiąc się, jak w ogóle mogłam zrobić się taka przebiegła, przybrałam niespokojny wygląd oraz akcent irlandzki i odezwałam się do niego, z trudem łapiąc dech:

- Och, Bogu dzięki, żeś pan mój rodak Irlandczyk, bo i zresztą cały Nowy Jork jest irlandzki, czyż nie? - Uczepiłam się występu przy jego okienku, usilnie starając się wyglądać na pobladłą i najwyraźniej udało mi się to, ponieważ powiedział:

- Czy dobrze pani się czuje?

- Ktoś mnie śledzi - wysapałam, przywołując to, co zapamiętałam z zachowania Ingrid Bergman

w podobnych sytuacjach. - Teraz czai się tam, za rogiem, czekając na mnie... Miałam zawołać taksówkę, ale żadnej nie było w zasięgu wzroku, a za bardzo się bałam, żeby tam gdzieś czekać.

- Ja sprawdzę, co się tam dzieje, proszę pani - powiedział, wychodząc ze swego maleńkiego biura i kładąc groźnie dłoń na rewolwerze, spoczywającym mu w kaburze na biodrze. - Pani tylko poczeka tu, w tym miejscu, złociutka - rzekł - i zaraz znajdę dla pani taksówkę.

Wyszedł z holu na ulicę i spostrzegłam, jak rzuca spojrzenie na lewo i prawo, po czym odwraca się i badawczo patrzy na mnie. Pokazałam mu czym prędzej w lewo, a on oddalił się za róg, znikając mi z oczu. Wyszczrzyłam zęby w nikiemnym uśmiechu i przemknęłam przez jeszcze nie wykończony hol na tyły, do wielkiej windy towarowej o otwartych bokach. Szybko nacisnęłam guzik i zamknęłam oczy, gdy ta z turkotem zaczęła mijać jedno za drugim puste, nie wykończone piętra, same betonowe podłogi, blado oświetlone roboczymi światłami. Wyglądało to przerażająco, a ja po myślałam o Bobie i o tym wszystkim, przez co musiał przejść, żeby wybudować ten szkielet: o wszystkich długich negocjacjach dotyczących cen i kontraktów, zezwoleniach projektowych i ulgach podatkowych, o całej biurokracji i personalnych intrygach, wiążących się z konstrukcją okazałej budowli w jednym z najważniejszych miast świata. I pomyślałam, jak smutno i przerażająco to wygląda. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek na tych kościach ze stalowych wiązarów pojawi się jakieś „ciało”.

Winda zachybotała się i stanęła, a ja wysiadłam prosto w zupełnie inny świat. Podłogę holu wejściowego wyłożono parkietem wyfroterowanym teraz na wysoki połysk, a pod sufitem iskrzył się kryształowy żyrandol, stary „waterford”, jeśli się nie mylę. Ostrożnie przeszłam po miękkim, jedwabnym dywanie w delikatnych odcieniach błękitu i strawionych brązach, zastanawiając się, czy Jonas już przybył. Zajrzałam przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi i z osłupienia wstrzymałam oddech, ujrzałam bowiem jeszcze więcej pięknych dywanów, cenne kanapy i meble antyki, a wchodząc na palcach do pokoju, zauważyłam, że każda rzecz ma na sobie nalepkę. Numer poszczególnych grup przedmiotów wystawionych na licytację.

I wówczas zobaczyłam obraz górujący na ścianie naprzeciwko okien. „Aleja” pędzla van Gogha jaśniała niczym ikona w nakierowanym na nią specjalnym niskim oświetleniu, a ja pojęłam, że wszystko to należy teraz do Jonasa. To on kupił wszystkie rzeczy Boba, jego meble, dywany i antyki w taki sam sposób, jak kupił od pisarza dom w Montauk wraz z całym jego wyposażeniem. Przywłaszczał sobie tożsamość Boba i na leżący do Boba van Gogh, symbol jego sukcesu, stanowił ostatni akord. Był to namacalny dowód na to, że udało mu się zrealizować swoje marzenia.

- Maudie - odezwał się z tyłu za mną Jonas, a ja odwróciłam się od obrazu, rumieniąc się jak zmieszana uczennica, którą przyłapano na ściąganiu z cudzego zeszytu.

- Czy to Shannon panią przy słała? - W jego głosie brzmiało zaskoczenie, a ja pokręciłam przecząco głową. - Nie, to nie ona. Przyszłam tu, bo muszę przedyskutować z panem kilka spraw.

- Czy wolno mi zapytać, skąd pani wiedziała, że mnie tu znajdzie?

- Shannon powiedziała mi, że jest z panem umówiona. Skinął głową i podszedł do pełnej wdzięku małej serwantki typu „sheraton”. - Miałaby pani ochotę na drinka? - zapytał, nalewając sobie kieliszek brandy.

Nie byłabym w stanie pić razem z zabójcą, więc grzecznie mu odmówiłam. Usadowił się w czymś, co nazywają „krzesłem francuskiego dozorca”. Jednym z tych osłoniętych krzeseł w kształcie skrzyni, spotykanych jeszcze we francuskich hotelach lub w sklepach z antykami. Wysokie boki mebla nie dopuszczały światła do jego twarzy, co sprawiało, że znajdował się

w półcieniu, a ja w zdenerwowaniu żałowałam, że nie siedzi naprzeciwko mnie na kanapie. Jestem wprawdzie ciekawską, starą ciotką, ale nigdy jeszcze nie znalazłam się przez ciekawość w tak dziwnym położeniu, a przy tym nigdy nie byłam znana z subtelności, tak więc od razu przeszłam do rzeczy.

- Może powie mi pan, dlaczego zabił pan Boba? - zapytałam, po nieważ - obok troski o Shannon - właśnie z tego powodu przybyłam tu, by rozmówić się z nim osobiście. Musiałam z jego własnych ust usłyszeć, dlaczego to zrobił, tak żeby się dowiedzieć, czy moja teoria się potwierdzi.

- Jak pani w ogóle może coś takiego powiedzieć, Maudie? - rzekł, a w jego głosie brzmiał smutek. Pociągnął łyżeczek brandy i gdy pochylał się do przodu, widziałam, że się uśmiecha.

- Ponieważ pańska babka była żoną syna Lily, Boya Sheridan. I po nieważ pańska matka, Alma Brennan, nie zmarła wskutek marskości, tak jak pan to określił. Została zastrzelona w jakimś zaułku, a pana aresztowano i przesłuchiowano w sprawie jej morderstwa. I nie nazywa się pan Jonas „K”. Brennan; dodał pan sobie „K” dopiero wtedy, gdy postanowił pan stać się Bobem Keeffe. Przejąć jego życie, pracę, pieniądze i nazwisko, bo czuł pan, że ono słusznie się panu należy.

- Jest pani bardzo bystra, Maudie - skwitował. - Ale już wtedy, gdy panią poznałem, wydała mi się pani zanadto bystra, żeby wyszło to jej na zdrowie. Czy nie uważa pani za interesujący fakt, że jesteśmy kuzynami?

Muszę przyznać, że wcześniej nawet nie przyszło mi to do głowy i teraz mina mi zrzęda na myśl, że jestem spokrewniona z mordercą i szaleńcem.

- To nie wymagało aż takiej bystrości - rzekłam. - Wystarczyło tylko popatrzeć w przeszłość. I to jest ten problem, który leży u podłoża wszystkiego, prawda? Właśnie przeszłość.

Wychylił brandy jednym haustem i siedział, obracając w palcach kruchy kieliszek i przypatrując się mu.

- Moje życie zawsze stanowiło jedno pasmo urazów, rozumie pani - powiedział tonem grzecznej konwersacji, tak jak gdybyśmy rozmawiali o czymś, co wyczytał w gazecie. - Same zniewagi, kpiny, poniżenia i odmowy. Nikt nie chciał haniebnie ubogiego chłopaka Brennanów, którego babka mieszkała z czarnuchem i którego mama zdążyła się już przespać z każdym facetem w mieście - i jeszcze więcej. Jedynie opowieści mojej babci na temat przeszłości miały w sobie jakieś piękno. Przekazała mi to, co niegdyś opowiedział jej Boy Sheridan o swej czarującej i bogatej matce, lady Lily Molyneux, która mieszkała w rezydencji na Beacon Hill i ojej rodzinie, pozostawionej w Irlandii. O tym, ile tysięcy hektarów ziemi posiadał ród Molyneux, wraz z zamkami i domami, z własnymi jeziorami i rzekami. I z setką służby na każde zawołanie, tak że przez całe swe życie nie musieli nawet kiwnąć palcem. Śniłem o nich, kiedy pracowałem na polu, w piekącym słońcu zbierając zboże. Bądź też leżąc nocą w łóżku, latem bliski omdlenia od upału i gryziony przez komary, a zimą na wpół zamrożony z zimna i wilgoci. Myślałem o nich zawsze, gdy do ust wkładałem marną jedzenie, a na grzbiet marną ubranie - i myślałem o nich również wtedy, gdy na szkolnym boisku byłem sam, bo inne chłopaki wyśmiewały się ze mnie lub ignorowały mnie. Zawsze zdarzało się jedno albo drugie. I te opowieści stały się dla mnie czymś niby legendą, promiennymi baśniami z obsadą złożoną ze wspaniałych postaci, które nie miały na tym świecie najmniejszych trosk, a które odrzuciły mojego dziadka, Boya Sheridan, gdyż Lily narobiła sobie kłopotów.

Myślałem wówczas o majątnych hrabiach Molyneux, żyjących tam, w swym zamku, na tych hektarach ziemi - i nie dawali mi oni spokoju. Prześladowało mnie to, że nadal pędzą swój cudowny żywot, gdy ja tym czasem jestem z tego wszystkiego wykluczony.

Gdy byłem nastolatkiem, zacząłem badać przeszłość. Udałem się do biblioteki; zajrzałem tam do historii Irlandii, do encyklopedii i map. Natrafiłem na książkę „Wykaz parów Burkea”, a w niej znalazłem imiona swych przodków. Badaniom drzewa, genealogicznego rodu Molyneux poświęcałem tyleż czasu, co nauce w szkole i wiedziałem już, że gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, byłbym teraz młodym lordem mieszkającym w swym irlandzkim zamku i mogącym wyrzucać pieniądze.

Podjąłem nawet wakacyjną pracę w Bostonie, tak bym mógł dowiedzieć się czegoś więcej o Lily. Przekopałem archiwa miejskie, zapisy narodzin, ślubów, zgonów, nazwiska, daty, miejsca. Dowiedziałem się o drugim synu Lily, Liamie Porter Adamsie. I, tak jak to zrobił również Bob, prześledziwszy ich losy, domyśliłem się, że Bob Keeffe jest wnukiem Lily. A to zapiekło mnie znacznie bardziej niż wszelkie wcześniej odniesione rany. Obydwaj byliśmy potomkami synów Lily, ale Bob po został tym prawowitym spadkobiercą. A taki był bogaty, że nawet nie pragnął majątku Lily. Bob miał wszystko, ja natomiast - jak zwykle - nie miałem niczego.

Jego zdjęcie przypiąłem na ścianie swojego pokoju w collegeu i co wieczór, kiedy przedzierałem się przez długie, uciążliwe godziny nauki i samotności, mówiłem sobie, że pewnego dnia będę miał wszystko to, co on ma; wszystko to, co prawnie powinno należeć do mnie. Pewnego dnia to ja stanę się Bobem Keeffeem.

Przerwał i wiedziałam, że patrzy na mnie, aczkolwiek nie mogłam dostrzec jego twarzy, więc odezwałam się:

- A teraz myśli pan, że się panu udało?
- Prawie. Zostało mi jeszcze tylko jedno. Natychmiast zorientowałam się, co ma na myśli.
- Shannon - powiedziałam, a on skinął głową.
- Mogę zaoferować jej wszystko; wszystko to, co posiadał jej ojciec. Przedtem nawet by na mnie nie spojrziała, teraz jednak wiem, że spojrzy. Dziś wieczór miałem zamiar poprosić ją o rękę.
- I wtedy dzieło zostałoby zakończone. Miałby pan już wszystko to, co pan uważa za prawnie należące się panu. Wszystko to, co miał Bob Keeffe, łącznie z jego córką.
- Słusznie, Maudie; to ma się odbyć dokładnie w ten sposób. Tylko że teraz zjawiała się tu pani, zadając pytania i wścibiając nos akurat w momencie, gdy wszystko już szło tak gładko. - Westchnął głęboko. - Na prawdę wolałbym, żeby tak się nie stało.

Uśmiechnęłam się do niego, zdobywając się na odrobinę swego dawnego wdzięku. Rzuciłam niespokojne spojrzenie na zegarek i spostrzegłam, że jest dopiero za piętnaście jedenasta. Shannon powinna się zjawić dopiero za kwadrans, musiałam więc nieco pozawracać głowę Jonasowi.

- Zanim odejdę - powiedziałam, starając się nie myśleć o tym, jak dwuznaczne może okazać się słowo „odejść”. - Otóż zanim odejdę, proszę mi opowiedzieć, w jaki sposób kradł pan pieniądze Boba?

Roześmiał się i zaczął mówić.

- Jestem człowiekiem inteligentnym, a Brad i Jack to pionki łatwe do przesuwania. Wiedziałem, czego chcą, i podsunąłem im tę możliwość, a potem jeszcze coś więcej. O wiele więcej, toteż złapali się na tę przynętę.

Przez dziesięć lat pilnie pracowałem. Wystartowałem jako protegowany Boba i stałem się jego prawą ręką. Zajmowałem się wszystkim, czego sam nie chciał robić, a potem coraz większą liczbą spraw. Nie istniała taka rzecz, której nie wiedziałbym o interesach Keeffea, a Bob byłby gotów powierzyć mi własne życie.

Pomyślałam, jak ironicznie brzmi to stwierdzenie, on jednak jakby nie widział w tym nic

dziwnego, mówił dalej.

- Żeby móc manipulować człowiekiem, naginać go do swojej woli, trzeba naprawdę go rozumieć. Musisz wiedzieć, czego on chce, o czym marzy, za co potrafiłby umrzeć, a za co zabić.

- Znać jego piętę achillesową - podpowiedziałam.

- Otóż to. Jack Wexler nie był utalentowanym architektem; miał po prostu cholerne szczęście, że znalazł łatwą pracę. Bob ufał każdemu, a Jack w pełni z tego korzystał. To wielki egoista; pragnął prowadzić życie bogatego i cieszącego się wzięciem nieżonatego playboya, lecz nie mając pieniędzy, musiałby skończyć jako podmiejski żonkoś, dojeżdżający z biletem miesięcznym do Westchester, gdzie miałby swój przeciętny dom i ładną, jasnowłosą żonkę o kosztownych gustach, jeśli chodzi o ubrania, oraz dwójkę-czwórkę dzieci, wymagających pasa i płacenia czesnego w collegeu. Korzystał z finansowych zasobów Keffe Holdings już na całe lata przed tem, zanim ja zacząłem tam pracować. Urywał sobie po troszku z każdego kontraktu - i przez ten proceder dorobił się paru niezłych kawałków.

A Brad był taki sam; już od pierwszego dnia trzymał łapę w kasie Keffea, zaczynając od drobnej kradzieży raz tu, raz tam. Ale naprawdę więcej zaczął potrzebować dopiero od dnia, w którym podczas meczu polo jakiegoś klubu na wsi poznał Fedorę Lee. Nic nie potrafi podsycić ambicji mężczyzny bardziej niż kobieta, a Fedora świetnie wiedziała, czego chce.

Tak więc z chwilą, gdy już to o nich wiedziałem, wszystko było tylko kwestią czasu. Wystarczyło, że im pokazałem, jak łatwo zarobić całą kupę dolców, a nie tylko trochę. Uświadomiłem im, że złodziejstwo na dużą skalę jest rzeczą równie prostą, jak drobna kradzież, z tą różnicą, że zarabiasz o wiele więcej pieniędzy. Całe miliony dolarów więcej. A gdy wytłumaczyłem im, że do tego samego więzienia trafiasz niezależnie od tego, czy ukradłeś pięć tysięcy, czy pięć milionów i że ja jestem w stanie wydać ich obu i posłać do takiego więzienia - zaczęli mi chodzić przy nodze jak dwójka gorliwych psów, gotowych spełniać za chcianki swego pana.

Już wcześniej założyłem w Liechtensteinie Fundusz XWZ z pieniędzy pochodzących ze sprzedaży akcji i obligacji, które Bob trzymał jako gwarancje dla bankowych pożyczek, a teraz wykorzystałem małą część tego na zakup tanich, bezwartościowych nieruchomości w różnych miejscach Stanów. Stało się to możliwe tylko dlatego, że Bob całkowicie mi ufał, a ponadto był pochłonięty robotą i pozwalałem mu czuć się zadowolonym, tak że wszystko okazało się całkiem proste. Fundusz XWZ kupował nieruchomości, po czym sprzedawał je po ogromnie wygórowanej cenie Keffe Holdings, który nabywał je, znów biorąc na ten cel pieniądze ze sprzedaży zabezpieczeń.

- Brad i Jack załatwiali kontrakty, pieniądze wpłacano do Liechtensteinu, a przypadająca im część szła na zaszyfrowane rachunki w banku szwajcarskim. Ja nigdy nie podpisałem niczego, tak więc o nic nie można się do mnie przyczepić. Brad kupił sobie farmę i kobietę; Jack kupił swe obrazy Rothko, oraz płacił za dom i swój pozerski styl życia, ja natomiast siedziałem na swoich milionach i czekałem, aż wybuchnie bomba, bo wiedziałem, że pewnego dnia musi to nastąpić i że - gdy do tego dojdzie - będę musiał zabić Boba Keffea. I wszystko stało się dokładnie w taki sposób.

Wyłonił się ze swego osłoniętego krzesła niczym wąż z legowiska, odszedł w stronę kredensu i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek brandy.

- Jest pani pewna, że nie chce się napić, Maudie? - zapytał niczym idealny gospodarz.

- Ale nie było to chyba pierwsze pana zabójstwo? - zapytałam.

- Ma pani na myśli moją matkę? - Skwitował to wzruszeniem ramion. Ona nie zasługiwała, żeby żyć. Była to plama na obrazie moich młodszych lat, bezwartościowa kobieta, która wystawiała

na urągowisko godność mojej babki. No i stała na przeszkodzie tej przyszłości, którą planowałem dla siebie. Poza tym, jeśli nie ja, to zapewne niebawem zrobiłby to jeden z jej znajomych.

Zbliżył się i stanął nade mną, a ja podniosłam na niego oczy i po raz pierwszy poczułam, że się boję. Pociągnął łyceek swej brandy i rzekł zamyślony.

- A teraz jest jeszcze pani, Maudie.

Był zbyt blisko mnie, żebym czuła się swobodnie i rzuciłam spod rzęs spojrzenie na zegarek, mając nadzieję, że on tego nie spostrzeże; nic jednak nie uchodziło jego uwagi.

- Do jedenastej jest jeszcze pięć minut - powiedział spokojnie. - Akurat mamy czas, zanim dotrze tu Shannon. Będzie już wtedy po pani, i wówczas zjawię się, żeby pomóc jej znieść to nieszczęście.

- Tak samo, jak był pan przy niej, kiedy zmarł Bob - przypomniałam mu, a on się uśmiechnął.

- Naprawdę żałuję, że muszę to zrobić, Maudie - rzekł, a ja czujnie zmierzyłam go wzrokiem. - Nie trzeba było w ogóle mieszać się w moje sprawy. Wszystko zrobiłem tak porządnie i schludnie, bez żadnych usterek. Nikt nigdy by się nie dowiedział.

- Nie ujdzie to panu na sucho już po raz drugi - powiedziałam, podnosząc się z miejsca i mocno ściskając leszczynową laskę papcia, podczas gdy Jonas znowu oddalił się ode mnie, podchodząc do kredensu. Otworzył szufladę i wyjął rewolwer.

- Shannon nigdy nie uwierzy w to, że się zabiłam - ostrzegłam go, żałując, że mój dumny stary głos zabrzmiał tak cienko. Przecież my, członkowie rodu Molyneux, zawsze słynęliśmy z wykazywania się odwagą w czasie bitwy. Teraz jednak nie bitwę miałam przed sobą, tylko psychopatę.

- Nie zamierzam pani zastrzelić - wyjaśnił mi, jedną ręką zgarniając do tyłu włosy i poprawiając okulary w złotych oprawkach. - Zamierzam tylko odprowadzić panią jedno piętro niżej.

- A może po prostu robi pan to tutaj, w wygodnych warunkach - powiedziałam, myśląc o ponurych, betonowych przestrzeniach, stalowych dźwigarach i pozbawionych okien ścianach, osłoniętych płachtami folii. Nie uważałam, aby to było miejsce odpowiednie do przeżycia ostatnich chwil i wolałabym miękką, jedwabistą dywan perski. „A o czym że ty myślisz, kobieto? „- zadałam sobie pytanie. „Wybierasz sobie miejsce zgonu niczym stary, chory pies, podczas gdy jest w tobie jeszcze wola walki? Waleczni Irlandczycy - oto jak nazywał nas Bob i do diabła, miał rację! „Poza tym wiedziałam, że lada chwila powinna zjać się tu Shannon i pomyślałam, że być może, jeśli zastosuję metodę odwracania uwagi, uda mi się zmienić sytuację na niekorzyść Jonasa.

A wówczas zadzwonił telefon. Brennan odwrócił się i podniósł słuchawkę, a ja w jednej chwili przebiegłam przez pokój i znalazłam się za drzwiami akurat w momencie, w którym usłyszałam, jak mówi: „Shannon!”.

To ona dzwoniła, pomyślałam więc, że - niech to szlag! nie przyjdzie tu, gdyż ja jej tego zabroniłam, teraz więc jestem zostawiona sama sobie i wszystko zależy ode mnie. Wcisnęłam guzik windy, lecz nie za paliło się żadne światelko, domyśliłam się więc, że Jonas wyłączył dopływ prądu. A potem usłyszałam jego kroki, pchnęłam więc na całą szerokość drzwi wiodące na schody i zaczęłam uciekać w dół.

Serce mi waliło, gdy znalazłam się piętro niżej i wtedy usłyszałam trzaśnięcie drzwiami i jego kroki, kiedy szybko zbiegał za mną. Jezusie - pomyślałam - lepiej ruszaj dalej, Maudie! - i uciekłam jeszcze piętro niżej. Była to ciężka sprawa dla kobiety w moim wieku. Obawiałam się, że na słabo oświetlonych schodach złamię sobie nogę albo kark, choć nie wiem, czemu się tego bałam, skoro Jonas miał zaraz zrobić mi to samo. Naturalnie w razie, gdyby mnie złapał.

Poruszałam się, obchodząc z boku ciemne grzędawisko belek stalowych, podpórek i płacht foliowych, potykając się o kable, zwoje metalu i zabłąkane wiadra, niemal przewracając się co chwila. Znalazłam betonowy filar i schowałam się za nim, wsłuchując się w ciszę i mając na dzieję, że Jonas nie spostrzegł mnie i że nie słyszy, jak moje głupie stare serce wali niczym serce nastolatki, tak głośno, jak pociąg pośpieszny.

Rozejrzałam się dokoła i uświadomiłam sobie, że znajduję się na jednym z pustych, nie ukończonych pięter, które widziałam po drodze, jadąc windą na górę i że moja jedyna droga ucieczki prowadzi w dół tymi długimi ciągami schodów, aż do samej ulicy, położonej chyba ze sto pięter niżej. Słyszałam odgłosy ruchu ulicznego, słabo dochodzące tu na górę, a w miejscu, skąd wiatr porwał kawałek plastiku, ujrzałam czarną pustkę i światła budynku po drugiej stronie ulicy. Zadrżałam. To miejsce przejmowało zimnem, a wiatr gwałtownie uderzał przez nie ukończone ściany; i wówczas poprzez hałas usłyszałam odgłos cichych kroków.

- Maudie - powiedział spokojnie Jonas. - Wiem, że pani tu jest. Proszę sobie tego nie utrudniać. Przecież i tak jest pani staruszką. Już czas, żeby pani odeszła.

Poczułam gwałtowny napływ gorąca i adrenaliny i z gniewem mocno chwyciłam swą leszczynową laskę. Jak on śmie nazywać mnie staruszką i jak śmie decydować o tym, kiedy mam odejść z tego świata! Niech mnie diabli, jeśli pozwolę mu na to. Miałam przy sobie laskę, w karate przysługiwał mi czarny pas, więc jeszcze nie wiadomo, kto by zwyciężył, gdyby doszło do walki, choć raczej żywiłam nadzieję, że może Shannon i Eddie zjawią się jak kawaleria, akurat w samą porę.

Moje złudzenia szybko się rozwiały, kiedy huknął wystrzał. Zagwizdał obok mojego filara z krótkim, pomarańczowym migotem, a ja straciłam oddech i zamknęłam oczy, tłumacząc sobie, że Jonas nie odważy się zastrzelić mnie, bo zostałby wtedy z moim ciałem przebitym kulą, a nie miałby jak wykręcić się z tego sianem, bo zbyt wiele osób znało już prawdę o Bobie Keeffe.

- Mam cię - powiedział, chwytając mnie od tyłu, a ja szarpnęłam się w jego ramionach jak zaskoczony węgorz, grzmocąc go do tyłu swym najwspanialszym ciosem łokciowym i obdarzając mocnym trzaśnięciem laską. Potykając się i o coś zawadzając, zawróciłam biegiem w stronę drzwi i schodów, ale złapał mnie znowu. A potem zamigotały światła, ponieważ prąd został włączony i usłyszałam odgłos windy, która z łomotem jechała w górę ku nam.

„Nareszcie pomoc” - pomyślałam, akurat wtedy, gdy Jonas uświadomił sobie, że nie ma czasu do stracenia. Ściskając mnie za głowę, ciągnął - wierzgającą - w stronę ziejących otworów okiennych i otchłani na zewnątrz i wiedziałam już, co zamierza zrobić.

Walnęłam go laską, wyjąc najgłośniej, jak potrafiłam, a on mocniej zacisnął mi ręce na szyi. W uszach pojawił mi się szumiący dźwięk, rosnący w miarę utraty powietrza. Wydawało mi się, że z dala słyszę, jak winda staje, lecz byłam umierająca i powiedziałam sobie, że już jest za późno. Kopałam jeszcze słabo do tyłu, lecz przed zamkniętymi oczyma fruwały mi purpurowe płaty i bałam się, że jednak przegrywam tę walkę.

- Maudie! - usłyszałam krzyk Shannon; wtedy Jonas upuścił mnie, a ja zwałam się - niczym worek starych kości - na twardą cementową podłogę. Słyszałam odgłos biegnących nóg i szamotaninę, a potem huknął strzał. I - jak to się mówi - o niczym już nie wiedziałam.

Chciano zatrzymać mnie w szpitalu, ale nie godziłam się na to. - Jeśli już muszę przez cały dzień leżeć w łóżku, mam zamiar robić to w luksusowych warunkach - powiedziałam, a jak wam wiadomo

- kiedy podejmę postanowienie, jestem nieugięta.

Znalazłszy się na powrót w hotelu Ritz-Carlton, leżałam w swym wspaniałym łóżu o superkrólewskich rozmiarach w błogim komforcie, obsługiwana na każde zawołanie, obsypywana kwiatami i prezentami, przy czym każdy - od pokojówki do kelnerów i portiera, a także dyrektora hotelu - wpadał do mnie na filiżankę herbaty i pogawędkę.

Joanna przychodziła codziennie, żeby mnie zobaczyć, przynosząc mi w prezencie książki, czasopisma i ładne matynki, uśmiechając się po swojemu tym ślicznym uśmiechem Doris Day, który sprawia, że wygląda jak bardzo czarująca sąsiadeczka. I teraz, gdy w jej myślach na temat Boba zapanował spokój, miałam nadzieję, że zazna w przyszłości szczęścia.

Eddie opowiedział mi później, co się wydarzyło, a biedna Shannon tak bardzo szalała, że sama czułam, jak oczy wzbierają mi łzami współczucia, gdy ta lamentowała: - To wszystko moja wina. Powinnam wcześniej zrozumieć, że to był Jonas. Wszystko jest tak oczywiste, kiedy się o tym pomyśli.

- Nonsens, droga dziewczynko - odparłam uspokajająco. - To moja własna ciekawość wpakowała mnie w tarapaty i moja własna głupota przysporzyła mi tych kilku skaleczeń i siniaków. I tylko cieszę się, że obydwójce pojawiliście się właśnie w tamtym momencie.

- W samą porę - powiedział Eddie, uśmiechając się czule. Trzymał jedną z mych rąk, Shannon zaś trzymała drugą, a ja roześmiałam się i odezwałam do kręcącej się Brygidy:

- A może by tak po kieliszku szampana, Brygido?

- Roederer cristal - rzekła stanowczym tonem, wykręcając numer obsługi pokojów. Szybko się uczy ta moja Brygida. Życie ocalił mi wówczas szybki refleks, jakim wykazali się Shannon i Eddie, kiedy znaleźli wiadomość ode mnie, a Brygida opowiedziała im o naszych podejrzeniach. Wezwali gliniarzy i to samo zrobił ochroniarz, który mnie szukał. W ten sposób, mając pięć samochodów pełnych najlepszych sił Nowego Jorku, czyż mogłam nie zostać uratowana?

W rewanżu przekazałam pokaźną dotację na rzecz „Domu Policjanta” i na fundusz świąteczny, a także kilka słów podziękowania na piśmie, zapraszając każdego z nich, żeby - w razie, gdyby przejeżdżali przez Connemara - zjawili się odwiedzić mnie w Ardnavamie. I myślałam o tym naprawdę.

Pojawił się szampan dodatkowo z salaterką kawioru, ofiarowaną dzięki uprzejmości jednego z gości hotelowych, który już słyszał o moich wyczynach, zaczęłam się więc krygować w swej różowej matynce z piórami marabuta, zastanawiając się, kto to taki i czy nie powinniśmy go poprosić, by wypił z nami szampana.

- Kolejny wielbiciel, Maudie - zawołała Shannon, jako że było już tak wiele kartek i prezentów od rozmaitych życzliwych, którzy przeczytali całą historię w gazetach i wszystkich nas obejrzeni w telewizji. Staliśmy się sławni i muszę przyznać, że wszystkie te uprzejmości sprawiały mi frajdę.

- Musimy wypić toast - rzekła Brygida z poważnym wyrazem twarzy, ponieważ wciąż jeszcze nie mogła pogodzić się z faktem, że mało brakowało, by mnie straciła. Na szczęście jednak to paskudny Jonas okazał się tym, który przegrał. Sam się zastrzelił, zanim policja była w stanie go wyręczyć. Zorientował się, że to on „musi odejść”.

- Toast na cześć Lily - powiedziałam, podnosząc swój kieliszek - bo gdyby nie ona, moglibyśmy się nigdy nie poznać.

- I na cześć mojego pradziadka, Neda Sheridana - rzekł Eddie.

- I mojego ojca - dodała cicho Shannon. - Niech teraz już spoczywa w pokoju.

Gdy spełnialiśmy toast, w jej oczach pojawiły się łzy i Brygida hałaśliwie pociągnęła nosem. Potrafi ona wylewać wiadra łez na zawołanie, więc energicznie kazałam jej wypić do dna i nie być głupią staruchą - i nareszcie tym razem nie dyskutowała ze mną.

A ja patrzyłam na dwie młode istoty, uśmiechające się do mnie i do siebie nawzajem i byłam ciekawa, czy wiedzą już o tym, że są w sobie zakochani. Być może jest to rzecz, która nie wymaga podeszłego wieku i doświadczenia, żeby móc ją rozpoznać i zrozumieć. Ale jedno nie ulega wątpliwości: ja na pewno ich kocham.

Nie zgodziłam się na to, by odprowadzili nas do nabrzeża, kiedy na stępnego tygodnia wypływałyśmy w drogę powrotną do Anglii na pokładzie „QE 2”. Wiedziałam, że byłoby to zbyt smutne pożegnanie, a za to powiedzieliśmy sobie „do widzenia” w zaciszu pokoju hotelowego, tak żeby móc płakać, ile nam się spodoba. Aczkolwiek faktem jest, że żadne z nas nie uroniło ani jednej łzy. Śmialiśmy się, żartowali, ściskali, całowali i przysięgali, że jedni drugich kochamy, że będziemy w kontakcie i niedługo znowu się zobaczymy.

Tym, co pamiętam jako ostatni rzut oka na moje drogie „wnuki”, jest widok ich uśmiechniętych twarzy za oknami limuzyny, kiedy machałam im na pożegnanie. Posłałam im pocałunek - i wszystko było tak, jak powinno.

Nasza luksusowa kabina na uroczym transatlantyku okazała się ukwieconą altaną i spoglądając na kwiaty, myślałam o Lily płynącej starą „Hibernią” i o tym, jak bardzo by się cieszyła podróżą w czasach obecnych, śmigając pomiędzy kontynentami szybko i luksusowo. To dokładnie w jej stylu.

Brygida i ja zawisłyśmy nad poręczą, wpatrując się w Statuę Wolności, która zniknęła w półmroku, po czym - westchnieniem wyrażając żal, że wszystko to już się skończyło - zeszyliśmy, by wspólnie z innymi pasażerami zjeść kolację.

Jednakże ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam, zapadając tej nocy w sen, usypiana kołysaniem statku i rozciągającym się przed nami bezkresem Atlantyku, były tamte drogie, młode i uśmiechnięte twarze, które nauczyłam się kochać tak gorąco.

Epilog

Ardnawama, Connemara

Ten, kto zna mnie tak dobrze, jak wy zdążyliście już poznać, na pewno rozumie, że zawsze muszę mieć ostatnie słowo. Nawet po „wielkim finale”.

Wróciłam właśnie z długiej przejażdżki wzdłuż plaży, takiej samej, jaką odbywała kiedyś Lily z Finnem i tej samej, którą już tak dobrze znacie. Siedzę teraz w swym fotelu przy oknie, z psami jak zawsze wciśniętymi obok mnie, a one podrygują przez sen, goniąc zające w cienistych lasach krainy snów. Płatki róż „Gloire de Dijon” już opadają, a te, które jeszcze trwają, skręcają się brązowo na brzegach, lecz ich woń unosząca się ku mnie wciąż jeszcze jest piękna, a do tego dochodzi zapach wszechobecnego spalanego torfu i cudowna świeżość powietrza.

Brygida jest w kuchni i przygotowuje nową porcję placuszków do herbaty, racząc dziewczęta swymi opowieściami o Ameryce. Stała się teraz we wsi nader słynną postacią ze swymi historiami z życia wyższych sfer w Nowym Jorku i Waszyngtonie, elegancko ubrana w stroje z Bloomingdalea i w butach kowbojskich, które jako ulubione obuwie zajęły - chwała Bogu! - miejsce jej starych, zielonych wellingtonów.

Cała ta historia na pewno obydwu nam, starym damom, dostarczyła tematu do rozmów w czasie długich i ciemnych jesiennych wieczorów, które zbliżają się szybkim krokiem, tak że będziemy rozgrzewać sobie serca wspomnieniami, przypiekając palce u stóp przy kuchennym kominku. Faktem

jest, że „śledzenie” dało mi tyle przyjemności, iż kto wie, czy nie zajmę się tym zawodowo. „Maudie Molyneux, detektyw prywatny”. Byłby to pierwszy taki przypadek w rodzinie Molyneux!

Często rozmyślam o swych drogich „wnukach”. Dzwonią do mnie co tydzień i przesyłają mi listy. Eddie z Los Angeles, gdzie otrzymał rolę w nowym filmie. Wprawdzie niewielką, jak mi napisał, ale za to „istotną”, więc pokładamy w nim swe wielkie nadzieje, że osiągnie sukces taki, jak kiedyś Ned Sheridan. Shannon również jest w Los Angeles. postanowiła pójść w ślady ojca i być może, odtworzyć nawet stan posiadania jego Firmy, tak że mając przed sobą ten cel, a na koncie bankowym majątek Lily, studiuje tam architekturę na uczelni o bardzo wysokim poziomie. Obydwoje moi kochani planują odwiedziny u mnie na wiosnę i wprost nie mogą się tego doczekać.

Wicie, oglądam ich w swoich snach. Widzę już ich ślub, który od będzie się tu, w Ardnawamie: Shannon jako piękną pannę młodą w białych jedwabiach i koronkach - i Eddiego, najbardziej przystojnego pana młodego od czasów mojego papcia.

Może oni sami nie pomyśleli jeszcze o tym, ponieważ młodzi zawsze mają mnóstwo czasu. Ale ja już teraz planuję kompanię honorową, złożoną z tutejszych mieszkańców, siedzących na koniach i ubranych w swe najlepsze czerwone kurtki myśliwskie, ze wzniesionymi szpicrutami, które utworzą łuk tryumfalny - i nawet kochane pieski będą mieć eleganckie czerwone wstążki. A wszyscy goście zjadą się z okolic odległych o wiele kilometrów, ubrani w odświeżone stroje; będzie świeciło słońce, będzie błyszczało morze, róże „Gloire de Dijon” będą w pełnym rozkwicie, a ich zapach pomiesza się tak jak zawsze z zapachem torfowego dymu, smakowitego jedzenia i pyłu starości tu, w Ardnawamie.

Ach, moi drodzy przyjaciele; śmieJCie się, jeśli taka wasza wola, lecz stara dama ma przecież prawo do swoich marzeń, czyż nie? A kto wie, może i wy, i ja kiedyś znowu się spotkamy.